

Joanna
Chmielewska

**KRWAWA
ZEMSTA**



JOANNA CHMIELEWSKA

KRWAWA
ZEMSTA



2012

Spis treści

Karta tytułowa
PROLOG

Długi i bardzo okropny. Nie czytać przed snem!
* * *

PROLOG

Długi i bardzo okropny. Nie czytać przed snem!

Nawet się nie obejrzała, usłyszała warkot silnika i natychmiast zaczęła uciekać w głąb lasu. Pierwszy raz w życiu poczuł zadowolenie, że nie posiada samochodu, samochodem w żaden sposób nie wjechałby za nią. Starym motorem przemykał się między drzewami z największą łatwością, nie pierwszy raz zresztą, nie było takiego miejsca w tym lesie, gdzie nie zdołałby wjechać, na jesieni zbierał grzyby nawet nie zsiadając. Uciekała zresztą głupio, prosto w starodrzew bez gęstego podszycia.

Dogonił ją bez trudu. Potknęła się o konar leżący w przymarzniętej trawie, wymieszanej z równie przymarzniętą zajęczą sałatą i mnóstwem patyków, upadła do przodu, uderzyła twarzą o wystający pień, chyba ją zamroczyło na chwilę, bo nie poderwała się od razu do dalszej ucieczki.

Ta chwila wystarczyła mu w zupełności. Nie musiał się śpieszyć, a jakieś zacieranie śladów miał w nosie, oparł swojego strupla o najbliższe drzewo, siekierę wiózł przywiązaną przed sobą, na baku, po co miała wpadać ludziom w oczy uczepona do bagażnika. Cały las rozbrzmiewał wprawdzie dźwiękiem silników, stukotem siekier i toporów, gdzieś tam także zgrzytem pił, ale na wszelki wypadek... Wcale nie chciał być tym pierwszym, na którego napatoczy się gliniarz z komisariatu.

Odwiązał narzędzie z łatwością, wciąż bez pośpiechu. Przepełniało go szaleństwo. Furia, mściwość, straszliwy gniew z gatunku tych, które czerwoną płachtą przesłaniają oczy. Amok zakamieniały. Tu, przed nim, leżało źródło jego męki piekielnej, nie będzie już źródła, nie będzie męki!

Uderzył sześć razy. Przy siódmym opadła mu ręka, wściekły stres uleciał, stracił siły. Po tej parszywej grypie jeszcze ich w pełni nie odzyskał, w ogóle nie wyjechałby z domu, z łóżka nie wylazł, gdyby nie te cholerne choinki, dwie miał przywieźć, drugiej żądała ciotka. Cała wieś cięła i musiał skorzystać z okazji, jednego zawsze złapią, wszystkim nie dadzą rady.

Wystarczyło. Popatrzył na swoje dzieło bez żalu, z mściwą satysfakcją, starannie wytarł siekierę o wielki liść klonu, zdobiący plecy różowego sweterka. Po tym liściu poznał ją z daleka, nie było we wsi drugiego takiego. Obejrzał siebie, nie znalazł żadnych śladów, pryskało na boki, a nie na niego. Ślepy fart.

Wsiadł na motor, okrążył miejsce akcji dużym łukiem i dojechał do świerków. Trochę sił już odzyskał, ściął dwa, zręcznie owiązał sznurkiem i szmatami, przytroczył wzdłuż swojego rupiecia i pojechał do domu.

W tym momencie zaczął padać śnieg.

Nikt na niego nie zwrócił najmniejszej uwagi, cała wieś była zajęta tym samym, wiadano bowiem, że komendant posterunku jest na jakiejś odprawie w Sejnach, a jego skąpy personel w gorączkowym pośpiechu czyni ukradkowe starania dla siebie. Śnieg ucieszył wszystkich.

Z wyjątkiem komendanta.

* * *

Zwłoki znalazł pies leśniczego dopiero w samym końcu stycznia, kiedy zniecka nastąpiła odwilż i leśniczy poszedł obejrzeć szkody, jakie poczyniła przyroda do spółki z ludźmi. Metrowe zaspy usiadły, gdziekolwiek stopniało i odgrzebanie całości nie przyczyniło wielkiego trudu.

Kłopot sprawiło za to ustalenie tożsamości ofiary. Sweterek z liściem zrobił się jakiś trudno rozpoznawalny, a pięć tygodni z twarzą w leśnym podszyciu zniweczyło wyrazistość rysów prawie doszczętnie. Zagadkę rozwiązano w końcu poniekąd alternatywnie, albo to była jedna taka, przyjezdna, cztery i pół dnia tu we wsi mieszkała u Dalbów razem z jednym takim, który ją przywiózł i wywiózł, podobny sweterek nosiła, albo też młoda Dalbianka, Zenia, która nagle znikła z domu akurat na tydzień przed świętami. Jakoś tak razem wypadło, odjazd gości i zniknięcie Zeni.

Zenia nie była córką bogatych Dalbów, wynajmujących pokoje, tylko bratanicą. Dawno już odgrażała się, że ucieknie, czemu nikt się nie dziwił, tatuś awanturniczy alkoholik, mamusia latawica, za pieniądze świadczyła usługi każdemu kto chciał, starszy brat w mamrze po kilkunastu włamaniach i kilkudziesięciu okradzionych turystach, młodszy z wodogłowiec, czy też czymś podobnym, niedorozwinięty konkursowo, samodzielnie umiał tylko jeść. Co też ta Zenia Dalbianka miała robić w takiej rodzinie?

Stryj Zeni brata alkoholika nie chciał znać, ale bratanicę u siebie przyjmował. Chociaż rzadko i niezbyt chętnie.

Pojawiło się pytanie: czy z jednym takim odjechała Zenia, a przyjezdną, obcą, znaleziono w lesie, czy też obca odjechała jak przyjechała, a w lesie leżała Zenia? Przy odpowiedzi wahali się wszyscy, obie blondynki, tego samego wzrostu i podobnej postury, czesały się jednakowo, ponieważ Zenia, ujrawszy miastową już w chwili przyjazdu, z miejsca zmałpowała jej koafiurę. Śnieg i trzytygodniowy mróz zakonserwowały wprawdzie sponiewierane szczątki, ale początkowa i końcowa odwilż zrobiły swoje. No i ten sweterek, Zenia takiego nie miała. A z jednym takim odjechała tylko jedna osoba, co najmniej piętnaścioro świadków na własne oczy

widziało obok kierowcy jedną jasną głowę, drugiej nie było, na tylnych fotelach jechała choinka. Zatem, która z nich?

Włączyło się województwo.

– Miazga – oznajmił patolog z ponurym niesmakiem. – Sześć ciosów siekierą wyłącznie w okolice miednicy, od tyłu. Przerąbany kręgosłup. Innych obrażeń w zasadzie nie ma, ślad silnego uderzenia w czoło, ale wnioskując z tego jak leżała, upadła zwyczajnie twarzą prosto na ten pień. Żywa upadła.

– Wygląda, jakby tatuś sprawił córce zdrowe lanie, tylko narzędzie wziął niewłaściwe – zaopiniował asystent doktora z niesmakiem jeszcze większym, co wszystkim od razu nasunęło myśl o tatusiu Zeni, alkoholiku brutalnym i agresywnym.

Zatem jednak Zenia...?

Rychło wyszło na jaw, że nic podobnego, tatuś odpada, spił się na sztywno, do domu wrócił o ósmej rano, rozgonił rodzinę, z nieznanych przyczyn połamał starą okiennicę i zasnął martwym bykiem. Trzech klientów mamusi zaświadczyło, że spał do siódmej wieczorem, o siódmej się obudził, kropnął sobie klina, którym dysponowała mamusia, po czym zasnął na nowo i obudził się dopiero w biały dzień.

Do diabła z tatusiem. Jak nie Zenia, to chyba ta druga...?

Natychmiast okazało się, że nikt nie wie, kim byli przyjezdni. No owszem, poszła wieść, że to jakiś ważny z telewizji z sekretarką. Z zeznań świadków wynikało, że szukał plenerów do nowego filmu, znaczy oglądał okolicę, a sekretarka zapisywała co widzi. Sprzęt posiadał, te tam jakieś kamery, aparaty fotograficzne, komputerek, z ludźmi gadał i głównie pytał, ile by chcieli za wynajęcie domu na zdjęcia. Reszta szczegółów społeczeństwu umknęła i do nikogo jego nazwisko nie dotarło. Nazwisko sekretarki tym bardziej. Mówił do niej „Małpeczko”, co w żadnym

wypadku nie mogło być imieniem chrzestnym w chrześcijańskim kraju, a fakt sypania z nią był czymś tak zwyczajnym, że nikt się nim nie przejął. Zenia z Małpeczką była w doskonałej komitywie i wręcz się zaprzyjaźniły.

Mimo, iż w sprawę włączyła się w końcu i Komenda Główna, ów reżyser–producent–scenarzysta pochodził bowiem podobno z Warszawy, nie wykryto niczego. Wedle zeznań całej wsi, samochód przedstawiał sobą marki od polskiego fiata, poprzez całą produkcję japońską, do mercedesa, kolor wahał się pomiędzy jaskrawą czerwienią, ostrym błękitem, jadowitą zielenią i głęboką czernią, jego numeru zaś nie zauważył nikt. Jeden dziesięcioletni chłopiec twierdził tylko z uporem, że na przodzie miał WG i stąd wzięła się Warszawa. W warszawskiej telewizji nikomu nie zginęła żadna sekretarka i nikt nic nie słyszał o żadnym nowym filmie w północno–wschodnich rejonach kraju.

Jedno tylko stwierdzono niezbitcie, mianowicie ustalono osobę ofiary. Dostępne było DNA zarówno zwłok, jak i śladów pozostawionych w domach obu Dalbów, i wyszło z nich, że jednak siekierą porąbana została Zenia.

Dziwne. Nikt nic do tej Zeni nie miał, żadnych pretensji, żadnych odstawionych od piersi gachów, żadnych zazdrosnych narzeczonych, żadnych rywalek, nikt jej się o nic nie czepiał. No, poza tatusiem, który owszem, po pijanemu ganiał Zenię z zamiarem skarcenia, czasem nawet doganiał i bardzo karcił, który jednak w tym wypadku odpadł w przedbiegach z racji stuporu alkoholowego, a ogólnie gniewny był na nią, bo buntowała się i zamierzała uciec.

Sprawcę tożsamość posiekanych szczątków rąbnęła niczym grom z jasnego nieba, do tego stopnia, że nie zrobił nic. Nic kompletnie, nawet się nie upił. Nic go ta Zenia nie obchodziła, nie do Zeni przecież szła zemsty go ogarnął, tylko do tamtej... tamtej... tamtej, co czerwono mu robiła przed

oczami i wymykała się spod ręki jak śliska żmija. Uwiodła go, omamiła rozkręconym tyłkiem, raz obdarzyła rozkoszami nadziemskimi, a potem rzuciła. Kręciła przed nosem i nie dawała. Jutro miała odjechać. I co...?

I łajno, nawet nie krowie, a świńskie!!!

* * *

Majka postanowiła się zemścić.

Nie tak zwyczajnie, metodami stosowanymi powszechnie, słownie, obmową, ewentualnie czynnie, za pomocą parasolki czy tłuczka. Rzucanie kamieniami w okna również odpadało, w ogóle nic jawnego, nic publicznego. Kompletnie inaczej.

I na czymś kompletnie odmiennym niż zazwyczaj to bywa.

Mianowicie postanowiła się zemścić na tyłku.

Tak jest. Na tyłku.

Który niszczył jej życie.

* * *

Należy wyznać smutną prawdę, że Majka prawie od urodzenia była beznadziejnie głupia. Nie rzucało się to w oczy i nikt tego nie dostrzegał, najwyżej od czasu do czasu padały uwagi w rodzaju: „Zgłupiałaś, czy co”, „Postąpiłaś jak głupia”, „Ty chyba głupia jesteś” i tym podobne, pełne zgorzenia, zdziwienia, nagany, ale nigdy nie traktowane poważnie, ponieważ nikomu nie przychodziło do głowy, że przypuszczenie mogłoby okazać się najdoskonalej trafne. Obok głupoty bowiem Majka prezentowała znakomitą, błyskotliwą inteligencję, która, jak wiadomo, z głupotą potrafi iść w idealnie zgodnej parze.

Źródłem głupoty było dobre serce.

Właściwie nie robiło jej nic złego, poza przyczynianiem strat finansowych i dawaaniem roboty. Majka nikomu nie potrafiła odmówić pożyczki, nie umiała upomnieć się o zwrot, w związku z czym zwracano jej te pożyczki raz na sto albo i dwieście razy, i były to osoby wyjątkowe. Cała reszta, nie czując nad karkiem terminu, radośnie zapominała o długu, zaciągała nowy, a Majce przez gardło nie przechodziło napomknięcie o poprzedniej nieoddanej pożyczce.

Stanowczo wolała brać następne zlecenie i siadać do pracy.

Ratowały ją tylko chwilowe braki, bo odmawiać nie umiała i bij człowieka głową w ścianę. Serce jej się ścisnęło na myśl, że taką przykrość komuś zrobić, nie pomoże w nieszczęściu, nie ulży troskom, gorzej, obrazi osobę śmiertelnie. Aż tak potworną kretynką nie była, żeby gdzieś w głębi duszy nie zdawać sobie sprawy, że wielokrotnie osoby ją kantują, żerują na niej, oddawać wcale nie mają zamiaru, w gruncie rzeczy domagają się darowizny, ale wiedzę duszy tłumiła i przydeptywała z całej siły, bo jak to, okazać komuś brak zaufania? Podejrzewać go? Dać mu do zrozumienia, a nawet powiedzieć wprost, że łże jak świnia? Przecież to obelga! Brutalne zeszczenie człowieka!

No nie, do czegoś takiego nie była zdolna.

Wolała wierzyć w ludzką uczciwość, prawdomówność i przyzwoitość, jeśli wręcz nie w szlachetność. Tak została wychowana i tak nauczona w dzieciństwie, w niej samej ugruntowały się te cechy i zawarła z nimi sojusz na zawsze. Mówiła prawdę, nie robiła żadnych świństw i za żadne skarby świata nie zawiodłaby niczyjego zaufania.

Poza tym była mniej więcej normalna.

Niezwykłym zrzędzeniem losu poślubiła osobnika o nie tyle cechach, ile upodobaniach podobnych. Dominik lubił mówić prawdę, nie cierpiał łgarstwa i stanowczo życzył sobie być przyzwoitym człowiekiem. Za nic w

świecie nie zgodziłby się i nie uwierzył, że w gruncie rzeczy pochodzi to z lenistwa, wszelkie kręctwa i oszustwa wymagają bowiem wysiłku, a na przesadne wysiłki nie miał najmniejszej ochoty. Owszem, był pracowity, ale tylko wtedy, kiedy zajęcie mu się podobało i akurat przypadało do gustu. W innej chwili mogło nie przypaść i wówczas bronił się przed nim pazurami i zębami, najchętniej uciekając i kryjąc się po rozmaitych zakamarkach, a jeśli ucieczka była niemożliwa, nadymał się i pęczył furia. Osobowość miał silną, wytwarzał zatem wokół siebie atmosferę godną trąby powietrznej. Z tą różnicą, że trąba powietrzna ciągnie w górę, atmosfera Dominika zaś gniotła w dół.

Majce to specjalnie nie przeszkadzało, ponieważ kochała ten zaślubiony trąbo-gniot nad życie, usposobienie miała pogodne, charakteru małżonka nauczyła się błyskawicznie i potrafiła uciążliwość przeczekać, względnie przestawić wajchę na inne tory. Najczęściej zaś po prostu odwaliała za niego wzgardzoną robotę, o ile była niezbędna i nie przekraczała jej sił fizycznych lub umysłowych.

Dominik również kochał Majkę nad życie. Głównie dzięki temu, że nie nękały go przez nią żadne przymusy. Nie musiał wracać punktualnie do domu, nie musiał robić żadnych zakupów, nie musiał wymyślać i organizować żadnych rozrywek, nie musiał brać udziału w głupkowatych spotkaniach towarzyskich, których nie trawił, i nie czuł gwałtownej potrzeby zarabiania pieniędzy. Mówiąc wprost, nie musiał kraść. Co sprawiało, że w obliczu pełnej dobrowolności, jak na pracującego męża, robił mnóstwo, z pominięciem, rzecz jasna, kradzieży.

Jako ranny ptaszek, śniadanie dla dzieci przyrządzał ze śpiewem na ustach. Przepierkę w pralce robił bardzo chętnie, w łazience zostawiał idealny porządek nie tylko po sobie, lecz także po żonie i dzieciach, zmywał wręcz odruchowo bez najmniejszego oporu, bo tak go mamusia

nauczyła i weszło mu w nałóg. Bardzo lubił myć okna, oczywiście tylko wtedy, kiedy miał na to ochotę, a zdarzało się to niekiedy nawet przed Wielkanocą. Doskonale umiał zaparzyć herbatę i usmażyć jajecznicę. Kochał pojazdy mechaniczne, szczególnie motory.

I nienawidził zarabiania pieniędzy.

Świetnie tańczył, ale nie bardzo to lubił. Znakomicie grał w brydża, ale przenigdy na forszę, nawet po groszu nie wchodziło w rachubę. Miał absolutny słuch i doskonały głos, ale niechętnie śpiewał i nie cierpiał opery, a także operetki, teatru, kina, kabaretu i wszelkich innych tego typu rozrywek. Nie znosił żadnego alkoholu. Nie imaćo się go żadne majsterkowanie. Brzydziły go i napełniały wstrętem damskie kosmetyki upiększające. Nie tolerował żadnej sztuczności. Nienawidził sportu.

Ale zarabiania pieniędzy nienawidził najbardziej.

Majka nie dysponowała olśniewającą pięknnością, była zwyczajnie ładna, czasem wyjątkowo ładna, czasem tylko przeciętnie, błyskały w niej jednakże jakieś atrakcyjne drobiazgi, dzięki którym miała powodzenie. Dominik był średnio przystojnym, sympatycznym facetem mieszczącym się w normie męskiej urody, prawidłowo zbudowanym, w pełni sprawnym fizycznie i miał w sobie COŚ. Razem tworzyli idealnie dobraną parę. Majka budziła zainteresowanie facetów, za Dominikiem baby latały jak wściekłe.

Dominik za babami nie.

Był najzwyczajniej w świecie monogamiczny. Miał jedną babę, wybraną dla siebie, swoją własną, i to była jedna kobieta w całym kosmosie, bez konkurencji, po prostu pojedyncza sztuka rodzaju żeńskiego. Resztę stanowili sami ludzie pozbawieni płci, taki gatunek ssaka wyższego rzędu. Niejadalny i nie zawsze użyteczny.

Przez jedenaście lat znajomości, a dziesięć małżeństwa Majka zdołała w to granitowo uwierzyć i przestała żałować wszystkiego, co poświęciła dla

Dominika. Skończyła studia wcześniej niż on, mimo iż była o dwa lata młodsza, zrezygnowała z kilku atrakcyjnych propozycji zagranicznych i zabrała się do roboty w kraju.

Naukę języków obcych rozpoczęła w wieku lat trzech przez czysty i szczęśliwy przypadek. W tym samym domu zamieszkały trzy rodziny obcokrajowców i wszystkie dzieci bawiły się na tym samym skwerku, ogrodzonym i bezpiecznym. Cztery języki szalały wśród zieleni i kwiecia, polski, angielski, szwedzki i włoski, przyswajane przez dzieci w sposób niepojęty i w tempie nadprzyrodzonym, a dodatkowo Majkę opanował francuski, brat mamusi bowiem rozsądnie się ożenił. Francuska ciocia dzieci uwielbiała i co parę miesięcy zabierała siostrzeniczkę do Francji na długie pobyty.

Talenty lingwistyczne okazały się dla Majki łaskawe, z czego nic jej nie przyszło. Najwyżej płacz i zgrzytanie zębów, kiedy musiała odmówić obcym twórcom show–biznesu współpracy reklamowo–dekoracyjnej. Nie była tłumaczką ani dziennikarką, tylko, po ukończeniu ASP, dekoratorką wnętrz, wystaw, okazjonalnych uroczystości, pokazów reklamowych i ewentualnie scenografii do rozmaitych sporadycznych występów. A mogła więcej, mogła w tej całej Europie pokazać co potrafi i zarobić parę złotych, sypiając nawet więcej niż dwie godziny na dobę. A zatem znacznie mniej męcząco niż w ukochanym kraju. Ale nie mogła przecież zostawić niezadowolonego Dominika z dziećmi, chociaż dwie babcie deklarowały pomoc.

Wynalazku Fenicjan Dominik nie uwzględniał i konieczność posługiwania się w życiu codziennym ordynarnym szmałem, flotą, kasą, mamoną do niego nie docierała. O tej odrażającej ohydzie nawet słuchać nie chciał.

Ale w swojej pracy, projektowaniu bardzo wymyślnych konstrukcji stalowych, czuł się szczęśliwy, promieniał i tryskał geniuszem. Gdyby przyjął kontrakt do Australii...

Nie przyjął i cześć.

No to co? Majkę kochał, może nawet z przesadnym zapałem i nadmiarem wigoru. W końcu nikt z nas nie jest bez wad.

* * *

– Ty, słuchaj – powiedziała Bożenka, najlepsza przyjaciółka Majki, o dwa lata starsza. – Ty rzuć trochę okiem na swojego chłopca. Nie chcę się wtrącać, ale radzę ci z dobrego serca.

– Bo co? – zainteresowała się Majka.

Bożenka odsapnęła, umościła się w starym fotelu i rozejrzała dookoła.

– Masz coś naganego i szkodliwego do picia? Nie mogę tak na sucho przekazywać chamskich plotek.

– Mam piwo. Wszystko inne się u mnie zmarnuje... no nie, wódka nie, wódka może czekać sześć lat i nic jej nie będzie, ale każde wino skwaśnieje. Może być piwo?

– Może być. Masz na myśli otwarte? To wino?

Majka kiwnęła głową, zsunęła się z wysokiego stołka przy kreślarskiej desce i ruszyła do kuchni po napój. Bardzo lubiła Bożenkę i plotki w jej wykonaniu, i nawet słowem nie napomknęła, że od piwa się tyje. O ile oczywiście coś się przy tym jada, a Bożenka jadała chętnie. Czarnowłosa, dorodna, miała już co najmniej jedenaście kilo nadwagi, ale była przy tym tak kształna, że tych jedenastu kilo prawie się nie dostrzegało. No i w końcu nie codziennie zdarzały się poważne okazje.

Siedziały w pomieszczeniu niesłusznie zwanym pokojem dziennym, który w domu Majki stanowił skrzyżowanie salonu, jadalni i pracowni.

Pracownia zajmowała ledwo jedną trzecią przestrzeni i składała się z komputera wraz z wielkim monitorem, drukarki, deski kreślarskiej, mnóstwa papieru w rozmaitej postaci i mnóstwa zdjęć w pudełkach od butów. Majka, jak większość utalentowanych projektantów, nie potrafiła stworzyć koncepcji na ekranie komputera, musiała mieć do tego papier i rękę. I trochę przestrzeni dla rozmachu. Później dopiero mogła swoją koncepcję opracowywać komputerowo, zmieniać, poprawiać i ubierać w szczegóły. Reszta pokoju zawierała w sobie stół jadalny, krzesła, kanapę, fotele, półki na książki, telewizor, oraz wielce oryginalny mebel potężnych rozmiarów, kredenso–bufet na co elegantsze naczynia stołowe, niemieszczące się w kuchni. Razem wzięwszy, panowała tam nieco uciążliwa ciasnota, ale innego wyjścia nie było, pokój dzieci zajmowały dzieci, w sypialni zaś Dominik koniecznie chciał sypiać i awanturował się, kiedy pracująca żona świeciła mu reflektorem po oczach. Majce natomiast obecność rodziny w czasie pracy nie przeszkadzała, potrzebne jej były ręce i wzrok, a reszta nie miała znaczenia. Dzieci od urodzenia zostały wytresowane, telewizję mogły oglądać, ale w zakresie racjonalnym i z wykluczeniem dzikich ryków, Dominik zaś niczego wokół siebie nie rozrzucał.

– Ale ty przecież lubisz wino? – powiedziała z lekkim zdziwieniem Bożenka do wracającej z piwem Majki.

Majka wzruszyła ramionami.

– Pewnie, że lubię, tyle że bez przesady. Nie wytrąbię jednym kopem całej flachy, a ona wytrzyma tylko do nazajutrz. Rzadko się zdarza, żeby do pojutra i rzadko które. Dominik prawie do ust nie weźmie, co do dzieci natomiast, pozwolisz, że zacznę je zachęcać dopiero za parę lat. Dziesięć na przykład.

– Może być dziesięć – zgodziła się Bożenka i psyknęła puszką.

Majka podsunęła jej szklankę, przyjętą z aprobatą.

– Masz rację, wolę ze szklanki, z puszki niewygodnie. No więc właśnie, o Dominiku mówię cały czas, a ty nic.

Majce wydawało się wprawdzie, że mówią o różnych przyjemnych napojach, ale przypomniała sobie początek.

– Mam na niego patrzeć. Patrzę codziennie. Bo co, źle wygląda?

– Głupia jesteś. W domu patrzysz, nie?

Majka porzuciła rajzbret i usiadła na kręconym krześle przy komputerze. Też otworzyła sobie piwo. Najmniejszy cień niepokoju nie zapikał jej nigdzie.

– Mam patrzeć gdzie indziej?

– Przydałoby się. Co i raz ktoś od nas u nich bywa służbowo, sama wiesz. I donosi. Co z tego, że w zieleni robię, ale więcej w tym zagospodarowania terenu niż kwiatków, z ich żelastwem ciągle mam do czynienia. Jakoś ostatnio się nie składało, więc tylko nasłuch miałam, ale teraz właśnie musiałam tam lecieć przez mostek. Zielony mosteczek uginasie.

Majka znała Bożenkę zaledwie od dziewięciu lat, ale poznanie dogłębne nie nastęczało trudności. Bożenka co w sercu, miała i na języku, waliła wprost, szła niczym walec drogowy, bez względów dla nikogo i niczego, bezlitosnym taranem. A tu nagle zaczęło jej coś przeszkadzać. Sprawa musiała być zatem wyjątkowo poważna.

– Bożenka, wiesz co? Opamiętaj się. Nie uwierzę, że urznęłaś się w dwie minuty jedną dziesiątą puszki piwa, a nic od ciebie nie śmierdziało jak tu przyszłaś. Znaczą, trzeźwa jesteś jak świnia. Ty mi się z mosteczkiem nie uginasiał, tylko mów, o co biega i przytupuje.

– On zwodzony – powiedziała ponuro Bożenka.

– Kto...? A...! Rozumiem, że mostek?

– A jak? Dlatego musiałam trochę z nimi pouzgadniać, bo już mi ustrojstwo w różyczki pchali. Twój Dominik, złego słowa nie powiem, więcej genialny niż głupi, fajerwerkiem rozwiązał, więc aż mi łyso i gdzieś tam mnie ściska.

Majce najpierw zrobiło się przyjemnie i poczuła się tkliwie dumna z Dominika, a potem dotarło do niej, że coś tu zgrzyta, bo nie z komplementami Bożenka przyleciała. I nie błyskotliwość projektanta tak ją dziwnie zatyka.

– Dobra, genialny to on jest i głupi też, wszystko w normie. Co jeszcze wywinał?

– Nic.

– Co?

– Nic.

– Jak nic, to co się stało?

– To nie on wywija.

W obliczu bliskiej perspektywy trzydziestych pierwszych urodzin jakieś pojęcie o życiu Majka już miała. Bardzo ją wspomogły doświadczenia własne, prawie gotowa była pogodzić się z faktem, że nie wszystkie jednostki ludzkie promieniają szlachetną przyzwoitością. Ktoś tam musiał Dominikowi napaskudzić koło pióra...

Ciekawe, kto? I jak...?

– Dobra, wal dalej i przestań się tak dławić, bo nie chce mi się lecieć do sklepu po czysty spirytus. Mam salicyłowy...

– Nie chcę – odmówiła z energią Bożenka. – Tego piwa, jakby co, masz więcej?

– Mam.

– No to ci powiem. Sama wiem, że takie bździny tylko człowieka denerwują, kretyn bąka i bąka, a sedna rzeczy nie powie, pierwszy raz

widzę, że to wcale nie takie łatwe. W dodatku widzi mi się, że ja pierwsza z tym do ciebie przyleciałam, ale co tam, lubię was i może jeszcze nie jest za późno. Po kolei ci powiem, co najpierw słyszałam, może być?

Rewelacje Bożenki zaczęły Majkę ciekawić. Jakieś plotki... o, mówiła to przecież, chamskie plotki.

– Bardzo dobrze, uporządkowana kolejność zawsze przydatna. Wal.

– No to pierwszy raz w ucho mi wpadło, jak Andrzejek powiedział, że Kręcidupcia zeskanuje i wydrukuje, tylko przy formacie trzeba ją przypilnować. Nic mnie to nie obeszło, bo nie moje mieli, same budynki brali, bez terenu. Ale zapamiętałam właśnie przez Andrzejka, taki był zadowolony jak rzadko, nawet żadną kurwą nie rzucił, sama rozumiesz...

Majka rozumiała doskonale. Znała architekta Andrzejka i jego barwny język, powściągliwością można było się zdziwić. Bożenka odsapnęła, umościła się wygodniej, dołała sobie piwa do szklanki i wyciągnęła papierosy.

– Potem był drugi raz – kontynuowała, pstrykając zapalniczką. – Przyleciał elektryk i zachichotał głupkowato, a potem kichnął prosto w kawę Janusza, tego drogowca. Akurat u nas siedział, ze mną już pouzgadniał, ale jeszcze siedział. No i jak kichnął, zrobiło się całe hople, bo wiesz jak to jest, napryskało, chcesz ratować, leci następne i tak dalej. Na elektryka wsiedli, to był ten, no, takie ma słowiańskie... O, Dobrosław. Dobruś znaczy. Gdzieś mi tam za plecami Dobruś się kajał i znów chichotał...

– I kichał? – zaciekawiła się Majka.

– Nie, już bez kichania. Zresztą nie miał w co, kawę odsunęli. Ale chichotał, że coś ta Kręcidupcia strasznie do żelastwa ciągnie, u konstruktorów siedzi, jakby drugą wieżę Eiffla robili, tylko trzy razy większą. I tyle, więcej nie dosłyszałam, zajęta byłam uczciwie, ale

zapamiętałam, rzecz jasna, przez kretyna Dobrusia. No i Kręcidupcia w ucho wpada.

– Owszem, rzadkie imię – przyświadczyła sucho Majka i wyjęła z szuflady swoje papierosy. Każda z nich paliła inne.

– No patrz, a ja jeszcze nie zwróciłam uwagi – zmartwiła się Bożenka. – Trzeci raz to już nie sposób było całkiem olać, bo główny szaman się pieniał, po całym budynku latał i pysk darł, gdzie ta cholerna owca się pęta, moja Anusia od monitora łeb odwróciła i powiada: o, Kręcidupcia mu zginęła. A jad z niej aż tryskał. A ja się zdziwiłam jak tępadło skończone, co jej ta Kręcidupcia takiego zrobiła...

Majka słuchała z rosnącą uwagą.

– Facet – zaopiniowała stanowczo bez sekundy namysłu.

– A jak? No i widzisz, mądrzejsza jesteś ode mnie. Ale jeszcze ktoś tam powiedział całkiem grzecznie, że Kręcidupcia u konstruktorów siedzi, szaman się zbulwersował do reszty i z wrzaskiem do nich poleciał. No i w końcu mnie ta Kręcidupcia zaciekawiła, a popatrz, piwo mi wyszło.

Drogę do lodówki i z powrotem Majka odpracowała w rekordowym tempie. Sobie też przyniosła.

– Samochodem jesteś? – zatroskała się, podając puszkę Bożence z lekkim wahaniem.

– Coś ty, do samochodu to pół puszki góra. Taksówką. I tak bym nie miała gdzie parkować, a nie chce mi się latać przez pół miasta. Chcesz ciąg dalszy?

– A uwierzyłabyś, że nie?

– E tam, taka łatwowierna to ja nie jestem. No więc zaraz potem... Bo nie myśl, że to było tak wszystko na kupie, ledwo co jakiś czas pobrzękiwało, ale tym razem krótko, ze trzy dni. No, może cztery, w kalendarzu nie zapisywałam. Poszłam do architektów, bo wstępny całego

osiedla już mieli i do tego skwerek ze źródłem, proste rzeczy, zero problemu, ale przylazł akurat Stefan, ten od konstruktorów, kumpel twojego Dominika, ten taki przystojny i okazało się, że mają się zastanowić nad wesołym miasteczkiem, przyjąć zlecenie, czy nie. Zgniewało mnie, że pierwsze słyszę...

– O rrrrany...! – jęknęła Majka.

– Bo co? – zirytowała się Bożenka. – Czego chcesz, ja ci opowiadam porządnie!

– Nie, nie to. Ale ja też pierwsze słyszę, a co ty sobie wyobrażasz, że mnie wesołe miasteczko nie dotknie?

– A, rzeczywiście. Ale okazało się, że nie ma co się czepiać, jeszcze nie zadecydowali, pierwsza narada, my jesteśmy branża, kolejność druga. Nie o to truchta. Ledwo się Stefan pokazał, wymiotło Zdzisia, tego sanitarnego. Poderwał się jakby go krzesło w tyłek ugryzło, namamrotał, że on się na wszystko zgadza i już go nie było. A mnie on był potrzebny do tego skwerek z wodotryskiem, więc znów się zezłościłam i grzecznie spytałam, co za gówna tu wiuwa w atmosferze i czy nie można Zdzisia na jaki harpun złapać i zawrócić. Na co Stefan skrzywił się i zachichotał, a może skrzywił się chichotliwie, pomyślałam nawet, że jakaś epidemia ich opadła z tymi chichotami. Krzywo zachichotał? Skrzywił się chichotliwie...?

Przez chwilę rozważały, które z określeń będzie trafniejsze. Bożenka była świadkiem naocznym, obstawała przy chichotliwym skrzywieniu. Majka nie zgłosiła sprzeciwu, znała ich wszystkich lepiej czy gorzej, ale znała i doskonale mogła sobie wyobrazić opisywane sceny i zachowanie osób.

– No? I co? Tego Zdzisia mało znam, tyle co przy odrobinie instalacji. Niezły projektant, chociaż nie bardzo wystrzałowy. Ale wydaje mi się sympatyczny.

– A mnie się widzi, że frajer – rzekła gniewnie Bożenka.

Majka czekała pytająco. Bożenka zapaliła następnego papierosa.

– Stefan wyjaśnił, też grzecznie, że nie radzi harpuna i wcale się Zdzisiowi nie dziwi, bo majączy między nimi Kręcidupcia...

– Zachichotali wszyscy? – ożywiła się Majka.

– Jakbyś zgadła. Z wyjątkiem dwóch. Wielki szaman się nadał, a Janusz tylko skrzywił. Ale ja się tej Kręcidupci uczepliłam i poczekałam do końca, zlecenie na wesołe miasteczko przyjmujemy, jak pani radna ograniczy wymagania łapówkowe, bo tyle ile chce, to żaden debil jej nie da, ale mnie jej mienie gównu obchodzi. Złapałam Stefana i docisnęłam dyplomatycznie.

Znając zdolności dyplomatyczne Bożenki, Majka zdziwiła się, że jeszcze nie dobiegły jej echa jakichś potężnych grzmotów z zespołu Dominika. Niemożliwe przecież, żeby Stefan z tych zabiegów dyplomatycznych wyszedł cało.

Ciąg dalszy od razu wyjaśnił sprawę.

– Sok z kamienia wycisnąć – parsknęła Bożenka z goryczą i gniewem. – Dżentelmen, mały lord, rycerz się znalazł, już leci z rękawiczką między te lamparty. Ja do niego delikatnie, a on jak zmurszały pień. Zrozumiałam tylko, że Zdzisia faktycznie małpi rozum opętał i za Kręcidupcią lata, a ona furt do konstruktorów ciągnie. Któregoś sobie chyba upatrzyła, ale nie wiem którego, bo ten subtelniś kręcił ile mógł, dwunastnicy użył wspomagająco, ona podobno pokręcona. Widać było prawie jak ją z siebie wyciąga!

– Może właśnie jego – podsunęła Majka. – Dżentelmenowi nie wypadało się chwalić...

– Toteż właśnie, może i jego, a może nie. Dominikowi się płacze pod nosem, ale Jurkowi też, tak mi wyszło z jego gładzenia. Jeszcze bym

zlekceważyła, bo tam prawie wszystko żonate, tylko mi właśnie mostek wypadł, ten zwodzony, więc poleciałam do nich i popatrz, ślepy i raf. Nadziałam się na Kręcidupcię!

Zgroza i triumf wymieszane razem w głosie Bożenki zainteresowały wreszcie Majkę bardzo porządnie. W zespole konstrukcyjnym pracowało kilka osób, pięciu facetów i dwie baby, baby raczej nie wchodziły w rachubę, ale w pięciu facetach można było przebierać. Największą urodą odznaczał się Stefan, dzielnie konkurował z nim nieco młodszy Paweł, pozostali też nie od macochy, trudno zgadnąć, co ciągnąca ku nim dama wybierze. Gustu Kręcidupci Majka nie znała, sama osobiście preferowała Dominika.

– Ty ją w ogóle znasz z twarzy? – spytała z ciekawością.

Bożenka wytrząsnęła z puszki ostatnie krople.

– Teraz już tak. Przedtem tylko ze łba. Blondyna taka słomiana, w dziób do góry się chesze, jakieś stworzenia takie siedziby mieszkalne sobie robią, tylko zapomniałam, termity czy ludzie? Albo może szerszenie. Czasem mi gdzieś tam mignęła, ale tego łba trudno nie zauważyć, więc mi w oczach zostało. Na gębie zwyczajna, trochę do owcy podobna, z tych obrażonych na cały świat. Za nią szłam i zgadłam, że to musi być ona, bo i dziób, i tyłek.

– A tyłek co?

– A otóż to właśnie. Szłam sobie i zgadywałam, ona pierwsza, ja za nią. Zwyczajnie szła, tyle że nie sztywno, aż za mną drzwi trzasnęły i głosy słyhać było i ona z miejsca ruszyła tyłek. Ale jak...! Tak jej latał, że słowo ci daję, powinna te pośladki pogubić, dziwne bardzo, że jej się do tej pory jeszcze nie oderwały. I takim skrętnym ruchem... jakby ci tu... Czekaj...

Z lekkim wysiłkiem Bożenka wydobyła się ze starego i stosunkowo niewielkiego fotela, w którym było jej nieco ciasnawo. Talię miała

szczupłą, a gdzieś nadwaga musiała się pomieścić, poszła zatem dość równomiernie w górne i dolne wdzięki. Posiadaczka nadwagi odwróciła się tyłem do Majki i dokonała demonstracji, od razu uznając ją za raczej nieudaną. I słusznie, w wykonaniu Bożenki owe skręty uczyniły wrażenie przerażające, a w dodatku jedną stroną anatomii zrzuciła puszkę po piwie. Kopnęła ją, puszka w lekkich podskokach wpadła Majce pod nogi.

– Ja tak nie umiem, sama widzisz, a poza tym, co tu będziemy szklić, ona ma mniejszy tyłek. I jakiś taki, jakby uczepiony na śrubie. Na dwóch. Jak Boga kocham, tak jej się kręci w kółko i trochę na boki. Ale rozumiesz chyba, nie? Brigitte Bardot w młodości prawie tak samo umiała, zaznaczam wyraźnie, że prawie!

Majka schyliła się po puszkę, krzesło na kółkach odjechało nieco, straciła równowagę i puknęła głową w nogę biurka. Dosięgła żelastwa, wyprostowała się i potarła ciemię.

– Pokazy niebezpieczne dla życia i mienia – oceniła z urazą. – Ale rozumiem, to mają być wygiby kuszące.

– I jeszcze jej ten tyłek trochę wystaje – dołożyła Bożenka z ciężkim oburzeniem i wróciła na fotel.

Opowieść o Kręcidupci nabierała ognia. Majka przyniosła kolejne piwo.

– I co? Było coś dalej? Dokonałaś jakiegoś odkrycia?

– No pewnie! I dlatego tu jestem! Tak szłam za nią, bo lazała prosto do pracowni Dominika i ja też. Z mostkiem przyszałam. Tak patrzyłam co będzie, rysunki przyniosła, obejrzałam ją wreszcie od frontu, razem z Dominikiem tym zwodzeniem się zajęliśmy, bo od razu gębę rozwarłam, że mi roślinność niszczą, a ona tam się snuła jak smród po gaciach. Specjalnie się przyglądałam, mam podzielną uwagę, zawiadamiam cię, bo może nie wiesz...

– Wiem. Parę razy sprawdziłam.

Bożenka się zastanowiła.

– Tak naprawdę, prawie każda baba ma – orzekła zdecydowanie. – Jedną rękę w garnku, drugą przy dzieciach, trzecią przy robocie... Chyba że gęś odmóździona, ale o takich ja nie rozmawiam. A ta cała Kręcidupcia... – znów się zastanowiła – popatrz, jakie super imię jej wymyślili. Aż dziw bierze, skojarzenie jak rzadko, i to faceci, zdumiona jestem, bo pasuje, że nie da rady lepiej. Nic w niej właściwie nie ma, tylko ten tyłek latający! I każdemu po kolei tego swojego kręcioła pod nos podtykała, i tak mi jakoś wyszło, że tylko czyhała na Dominika. A tu ja z mostkiem, fatalna sprawa! Dominik chłop, takiej podzielnej uwagi nie posiada, mostkiem się zajął, Kręcidupcię zlekceważył, wywijala tym tyłkiem, mało jej nie odleciał...

– I co? – popędziła Majka, bo Bożenka urwała, zapalając papierosa.

– I przysięgłabym, że czekała aż pójdę w cholerę. A ja się zaparłam w sobie, że nie wyjdę, póki i ona nie wyjdzie. Zieleń robię, ale o moment obrotowy postanowiłam go wypytywać...

– Co to jest moment obrotowy? – spytała Majka surowo.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Ale wiem, że coś takiego istnieje i nawet Dominikowi z ust się wyrwało przy tym zwodzeniu, to co mi zależy. Ale nie musiałam, bo w końcu poszła, a zadek aż jej furczał od tego kręcenia. No, to już wszystko i ja ci radzę, ty rzuć trochę okiem!

– Zaraz. A co oni wszyscy na to, ci faceci?

Bożenka zastanowiła się znów, prychnęła z niechęcią i pokręciła głową.

– Na moje oko, różnie. Z tego co wiem, mówiłam ci, Zdzisia szął uczuć opętał i te pośladki go otumaniały, z innych co poniektóry okiem rzuci albo nawet się w skupieniu przyjrzy, pochichocze, reszta nawet nie patrzy, a Jurek, akurat zauważyłam, raz spojrzął z obrzydzeniem i tyłem się odwrócił. Ale on w ogóle taki sensat. Mnie się widzi, że ogólnie niby się z tej zadniej karuzeli natrzęsają, ale gdzieś tam ich korci i niejeden się ślini.

– Głupio mu jawnie, więc ukradkiem?

– O to, to, właśnie. Jeszcze Anusię przepytam, bo na razie nie zdążyłam, do ciebie miałam bliżej. Ona dzisiaj na Saskiej Kępie rezydencję nadzoruje, jutro ją złapię. A co do patrzenia, to Dominika nie odbadałam, ale czy to wiadomo...?

No owszem. Istotnie. Czy to wiadomo...?

* * *

Majka nie przejęła się zbytnio plotkarskim donosem, żadne przecucie jej nie tknęło. Zainteresowanie Dominika czymś takim, jak Kręcidupcia, wykluczyła całkowicie, to nie ten poziom i nie te uroki, Dominik cenił intelekt, a nie prostackie maniery i mózdzki drobiowe. Wątpliwe było nawet, czy zaszczycał coś takiego bodaj najcichszym chichotem.

A jednak.

Czarna chmura nadciągała i ukryty za jej osłoną grom podstępnie wypatrywał swojej chwili.

Szaman wielki, czyli dyrektor ogromnego przedsiębiorstwa wielobranżowego, gromadzącego w swoim łonie liczne zespoły biur projektowych zdołał ograniczyć wymagania pani radnej i przyjął zlecenie na wesołe miasteczko.

Tuż pod miastem. Łatwy dojazd. Zbliżone do kopenhaskiego Tivoli, ale całoroczne, nie tylko letnie. Władca urządził wizję lokalną i cały tłum wszystkich branż udał się na oględziny w dzień teoretycznie wolny od pracy.

Był koniec września, sobota, pogoda równie piękna jak na początku drugiej wojny światowej, co nikomu nie nasunęło najmniejszych historycznych skojarzeń, zapewne dzięki temu, że żadne bomby nigdzie nie wybuchały. Wszyscy wzięli udział bardzo chętnie, skuszeni szczodrością

inwestora, który przekształcił służbową imprezę bez mała w festyn, uświetniony piwkiem, grillem i przekąskami. Wcześniej czy później każdy z projektantów i tak musiałby teren swojego działania obejrzeć, więc co im szkodziło.

– Ty popatrz, jak dla mnie te pagórki to czyste złoto – pochwaliła Bożenka, znalazłszy Majkę obok stolika z przekąskami. – W lecie bachory mają zjeżdżalnie, a w zimie tory saneczkowe, jak Boga kocham, nic nie muszę robić, tylko żeby mi to zostawili, istny raj!

– Nie łudź się, połowę zniwelują – ostrzegła Majka. – Gdzieś muszą pomieścić jaskinie rozpusty dla dorosłych.

– Mnie i połowa wystarczy. Co tak się wpatrujesz w te smętne resztki? Najlepsze już zeżarli.

– Nie szkodzi. Ciekawa rzecz, że zawsze się pchają do tych z jajkiem, jakby nie mogli sobie jajka ugotować w domu...

– Bezdomne lepsze.

– A mnie żal serce ściska...

– Przez jajka? – zdumiała się Bożenka i zjadła ostatnią kanapkę z serkiem i pomidorem.

Majka westchnęła rzewnie.

– Nie, przez kanapki w ogóle. Nie masz pojęcia jak ja uwielbiam robić kanapki! Aż mnie skręca, ręce mi się do nich trzęsą i nie pamiętam, kiedy robiłam ostatni raz, chyba z osiem lat temu. Nie mam czasu i nie mam czasu, cholery można dostać.

– No tak, to pracochłonne...

– Tylko nam tu wytwornego sracza brakuje i byłby plenerek aż miło – powiedział zatrzymujący się przy nich elektryk. – Wy tu, panienki, nie wylizujcie okruszków, tylko chodźcie na naradę. Po pierwsze primo tam się

grillują polędwiczki, a po drugie primo wają się, czy nie spieprzyć pejzażu. Ekologia się krzywi. Obie się przydadie.

– A po trzecie primo, tam chyba mają więcej piwa – zauważyła bystrze Bożenka i wszyscy razem ruszyli ku władcy, gdzie przestrzennie omawiano kwestie zawodowe, głównie za pomocą intensywnego machania rękami.

Majka była w błogim nastroju. Teren sprzyjał natchnieniu, już widziała oczyma duszy te dekoracje, o które będzie musiała się postarać, reklamowe billboardy, akcenty kolorystyczne, i wszystko razem jej się podobało. Lubiła swoją pracę. Dostrzegła Dominika ze Stefanem i Jurkiem, naradzali się jakoś dziwnie, przytupując nogami, każdy jedną, co wyglądało trochę jak powolny, rytualny taniec. Niekiedy któryś z nich podskakiwał.

– O, masz okazję obejrzeć Kręcidupcię – mruknęła zgryźliwie Bożenka.

O Kręcidupci Majka kompletnie zapomniała. Ostatnia noc, którą udało jej się w połowie spędzić w łóżku, a nie przy monitorze, i którą Dominik wykorzystał na płomienne okazanie jej uczuć, pozamażeńskich zapewne, bo małżeńskim zazwyczaj brakuje tak silnego ognia, obdarzyła ją doskonałym samopoczuciem. Zbliżając się do przytupujących konstruktorów, ze średnim zaciekawieniem popatrzyła.

Kręcidupcię wyłowiła wzrokiem od razu, bo rzeczywiście wysoki, słomiany, lśniący w słońcu czub na głowie rzucał się w oczy. Tylnej strony nie widziała, Kręcidupcia też podchodziła ku konstruktorom, za nią znajdowały się dwie osoby, wielbiciel Zdziś i Elżbieta z zespołu Dominika. Obydwoje wpatrywali się w ów osławiony, niezwykły zadek, z tym, że z bardzo różnymi uczuciami. Elżbieta niechętnie i wzgardliwie, Zdziś z jakąś rozpaczliwą, zachłanną namiętnością. Nie zważał na to, co ma pod nogami i potykał się na każdej kępce trawy i każdej nierówności terenu.

Majkę widok trochę rozśmieszył, a trochę zniesmaczył. Obok Dominika nastąpiła nagle zmiana, Jurek obejrzał się, zaniechał tupania, coś mruknął i

oddalił się szybkim krokiem, Stefan obejrzał się również i z wahaniem odsunął się o półtora metra. Dominik został sam. Kręcidupcia zbliżała się, wpatrzona w niego nader osobliwie, jakby go wcale nie było, jakby był przezroczysty, a ona na durch przez niego kontemplowała wyniośle niezmiernie odległy przestwór. Oryginalne...

Kręcidupcia podchodziła, ale Majka była bliżej. Podeszła do męża zwyczajnie, znalazła się obok. Obydwoje, i ona, i Dominik, przyglądali się Kręcidupci, ale Dominik zerknął na żonę.

– O, jesteś! – ucieszył się promiennie.

Kręcidupcia, nie zmieniając ani umiarkowanego tempa, ani wyrazu twarzy, wzruszyła lekko ramionami i zmieniła kierunek. Skręciła w stronę oddalonego już Jurka, przecinając drogę Elżbiecie, i wówczas Majka mogła obejrzeć zjawisko w całej okazałości. Doznała wstrząsu.

– O, kurczę strasznie blade...! – wyrwało jej się w podziwie.

– Też jestem takiego zdania – przyświadczył Stefan, który od razu znalazł się na poprzednim miejscu obok Dominika. – To duża rzecz.

Tyłek Kręcidupci po prostu szalał. Dominik nawet nie spojrział.

– Na czym stanęli? – spytał z zaciekawieniem Elżbietę, która właśnie podeszła i zasłoniła niezwykłość.

– Na naszych potrzebach – odparła Elżbieta, spoglądając za otumanionym Zdzisiem, doganiającym Kręcidupcię, po czym również tupnęła. – Reszta gruntu za słaba, tylko tutaj twardo, pogodzili się z tym wreszcie, chociaż prawie się popłakali. A te grubsze ustrojstwa muszą być stabilne i tu będzie robota dla was. Nie zazdrozczę wam.

Oderwała wzrok od romantycznej pary i uczyniła gest brodą ku Majce i Bożence. Stefan i Dominik przyświadczyli beztrosko, zadowoleni z decyzji kierownictwa, Majka się do nich wykrzywiła, owszem, miała już przyjemne wizje, ale wyglądało na to, że obie, Bożenka zielenią, a ona dekoracjami

będą musiały zamaskować konstrukcyjne bebechy, wyrosłe na pierwszym planie. Tylko tu, bliżej ulicy, grunt był dostatecznie solidny, żeby utrzymać diabelski młyn i upiorną kolejkę górską, niezbyt piękne od tyłu. Elżbieta miała rację, ich zespoły czekała ciężka praca, a nie żadne fiu–bździu.

Bożenka mamrotała coś o piwie i Zdzisiu, pociągnęła wszystkich ku środkowi terenu. W kwestii piwa nikt nie miał wątpliwości do czego ma służyć, co do Zdzisia natomiast, musiała trochę wyjaśnić.

– Ogłupiony tym zadnim wirnikiem na wszystko się zgodzi, a mnie woda będzie potrzebna. Chcę, żeby pociągnął z tego jeziorka...

– To rzeczka – poprawiła Elżbieta.

– A nie kanał? – zdziwił się Stefan.

– Mnie ganc pomada, kanał, rzeczka, jeziorko, byle woda i wolę bez ryb. I bez żab. Już widzę, że będzie skomplikowane, każdy sanitariusz by pyskował, a Zdziś stumaniał i na wszystko pójdzie, wszystko obieca, a potem dotrzyma, bo on porządny.

– Tylko uważaj, bo z daleka od Kręcidupci może oprzytomnieć...

– To ja go złapię w pobliżu.

Gdyby nie kuszące piwo i woń polędwiczek, Bożenka zapewne rozpoczęłyby polowanie od razu, warunki sprzyjały, Kręcidupcia znów pojawiła się bliżej, najwyraźniej uparcie grawitując ku konstrukcjom stalowym, wraz z przylepionym do niej Zdzisiem. Demonstracyjny przemarsz sprzężonej ze sobą pary odbył się jakoś tak w poprzek i gdyby na przykład ciągnęła się za nimi policyjna taśma, odgrodziłaby od jadła i napojów spragnione grono.

– Obrzydliwe – powiedział gdzieś w przestrzeń Jurek, który już wrócił do kumpli i znalazł się obok Majki.

– Zdawało mi się, że nie patrzysz? – zainteresowała się Majka.

– Bez względu na to, czy na coś patrzę, czy nie, to coś nie zmienia swojego oblicza, pozostaje piękne lub obrzydliwe.

– Nie jestem pewna, czy tu w grę wchodzi oblicze...

– I słusznie, stanowczo nie. Co nie przeszkadza, że z przymiotnika nie zrezygnuję w żadnym wypadku. Za dużo przeczeń, może przejdę na twierdzenia. Podstawowe brzmi: obrzydliwe.

Rozweselona Majka chętnie się z nim zgodziła. Porozmawiali chwilę o kwestii gustów męskich i żeńskich, taki taniec brzucha na przykład, płeć męską bardziej wabi, jeśli płeć żeńska ogląda chciwie, to raczej w celach szkoleniowych, po czym Majka przypomniała sobie o dziwnym tupaniu.

– Co to było i dlaczego wy tak...? Wyglądało jak taniec paralityków.

– Normalka – wyjaśnił Jurek pobłaźliwie. – Nośność gruntu dla nas istotna i możliwe, że emocje ruszyły. Wiesz jak to jest, tu twardo, ktoś mówi i bezwiednie tupie. Bez względu na rodzaj podłoża, ład stały czy co innego. Nie dalej jak w zimie, w tym roku, Adaś upierał się, że ten lód jest twardy, tupnął i załamało się pod nim, po kolana wleciał, musieliśmy go wyciągać. A i tak przepowiadam, że z tym gruntem tutaj będziemy mieli ciężki krzyż pański. Czekał, mam wrażenie, że inwestor się rozszalał i podobno jest tu także niezłe wino. Chodźmy tam.

– A czym przyjechałeś?

– Haliną. Przywiozła mnie i pod przymusem udała się z wizytą do teściowej. Mojej. Mnie ominęło. Nad wyraz przyjemny piknik.

– I przyjedzie?

– O, z pewnością. Wobec takiej imprezy...?

Majka bardzo lubiła i Jurka, i Halinę, podobała jej się ich doskonała symbioza. Halinę Jurek bawił i zgadzała się na wszystkie jego dziwactwa, Jurek żonę doceniał i wielbił, wzajemnie dla siebie byli niezawodni. Na spokojnie. Znacznie solidniej niż stadło trzeciego kumpla, Stefana i jego

Zosi, Zosia błyskała zielonym okiem i temperamentem, troska i zachwyty, wymieszane razem, utrudniały Stefanowi niekiedy zaangażowanie zawodowe. A kochał wszak i żonę, i pracę, konfliktik męczący.

Ustaliwszy z grubsza sposób zagospodarowania terenu, towarzystwo wymieszało się dokładnie. Jurek z Majką wywęszyli wino, okazało się rzeczywiście dobre, Bożenka upolowała Zdzisia, któremu Kręcidupcia prawie znikła z oczu. Korzyść odniosła niewątpliwą, zajęty wypatrywaniem ukochanych kształtów zgodził się na wszystko i solennie przyobiegał opanowanie najuciążliwszych nawet komplikacji wodnych. Dominik, Stefan i Paweł z ich zespołu, złapawszy elektryka Dobrusia, błakali się po terenie, poszukując miejsca pod transformator, reszta napawała się czym kto chciał. Ekologia w liczbie sześciu osób coraz bardziej traciła zapach do protestów przeciwko wykorzystaniu rzeczki czy też jeziora, a jej męska część, trzy sztuki, upozowała się w ogóle tyłem do wody, a frontem do przechadzającej się niezmordowanie Kręcidupci, której słomiany czub wciąż zmierzał ku mieszanej grupie konstruktorsko–elektrycznej. Majka przestała zwracać na nią uwagę.

Przestała także zwracać uwagę na tych, którzy zwracali na nią uwagę.

A możliwe, że warto było...

* * *

– No i popatrz, wyleciało mi z głowy, a miałam ci powiedzieć, co wydołam z Anusi – zmartwiła się Bożenka do Majki przez telefon. – Gdzie teraz jesteś?

– Na mieście. Taką niedużą wystawę robię w natchnieniu. A co?

– A bo mnie też nie ma. W Józefowie ogródek zmieniam, tak z pół hektara spaskudzonego terenu. Co by się o mnie nie powiedziało, ja zieleń

szanuję i na ten widok tutaj zgroza mną szarpie. Ale już kończę, a ty? Na długo ci jeszcze tego natchnienia starczy?

– Na jaką godzinkę, więcej nie potrzeba.

– To spotkajmy się gdzieś. Gdzie potem będziesz?

– W twoim biurze – powiedziała Majka z niechęcią. – Klient się uparł, chce wnętrza, żeby zaakceptować rysunki robocze. Oświetlenie budzi jego wątpliwości.

– Po pierwsze, to nie moje biuro, a po drugie moje też.

– Zaraz. Jak nie twoje, to co twoje?

– Wątpliwości. Moje wątpliwości budzi oświetlenie oszczędnościowo-ekologiczne, więc nie mówmy o tym, bo szlag mnie trafia. Dobra, to znajdziemy się gdzieś w tym nie naszym molochu, za dwie godziny już się pewnie uda.

Mimo rozmiarów instytucji znalazły się łatwo, architektura i zagospodarowanie terenu znajdowały się bowiem blisko siebie. Klient Majki domagał się głównie nader wymyślnego oświetlenia, Majka zatem, pazurami chwyciwszy elektryka Dobrusia, nie wypuszczała go z ręki. Dobruś kichał z częstotliwością ponadnormatywną.

– Nie smarkaj na rysunki! – syknęła do niego gniewnie. – Na klawiaturę też nie!

– To przez nią – oskarżył natychmiast Dobruś Bożenkę. – Przyłazła i miazmaty rozsiewa, te pyłki cholerne, a ja jestem trochę alergik.

– Pyłki to na wiosnę – pouczyła go z godnością Bożenka, która właśnie wkroczyła do architektów – a teraz się zaczyna październik. Ziemia z alergią nie idzie, poza tym umyłam się w wychodku, więc nie zwracaj głowy.

– Już skończyłaś? – zdziwiła się Majka.

– Przeciwnie, pokłóciłam się. Ten sukinsyn, to harpagon parszywy, do każdego centymetra gruntu aż się trzęsie, osiedle, rzeczywiście! Beczka na śledzie, a nie osiedle, slumsy dla anorektyków!

– Dlaczego akurat dla anorektyków? – zaciekawiał się Dobruś.

– Nic grubszego się nie zmieści. Tam nie tylko samochody nie wjadą, tam baba z wózkiem dziecinnym nie przejdzie! O chodnikach mowy nie ma!

– Kto mu wydał zezwolenie na taką zabudowę? Pewnie tajemnica stanu?

– Nie żadna tajemnica stanu, tylko jakaś Szczegół, podejrzałam na pieczęcie.

– Jaka Szczegół? Przez ó kreskowane?

– Właśnie nie, przez zwykłe. Ale nawet nie wiem, facet czy baba, bo z imienia tylko pierwsza litera. H. Szczegół. Chcę to otruć, szmal wydrzeć i oddać na bezdomne zwierzęta. Macie tu jaką kawę albo co?

Wszyscy obecni słuchali z wielkim zainteresowaniem. Bożenka wdarła się w końcowe ustalenia owych świetlnych dekoracji wnętrza, ale nawet inwestor, będący właścicielem rozczłonkowanej i wielousługowej rezydencji oderwał się od swoich trosk i zaciekawiał cudzymi. Rozejrzał się dookoła.

– Tu u państwa też, jak widzę, każdy centymetr cenny – bąknął ze współczuciem, przekonany, że czyni to delikatnie i taktownie.

Natychmiast wzbudził ogólną niechęć.

– Nie wszyscy pracujemy w tym jednym pokoju – powiadomił go kierownik zespołu z zimnym niesmakiem. – Życzył pan sobie wspólnej narady, pięć dodatkowych osób z pewnością stanowi pewien nadmiar. Ale zapewniam pana, że z chwilą, kiedy dojdziemy wreszcie do porozumienia, goście opuszczą pomieszczenie...

– I pozwolą nam pracować – uzupełnił z rzewnym westchnieniem niejaki Grześ, architekt, smętnie wpatrzony w dal za oknem.

Inwestor poczuł się nieswojo i tak z tego zgłupiał, że zupełnie zapomniał o lampie na długim wysięgniku, a ściśle biorąc, o trzech takich lampach, które miały być niewidoczne i świecić z zaskoczenia w zupełnie innych miejscach, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. W związku z czym Majka i Dobruś, oczekujący dalszego ciągu wybrzydzań, w żaden sposób nie zdołali sobie przypomnieć, jakie też dziwactwo miało im jeszcze zatruć życie, i poczuli się mile zdziwieni, że już żadne więcej.

Na gniewne pytanie Bożenki kierownik zespołu odpowiedział z lekkim opóźnieniem.

– Kawę mamy, prosimy bardzo, ale niestety, nie dysponujemy trucizną, pani wybaczy...

Co jeszcze bardziej ogłupiło inwestora, który swoją kawę zdążył wypić. Nagle doszedł do wniosku, że właściwie załatwił już wszystko, proponowane wnętrza bardzo mu się podobają i niczego więcej nie chce, a miejsce dla matek z dziećmi obok swojego ogrodu z pewnością zostawi. Znikł z ogromnym przyśpieszeniem.

– Myślałam, że będzie gorzej – wyznała Bożence zdumiona Majka. – Przyleciał napompowany do wypęku, czego to on nie chce i nagle skłęsł. Ja wychodzę, a ty?

– A co ja tu mam do roboty? Poza wypiciem do końca tej kawy, skoro nie zatruta. Trochę czasu zostawił.

– Mnie się przyda. Po drodze do domu zrobię zakupy, a mam taką małą reklamkę dla nowej knajpy, odwalę im z marszu i spadnie mi z głowy.

Bożenka przez chwilę milczała. Otworzyła usta, zamknęła, odchrząknęła dwa razy.

– Podrzucę cię – rzekła wreszcie. – Też coś kupię, a u ciebie będziemy mogły chwilę pogadać. Mam nadzieję – dodała sucho.

Pomyślała, że ten szlag ją chyba jednak dzisiaj trafi, ale zatrzymała tę myśl przy sobie. Nie będzie się teraz z tą idiotką kłócić, poczeka, w domu jej wygarnie parę słów do słuchu...

No i wygarnęła.

* * *

Siedziały w kuchni, bo w salonie dzieci odrabiały lekcje, oglądając obowiązkowy program o zwierzętach, w grę akurat wchodziły pająki, na Animal Planet. Ściśle biorąc, obowiązek dotyczył Tomka, dziecka starszego, ale Krysia, o dwa lata młodsza, też mogła, a w dodatku chciała, oglądały zatem wspólnie z dużym przejęciem i bez żadnych głupich wybryków.

Majka pilnowała kupnych pierogów z mięsem, gotujących się na kolację dla całej rodziny. Pora doby nie miała znaczenia, bo i tak później stały w salaterce na garnku z wrzącą wodą i mogły zachować temperaturę i konsystencję nawet do rana. Bożenka bardzo pochwaliła metodę i była to jedyna rzecz, jaką pochwaliła.

– Głupia jesteś beznadziejnie i ja już sama nie wiem, co z tobą zrobić – ganiła Majkę surowo i niemiłosiernie. – Gdybyś jednym kopem odebrała wszystkie pieniądze, jakie tym rozmaitym gnidom napożyczałaś, kupiłabyś sobie dwa samochody, a nie jeden. A tak co, Dominik jeździ motorem, bo lubi, a tobie co z tego, pretekst ma, żeby zakupów spożywczych nie zrobić, bo mu się jajka na bagażniku wytluką i mleko wyleje! Trele morele, sralimuszki i trawka rosła. A na raty nie chcesz!

– Na raty za nic! – potwierdziła Majka z dziką zaciętością i wydłubała jednego pieroga z garnka na mały talerzyk. Sięgnęła po widelec. – Jeszcze

do szkoły chodziłam jak jedna moja ciotka przez raty próbowała samobójstwo popełnić. Co prawda, w Ameryce... No, już prawie doszły, za pięć minut odcedzę i z głowy.

Zainteresowała Bożenkę.

– A ta ciotka co? Odratowali ją?

– Odratowali.

– I co?

– Nic. Zabrali jej wszystko, a ona wróciła do Polski goła, bosa i we łzach, i od razu się z nią ożenił dentysta z Piotrkowa Trybunalskiego, a dokładnie, nie dentysta, tylko protetyk, który niczego na żadne raty kupować nie musiał. Bardzo dobry protetyk.

Bożenka zjadła kawałek camemberta, zakąsiła słonym paluszkiem i zastanowiła się.

– No to właściwie na dobre jej wyszło. Mogłabyś też spróbować.

– Samobójstwo?

– Nie. Raty.

– Po pierwsze, nie mam pod ręką protetyka, po drugie ten jej protetyk wpadł w alkoholizm i chyba już umarł, a po trzecie przypominam ci, że mam męża. Zalecasz mi bigamię?

– A, właśnie, męża! – ożywiła się Bożenka. – Zbiłaś mnie tą ciotką z pantaląku. Harujesz jak wół roboczy, a Dominik co? Ty nie myśl, że ja nie wiem, ile oni potrafią, a głównie Dominik, znów odmówił zlecenia na uchylne wrota z jakimiś tam szykanami, bo za dobrze chcieli zapłacić. Słuchaj, kto tu zwariował, on, czy ty? Przecież ja ślepa nie jestem, po nocach siedzisz przy robocie, a on za motylka robi, dlaczego się na to godzisz? Zgłupiałaś do reszty?

– On pracuje dla idei – westchnęła Majka z czułością, skazoną lekkim rozgoryczeniem, i oddała się na chwilę pierogom. Przerzuciła je z garnka na

durszlak, z durszlaka na wielką miche i ustawiła miche na garnku, do którego dołała wody. Całość umieściła na malutkim gazie, przykryła i odsapnęła.

– No i proszę, koniec moich kuchennych obowiązków. Okrasa w lodówce, podgrzać sobie potrafią, sałatki do wyboru...

– Kto je robił? – przerwała surowo Bożenka.

Majka spojrzała na nią z politowaniem.

– Ty naprawdę uważasz mnie za debilkę tysiąclecia? Przecież nie ja! Ze względu na dzieci pokroiłam tylko pomidory i ogórki, ale na tym koniec, reszta kupna, z borówkami włącznie i też mi wątpia płaczą, bo uwielbiam zbierać i smażyć borówki. A muszę kupować. Cholera.

Zdenerwowana Bożenka zjadła dwa kawałki serka i dwa słone paluszki, dołała sobie kawy z dzbanka. Sobaczenie Majki wychodziło jej niedostatecznie ostro, naprawdę chciała ją wreszcie zbuntować przeciwko Dominikowi, który najwyraźniej w świecie nie miał pojęcia o kosztach egzystencji w średnio cywilizowanym kraju. Głupie żarty sobie robił, a Majka mu na to pozwalała nie wiadomo dlaczego, w miejscu klepek w głowie miała chyba trociny!

– Powiedz mi chociaż, dlaczego? – jęknęła rozpaczliwie. – Dlaczego te galery sama sobie zwaliłaś na kark?!

– Ja lubię pracować – wyznała Majka bez oporu.

– Ale lubisz także zagrać w brydża, na morską plażę wyskoczyć, na wyścigi, potańczyć, koncertu posłuchać, po lesie łązić, książki czytać, coś obejrzeć, gdzieś pojechać, z ludźmi się spotkać...

– Za to nie cierpię sprzątać, odkurzać, gotować, zmywać, prac i w ogóle zajmować się gospodarstwem domowym. Tyle robię, ile muszę, a resztę oni sami potrafią. I skoro siedzę przy robocie, żadne nie ośmieli się zaprotestować, więc tak naprawdę mam to co lubię. No dobrze, może

trochę za dużo, ale własne błędy trzeba nadrobić, nie? Nie musisz mi wytykać, odchromol się, pożyczyc już przestałam, tu masz rację, przesadzałam trochę i przyznam ci się, że mi to nosem wyszło.

– Co ty powiesz – mruknęła gniewnie Bożenka. – Rychło w czas.

– Lepiej późno niż wcale.

– Pewnie że lepiej, ale i tak nie twoja zasługa. Te hieny dookolne same się o to postarały, rolowały cię już tak bezczelnie, że ślepym wołem by szarpnęło. Mówiłam ci sto razy i nie ja jedna...!

– Toteż właśnie i zejdz już ze mnie – przerwała jej Majka brutalnie. – Zamknij się!

Zła była na siebie, bo już dawno wiedziała, że postępuje kretyńsko. Wiedziała i nie umiała przestać. Uciążliwości jej się z tego lęły, kłopoty i trudności, Dominikowi nawet się nie przyznawała, tylko usiłowała przeciwdziałać pracą. Przyszło jej wreszcie do głowy, że tym głupkowskim dobrym sercem krzywdzi własną rodzinę i wtedy się przełamała. Właśnie zaczęła odmawiać. Rychło w czas, Bożenka miała rację.

– Ty się w ogóle odpalantuj od tych dwóch samochodów, najwyżej jeden i to mocno przechodzony. Trabant ze złomowiska. A poza tym, co cię napadło, przygotowujesz grunt pod Anusię? Miało być o Anusi! Ona chce ode mnie pożyczyć pieniędzy?

Bożenka omal nie udławiła się serkiem.

– Pogięło cię? Ona normalna! – zreflektowała się nagle. – No, normalna jak normalna, ale do szmalu nie hiena, a w każdym razie umiarkowana. O Kręcidupci ze mną plotkowała aż świstało nad głową...

Dzieci weszły w paradę, z siłą dzikiej przyrody wdarły się do kuchni, grzecznie pytając, czy po odrobieniu lekcji do końca, bo pająki już się im skończyły, będą mogły iść z wizytą, Krysia do Ani, a Tomek do Miecicia. Na kolację wróca. Majka udzieliła zezwolenia bez chwili wahania, zarówno

bowiem Ania jak i Miecio mieszkali w tym samym domu i nie stanowili niepożądanego towarzystwa. Bożenka patrzyła w podziwie.

– Jak ci się udało tak ich wychować...?

– Nie chwal dnia przed zachodem. Ale dzieci nie ślepe i mają zwierzęcy instynkt, jak rodzice uczciwie pracują i nie wciskają głupiego kitu, zawsze wywęszą i uszanują. Do Ani przyjdzie także Dorotka, bo u niej mamusia kocha imprezki i nie ma dnia bez małego przyjęcia.

– A tatuś?

– Tatuś wróci wieczorem albo ciężko schetany, albo na średnim cyku i rozgoni towarzystwo lepiej niż trąba powietrzna. Nie żeby odludek, ale skąpy. Potem się pokłóca, a potem Dorotka już może wrócić, bo tatuś się kropnie spać, a obrażona mamusia wyjdzie szukać pociechy.

– A mamusia tej Ani...?

– W telewizji robi i o dziwnych porach wraca, ale tam jest babcia całkiem dorzeczna, tyle, że lubi być dobrze poinformowana i chętnie widzi dzieci, bo z nich podstępnie wydusza wszelką wiedzę o sąsiadach. Łapówkami operuje, ciasto piecze takie, że oko bieleje, nie ma dziecka, które by się nie dało przynęcić. Gwarantuję ci, że Tomek z Mieciem też sobie znajdą powód, żeby złożyć cudzej babci krótką wizytę. Weźmy te napoje i chodźmy na salony, tam przestronniej...

Nadzwyczajnie zaciekawiona Bożenka posłusznie zabrała resztę swojej kawy w dzbanku i talerzyk z przekąską. Przytomnie ulokowała się w normalnym fotelu, a nie w tym staroświeckim, wąskim, natrętnie pchającym myśl o odchudzaniu.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

Majka odruchowo usiadła przy desce.

– Jak to skąd, od dzieci. Moje dzieci lubią się dzielić wrażeniami, a ja nie uszami pracuję i nie gębą. Rusz wreszcie tę Anusię, bo ciągle mam jakiś

niedosyt.

– A, właśnie! Otóż słuchaj, ona nie mówi wyraźnie i wręcz się wypiera, ale głowę daje, że jej się Kręcidupcia ciężko naraziła. I masz rację, facetem. Nienawidzi jej jak morowej zarazy, ale z całej siły udaje, że skąd, nic takiego, nieporozumionko byle jakie, a tak w ogóle to Kręcidupcia ją gównem obchodzi. A żeby jej same zgrzytają i witról uszami tryska.

– Ja jej prawie nie znam, tej Anusi – zauważyła Majka, bezwiednie biorąc do ręki węgiel. – Ona miała męża, albo narzeczonego, albo co?

Bożenka odstawiła na stolik piastowane w rękach naczynia i sięgnęła po papierosy.

– Najwięcej albo co. Mąż stanowczo odpada, ale narzeczonego możliwy. Oficjalnie z Kręcidupcią są przyjaciółkami, to znaczy były, bo właśnie chyba ostatni narzeczonego wszedł w paradę. Anusia w ogóle twierdzi, że ma niefart i co sobie jakiego upatrzy, to się okazuje, że żonaty. W dodatku dobrze żonaty i nawet dzieciaty, albo z prawdziwą narzeczoną, która go krótko przy pysku trzyma, data ślubu wyznaczona. Albo, okropność zupełna, coś sobie poderwie i już się wydaje, że ma z wzajemnością, a tu jakaś suka w sam środek się wkręca. I tak mi się widzi, że niedawno właśnie Kręcidupcia się wkręciła. I chyba w nerwach.

– Dlaczego w nerwach? – zainteresowała się Majka i wymacała na stole gruby mazak. – I która?

– Zdaje się, że obie. A dlaczego, nie wiem, ale chyba żadnej się różami nie ściele, przepychają się wzajemnie bez wielkich sukcesów.

– Obiekt oporny?

Bożenka pomościła się z lubością na siedzisku, korzystając z wygody, zjadła ostatni kawałek serka i popiła resztką kawy.

– Tu mi się właśnie to wszystko razem nie podoba. Anusia tak się potykała, potykała, aż z niej w końcu wylazło. Mętnie, własne wnioski

musiałam wyciągać. Coś mi z tego wynika, że one obie, najpierw Anusia, a potem Kręcidupcia, pociągnęły do konstruktorów, ale o którego im poszło, nie dała z siebie wydusić. Na manowce zjechała.

– To jakie one były, te manowce?

– Co do siebie, namąciła więcej, ale co do Kręcidupci, uczepiła się Zdzisia, Zdziś, jak wiesz, rozwiedziony bezproblemowo...

– Wcale nie wiem – oburzyła się Majka, zaopatrzona już w trzy mazaki i dwa węgle. – Że rozwiedziony owszem, ale nic więcej. Nie ma kiedy mi się zwierzać, ja przeważnie na sucho robię, mało mam z wodą do czynienia.

– No to teraz już wiesz, że bezboleśnie, i za Kręcidupcią lata, a podobno właśnie dla niej się rozwiódł i chce się z nią ożenić. A ona kręci, mało że tyłkiem, to jeszcze w ogóle. I powiem ci, że dopiero teraz zauważyłam... przypomniałam sobie i zauważyłam... że jakiś czas temu... no, parę miesięcy, może więcej... Anusia tak mnie strasznie wyręczała, taka była uczynna, że się niedobrze robiło. Z każdym śmieciem do konstruktorów latała, z każdym wydrukiem, zdjęciem, z najgłupszą furteczką, a siedziała tam do uśmiechniętej śmierci. A teraz jakoś przestała latać, już od jakiegoś czasu.

Majka jednym okiem spoglądała na Bożenkę, drugim na rajzbret, gdzie pojawiały się rozmaite kolorowe gryzmoły.

– Tam obok mechanicy siedzą, do ich pracowni należą, pełna symbioza – przypomniała. – Jesteś pewna, że nie do nich latała? Z konstruktorami się mieszają dokładnie.

– Jakoś teraz, nawet jak trochę rozmiękła, mowy o nich nie było. A tak ogólnie, to jej zdaniem Kręcidupcia szuka sobie bogatego męża...

– U konstruktorów...?! Puknij się!

– To niech ona się puknie. Ale Anusia uważa, że szuka, a Zdzisia trzyma w zapasie. Jeśli taka głupia, jak z jej zadka wynika, wszystko jest możliwe.

Słone paluszki też się skończyły, Bożenka trochę niechętnie, ale bez trudu podniosła się z fotela. Podeszła do Majki i zdziwiła się.

– O rany! To ładne. Ty, słuchaj, tę reklamkę chyba zrobiłaś?

Majka spojrzała wreszcie nieco uważniej na rysunek przed sobą.

– Coś takiego, popatrz, samo mi wyszło! Może my częściej poplotkujmy o Kręcidupci, ona wyraźnie przysparza natchnienia. Zaraz to przerzucam na komputer, a ty podpuść tę Anusię albo kogo popadnie, bo zleceń mam od groma i trochę...

* * *

Przy nieco mniejszej ilości pracy, Majka zapewne wcześniej zainteresowałaby się tym wszystkim co ją otaczało. Ale z prosperity należało korzystać i trochę pieniędzy zarobić, bo Dominik tak okropnie tego nie lubił...

I nie dostrzegła nawet, że jakiś nerwowo się zrobił.

A może i dostrzegła, ale nie miała czasu głębiej wnikać w jego stany ducha. Tknęło ją odrobinę, kiedy przy aranżacji niewielkiej wystawy strojów historycznych natknęła się na denerwującą żonę Stefana, Zosię, błyskającą podejrzanymi iskrami z zielonych oczu.

– Na twoim miejscu wkroczyłabym w intelektualne relaksiki małżonka – zauważyła Zosia niedbale i złośliwie. – Prawie cię podziwiam.

– Bo co ja takiego robię? – zainteresowała się Majka.

– Jak to? Nie zauważyłaś, że Dominik coraz później do domu wraca?

– Później? Co ty powiesz? Nie zwróciłam uwagi.

Zosia uparła się przy swoim, bo uwielbiała intrygi.

– Na twoim miejscu bym zwróciła. I to porządnie...

Z kimś innym Majka rozmawiałaby inaczej, ale też się uparła. Nie zrobi Zosi tej przyjemności, żeby okazać niepokój, machnęła ręką i tyle.

Co nie zmieniało faktu, że troszeczkę niepokoju poczuła.

W dwie godziny później, kiedy już opuszczała przystrojoną wystawkę, złapała ją na komórkę Bożenka. Majka była blisko, zdecydowała się wpaść do pracowni zieleniarzy, co, ku jej zdziwieniu, zostało przez Bożenkę przyjęte z lekkim wahaniem.

– A, co tam – rzekła po chwili z determinacją. – To przyjeżdżaj, niech będzie.

Zaciekawiona nieco, co też będzie, wciąż jeszcze niedostępna głupim podejrzeniom, Majka wkroczyła do Bożenki i na samym wstępie zachwyciła się makietą niezwykle pięknego ogrodu, zaopatrzonego w wyjątkową obfitość rozmaitych siedzisk i altanek, oraz małe jezioro z wyspą.

– Prześliczne! Co to jest?

– Burdel – wyjaśniła zgryźliwie Bożenka. – I ma dwa zwodzone mostki.

– Taki... na świeżym powietrzu?

– Nie całkiem, chociaż prawie. Budowla stoi tu, gdzie pusto, ale sama budowla mnie nie obchodzi. Ciebie będzie obchodziła, bo już cię zarekomendowałam do wnętrza. Mogę ją dostawić jak chcesz.

Majka chciała. Bożenka obiema rękami sięgnęła pod stół, ze stęknieniem wyciągnęła dość niedbale wykonaną makietę budynku i ustawiła ją na pustym miejscu. Całość nabrała wyraźnie użytkowego charakteru.

– Restaurację widzę – zauważyła Majka. – Dlaczego burdel?

– Knajpa, sala balowa tak trochę w miniaturze, małe kasyno i liczne pokoje hotelowe. Lokalizacja ni przypiął ni wypiął, niezły kawałek od miasta, to uważasz, że niby co to ma być? Po igraszkach spożywczych tak zaraz każdy będzie leciał do domu? Garderoby dla dam przewidziane. I wyspa, jak widzisz, z altaną, niedostępna przez zwodzone mostki.

– I ty mnie w te wnętrza...?

– Przyda ci się. A w każdym razie mam jakieś takie przeczucie.

Majka popatrzyła jeszcze na makietę, rzuciła torbę na krzesło i rozejrzała się dookoła.

– Anusia, jak rozumiem, poleciała z mostkami do konstruktorów?

– No proszę, jak mi od razu ładnie wchodzisz w temat – pochwaliła jadownicę Bożenka i przystąpiła do parzenia kawy we własnym ekspresiku.

– Poleciała poślizgiem sama z siebie, ale nie dam głowy czy do konstruktorów, bo do nich zazwyczaj pindrzy się więcej niż do telewizji na przykład. A dzisiaj mało piękna, więc możliwe, że w jakim wychodku siedzi, żeby jej nikt nie widział.

– Bo co jej się stało?

– Wedle mojego rozeznania całą noc przepłakała. Dopuszczam urozmaicenia, gryzła coś i rzucała czym popadnie. Sama mieszka, mogła sobie pozwalać. A jak dziś rano przyszła, taka słodycz z niej kapiała, że przepaliła podłogę.

Zaintrygowana Majka słuchała podejrzliwie.

– I skąd to tak? Powiedziała?

– Wycharkąła, wypluła, powystrzelała salwami, wywarczała, wyłkała i co tam jeszcze chcesz. Dławiła się i smarkała. A ulubiona postać w tym wszystkim to była Kręcidupcia. Wróg śmiertelny numer jeden do stu tysięcy.

– A cóż ona jej zrobiła, na litość boską?

– Podpieprzyła definitywnie najświeższego wielbiciela. Co niby mogła zrobić gorszego?

Majka, która już wygrzebała z torby papierosy, zatrzymała się w połowie zapalania.

– Parę drobnostek by się znalazło. I kto to jest, ten najświeższy wielbiciel? Ktoś z konstrukcji? Który z nich?

– Nie powiedziała. Popatrz, strzęp człowieka, rozmazana plazma, a język za zębami potrafiła utrzymać. Wychodziło mi po kolei, że Paweł, że Adam, że bez wzajemności zakochała się w Stefanie, w Dominiku, bo w Jurku to chyba nie...

– Jeżeli bez wzajemności, Kręcidupcia nie miała jej co odbierać.

Bożenka wydoiła z ekspresiku dwie filiżanki bardzo dobrej kawy. Omal jednej nie wylała, wzruszając ramionami.

– Ty się po niej w takich okolicznościach logiki spodziewasz? Może przedtem zwracał na nią uwagę, a teraz przestał. I zwraca na Kręcidupcię.

– W życiu nie uwierzę! Oni się wszyscy natrzęsają z tego rozlatanego zadka!

– Tu się natrzęsają, a tam im oko ciągnie – zauważyła Bożenka filozoficznie. – Czy to chłop się kiedy przyzna? Każdy woli się wygłupić ukradkiem.

– Spotkałam Zosię – przerwała Majka z niesmakiem. – Teraz widzę, że chyba jakieś głupie aluzje robiła.

– Jaką Zosię?

– Stefana. Dopiero co.

Bożenka zainteresowała się gwałtownie.

– I co?

– Judziła. Coś o rozrywkach Dominika w godzinach nadliczbowych. Mam uwierzyć, że leciał na Anusię, a teraz przestał? Skoro przestał, to co mnie to obchodzi?

– Nie on leciał, tylko Anusia leciała – skorygowała Bożenka i pokręciła głową. – Coś mi się tu wydaje bardziej skomplikowane, Anusia rozpacza, a nie Dominik... Bo chyba nie rozpacza?

Popatrzyła na Majkę podejrzliwie. Majka się zastanowiła. Zapaliła wreszcie tego papierosa, cały czas trzymanego w palcach.

– Jeśli rozpacza, to chyba tylko w ukryciu, nie wiem gdzie, może w piwnicy, szlocha głośno i zużywa wszystkie chustki do nosa... Nie, do piwnicy nie chodzi, a chustki raczej zużywają dzieci. Ale możliwe, że jest zdenerwowany... Nie, też nie, raczej tak wygląda jakby brakowało mu cierpliwości. O, właśnie, bardziej jest niecierpliwy niż zdenerwowany.

– Może brakuje mu cierpliwości ze zdenerwowania? – podsunęła Bożenka trochę niepewnie.

– Może. Ale związku z Anusią ciągle nie widzę. I wcale nie chcę oglądać. A propos, czy to przez tę jej zdemolowaną gębę tak nie bardzo chciałaś, żebym tu przyszła? Bo nie chciałaś, z telefonu wybiegło.

Bożenka kiwnęła głową, zdjęła z ogrodu makietę budynku i stęknąwszy, schowała ją pod stołem. Wyprostowała się na krześle i stęknęła ponownie.

– Muszę chyba schudnąć albo co, bo mnie sadło ugniata jak się schylam. No owszem, dobrze zgadłaś, chciałam być taka taktowna i grzeczna dla kretyнки, ale problem upadł, bo jak tylko usłyszała, że przyjdiesz, od razu ją wywiało. Przez cały dzień zresztą tak siedziała, tyłem do świata i udawała, że jej wcale nie ma, więc zamierzałam uszanować. Ciebie nie.

– Proszę? – zdziwiła się Majka.

– Mówię, że ciebie nie.

– Co mnie nie?

– Uszanować. Nie zamierzam, bo mi się nie podobasz.

– Uroda rzecz gustu...

– Głupia jesteś. No dobrze, przyznam się, niczego wyraźnego ta zaryczana oślica nie powiedziała, to ja sobie dośpiewałam z prześwitów między wierszami, ale ciągle mi śmierdzi Dominikiem. A ty nic.

– A uważasz, że ja mam co? – zirytowała się Majka, bo to był akurat temat, który udeptywała w sobie wszelkimi siłami. – Dominik nie śmierdzi. Często się myje i całkiem dokładnie.

Przemknęło jej przez myśl, że może nawet zbyt dokładnie, bo coraz krótsze pobyty w domu spędza głównie w łazience, ale tej myśli szybko skręciła kark. Nie miała na nią czasu.

– Głupia jesteś – powtórzyła energicznie Bożenka. – Już ci dawno mówiłam, że Kręcidupcia do żelastwa ciągnie. A na Dominika wszystkie baby lecą, sama mówiłaś, że na twoim ślubie sześć sztuk płakało...

– Jedna była mamusia!

– Nie szkodzi. Cud zwyczajny, że on im opór stawia, a stawia, sama kiedyś widziałam przez czysty przypadek, jak się do niego mizdrzyła ta caryca. Katarzyna, pamiętasz ją chyba...?

Carycę Katarzynę trudno było zapomnieć, nie z racji sławy historycznej pierwowzoru, a przez wybryki nieudolnej naśladowczyni, oficjalnie występującej w charakterze dyrektora finansowego, a może kontrolera, nasłanego przez podejrzliwego inwestora. Ognista, urodziwa i pełna temperamentu, tak bardzo upierała się przy osiągnięciu korzyści ściśle osobistych i świadczeń dodatkowych, że nie dało się jej nie zrozumieć i nie ochrzcić stosownym mianem.

– Raz ją widziałam – wyznała Majka. – Ale Dominik się otrząsał.

– Jeszcze jak! A ona nie popuszczała, wrzepiła w niego pazury, aż mnie zaciekawiło co z tego wyniknie, a tu nic. Jawnie i nachalnie do łóżka go ciągnęła i popatrz, bez skutku...

– Obrzydliwy kurwiszon – zdefiniowała Majka spokojnie, acz ze wstrętem.

– No, obrzydliwy jak obrzydliwy, sama bym chciała być taka obrzydliwa, chłopcy do niej rzały jak stado ogierów. Chociaż trochę się jej bali. A Dominik jak pień, taki grzeczny i elegancki, że ręce opadały, nie dała mu rady. Wtedy uwierzyłam, że on faktycznie antydziewkarz, ale uraz, nic ci nie poradzę, coś mi śmierdzi i cześć.

Tak potężne przecucie dźwięczało w głosie Bożenki, że w Majce mur oporowy lekko zatrzęszczał. Szybko przebiegła myślą swoje zlecenia i postanowiła jednak zająć się trochę mężem, natychmiast po skończeniu dwóch najpilniejszych wnętrz. Po nich nieco zwolni, małą przerwę zrobi.

Bożenka wystrzeliła jeszcze jeden, ostatni nabój.

– A co do tej intrygantki, Zosi, ja bym jej nie lekceważyła tak całkiem do zera – rzekła ostrzegawczo. – Zwracam ci uwagę, że ona ze Stefanem cichych dni nie uprawia, raczej wręcz przeciwnie, a on razem z Dominikiem dzień w dzień przy jednym ustrojstwie siedzi. Tobie nie powie, przez usta mu nie przejdzie, ale jej...? A przypomnij sobie, że ona też na Dominika leciała. Ty to włącz gdzieś tam w siebie!

Majka włączyła gdzieś tam w siebie.

* * *

Pierwszym skutkiem włączenia była okropna awantura, jaka wybuchła u sąsiadów. Zdecydowana skończyć te dwa najpilniejsze wnętrza jak najszybciej i zyskać trochę oddechu dla własnych spraw małżeńskich, Majka w niedzielę siedziała przy pracy. Dominika z dziećmi wypchnęła na spacer, nie wnikając, jakie też rozrywki na tym spacerze znajdują, sama zaś wetknęła do piecyka dwa małe kurczaki na obiad i przystąpiła do wygładzania końcówki projektu, nadając jej zrozumiałą dla klienta formę.

Świadomość, że ludzie nie potrafią czytać rysunków, napełniała ją gniewem i rozgoryczeniem, bo spadało na nią przez to więcej roboty. Pokazać im tak, żeby pojęli co widzą, wyobraźnia, potrzebna odrobina wyobraźni, to nie, za grosz jej nie mieli, co za tępadła jakieś, czy ktoś ich tej wyobraźni w niemowlęctwie specjalnie pozbawił...? Zła była.

I na to przyszła okropnie zdenerwowana sąsiadka z dość niewinnym pytaniem, czy Majka nie ma w domu odrobiny cynamonu. No, takiej trochę

większej odrobiny...?

Majka cynamonu prawie nie używała, ściśle biorąc, wcale nie używała, bo Dominik od cynamonu dostawał wzdęcia i nie cierpiał przyprawy, a skoro gotowała rzadko, starała się przynajmniej nie dostarczać rodzinie produktów wstrętnych i szkodliwych, cynamon jednak chyba gdzieś jej się pałętał wśród przypraw. Dzieciom nie szkodził. Odrobina cynamonu, rzeczywiście, a jakby tak odrobina wyobraźni? Taka trochę większa odrobina...?

– Chyba gdzieś mam – powiedziała niepewnie i weszła do kuchni. Sąsiadka weszła za nią.

– Zapomniałam kupić, a tak naprawdę wcale o nim nie myślałam, bo nie miałam zamiaru... To on kupił wątróbki drobiowe, wczoraj wieczorem, dziś rano sobie o nich przypomniał, w bagażniku wozził, idiota, dobrze chociaż, że się zimno zrobiło, a teraz chce wątróbki po żydowsku, uparł się, a bez cynamonu niemożliwe, mogło mu chyba przyjść do tego głupiego łba, żeby od razu i cynamon kupić...

Majka doskonale odróżniała cynamon od męża sąsiadki i nie miała wątpliwości, w którym momencie o którym z nich mowa. Przegrzebała szufladę i znalazła reszteczkę, tyle co pół łyżeczki. Więcej nie było.

Sąsiadka omal nie zalała się łzami.

– O mój Boże, to za mało, smaku nie da, sklep już zamknięty, ludzie w domu nie mają, żeby tak trochę więcej...!

– No! – przyświadczyła Majka ponuro. – Też bym chciała, żeby mieli trochę więcej.

– Cynamonu...?

– Nie, niekoniecznie. Wolałabym wyobraźni.

Akurat na to niczym szaleniec wpadł mąż sąsiadki, który albo podsłuchiwał za drzwiami, albo chciał tylko oderwać się podstępnie od

domowej atmosfery, nader hałaśliwej.

– A trzeba, trzeba mieć trochę wyobraźni! – wrzeszczał, przekrzykując własną progeniturę, doskonale słyszalną zza dwojga półotwartych drzwi. – Ale kretyнки nie mają! Witam panią!

– Nie tylko kretyнки... – spróbowała załagodzić Majka, bez skutku jednak, stadło sąsiadów bowiem zajęło się sobą. Pretensje zgłaszali równocześnie i od razu można się było dowiedzieć, że mała się drze bez powodu, a gówniarz hurgocze cholernymi kulkami, oślica nic nie robi i nawet o aprowizację nie potrafi zadbać, skończony bałwan wozi mięso samochodem, za mecz przy piwie nie płacą, ten palant niech się tu jeszcze raz pokaże, to zobaczy, haruje człowiek jak wół i jeszcze zakupy robi, tuman własnego dziecka wysikać nie potrafi, flądra się pindrzy cały dzień, trochę wyobraźni to już nie łaska, i czego jeszcze, może jasnowidzenia, a Zagórscy złośliwie weekendy sobie urządzają...!

Z dalszym ciągiem sąsiedzi przenieśli się do siebie, bo z ich lokalu jęły dobiegać brzękliwe huki, sąsiadka przytomnie chwyciła torebkę ze smętą resztką cynamonu, Majka zaś zrozumiała, że lokatorzy z trzeciego mieszkania na tym piętrze ośmielili się wyjechać i przepadła nadzieja na cynamon od nich. Najbliższy sklep w niedzielę zamykany był o czternastej, a sąsiad garażował samochód o pół kilometra od domu.

Wróciła do pracy, na wszelki wypadek zajrzawszy przedtem do kurczaków, bo skoro w pobliżu pojawił się niefart, nie wiadomo kogo dotknie. Nie, na razie tu nie dotarł, były w porządku.

Dominik wrócił z dziećmi na późny obiad, wszyscy byli bardzo zadowoleni i głodni, Majka o pożywieniu oczywiście zapomniała, ale dzięki temu drób upiekł się wprost znakomicie, z przyrumienioną, chrupiącą skórką, a fasolka szparagowa na małym ogniu podgrzała się sama. Niefart wciąż ją omijał. Dominik wydawał się normalny, skoro

jednak postanowiła wniknąć... zaraz, w co? Nie mogła sobie na poczekaniu przypomnieć. W niego...? W siebie...? Przecież nie w tę carycę Katarzynę! A, prawda, wcale nie miała wnikać teraz, tylko dopiero po odwaleniu roboty.

Już się sprężyła, żeby wstać z krzesła, zabrać szklankę z herbatą i wrócić na miejsce pracy, ale Dominik najwyraźniej zdążył to wywęszyć.

– Jeśli stąd pójdziesz, to ja nie zmywam – zagroził. Majka zatem zrezygnowała chwilowo z pracy i razem ze szklanką przeniosła się do kuchni. Pomyślała, że to potworna strata czasu, ale nie powiedziała tego. Potem pomyślała, że jeszcze nie tak dawno powiedziałaaby i postawiła sprawę ostro, bo strata czasu, to dla niej strata snu, a i tak jest niedospana przeraźliwie. Następnie zastanowiła się nad przyczyną powściągliwości i wyszło jej, że chyba uwierzyła plotkom i głupiemu gadaniu. Z Dominikiem jest coś nie w porządku, nie należy mu dokopywać, tylko wniknąć w temat delikatnie i dyplomatycznie. Przypomniały jej się dyplomatyczne talenty Bożenki i zachichotała.

Jej całe myślenie trwało tak krótko, że Dominik zaledwie zdążył odkręcić kran i puścić wodę.

– A co? – zaciekawiał się. – Z czymś ci się skojarzyło?

– Ze wszystkim – odparła Majka, wcale nie mijając się z prawdą. Jej procesy myślowe przebiegały błyskawicznie, o dyplomacji napomykać nie należało, bo zaplanowany na przyszłość temat wlaźby do tej kuchni natychmiast, ale skojarzenie jako takie dotyczyło sąsiadów i wyobraźni, również jako takiej. – Zdaje się, że bezwiednie spowodowałam niesnaski małżeńskie u Nowaków. Zła byłam i wyobraźnia mi się z ust wyrwała.

Dominik zażądał szczegółów, lubił wszelkie opowieści Majki. Zmywanie przebiegło mu konkursowo, nic nie przywarło, nie przypaliło się, nie zaskorupiało, podobało mu się łatwe i proste zajęcie, które daje

natychmiastowy, widoczny skutek, on sam zaś może się czuć użyteczny i doskonale porządny. Żona gotuje, mąż zmywa...

– A tak między nami mówiąc, wolałabym mieć zmywarkę – westchnęła Majka, opuszczając kuchnię. – Ma mniejsze wymagania, nie żąda mojego towarzystwa. Gdybyście nie darli tak potwornie portek i butów i nie wyrastali w takim tempie z wszelkiej odzieży...

– Co do wyrastania, nie wszyscy – zauważył beztrósco Dominik. – Ponadto, zmywarka nie ma do ciebie stosunku uczuciowego...

W tym momencie zadzwonił telefon. Majka lokowała się już za swoim komputerem, Dominik był bliżej, odebrał.

– Tak, słucham?

Ustawiając sobie pod ręką nową herbatę, Majka zahaczyła go wzrokiem. Bez żadnego wyraźnego powodu, po prostu lubiła spoglądać na swojego męża. Ze zdumieniem ujrzała, że Dominik słucha przez chwilę i czerwienieje na twarzy, znała go przecież, wiedziała doskonale, że jeden rodzaj potężnych emocji tak się u niego objawia. Wściekłość. Gniew. Furia. Co, na litość boską, mógł usłyszeć, żeby tak błyskawicznie zareagować?

– Nie – powiedział Dominik bardzo złym i twardym głosem. – To ma być gotowe o dwunastej.

I rzucił słuchawkę. Delikatnie rzucił, nie czyniąc urzędzeniu najmniejszej krzywdy. Popatrzył na siadającą przy komputerze Majkę, czerwień mu z twarzy zaczęła szybko schodzić, odetchnął głęboko.

– Jakby to było dobrze – powiedział z żalem – gdyby wszyscy mieli taki stosunek do pracy jak moja żona. I gdyby jedyną osobą z odmiennym stosunkiem do pracy, takim jak wszyscy, była moja żona.

– A ty? – wyrwało się Majce.

– Co ja?

– Gdyby mój mąż miał stosunek do pracy taki jak wszyscy...

Dominik zdziwił się najszczerzej w świecie.

– Pieprzyć? Nawalać? Mieć w zadzie? Lekceważyć...?

– O Boże... Nie. Dostawać za nią pieniądze.

Ku jej z kolei zdziwieniu Dominik nie obruszył się, nie oburzył, ani nie rozzłościł. Znów westchnął ciężko, ale jakoś inaczej. Pogodniej.

– No właśnie. Może ja jednak rozważę tę propozycję...

– Jaką propozycję?

– Za wcześniej o tym mówić. Nie bardzo mi się chce, ale zastanowię się nad taką dodatkową robotą. No, za pieniądze. Nie lubię tego, tak się czuję, jakbym się sprzedawał, wiesz przecież.

Majka opanowała erupcję wulkanu, który w mgnieniu oka zbulgotał w jej wnętrzu. O tak, wiedziała doskonale, aż zbyt dobrze.

– To ciesz się, moje ty szczęście, że masz żonę, która uwielbia swoją pracę – rzekła najśłodszy głosem, na jaki umiała się zdobyć. – I sprzedaje się bardzo chętnie, nawet zgadza się na ordynarne zarabianie szmalu. Co cię tak zezłościło w tym telefonie? Służbowe było, nie?

Dominik od razu zmroczniał.

– Służbowe. Głupie wykręty, a ja muszę mieć wszystkie wydruki na naradę u głównego projektanta. Nie lubię takich rzeczy.

– Masz kłopoty?

– Mam. Nie będę teraz o tym rozmawiał!

Nie, to nie, Majka też nie chciała. Dobrze zgadła, Dominika gryzły służbowe problemy, jeśli zaś w dodatku dostał propozycję nadprogramowej, intratnej roboty, spadła na niego istna udreka. Głupio mu odmówić, bo niewątpliwie praca jest zespołowa, załatwiłby negatywnie Jurka i Stefana. A przyjąć...? Okropność. Przymus, żadnej swobody, czas zajęty do ostatniego zipnięcia...

No i proszę, dobrze zgadła.

I nawet wcale jej nie zaniepokoiła wyjątkowa małowówność Dominika aż do końca dnia, a jego bardzo długi pobyt w łazience zauważyła tylko dlatego, że sama chciała się tam udać. Opuścił pomieszczenie bez protestu, za to z gwałtownym żądaniem, żeby jego żona przestała się wygłupiać i poszła spać jak człowiek. Upierał się tak, że Majka uległa, porzuciła wysiłki zawodowe niezwykle wcześnie, tuż przed północą, i nawet dość chętnie poddała się huraganowi uczuć małżeńskich. Więcej w nich było ognia niż czułości, ale nie miała akurat w tej chwili zbyt wielkich wymagań. Tajemniczy stres Dominika musiał znaleźć ujście i prozę bardzo, od tego jest żona.

Coś jednak powiewało w atmosferze. Dominik wracał późno, rozdrażniony i zniecierpliwiony, ogólnie zły. Także zmęczony. Rychło odczuły to dzieci, którym zabrakło tatusia przy wieczornych obrządkach, bo Dominik pojawiał się, kiedy już spały i nieuniknione pytania oczywiście padły.

Z udzieleniem wyjaśnień Majka nie miała kłopotu.

– Powiem wam, tylko, broń Boże, nie rozmawiajcie z nim na ten temat.

– Dlaczego? – spytała natychmiast Krysia.

– Bo go to jeszcze bardziej zdenerwuje. Oni wszyscy trzej, pan Stefan, pan Jurek i wasz tatunio dostali zlecenie na wielką i ważną robotę i muszą ją wykonać w terminie.

– Za kasę? – wyrwało się Tomkowi. – Znaczą, za pieniądze?

– Łaska boska, tak. Za pieniądze. Wasz ojciec tego okropnie nie lubi, kocha swoją pracę, ale chce ją wykonywać tak, jak mu akurat pasuje, sam o niej decydować...

– Jak ma natchnienie? – przerwała Krysia z pełnym zrozumieniem.

– No właśnie, według własnego natchnienia. A tu nic z tych rzeczy, bo po pierwsze jest ich trzech i natchnienie mogą mieć rozmaicie, a po

drugie mają ściśle terminy, bo natychmiast po nich łapią to następni specjaliści. I musieliby czekać, więc nie ma gadania. To jest przymus, ojciec nienawidzi przymusu i dlatego jest zdenerwowany, a roboty mają strasznie dużo i dlatego późno wraca. Musimy to cierpliwie przeczekać, tak jak deszcz albo korek na szosie.

Specjalistów Majka wymyśliła na poczekaniu na wszelki wypadek, żeby dobitniej zabrzmiało. Wszystkie określenia dzieciom były doskonale znane, szacunek dla pracy wchłaniały w siebie razem z powietrzem od urodzenia, wyjaśnienie dało zatem pożądany rezultat.

Okazało się, że podwójny.

Prawie od początku wysłuchał go Dominik. Wszedł cicho, przekonany, że dzieci już śpią albo właśnie zasypiają, nie miał zamiaru ich rozbudzać i zdejmując buty w przedpokoju, usłyszał z oddalenia głosy. Na chwilę zastygł w bezruchu, starając się nie oddychać zbyt głośno, i słuchał.

Informacja, że nienawidzi przymusu, nie stanowiła dla niego żadnej nowości, przez całe życie o tym wiedział, streszczenie aktualnej sytuacji w wydaniu Majki bardzo mu się spodobało, zdjęło mu z głowy osobiste wyjaśnienia. Dzieci naprawdę bardzo kochał. Właściwie byłby zupełnie zadowolony, dodatkowe szczegóły nie były wszak potrzebne, tylko te dwa słowa... Nienawidzi przymusu.

No i co z tego, że wiedział? Swojej wiedzy za żadną cenę nie przyjmował do wiadomości. Nienawidził przymusu. Fakt, że akurat tkwił w przymusie niejako potrójnym, doprowadzał go do szału, łagodzonego wyłącznie kolejnymi sukcesikami zawodowymi. Nie chciał go. Nienawidził go. Nie życzył sobie o nim myśleć. Nienawidził przymusu i była to wyłącznie jego osobista, prywatna sprawa, którą należało udeptać i ukryć nawet przed samym sobą. Tymczasem wstrętne słowa, nachalne i obrzydliwe, w jakiś tajemniczy sposób zaczepiały się gdzieś w jego

wnętrzu niczym haczyki na ryby, i gdyby go odwrócić na lewą stronę, zaraz, jak to się... a, przenicować... cały byłby chyba pokryty lśnięcymi, stalowymi drucikami z morderczym końcem.

Obrzydliwy widok!

Ale ważne, że dzieci doznały ukojenia i nie będą się czuły nieszczęśliwe.

Kiedy Majka zamknęła drzwi dziecinnego pokoju i przeszła do kuchni, zastała tam Dominika w eleganckich domowych kapciach i z teczką w ręku.

– Jesteś cudowną żoną – powiedział Dominik i teczka potwierdziła jego słowa, silnie rąbnawszy cudowną żonę w pośladki, kiedy część górna została chwycona w objęcia. – Wiedziałem, że na ciebie zawsze można liczyć!

Cudowna żona jęknęła.

– Na litość boską, co ty masz w tej teczce?! Kałasznikowa? Granaty?

– Nie, trochę fikuśnych przegubów. Posprawdzam praktycznie – odparł Dominik i upuścił teczkę, która grzmotnęła w podłogę, dowodząc niezbicie, iż żadnych wybuchowych materiałów nie zawiera. – Głodny jestem. Mamy coś do zjedzenia?

– Pierogi. Gotowe, są gorące. I chyba nawet ja też coś zjem.

Dominik uwielbiał pierogi. W zasadzie jadł wszystko, grymasząc bardzo umiarkowanie, ale pierogi bezwzględnie utrzymywały się na pierwszym miejscu. Obojętne jakie. Z mięsem, z kapustą, z serem, z grzybami, z jagodami, z czym popadło. Majka nie zgłupiała do tego stopnia, żeby produkować je własnoręcznie, miała upatrzone, znajome stoisko na bazarze, gdzie właścicielka dysponowała specjałem znakomitej jakości. Kupowane na zapas i zamrażane, prawie w każdej chwili były do dyspozycji.

Ucieszony Dominik na chwilę prawie znormalniał, Majce zaś błogość spłynęła na serce. Co ta Bożenka wygaduje, zawracanie głowy, do diabła z nieprzyjemnymi wrażeniami, wszystko jest w porządku. Ma Dominika,

podstawę egzystencji, stanowią jedność niewzruszoną, a głupie plotki niech szlag trafi.

Jednakże wypchnięte przez okno nieprzyjemne wrażenia wróciły, niewątpliwie przy pomocy Dominika, który też wrócił do stanu milczącego rozdrażnienia, przerywanego rozdrażnieniem rykliwym. To kamienne milczenie, to dziki ryk, nic pośredniego, taki stan rzeczy zaniepokoił Majkę poważnie.

Szczególnie niedziela...

W niedzielę lał deszcz, co na jesieni nie było zjawiskiem niezwykłym dla nikogo, z wyjątkiem Dominika. Dominik upierał się, że w niedzielę powinna być przyjemna pogoda, żeby mógł pójść z dziećmi na spacer, co ostatnimi czasy kultywował nagminnie. Kilka godzin na świeżym powietrzu. Nic z tego, mogli spędzić kilka godzin pod zimnym prysznicem, ale takiej rozrywki można zażyć i w domu, a dzieci do niej wcale się nie pchały. Dominik usiadł w sypialni przy swoim laptopie w stanie skamieniałej furii, a Majka podstępnie wypchnęła potomstwo do przyjaciół w najbliższym sąsiedztwie, pozwoliwszy im oglądać w telewizji wszystkie przerażające paskudztwa, jakie specjalnie dla dzieci są wymyślane.

Zaznaczyła tylko z naciskiem, że to wyjątkowo, a przesadnie obrzydliwe zaleciła omijać.

Skończyła swoje najpilniejsze dekoracje, zmobilizowała się i postanowiła zyskać jakiś cień pewności. Na wszelki wypadek. Bo może jednak się myli, a Dominika gryzie jakaś dodatkowa zhora, o której ona sama nie ma pojęcia. Z komórką skryła się w pokoju dzieci, zamknąwszy za sobą drzwi.

Zacząła od Stefana, bo zawsze był chętniejszy do zwierzeń, ale nie zastała go w domu, a komórkę miał wyłączoną. Zadzwoiła zatem do Jurka.

– Jurek, bądź człowiekiem. Co się tam u was dzieje? Wiem, że macie grubszą robotę, wiem, że Dominik radością nie tryska, ale już mi tu takie sztuki pokazuje, że przestaję rozumieć cokolwiek. O co chodzi i dlaczego on tak pęcznieje wulkanem?

Niezadowolenie Jurka przebiegło przez satelitę i uderzyło Majkę w wyczulone ucho.

– I ty z czymś takim akurat do mnie...

– A do kogo? Stefan chwilowo niedostępny.

– Wyłączył. Jestem pewien. No dobrze, podstawową wiedzę posiadasz.

– Nie denerwuj mnie, ja cię proszę. Okazuje się, podstawowa to za mało, a i tak posiadam więcej. Warn chyba za to zleconko nieźle sypną ekwiwalentem wymiennym?

Jurek się odrobinę ożywił i niezadowolenie w nim zdechło.

– Jeszcze jak! I stąd właśnie pierwszy problem.

– Bo Dominik na obelżywą propozycję od razu się wypiął?

– Bardzo dobrze zgadujesz...

– Znam go trochę.

– Wdzięczność w sobie odczuwam, ułatwiasz mi. On nic będzie tego i tak dalej, a tu klops. Zespół tworzymy, nieprawdaż, jak on nie, to i my możemy z głośnym klaskaniem całować się w sempiterną. Innymi słowy, chlebek z masłem nam z zębów wrywa.

Majka w czasie rozmowy intensywnie myślała.

– Zaraz. Zdaje się, że nie tylko wam?

– A jak? Osoby towarzyszące, to mały pikuś? Paweł, Elżbieta... – tu Jurek jakby się zająknął. – Mechanicy, elektrycy i tak dalej. I powiem ci w prostych żołnierskich słowach: bez Dominika syf i burdel. To jak on mógł odmówić?

– Jako nie świnia, nijak.

– Popieram wypowiedź przedmówcy. Czy on już chodzi do dentysty w wolnych chwilach?

– O Boże, nie wiem – przestraszyła się Majka. – Chyba nie, brakuje mu wolnych chwil. Dlaczego ma chodzić do dentysty?

– Bo takiego zgrzytania żadne zęby nie wytrzymają. Ale ugiął się szlachetnie, chociaż ze wstrętem. Do tej pory odór tej szlachetności jeszcze atmosferę zatruwa, ale już coraz mniej. Za to roboty coraz więcej i ten jego ulubiony przymus zaczyna gniesć. Tak to wygląda i nic ci na to nie poradzę.

– I na długo to przewidziane?

– Pół roku projekt podstawowy, a drugie pół roku wymyślne szczegóły.

– O rany boskie, czyja to wytrzymam... No nic, Bóg ci zapłaci, potwierdziłeś moje nadzieje, że to ciężka praca, a nie paranoja, dziękuję.

– Drobnostka, nie ma za co.

Rozłączywszy się z Jurkiem, Majka podjęła swoje myślowe wysiłki. Dobrze zgadła, Dominikowi przymus dokopał, w dodatku obelżywy, bo za pieniądze, robi to co lubi, ale jeszcze nie przestał być wściekły. I proszę, całkiem trafnie podetknęła dzieciom tych niecierpliwych specjalistów!

Doznała ulgi.

A zaraz potem ją tknęło.

Jurek, zazwyczaj mało rozmowny, tym razem, jak na siebie, był wręcz gadatliwy. A w pierwszej chwili nie chciał, cofnęło go, dopiero później ruszył. Przy Elżbiecie zająknął się z pewnością, omamów słuchowych ona, Majka, jeszcze nie ma, czy tam nie wchodzi w grę coś z Elżbietą...? Piękna to ona nie jest, wysoka, koścista, nie bardzo zadbana, ściśle biorąc wcale, za to inteligentna nieprzeciętnie, błyskotliwa, matematyczka genialna... Dominik ją lubi, nie kryje sympatii... Nie, skoro nie kryje, to nic naganego, może ją lubić zwyczajnie, jak człowieka.

To dlaczego Jurek się zająknął?

Zaraz. Wielka robota i na długo? Przy takich zleceniach podpisuje się umowę i inwestor wypłaca zaliczkę. To gdzie ta zaliczka? Dominik zapomniał ją przynieść do domu? Mają dwa konta, każdy swoje, ale na każdym to drugie jest upoważnione, Dominik nie podjął i nic nie powiedział? Ona, jak idiotka, siedzi po nocach, on się jeszcze awanturuje, a pieniądze leżą? No nie, jeśli tak, wulkan to ona jemu zaprezentuje, a nie on jej!

Wściekłość w Majce wybuchła, ale niedostatecznie mocno, żeby ją skłonić do natychmiastowego szukania papierów bankowych. Jeśli leżą, niech leżą, nigdzie same nie pójdą, awanturę zawsze zdąży zrobić. Jednakże coś jeszcze tu było.

Właściwie Jurek rozmawiał tak, jakby chciał coś zagadać. Służbowe sprawy owszem, atmosfera w pracowni też, ale nic innego, żadnych wątków ubocznych. Musieli się tam zdrowo pożreć, gdyby nie byli przyjaciółmi od serca, uczciwie i rzetelnie, szlag by im trafił współpracę. Może Jurek od takich gorszących zajęć chciał odwrócić uwagę?

Siedziała jeszcze przy stoliku Krysi, odruchowo układając kłębki wełny, sznurków i jakichś grubych nici w porządku kolorystycznym, marginesowo zdążyła się ucieszyć, że jej córka lubi roboty ręczne, kiedy zabręczała komórka. Odezwał się Stefan.

– Dzwoniłaś do mnie? Właśnie wróciłem i widzę twój numer, zostawiłem ustrojstwo w domu, ładowała się.

Majka ucieszyła się bardziej.

– O, to dobrze, że już jesteś. Chcę z tobą poplotkować, ukradkiem wyjaśnić tajemnicze zjawisko.

– A co...? Masz ducha w szafie?

– Nie, w szafie mam bałagan. Poza szafą mam Dominika.

– O... – powiedział Stefan, nagle jakoś stropiony.

– Oj, ty nie bądź taki wściekle taktowny, ja przecież wiem o tym waszym zleceniu, wiem, że Dominik ugiął się pod prasą hydrauliczną, wiem jak on to strasznie lubi, ale w końcu bez przesady. Między nami mówiąc, osobiście jestem bardzo zadowolona, że ktoś go wreszcie zmusił do zarobienia paru złotych i potrafię sobie wyobrazić, że bronił się pazurami i zębami...

– Zębami zgrzytał.

– Też wiem, Jurek mi powiedział. Łaska boska, że mnie tam nie było.

– Elżbieta była.

W Majce natychmiast coś drgnęło.

– A Elżbieta co?

– Wkroczyła. Szło już na noże, Dominik prawie pracę rzucał, kiedy akurat weszła i powiedziała, że uważała go za przyzwoitego człowieka, i nie tylko ona, a teraz właśnie widzi mierzwę, a nie przyzwoitość. On sam, jak chce, może żreć obierki od kartofli, mieszkać pod mostem i w obszarganym worku chodzić, ale inni wolą żyć jak ludzie. I niech przestanie pieprzyć w bambus, bo doskonale wie, że wszystko od niego zależy i w nikogo nie wmówi, że nie może albo nie potrafi. A głównie w siebie niech przestanie wmawiać, może by swoją głupią gębę lustrze obejrzał i w oczy sobie spojrzął uczciwie, i ona ogóle nie rozumie, dlaczego taki człowiek jak on koniecznie chce się w gównie tarzać.

Majka słuchała z zapartym tchem.

– Wstrząsające! Przepiękne!

– No...? Mowę tronową wygłosiła. Nie twierdzę, że głosem słowiczym i cichym. Organ mowy ma dobrze rozwinięty.

– Cudo! Kocham Elżbietę! Zastąpiła mnie, kamień z szyi mi zdjęła!

– Jak znam życie, łatwiej jej było niż tobie, nie jest jego żoną – przypomniał pocieszająco Stefan. – Zdaje się, że tym lustrem go dobiła, nie

wiem dlaczego, ale jakoś tak się wzdrygnął.

– Wyszukanego makijażu nie lubi. Ale czekaj, bo przecież już się zgodził, poddał, robotę odwała, nawet teraz przy laptopie siedzi, idzie mu nieźle, o ile wiem, to dlaczego jest taki jakiś nerwowy i niezadowolony z życia? Coś jeszcze go przygniata?

– A to nie zauważyłaś pogody? – zdziwił się Stefan z wyraźnym zgorszeniem.

Majka spojrzała w okno, za którym wciąż lało i wiało.

– No pada, to co? Skończyła się złota jesień, ludzka rzecz. Co roku się przytrafia, nigdy tak głupio nie reagował. Myślisz, że będzie zły aż do wiosny?

Stefan delikatnie zachichotał.

– Zbiegło mu się. Tu presja, a tu ukochany pojazd w użytkowaniu przykry, nie na motor taka pogoda. Może w końcu rozszerzy upodobania.

– Miód mi na serce lejesz, nie wierzę w takie szczęście. Ale jeżeli wy zarobicie na egzystencję w luksusach, zaoszczędzę swoje i sama kupię jakieś pudło. Nie musi zaraz być mercedes, nie zależy mi.

Stefan znów się zdziwił.

– Jak to? – spytał podejrzliwie. – To nie wiesz, że Dominik nie wziął zaliczki?

Miód na sercu Majki zjechał nagle do temperatury podbiegunowej.

– Co? Co ty mówisz?

– Mówię, że odmówił przyjęcia zaliczki. Nie wiedziałaś o tym? O, cholera, zdradzam jakieś intymne tajemnice?

– W ogóle nie rozumiem, co mówisz. Przecież jeśli wszyscy biorą zgodnie z umową, nie można nie wziąć. Inwestor z ręki do ręki nie daje, żeby mu tym pirzgać pod kopyta, przelewami to idzie. Poszedł do banku z obrzynem i zabronił przyjmować?

Stefan się zmieszał, zakłopotał, bąknął coś, pochrząkał.

– No... wiesz... ja mu na ręce nie patrzę i mnie przy tym nie było. Ale zdarzają się... osoby... takie więcej wścibskie... Podobno... Ale tylko podobno! Otworzył sobie drugie konto albo może subkonto i tam kazał to przelać, żeby leżało nietknięte. Podobno, mówię, to są wasze sprawy, nie moje.

Majce karuzela ruszyła pod ciemieniem, gdzieś z głębi domu Stefana dobiegły ją strzępy słów i złośliwe śmieszki Zosi.

– ...pasażerkom się nie podoba... nie powiesz...? Karuzela pod ciemieniem przyśpieszyła. Do diabła z pasażerkami, ten temat publicznie nie istniał, Zosia może się wyzłośliwiać ile jej się podoba. Coś tu było nie w porządku, pojawiła się jakaś okropność, którą należało rozwikłać. W miarę możliwości na spokojnie i w cztery oczy z Dominikiem.

– Bardzo dobrze, że mi o tym powiedziałaś – pochwaliła Stefana. – Wszyscy wiemy, że na tle pieniędzy Dominik ma kota i ja zyskam wreszcie jakiś konkret, żeby coś z tym zrobić. Dam mu na kolację obierki od kartofli, zobaczymy, co powie.

Zakłopotanie Stefana trochę się zmniejszyło, ulżyło mu wyraźnie.

– A wiesz, że to jest myśl! Ale tak w ramach wymiany usług, powiesz mi potem, co powiedział?

– Bardzo chętnie. O ile on sam ci tego nie powie...

Dzieci wyrwały Dominika ze stanu furii obu rodzajów, aczkolwiek w pierwszej chwili krótkim pokazem objawiła się jeszcze ta rykliwa. Tak krótkim, że wzięły ją za element rozrywkowy i obrzędy wieczorne przebiegły ulgowo. Po czym Tomek i Krysia poszli spać, a Dominik wrócił do milczącej martwoty.

Majka zabiegi rodzinne przeczekała spokojnie, zrobiła sobie i mężowi herbatę, na wszelki wypadek pozamykała wszystkie możliwe drzwi i

przystąpiła do działania.

– Dominik, musimy porozmawiać poważnie... Siedzący przy herbacie z gazetą Dominik drgnął silnie i uczynił ruch, jakby chciał się zerwać i uciec do łazienki, ale Majka z półmiscoem sera w rękach przezornie stanęła mu na drodze. Kontynuowała wzniosłe przemówienie.

– Ty sobie wyobraź, że moglibyśmy mieć tych dzieci dziesięcioro, w tym dwa razy trojaczki i doznaj ulgi, że na razie mamy tylko dwoje...

– I o rozmnożeniu mamy poważnie porozmawiać? – nie wytrzymał Dominik.

Majka roześmiała się beztrasko i usiadła przy stole.

– To też temat, nie? Ale chwilowo mam inny. Otóż domagam się stanowczo, żebyś teraz ty rządził.

Dominik zdziwił się tak, że porzucił prasę i spojrział na żonę prawie jak człowiek.

– Ja mam rządzić? Co to znaczy? Co przez to rozumiesz?

– Rządzić i decydować o tak zwanym prowadzeniu domu. Bierzesz wszystkie dochody, swoje, moje, oddaję ci pieniądze za zlecenia i ty decydujesz o wydatkach. Finansujesz rodzinę. Decydujesz, na czym oszczędzać, bo ja jestem na to za głupia i nie potrafię. A ty owszem, umiesz.

Dominik przez chwilę wydobywał się spod ciężaru zaskoczenia. Zmroczył na nowo, zmarszczył brwi.

– Nie.

– Co nie?

– Nie. Nie zgadzam się.

– Dlaczego?

– To za duża odpowiedzialność.

Majka poczuła jak jej całe anatomiczne wnętrze cierpie i w ósemki się zwija. Z pewnym trudem wydobyła z siebie słodki głos. Bez wątpienia mniej słodki niż sobie życzyła, ale jeszcze do przyjęcia.

– Co ty, kochanie, powiedziałaś?

– Mam dość odpowiedzialności w pracy. Nie zniosę jej jeszcze i w domu!

– Ale ten dom przecież jakoś idzie, nieprawdaż? Prosperuje, chociaż słabo. To kto w nim ponosi odpowiedzialność? Znasz może przypadkiem taką osobę?

Dominik milczał. Popatrzył na nią, przyjrzał się z uwagą lampie stojącej, po czym wrócił wzrokiem do żony. Następnie znów ujął gazetę. Milczał nadal, a upór zaczynał wyłazić z niego na wszystkie strony.

Majka postanowiła znieść tyle ile zdoła i oprócz tego jeszcze trochę.

– Mole spożywcze – powiedziała.

– Co...?

– To co teraz lata dookoła ciebie. Wygląda jak mole spożywcze, takie z mąki i z kaszy, ale wiem na pewno, że to są twoje szare komórki. Nie wytrzymały kontaktu z właścicielem i zaczynają uciekać. Będiesz je gonił?

Dominika krzesło ponownie ugryzło w tyłek i omal się nie zerwał, ale jakieś zachłanne zainteresowanie w głosie Majki rozśmieszyło go nagle, wygrywając z wściekłością, która zdążyła w nim wybuchnąć.

– Tak, z siatką na motyle. Zostaw te obrazowe skojarzenia. O co ci właściwie chodzi?

– Dokładnie o to, co mówię i wcale nie żartuję. Chcę, żebyś zdjął ze mnie to chomąto i zaczął zarządzać pieniędzmi, bo ja mam tego dosyć. Odpowiedzialność nosem mi wychodzi, najwyższy czas, żebyś przejął pałeczkę. Nie możesz liczyć na moją odporność, bo ona pęka.

Słodysz, mimo starań Majki, znikła z jej głosu i ustąpiła miejsca czemuś rozpaczliwemu. Dominik zawahał się w swoim proteście. Nie chciał o tym myśleć, odpychał temat, barykadował przed nim drzwi, ale w gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę, że domu i gospodarstwa pilnuje Majka. Na propozycję załatwienia zakupów z reguły usiłował głuchnąć doszczętnie, a ona zawsze jakoś dawała sobie radę...

Nagle brzęknęła w nim pamięć krótkim przenikliwym dźwiękiem. Jak to jednak przyjemnie było robić grubsze zakupy wspólnie, przywozić do domu ciężkie rzeczy, sprzeczać się w sklepie co kupić, a czego nie, co się zamrozi, a co zaśmiardnie, lubił to, bawił się świetnie, pod warunkiem, że w jej towarzystwie. Sam nie cierpiał. Przywozić oczywiście motorem, Majka potrafiła utrzymać na kanapie nawet najbardziej uciążliwe toboły...

Na myśl o motorze znów ogarnęła go wściekłość i wspomnienie zdechło, chociaż właśnie zamierzało podsunąć uwagę, że już dawno takich zakupów i nie robili, i chyba najwyższy czas. Zakupy tak, ale nie te obrzydliwości nie do przyjęcia, które ona tu zaczyna wygłaszać!

– Nie chcę! – ryknął, na razie jeszcze ze średnim natężeniem.

– Ja też nie chcę! – rąbnęła Majka.

– Jeśli wtrynisz mi pieniądze, wyrzucę je przez okno!

Z całego serca Majka pożałowała, że wszystkie pieniądze leżą na kontach... no, leżą jak leżą, raczej z nich wybiegają... i nie trzyma się ich w domu, bo natychmiast by mu wszystko pirzgnęła pod kopyta i niech wyrzuca. Zdążyła jej nawet mignąć myśl o tych obierkach, specjalnie jutro kupi kartofle... i już ją poderwało. W mgnieniu oka przed Dominikiem leżała z rozmachem wytrząśnięta cała zawartość portfela, w postaci trzystu dwudziestu czterech złotych i siedemdziesięciu dwóch groszy. I chyba tylko te drobne uratowały mienie obojga małżonków, bo cały bilon rozsypał się

po podłodze, a papierowe dziesięć złotych frunęło Dominikowi do szklanki z herbatą.

Był pedantycznie porządny i przywykł sprzątać odruchowo. Zanim starannie pozbiarał finansowy śmietnik furia mu przeszła, bo żaden jego atak nigdy nie trwał długo. Nie zdążył nawet ryknąć porządnie, trudno ryczeć pełną piersią z głową pod stołem, i wyskoczyła z niego zaledwie jedna kurwa mać, w dodatku nieco stłumiona. Grzecznie ułożył majątek na stole, wyjął ze szklanki dziesięć złotych, obejrzał i porządnie wytarł serwetką.

Majka siedziała przy stole nadęta, wściekła i wbrew woli rozśmieszona.

Wcale nie o to jej chodziło, wcale nie chciała kłócić się z nim o pieniądze pchane sobie wzajemnie, chciała subtelną drogą dotrzeć do jego duchowych zgryzot. Wejść na tę tajemniczo zamrożoną zaliczkę. Pojęcia nie miała teraz, jak tego dokonać.

Dominik przyjrzał się swojej skalanej wstrętnym papierem herbacie, podniósł się, poszedł do kuchni i po chwili wrócił z pełną szklanką nowego napoju. Usiadł i krytycznie obejrzał leżące na stole fundusze.

– Poważnie mówisz, że teraz ja mam się zająć pieniędzmi? – spytał, tak bezradnie, zatroskany i zmartwiony, że w Majce serce zmiękło i omal się nie złamała.

Ale nie. Jednak nie.

– Tak, kochanie, teraz ty, skarbie drogi. Ja... przecież wiesz. Nigdy tego przed tobą nie ukrywałam, za miętka jestem, ciągle komuś pożyczałam. Niech już nie muszę samej sobie wypominać, pomóż mi.

Dominik poczuł się rycerzem, ale zbroja na nim klekotała.

– No... ale... na zawsze...?

– O, niekoniecznie. Przynajmniej na jakiś czas. Nawet wół roboczy musi niekiedy odpocząć, we mnie nastąpiło zmęczenie materiału.

Takie zjawisko Dominik rozumiał doskonale, ustawicznie miewał z nim do czynienia. Na zmęczenie materiału nie ma siły, trzeba przeciwdziałać, zmienić element. Ona właśnie zmienia element. Racjonalnie.

– No dobrze. Ale przecież nie wszystko?

– Jakie wszystko?

– Mam codziennie gotować obiad? Kiedy, w nocy?

Majkę rozśmieszyło to niebotycznie. Maksymalista, oczywiście, jak już coś robić, to porządnie. Ciekawe, co też by gotował, chyba tylko kartofle w mundurkach, a do nich zsiadłe mleko. Albo pierogi, te kupne... i co? I gotować w nocy?

Rozbawienie zdołała ukryć.

– Puknij się. Te szare komórki chyba naprawdę z ciebie wybiegły. Co ma piernik do wiatraka? Gotowanie obiadów możesz sobie darować.

– To co...?

Majka doznała wrażenia, że dopiero teraz wchodzi na grząski grunt. Zebrała siły.

– Jak to co, to, na co się wydaje pieniądze. Rachunki i zakupy, odzież, kultura, dzieci, wakacje, żarcie, wszystko to, na czym mi każesz oszczędzać, bo na wszystko nam skąpo. Odczep się od obiadów i zajmij się płaceniem, a ja niech trochę odetchnę.

Dominik milczał. Osłupienie mu przeszło. Czuł bunt, niechęć, warczał w nim protest przeciwko kolejnemu przymusowi, który spadł mu na głowę niczym grom z jasnego nieba. Najchętniej by uciekł albo z krzykiem odmówił, ale Majka mówiła spokojnie, z delikatnym zaledwie wyrzutem, argumentów zaś używała rzeczowych i zupełnie sensownych. Coś, gdzieś, w samej głębi organizmu, wiedziało na pewno, że nie zdoła się z tego wyłgać. Dopust boży i klęska żywiołowa.

– Jak ja mam te zakupy robić? – wyrwało mu się w ostatniej, rozpaczliwej i żalostnej próbie obrony. – Nawet nie wiem co jest potrzebne.

Majce z jednej strony zrobiło się go żal, z drugiej o mało jej szlag nie trafił. Motylek, psiakrew, znalazł się konik polny!

Żal przeważył.

– Dobrze już, dobrze. Możesz mi wydzielać pieniądze na codzienne zakupy. Na przykład raz na tydzień.

– A właściwie dlaczego?

– Dlatego, że ja nie siedzę po nocach dla samej przyjemności, chociaż też lubię swoją pracę. Wolałabym w nocy sypiać, a pracować tylko w dzień. Ale wtedy nie wystarczyłoby nam na nic, bo ty nie chcesz pracować dla pieniędzy. Więc sam organizuj życie bez. Ja nie potrafię.

W Dominiku wybuchło.

– Nie będę się poniżał! Nie będę się płaszczył! Nie będę się uzależniał...!!!

Wybuch Majka przeczekwała, bo i w niej musiało dobrze spęcznieć, po czym bez słowa podniosła się, ujęła w dłonie wielką, glinianą, ludową popielniczkę i z całej siły rąbnęła nią w podłogę.

Popielniczka zdała egzamin. Trzask grubej, glinianej skorupy zabrzmiał gromko i nawet dość dźwięcznie, nasuwając skojarzenie z twórczością młodych talentów muzycznych, niedopałki i popiół strzeliły jakby gejzerem, a dodatkową zaletą czynu był fakt, że Majka tej popielniczki nigdy nie znosiła i jakoś nie miała siły jej wyrzucić. Dominik do przedmiotu użytkowego nie miał osobistego stosunku.

Zbiegło się idealnie, koniec jego ataku wściekłości i grzmot odpowiedzi małżonki. Majka usiadła, a Dominik spojrział na podłogę.

– O, upadło ci...? – rzekł z pogodnym zdziwieniem.

No tak, taki był. Majka poczuła, że go kocha nad życie, bez granic. Musi to swoje trudne szczęście wytresować, ale nie będzie się nad nim znęcać, pieniądze owszem, niech bierze i wystarczy, do diabła z zamrożoną zaliczką, do diabła z codziennymi udrękami!

– I bardzo dobrze, nareszcie, była ohydna.

– Zaraz posprzątam.

– Też bardzo dobrze. Słuchaj, odczepmy się od zakupów spożywczych, nie będziesz przecież sprawdzał, czy jest w domu na przykład...

– Cynamon? – wpadł jej w słowa Dominik, już ze szczotką i śmietniczką w rękach.

Majka poczuła, że kocha go jeszcze bardziej.

– Albo pieprz ziołowy. Będziesz mi wydzielał pieniądze. Kropka. I płacił rachunki. W poważniejszych sprawach musisz uczestniczyć, bo może ja się szastam.

Dominik uległ tak dalece, że zgarnął ze stołu i schował pieniądze, przytomnie zostawiając Majce sto złotych.

– Nie możesz zostać całkiem bez niczego, – powiedział stanowczo, najwidoczniej zapomniawszy kompletnie o istnieniu takiego drobiazgu jak karty kredytowe.

I już wydawało się, że wszystko będzie dobrze...

Ale o zamrożonej zaliczce Dominik nie napomknął ani jednym słowem, a Majce wyraźne pytanie o nią przez usta nie przeszło. Jego chwilowy dobry nastrój przekształcił się z powrotem w niechętnie milczenie. Zdenerwowanie. Troskę. Podparte zakłopotaniem tak, jakby koniecznie musiał zrobić coś, co mu się strasznie nie podoba, i nie miał pojęcia, jak.

Atmosfera wokół niego powiadomiła Majkę, że chwilowo należy go zostawić w spokoju.

* * *

Stefan natknął się na nią w pracowni architektonicznej, gdzie przypadkiem znaleźli się obydwój w tym samym czasie, uzgadniając z projektantami każde co innego.

– I jak ci poszło z obierkami? – spytał z zainteresowaniem, zatrzymując się przy stole Andrzejka. – Popełniłaś eksperyment?

– Nic z tego – odparła Majka smętnie. – Akurat miałam makaron, a teraz wychodzi mi ryż, więc kartofelki muszą poczekać do końca tygodnia.

– To chyba on wie, że mu na razie nic nie grozi, bo od rana jak skowronek.

Zdziwił tym Majkę. Dzieciom Dominik zrobił śniadanie, razem to śniadanie robili, pozornie w doskonałej komitywie, ale w Dominiku czuło się wysiłek. Wczorajszy okropny nastrój jeszcze w nim trwał, z trudem symulował pogodę ducha, na co dzieci, szczęśliwie, nie zwróciły uwagi. Co też zaszło między domem, a pracownią?

– Akcent kolorystyczny w tym kącie, tu masz rację – powiedział Andrzejek, wpatrzony na zmianę to w rysunek, to w ekran. – Kręcidupcia go nakręciła. Odpadł jej wreszcie chociaż kawałek pośladka?

– Co...? – wyrwało się Majce.

– Chyba nie, bo nigdzie nic nie leżało jak tu siedłem – stwierdził równocześnie Stefan. – Ale fakt, musiała być, bo wszystkie wydruki miał zwalone na stole.

– I nie nakręciła go? – zmartwił się Andrzejek, nanosząc na komputer mazidło z rysunku.

– Jeśli, to zdalaczynie. U mechaników siedział, a jak wrócił, to jej nie było. A co ci tak zależy?

– Mnie nic. Ale byłoby śmiesznie. Majka, świetnie, masz absolutną rację! Z czego to zrobimy?

Majka zachowała równowagę bez wielkiego wysiłku.

– Bezwzględnie element użytkowy, żadnych ozdóbek. Lampa? Trójkątne półeczki? Szafeczka oszklona mozaikowo?

– Podługowata?

– No. I wąska.

– Zależy co na półeczkach – zastanowił się Andrzejek. – Czerwone świece?

Majka pokręciła głową.

– I dom podpałą. Co tam ma być? Bo zapomniałam.

– W założeniu apartament. A w praktyce, cholera ich wie, co im z tego wyjdzie. Wysokie sfery dyplomatyczne, które w skromnej chatce robią dobre wrażenie na cudzoziemcach. Wykombinuj coś.

– Dobra, muszę pomyśleć. Czerwone abażurki wyjdą burdelowo. W zasadzie lęgnie mi się ta szafka, drzwiczki mozaikowe, a w środku kolorowe kieliszki i dyskretne światełko. Trzeba złapać Dobrusia, ale to jeszcze nie w tej chwili.

– Jutro. Ja cię proszę, ty mi to zrób na jutro!

– A dlaczego nie postawicie czerwonego kwiatka? – zaciekawiał się Stefan, już zmierzający ku wyjściu.

– Bo do tego kąta żadne słońce nie dochodzi – odparli równocześnie Andrzejek i Majka, po czym Majka dodała: – A jak go zapomną podlewać, dekorację szlag trafi i zażądają od nas odszkodowania. Stoimy na szafeczce, ja już się do niej przyzwyczaiłam.

Gdzieś pod ręką Grzesia zadzwonił telefon. Grześ podniósł słuchawkę.

– Jest tam gdzieś u was ta gadatliwa owca? – zagrzmiało dostatecznie głośno, żeby wszyscy rozpoznali głos szefa.

Grześ rozejrzał się dookoła.

– Nie. O ile wiem, jest u elektryków. Kopiuje dokumentację.

Szef wyłączył się bez słowa. Majka mimo woli też się rozejrzała.

– Jaka gadatliwa owca? Macie nową pomoc techniczną?

– Jak to, nie wiesz? – zdziwił się Andrzejek. – Kręcidupcia. Szamanowi takie wulgarne określonko przez organ mowy nie przejdzie wszak.

– Ona jest gadatliwa owca? Dlaczego?

– A słyszałaś z jej ust bodaj jedno słowo?

– Żadnego dźwięku nie słyszałam, nie miałam zaszczytu. Także okazji. A co? Nie mówi?

– Rzadko, niechętnie i nad wyraz krótkimi zdaniami...

– Jednosylabowymi – mruknął Grześ.

– A wiecie, że ona faktycznie ma w twarzy coś z owcy... – wtrącił z lekkim zaskoczeniem Stefan, wciąż jeszcze stojący w drzwiach. – Do tej pory nie zwróciłem uwagi...

– Bo do tego potrzebne oko artysty – pouczył go wyniośle Andrzejek. – Majka, widziałaś ją, nie? Ma z owcy, czy nie ma?

– Ma – przyświadczyła Majka z głęboką wewnętrzną przyjemnością. – Ale nie ze starej owcy, tylko z młodej owieczki.

– Bez przesady, nie takiej znów młodej. To byłoby jagniątko.

– Jagniątko odpada. Weselsze.

– O żaden wiek nie będziemy się tu przekomarzać – zarządził Grześ. – Młodo–średni i przestańcie mi trzeszczeć nad głową.

– To cześć – powiedział Stefan, opuszczając pokój razem z Majką. – A, bo motorem przyjechał, dlatego skowronek. Słuchaj, to chyba ostatnie podrygi, gdzie on go zagarażuje na zimę? Znów u nas, czy coś tam gdzieś macie?

– Co...? A...! Nic nie mamy. Zajęta jestem na razie.

Rozstali się na korytarzu. Już prawie w drzwiach wyjściowych Majka nagle zmieniła kierunek. O Dominiku, ponurym czy radosnym, zapomniała prawie całkowicie, myśl zaprzętnęła jej szafeczka dla Andrzejka, w oczach miała te mozaikowe drzwiczki. Zrobić rysunek, ale to już! Natychmiast!

Najbliżej było do pracowni zieleniarzy, sąsiednie skrzydło budynku. Dysponowali wszelkimi niezbędnymi materiałami, a Bożenka powitała Majkę radośnie.

– A siadaj sobie i odwalaj nawet bitwę pod Grunwaldem, u nas masz wszystkie kolory świata. Rozumiem, że to coś małego?

– Jedne wąskie drzwiczki. A światło?

– Co światło?

– Podświetlić od spodu. Macie takie? W tej szafce się świeci.

Bożenka westchnęła ciężko i klapnęła na fotel przed wielkim monitorem. Obejrzała się.

– Anusia, no i co? Dali nam?

– Dali, ale ekologiczne – odparła ponuro Anusia, ukryta w kącie za stelażem z mnóstwem zdjęć dużego formatu. – Obie. Znaczący te, energooszczędne. One są rakotwórcze.

– No i masz – zirytowała się Bożenka. – Że rakotwórcze, wszyscy wiedzą. Dwie żarówki nam wysiadły pod szybą, póki jedna, to jeszcze, jakoś szło, ale bez dwóch nie da rady.

– A ile w ogóle zostało?

– Trzy. Ale wysiadła środkowa i tylko po kątach się świeci.

– Nie szkodzi, mnie kawałek wystarczy – pocieszyła ją Majka. – Co tu macie? To reklamowe? Rozumiem, że widok przed i po?

Podeszła bliżej do stelaża ze zdjęciami i przyjrzała się im z wielkim zainteresowaniem. Prezentowały widoki kontrastowe, obok siebie widniały zarośnięty śmietnik i prześliczny ogródek, fragment budynku tonący w

zielsku i tenże sam fragment wśród pnących róż, zapuszczony straszliwie trawnik z kępami zdrewniałych ostów, pokrzyw, łopianów i śmieci, i takiż trawnik, ale wręcz angielski, przyozdobiony nader estetycznie kolorowymi krzewami. Bez trudu odgadła iż widzi te same miejsca w stanie pierwotnym, oraz po uporządkowaniu.

– No i proszę, jak to przyjemnie rozmawiać z fachowcem – pochwaliła rozpromieniona Bożenka. – Ty masz pojęcie, że przychodzą tu różne jołopy i nie chcą uwierzyć, że zdjęcia z tego samego miejsca robione? Zapierają się, że to w ogóle co innego!

– Ślepe komendy – skomentowała wzgardliwie Anusia.

Majka przyświadczyła, odruchowo spoglądając w jej kierunku. Oslonięta stelażem Anusia siedziała przy małym stolczku i mieszała kawę w filiżance, a naprzeciwko niej siedziała obca osoba. Prawie piękność, czarnowłosa, o łagodnej, spokojnej twarzy, nieco wychudzona i zaniedbana, ale atrakcyjna. Przy odrobinie starań mogłaby być nawet bardzo atrakcyjna.

– Należało postawić znak rozpoznawczy – mruknęła gniewnie gdzieś w przestrzeń.

– To Luiza nam robi te zdjęcia – wyjaśniła Anusia, czyniąc w jej kierunku elegancki gest, niejako prezentacyjny. – Ma serce do roślin.

– Niezłe, co? – wtrąciła się zadowolona Bożenka.

– Znakomite! – pochwaliła Majka ze szczerego serca. – Czekaj, natchnęły mnie. Nie robię całkiem abstrakcji, zrobię abstrakcję kwiatową. Tu, ten kawałek... Aż się prosi!

Przyszedł ogrodnik posprzeczać się z Bożenką o ziemię, która, jego zdaniem, nie mogła być równocześnie kwaśna i wapienna. Zdanie poniekąd było słuszne, Bożenka zaś koniecznie chciała mieć jedną i drugą, obok siebie. Usiłowała go przekonać, że może to być w szachownicę, ogrodnik wyrwał sobie kilka włosów z głowy, zaczął w końcu ulegać na myśl, że

kombinacja będzie wymagała starannej konserwacji, na której on nieźle zarobi. Majce mozaika wychodziła sama, miała już trzy warianty dla Andrzejska do wyboru, przystąpiła do rozrysowania szczegółów technicznych, we wszystkich wariantach jednakowych.

Na dwustronne gadanie, tu Bożenka z ogrodnikiem, tam Anusia z fotograficzką Luizą, nie zwracała uwagi, aż nagle zza stelaża dobiegły ją słowa: – ...i kogóż widziem, ach? Zgadniesz sama?

W głosie brzmiała cierpkość. Także drwina. Wzgarda. Wszystko podszyte nienawiścią. To nie Anusia, zatem Luiza. Przy takiej twarzy taki głos...?

Zaskoczyło ją to tak, że nadstawiła ucha.

– Kręcidupcia – powiedziała Anusia zimno i bez wahania.

– No proszę, pierwsza nagroda! I jak przemyślnie stanęła, przed światłami, na czerwone on zwolni, a ona go dopadnie. Specjalnie się zatrzymałam...

– Dziwiłabym się gdybyś nie.

– ...i miałybyś pretensję. Słusznie. Poczekaliśmy, cywilizacja ją pokarała. Miał zielone, już wchodziło pomarańczowe, przeleciał i nawet nie spojrzął...

– Jak to? – zgorszyła się Anusia jadowicie. – Nie machała?

– Ależ tak, rączka poszła w ruch, ale chyba za późno. To nie jest pora pustych ulic. Mordobicia na chodniku się nie zauważy.

– Zgadza się, musiałyby wylecieć na środek jezdni, zrobić ogólny karambol, takie coś to nie dla niej. Ależ uparta suka!

Przez chwilę milczały. Słysząc było ogrodnika z Bożenką.

– Pani sobie zdaje sprawę, że to trzeba będzie przegrodzić...?

– Tylko żadnych betonów! Kamień albo szkło!

– Tworzywo sztuczne też nie zaszkodzi. A nieprzeziąkliwe...

– Ciekawe, jak długo on wytrzyma – odezwała się drugiej strony Luiza głosem anielsko łagodnym, nareszcie pasującym do twarzy.

– Uważam, że już niewiele – zaopiniowała Anusia lodowatą niechęcią. – Nie obchodzi mnie. Chcesz jeszcze kawy?

– Co... Ach...! Nie, dzięki, skoro mam wam zrobić te powiększenia, muszę już iść. Jutro botanika mnie łapie, podrzucę ci wcześniej.

– I tańsze – zauważył ostrzegawczo ogrodnik.

– Pan się nie martwi kosztami, zdejmemy kretynowi z kaukaskiego granitu. Kaukaski granit, rzeczywiście, szkoda, że nie złoto! To debil, nie zauważył różnicy...

Bożenka z ogrodnikiem doszli do zgody, Majka zadzwoniła do Andrzejka.

– Mogę ci dać jeszcze dzisiaj, na papierze i na dyskietce, ale sam sobie wydrukujesz. Masz do wyboru trzy warianty, technicznie jednakowe, szklarz zrobi ze śpiewem na ustach...

– Ależ dawaj, dawaj, wolę dzisiaj, na czym chcesz!

Anusia z niezwykłą gorliwością zaofiarowała się skoczyć do architektów i zanieść im dzieło Majki. Luiza już poszła, nie wiadomo kiedy.

– To tak właśnie wyglądało jak latała do konstruktorów – powiedziała z niesmakiem Bożenka, kiedy wyszła także i Anusia. – Ale nic o tym nie wiem, żeby się w którymś z tamtych zakochała. Znaczący, z tych.

– Może upatrzyła sobie kogoś po drodze albo kawałek dalej. I niech ma, dobrze jej życzę.

– Chcesz kawy?

– Nie, idę do domu. Widzę przed sobą chwilę luzu i wyobraź sobie, chodzi po mnie obiad. Zrobię coś na następne trzy dni, zamrozić, wyjąć, odgrzać, takie uniwersalne, może być obiad, może być kolacja.

– A śniadanie? – zaciekawiła się Bożenka.

– Śniadanie mnie nie interesuje. Już się nauczyli, że o poranku mnie nie ma. Wyobraź sobie, nawet chleb i bułki umieją pokroić, nie odrzynając sobie rąk! Razem je uczyliśmy...

Majka dotarła do domu w doskonałym humorze, rozpoczęła zaplanowane zabiegi kulinarne i przy krojeniu w drobną kostkę cebulki coś ją nagle tknęło.

Cebulki... Dwa zdjęcia obok siebie na stelażu u Bożenki prezentowały cebulki tulipanów, Majka знаła się na kwiatach dostatecznie, żeby rozpoznać tulipany. Zdjęcia nie miały budzić zachwyty, były pouczające, Na jednym dwie cebulki wręcz lśniły, okazy zdrowia w idealnym stanie, na drugim, też dwie, stanowiły obraz nędzy i rozpacz, ślepy debil od razu zrozumiałby, że nic z nich nie wyrośnie. Niewątpliwie pomyślane to było jako dobitna informacja dla grymaśnych klientów, zgłaszających głupkowate pretensje i wymagania.

Klientów Majka miała w nosie, coś innego ją tknęło. Zdjęcia na stelażu skojarzyły jej się z Luizą, ale Luizę też miała w nosie, zaraz, jej rozmowa z Anusią... Nagle urwana. Jakoś dziwnie urwana, coś się tam pojawiło, jakie znów pojawiło, to niewidoczne! I bezwonne. Bez zapachu i smaku. Któraś trucizna ma takie miłe właściwości...

Jednak coś... Owszem, do trucizny trochę pasuje... Jakiś prąd... O, właśnie, prąd!

Prądy biologiczne. Nie, nie tak. Bioprądy! Nareszcie, to właśnie to. Za stelażem zderzyły się bioprądy, dziewczyny miały jakąś tajemnicę, omal z nich nie wyskoczyła, zdusiły ją w sobie, posłuszne bioprądom, które skłębily się gwałtownie i natychmiast zawarły przymierze.

Świetnie, tylko skąd się w tym wziął Dominik?

Drgnęło wtedy w Majce Dominikiem, nie myślała o nim, nie miał nic wspólnego ani z cebulkami, ani z Luizą, ani z sekretami obcych dziewczyn,

skąd jej się wziął ten cień niepokoju na jego tle? Nie w umyśle i nie w sercu broń Boże, w układzie wegetatywnym? W podświadomości? W jednym z tych obrzydliwych elementów nietresowalnych, na które człowiek nie ma wpływu? Zamajaczył niewyraźnie i teraz tkwi...

A, jest skojarzenie, znalazła! Czerwone światło na skrzyżowaniu, pojechał motorem, ćwierkał pierwiosnkiem na nieboskłonie... No i proszę, wytrysnęło źródło niepokoju, czy on wreszcie zagarażuje ten cholerny motor na zimę? Czy zamierza czekać na zamiecie śnieżne, zadymki, zasy i gołoledzie? A ona w nerwach...

Elementarna uczciwość kazała Majce wycofać tę ostatnią myśl. W jakich nerwach, akurat, zawracanie głowy! Sama na jego miejscu jeździłaby do oporu, jakie znowu „by”, jeździła przecież, poleciał wtedy do Sztokholmu na całe pięć dni, na tę konferencję z Japończykami, którzy wymyślali konstrukcje odporne na trzęsienia ziemi, a ona żałowała każdej sekundy, urządzali to mieszkanie, Krysia miała rok, Tomek trzy lata, a Majka pilne zlecenia. Motor był oczywiście poprzedni, nie to szataństwo obecne, tylko zwyczajne BMW, lubiła je i z wielkim żalem odstawiła przy dwunastu stopniach mrozu. Nie miała problemów, jej zdaniem łatwiejsze były śnieżne zasy niż piaszczyste wydmy, więc Dominika świetnie rozumiała. Trzeba w końcu tego grzmota odstawić, ale jak przykro!

To dlaczego niepokój...?

Katastroficznych skłonności Majka nie miała, a depresja odległa była od niej o lata świetlne. Ogólnie biorąc, Dominik mógł ostatnio przysparzać niepokoju, ale trochę jakby w kratkę, a poza tym odgadła już przyczyny i nie zamierzała się tym dreczyć. Istotne było, że pogodził się z ciężarem pieniędzy i rządu, intratną robotę odwał, i nadzieja na nieco łatwiejsze życie świeciła jej na horyzoncie.

I naprawdę wyglądało na to, że wszystko jest w idealnym porządku...

Dlatego rozmowa z Dominikiem w dwa wieczory później spadła na Majkę jak grom z jasnego nieba.

Jak zwykle siedzieli przy stole i pili herbatę, oddając się lekturze, przerywanej kawałkami pogawędki. Dzieci już poszły spać i nastała chwila spokoju.

– Słuchaj – powiedział zniecka Dominik. – Czy ty mnie kochasz?

Pytanie zaskoczyło Majkę niebotycznie. Dwojako. Primo, poza wepchnięciem w ręce finansowych rządów, nie sprawiała mu innych przykrości i nie robiła nic złego, a secundo, takie pytanie zadawały zazwyczaj kobiety. Nie mężczyźni! Takie pytanie w męskich ustach po dziesięciu latach małżeństwa było przerażającym wynaturzeniem! Wręcz budziło zgrozę!

Przez chwilę miała ochotę poinformować go, że skąd, przeciwnie, patrzeć na niego nie może i już ma pod łóżkiem przygotowaną siekierę, żeby przy byle okazji odciąć mu łeb, ale Dominik był tak śmiertelnie poważny... nie dość na tym, jakby znękany. Pytanie brzmiało niemal rozpaczliwie i Majka nagle straciła chęć do głupich żartów.

– Kocham cię – powiedziała spokojnie i zdecydowanie. – Kocham cię tak, że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Naprawdę możesz w to wątpić?

Dominik milczał przez chwilę, patrząc w okno za jej plecami.

– Nie – rzekł wreszcie. – Ale czy mogłabyś przestać?

– Co przestać?

– Kochać mnie.

– Zwariowałaś...?!

Dominik odczepił się od okna, za którym, zważywszy ciemność, i tak nie było nic widać, i spojrzał na nią. Na twarzy miał wyraz skomplikowanych uczuć. Zakłopotania, jakby błagania, skruchy, udręki, nie

wiadomo czego jeszcze, ale z całą pewnością nie szczęścia, i Majka nagle zrozumiała.

Zrozumieć, zrozumiała, w żadnym wypadku jednakże nie zgadzała się przyjąć tego do wiadomości. Mowy nie było, żeby uwierzyć. Stawiła opór tej okropnej wiedzy, która zniecka na nią spadła i która była w ogóle niemożliwa. Jakaś pomyłka nastąpiła, Dominik oszalał...

Trzeba natychmiast wyjaśnić nieporozumienie!

– Powiedz porządnie, o co tu chodzi – zażądała głosem odrobinę zaledwie zdławionym. – Coś się stało, tak?

Dominik kiwnął głową.

– Co mianowicie? Nie kiwaj mi tu, tylko mów ludzkim głosem!

Dominikowi bardzo wyraźnie ludzki głos nie przechodził przez gardło. Chciał powiedzieć, to było widać, w dodatku chciał powiedzieć prawdę, i chyba właśnie ta prawda zatykała go i dusiła. Mobilizował się. Zaczynał być zły.

– Wolałbym, żebyś mnie tak nie kochała...

– Bo co? Bo ty mnie przestałeś kochać?

– Nie. Kocham cię. Ale inaczej...

– Jak siostrzyczkę, tak? Jak najlepszą przyjaciółkę? A może przyjaciela?

– Tak... Raczej tak...

– Zakochałeś się w kimś innym?

Dominik z pewnym trudem utrzymał wzrok na Majce, aczkolwiek zdecydowanie bardziej ciągnęło go okno.

– Tak – rzekł mężnie i jeszcze bardziej rozpaczliwie. A zaraz potem powiedział coś jeszcze gorszego.

– Majka... Czy ty mi dasz rozwód...?

Pomiędzy jedną wypowiedzią, a drugą nie upłynęło więcej niż trzy sekundy. Przez te trzy sekundy we wnętrzu Majki zdążyły nastąpić liczne

kataklizmy, wybuch wulkanu, rewolucja, mdłości, trzęsienie ziemi, wreszcie świat pod nogami rozpadł się na drobne kawałki i pojawiła się próżnia absolutna. Udzielanie odpowiedzi nie wchodziło na razie w rachubę. Dominik podniósł się z krzesła, podszedł do niej i ukląkł.

– Czy ty się zgodzisz na rozwód? – powtórzył błagalnie.

W tym momencie w Majce wystrzeliło już wiele życzeń i chęci, eksplozywnie zrodzonych z trzysekundowych kataklizmów. Pierwsze miejsce bezwzględnie zajmowało gwałtowne pragnienie walenia głową w stół, za nim, mniej więcej równorzędnie, plasowały się inne, mocno urozmaicone. Dać po pysku temu klęczącemu przed nią kretynowi, dać mu wszystko, czego zażąda, rozwód, gwiazdkę z nieba, stanowisko prezydenta, najlepiej amerykańskiego, własne serce z piersi wyrwane, paść mu na szyję i całować ukochaną, nieszczęśliwą mordę, rozbić na idiotycznym łbie szklankę razem ze spodeczkiem i resztką herbaty, poprawić wazonem, zażądać natychmiastowego wycofania głupich słów i na ich miejsce wybuchu ognistych przeprosin i pociechy, nigdy w ogóle nie wychodzić za tego palanta za męża, zmieść z powierzchni ziemi tę zdzirę, w której myśli, że się zakochał...

Na razie Dominik przed nią klęczał, a ona nie wierzyła w rzeczywistość. Patrzył psim spojrzeniem pełnym obaw i nadziei, a Majka usiłowała opanować chaos w środku i odzyskać zdolność mowy.

Z próżni absolutnej wydłubać jakieś słowa.

Czy można coś wydłubać z próżni...?

Zrozumieć, co się w ogóle dzieje i uwierzyć w to...

Jak to...? Uwierzyć...?!

Ależ przenigdy! To niemożliwe!!!

Pełna niewiara w rzeczywistość pomogła. Dominik po prostu zwariował i to jest jakieś chwilowe zaćmienie umysłu, któremu trzeba delikatnie

przeciwdziałać. Delikatnie! Brutalny protest podobno szaleńcom bardzo szkodzi. Te różne stresy przeżywał i proszę, jednak się na nim odbiło.

– Tak – powiedziała łagodnie. – To znaczy, nie! Wstań. I usiądź. Porozmawiajmy spokojnie.

Dominik posłusznie podniósł się z klęczek i usiadł na swoim krześle. Psia nadzieja wręcz z niego biła.

– Czy to znaczy, że zgadzasz się na rozwód...?

– Jaki rozwód, kota masz? – wyrwało się Majce niecierpliwie i opanowała się czym prędzej. Miało być delikatnie... – Możemy pogadać i o rozwodzie, trochę nagle to wymyśliłeś...

– Ja się tym dręcę już jakiś czas.

– To dlatego byłeś ciągle taki zdenerwowany?

– Zgadłaś! – westchnął z ulgą Dominik. – Nie chciałem. Nie zamierałem... Nie miałem tego w planach, nie myślałem... Ale już dłużej nie mogę.

Majce robiło się wszystko. Zimno w środku i na plecach, gorąco wewnątrz, a na plecach dreszcze, jakby kłęb ugniecionej waty w przewodzie oddechowym i kamień w przewodzie pokarmowym, wyraźnie czuła początki zawału, wylewu i zapaści, wymieniające się między sobą w sposób niezdecydowany. Zadziwiający był fakt, że udawało jej się myśleć, głupio bo głupio, ale jednak myśleć. Najchętniej spuściłaby ze smyczy rozpacz i śmiertelne oburzenie, zrobiłaby awanturę jak stąd do Australii i z powrotem, wypuściła z siebie wszystkie historie świata we łzach, szlochach i z krzykiem. Najchętniej! I co jej z tego...?

Myśl zaprotestowała stanowczo. Żadne takie, skończyłoby się piekłem na ziemi, zerwaniem ostatecznym, precz z moich oczu, ty świnió, won do tej kurwy, i to zaraz! I rzecz jasna, jego ucieczką z domu, albo wzywaniem pogotowia i może nawet straży pożarnej. Ucieczka najpewniejsza,

wymknąłby się jej z ręki, mowy by już nie było o jakimkolwiek porozumieniu, o dobrych stosunkach, przyjaźni, straciłaby wszelki wpływ i na niego, i na rozwój wydarzeń. Przecież ten Dominik jej się zwierza! Szuka rady, pociechy, aprobaty, poparcia, czuje się źle i ma taką wielką nadzieję, że ona, Majka, coś poprawi...

Aprobaty, akurat. Poparcia, jeszcze czego, już się rozpędziła. Poprawi... No właśnie, żeby poprawić, musi być z nim w pozornej bodaj zgodzie!

Popiła chrypkę w gardle herbatą i pozbyła się najuciążliwszej przeszkody. Głos odzyskał wolną drogę.

– Tym bardziej czas to rozwikłać – rzekła z życzliwą troską. – Czy można wiedzieć, kim jest ta twoja... jak by tu... komplikacja uczuciowa?

I w tym momencie zabrakło jej tchu, zmroziła ją straszna myśl. Elżbieta...! Jezus Mario, Elżbieta! Błyskotliwa, sympatyczna, pomysłowa, matematyczka genialna, pomiędzy nimi więź intelektu i ducha, z Elżbietą nie da się konkurować...

Zamarła na chwilę, dość długą, bo Dominik z ujawnieniem tożsamości bóstwa miał kłopot i musiał zebrać siły. Widać było jak się przemaga.

– Emilka – rzekł wreszcie.

Zaskoczył Majkę całkowicie.

– Jak to? – wyrwało się jej. – Nie Elżbieta?

– Jaka Elżbieta? – zdumiał się Dominik.

– Wasza Elżbieta. Ta duża, koścista.

– Elżbieta? Skąd ci się wziął taki pomysł? Do głowy by mi nie przyszło... Nie, nie Elżbieta. Emilka.

Teraz już tę Emilkę wyrzucił z siebie bez przeszkód, swobodnie, nawet chętnie, prawie w upojeniu. Majka doznała wrażenia, że cudowne imię samo pcha mu się na usta i przemocą wyłazi.

Nieziemska ulga, że to nie Elżbieta, przywróciła jej trochę przytomności umysłu. Emilka...? Zaraz. Jaka Emilka...?!

– Jaka Emilka? – spytała surowo i podejrzliwie. – Kto to jest?

– Wiesz przecież... Emilka z dokumentacji. Robi wszystkie wydruki.

Majka doznała olśnienia.

– Kręcidupcia!!! – krzyknęła ze zgrozą. – Kręcidupcia...?! Tyś zwariował! To niemożliwe!!!

Dominikiem wstrząsnęło straszliwie, twarz mu poczerwieniała, szczęki się zacisnęły, dziki gniew strzelił z oczu. Majka znieważyla świętość! Zatchnęło go, przez chwilę nie był w stanie nic powiedzieć.

Doznania Majki zmieniały się w tempie nadprzyrodzonym, ulgę, że nie Elżbieta, zastąpiło osłupienie, dotarło do niej nagle kretyństwo informacji i straszliwie zachciało jej się śmiać. Opanowała nietaktowną wesołość, w czym dopomógł niepokój o Dominika, oszalał z pewnością, musiał dostać małego rozumu, co za brednia jakaś kłębi się tu nad stołem! Kręcidupcia, rzeczywiście, zakochał się w tym pośladowym wiatraku, równie dobrze mógł się zakochać w wentylatorze. Co mu na mózg padło, na litość boską?!

– Chcesz powiedzieć, że zakochałeś się w tej owcy? – spytała z niesmakiem, bo Dominik wciąż milczał, niezdolny do rozluźnienia szczęk. – To przecież niemożliwe. Po pierwsze, nie wierzę, a po drugie co, masz w planach pojedynki ze Zdzisiem?

W Dominiku też się zmieniało, aczkolwiek w tempie mniej piorunującym. Zdolność mowy mu wróciła, nieco wybrakowana.

– Co masz na myśli? Z jakim Zdzisiem?

– Z tym, jak mu tam, Mieszalskim. Sanitarny. Zakamieniały wielbiciel Kręcidupci, podobno narzeczony...

– Nie używaj tych określeń! – ryknął Dominik przez zaciśnięte zęby, zatem dość charkotliwie. – Żądam jakiegoś szacunku!!!

Majkę z miejsca trafił szlag.

– Do czego szacunku?! Do tego badziewia?! Do rozparzonej owcy?! Jak ty śmiesz przyrównywać ten wirnikowy tyłek do własnej żony! Do matki własnych dzieci! Co za paranoja cię opętała...! – zreflektowała się tak gwałtownie, że omal jej nie zadławiło, bo Dominik zsiniał, rany boskie, miało być delikatnie...! – To znaczy nie, kochanie, bardzo cię przepraszam, zdenerwowałam się, na moim miejscu też byś się zdenerwował, co to w ogóle za informacja, co się w ogóle dzieje, mieliśmy porozmawiać spokojnie, a ty mnie walisz znienacka jakimś kafarem po głowie! Co to wszystko znaczy?!

Dominik opanował się z wysiłkiem zgoła nadludzkim.

– Tak – rzekł po chwili głosem prawie normalnym. – Toteż właśnie. Myślałem, że mi pomożesz.

– W czym?

– W jakimś wyjściu z tej sytuacji. Nie mam nikogo innego.

Majce omal nie wyrwało się z ust drwiące pytanie, czy Kręcidupcia do pomocy niezdatna, ale zdążyła ugryźć się w język.

– Co masz na myśli, mówiąc o wyjściu? Sytuacja nie jest taka znowu niezwykła, żonaty facet zapadł na amok do jakiejś... – urwała, w żaden sposób nie mogąc znaleźć eleganckiego odpowiednika „głupiej kurewki”, nic się dla tej parszywej Kręcidupci nie nadawało, poddała się wreszcie – postronnej osoby... W takim wypadku zazwyczaj ucina sobie małe co nieco z postronną osobą, dyskretnie, żeby nie kompromitować żony i po krzyku. Co ci stoi na przeszkodzie?

– Nie! – powiedział Dominik takim tonem, że zabrzmiało to jak wyrok ostateczny.

– To czego chcesz?

– Nie będę cię oszukiwał i uprawiał pokątnych romansów!

Majka zaczęła tracić opanowanie i cierpliwość. Wspaniałą, pożał się Boże, rycerskość oceniła właściwie, opinię udało jej się ukryć.

– Tylko co? Jawnie porzucisz żonę i dzieci, i zamieszkas z Kręcidupcią? To wypadnie szlachetniej?

– Dzieci zabiorę...

– Nie – powiedziała Majka bardzo spokojnie, ale tak, że słowo przedarło się nawet przez grube żelastwo na zakutym łbie. Temat przestał istnieć wcześniej niż się pojawił.

Z Dominika wyszło znękanie. Razem z nim żal, przygnębienie, zakłopotanie, irytacja i upór, wszystko razem jakby w kropki. Kropki wyskakiwały ze środka i lśniły nadzieją szczęścia.

– Żadne skoki w bok nie wchodzą w rachubę. Ja nie chcę zdradzać żony! I nie będę!

– To nie zdradzaj, nie ma przymusu...

– Mnie... Ja kocham Emilkę, nie rozumiesz tego?

– Rozumiem. Mnie przestałeś kochać z dnia na dzień?

– Nie przestałem. Kocham cię. Jesteś dla mnie jak siostra...

Przekonanie, że Dominik zwariował rosło w Majce z chwili na chwilę. Rozszalałych w nim z nagła wielkich uczuć do tej idiotki, Kręcidupci, nie tylko nie mogła zrozumieć, ale nie była w stanie nawet w ich cień uwierzyć. Czy ona rzeczywiście ma na imię Emilia? Może to wcale nie o nią chodzi? Ale przecież nie zaprzeczył, nie skorygował pomyłki, obraził się tylko i zaprotestował przeciwko szarganiu świętości, więc jednak ona, ta małomówna owca. Co mu się mogło stać, na litość boską?!

Nie potraktowała tych bredni poważnie. Spadł na niego jakiś chwilowy obłąd, z którego należy go powolutku i spokojnie wyprowadzić, oprzytomnieje i sam się będzie sobie dziwił. Może jakoś racjonalnie...

– Dobrze, siostra, powiedz zatem jak siostrze, co w niej tak nagle ujrzałeś? Olśniła cię intelektem?

– Okazuje się, że jest niezwykle inteligentna.

– O Jezu... – wyrwało się Majce i czym prędzej stłumiła jęk. Nie, jęczeć może tylko w duchu, na zewnątrz kamienny spokój, a sobą zajmie się później. – Rozmawiałaś z nią? Tak obszerniej?

– Oczywiście. Ostatnio prawie codziennie. Nikt mnie tak nie potrafi zrozumieć.

Cholera. Kliniczny przykład. Każdy chłop się na to złapie...

– To znaczy, ty mówiłaś do niej, a ona słuchała uważnie i kiwała głową?

– Skąd wiesz? – zainteresował się żywo Dominik.

– Z doświadczenia.

Dominika coś tknęło i chciał nawet zapytać, jaki rodzaj doświadczeń wchodzi tu w grę, ale Kręcidupcia pchała mu się na usta tak potężnie, że nie zdołał jej powstrzymać.

– W pełni się ze sobą zgadzamy, pod każdym względem! Chcę się z nią ożenić. Jawnie. Legalnie. Powiedziałaś, że zgodzisz się na rozwód?

– Nie, nie powiedziałam, że się zgodzę. Powiedziałam, że należy się nad tym zastanowić. I może ja też tu mam coś do gadania, bo nie zniknęłam nagle z powierzchni ziemi na korzyść Kręcidupci...

– Przestań używać tego określenia!

– A to niby dlaczego?

– Mam prawo żądać od ciebie szacunku dla moich uczuć!

– A ja dla moich też, wyobraź sobie! Może przyjmiesz do wiadomości, że też mam jakieś uczucia! I nie jest to miłość do zasranej Kręcidupci!

Dominik poderwał się od stołu niczym dziki bawół. Majka nawet nie drgnęła, siedziała wyprostowana i patrzyła na niego z tak śmiertelną pogardą, że jej spojrzenie mogło zastąpić salwę z dział dalekiego zasięgu.

W Dominiku coś pękło, wszak to nie bóstwo anielskie było celem tej wzgardy, tylko on! On sam! No tak, może i rzeczywiście coś tu przeoczył...

Usiadł. Z martwą twarzą.

Mimo ogłupienia doskonałego, nie stał się nagle kretyńcem. Zdolność myślenia w nim tkwiła, przywalona grubą warstwą wybryków uczuciowych, pisnęła nagle z dna. Chciał z Majką polubownie, tak bardzo, tak bezgranicznie chciał dostać od niej prezent, ale chyba coś mu źle wyszło...

W ogóle czegoś chciał. Okropnie chciał. I jak to, miałby tego nie dostać...?!

– Zastanawiałem się – wyznał ze smutkiem i robiło takie wrażenie, jakby żalonym wzrokiem śledził znikającego w sienie dali bawołu. – I nie widzę dla siebie innego wyjścia. Nie potrafię... Nie czuję... Nie widzę cię już w roli mojej żony...

Majka złapała dech. Znow nadludzkim wysiłkiem powstrzymała wszystkie rwące się z niej na świat komentarze. To jedno zdanie Dominika dostarczało żeru na całą epopeję i gdyby była pewna, że mu tym nie zaszkodzi... O, nie pożałowałyby sobie! Ale widać przecież kotłującą się w nim paranoję i tę obsesję rozwodową, no i trudno, nie da rady inaczej, trzeba utrzymać łagodność anielską i udawać spokój...

Zdołała oszukać Dominika. Nie stracił nadziei na ugody rozwód, pojęcia nie miał, co się w niej dzieje, i wątpliwe bardzo, czy chciał wiedzieć, atmosfera siostrzanego współczucia i trwałej przyjaźni utrzymała się na stanowisku. Dominik swoją rozterkę zwałił na nią.

Wiedziała doskonale, co będzie dalej i jak się skończy zasadnicza rozmowa małżonków, ale tym razem czuwała.

Ukojony już nieco Dominik podnosił się z krzesła z prasą w rękę, wiadomo było, że teraz zamknie się w łazience, odgradzony od wrogiego

świata, ale Majka zdążyła przed nim. Zerwała się, chwyciła książkę, zgarnęła papierosy i zatrzasnęła za sobą drzwi azylu, kiedy świeża ofiara Kręcidupci była zaledwie w połowie drogi.

* * *

Tak naprawdę, kataklizm w całej jego grozie dotarł do Majki dopiero następnego dnia. Miała całą noc na przewałkowanie katastrofy, prawie nie spała, słuchała jak Dominik obok niej pochrapuje błogo i przemyśliwała nad samobójstwem. Niechby się rano obudził i proszę bardzo, znalazł obok zimnego trupa, miałby miłą niespodziankę.

Powstrzymała ją myśl, że po pierwsze, niespodzianka mogła być naprawdę dla niego przyjemna, po drugie, możliwe, że nie zwróciłby uwagi, trup w temperaturze pokojowej zachowałby jakąś ciepłotę i nie osiągnął dostatecznego zlodowacenia, a po trzecie, to wszystko razem nie może być prawdą. Jakiś obłąd, należy ratować jego, siebie i dzieci, a pośmiertnie z pewnością jej się to nie uda. Co, miałyby straszyć po nocach w postaci upiora? Bzdura.

Zrezygnowała z samobójstwa.

Przeczekwała wyjście dzieci do szkoły i Dominika do pracy, podtrzymała siły herbatą po angielsku, ze wstrętem ominęła wzrokiem produkty spożywcze i z całym balastem okropności w środku też zabrała się do roboty. Miała zlecenie, od dawna odkładane i zaniechane, które teraz okazało się nagle wprost idealnie dopasowane do sytuacji, mianowicie aranżację wnętrza niesłychanie ekskluzywnego zakładu pogrzebowego wraz z salonem do kremacji zwłok. Wręcz sala widowiskowa, tu widownia dla gości, a tam estrada z płonącej trumną. Właściciel bąkał coś, że podobno w Ameryce jakoś tak to miewają zrobione, że nieboszczyk w płomieniach siada, ale podobno przy takiej okazji zdarzyły się już dwa zawały, więc

może tak daleko nie będziemy się na razie posuwać. Majka właśnie z przyjemnością zaprojektowała najstraszliwszą makabrę i niemal pożałowała jego powściągliwości.

Owszem, temat ją szybko wciągnął. Z lubością układała dekoracyjnie kiry i piszczele, kiedy zabręczała komórka.

– Jesteś w domu, czy gdzieś między ludźmi? – spyta ostrożnie Halina, żona Jurka. – Bo mam nieprzyjemności.

– Twoje, czy moje?

– Twoje, przykro mi. Moje wtórnie, bo wiesz, że cię bardzo lubię.

Majka również bardzo lubiła Halinę.

– Nie szkodzi, nie żałuj sobie. W domu jestem i nikogo tu nie ma.

– Pracujesz? Przeszkadzam ci?

– Wcale mi nie przeszkadzasz, owszem, mam bardzo przyjemną pracę, ale ona nigdzie nie ucieknie. Chętnie przerwę i popatrzę na nią później świeżym okiem.

Halinie zrobiło się Majki strasznie żal. Przez telefon wydawało się, że jest w znakomitym humorze, żadnego nieszczęścia nie przeczuwa, a ona chce jej ten świetny nastrój zniweczyć. Nic podobnego, wcale nie chce, wbrew chęciom po prostu musi. Zawahała się.

– Ty wiesz, że ja się tak specjalnie w plotkach nie lubuję...

– Wiem.

– Jurek tym bardziej nie...

– Też wiem.

– Ale... Zrobiło się coś takiego... Jurkowi oczywiście przez gardło by nie przeszło, mnie powiedział, wybąkał właściwie, tobie by przenigdy... A i tak połowę musiałam sobie wydedukować i uważam, że trudno. Wstrętne to, ale powinnaś o tym wiedzieć. Nie ostrzec cię, byłoby świństwem.

Majka dopiero teraz uświadomiła sobie, o czym Halina mówi. Niewątpliwie nagła i szalona miłość Dominika do Kręcidupci dała się zauważyć w pracy, wzbudziła litość i trwogę, i co przyzwoitsze osoby uznały, że Majki w nieświadomości zostawić nie można. Na kretynek wyjdzie, a po co to komu? Niech sama zadecyduje, jak potraktować obłąd męża.

– Pomogę ci – zlitowała się nad Haliną. – Dominik zaczął latać za Kręcidupcią i nikt nie wie co zrobić.

– Skąd wiesz? – zdumiała się Halina.

– Sam mi o tym powiedział.

– Coś podobnego! To jednak jakaś przyzwoitość jeszcze się w nim kołacze! Ale, jeśli chodzi o ścisłość, to zdaniem Jurka, nie on lata za nią, tylko ona za nim. On zaczął dopiero teraz.

– I wszystkich przeraził?

– I zniesmaczył. Wszyscy są po twojej stronie, mówię ci, żebyś wiedziała. Szczegółów oczywiście nie znam, ale ty znasz Jurka i rozumiesz dlaczego...

– Pewnie, że rozumiem.

– I przepraszam cię bardzo...

– Nie ma za co. Przeciwnie, jestem ci wdzięczna...

Odłożywszy słuchawkę, Majka przelotnie zastanowiła się, kiedy też zadzwoni do niej Zosia, żona Stefana, od której z pewnością dowie się więcej, po czym ze wzmożonym zapalem wróciła do pracy. Zakład pogrzebowy artystycznie posepniał i już zaczynał budzić dreszcze.

Zadzwoniła Bożenka.

– Jesteś w domu, to ja wpadnę. Zaraz.

– Skąd wiesz, że jestem?

– Na stacjonarny dzwonię, nie zauważyłaś?

– A, rzeczywiście. Ale chyba nie mam piwa.

– Nie szkodzi, przywiozę...

Lokując przywiezione przez Bożenkę piwo w lodówce, Majka usłyszała z salonu okrzyk zgrozy.

– Rany boskie...! Co to jest?!

Wyrzała z kuchni czym prędzej. Bożenka stała nad jej miejscem pracy i wpatrywała się na zmianę, w rysunki na rajzbracie i w ekran komputera. Wydawała się wstrząśnięta.

– Słuchaj, to się może przyśnić! Ja tracę apetyt! Skąd ci się takie grobowe...? Trupie...?!

Majka ucieszyła się ogromnie i ustawiła szklanki na kawałku stołu.

– No proszę, znaczy, dobrze mi wyszło? Podoba ci się?

– Jakie podoba, pogięło cię? Paranoi można dostać od samego patrzenia! Na cholerę ci to? To ci tak w nerwach wychodzi...?

– Przeciwnie. Wychodzi dla pieniędzy i tym samym koi nerwy. Znakomite zlecenie, tylko do tej pory nie miałam natchnienia.

Bożenka odetchnęła głęboko, odczepiła się od grobowych widoków, nalała sobie piwa i siadając w fotelu, pokiwała głową.

– No tak, rozumiem. Teraz ci z natchnieniem łatwiej, co? Już wreszcie uwierzyłaś w moje gadanie?

Majka, również zaopatrzona w piwo, usiadła na swoim roboczym stołku. Przed nosem miała nowe dzieło, na które spoglądała z rosnącą przyjemnością. Podwójną. Pasowało do jej stanu ducha, a w perspektywie ukazywało całkiem niezły szmal.

– Dominik się przyznał – powiadomiła Bożenkę beznamiętnie. – Kręcidupcia mu załśniła niczym zorza polarna. Jest to coś tak potwornie idiotycznego, że nie jestem w stanie mu uwierzyć. Uważam, że zwariował i martwię się o niego. Jak to się w ogóle mogło stać?

Bożenka odsapnęła, napiła się piwa i wyjęła z torby papierosy.

– A zaraz ci powiem, jak. Wcześniej bym do ciebie przyleciała z konkretami, ale pojęcia nie miałam, że tak to skoczy. Ta idiotka, Anusię mam na myśli, nic nie mówiła, tylko taką grobową gębę obnosiła po biurze, o, do tego twojego zlecenia – wskazała szklanką monitor – pasowała jak w pysk dał. Dopiero teraz puściła farbę, bo na Kręcidupcię szlag ją ciężki trafia.

– A cóż jej ta wiertarka dentystyczna zrobiła?

– Jak to? Nie mówiłam ci? Dziwne. Myślałam, że mówiłam.

– Nic straconego. Jeśli nie mówiłaś, powiedz teraz, cokolwiek by to było. Chętnie posłucham.

– Niechętnie. Może chciałam być taka cholernie taktowna i kulturalna? – zadumała się na chwilę zdziwiona sobą Bożenka. – No i na plaster nam te subtelności, było od razu wyłupać, najwyżej byś mnie znieubiła, a potem pożałowała, że znieubiłaś. To teraz się nastaw. Zbierz te tam takie swoje duchowe.

Majka zebrała swoje duchowe.

– Ta tłusta sylfida latała za twoim Dominikiem aż świstało w powietrzu – powiedziała Bożenka twardo. – Znaczy, była tłusta, teraz schudła aż miło popatrzeć... Ty... – zastanowiła się nagle. – Może ja też bym polatała za twoim Dominikiem? On mógłby na tym zarabiać, ileś tam za każdy kilogram?

Wbrew wszystkiemu pomysł Majkę zainteresował.

– On pracuje dla idei – westchnęła z żalem.

Bożenka poprawiła się w fotelu i sapnęła potężniej.

– Nie, to nie, można by i za darmo. No więc Anusia latała, mizdrzyła się, wdzięczyła, po pracy zostawała, uczynna taka aż się niedobrze robiło... No nie, o tym ci przecież mówiłam?

– Owszem, o tym tak.

– No więc właśnie! Kawkę–herbatkę konstruktorom robiła z chrześcijańskiego miłosierdzia, bo tak się męczą, ale powiem ci szczerze, myślałam, że jej biega o Stefana albo o Pawełka, przy Stefanie słowa jednego bym nie powiedziała, niech go sobie ma, bo jego Zosia na nic dobrego nie zasługuje, a Paweł nie ślamazara, da jej radę. A tu wyszło szydło, Dominik! A twój Dominik grzeczny, uprzejmy, życzliwy, z kindersztubą sprzed pierwszej wojny światowej, rycerz psiakrew, tego bluszczyka, co mu się wieszka na szyi, wszak brutalnie nie otrząśnie! No i kretynka uwierzyła w sukcesik, co tam między nimi było, dokładnie nie wiem, bo tylko to wyłkiwała, wyszłochiwała i wysmarkiwała, ciężko zrozumieć, ale jeśli coś, to zryw chwilowy. A sympatia nie znika, więc nadzieja zostaje. I tak tą nadzieją sobie żyje i chudnie, a tu jej wlaźła Kręcidupcia!

Z niewiadomych powodów w tonie Bożenki pojawił się ponury triumf, co najmniej tak, jakby się z kimś założyła o zdobycze Kręcidupci. Zaraz wyszło na jaw, że wręcz przeciwnie.

– Też właściwie nie uwierzyłam i nawet się popukałam palcem w głowę, ale wtedy już z niej lawa poszła. Kręcidupcia sama jej powiedziała... Przecież to były przyjaciółki...! Od serca! Że ona sobie tego Dominika upatrzyła już dawno i on się z nią ożeni, już ona się o to postara, bo chce być panią kierowniczką pracowni i reszta świata gównem ją obchodzi. Anusią wstrząsnęło, bo co innego romansik, a co innego takie podchody, przecież on ma żonę i dzieci, na to ta zdzira powiedziała, że w dupie ma jego żonę i dzieci. Że niech tylko znajdzie okazję bliżej się do niego przykleić i już go ma. I tak ciągnęła do niego, sama chyba, do cholery, widziałaś, a szło jej jak z kamienia, bo Dominik nie wyrywny. No i najwidoczniej tę okazję znalazła!

Nie mówiąc ani słowa, Majka poszła do lodówki po następne piwo. Istotnie, zabiegi Kręcidupci na własne oczy widziała co najmniej raz. Zlekceważyła je. Zlekceważyła także to coś, co ją w środku tknęło. Takie barachło, jak ta rozkręcona kurewka, nie mogło przecież zagrozić żadnemu normalnemu małżeństwu, nie mogło zostać potraktowane poważnie! Jakim cudem Dominik dał się narwać...?

Wróciła z zimnymi puszkami.

– Bo chce zostać panią kierowniczką pracowni... – powiedziała kąśliwie. – Tylko? Tak niewiele?

– Jej wystarczy. W Dominiku, Anusia mówi, zakochała się na śmierć i życie, ale w awansie społecznym też. Podobno ochroniarz w wejściu nie zwraca na nią uwagi, a ona chce, żeby jej się kłaniał, jak Boga kocham, pokręcone ma nie tylko w tyłku, ale i we łbie, czekaj, tego w ogóle jest więcej, bo jak się idiotce krater otworzył, zamknąć nie mogła. Niagara poszła, chaotycznie wyszłochiwała, a ja się teraz staram powtarzać ci to jakoś uporządkowane. Wolisz tematycznie, czy chronologicznie?

– Chronologicznie już chyba zaczęłaś?

– Nie wiem. Myślisz...?

– Anusia mu się wieszala najpierw, Kręcidupci, jak podejrzewam, zwierzała się w upojeniu z zaznawanych słodczy, Kręcidupcia jej pozazdrościła i ruszyła na polowanie, zwierzyna wlaźła w sidła. To chyba chronologia, nie?

Bożenka patrzyła na Majkę w osłupiałym podziwieniu.

– Jak ty możesz tak to spokojnie znosić?

– Ja tego wcale nie znoszę. Ja w to ciągle jeszcze po prostu nie wierzę, bo to jest zwyczajnie niemożliwe.

– Może i niemożliwe, ale jest – westchnęła Bożenka. Chyba rozumiem, do ciebie na razie nie dotarło.

– I nie dotrze – zapewniła ją Majka jakimś dziwnym głosem. Jakby anielsko–twardym. Względnie twardo–anielskim.

Bożence oko zahaczyło o pogrzebowe dekoracje na monitorze, na szczęście widziała je skosem, więc niedokładnie, i pośpiesznie odwróciła wzrok. Doląła sobie piwa do szklanki.

– To teraz wolisz jak?

– Zyskuję wiedzę, a wiedza to potęga – pouczyła ją Majka w zadumie. – Już rozumiem, po co mu rozwód.

– Co...?

– Rozwód.

Bożenka lekko zakrztusiła się piwem.

– On chce rozwodu? Ja dobrze słyszę, czy mam jakieś majaki?

– Głupia jesteś! – zirytowała się wreszcie Majka. – A czego innego może chcieć, skoro ta wirówka kusicielska postanowiła zostać panią kierowniczką pracowni? Bigamia jest karalna.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Nigdy więcej – odezwała się wreszcie Bożenka z zaciętością – nie przyjdę do ciebie bez porządnego pół litra w torbie. Czterdzieści procent to minimum absolutne. Takie rozmowy są szkodliwe i psychikę należy podtrzymać, bo inaczej człowiek zostanie bez klamek, a tu nie ma siły, bez wódki nie razbieriosz.

Majka zsunęła się ze stołka, poszła do kuchni i dość szybko wróciła z butelką w ręku.

– No to proszę, przypomniawsz mi, że przecież mam. Mówiłam, że czysta wódka długo się trzyma, to mi zostało od Wielkanocy. Napoczęte do śledzika i tak sobie stoi. W lodówce. Zimna.

– A śledzik...? – wyrwało się Bożence z nieudolnie skrytym zainteresowaniem.

– Śledzik się tak nie trzyma, został skonsumowany. Ale mam tu oliwki, całkiem świeże. Może na tę ucztę przejdźmy lepiej do stołu...

Stanowczo Bożenka wolała siedzieć przy stole jadalnym, bo tam nie groziły jej już trumienne widoki, warsztat pracy Majki został za plecami. Przenosiny, wyjmowanie z kredensu kieliszków i kompotierki z oliwkami dały jej czas na pogodzenie się z rozwodem Dominika.

Właściwy napój pozwolił wrócić do tematu.

– No to teraz będą okoliczności towarzyszące. Jak mi powiesz, że nie chcesz usłyszeć, w życiu ci nie uwierzę...

– No chyba teraz ciebie porąbało! – przerwała Majka, już mocno zniecierpliwiona. – Czy jakiś debilizm się na mnie objawia? Jak mogę nie chcieć usłyszeć, skoro przed chwilą ci powiedziałam o tej wiedzy! Wal spokojnie dalej, kulisy są ciekawsze niż samo przedstawienie.

Z tym Bożenka zgodziła się bez oporu.

– No więc Zdziś też nie wierzy – podjęła. – Bo łatwo zgadniesz, że on nie ślepy, a ona go rzuca dla Dominika, ale tak dziwnie rzuca, że niby rzuca, a za rożek w rękę trzyma...

– Żeby jej całkiem nie poleciał z wiatrem...

– No i patrz, jak ty dobrze zgadujesz. A on w nerwach jednak, bo okazuje się... ale to już wiem trochę mętnie... że kretyn wcześniej miał żonę i rzucił ją dla Kręcidupci. Chyba mówiłam ci o tym. Podobno rozwiódł się łatwo, bo dzieci nie mieli. Ale trochę potrwało.

– I dlaczego się z nią nie ożenił?

– Podobno nie zdążył. Ten rozwód uprawomocnił mu się nie tak dawno, i chyba ta suka już zauważyła Dominika i zaczęła nosem kręcić...

– Czy ona ma coś, czym nie kręci?

– Tego nie wiem, anatomia zawsze mi się myliła. Ale czekaj, Anusia mówi, że Dominik strasznie długo się trzymał, nie zwracał uwagi na ten

rozchwierutany zadek i ona już nabrała nadziei, Anusia znaczy, że romans jej się odnowi, pogłębi i dłużej potrwa. Dominik jaką inicjatywę wykaże, bo tak to ogólnie oporny, ona się pchała do niego, a nie on do niej...

– Zawsze pociecha – mruknęła Majka filozoficznie.

– Ale na motorze ją woził. Nie żeby w jakie plenery albo w kółko po mieście, tylko okazjonalnie. Z pracy do domu podrzucić, do pracy, po drodze, na łbie stawała, żeby mu było po drodze, no i popatrz, a ja, jak taka chora krowa, dziwiłam się, co ona tak jakoś skokami z pracowni wychodzi. Ma dłużej posiedzieć, jest robota, niby siedzi i ni z tego, ni z owego, jakby ją co w tyłek ugryzło, podrywa się i już jej nie ma. Albo odwrotnie, musi wyjść, strasznie się śpieszy i siedzi do uśmiechniętej śmierci. Albo w ogóle odwrotnie.

Urwawszy na chwilę, Bożenka z uwagą przyjrzała się kieliszкови z zawartością, chlupnęła do dna i sięgnęła po oliwkę. Majka słuchała z wielkim zainteresowaniem.

– W ogóle odwrotnie, znaczy jak?

– Wylatuje jak wściekła i zaraz wraca. I już siedzi. Wylatywała, czas przeszły, teraz nie, skoro Kręcidupcia ją wygrzyła.

– Teraz Kręcidupcia wylatuje?

– Tego nie wiem. Anusię mam pod nosem, a tamtej suki nie widzę. Rozumiesz, rzecz w tym, że z naszego okna widać kawałek parkingu i tamte służbowe garaże, Anusi było łatwiej, zanim Dominik motor wyciągnął, zdążyła dolecieć. No, chyba żeby nie. Wtedy wracała.

Majka kieliszek z napojem miała przed sobą, do towarzystwa, ale wolała piwo. Ten jeden kieliszek mógł jej wystarczyć na długo. Zastanawiała się w skupieniu.

– Czekał. Nie zgadza mi się. Przecież Dominik późno wychodził, nie tylko ostatnio, ale zazwyczaj. Ona tak siedziała i wylatywała aż do

wieczora?

– Za to ci głowy nie dam, bo sama wiesz, że mnie często nie ma, ja w terenie pracuję. Ale... O rany...! – Bożenkę jakby nagle zatchnęło, charknęła, otrząsnęła się, podsunęła Majce swój kieliszek. – Daj mi jeszcze trochę tego lekarstwa, bo mnie cofa. Chciałam ci nie mówić... Cholera.

– Co mi jeszcze możesz powiedzieć gorszego niż to wszystko, co samo wychodzi? – skrzywiła się Majka i szczerze uszczęśliwiła Bożenkę pomocą medyczną. – Wal, niech ja wiem, na czym stoję.

– On jest sympatyczny – powiedziała Bożenka żałośnie. – I taki pogodny. I życzliwy...

– Kto?

– Dominik. Niczego złego nie przeczuwa i na pewno wszystko będzie dobrze...

Majce nagle coś w środku pękło. Rozsypało się na drobne kawałki. Trzymała się koncertowo, ale teraz jej cała uzbrojona do walki odporność straciła równowagę. To przecież była największa, najcenniejsza zaleta Dominika, jego optymizm, jego pogoda ducha, jego granitowa wiara, że wszystko będzie dobrze! Zaraźliwe, podtrzymywało psychikę, pomagało przetrwać najcięższe chwile, zwyciężało katastrofy, a w końcu przecież miał rację. Nie było o co szat rozdzierać, nawet najgorsze zdychało i obracało się na lepsze.

O, nie! Żadne takie. Ona też potrafi uwierzyć, że wszystko będzie dobrze. Sama z siebie, i niech to jasny szlag na miejscu trafi!

Chwyciła swój zaniedbany kieliszek, gwałtownie przełknęła medykament, z niebotycznym wysiłkiem zgarnęła do kupy rozsypane kawałki całej siły ducha. Zacementowała błyskawicznie, prowizorka, nie szkodzi, wiadomo wszak, że nie ma nic trwalszego niż prowizorka, na jakiś czas wystarczy. Niech ta Bożenka jej się tu nie dławi!

Ponownie dołała jej mikstury wspomagającej.

– No, już! Nie żałuj sobie. Do Bożego Narodzenia i tak nie wytrzyma, kupię nową flachę. I zrobię śledzika. Wyduś z siebie toksyny, bo jeszcze ci zaszkodzą.

– Ty widzisz, że mam łzy skruchy w oczach...?

– Widzę, ale teraz wolę doznania akustyczne. Wizualne chwilowo mam w nosie.

– Jesteś wielka i potężna – ogłosiła z ulgą Bożenka i zużyła miksturę, Majka zaś pojęła, że za chwilę usłyszy wszystko to, o czym żony dowiadują się ostatnie. Same oliwki bowiem solidnej zagrychy nie stanowią. – No–to–ci–bo–otóż–powiem, że jak oni grali w brydża... Ty wiesz, że grywali w brydża?

– No pewnie, że wiem. Od wszystkich trzech, czwarty był Pawełek. Czasami Dobruś. Albo Elżbieta, ogrywała ich jak szatan. Ale Dominik finansowo nie uczestniczył, więc mi było wszystko jedno, chętnie słuchałam o wzlotach i upadkach. Wszystko wiem, i w tym miejscu pozbądź się zahamowań.

– Bardzo dobrze, mam ułatwione. No więc, jak oni grywali, to ta kretynka uczestniczyła jako wdzięczna hostessa, kawkę im robiła, herbatkę podawała, takie śliczne kanapeczki wtykała do pyska, oni ją mieli w dalekich derrierach, sama grasz i wiesz jak to jest, albo gra, albo ksiuty i figle migle. Nie dla ksiutów tam siedzieli, ostra gra, Jurek pcha się do tej światowej ligi brydżowej, już miał w Anglii jakieś sukcesy, zależy mu, Dominika też korci, to gdzie Anusi do nich...

– Szczególnie do Elżbiety – mruknęła Majka.

– Elżbiecie ona nie przeszkadza, ma ją za utalentowaną idiotkę i olewa dokładnie. Utalentowaną roślinnie, dla ścisłości. I zgadza się, jest utalentowana, inaczej bym ją wykopała, rośliny to żywe stworzenia i tępy

kołek nie dla nich. Ale tam nie kwiatki kwitły, tylko uczucia i jakoś ten Dominik dobroć serca okazał, cholera, ja nawet nie wiem na pewno, czy on się z nią zdrzemnął, ale chyba tak. No co ci poradzę, tak mi wychodzi...

Tak smętna zgryzota promieniowała z Bożenki, że Majka czym prędzej zastosowała płynną pociechę. Prawie rozśmieszyła ją myśl, że nie wiadomo, której z nich ewentualna zdrada Dominika bardziej życie zatruwa, Bożence, czy jej samej. Jeśli nawet monogamiczny i patologicznie wierny Dominik potknął się na zakochanej Anusi, nie miało to żadnych skutków ubocznych i nie dało się zauważyć, ona może sobie zatem tę nieprzyjemność darować. Przeszło mu, jak widać... nie, jak słyhać... zatem wykroczenie należy umorzyć. Anusia niech swoje odcierpi we własnym zakresie, na tapecie są ważniejsze rzeczy.

– A Kręcidupcia? – spytała z lekkim naciskiem.

– Co Kręcidupcia?

– Też robi teraz za hostesę?

Bożenka się prawie obraziła.

– No coś ty! To przecież kretyńka! Anusia jest od niej o dwa wieżowce wyżej, Anusia czasem nawet myśli, a ta...? Kręci! Na tym koniec.

– Ale ma przykład pozytywny i powinna się pchać...

– Już ona do pchania ma swoje sposoby. A Dominika jakoś tak nagle zmamiła, on w nerwach cały, a co do brydza, to nie w głowie im rozrywki, bo w tych swoich wyliczeniach siedzą i usłużny wiatrak im wściekle przeszkadza. Elżbieta ją na zbitą mordę wyrzuciła, skorzystała, że Dominik nie widział. A co więcej, to już nie wiem i ty rób jak uważasz.

* * *

Majce w zasadzie zdobyty zasób wiedzy wystarczał, tylko właśnie miała szkopuł, jeszcze nie była pewna, jak powinna go spożytkować. Osobliwe

zauroczenie Dominika Kręcidupcią wciąż wydawało się niepojęte i nie mieściło jej się w głowie.

Siedząc nadal przy stole, chociaż Bożenka już wyszła, postanowiła przede wszystkim uporządkować własne wnętrze. Popłakać w ostateczności może, chociaż nie ma w tym sensu, łzy niszczą twarz i wzmagają uzalanie się nad sobą, co z kolei szkodzi racjonalnemu myśleniu. Niemożliwe, żeby fascynacja wirującym tyłkiem trwała długo, to jakiś wybryk chwilowy i należałoby go chyba po prostu przeczekać?

No tak. Ale w czasie tego czekania co? Wspólnota z Kręcidupcią...?

Na tę myśl Majką wstrząsnęło tak, że chwyciła butelkę z ocalałą resztką na dnie i opróżniła do końca. Starczyło akurat na jeden kieliszek, całe pięćdziesiąt gramów, kropnęła sobie za jednym zamachem i nie oglądając się na zagrychę, która zresztą też wyszła, tak jak i Bożenka, poderwała się od stołu. Przez moment miała chęć zostawić ślady nagannej uczyt nienaruszone, niech przyjdzie ten kretyn, niech zobaczy, ale natychmiast przypomniała sobie, że wcześniej przyjdą dzieci. No nie, dzieci w to świństwo wtrącać nie należy.

Posprzątała. Nawet umyła popielniczki.

Usiadła do pracy i od pierwszego rzutu oka na monitor doznała pociechy. Cała artystyczna makabra na ekranie i rysunkach przyjemnie współgrała z szalejącym w niej stresem, jedno z drugim doskonale się zgadzało. Uczucia wspomagały pracę, praca wspomagała myśl, nareszcie coś do czegoś pasowało!

Przy obracającej się trumnie, pozwalającej na obejrzenie nieboszczyka ostatni raz przed opuszczeniem ziemskiego padołu... no, opuszczeniem jak opuszczeniem, gdzieś te prochy przecież będą musieli podziać... podobno zdarzyło się, że rodzina zjadła zupę z dziadka, przysłanego w skromnej urnie z Ameryki, ale to było zaraz po wojnie, czasy UNRRY, przysyłali

jajka w proszku, mleko w proszku, zupy w proszku... i nastąpiło tylko raz... a zupa podobno nie była zbyt smaczna, z grzeczności ją zjedli, nie wiedząc, że to dziadek... Trudno teraz wymagać takiego poświęcenia, więc niech robią co chcą, jeśli nie chcą oglądać zwłok, niech zamkną oczy, a w końcu nie ma przeszkód, żeby zamknąć trumnę. I obracać zamkniętą. Jeśli zaś ktoś wyrywny do widoków i, na przykład, nieboszczyka nie lubił, proszę bardzo, mamy jak znalazł, nasz klient, nasz pan...

...przy tej obracającej się trumnie zatem poczuła taką satysfakcję, że cała wewnętrzna burza przeszła w prawie zupełnie łagodne fale, Majka naprawdę kochała swoją pracę. I naprawdę miała talent!

Niestety, kochała także Dominika. I nade wszystko chciała, żeby Dominik też ją kochał...

* * *

– Czy ty już przemyślałaś sprawę? – spytał Dominik tonem, zawierającym w sobie tyle nieprzyjemności, ile tylko zdołało się w nim pomieścić. Twardość, zaciętość, pokorę, znękanie, niepewność, rozpaczliwą nadzieję i zniecierpliwienie.

– Jaką sprawę? – zdziwiła się nieufnie Majka.

– Rozvodu.

Nie upuściła talerzyka z kupnymi pasztecikami, nadziewanymi oliwką. Nabyła je przy okazji zaopatrywania domu w deser dla dzieci, sama jakoś nie miała apetytu i zauważyła, że Dominik też nie ma, a paszteciki wydały jej się pożywieniem łagodnym i łatwym do przełknięcia. Mogły się przydać. Postawiła talerzyk na stole z lekkim zaledwie stuknięciem, ale co ją szlag trafił, to trafił.

– Czy pozbyłeś się już wszelkiej przyzwoitości? – spytała cierpko, siadając przy swojej herbacie. – Wczoraj zwałeś mi na głowę wagon

kamieni młyńskich, a dzisiaj ja mam mieć już kataklizm przemysłany? Sam podobno dręczyłeś się tym dość długo, może ja też powinnam zyskać trochę czasu na udręczenia?

Dominik zacisnął szczęki. Siedział nad swoją szklanką po drugiej stronie stołu i przyjmował do wiadomości istnienie świata jakby połowicznie. Dziećmi się zajął pogodnie, chociaż nieco drętwo, z łatwością zagonił je do snu, ze stołu posprzątał zupełnie odruchowo, herbatkę przyrządził i podał bez żadnych potknięć, a w środku się w nim kotłowało. Można to było zauważyć. Z wierzchu skorupa, wewnątrz wulkan, kurczowo trzymany na uwięzi.

– Nie mogę tak długo czekać – oznajmił przez zaciśnięte zęby.

Wysilek, żeby okazać trochę debilną życzliwość, przerósł niemal możliwości Majki. Z siłą tajfunu pchały jej się na usta różne pytania, czy Kręcidupcia to wyjątkowo punktualny pociąg, który właśnie odjeżdża, czy może biedna dziewczeczka jest w ciąży i musi urodzić legalne, czy też stanowi produkt spożywczy ze ścisłą datą ważności i lada chwila się zaśmiardnie, na co właściwie on ma czekać i dlaczego nie może, i co to znaczy tak długo...?

To ostatnie jednak jej się wypsnęło.

– Co masz na myśli, mówiąc: tak długo? Jak długo?

– Nie wiem. Nie zniosę tej sytuacji!

– Tej sytuacji, kochanie, to raczej ja mogłabym nie znieść...

– Sama ją stwarzasz!

Okrzyk „ty świnió skretyniała!” nie rozległ się potężnie tylko dlatego, że Majkę na moment zadławiło, odebrało jej dech i głos. Dominik zwariował, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości! Co mu się mogło stać, na litość boską?!

Chwila milczenia trwała krótko, ale wystarczyła. Majka walczyła z opornym powietrzem i tylko patrzyła na niego. Wzrok robił swoje.

W Dominiku coś trzasnęło, pękła jakaś zapora, w pęknięciu błysnął ten negowany świat. Zrobiło mu się trochę głupio, poczuł się nieswojo, czy to możliwe, że z czymś tu przesadził, może istotnie wymagał zbyt wiele i zbyt szybko, ale przecież... przecież... Co mógł zrobić, Majka mu kłodą leżała na drodze do niebiańskiego szczęścia...

Leżała i milczała.

Nie chciał, żeby go tak kochała. Nie chciał, żeby go chciała! Bo przecież on jej już nie chciał...

I w żaden sposób nie udawało mu się tego powiedzieć!

Prezentował kliniczny przykład małego rozumu, o czym, rzecz jasna, sam nie miał najmniejszego pojęcia.

Majka wywęszyła drobniutką zmianę w skorupie Dominika. Wciąż milczała, wygodnie jej było milczeć, postanowiła tak milczeć do dnia sądu ostatecznego i patrzeć, co z tego wyniknie. Dominik nie miał pod ręką żadnej gazety, bez prasy nie zamknie się w wychodku, gdyby sięgał po jakąś, ona zdąży przed nim. Zależy mu, to widać, powinien się złamać i coś powiedzieć...

Złamał się.

– Przecież cię proszę! – wyrwało mu się żarliwie. – Przecież wszystko od ciebie zależy. Przecież ja mam prawo do szczęścia!

Majka też się złamała.

– Jakiego szczęścia?

– Osobistego. Każdy człowiek ma prawo do osobistego szczęścia!

– Każdy? Ja też?

Teraz Dominika zatchnęło.

– Ja się zapewne nie liczę? – podsunęła Majka po chwili głosem suchym jak pieprz. – Wczoraj byłam twoją ukochaną siostrzyczką, dziś jestem wrogiem, szczęście wroga nikomu na sercu nie leży. Skąd taka zmiana od wczoraj?

Dominik mógłby jej udzielić odpowiedzi, ale ta odpowiedź jemu samemu się nie podobała i przecucie informowało go, że nic dobrego z niej nie wyniknie. Żadnego łgarstwa na poczekaniu wymyśleć nie potrafił, nie przywykł do okłamywania żony. Poprzestał na niewyraźnym mamrotaniu czegoś o wrogach i siostrzyczkach.

Majka przypomniała sobie, że miała koić jego doznania i stopniowo wyprowadzać go z szaleństwa. Łagodnie i dyplomatycznie.

– Podobno chcesz być przyzwoitym człowiekiem i dotychczas byłeś. Takich rzeczy przyzwoity człowiek nie robi, znalazłeś sobie tę słodczą niebiańską i lecisz na nią, leć skoro musisz, ja ci przeszkód nie stawiam, sypiaj z nią ile chcesz, ale bez radykalnych posunięć...

– Nie.

– Co nie?

– Nie będę... Nie mogę... Ona nie...

– Ach... Ona nie chce bez ślubu i po to ci rozwód...? Cóż za szlachetna, cnotliwa dziewczeczka!

Nie zdążyła ugryźć się w język. Tylko straszliwa mieszanina uczuciowa, jaka eksplodowała w Dominiku, uratowała dom przed zagładą totalną. Gdyby poderwał się, ryknął, trzasnął czymś w podłogę, Majka odpowiedziałaby tym samym, a tłukliwych przedmiotów mieli wokół siebie mnogość wielką. Fakt, że dobrze zgadła, uratował ich mienie, gdzieś na dnie jestestwa Dominika niczym zadra tkwiło poczucie sprawiedliwości.

No właśnie, dobrze zgadła. Tego też nie chciał przyjąć do wiadomości.

– Zabraniam...! – wycharczał dziko i uczynił przerwę, bo zbyt dużo było tego wszystkiego, czego chciałby zabraniać.

Majka błyskawicznie skorzystała z przerwy.

– Ogranicz może nieco swoje żądania i wymagania! Nie jesteś pępkiem świata, jakaś uczciwość cię obowiązuje! I puknij się wszędzie, za chwilę zażadasz, żebym klękała, wymawiając czcigodne imię, chodniczek czerwony pod stopki ścieliła! Ja tej twojej owcy nie kocham, wiesz?! I nie wielbię! I ona dla mnie nie jest bóstwem! Uwielbiaj ją sobie samodzielnie, bez mojej pomocy, a ja mam prawo, wyobraź sobie, nawet jej nie lubić!!!

Tego Dominik nie mógł znieść. Słowa Majki, niestety, brzmiały wręcz zbyt życiowo i zbyt obrzydliwie, o świętokradztwie nie chciał myśleć, usuwał precz te wstrętne racje, zapchany po dziurki w nosie tylko jednym pragnieniem. Uciekłyby natychmiast, gdyby nie cholerny rozwód, na który szansę Majka trzymała w ręku!

Pierwotnym instynktem Majka wyczuła, że za chwilę Dominik znienawidzi ją nieodwracalnie. Łagodna dyplomacja jakoś nie najlepiej jej wychodziła. Wyrażne bałwaństwo Dominika budziło zgrozę, ale gdzieś w głębi duszy zaczynało ją śmieszyć, bo przecież w żadnym absolutnie wypadku nie mogło być trwałe!

Zdobyła się na ugodość.

– No dobrze już, dobrze. Nie przestałam cię kochać i tego ode mnie nie możesz wymagać. Zastanówmy się nad tym idiotycznym rozwodem, któremu trochę może brakuje podstaw prawnych...

Ukąsiła się w język, żeby nie spytać, czy nie życzyłyby sobie, żeby szybko podjęła pracę w burdelu, ewentualnie postarała się o spędzenie kilku nocy w izbie wytrzeźwień. Natrząsanie się z Dominika byłoby takie łatwe, aż się prosiło, nie mogła go jednak tak radykalnie udeptywać. Szkoda...

W Dominiku nadzieja wystrzelała gejzerami.

– Gdybyś złożyła pozew...

Majka spojrzała tak, że słowa zamarły mu na ustach. Zmobilizował się i mężnie ciągnął dalej.

– ...sprawa byłaby prosta. Dałem ci powód...

Majka nadal przyglądała mu się dziwnym wzrokiem.

Dominik nie rezygnował z pomysłu, usiłował ją przekonywać, ale brakowało mu argumentów. Poza jednym, chyba nie najstosowniejszym, że Kręcidupcia tak strasznie tego rozvodu pragnie. Majka mogłaby nie uwzględnić...

– Może od razu powiedz, drogi mężu, tak hurtem, czego też jeszcze byś sobie życzył – odezwała się głosem równie dziwnym jak wzrok, zupełnie innym niż poprzednio. – Mam zmienić nazwisko i wrócić do panińskiego? Mam scedować na twoją nową wielką miłość precjoza po moich przodkach? Mam opuścić to miasto, a może nawet i kraj? Mam się ześwinić i zbydlęcić? I wszystko to mam uczynić dobrowolnie, z własnej inicjatywy i własnym wysiłkiem?

Dziwny głos brzmiał spokojnie, ale po Dominiku przeleciał jakby prąd elektryczny. Bardzo niskiego napięcia, nieszkodliwy, jednakże zauważalny. Huczało mu w uszach, coś tu było cholernie nie w porządku, nie wiedział co, ponieważ za nic w świecie nie chciał się nad tym ani przez sekundę zastanawiać, ale nie podobało mu się to okropnie. Paskudziło straszliwie atmosferę błogiego szczęścia, świtającą na horyzoncie.

Nie bardzo wiedział, co powinien teraz zrobić i zaczął go ogarniać gniew. Na Majkę, na siebie i, wstrząsające, na Kręcidupcię. Wszystko stawiało mu opór, nie życzył sobie oporu, chciał czegoś i musiał to dostać!

– Nie mów głupstw – powiedział z irytacją. – Gdybyś złożyła pozew, wszystko by się unormowało...

W Majce właśnie wszystko przewróciło się do góry nogami. Troska o Dominika przybladła, na jej miejsce zaczęła włączyć wściekłość na tego idiotę i jego wredną kusicielkę. Perfidna kręcioła robi z niego debilnego barana, a on się daje podpuścić w stopniu absolutnie nie do przyjęcia. O, już ona im pomoże, poczekają na upragniony rozwód aż im to nosem wyjdzie!

– Jak dla mnie, wszystko jest normalne – przerwała Dominikowi, wracając do spokoju i nawet uprzejmości. – Nie widzę powodu do zmian w naszej egzystencji.

– Ale ja widzę!

– Nic ci na to nie poradzę. Skoro widzisz, zmieniaj.

– Obiecałaś, że mi pomożesz.

– Owszem. W powrocie do równowagi.

– Jestem całkowicie zrównoważony. Wiem czego chcę i co robię.

– Bardzo dobrze. To do czego ci ja?

– Pomóc mi...

– W zrujnowaniu sobie życia?

– Wydaje mi się, że już masz zrujnowane. Mówiłaś, że mnie kochasz...

– A tobie się to nie spodobało, prawda?

– Wolałbym mniej...

– I właśnie spełniam twoje życzenie. Moje uczucia ulegają zmianie w dość szybkim tempie. Zdaje się, że przestaję cię kochać.

Dominik się idiotycznie ucieszył.

– W takim razie nie masz powodu odmawiać zgody na rozwód!

– Przeciwnie. Nie mam powodu udzielać tej zgody. Gównu mnie obchodzą twoje potrzeby i twoja przyjemność. A dwa powody zasadnicze śpią tam, w sąsiednim pokoju. Równie ważne dla mnie, jak dla ciebie.

No i to była klęska. O istnieniu dzieci Dominik też starał się nie pamiętać, odsuwając je na ubocze na zasadzie „jakoś to będzie”. W końcu tyle małżeństw się rozwodzi... Kochał dzieci, ale jeśli nie widział ich cały dzień, nie szalał z tęsknoty, dzieci też nie rozpaczały, jedząc kolację bez tatusia. Gdyby Majka się nie upierała...

Nagle okazało się, że istnieje więcej prozaicznych przeszkód. Mieszkanie chociażby, lokal zawierał w sobie oficjalne miejsce pracy Majki i w żaden sposób nie można było jej stamtąd wyrzucić. To Dominik musiałby się wyprowadzić, pytanie, dokąd?

W obliczu wspólnych trosk Kręcidupcię jakby trochę wywiało. Majka omijała ją starannie, stabilizując aktualną codzienność i wyszło na jaw, że właściwie nic się nie zmienia. Dominik nadal mieszka w domu, nadal późno wraca, nadal robi dzieciom śniadania, nadchodząca zima zaś zmusza go do zaplanowania wydatków odzieżowych. No właśnie, teraz już jego zmusza, nie Majkę, złożyła wszak w jego ręce rządy finansowe. Drobnym faktem, że dzieci uparcie rosną, zaskoczył go nieco...

W jednym punkcie osiągnęli zgodę nieskazitelną. Ze względu na dzieci tryb życia ma pozostać bez zmian, kłócić się przecież nie muszą, a rodziny zostaną poinformowane o rewolucji we właściwym czasie. Boże Narodzenie odbędzie się jak zwykle i Dominik musi to znieść.

W drugim punkcie osiągnęli równie doskonałą niezgodę. Mianowicie Majka pomocy w kwestii rozwodu kategorycznie odmówiła. Odmówiła i cześć.

* * *

Wreszcie zadzwoniła Zosia Stefana.

Majka czekała na ten telefon nawet dość niecierpliwie, brakowało jej zamknięcia trójkąta, Dominik już, Halina Jurka już, a Zosia Stefana co?

Niemożliwe, żeby tak cudowne wydarzenie Zosi wcale nie obeszło, albo żeby mogła o nim nie wiedzieć.

Okazało się, że Zosi nie było, czterodniowy wyjazd służbowy wyłączył ją z życia towarzyskiego. Zadzwoiła natychmiast po powrocie.

– Jak się czujesz? Słyszę, że bomba pękła, Dominik swoich ciągót ukryć nie zdołał? Jak to przyjęłaś?

W szczerą troskę na wierzchu Majka za grosz nie uwierzyła, w złośliwą uciechę pod spodem – bez trudu. Od razu postanowiła zrobić Zosi przyjemność, bo stwarzało to szansę na zyskanie obszerniejszej wiedzy.

– Jak grom z jasnego nieba. Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć!

– A ostrzegałam cię! Już dawno przeczuwałam, byłabym zadzwoiła jeszcze przed wyjazdem, ale nie zdążyłam. Popatrz, jednak jej się udało, tej rozkręconej kurewce, uparła się przy Dominiku, a i tak długo się trzymał, prawie go podziwiam...

– No właśnie. Jak ona to zrobiła?

– Jak to? Nie wiesz?

– Pojęcia nie mam i nie umiem odgadnąć.

Z telefonu ze świstem wionęła już nie przyjemność Zosi, a wręcz rozkosz. Dreszcz szczęścia z jej pleców przeniósł się do ucha Majki. Wreszcie...! Ten cholerny Dominik, wierny do obrzydzenia, nieskalany, pomnikowo oporny, wreszcie się złamał i wygłupił. I to z kim, z ohydną Kręcidupcią...!

– Ja odgaduję. Odgadłam od razu, chociaż Stefanowi oczywiście nic do głowy nie przyszło, tyle że akurat patrzył na Dominika i coś przynajmniej zauważył. Dopadła go... Bo orientujesz się, że łatwego dostępu do niego tak normalnie nie miała?

– Wydawało mi się, że on nie zwraca na nią uwagi.

– Bo nie zwracał. A jej potrzebny był kontakt bezpośredni. A Dominik niedostępny, ciągle za biurkiem, ciasno tam na jego miejscu pracy, no i wreszcie się przytrafiło jak ślepej kurze ziarno. Wydruki przyniosła, te wielkie płachty, cały rulon i ach, biedactwo niezręczne, to ciężkie przecież, a jeszcze teczki przy tym, upuściła i rozpieprzyło się na wszystkie strony. Z tej skruszonej gorliwości wlaźła pod biurko, zbierała, no a potem musiała przecież wyjść, nie? Dominik stał jej na drodze, za plecami miał szafy i nie mógł się odsunąć, przecisnęła się. Wiesz, jak się przeciskała?

– Nie wiem – wyznała zgodnie z prawdą Majka, bo Zosia, łapiąc oddech, wyraźnie oczekiwała od niej jakiejś reakcji.

– Tyłem! Już rozumiesz? Tyłem! Tym rozkręconym zadkiem!

– Jak źle wychowana osoba w teatrze...?

– Właśnie tak. Tylko osoby w teatrze przepychają się szybciej i nie w uwodzicielskich celach, a ona się zatrzymała. Przed Dominikiem. Tyłem do niego! I niewątpliwie puściła w ruch swój najcenniejszy skarb...

Majka jęknęła, spełniając powinność, żeby nie rozczarować Zosi.

– Stefan akurat na to patrzył, wszedł przed chwilą, stał przy drzwiach i przyglądał się. I mówi, że czegoś podobnego jeszcze nie widział, Dominik zmienił się na twarzy, jakby mu się coś stało, Stefan próbował mi to opisać, ale kazałam mu przestać, bo strasznie dziwne grymasy robił i bałam się, że mu w nałóg wejdzie. Był wstrząśnięty. Ale i bez jego opisów można to sobie wyobrazić, każda z nas takie rzeczy widywała...

– I to chyba nie raz – mruknęła Majka. – No tak, teraz rozumiem. Dziwię się, że wcześniej swoich uroków nie wykorzystała.

– Też się dziwiłam. Ale Stefan mówi, że Dominika zastała samego zupełnie wyjątkowo, zawsze tam ktoś więcej jest, oni ciągle pracują. Albo sobie wymyślają eksperymenty. A w dodatku Dominik grzebał w szafie i

nie siedział za biurkiem, więc mogła się tam wepchnąć. Normalnie byłoby to wykluczone.

– To znaczy, że miała ślepy fart – zaopiniowała Majka, zapominając na chwilę o pożądanych jękach i okrzykach rozpacz. – Czy to dokładnie od tego momentu on zaczął za nią latać?

Zosia najwidoczniej też zapomniała, że rozmawia ze zdrażaną i porzucaną żoną, plotki były zbyt piękne, działały ożywczo.

– Wyobraź sobie, że wcale jeszcze nie zaczął! To ona za nim latała, a on tylko tak jakoś przestał jej unikać.

Wyglądało, jakby czekał, żeby znów przysła i pomerdała pośladekmi...

– A ona chętnie przychodziła i merdała...

– Otóż to! I teraz już przepadło, traktuje to pomietło jak co najmniej następczynię tronu, usiąść nie wolno, jeśli ona stoi, całą swoją kindersztubą ją wprost przytłacza...

– A ona co?

– A ona nawet nie wie, że jest przytłaczana. Nadęty pień! Najgłupsza owca w stadzie, to przy niej Einstein!

– Nektar i ambrozja z twoich ust wybiegają – pochwaliła Majka.

Zosia zreflektowała się gwałtownie. Nie chodziło jej przecież o sprawianie satysfakcji Majce, przeciwnie, spragniona była objawów rozpacz i histerycznych szlochów, za dobrze jej było dotychczas z głupio wiernym Dominikiem, niechby teraz trochę pocierpiała, a Zosia mogłaby ją obłudnie pocieszać. Ale skoro nic z tego, proszę bardzo, mogą obie ponapawać się dramatyczną sensacją, a i tak Zosi jest lepiej, bo nie Stefan robi z siebie idiotę, tylko Dominik.

– Ale ostatnio Dominik zrobił się jakiś nerwowy – kontynuowała. – Podobno miewa skoki nastroju, albo jest ponury i wściekły, albo radosny i sympatyczny, krążą plotki, że to zależy od ciebie.

– Ode mnie? – zdziwiła się Majka. – A cóż ja takiego robię?

– Nie wiem. Właśnie cię chciałam zapytać. Może awantury?

– Musiałabym upaść na głowę, dużo by mi przyszło z awantur. Tak naprawdę robię akurat zakład pogrzebowy i śmiesz mi, że wypada tak idealnie a propos. Ale wątpię, czy Dominik się nim zainteresował. A co mówią plotki?

– Że żądasz od niego rozwodu, albo przeciwnie, nie chcesz mu dać rozwodu. Ewentualnie on chce rozwodu, albo nie chce, na zmianę. Jak jest naprawdę?

– Zmiany tłumaczyłyby skoki nastroju. Ale mnie rozwód niepotrzebny. Może Dominik ma mi nim Kręcidupcie?

– A ona mu wierzy, albo nie i zależnie od wiary obdarza łaskami. Owszem, to możliwe. Ale ogólnie, Stefan tak twierdzi, jest zdenerwowany coraz bardziej.

– Taka głupia, że nawet fatygantowi szkodzi – rzekła Majka wzgardliwie i na tej opinii obie z Zosią poprzestały.

Odłożyła słuchawkę, odetchnęła głęboko, przyjrzała się lokalizacji gromnic obok trumny, dwie z nich odrobinę przesunęła i udała się do kuchni po nową herbatę. Wróciła do komputera. Wpatrzona w posępną wytworność, zaczęła porządkować skłębione myśli.

Słusznie czekała niecierpliwie na telefon od Zosi. Nareszcie zrozumiała, co było podstawową przyczyną i źródłem nieszczęścia. Tyłek Kręcidupci!

Rozszalałe pośladki rzuciły urok na Dominika. Czegoś podobnego naprawdę trudno się było spodziewać!

Wstrząs. Dominik doznał wstrząsu...

I już wiadomo, na czym się trzeba zemścić...

Zadzwoiła Bożenka, co zdziwiło Majkę o tyle, że Bożenka preferowała kontakty bezpośrednie i lada chwila powinna była wpaść z wizytą, okazało

się jednak, że urządza właśnie zieleń pod Mszczonowem. I nie ma siły, jesiennych robót musi dopilnować, żeby mieć pewność, co jej tam wywiną. Inaczej nie może robić projektu. Na niespokojne pytanie, co nowego, uzyskała odpowiedź, że nic. Majka nie miała ochoty rozwijać tematu.

Kolejnego telefonu nie oczekiwała wcale i nie miała żadnych przeczuć. Zbierała właśnie efekty swojej pracy w celu przedstawienia ich zleceniodawcy, marginesowo zaciekawiona, co też on na to powie, kiedy brzęknęło.

– Zdzisław Mieszalski – powiedział z drugiej strony Zdziś martwym głosem, świetnie dopasowanym do pogrzebowego dzieła. – Pani Majko, czy my byśmy mogli... Ja bym chciał się z panią zobaczyć... Koniecznie musimy się spotkać, ja bardzo proszę... W jakimś neutralnym miejscu. Bez znajomych... Ja przepraszam... Tysiącrotnie przepraszam!

Majce omal nie wyrwało się pytanie, za co ją tak przeprasza, czy może za Kręcidupcię, zdołała jednak nietakt powstrzymać. Porzucony amant heroiny zainteresował ją niebotycznie.

– Nie ma za co. Ja bardzo chętnie. Kiedy i gdzie?

– Jak najprędzej. Najlepiej zaraz. Może pani zaraz? Gdzie tylko pani zechce!

Tuż obok rozkwitającego zakładu pogrzebowego znajdował się lokal gastronomiczny, wynajmowany niekiedy na stypy. Błyskawicznie wyliczywszy czas, Majka umówiła się tam ze Zdzisiem za godzinę i kwadrans, z wielką nadzieją, że nie trafi przypadkiem na żadną uroczystość żałobną. A zresztą, nawet gdyby... Nastrój będzie stosowny.

Trumienne dzieło wzbudziło mnóstwo zachwytów i żadnych zastrzeżeń, i podbudowana opinią inwestora Majka usiadła przy stoliku naprzeciwko Zdzisia. Przyjrzała mu się. Nie wyglądał najlepiej, mógłby służyć za model obrazu pod tytułem „Przygnębienie”. Przez parszywą Kręcidupcię, taki

przystojny chłopak...! Podobny trochę do Gerarda Philipe'a, chociaż Gerard Philipe chyba nigdy nie był aż tak zmartwiony... Gdzie sens, gdzie logika? Co ta wredna gnida w sobie ma?

No i właśnie dowiedziała się, co wredna gnida w sobie ma. Lodowate dreszcze rychło ruszyły jej po plecach i nie zdradzały chęci zaniechania przechadzki.

– Niech pani mu nie daje rozwodu – poprosił Zdziś rozpaczliwie. – Żeby nie wiem co, ma pani dwoje dzieci, może pani ciągnąć w nieskończoność. Niech pani, broń Boże, nie wyrazi zgody!

– Nie mam zamiaru – spróbowała go uspokoić Majka, co jej się w najmniejszej mierze nie udało. – W ogóle mowy nie ma, ale ciekawi mnie, dlaczego pan nie chce.

– Ona długo nie wytrzyma. On też nie... I albo będzie miał tego dosyć, albo się zniechęci... Albo nie... To jej tak wściekle zależy... Ale ja mam mieszkanie...! I liczę na to... No, liczę na to!

Rozchlapywał kawe, jąkał się, zacinał, bełkotał, płynność wymowy była mu całkowicie niedostępna. Majka usilnie starała się go zrozumieć, co nie wychodziło jej najlepiej.

– Niech pan to powie jeszcze raz – poprosiła. – Może w jakiejś innej kolejności.

– Chciałem się z nią ożenić – jęknął Zdziś, najwidoczniej przechodząc na inną kolejność. – I nadal chcę. Nie potrafię się jej wyrzec!

– Można wiedzieć, co pan w niej takiego widzi...?

Już w połowie pytania Majka wiedziała, że nie powinna go zadawać. Nietakt straszliwy, zardzewiały nóż w złamanym sercu, w dodatku zawierało w sobie jakiś zgrzytliwy przydźwięk. Potworne!

Do Zdzisia nietakty i przydźwięki nie docierały.

– Jak to, co... Bo pani nie rozumie! Ona jest... ona jest... wyjątkowa! Ma taką budowę anatomiczną... jedyną na świecie, że seks z nią... To jest rzecz niepowtarzalna! To są chyba jakieś... mięśniowe...! Pani nie rozumie!

– Nie, nie rozumiem – przyświadczyła Majka, lekko drętwiejąc.

Zdziś robił wrażenie, jakby puściły mu wszystkie hamulce moralne.

– Sam kontakt z nią, samo zetknięcie...! To przenika na wylot! Tego nie można zapomnieć, po niej nie ma już kobiet na świecie, to jak wir, wciąga na zawsze! Ona go sobie upatrzyła, pani męża, dała mu próbkę tego narkotyku, a więcej nie, aż do ślubu! Chce ślubu z nim, chce rozwodu, niech pani mu nie daje tego rozwodu!

Złożył ręce w błagalnym geście, zepchnął łokciem filiżankę z resztką kawy, ledwo to zauważył. Filiżanka trzasnęła o podłogę, personel pogrzebowej knajpy był odpowiednio wyszkolony, objawy nieopanowanej rozpaczki zapewne zdarzały się tam dość często, nadbiegła kelnerka. Wytrącona z równowagi Majka zdobyła się na grzeczne przeprosiny, po czym zażądała koniaku.

– Dla tego pana... Nie, dla mnie też! Nową kawę i wodę mineralną.

Usługa nastąpiła błyskawicznie.

– Pan sobie kropnie! Pan zwariował...

– O, to na pewno...

– No dobrze, a co ma piernik do wiatraka? Jak mu nie dam rozwodu, to co będzie?

Zdziś okazał zdziwienie.

– Jak to co? Przecież mówię wyraźnie. Bez rozwodu on się z nią nie ożeni! A ja mogę się ożenić w każdej chwili, jej zależy na ślubie, jeśli on nie będzie mógł, ona się zdecyduje na mnie! Nie będzie czekać w nieskończoność!

– Nieskończoność, jak nieskończoność, ale na pięć lat możemy liczyć...

– Powinno wystarczyć chyba? Tyle czasu trzymać faceta na dystans...

– Proszę...?

– No, to jej metoda. Pokazać co potrafi, a potem odmówić, nie znam pani męża pod tym względem, nie wiem, ile ma cierpliwości...

Teraz Majka jęknęła i dość gwałtownie posłużyła się koniakiem.

– ...ale jej będzie trudno ze względu na warunki mieszkaniowe, ma uciążliwe, z rodziną...

Widać było, że Zdziś zaczyna przytomnieć i odzyskiwać opanowanie, swój koniak już wypił, zapewne miało to pewien wpływ. Obejrzał się na kelnerkę, zamówił jeszcze jeden, dla Majki również, nie pytając jej o zdanie. W jego głosie pojawiło się więcej rozgoryczenia niż ślepej namiętności.

– Jeszcze raz panią bardzo przepraszam, ja nie zwariowałem całkowicie, tylko częściowo. Nie twierdzę przecież, że zakochałem się w istocie szlachetnej o kryształowym charakterze, wyplułem tu z siebie sedno rzeczy może zbyt wulgarnie, ale nic nie poradzę. Tak się rzecz przedstawia. Zdaję sobie sprawę, że ona jest bardzo egoistyczna.

Majka chętnie porozwagałaby różne cechy Kręcidupci, szczególnie co bardziej negatywne, ale miała teraz na głowie Dominika, który był zdecydowanie ważniejszy.

– Zaraz. Wspomniał pan coś o mieszkaniu.

– Tak. Stąd małżeństwo, to się łączy, jest spragniona stabilizacji, mieszkała przecież u mnie, ale to wcześniej, zanim mój rozwód się uprawomocnił. Chce mieszkać legalnie, ślubnie, z zameldowaniem, i żeby nikt nie mógł jej tego odebrać.

– I pan ma mieszkanie. Własne?

– Teraz już własne, spłaciłem żonę. Zaraz potem, jak ją wyrzuciła. Wziąłem pożyczkę...

– Zaraz, momencik! Chce pan powiedzieć, że pańska żona wyrzuciła Kręci... tego... pańską wielką miłość z pańskiego domu?

– Wcale tego nie chcę powiedzieć – zdenerwował się Zdziś. – Ale tak. Poza tym z połowy domu, bo połowa była jej, i tak to rozgraniczyła, że wypadło potwornie. I teraz ona na zimne dmucha.

– Ale teraz pan załatwił i co pan ma?

– Taką niby dużą kawalerkę, ale to jest właściwie prawie dwa pokoje. Z kuchnią i tak dalej.

Majka ponapawała się chwilę sceną, opisaną skąpo, dostatecznie jednak, żeby dostarczyć żeru wyobraźni. Spektakl jej się spodobał.

– A mój mąż, ona uważa, że co?

– Jak to co? – znów zdziwił się Zdziś. – Podobno macie apartament, prawie sto metrów...

– A niechby i dwieście, ale dokładnie mamy osiemdziesiąt cztery. Ona chce zamieszkać tam razem z nami?

– Nie, ona uważa, że pani się wyniesie, bo to jest mieszkanie pani męża.

– Biedna! – uzalila się Majka jadowicie, w szybkim tempie otrząsając z siebie takt, grzeczność, a nawet wszelką przyzwoitość. – Tak się składa, że część tego lokalu to jest moja pracownia, przydzielona mi urzędowo, a reszta stanowi własność teoretycznie wspólną, a prawnie jest spadkiem po mojej babce. I na pewno nie ja stamtąd wyjdę. Gdzież ona, nieszczęśliwa, z moim mężem się podzieje? On cholernie nie lubi szałasów pod lasem.

Wyglądało na to, że nic piękniejszego dla Zdzisia nie mogła powiedzieć. Jakby słońce w nim z nagłą zaświeciło.

– Nie...! Poważnie...?

– A co, żarcików pan się po mnie w tej chwili spodziewa?!

– Przepraszam panią... Boże jedyny, ja powinienem chyba na klęczkach z panią rozmawiać! Ale czy naprawdę razie czego w mieszkaniu zostałyby

pani?

– A zna pan taki sąd, który by mnie z dwojgiem dzieci wygonił pod most i odebrał warsztat pracy? Dla przyjemności pańskiej Kręcidupci? O, najuprzejmiej przepraszam...

– Ale tam, naprawdę nie ma za co, ja przecież wiem, nie jestem głuchy... Ale jak tak... To przecież... Najważniejszy argument odpada, ślub, ona może chcieć ślubu, niechby i maniacko, tylko co dalej? Z lokalu nici! Ona mi nie uwierzy! Ale chyba się w końcu przekona? Pani mąż głupot nie będzie jej wciskał? On nie łąże, wszyscy wiedzą, że to nie krętacz!

Jak już zostało powiedziane, Majka przez całe życie miała dobre serce, co było źródłem jej licznych klęsk, trudności i wściekłych kłopotów. Zdziś ludzki rozum może i odzyskał, emocje opanował, ale nieszczęśliwy był tak, że wręcz z niego wyciekało strumieniami. Wśród tych strumieni słońce nagle załśniło nadzieją. Zrobiło jej się go żal. Miała mu teraz, wśród tych skoków uczuciowych, przyłożyć własny pogląd na Kręcidupcię? A jeśli ta beznadziejna owca rzeczywiście zakochała się w Dominiku i ujrzała w nim wysokie sfery, pani kierownikowa pracowni, głęboka wiara w niej zakwitła, ktoś taki jak Dominik stworzy jej egzystencję na poziomie zgoła niebosiężnym? Wszak to idiotka bezdenna! A ten nieszczęsny głupek ją wielbi...

Znała Dominika lepiej, niż ktokolwiek inny na całym świecie. Myśl o gwarantowanym rozczarowaniu Kręcidupci sprawiła jej żywą przyjemność, ale zanim to rozczarowanie nastąpi, Zdziś przeżyje gehennę większą niż ona sama.

– No owszem, to jest szansa dla pana – powiedziała ostrożnie, nie mogąc się wyzbyć współczucia. – Mój mąż nie będzie jej wmawiał. Moim zdaniem pominie temat, a co dalej? Ona zacznie wymagać?

I w tym momencie trafił ją jakby piorun. Otóż właśnie tak, Kręcidupcia zacznie wymagać a Dominik, oszalały tak samo jak Zdziś, zdobędzie się na osiągnięcia nadludzkie, uczyni wszystko to, do czego sama usiłowała nakłaniać go delikatnie przez całe lata. Okaże się teraz, że nakłaniała skutecznie, ale dojrzał do dzieła z lekkim opóźnieniem i w innym układzie, po czym szlag ją trafi.

Nie, ze względu na dzieci szlag jej trafić nie może.

Zdziś był w rozpędzie, wciąż mówił, powtarzał się w dużym stopniu, chwilami jednak wyskakiwało coś nowego. Majka porzuciła myśli o swojej hipotetycznej najobrzydliwszej klęsce i zaczęła słuchać uważniej. Spoglądała przy tym na niego, a także za jego plecy, gdzie przy końcu lady barowej dwie osoby czyniły malutkie zamieszanie, które dało się zauważyć tylko dzięki temu, że w całej restauracji panował anielski spokój. Osoby, baba i facet w czarnych strojach, operowali rekwizytami pogrzebowymi w postaci wysokich świeczników zaopatrzonych w gromnice. Jedna z gromnic najwidoczniej została osadzona krzywo, bo ukruszyła się, spadła z żelaznego bolca i potoczyła się pod najbliższy stolik stojący w kącie tuż obok baru. Osoba żeńska w żałobnych szatach, dość korpulentna, rzuciła się w pogoń za rekwizytem, a osoba siedząca przy stoliku, też żeńska, ale nie korpulentna, zaskoczona, szurnęła krzesłem. Po czym opanowała się, grzecznie sięgnęła po świecę i obie prawie się zderzyły głowami.

Równocześnie Majka dowiedziała się, że Kręcidupcia jest czyściutka, namiętnie myje, szoruje, zmywa i pierze wszystko co jej pod rękę wpadnie ze sobą włącznie, i dostrzegła uprzejmą damę przy stoliku. Dama wydała jej się znajoma, gdzieś musiała ją widzieć, wyteżyła pamięć i znów straciła kawałek wątku świetnie domytej Kręcidupci, ale za to przypomniała sobie, skąd zna tę czarnowłosą, zaniedbaną piękność. Oczywiście, przyjaciółka

Anusi, znakomita fotograficzka, natknęła się na nią w pracowni Bożenki. Zaraz, jak jej... a, Luiza!

Przez chwilę zastanawiała się, co ona tu robi, pomyślała, że pewnie angażują ją do serwisów fotograficznych przy uroczystościach żałobnych i do uwieczniania dekoracji kwiatowych, nic w tym nie dostrzegła dziwnego i przestała się nią zajmować.

– ...wiem, że ona jest pozbawiona poczucia moralności – mówił smętnie Zdziś. – Ale własny interes rozumie. Jeśli jej zapewnię dom i poczucie stabilizacji, będzie się tego trzymać. Z tego co pani mówi, pani mąż jej nie... Aby tylko nie rozwód! To jest jej metoda, ze mną było to samo, żądała rozwodu, kręciła nosem na wszystko, odmawiała... no, odmawiała...

– Usług – podsunęła Majka życzliwie.

Zdziś usiłował nazwać to inaczej.

– Może raczej względów. Skąpiła względów, odmawiała siebie... Aż do chwili, kiedy pozew wpłynął i rozwód był w trakcie. Wówczas już popuściła. Długo trwało, bo moja żona zachowywała się okropnie, odmówiła zgody.

– A...! To ja też mam zachowywać się okropnie?

– Tak! – przyświadczył Zdziś z zapalem i zmieszał się straszliwie. – To znaczy, nie. To znaczy... To zupełnie co innego, pani ma dzieci! Pani ma prawo zachowywać się najokropniej w świecie! A i tak, sama pani widzi, co mi przyszło z tego rozwodu...

Wreszcie Majka poczuła, że Kręcidupcia nosem jej wychodzi. Miała tej łąjdaczki całkowicie dość. Za ocean informacji była Zdzisiowi szczerze wdzięczna, bardzo delikatnie zatem zwróciła mu uwagę, że czas leci, a obydwójce wszak pracują. Zdziś uparł się zapłacić za cztery kawy, cztery koniaki, dwie wody mineralne i jedną stłuczoną filiżankę, Majka machnęła

ręką i chętnie przyjęła jego wizytówkę z numerami telefonów. Na wszelki wypadek, bo czy to wiadomo, co będzie...

* * *

Dominik wrócił późno, jakby rozgorączkowany, i zaczął swoje. Majka, skończywszy pogrzebowy projekt, zamierzała iść spać, wyszła z łazienki i relaksowo usiadła z książką przy herbacie. Na grzechot klucza w drzwiach nie ruszyła się z miejsca, aczkolwiek przed katastrofą zawsze odrywała się od zajęć bodaj na chwilę i witała ukochanego mężczyznę w przedpokoju. Teraz, jej zdaniem, byłoby to niestosownym natręctwem.

Zanim się obejrzała, Dominik już siedział naprzeciwko niej, też nad herbatą, i promieniował niepokojem.

– Rozmawiałem z adwokatem – oznajmił. – Nie przejawiał optymizmu. Wszystko zależy od ciebie.

Kotłowanina uczuciowa w Majce powodowała, że drwiny z płomiennego romansu kretyna ze złośliwą owcą same jej się pchały na usta. Z wysiłkiem zdołała się powstrzymać od skromnej uwagi, że nie, nie wszystko. Na takie, na przykład, trzęsienia ziemi nie ma najmniejszego wpływu.

Zamiast tego, nie odrywając oczu od książki, powiedziała: – Niejaki Zdzisław Mieszalski, projektant instalacji sanitarnych, którego, jak rozumiem, znasz od dawna, też się rozwiódł na życzenie Kręcidupci... o, pardon, big sorry, chciałam powiedzieć twojej Dulcynei. Czy może waszej wspólnej Dulcynei. I co mu z tego przyszło?

Podniosła wzrok, spojrzała współczująco na Dominika. Prawie zsiniał, miał mord w oczach, ale widać było, że nic nie zrozumiał. Znów znieważono bóstwo! Majka pomyślała, że musi jakoś odmiennie tę

podstępna glistę nazwać, bo inaczej Dominik przestanie przyswajać ludzką mowę. Westchnęła.

– Zdziś rozwiódł się dla niej i co?

– Co to ma do rzeczy? – warknął Dominik.

– A to, że zaraz po rozwodzie zaczniesz zapewne żądać ode mnie, żebym ją nakłoniła do ślubu z tobą, bo ona się rozmyśli. Nie popadasz czasem w przesadę?

– Nie rozmyśli się. Nie chcę o tym nic słyszeć! Możemy przecież rozejść się kulturalnie i zgodnie, bez ordynarnych awantur, bez orzekania o winie, wystarczyłoby, gdybyś ty wyraziła zgodę...

– A dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego właściwie ja mam wyrazić zgodę na coś, co mi się wcale nie podoba?

Dominik zdziwił się tak, że Majka nie uwierzyła własnym oczom, wrażeniom i wnioskom. Na litość boską, czy to możliwe, żeby mu nic do głowy nie przyszło...?! Ten rozkręcony tyłek ulokował mu się pod ciemieniem...?!!!

– Słuchaj no – zaczęła ostro i zastopowała w sobie uwagę o tyłku, dzięki czemu ostrość nieco stępsiała. – Czyś ty się bodaj przez chwilę zastanawiał, jak ja to znoszę? I jak te twoje wszystkie, pożał się Boże, propozycje mogą mi się podobać? No?

Dominik siedział i patrzył na nią w milczeniu. Otóż nie. Nie zastanawiał się nad tym nawet przez jedną sekundę, ponieważ był to temat przeraźliwie nieprzyjemny. Wściekle niewygodny. Odrażający. I w dodatku dotyczył problemu całkowicie nie do rozwikłania. Coś tam w nim, w samej głębi, wiedziało doskonale, że Majka tego wcale nie zniesie, że wali się na nią nieszczęście piramidalne i tego nieszczęścia on sam jej dostarcza w sposób

wstrętny, bezwzględny i brutalny. Nie życzył sobie o tym wiedzieć, bo musiałby samego siebie uznać za bydlę najparszywsze i skończoną świnię, a wcale nie chciał być czymś takim. Alternatywą było wyrzeczenie się Kręcidupci, a na takie samozaparcie nie potrafił się zdobyć, nie miał w sobie nic z męczennika.

Udeptał zatem tę wiedzę, ugniótł, zakopał i zabetonował. Wmówił w siebie, że nic podobnego, Majka traktuje sprawę obojętnie, nie przeżywa żadnych dramatów, świetnie daje sobie radę i na pewno mu pomoże, ponieważ ma dobre serce. No i samemu sobie w końcu uwierzył.

I jakaś tajemnicza siła przeszkadzała mu wyznać to Majce.

Majka, rzecz jasna, doskonale wiedziała, że Dominik nie potrafi dobrowolnie, sam z siebie, wyrzec się tego, czego chce i zmusić się do tego, czego nie chce. Pomogłaby mu nawet, bo żal jej serce ścisnął na widok jego udręk, gdyby w grę nie wchodziła Kręcidupcia. Już ta gnida człekokształtna prezentu od niej nie dostanie, nie ma o to obawy, znalazł sobie Dominik śmierdzące badziewie, niech się z nim sam męczy.

Siedziała i tłumiąc niecierpliwość, czekała, co on teraz wymyśli.

– Ale przecież – wymyślił Dominik – ty też miałabyś swobodę. Mogłabyś wyjść za mąż.

– Po co?!

– No, mieć kogoś...

– Kogoś to ja mogę mieć i bez wychodzenia za mąż. Nie zależy mi.

– Sytuacja prawna unormowana...

– Mam gdzieś sytuację prawną.

– Ale ja... Ale ja... Ale ja przecież odszedłem!

– To chyba mam omamy, bo widzę, że tu siedzisz. I mówisz brednie, wołające o pomstę do nieba. Co cię tak ogłupiło? Bo sama wielka miłość bez wspomagania nie ma prawa wystarczyć!

O wspomaganiu Dominik wzdragał się nawet pisać.

– W porządku, nie mam dokąd pójść, żeby ci zniknąć z oczu. Miałaś rację, powinienem był zadbać o finanse. Teraz to widzę...

– Rychło w czas – mruknęła Majka, nie kryjąc rozgoryczenia.

– Ale miałem nadzieję, że rozwikłamy jakoś polubownie kwestie mieszkaniowe...

– Tak, oczywiście. Dzieci humanitarnie potopimy w Wiśle...

– Zgodzisz się na jakiś podział...

– A może z grzeczności popełnię samobójstwo...?

Przerywali sobie wzajemnie, rozmawiając, co najdziwniejsze, spokojnie i uprzejmie, z cieniutkim zaledwie tłem w postaci zmartwienia z jednej strony i sarkazmu z drugiej. Dominik odruchowo, siłą przyzwyczajenia i najszczerzej w świecie liczył na pomoc Majki, która przez jedenaście lat rozwiązywała wszystkie problemy i teraz też powinna rozwiązać. Majka, też odruchowo, łapała się na tym, że usiłuje znaleźć dla tego dewianta najwygodniejsze wyjście, z poświęceniem siebie na czele.

Poświęcenie... Dla Kręcidupci. Akurat...!

– Ale mogę chyba tu mieszkać, dopóki nie znajdę sobie jakiegoś lokum?
– spytał Dominik jakoś wyjątkowo niepewnie. – W końcu jest to także w jakimś stopniu mój dom?

– Twój. Możesz. Czy ja cię wyganiam?

– Przemebujemy mieszkanie...

– Co...?

– Przemebujemy mieszkanie, przedzielimy jakoś, żebym ci nie przeszkadzał...

Majce pociemniało w oczach. Spokojnie zniosła myśl, że Kręcidupcia pozwoli mu mieszkać w niedostępnym jej domu, wsparta głębokim przekonaniem, iż tylko patrzeć, jak ten dom przejdzie w jej niepodzielne

władanie. Poprzednia władczyni nie wytrzyma, weźmie dzieci za rączki i uda się w siną dal, do mamusi może, albo do przytułku, albo dokądkolwiek i będzie z głowy. Taki pogląd Kręcidupci odgadła i przyjęła do wiadomości drwiąco i bez obaw. Ale padająca z ust Dominika propozycja przemeblowania...

Omiał nie straciła kompletnie panowania nad sobą. Pięć lat trwało, zanim udało jej się umeblować i urządzić mieszkanie racjonalnie, wygodnie i z funkcjonalnym sensem. Własnymi rękami, bo Dominik krzywił się na wszelkie zmiany, a pomocy odmawiał zgoła wulkanicznie. Równie chętnie przyjąłby zapewne pomysł szlachtowania dużego wieprza co tydzień w innym pomieszczeniu, przestawienie kanapy i dorobienie półek na książki traktował jak kataklizm, do którego ręki nie przyłoży, i w żaden sposób nie można było z niego żadnej usługi wydoić. Inna rzecz, że później zachowywał się przyzwoicie, nigdy niczego nie skrytykował i wszystko mu się nadzwyczajnie podobało.

A teraz nagle dla tej parszywej seksokrętki rwie się do znienawidzonej roboty...

Nie przyszło jej do głowy, iż głównym powodem nacisku na Dominika jest sytuacja rodzinno-mieszkaniowa Kręcidupci. Nie była to rajska siedziba, miłość rodzinna tam nie szalała, a metraż przypadający na jedną osobę nie sięgał nawet norm gomułkowskich. Na hotel nimfa się krzywiła...

I „przemeblujemy”...? Zaraz, kto to jest „my”...?

– Użyłeś liczby mnogiej – rzekła sucho. – Czy ma to znaczyć: my, jego królewska mość, czy też masz na myśli jakąś ludzką osobę? I jeśli tak, to kto to ma być?

– Sądziłem, że weźmiesz udział. W końcu jesteś fachowcem, to twój zawód.

Mając zainteresowała nagle myśl, że nigdy dotychczas nie była zatrudniona w burdelu, a teraz miałyby stwarzać przestrzeń życiową dla personelu instytucji w osobie jednej, niedorobionej kurtyzany. Ciekawa rzecz...

Nie ujawniła myśli. Wypuściła za to z siebie trochę tego, co ją mogło zadławić, zbyt długo wstrzymywane.

– Słuchaj no, mój szlachetny mężu. Raz na zawsze przyjmij do wiadomości, że postąpiłeś jak rozwydrzony gówniarz. Jak bezmyślny goryl, który zapragnął wiąchy bananów i pcha się do niej, depcząc wszystko po drodze. Spieprzyłeś radykalnie całe moje życie, a także życie własnych dzieci, za które jesteś odpowiedzialny. Nie powiedziałam ci złego słowa i cierpliwie czekam aż ci ta zaćma z umysłu spadnie, ale wszystko ma swoje granice, więcej złego nie pozwolę ci zrobić. Wybij sobie z głowy radykalnie i raz na zawsze, że ci w czymkolwiek pomogę, palcem o palec nie stuknę i nie dopuszczę do żadnych zmian. Nigdzie, a szczególnie w tym domu, który tworzyłam własnym wysiłkiem i własnym kosztem, bo przypomnij sobie, ile też ty mi w tym pomogłeś. Tyle dostaniesz, ile dałeś. I niczego więcej nie masz prawa ode mnie żądać, bo to ty to kretyństwo wymyśliłeś i ty się będziesz o nie troszczył. Beze mnie. A do żądań w tej sytuacji mam większe prawo niż ty!

Dominik słuchał w milczeniu, nie przerywając. W wyrazie twarzy dominowały mu zaciętość i upór. I tuż pod nimi gniew.

– Zechcesz sprecyzować te swoje żądania? – spytał głosem pełnym szczęku broni zaczepnej i odpornej.

– Tak. Najpilniejsze od razu. Życzę sobie jeszcze herbaty.

Tak bardzo był przekonany, że usłyszy rozkaz natychmiastowego porzucenia Kręcidupci, że przez chwilę nie rozumiał, co słyszy. Spojrzał na

swoją pustą szklankę, na szklankę Majki, też pustą, twarz mu gwałtownie wypogodniała, zabrał oba naczynia i udał się do kuchni.

Majka złożyła sobie gratulacje. Udało jej się nie rozpędzić i nie wypuścić z siebie dzikiej furii, jaką Dominik w niej obudził. Chciało jej się płakać, rozwalone życie i rozwalony dom, bo ten palant zbydlęcony pomacał wirujący zadek jakiejś wrednej kurewki! Po cholere go kochała?! Po cholere kocha go nadal i chce, żeby się opamiętał i żeby do niej wrócił? Przebaczy mu to wszystko, chociaż teraz go akurat nienawidzi i na włos nie pofolguje, a rozwód bez jej zgody uzyska ten bałwan za siedem lat. On jej jeszcze nie zna z jej najgorszej strony!

Dominik wrócił z herbatą i popisał się następnym wymysłem. Mianowicie spragniony był rozdziału od stołu i łoża. Nie chce korzystać z żadnych usług Majki!

Cudowny pomysł. Majka westchnęła.

– Byłoby cholernie dobrze, gdybyś najpierw przemyślał realia, a dopiero potem swoje pragnienia. Jak to sobie wyobrażasz? Konkretnie. I zostaw w spokoju łożę, zacznij od stołu. Dwa czajniczki do herbaty? Dwa chlebki razowe, dwa tostowe, dwa garnki kartofelków... No, jajka można podpisać flamastrem, ale co będzie jak się dzieciom pomyli?

Dominik, w pierwszej chwili stropiony, odzyskał moc ducha.

– Dzieci nie biorą w tym udziału!

– A ja? Przez pomyłkę otruję się twoim chlebem?

– Nie, to raczej ja twoim. Nie chcę, żebyś dla mnie cokolwiek robiła!

– Może dotychczas nie zauważyłeś, że nie rwę się specjalnie do zajęć kuchennych. Ale z dobrego serca zwracam ci uwagę, że własnym przemysłem będziesz się żywił dość monotennie.

– Można jadać na mieście.

– Przez wszystkie lata wspólnego życia nakłaniałeś mnie do oszczędzania. To jakiś nowy sposób? Może jednak sam wymień wszystkie elementy tego rozdziału od stołu, bo niby dlaczego ja mam się męczyć i źle zgadywać?

Wymienianie elementów sprawiło Dominikowi wściekły kłopot, aż się zdziwił, bo przecież wielokrotnie zostawał sam na gospodarstwie, kiedy Majka wyjeżdżała służbowo na dzień lub dwa, realizować zlecenia w odległych rejonach kraju. Umiał zapewnić pożywienie dzieciom, posprzątać, zrobić przepierkę... Prawda, przepierkę!

– Wolałbym, żebyś moich rzeczy nie prała.

– Doskonale – zgodziła się Majka. – Jeśli z rozpędu wrzucę do pralki twoją koszulę albo gacie, wyjmiesz je potem... mam nadzieję, że nie w trakcie prania... i szybko wytrzesz nimi kurze pod łóżkiem. No cóż, widzę w tym nawet pewną korzyść...

Dominik nie reagował po ludzku, najwyraźniej opuściła go także inteligencja. Traktował te życiowe rozważania z tak śmiertelną powagą, jakby obydwójce stali nad otwartym grobem ukochanych najbliższych, którzy nie dość, że umarli, to jeszcze pozostawili po sobie straszliwe długi do spłacenia. Majka już sama nie była pewna, co przepełnia ją większą rozpaczą, utrata Dominika czy jego przerażający stan. Gorąco pożałowała, że nie ma na warsztacie kolejnego zakładu pogrzebowego, wyszedłby jej z pewnością wystrzałowo!

– Natomiast ze swej strony – podjęła uczynnie – zezwalam ci bez żadnych przeszkód pchać do pralki moje majtki, koszule, bluzki i co tam ci pod rękę wpadnie. Uwierzę w sens rozdziału dopiero, kiedy się między sobą te rzeczy pogryzą, twoje i moje. Bo dziecinne, jak rozumiem, są neutralne?

Temat dzieci Dominik starał się dotychczas omijać. Dłużej się już chyba nie dawało.

– Co do dzieci... – zaczął sztywno przez zaciśnięte zęby.

W Majce od razu wystartowała tygrysica.

– Co do dzieci, to nie waż się przed nimi wygłupić! Dla nich wszystko pozostaje bez zmian. Ostrzegam cię i weź to pod uwagę!

– Trzeba im będzie wyjaśnić...

– We właściwej chwili. Jak się będziesz wyprowadzał, sam im wyjaśnisz, dlaczego. Do tego momentu masz być normalnym, dobrym, godnym szacunku i zaufania ojcem, bo nie z nimi się rozwodzisz, tylko ze mną. I jeśli trafisz przypadkiem w domu na wspólną kolację, zeżresz ją bez cienia grymasów, z radosnym uśmiechem na ustach, nawet gdyby ci miała uszami wychodzić i gdybyś miał po niej sraczki dostać. Jeśli nie...

– Co jeśli nie? – spytał Dominik straszonym głosem, bo Majka na chwilę zamilkła, zamieniając się nagle w błogo rozanieloną tygrysicę.

– O, nic takiego. Zabiję ją.

– Kogo...?!

– Tę twoją ukochaną Dulcyneę. To bardzo łatwo zabić kogoś jawnie. Możesz być kamiennie spokojny, że ją zabiję.

Dominik nie uwierzył, ale poczuł się wstrząśnięty.

– I uważasz, że wtedy do ciebie wrócę?

– Skąd, przeciwnie. Znienawidzisz mnie do reszty. Ale Dulcyneę stracisz nieodwołalnie razem z jej wirującym tyłkiem, i to będzie twoja kara.

Dominik poczuł się wstrząśnięty bardziej. Owszem, Majka była zdolna do czegoś podobnego.

– Złapią cię i wsadzą...

– No i cóż takiego? Będę sobie siedziała w pierdłu, bardzo zadowolona, że ty już jej nie masz. Jestem pewna, że pozwolą mi robić wnętrza,

więzienia, stołówki, komisariaty, sale konferencyjne w Ministerstwie Sprawiedliwości, w różnych komendach, bo dlaczego nie? Obecnie szaleje humanitaryzm w stosunku do przestępców, a zabicie rywalki na ogół budzi przychylność. W przeciwieństwie do takiej, na przykład, pedofilii.

Brzmiało to przerażająco realnie, a zatem coraz gorzej. Dominik sam z siebie zamierzał zaoszczędzić dzieciom wszelkich stresów, ale teraz nagle wydało mu się to okropnie trudne. Już i tak kontakt z nimi miał ograniczony z racji późnych powrotów do domu, zorientował się jednak, że Majka wmówiła w nie dodatkową, ciężką pracę tatusia, ze wszech miar pożądaną. Szacunek dla pracy obydwójce mieli od urodzenia wpojony na mur i nie dręczyli go żadnymi pretensjami.

I oczywiście była to zasługa Majki. Gdzieś na dnie jestestwa pisnęła mu nieśmiało wdzięczność, natychmiast przygłuszona ciężką urazą. Gdyby się nie wygłupiała z tą odmową zgody na rozwód, wszystko ułożyłoby się tak cudownie! To Majka jest winna komplikacjom, to ona odgradza go murem od przedmiotu pożądania, od ukochanej...

– Ona ma na imię Emilka – wyrwało mu się z niezamierzonym naciskiem.

– Tak? – zdziwiła się Majka. – To co z tego?

– Dlaczego ją nazywasz Dulcyneą?

Majka milczała przez chwilę. Na razie panowało między nimi jakby zawieszenie broni, jednym zdaniem mogła przeistoczyć je w krwawą bitwę, a nawet w nieubłaganą wojnę. Zastanowiła się, nie, chyba jeszcze nie warto...

– O, proste skojarzenie – rzekła niedbale. – I zauważ, jakie kulturalne, pochodzi prosto z Cervantesa...

* * *

– A właściwie skąd ci się wzięła ta Dulcynea? – zaciekała się Bożenka, usadowiona już u Majki, w tym wygodniejszym fotelu.

Majka doniosła na stół produkty uzupełniające przezorność Bożenki. Wiedziona przecuciem i zbuntowana przeciwko oszczędnościom, zaopatrzyła dom w paszteciki, oliwki z anchois, pieczarki nadziewane serkiem, oraz całą michę paluszków serowych. Wszystko bardzo drogie i wszystko świetnie dopasowane do przyniesionych napojów, finlandii i białego wina.

– Wpadniemy w alkoholizm – zaopiniowała beznamiętnie. – Jak to skąd, don Kichot, ujrzał w niej piękność niebiańską i szału dostał, a to była ordynarna dziewczka od krów. Wypisz wymaluj, pasuje.

– A wiesz, że faktycznie. Popatrz, nie przyszło mi to do głowy! Ale pasuje do sytuacji, a do tej kurwy mnie jednak bardziej pasuje Kręcidupcia.

– Mnie też. Ale Kręcidupci muszę się wyrzec, zapewniam cię, że z wysiłkiem, bo Dominik na to śliczne imię głuźnie i sinieje. Od czego zaczynamy?

Bożenka zastanowiła się poważnie, obrzuciwszy wzrokiem stół.

– Od wina. Zimne przyniosłam. Finlandię ruszymy jeszcze całkiem na trzeźwo, a odwrotnie byłoby gorzej. Jak mi dasz korkociąg...

– Leży ci przed nosem. Czeka, wstawię flachę do lodówki.

Ulokowały się wreszcie, Majka bez żalu porzuciła swoje miejsce pracy, nie mając chwilowo perspektyw na grobowe arcydzieła, Bożence niecierpliwie pchały się na usta słowa, z którymi tu przyleciała. Razem z nią biegła zgroza.

– Ty wiesz, jak ona się do niego zwraca? Jak ona go nazywa?

Majka spojrzała pytająco.

– Ona do niego mówi Domisiu! Wyobrażasz sobie?! Domisiu! Do Dominika!

– Przy ludziach...?

– Przy ludziach! Niby na stronie, ale gówno prawda! Głuchych tam nie ma. Domisiu, przyniosłam wydruki...

Zgroza, dobiegłszy razem z Bożenką, z cichym chichotem rozpostarła się nad stołem.

Majka zatrzymała na moment nalewanie wina do kieliszka, zamknęła oczy, otworzyła i dokończyła nalewania.

– No nie. W obliczu takiej rewelacji powinniśmy tu mieć spirytus, a nie szlachetny, delikatny napój. Skąd wiesz?

– Anusia słyszała na własne uszy. I nie ona jedna!

– A on co na to?

– No właśnie, Anusia nie jest pewna... Czy mi się wydaje, że te pieczarki są całkiem niesłone? Bo poza tym bardzo dobre.

– Nie wydaje ci się, są. Trzeba posolić. Solniczka też ci stoi przed nosem. Dlaczego nie jest pewna?

– Bo jej na dwoje babka wróżyła. Jakiś taki i zmieszany, i szczęśliwy, ale możliwe, że trochę zły. Ale zadowolony. Ale ona mówi, że dziwnie.

– Co za kretyńka – mruknęła Majka i spróbowała wina.

– Kto? – zdziwiła się podejrzliwie Bożenka. – Anusia?

– Nie, coś ty. Kręcidupcia. Ciekawe, ile Dominik z nią wytrzyma. On nie cierpi idiotycznych zdrobnień, a jeśli już, to kameralnie, w prywatnym zaciszu, a nie publicznie. Ale z jej pyska sypią się perły i słowicze trele, więc sam nie wie, co z tym zrobić. Anusia ma rację, jemu po prostu głupio. Bardzo dobre to chablis.

– Też tak uważam – zgodziła się Bożenka i zakąsiła serowym paluszkami. – A w ogóle to z Anusi witról sika i wszystkie sekrety wyjawia. Kręcidupcia tym swoim zadkiem w bezpośrednim kontakcie każdego chłopa załatwi, szarpnie nim, chyba że jest to zboczeniec

seksualny i zwyrodnialec, któremu żadne małpie wzdrygi niestraszne. Normalny się co najmniej zaciekawia.

Majka chwyciła kieliszek z winem i chlupnęła sobie połowę zawartości od razu. Błyskawicznie zrozumiała sedno zabiegów Kręcidupci pod biurkiem i szafą Dominika, opisanych przez Zosię Stefana. To wtedy właśnie bezczelna owca poszła do ataku, a Dominik, jak idiota, zareagował!

– A jak jej się uda poprawić – ciągnęła Bożenka ponuro – figle–migle mu pokaże teoretycznie w łóżku, a praktycznie byle gdzie... No a potem to już zależy, ale w gruncie rzeczy prawie każdy z nich podatny, a nowości spróbować, to już korci wszystkich, od gówniarza do ekshuma.

Majka przez całe trzy sekundy żałowała, że Dominik nie jest zboczeńcem. Potem przypomniała sobie, że mogłoby przejść na dzieci i porzuciła żal.

– Ale coś mi się widzi, że ona wiatraczka skąpi...? – zauważyła ostrożnie.

Z Bożenki wybuchło samo potępienie, nie wiadomo dlaczego triumfujące.

– A jak? Taki sposób sobie wymyśliła, geniuszyca pieprzona! Uczęstuje faceta rarytasem, a potem gówno. Nie da dupy aż do ślubu i tylko zadkiem mu pod nosem kręci, a on małpiego rozumu dostaje i w konwulsje wpada. Chce dostać swoje, niech się postara.

– I żaden jej w tych nerwach nie zgwałci?

– A co jej szkodzi? Nawet się bronić nie będzie, ulegnie grzeczniutko, proszę bardzo, tylko żadnych sztuk nie pokaże. Rozczaruje go. Równie dobrze może gwałcić owcę albo kozę, a potem... dla niej to mięta z bubrem, mały pikuś, a co do gwałciciela... Bo ja wiem? Może się rozplącze.

– Z tego rozczarowania?

– I z żalu. Albo co.

Majka pokręciła głową w zadumie i zjadła oliwkę. Uzupełniła zawartość prawie pustych kieliszków.

– Na dobrą sprawę sposoby ma niezłe i większość tych półgłówków na to zasługuje...

– Musi się przytknąć – powiedziała Bożenka i sięgnęła po pasztecika.

– Co?

– Przytknąć się. Bezpośrednio. Figurą. No, anatomią. Znaczą tym tyłkiem rozkręconym. Dopiero wtedy działa jak ten, jak mu tam, paralizator. Na odległość takiego efektu nie daje, ma to sprawdzone.

– Skąd ta Anusia tyle o niej wie?

– Ona wie więcej i zaraz ci powtórzę, mówię przecież, że jej Niagara puściła i wodogrzmoty Mickiewicza. One obie się znają od dziecka, blisko siebie mieszkały i do szkoły razem chodziły, przy technikum się dopiero rozeszły, ale lokalizacji nie zmieniły, więc znajomość im została. Kręcidupcia zawsze miała te gimnastyczne uzdolnienia i Anusia jej nawet zazdrościła, ale sama zazdrość szczęścia nie daje. Podobno Kręcidupcia zadkiem to technikum skończyła i nawet były zadrażnienia, bo w komisji egzaminacyjnej jedna baba siedziała, a na babie taki wiatrak wrażenia nie robi.

– Owszem, negatywne – skorygowała sucho Majka. – Jakim cudem zadkiem, skoro wszystko leci przez testy?

– Nie wiem dokładnie, Anusia to akurat zlekceważyła trochę.

– Trudno się dziwić...

– Toteż właśnie. Ale chyba dostała wcześniej pytania razem z odpowiedziami. Większość udało jej się zapamiętać i miała z głowy. Za to nie udało jej się żadnego wykładowcy poderwać na mariaż i tu zaczyna się ważne, więc wypijmy szybciej to wino. Żeby się zbliżyć do poważniejszego napoju.

Z oburzeniem Majka zaprotestowała. Poświęcić dobre wino dla nieprzystojnego pośpiechu? I to jeszcze przez Kręcidupcię...?!

– Puknij się, nie będę marnowała chablis! To pół... no, prawie pół... butelki pójdzie do lodówki i spokojnie zaczeka na spożycie z szacunkiem. A finlandia już zimna i gotowa, i czekaj, zaraz, na wszelki wypadek mam rolmopsiki w oliwie, marynowane. Nie zamierzam się urżnąć na powitanie dzieci.

– A gdzie one teraz są? – zaciekawiała się Bożenka, entuzjastycznie pochwaliwszy program biesiadny.

– Jak to gdzie? W szkole. Potem mają różne dodatkowe zajęcia, a obiad dostaną. To bardzo dobra szkoła.

Bożenka w nagłym zamyśleniu odkręciła kapsel poważniejszej butelki.

– Zamierzam coś urodzić – rzekła niepewnie. – W razie czego może mnie do tej szkoły zaprotegujesz?

– Bez problemu. Ale to chyba tym bardziej na trzeźwo?

– No dobra, to dawaj te rolmopsiki...

Wystarczyła zaledwie ćwiartka finlandii, co na dwie osoby nie stanowiło przesadnie szkodliwego nadmiaru, żeby Majka zrozumiała już wszystko. Kręcidupcia, wbrew pozorom, miała nad wyraz racjonalne podejście do życia. I realizowała je konsekwentnie, chociaż może z drobnym brakiem fartu.

– Od razu Anusi powiedziała, a ledwo siedemnaście skończyła, że młodzieżowych gnojów to ona ma gdzieś – relacjonowała Bożenka, a czekająca swojej kolejki zgroza przyświadczała jej gorliwie spod sufitu. – Głupie oni, rozparzone i nic nie mają, a nawet żadnych starań dla nich nie potrzeba, najwyżej może na nich szlifować formę...

– I szlifowała? – nacisnęła zgroza ustami Majki.

– Jeszcze jak! Z całej siły. Na różnych wsiowych też. Połowa mordobić w okolicy była przez nią. A ona całkiem spokojnie wyjaśniła Anusi, że potrzebuje takiego ustabilizowanego, bogatego, z mieszkaniem, na stanowisku, ale starych przyków też nie chce. Najlepszy byłby młody, wykształcony, rozwiedziony i bezdzietny, a do tego jeszcze żeby jej się podobał. Ciężko jej szło, bo każdemu czegoś brakowało, a w pierwszej kolejności mieszkania, bo do takich z bogatymi rodzicami jakoś nie miała doskoku...

– O tym słyszałam – przerwała Majka i powtórzyła Bożence informacje od Zdzisia. Zdziś nie zastrzegął sobie tajemnicy, a Bożenka kiwała głową, przyświadczać.

– Wszystko się zgadza. Warunki mieszkaniowe to ona ma historyczne, z gomułkowskiej epoki. Mnie już dawno by tam nie było. Ona też chce się urwać, ale za leniwa, żeby się samej postarać i uważa, że facet powinien. Co mówisz?

Majka mamrotała pod nosem.

– Nic. Cholera. Bardzo rozsądny pogląd, chętnie bym poparła. I do takich celów wybrała sobie Dominika?! A cóż za debilka wszechświatowa i bezdenna...!!!

– W Dominiku ona się zakochała – oznajmiła Bożenka tonem, który zamknął gębę nawet zgroznie nad stołem. – Nie zdążyłam ci powiedzieć, bo za szybko reagujesz.

– Ja wcale nie reaguję. Mnie tylko czasem coś tam gdzieś tam błyska.

– Błyskaj ciszej. Znaczą, mniej jaskrawo, bo mnie rozprasza, a chciałam ci po kolei, porządnie. Zanim co, trafiała jak kulą w parkan, skróć trochę, inaczej do rana by starczyło, jednego trafiła, jedno dziecko i żonę w ciąży odchromoliła, ale okazało się, że mieszkanie i całe mienie jest na żonę po przodkach. Do kitu. Drugi jej się wykosił na serce, zaraz po pierwszych

igraszkach, więc okoliczności towarzyszące straciły ważność. Trzeci, czy któryś tam, sam z siebie był bóstwo, idol, artysta, usługowych pańienek dookoła skolko ugodno i Kręcidupcia średnie dziwo, może wejść do haremu, ale nic więcej. A nastarała się do wypęku i rozczarowanie na nią spadło potworne. No i popatrz, martyrologia wprost. Co tak pusto mamy, doleć trochę. Te rolmopsiki to czysta ambrozja!

– Z nektarem idzie – mruknęła Majka i napełniła kieliszki.

Bożenka odsapnęła, skorzystała z zakąsek i podjęła temat.

– Przeszła na sfery techniczne. Na artystyczne miała nadzieje, bo stały wyżej finansowo, ale okazało się, że cyrkowo też. Ginęła w tłumie, znaczy, może i nie ginęła, bo te pośladki ma niepowtarzalne, to nie moja opinia, to facetów!

– Przecież cię nie podejrzewam!

– Ale to tak, jak na tych konkursach piękności, wiesz, mało, że ona jest piękna, jeszcze musi wiedzieć, kiedy była bitwa pod Grunwaldem i kto to był Sokrates...

– Bez przesady, Sokratesem ich nie katują. Elvis Presley.

– Myślisz...?

– Albo, czy sto lat temu istniały telefony komórkowe.

– No właśnie. Więc tyłek tyłkiem, a każdy zaraz chciał, żeby parę słów z gęby wypuściła. Ludzki głos chciał słyszeć, nawet liczył na coś sensownego, pogadać chciał, a jak u niej z pogadaniem, wszyscy wiemy. Albo ich obraziła, albo zniechęciła, albo zezłościła i już nawet pośladki nie pomogły, żaden dla niej wysiłeków nie czynił. Sfery techniczne są mniej wymagające, Sokratesa rzadko kto pamięta, jeśli już to raczej Tales, Archimedes, Pitagoras...

– Opamiętaj się – poprosiła Majka surowo. – Wchodzisz w szczegóły.

– A, masz rację. Zaraz, na czym ja stoję...

– Na niefarcie Kręcidupci.

Bożenka spojrzała na pełny kieliszek przed sobą, opróżniła go, kiwnęła głową i zapanowała nad tematem.

– No więc źle wybierała, ale dobrze jej tak, bo rozbijała małżeństwa i miała to całkiem w zadzie. Ze trzy pary dzieciate przez nią się rozwiodły, z tym, że dwie do siebie wróciły, jak chłopu to rozkręcone wrzeczono z oczu zeszło. Jako ostatni, zapadł na nią Zdziś...

– Przedostatni – poprawiła sucho Majka.

– A... No, może... Ale ty mu przecież rozwodu nie dasz?

– Nie dam.

– To też jej źle wyjdzie, niech mnie wielbłąd opluje. No i tu właśnie może mieć najgorzej, bo w Dominiku się zakochała. Anusia mówi, że na śmierć i życie, kompletnie i gruntownie.

– Tak, żeby polecieć na niego nawet i bez mieszkania? – zainteresowała się Majka, wciąż sucho i cierpko.

– A, nie. Tak daleko nie poszła. Anusia mówi, że ona nic nie myśli, tylko chce. A ile w tym sensu, do niej nie dociera. Ale czekaj, to ciągle jeszcze nie koniec. Ona wcale nie leci na seks!

Zgroza pod sufitem zamarła, tracąc dech i głos, i chyba zaczęła kurczyć się w przerażeniu przed samą sobą.

Zakochanie się w Dominiku Majka doskonale potrafiła zrozumieć, w końcu sama na tę dolegliwość zapadła, reszta Kręcidupci jednakże przedstawiała sobą coś tak paskudnie osobliwego, że do niczego nie pasowało. Wstrętne i głupie. Dominik w życiu się po tym nie domyje!

– I co? – spytała tępo, bo Bożenka zamilkła dla większego efektu.

– No właśnie. Anusia sama też jest zresztą zakochana w Dominiku, to tak na uboczu, przyznała się jawnie, bo już jej wszystko jedno. A Kręcidupcia nie leci na seks, a jeśli leci, to niemrawo i dlatego łatwo jej

tych chłopów trzymać krótko przy pysku. Pomajta im, pomerda, a reszta na dystans aż do ślubu, a co najmniej do rozwodu. Ale zaraz, o rany, ty jeszcze więcej nie wiesz, on się z nią spotykał na spacerach.

– Co?

– Na spacerach z dziećmi.

Majka poczuła, że coś jej się w środku przekręca.

– On się z nią spotykał na spacerach z dziećmi?

– Ty mnie nie traktuj tak dosłownie! – zdenerwowała się Bożenka. – Uczciwie mówiąc, nie on się spotykał, tylko ona czatowała, tak jej jakoś wychodziło, że gdzie by nie poszli, już zaraz się tam pokazywała i kręciła aż furczało. Anusia mówi, że śledziła go specjalnie!

– Czekaj. Przed moimi dziećmi?

– Co?

– Przed moimi dziećmi tyłkiem furczała?

Taki ton zabrzmiał w głosie Majki, że Bożenka się prawie przestraszyła.

– No coś ty, nie przed dziećmi, tylko przed Dominikiem. A co...?

– Nic. Ale wyraźnie mówiłam, że jeśli wpięprzy w to gównno dzieci, nie daruję mu. Dużo zniosę, ale tego nie. Obiecałam mu, że ją zabiję. No i widzę, że trzeba będzie...

Bożenka poderwała się z fotela, chwyciła flachę, czym prędzej napełniła kieliszki. Jeden podetknęła Majce pod nos.

– Już! Chlapij sobie, ale ostro. Jazda, jazda!

Majka wypiła tylko dlatego, że inaczej Bożenka nalałaby jej napoju do nosa albo na gors. Odetchnęła, odchrząknęła i nawet zjadła oliwkę. Bożenka wróciła na fotel i wykonała podobną operację dobrowolnie.

– Ty się nie wygłupiaj, bo cię złapią. Łajno zabijesz, za człowieka pójdziesz siedzieć!

Majka milczała jeszcze przez chwilę, opanowując straszne doznania w środku. Miała wielką ochotę zdemolować wszystko, cokolwiek widziała przed sobą i gdyby Dominik był obecny...

Zamiast niego obecna była Bożenka, która usiłowała działać kojąco.

– I w ogóle daj spokój, Anusia mówi, że dzieci nie zwróciły uwagi. I Dominik też nie zwracał uwagi bardzo długo, prawie aż do teraz, znaczy, rozumiesz, aż go wreszcie dopadła namacalnie.

– Nie złapią mnie – powiedziała z zimną zaciętością Majka, którąś szarą komórką przyswajając komunikat o nieuważnych dzieciach. – Podjęłam decyzję, nie będę jej dziabać siekierą jawnie, na ulicy. Załatwię to podstępnie i zdradziecko. Bo przecież wiesz, że kobiety są podstępne i zdradzieckie.

Bożenka uspokoiła się w znacznym stopniu.

– Wnioskując z Kręcidupci, na pewno...

– Coś jeszcze? – spytała Majka, znów po chwili. – Bo mam niedosyt bieżący. Dominik strasznie późno wraca i nie wiem, co go trzyma, robota, czy Kręcidupcia.

Widząc powracającą normalność i równowagę, Bożenka ucieszyła się ogromnie. Też poczuła niedosyt, ale nie ogólny, tylko wyraźnie żołądkowy. Zjadła zatem pasztecika, dwie pieczarki i zajęła się paluszkami serowymi.

– A, właśnie, to ci się powinno spodobać, bo mnie się spodobało. Siedzą wszyscy przy tych swoich obliczeniach i dodatkowo mechaników gnębią, bo eksperymentalnie coś tam na modelach sprawdzają, a Kręcidupcia dla nich przy tym jak wrzód na dupie. Pcha się i wciska, Domisiu to, Domisiu śmo...

Majka jęknęła, przez co Bożenka nabrała rozpędu.

– ...ale ją przeganiają aż powiewa. Głównie Elżbieta pilnuje, bo powiada, że od tej zadniej akrobacji oczopląsu dostaje, traci apetyt i zbiera

jej się na wymioty. Więc co wolą, Kręcidupcia kręci, a ona rzyga im na oczach, czy ani jedno, ani drugie, niech wybierają. Wybrali ani jedno, ani drugie i ten nachalny wiatrak może się obracać pod sufitem, a nie między ludźmi pracy. Anusia to widziała i słyszała na własne uszy, nie żeby ciągle i wszystko, ale wystarczy. I z nią Elżbieta rozmawia bez mdłości.

– A Dominik co na to?

– Nic. Nie zauważa, bo uczciwie zajęty. A jak ją przypadkiem zobaczy, radosny taki i nic nie widzi, bo ona zawsze ma mordę nadętą, więc różnicy nie ma. Nie wrzeszczą przecież do niego, hej ty, wyganiamy Kręcidupcię!

Przelotnie Majkę zaciekawilo, co by było, gdyby wrzasnęli, ale nie zamierzała nikogo do takiej próby namawiać. Wiedzę już posiadała ogromną, nadchodził czas, żeby ją spożytkować.

Wychodząc, Bożenka obejrzała jeszcze stan płynów w butelkach, żeby wiedzieć, z czym w razie czego ma przylecieć.

* * *

Dominik nie wytrzymał.

Separacja od stołu nie wyszła mu najlepiej. Kręcidupcia z solidnym, męskim jądłem była trochę na bakier, zlekceważyła prawo natury i drogę wiodącą do serca mężczyzny, tę przez żołądek, Dominik wracał do domu śmiertelnie głodny, bez względu na porę doby. O drugiej w nocy na przykład. Same uczucia nie stanowiły dostatecznego pożywienia, coś konkretnego jadać musiał.

Konkretne zaś znajdowało się w sklepach, zamykanych o idiotycznej porze, i o zrobieniu zakupów należało pamiętać we właściwej chwili. Pogrążony w pracy Dominik nie zawsze pamiętał, przywykł do starań Majki, która to gdzieś tam w sobie miała zakodowane. Spróbował się sprężyć i zrobić zakupy hurtem, na zapas, dokonał dzieła z powodzeniem,

po czym okazało się, że w zdumiewającym tempie zapasy znikły. Zostały skonsumowane przez dzieci. A także przez Majkę, której, zgodnie z zapowiedzią, wcale nie zaszkodziły.

Złamał się w końcu i zjadł to, co było, a czego sam nie kupował. Zaszkozić mu, też nie zaszkodziło, ale wzmogło zaburzenia wewnętrzne natury moralnej. Zawiódł Kręcidupcię, której wszak przysięgał, że z Majką już go nic, ale to absolutnie nic nie łączy!

No i co? Połączyła go podsmażona wątróbka z cebulką. Na marginesie: wyjątkowo smakowita. Samodzielnie podgrzać umiał.

A zawiedziona Kręcidupcia nic nie mówiła, tylko odwracała nadąsaną twarzyczkę, nie słuchała usprawiedliwień i nie chciała patrzeć niebieskimi oczkami o barwie niekoniecznie czystej i wyrazie nieodgadnionym. Okropne!

W ostatecznym rezultacie, udręczony Dominik wyrzucił zgryzotę z siebie i z pamięci. Kwestia separacji od stołu przestała istnieć i w ogóle nigdy nie istniała, pożywienie po prostu było, a honor został uratowany wnoszeniem opłat w gotówce. Zaspokoiwszy głód, Dominik kładł na lodówce sumę, jaka wydawała mu się stosowna, a że miał szeroki gest, dziwił go trochę osobliwy wzrost kosztów własnego utrzymania.

Separacja od łoża okazała się łatwiejsza, bo łóżko turystyczne, trwale rozstawione w sypialni, było wyjątkowo wygodne i spało się na nim doskonale.

Jednakże uciążliwości kwitły i zatruwały egzystencję.

Około pierwszej w nocy Majka oderwała się od pracy i nalewający sobie herbatę Dominik ujrzał ją w kuchni.

– Mnie też możesz nalać – powiedziała spokojnie. – I parę słów musimy zamienić.

Dominik syknął niecierpliwie, bo niczego nie chciał zamieniać, wciąż jeszcze roztkliwiony, ale i roztrzęsiony kaprysykami Kręcidupci, jednakże nie miał wyjścia. Spełnił polecenie.

– Słuchaj no – rzekła Majka, siadając przy stole nad szklanką. – O ile wiem, moja teściowa, a twoja mamusia wychowała cię na dżentelmena?

Dominik zdziwił się tak, że całe zniecierpliwienie razem z irytacją odbiegły go świńskim truchtem. Był przekonany, że Majka uczepli się późnych powrotów do domu, Kręcidupci i tym podobnych nieprzyjemności małżeńskich, że usłyszy jakieś bardzo osobiste pretensje i wyrzuty. Mamusi nie spodziewał się w najmniejszym stopniu.

Majka nie oczekiwała natychmiastowej odpowiedzi.

– Mając sąsiadów przez cienką ścianę, albo gości w domu, nawet przypadkowych, nie nastawiałbyś grzmiących dźwięków na cały regulator w późnych godzinach nocnych? Nie zajmowałbyś łazienki w godzinach szczytu na trzy kwadransy? I byłbyś oburzony, gdybym na przykład ja farbowała sobie włosy, kiedy wszyscy śpieszą się do pracy i do szkoły?

Tym razem nie było to pytanie retoryczne, ale Dominik miał umysł o skłonnościach technicznych, kochający wiedzę ścisłą.

– Przecież nie farbujesz sobie włosów?

Majce udało się pohamować następujące: ale Kręcidupcia farbuje, a gdybym farbowała, a czy nie możesz sobie wyobrazić...

Zamiast tego powiedziała: – Dobrze. Precz z włosami. Biorę kąpiel w ziołach na podrażnienia skóry, o których nie muszę trąbić po całym mieście. To intymne. Ciebie już nie obchodzi.

– Musisz wtedy...?

Pytanie zastąpiło odpowiedź.

– Otóż to. Muszę wtedy? I co ty byś na to?

Ton pytań i same pytania brzmiały tak rzeczowo, że Dominik poddał się obiektywnej analizie. Nie odczuł wewnętrznego zadraśnięcia.

– Uważałbym, że możesz przeczekać osoby, związane terminami. Godzinami pracy i szkoły.

– A gdybym twierdziła i udowodniła, że kiedy indziej nie mogę?

To już było coś. Od dawna Dominik nie rozmawiał normalnie, spokojnie i obiektywnie na tematy ludzkie. Zastanowił się.

– Należałoby to rozważyć? Uzgodnić?

– Też jestem tego zdania – zgodziła się Majka. – Zatem powinienesz chyba uzgodnić godziny używania pralki?

Tu Dominikowi na chwilę odebrało mowę. Pralka była elementem tak zwyczajnym, tak odruchowo i często używanym, że w ogóle o niej nie myślał. Otwierał automatycznie, wkładał brudne rzeczy do środka, uzupełniał, jeśli było za mało, zamykał, sypał proszek i przytykał guzikiem. Nad czym miał się specjalnie zastanawiać?

Pytając popatrzył na Majkę, którą ostatnio starał się omijać wzrokiem, żeby przypadkiem nie zobaczyć czegoś wspólnego, co wzbudziłoby niezadowolenie Kręcidupci. Niczego szczególnego nie ujrzał, Majka wyglądała normalnie i trochę tylko była pomazana na włosach czymś zielonym. Żadne dziwo, pracowała wszak w kolorze.

Westchnęła.

– Naprawdę nie przyszło ci do głowy, że druga w nocy to nie jest odpowiednia pora na hałasy? Nie jesteś przecież głuchy, słuch masz znakomity, a ta cholerna pralka warczy jak wściekły szatan i przy wirowaniu łomocze. Ostatnio dzieci się obudziły i musiałam im opowiadać różne głupoty, jak to tatuś na zegarek spojrział do góry nogami i godziny mu się pomyliły. Dzieci to też ludzie. Może byś to uwzględnił?

Dominikowi szczęki zacisnęły się od razu i ogarnęła go złość. Dał się narwać, miało być o poczynaniach ludzkich, a wlaźło na niego osobiście. Ona specjalnie stwarza głupie przeszkody! Kiedy on ma załatwiać takie sprawy domowe, praktyczne, życiowo niezbędne, skoro... skoro...

Przez chwilę nie był w stanie sprecyzować, skoro co. Skoro nie może zamieszkać z ukochaną Emilką, kobietą życia? Skoro nie może z nią sypiać, a nawet gdyby mógł, to nie ma gdzie? Skoro wziął tę cholerną robotę za pieniądze i ugrzązł w niej wszechstronnie? Skoro musi zachować separację od stołu i łoża, do diabła ze stołem, ale czy pranie do niego należy...?

Przez następną chwilę rozważał wnikliwie do czego należy pranie, do stołu, czy do łoża. Całkiem rozsądnie uznał, że powinno to zależeć od zawartości, jeśli pierze się obrus, w grę wchodzi stół, jeśli prześcieradło, z krzykiem zgłasza się łoże. Stwierdziwszy, że przynajmniej jedno ma z głowy, doznał ulgi.

Majka przyglądała mu się ze starannie ukrytym zainteresowaniem, jak na dłoni widząc całą tę idiotyczną, jej zdaniem, rozterkę. Nie tylko znała Dominika dokładnie, ale tę znajomość wyostrzało uczucie. Prawie umiałaby ubrać w słowa wszystkie jego myśli, a przy takiej okazji świetnie umiałaby je wyśmiać i wydrwić, przejechać się po dennie głupiej Kręcidupci jak po łysej kobyle i jeszcze lepiej po jej niewydarzonym wielbicielu, trzymanym z daleka od żłobu. No, żłobu jak żłobu, tu akurat jakby odwrotność żłobu, tylna strona... Ale zamierzała przecież wystąpić w roli anioła, ułagodzić emocje, posłużyć pomocą... No to co, że pozornie, otumaniony rozkręconym tyłkiem półgłówek na pewno się nie zorientuje...

Znów westchnęła, odżałowawszy uciechy, stojącej u progu, z konieczności odkopanej precz.

– Zaproponuję za ciebie. Jeśli się mylę, popraw mnie od razu. Poranny skowronek jesteś, włączyć pralkę o siódmej rano nie sprawi ci trudności, w

dzień ona może sobie brzęczeć dowolnie. Przygotowanie szmat do prania hałasu nie wywołuje i zapchać ją można o dowolnej porze, na spokojnie i sprawdzając nawet, co jest czyje. Przeciwno dzieciom Krę... Pardon. Dulcynea nie zgłasza zastrzeżeń?

Część Dominika się trzęsła, a część kamieniała. Zjawisko, medycznie rzecz biorąc, było najdoskonalej zrozumiałe. Trzęsła się niezaspokojona, tak zwana chuć, podtrzymywana w wigorze przez rozwirowany tyłek, kamieniała psychika, przemocą odgradzona od zaspokojenia pragnień, pierwszy raz w życiu potraktowana tak ohydnie. Ja tego chcę – wrzeszczała – i z jakiej racji nie mogę tego dostać!!!

I kamieniała z furii, z oburzenia, z uporu i nienawiści.

Do świata.

Kamieniałyby całkowicie do Majki, gdyby nie śladowe reszteciki rozsądku, wszczepione przez adwokata, że nawet gdyby zdradzona małżonka domagała się rozwodu, nie polecą to tak szybko. Jedna podrywka, jedna zdrada, zdenerwowana żona, o, nie tak zaraz, dziesięć lat sielanki i dwoje dzieci robi swoje.

Na pomysł nienawiści do sielanki i dzieci Dominik na szczęście nie wpadł.

– Czy zechcesz rozważyć sprawę nocnych dźwięków? – spytała Majka cierpko po długiej chwili milczenia obustronnego. – Zwracam ci uwagę, że nie zgłaszam żadnych pretensji, rozumiem twoją trudną sytuację i najzwyczajniej w świecie chcę uniknąć niepotrzebnych zadrażnień. Ty też czegoś chcesz, nie? No to, do cholery ciężkiej, chciej w sposób mniej uciążliwy dla otoczenia!

– Mnie otoczenie nie obchodzi! – wywarczało z Dominika.

Majką szarpnęło. Z szalonym wysiłkiem powstrzymała swoje natychmiastowe śmiertelne zejście na zawał, wylew, zadławienie,

ewentualnie jakieś użycie przedmiotów twardych i niebezpiecznych dla życia i zdrowia, w rodzaju ostrych noży, kamiennych donic i odległości z okna mieszkania do chodnika ulicznego poniżej. Wręcz usłyszała za plecami ostrzegawczy szum tych anielskich, zaplanowanych skrzydeł.

– Ale musisz wziąć pod uwagę, że wobec tego ty nie obchodzisz otoczenia – rzekła głosem ociekającym współczującą słodyczą. – To ci nie pomoże w niczym. Wiem doskonale, jak bardzo nie chcesz, ale nie ma siły, musisz się przełamać. Dla własnego dobra. Alternatywą, przykro mi to powiedzieć, są Tworki.

I natychmiast zdążyła pomyśleć, że nigdy w życiu nie nakłamała tyle, co teraz, przez tę parszywą Kręcidupcię. I nienawiść Dominika do świata nagle stała się niczym w obliczu nienawiści Majki do Kręcidupci.

I jej tyłka.

Dominik przełamywał się przez bardzo długą chwilę. Był, owszem, konkursowym egocentrykiem, ale nie prostackim chamem. Nie wracał do domu z rykiem, nie trzaskał drzwiami, nie tupał zabłoconymi buciorami, nie rozwaliał ich z łomotem po całym przedpokoju, zrzucając z nóg, a już z pewnością nie brzęczał grzmiąco garnkami na kuchni i nie wbijał gwoździ w ściany. Zachowywał się z hałaśliwością przeciętną, mieścił się w normie.

No tak, ale działa się to w dzień, w ciągu dnia wszyscy coś robią. W nocy przeważnie śpią, a nocą wszelkie dźwięki rozlegają się głośniej. Możliwe, że tę cholerną pralkę słychać w całym domu...

To co on ma zrobić?

Uczciwie traktujący swoje obowiązki anioł czuwał, wtrącił się i przemówił ustami Majki.

– A właściwie po cholere ci te wszystkie komplikacje? Ja się nie czepiam, nic się nie dzieje, masz pełną swobodę, a jakąś kulturę na co dzień wpojono ci od dzieciństwa. Ustabilizowany tryb życia od dziesięciu lat,

zdaje się, że dość wygodny, i na jaką petronełę masz cokolwiek zmieniać? Zmienisz sobie radykalnie, raz a dobrze, jednym kopem, a gdybyś mieszkał z kumplem albo z tą parszywą siostrzyczką, nie wyrywałbyś im z rąk swoich gaci, nie robił prania w środku nocy. I nie miotał się jak kretyn po kuchni, bo nie daj Boże twoją zupkę samym wzrokiem skazili. Opamiętaj się i rusz umysł. Przecież chyba ta twoja ukochana psychopatia ludzki język rozumie...?

Dominik zachnął się tak, że Majka zastopowała przemówienie.

– O co ci chodzi? – podjęła cierpko. – Nie wolisz uczonych słów niż Kręcidupcia? Ja od ciebie miłości nie wymagam, nie wymagaj i ty ode mnie!

Z Dominika w takich chwilach wychodził wściekły warkot, zastępstwo hamowanego bawolego ryku.

– Jakiej miłości...?!

– Dozgonnej, jak sądzę...

– Ja od ciebie nie chcę żadnych miłości!!!

– Owszem, chcesz. Każdym słowem, każdym mrugnięciem oka żądasz ode mnie szacunku, miłości, uwielbienia, czci zgoła boskiej dla tej dziopy, w której raczyłeś się zakochać. Wybij to sobie z głowy i docień, że napomykam o niej tylko wtedy, kiedy sam ją siłą wpychasz do mojego domu. Z czego ta pralka i te separowane kartofelki? Nie z jej żądań przypadkiem, żebyś nie miał ze mną nic wspólnego?

Od pytania, czy Kręcidupcia domaga się także podejrzenia gardeł dzieciom, zdołała się powstrzymać. Ale z jak straszliwym trudem...!

Ścisły umysł Dominika, aczkolwiek otępiały wulkanicznymi doznaniem strony anatomicznej przeciwnej, nie dał się przydeptać radykalnie. Zakwiczał krótko i przenikliwie.

Skąd Majka wiedziała, że Kręcidupcia... och nie! Psychopatia... nie, precz, Dulcynea... Do diabła!!! Emilka. Upragniona, jedyna Emilka... tak słodko, z takim ślicznym dąsem, tak rzewnie cierpi przez bliskość Majki? Przez jej samo istnienie? Przecież to ich własne, prywatne, intymne w najwyższym stopniu, jak mogło się ujawnić i rozejść? Co to znaczy? Ukrócić natychmiast!

– Skąd masz taki pomysł?

– Znikąd. Ze znajomości życia, oraz ludzi płci obojga. Na jej miejscu miałabym podobne życzenia, ale nie naciskałabym faceta w tak trudnej sytuacji. Tobie też się coś od niej należy, nieprawdaż?

Komunikat, że Dominikowi coś się należy, wchłaniał się w jego jestestwo sam, najłatwiej w świecie, bez żadnej pomocy, nie wspominając o jakichkolwiek przeszkodach. Wprawdzie na czele pragnień i należności stał rozwirowany zadek, ale inne należności biegły tuż za nim. W dodatku Majka dołożyła.

– Ona też powinna wspomagać, a nie tylko żądać. Podobno szlachetna...?

Na jedną setną sekundy we wnętrzu Dominika błysnęła iskierka czegoś, zbliżonego do zdrowego rozumu. Fakt, Kręcidupcia wymagała, żądała, dąsała się i nie dawała. Nie żeby nic, ale najważniejszego. Iskierka zgasła, ale pozostało po niej niejasne wrażenie, że Majka niegłupio mówi. Powiedział jej to nawet.

I wpędził ją w rozterkę, ponieważ zamierzała dyplomatycznie, ale rzetelnie obsobaczyć go za dzieci. Subtelne pytanie, czy za najwłaściwsze dla nich miejsce uważa burdel, względnie kabaret ze striptizem i tańcami na rurze, anioł mocno zganił. Tego Dominik już by nie zniósł, krytyka olśniewających wdzięków wystrzeliłaby awanturą nieziemską, poza tym nadszedł grudzień i wątpliwe było, czy kusicielskie zabiegi Kręcidupci dają

się zauważyć pod warstwami odzieży ochronnej, nie latała przecież na mrozie z gołym tyłkiem! A spacer i rozrywki na świeżym powietrzu i tak z natury rzeczy uległy ograniczeniu.

Anioł wygrał batalię. Całą resztę Majka zdusiła w sobie.

Dominik był konsekwentny, skoro poszedł na ugodę, trzymał się jej rzetelnie, dopuścił do świadomości istnienia ludzkości jako takiej i przyznał jej pewne, skromne raczej, prawa. Raz nawet wrócił wcześniej ze względu na dzieci. Nie hałasował niczym. Na tematy neutralne i zawodowe rozmawiał bez oporu, prawie jak człowiek...

* * *

W pozwie rozwodowym, którego elegancki brudnopis wręczył Majce Dominik wciąż z niesłabnącą nadzieją na jej pomoc i prośbą o przynajmniej przeczytanie, znajdowały się informacje niezwykle. Majka przeczytała dokument z czystej ciekawości.

Przez chwilę, dość długą, musiała tłumić w sobie mnóstwo różnych uczuć. Pozostawiła politowanie.

– I ty, oraz twój genialny pan mecenas... skąd tyś wytrzasnął tego kretyna...? ...wyobrażacie sobie, że ja coś podobnego mogłabym podpisać? Jak to w ogóle rozumieć? Zmuszałam cię do prac domowych, a na usługi małżeńskie... seksualne, jak sądzę...? ...zgadzałam się tylko wtedy, kiedy spełniłeś obowiązki? Znaczą jak? Zaraz po praniu? Dlaczego, do cholery, nie oddałeś bielizny do pralni, to tak na marginesie...? A, może firanki...? Po doskonałym umyciu okien i rozwieszeniu świeżo upranych firanek zgadzałam się łaskawie pójść z tobą do łóżka? Czy nie prościej byłoby napisać, że cierpię na ciężkie zaburzenia psychiczne, może nawet na zaawansowaną paranoję i powinno się mnie leczyć w zakładzie zamkniętym?

Wyraz i barwa twarzy Dominika wręcz znikły, wniwecz obrócone przeraźliwym w formie i treści znakiem zapytania. Cały stał się znakiem zapytania.

– Używać chłopa zaraz po ciężkiej i obrzydliwej pracy fizycznej, to naprawdę trzeba postradać zdrowe zmysły – wyjaśniła Majka uprzejmie. – Tak głupiej kobiety nie ma na świecie. Przymusowe leczenie niezbędne, bo następnym krokiem mogą się okazać czyny zbrodnicze, kodeksowo karalne.

Bez względu na stan uczuć, Dominik ludzkie słowa słyszał. Gorzej, rozumiał. Chociaż tak potwornie nie chciał ani słyszeć, ani rozumieć.

Majka ujrzała psie oczy. Nieszczęśliwe, rozczarowane bezgranicznie, jeszcze z resztkami wiary i nadziei, że państwo nie będą takie świnie, żeby znów zostawić go na tak długo, tak bez słowa, z resztkami błagania na dnie, z psią bezdenną rozpaczą, a zarazem z czymś, co już zaczynało się lęgnąć pod tym dnem. Z buntem. Wściekłością. Wścieklizną.

To spod dna ją uratowało. Wszystko powyżej szarpnęło jej sercem, uparcie kochała tego kretyna, pomijając tę drobnostkę, że kochała i rozumiała psy, omal się nie złamała, masz kochanie, bierz, podpisuję każdy idiotyzm, dam ci parszywy rozwód, niech ci szczęście z Kręcidupcią zaświeci setką jupiterów, a ja sobie poradzę nawet z tuzinem dzieci!

Szczęśliwie spod cech psich, ukazały się cechy ludzkie. W żadnym uczciwym psie nie drgnąłby nawet cień buntu i protestu. Co do człowieka zaś...

Ułożywszy elegancko dokument na stole, Majka postanowiła czekać na kwestię Dominika. Swoje powiedziała. To, że ją szlag trafił, zdołała ukryć. Jego kolej. Niech spróbuje ukryć, że też go szlag trafia.

Dominik na bezowocne próby poświęcił mniej więcej trzy sekundy. Potem wydał z siebie ryk tak potężny, że obudził nie tylko własne dzieci,

ale także najprawdopodobniej sąsiadów, którzy mieli dość taktu i doświadczenia, żeby nie reagować czynnie. Dzieci przeciwnie.

Aczkolwiek Dominik, zaryczawszy straszliwie barwną mieszaniną słów wytwornych i powszechnie uważanych za wysoce obelżywe, zgodnie z charakterem choleryka zamilkł i uspokoił się samoczynnie, to jednak za drzwiami dzieciennego pokoju dały się słyszeć dźwięki i w progu salonu pojawiła się progenitura. Ani Tomek, ani Krysia nie kryli ostrożnego zainteresowania.

– Nic, wszystko w porządku – powiedziała Majka, zanim zdążyli zadać jakiegokolwiek pytanie. – Tatuś musi czasem ryknąć, żeby wyrzucić z siebie stres. Tłumienie w sobie stresu może spowodować ciężką depresję, a z dwojga złego lepiej chyba, żeby czasem zaryczał, niż zapadł na głupie choroby. Idźcie spać i nie zwracajcie uwagi.

– Będzie jeszcze ryczał? – spytał z nadzieją Tomek, a Krysia w połowie zatrzymała ziewnięcie.

Bezgranicznie, wprost nie do opanowania, Majka chciała zwalić odpowiedź na Dominika. Do diabła z jego taryfą ulgową, niech się sam wykręca! Dzika chęć, też wrzasnąć nie gorzej, kropnąć o podłogę cukiernicą, nie bacząc na konieczność zmiatania później cukru, cisnąć popielniczką w ten głupi łeb bez względu na konsekwencje, niedopałki niech z niego pogotowie wybiera, wszystko to razem omal jej nie zadławiło. Przemogła się, wspięła na szczyty macierzyństwa.

– Nie – rzekła uspokajająco. – Na dzisiaj swoje odpracował, lekarstwo zażył, już mu wystarczy. Jazda spać, pogadamy jutro.

Dominik też się na coś zdobył. Odchrząknął.

– Tak. Wy spać. A my się napijemy herbaty.

Sam tę herbatę przyrządził. Majce trzęsły się ręce, czekała przy stole, i zastanawiała się, czy nie sięgnąć po obrzydliwy koniak. Albo znacznie

mniej obrzydliwą wódkę. Ale nie, Dominik na alkohol nie leci, nie daj Boże jeszcze się uczepli i znajdzie argument rozwodowy.

Postawił szklanki na stole i usiadł.

– Chcę dostać rozwód – rzekł stłumionym, suchym głosem. – Co mam zrobić? Mógłbym wziąć winę na siebie, ale wtedy pozew musiałabyś składać ty.

Majce anielskość nosem wyszła.

– A ja nie złożę, bo nie widzę w tobie żadnej winy, drogi mężu.

– Bzdura. Widzisz...

– Nic podobnego. Na twoim przykładzie nauczyłam się zamykać oczka i nie widzieć. Jak dla mnie, nie masz żadnych wad.

Dominik z szaloną intensywnością wpatrywał się w Wielki Atlas Zwierząt, wsparty o książkowe regały i ustawiony do góry nogami. Tygrysia morda w tej pozycji wyglądała jakoś dziwnie.

– Chcę rozwód – zawarczał. – Muszę mieć rozwód!

– A właściwie dlaczego? Skąd ten przymus?

– Przecież cię już nie kocham. Chcę się ożenić z kimś innym.

– Po co?

– Jak to po co? Żeby wszystko było... Żeby mieć wszystkie sprawy uporządkowane. Chcę mieć jasną sytuację.

W Majce wylał się i błyskawicznie podrosł granitowy upór. O genezie rozwodu słyszała od Bożenki i od Zdzisia, mogli zełgać, mącić, przesadzać, mylić się zwyczajnie, albo wyrażać swoje pobożne życzenia. Dominik był zainteresowany bezpośrednio, chciała usłyszeć od niego. Czy on w ogóle zdaje sobie sprawę, że inicjatorką komplikacji jest Kręcidupcia, czy też zgłupiał tak, że nawet o tym nie wie?

– Jasną sytuację masz od przeszło dziesięciu lat – wytknęła bezlitośnie. – Legalna żona zdobywa się na tolerancję szczytową. Nic nie stoi na

przeszkodzie twoim czarownym i ścisłym kontaktom z atrakcyjną panienką, możesz z nią wyjechać, na przykład, na mały urlopik i zażyć niebiańskich rozrywek taktownie, bez huku, bez kompromitacji i robienia z siebie pośmiewiska.

– Nie.

– A czemuż to nie?

– Ona nie... Nie każda... To nie jest...

– Rozumiem. *Virgo intacta*?

W oczach Dominka obok buntu i wściekłości znów błysnęła iskra psiego nieszczęścia. Majka nie dała się wzruszyć.

– Ciekawe, jak też ten Zdziś Miesztański zdołał tego nie zauważyć przez dwa lata...

Dominik poderwał się, chwycił krzesło, uczynił zamach, trwał chwilę z ciężkim siedziskiem w dłoniach, po czym delikatnie odstawił je na miejsce i usiadł. Majka zaniepokoiła się lekko. Czyżby Kręcidupcia zmieniała mu charakter? Chociaż nie... a jeśli nawet, to na gorsze, dotychczas meblami nigdy nie rzucał. Ale odstawił. Jakim cudem zdołał się pohamować?

Przez chwilę obydwójce milczeli. Dominik złamał się pierwszy.

– Nie. Jeśli chcesz wiedzieć, nie śpiam z Emilką.

– Z jaką E... A...! A kto ci przeszkadza? Bo przecież nie ja?

– Owszem, ty. Nie chcesz się zgodzić na rozwód... A ona by chciała... To znaczy, ja bym chciał...

– Zdobądź się może na tę odrobinę szczerości i powiedz wyraźnie, że ona odmawia względów, dopóki nie stanie na ślubnym kobiercu. Bo tobie brak kobierca, o ile wiem z własnego doświadczenia, raczej nie przeszkadza. Zatem to ona nalega na rozwód, tak?

– Tak – powiedział Dominik mężnie, z determinacją i na własną zgubę.

Gdyby istniał jeszcze w Majce najniklejszy bodaj cień wahania, czy nie ulżyć, mimo wszystko, temu idiocie, diabli wzięliby go bezpowrotnie. Więc jednak oni wszyscy, Anusia, Bożenka, Zdziś, mówili prawdę i mieli rację, nie Dominik wymyślił to odrąbanie się od rodziny, tylko strzyga perfidna ze swoim rozkręconym zadkiem. Zastosowała metodę najprostszą w świecie, wziąć chłopca na wstrzymanie, a ten bałwan grzmiący dał się nabrać jak ostatni debil!

No to tyłek Kręcidupci długo sobie poczeka...

– To nad wyraz szlachetnie z jej strony – pochwaliła z najgłębszym przekonaniem, jakie zdołała z siebie wykrzesać, a uzyskany przed chwilą żer dla zemsty bardzo ją wspomógł w wysiłku. – I aż mi przykro, że muszę ci przypomnieć o pieniądzach.

– O czym?

– O pieniądzach. Obrzydliwe i wprost niedopuszczalnie prozaiczne w obliczu niebiańskich uniesień.

Zaskoczyła Dominika tak, że przez chwilę nie rozumiał określenia.

– Pieniądzach...? Jakich pieniądzach?

– Na dom i utrzymanie rodziny. Nie zapomniałeś chyba, że od pewnego czasu to ty dysponujesz finansami i musisz wyasygnować stosowne sumy? Święta za dziesięć dni, prezenty, dzieci sobie zaoszczędziły, ale zdaje się, że liczą na drobne dodatki, rachunki leżą na twoim biurku, może nie zwróciłeś uwagi. No i reszta rodziny...

– Jaka reszta rodziny?

– Dominik, nie denerwuj mnie! Nie udawaj półgłówka! Nie rozwodzisz się, do pioruna, ze swoimi rodzicami, ani ze swoją siostrą, że nie wspomnę o szwagrze! Kręci... tego... twoja honorowa Dulcynea nie żąda chyba, żebyś się przeistoczył w sierotkę z domu dziecka?!

Dominik poczuł się ogłuszony. Zajęty był wyłącznie sobą i upragnioną Kręcidupcią, pozwem rozwodowym, który nawet i bez komentarzy Majki wydawał mu się nie najdoskonalszy, nic innego nie miało do niego dostępu. Nagle ze szczytów niekoniecznie może uczuć, ile niezwykle silnych doznań i namiętności zleciał z hukiem na ziemię. Majka okazała się po prostu potworem. Nie, nie mógł winić jej za nadejście świąt Bożego Narodzenia, ani za fakt istnienia rodziny, bo w końcu była to jego rodzina... przez moment migotał w nim żal, że jednak nie jest sierotką z domu dziecka... ale czy ona koniecznie musiała mu o tym przypominać? Tak brutalnie, tak wstrętnie?

Majka zajęta była Dominikiem. Nie sobą. Nie tonęła w mętym wirze seksualnego szaleństwa. Tyle miała roboty i tyle udręk, że gdyby dano jej wybór, wołałaby zapewne wszy niż seks. Kołomyję umysłową Dominika widziała tak, jakby prezentował jej tekst, wypisany wersalikami i do tego wytłuszczonym drukiem.

– A gdybym ci o tym nie przypomniała – wyrębała twardo – zrobiłbyś z siebie ordynarnego kretyna i chama, i miałbyś do mnie ciężką pretensję, że ci nie przypominałam. Bo akurat w tym roku, zechciej zwrócić uwagę, wigilia jest u twojej mamusi. Twojej! Rodzonej! Czy, do jasnej I cholery, mimo tego mającego cię paranoicznie tyłka, potrafisz zachować jeszcze odrobinę człowieczeństwa?!

Dominik nie był członkiem rządu ani w ogóle politykiem, kwestia człowieczeństwa była zatem dla niego istotna, zrozumiała i ważna. Trwał w przekonaniu, że w niczym jej nie narusza, nic tu jej nie zmienia, nic jej nie zagraża, Majka waliła w jego poglądy jak w kaczy kuper. Nie mógł tego znieść.

Po prostu nie mógł. I za żadne skarby świata nie przyznałby się, że jeszcze bardziej po prostu nie chciał.

Nie, nie pokłócili się. Sztywno, drętwo i z szalejącą nad głowami urazą uzgodnili plany na najbliższe dwa tygodnie. Dominik dysponował pieniędzmi. Koszmar stał się jego udziałem, musiał się złamać i ruszyć to zamrożone paskudztwo, z którym nie zamierzał mieć do czynienia. Zarobione! Pracą! Ohyda!

Alternatywę stanowiła natychmiastowa sprzedaż harleya. Ukochanego tak, że prawie sięgał wirnika Kręcidupci. Na szczęście nie pora była na pojazdy jednośladowe i Dominik doznał nieziemskiej ulgi, bez wysiłku nawet unikając wnikania w jej przyczyny.

Och, jak okropnie, jak przeraźliwie nie chciał dręczyć się i zajmować tym, czego nienawidził i czego tak właśnie ponad wszystko NIE CHCIAŁ!

I nieszczęsna, głupia Majka o tym wiedziała...

* * *

– Bo pani nie jest mężczyzną – powiedział ponuro Zdziś. – I nie potrafi pani tego zrozumieć.

Siedzieli w pracowni, która do nikogo z nich nie należała, ani do Majki, ani do Zdzisia. U architektów. Nie musieli szukać się wzajemnie i umawiać na tajne spotkanie, sprawę załatwiło potężne zlecenie na ociekające wodą wnętrze. Zachwycona wyzwaniem Majka nie mogła się obejść bez projektanta urządzeń sanitarnych, zdopingowany wymyślnością urządzeń Zdziś bez projektanta wnętrz mógłby najwyżej zatopić pomieszczenie i nic więcej. Obydwojgu cały ten projekt nadzwyczajnie przypadł do gustu i z tej przyczyny pierwsza połowa spotkania cieszyła się atmosferą radosną i twórczą.

Niestety, wszystko ma swój koniec, uzgodnienia, szczególnie pozbawione głupich kontrowersji, również. Spod przyjemnej powierzchni wylazły sprawy prywatne.

– Nie jestem – zgodziła się Majka z pierwszą częścią stwierdzenia Zdzisia. – Ale co do zrozumienia żywię wątpliwości. Kobietom też się zdarza ucześcić maniacko jednego faceta.

Zdziś pokręcił głową.

– Nie, to nie to samo. Facet babie tak się pod nos nie podtyka. Tak parszywie. Wie, że ona chętna, sam też reflektuje, a wywija się w ostatniej chwili, na przymus bierze. To znaczy, właśnie nie bierze... O rany, nie wiem jak to powiedzieć. No, testosteron szaleje, kobiety tego nie mają...

– Testosteron rozumiem. Czy wobec tego on nie mógłby jej po prostu i tak zwyczajnie zgwałcić? – zniecierpliwiła się Majka.

– Mógłby, dlaczego nie – zgodził się Zdziś z zadziwiającym brakiem emocji. – Ale to nic nie da.

– Dlaczego?!

– Bo ona nie da się zgwałcić. Nie, źle mówię, właśnie da, wcale nie zaprotestuje, chce frajer, niech ma, proszę bardzo. Tylko że to zupełnie nie będzie to, o co chodzi.

Po krótkim rozważeniu informacji Majka zażądała wyjaśnienia dokładniejszego. Niby rozumiała sedno rzeczy, potrafiła je sobie wyobrazić, ale wolała się upewnić. Zdziś starał się z całej siły.

– Mówiłem pani, że ona... no, tak z tą swoją... fizyczną właściwością... potrafi... bardzo niezwykle... Ale musi chcieć. A przy gwałcie nie zechce i co? Takie, no... jak ciasto...

– Bezwolna glista? – sprecyzowała z nadzieją Majka.

– O to, to! – ucieszył się Zdziś. – Rozczarowanie potworne. I na co to komu? Kto poleci na glistę?

– Raz spróbuje, zniechęci się i *arrivederci* Kutno?

– No właśnie.

Obydwoje kilkakrotnie westchnęli, wywołując wdzięczne falowanie kurtyny wodnej z cienkiej, lśniącej folii, wspomagającej wyobraźnię przestrzenną przy projektowanym wnętrzu. Efekt falowania zdecydowanie podnosił na duchu.

– Dałoby się jakoś nakłonić Dominika do tego gwałtu? – spytała Majka z nowym błyskiem nadziei.

– A skąd ja mam to wiedzieć? – obruszył się Zdziś. – Pani go zna lepiej.

Majka westchnęła dodatkowo i wydmuchnęła trochę popiołu z popielniczki.

– No to on zwariuje. Nie widzę innego rozwiązania. Nie wiem, co tej owcy... najmocniej pana przepraszam... z tego przyjdzie.

– Nie szkodzi. Nic. Ale ona jest za głupia, żeby cokolwiek przewidzieć. Nie dla intelektu przecież tak się jej trzymam.

– I jeszcze panu, psia jego nędza, nie przeszło?!

– Jak mogło przejść, skoro...

W nerwach się Zdzisiowi wyrwało i zamilkł gwałtownie. Majkę odbiegły ostatnie ślady dobrego wychowania.

– Czy to znaczy, że ona wciąż jeszcze czasem z panem sypia? Dobrowolnie?!

Jako dżentelmen Zdziś milczał strasznie, kamiennym wzrokiem wpatrzony w dal, ale Majce wystarczył jego wyraz twarzy i oczu. Uczuć, jakich doznała, nawet nie była w stanie na poczekaniu rozwikłać i ocenić. Większość wydała jej się nie dość, że piękna, ale zgoła upojna, obrzydliwe w żadnym głosowaniu nie miałyby z nimi szans. Część jednych i drugich prezentowała nawet charakter twórczy.

Wprost z pracowni architektów przeniosła się do pomieszczeń Bożenki. Nie leżały wprawdzie na prostej drodze do wyjścia, musiała nieco zboczyć, ale pchały ją owe rozkwitające myśli twórcze. Oraz pospolita ciekawość.

– O, jak dobrze, że przyszłaś! – ucieszyła się Bożenka. – Nijak się nie urwę aż do wieczora, bo podobno ma być mróz. Muszę tym zgredom przemeblować wszystkie drzewa i krzaki, żeby zdążyli powycinać przed wiosną, inaczej przemienią się w park narodowy i sami sobie zabronią deptać trawniki.

– To głupki – przyświadczyła ze wzgardą Anusia, zajęta nanoszeniem na rysunki szczegółowych cięć i trzebień, bezlitośnie projektowanych przez Bożenkę. – Jeszcze się będą kłócić, że im pustynia zostanie.

Majka знаła doskonale zarówno omawiany teren, jak i problem przesadnego zadrzewienia. Także mieszkańców rezydencji.

– Kłócić się mogą do upojenia, ale obiekt nie dla sportowców – rzekła uspokajająco. – Tam dolna granica wieku to siedemdziesiątka, już widzę ich bitwę z drwałami!

– Im nawet porządnego drwala nie potrzeba, wystarczy paru chłopców od ogrodnika. A ty komórki nie odbierałaś...!

– Zajęta byłam ze Zdzisiem, takie piękne zlecenie mamy, więcej wody niż ciał stałych.

– To dla fok?

– Nie, dla ludzi, w tym trudność. Ale przepiękne! Możesz mówić co chcesz, euforia zawodowa uodporniła mnie na wszystko!

– Zdzisia też? Takie zlecenie dwuosobowe?

Podwójne pytanie padło skądś z tyłu. Majka obejrzała się. Modelowo odchudzona Luiza pieczołowicie rozwieszała na wielkim stelażu swoje zdjęcia, prezentujące rozszalałą roślinność. Coś w jej tonie zadźwięczało takiego, że zdziwiona nieco Majka nie zwlekała z odpowiedzią.

– Otóż to! Woda jako główny element. Dwie branże i cześć.

– A oświetlenie?

– To później. Elektryk będzie musiał się dostosować.

– Wy mi tu teraz nie lejcie wody, bo ja mam suche drewno! – zażądała niecierpliwie Bożenka. – Anusia, weź od Luizy to zdjęcie z mieszaniną, coś warto zostawić, ale nie wiem co. Powiększ mi. Luiza, nie masz tego przypadkiem z lotu ptaka?

– Nie wymagaj za wiele – mruknęła Luiza. – Znam jednego pilota, ma licencję i doskok do awionetki, nawet by się ze mną przeleciał, ale przy okazji przeleciałby i mnie, a ja akurat nie reflektuję. Może któraś z pań...?

– A on taki mało wybredny...?

Przez chwilę trwała żywa i nader pouczająca dyskusja na temat gustów pilotów jako takich i podstępnego wyciskania z nich nietypowych usług. Tym razem Majka straciła cierpliwość.

– Co ci, do licha ciężkiego, przyjdzie z tych paru drzew z lotu ptaka, i tak nikt ich nie będzie z takiej perspektywy oglądał! Ludzie patrzą z dołu! A jeśli nawet przytrafi się jakiś pechowy spadochroniarz...

– Wypadek jeden na milion – mruknęła znów Luiza.

– ...to i tak będzie dostatecznie uszczęśliwiony wylądowaniem na ziemi, a niechby i w koronie lipy czy jarzębiny, żeby jeszcze wybrzydzać! Nawet drzewko cierniowe mu się spodoba, o ile mu oka nie wydlubie! Założę się o co chcesz!

– Dobrze już dobrze – ukorzyła się niecierpliwie Bożenka. – Ja tylko tak, na wszelki wypadek. Ta gęsta kupa mnie denerwuje, ale dam sobie z nią radę. Przypomniało mi się coś... Nad czym tak myślisz?

Majka na kilka sekund zamilkła, popadając z nagłą w intensywną zadumę. Po chwili dopiero spytała: – Czym ona właściwie tak kręci? Mięśniami?

Żadna z obecnych w pracowni dam nie miała najmniejszych wątpliwości, iż osobą, o której teraz mowa, jest Kręcidupcia, Najwięcej o Kręcidupci wiedziała Anusia, w której nagle coś się jakby przełamało.

– Ja mam to gdzieś – oznajmiła zniechęcona. – Te wszystkie lojalności, przyzwoitości, szlachetności, przyjaźnie i całą resztę, niech ją szlag trafi. Nosem mi wyszła jak Zabłocki na mydle!

Porzuciła maltretowane przez jej szefową konary, gałęzie, odrośla i całe pnie, także pieczołowicie rozdzielanie części krzewów, padła na kolana przed najniższą półką w kącie pomieszczenia i zza grubych i starych dzieł botanicznych wyciągnęła butelkę armaniaca. W trzech czwartych pełną. Podniosła się i potrząsnęła flachą.

– Specjalnie dzwoniłam do anonimowych alkoholików. W dni wolne od pracy wystarcza mi ćwiartka, pytałam, czy jedna butelka na miesiąc to już jest alkoholizm, ale powiedzieli, że jeszcze nie, o ile w poniedziałek nie poprawiam. Nie poprawiam, szefowa świadkiem. Więc mam duplikat tu, bo nigdy nie wiadomo. Nie cierpię tego gówna, ale co ja poradzę, nic świństwa nie zastąpi...

– No proszę – ucieszyła się Majka. – Dawno mówiłam, że obrzydliwe!

– Też tak uważam – przyświadczyła z satysfakcją Bożenka. – Ale ma tę zaletę, że pije się mniej. Samochodem jestem, więc tylko popatrzę i daję wam słowo, że bez wielkiej przykrości.

– Ja też...

– Ja nie – powiedziała z zaciętością Luiza. – To znaczy, jestem bez samochodu i mogę sobie kropnąć. Nawet chętnie.

– A ja was wcale nie przymuszam – zauważyła cierpko Anusia. – Nie żałuję także, żeby nie było nieporozumień – dodała pośpiesznie. – Ale siebie muszę wspomóc, bo tak na sucho mnie zatyka, a kto chce jeszcze, proszę bardzo. Naczynia też mam. Prawdziwe.

Istotnie, były to normalne koniakówki mniejszego rozmiaru. Anusia napełniła je hojnie i jedną podsunęła Luizie.

– To jak chcecie, mogę wam powiedzieć, bo ja ją przecież znam od wieków. Wszyscy mówili, że jakie zręczne dziecko, jak na sprężynach albo z gumy i trzeba trafu cyrk przyjechał. O, ja streszczam, sama przecież szczegółów nie pamiętam, różne gadanie było później. Ona jest starsza o dwa lata... Ale to ten cyrk jest ważny, tam był ktoś z ich rodziny, na pewno akrobata, a także jakiś drugi, ważniejszy, no, rodzinne powiązania. I jak przyjechali drugi raz, mnie interesował tylko magik, taki od królików z cylindra i tak dalej, a ją wyłącznie akrobaci. I oni ją uczyli. I ten jeden, rodzinny, specjalnie, dla draki, nauczył ją posługiwać się mięśniami na tyłku. Pamiętam, że pękał ze śmiechu, bo przecież to była ośmioletnia dziewczynka, a jej wychodziło coraz lepiej. Reszta nie, nie obchodziła jej, tylko ten tyłek!

Przypomniawszy sobie nagle, że ją w gardle zatyka, Anusia urwała, chwyciła kieliszek i zużyła połowę zawartości od razu. Wielce zainteresowana opowieścią Bożenka skorzystała z okazji.

– Coś w tym jest, z tymi mięśniami, wiecie – rzekła w zadumie. – To jest właśnie to, co mi się przypomniało i od razu chciałam powiedzieć, ale nie zdążyłam. Podobno na Rzeszowszczyźnie... albo może okolice Przemyśla... a może jeszcze jakiś region... Nie, chyba jednak rzeszowskie...

Na chwilę zapanowało milczenie ogólne. Anusia zastygła z kieliszkiem w ręku. Luiza również. Obie trwały z obrzydliwym napojem przy ustach.

– Bardzo dobrze, rzeszowskie – zgodziła się Majka z odrobiną zniecierpliwienia. – I co to rzeszowskie?

Bożenka się przecknęła.

– W każdym razie tamten kawałek kraju, na prawo na dole. I co ja mówię podobno, jakie podobno, widziałam to na własne oczy!

– Doskonale. Możesz powiedzieć, co widziałaś?

– Te mięśnie. Znaczy nie tak, zaraz, występ ludowego zespołu regionalnego, ja tam byłam kulturalnie, bo akurat latał za mną taki jeden z ministerstwa kultury, a może ja za nim, ale to już wszystko jedno, przeszło dziesięć lat temu, możliwe że dwanaście, więc nie ma znaczenia. One tańczyły, te dziewczyny, i robiły takie coś... bym wam pokazała, ale nie potrafię. Trzęsły popiersiem. Tak od ramion aż do żeber i ten mój kulturalny powiedział, że tylko dziewczyny z tego regionu tak umieją. Śląsk próbował, Mazowsze, no owszem, naśladowały nieźle, ale każdy znawca od razu widział, że to nie to. Żeby tak umieć, trzeba się tam urodzić. Z czego wynika, że mięśnie mają swoje fochy i tyłek Kręcidupci jest całkiem możliwy.

Jeszcze przez chwilę panowało milczenie.

– Że jest możliwy, każda z nas widziała – zauważyła Anusia ostrożnie. – A skąd pochodzi, właśnie wam mówię.

– Może też jest w tym kierunku szczególnie uzdolniona, jak te dziewczyny z rzeszowskiego – podsunęła kąśliwie Luiza.

– Może i jest. To znaczy, na pewno jest. A te dodatkowe zalety zaczęła dostrzegać w wieku, pi razy oko, piętnastu lat, każdy chłopak reagował, a niektórzy się nawet ślinili.

– Musiał to być widok czarujący – pochwaliła Majka.

– Nie wiem, czy był, ale powiem wam prawdę, że jej zazdrościłam – przyznała się Anusia i chlupnęła resztę z kieliszka. – W wieku trzynastu lat ma się we łbie paździerze. Próbowałam do siódmych potów, ale byłam mniej uzdolniona i mojemu bratu to się nie spodobało. Kopnął mnie w tyłek. Porządnie. I w dodatku doniósł na mnie całej rodzinie i wszyscy się ze mnie okropnie wyśmiewali. A jej brat był najgorszy i judził najwięcej.

Obejrzała się na butelkę, chwyciła ją i dołała sobie energicznie i z zaciętością, tyle że teraz już mniej. Zaledwie pół kieliszka.

– Nie wiedziałam, że miałaś takie straszne przeżycia – zmartwiła się Bożenka.

– O, nie szkodzi, to krótko trwało, potem mi przeszło. Za to przyglądałam się tym jej wygibasom, na wszystkich facetach ćwiczyła, rozmaicie, aż w końcu któryś ją zgwałcił...

– Chyba niedługo trzeba było czekać? – wysunęła życzliwe przypuszczenie Luiza i wykończyła swój kieliszek.

Anusia dolała jej czym prędzej, też elegancko, połówkę.

– Ale jakoś delikatnie, nic się jej nie stało – zapewniła uspokajająco. – I co wszystkich zdziwiło, bo takie rzeczy się rozchodzą, to to, że potem mu przeszło. Przestał na nią lecieć.

Majka ukąsiła się w język, żeby nie wyjawić opinii Zdzisia o gwałceniu Kręcidupci. Anusia właśnie potwierdzała jego słowa.

– ...Inni owszem, lecieli – kontynuowała. – A ona wybrała sobie jednego nauczyciela, młody był i przystojny, nigdy o tym nikomu nie mówiłam... A teraz powiem! Przespała się z nim z własnej chęci i on całkiem z tego oszalał, parchów na mózgu dostał, na własne oczy widziałam, bo mi się ta żmija pochwaliła. A żonaty! Nie wiem, co by z tego wynikło, ale miał ślepy fart, akurat zaczęły się wakacje, wyjechał z żoną na dwa dni do Krakowa, odwiózł ją po prostu, miał zaraz wrócić, ale natychmiast złamał nogę. I już tam z tą nogą został, u rodziny, a po wakacjach po pierwsze okazało się, że jego żona jest w ciąży, a po drugie, napisał do końca swoją pracę doktorską, to z nudów, jak tak leżał z tą nogą, i dostał awans na wicedyrektora liceum któregoś tam, gdzieś tam. I Kręcidupcia wyleciała mu z głowy.

Zakończywszy opowieść happy endem, Anusia triumfalnie chlupnęła sobie troszeczkę.

– Nareszcie coś optymistycznego! – westchnęła z ulgą Bożenka. – Nie pchała się do tego gdzieś tam za nim?

– Pchałaby się, gdyby mogła – odparła Anusia mściwie. – Ale miała wszystkiego szesnaście lat i rodzina ją trzymała krótko przy pysku. Mamusia, tatuś, jedna ciotka i ten jej brat. Tatuś, co prawda, alkoholik, upijał się na awanturniczo, władca świata i tak ma być, jak on chce, mamusia mocno rozrywkowa, ale ukradkiem, a ciotka z zazdrości, że za siostrzenicą tak latają, a za nią nie.

– A brat?

– Brat ambicjonalnie, bo się z niego natrzęsali i już nie miał siły na te wszystkie mordobicia, do których był zmuszony. A ona koniecznie chciała być panią profesorową, tym bardziej panią wicedyrektorową i gdyby jej facet nie znikł spod ręki, uczepliaby się go jak pijawka. A była i jest taka głupia, że żadne okoliczności towarzyszące nie przychodziły jej nigdy do głowy.

– Jakie okoliczność... – zaczęła Bożenka i urwała. – A...! Rozumiem.

– Coś trzeba mieć w głowie i w ogóle w sobie, żeby się pchać między tych umysłowych, nie? – wyjaśniła mimo to Anusia z rozgoryczeniem. – A w ogóle, specjalnie zwracałam uwagę, im wyższy poziom, tym mniej ten tyłek działa, chyba że w kontakcie bezpośrednim. W razie czego już ona się postara, nie ma obawy, a nie ma chłopa, żeby go chociaż nie skorciło.

– Raz spróbować, co? – wysyczała Luiza. Podniosła się z kreślarskiego stołka, wypila koniak do końca i z całej siły kropnęła pustym kieliszkiem w podłogę.

– Odkupię ci całe sześć – obiecała Anusi. – Panie wybaczą...

I wyszła.

– No...? – powiedziała delikatnie Majka po dłuższej chwili, kiedy już Anusia z westchnieniem wyciągnęła z kąta szczotkę i śmietniczkę i przystąpiła do usuwania szkła. Przyrządy do sprzątnięcia rezydowały w

pracowni trwale, wielokrotnie bowiem znajdowała się tam śmiejąca roślinność, zarówno świeża, jak i suszona. – O co chodzi? Mogę wiedzieć?

– Kawa kierowcom nie została jeszcze wzbroniona – stwierdziła gniewnie Bożenka i podniosła się ze swojego fotela przed komputerem. – Ona sprząta, to ja zrobię. Cholera, mogłam sobie i na mały koniaczek pozwolić, przecież wcześniej niż o północy do domu nie ruszę. Wywietrzałyby. Luiza to jest była żona Zdzisia, ta rozwiedziona przez Kręcidupcię. Nie wiedziałas o tym?

Majka poczuła się wstrząśnięta.

– Skąd...?! Do głowy by mi nie przyszło!

– I mnie też wyleciało – wyznała ze skruchą Anusia spod biurka. – Oślica. Będę ją przepraszać. Ale symuluje taki granitowy obiektywizm, że człowiek zapomina, no i na te trochę mi umknęło.

– Odreagowała, więc nie będzie problemu – pocieszyła ją Majka. Wstrząśnięta czuła się nadal. Porównanie Luizy z Kręcidupcią mogło roztrzaskać każdą odporność, z jednej strony opanowana piękność, nie dość, że w pełni rozwinięta umysłowo, to jeszcze wysoce utalentowana, z drugiej samotny i wściekle ruchliwy szczególnie anatomiczny w człekopodobnym opakowaniu. Ten Zdziś naprawdę musiał zwariować, a przecież robi wrażenie faceta na poziomie i zawód ma opanowany bezbłędnie. Bez twórczych wyskoków, za to solidnie i pomysłowo, zgodnie z projektem i przynajmniej o nic się nie kłóci. Jak on mógł zapaść na taką paranoję...?

I w tym momencie przypomniała sobie Dominika...

* * *

Dominik w nerwach, aczkolwiek promienny i szczęśliwy, wyprowadzał się z domu. Jeden znajomy wyjeżdżał na pół roku do Kanady i zostawiał pod

jego opieką swoje nowe mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią ledwo umeblowane, a i to nie w pełni. Bez żadnego ekwiwalentu, wyłącznie za samą dbałość, oraz, rzecz jasna, pokrywanie kosztów bieżących w rodzaju światła, gazu, wody, śmieci i tym podobnych. Dominik, widząc przed sobą w najbliższej perspektywie niebiańskie chwile z Kręcidupcią, był tak zachwycony, że te informacje same się z niego wyrwały.

Majka przeczekała ciemność przed oczami i dławienie w tak zwanym dołku, stanowiącym odpowiednik niegdysiejszego łona. Łono u dziewiętnastowiecznych dam, jak wiadomo ze współczesnych im lektur, rozciągało się na przestrzeni od szyi do kolan, dołek również zajmował miejsce nieściśle sprecyzowane. Udało jej się przemóc go i nawet usunąć z głosu wszelkie niepożądane emocje. Elementem wspomagającym było wspomnienie świąt Bożego Narodzenia, które przeszły ulgowo niewątpliwie dzięki miejscu. Mimo szalejących w nim namiętności Dominik nie ośmielił się zażądać od Majki wytłumaczenia nieobecności syna w domu rodziców w tak uroczystym dniu jak wigilia.

I nie tylko...

W sprzątaniu Majka miała pomoc, raz na tydzień przychodziła niejaka pani Wiesia, siła fachowa. Uzupełniała codzienne porządki domowników i doprowadzała dom do połysku, szanując wszelkie zmiany, jakie mogła zastać. Działo się tak od dawna, od czasu, kiedy Majka ustawiła sobie w salonie modelową piramidę z wszelkich dostępnych naczyń szklanych, a pani Wiesia piramidę uprzątneła ku rozpaczycy chlebowdawczyni. Nigdy więcej nie popełniła takiego błędu.

Komplikacje małżeńskie pani Wiesia miała w nosie i w ogóle ich nie dostrzegała.

Święta jednakże to było co innego. Święta wymagały szacunku.

Łóżko turystyczne, stojące w sypialni, zaścielone i przykryte kocem, nie przeszkadzało pani Wiesi, stoi, to stoi, nie jej rzecz, widocznie do czegoś im potrzebne. Ale przez święta stać nie powinno, nie ma prawa, po świętach może wrócić, a teraz won.

Na dwa dni przed wigilią, przy ostatnich porządkach, łóżko turystyczne nagle znikło.

Złośliwość, lub też przychylność losu, zależnie od punktu widzenia, sprawiła, że tego właśnie dnia Dominik pomyślnie zakończył sprawę nader skomplikowanych obliczeń statycznych. Chociaż należałoby je nazwać raczej mobilnymi, element konstrukcyjny bowiem miał przetrzymać wyjątkową ruchliwość. Wśród zmiennych obciążeń.

Dominik do takich wyzwań miał serce, instykt i duszę. Szczęśliwym trafem zapomniał, że robi to za pieniądze i żadne odrażające przeszkody nie pętały mu ani sił, ani umysłu. Pokazał wielką klasę i nadprzyrodzony wręcz geniusz matematyczny, właśnie dokonano próby na modelu, wypadła koncertowo. Został uczczony tak, że nawet wypił kieliszek szampana, co było niczym w obliczu uwag, jakie padły z ust niebotycznie przejętego zespołu.

Model ruszył, rozszalał się, zniósł wszystko i zatrzymał się posłusznie, nietknięty, lśniący triumfem.

– *Deus ex machina* – rzekł uroczyście i jakby nabożnie Paweł.

Wszyscy spojrzeli na niego raczej dość tępo.

– Chciałeś powiedzieć: *perpetuum mobile*? – poprawił go Jurek.

– *Spiritus movens*, kwadratura koła i teoria kwantów – podsumował Stefan beztrosko. – Zdrowie Pitagorasa!

I wtedy właśnie Dominik wypił szampana, którego bardzo nie lubił.

W czasie ostatnich kilku nerwowych dni prawie zapomniał o Kręcidupci. O reszcie świata zapomnieć było mu łatwiej, bo reszta świata nie pchała mu

się do pracowni, wirując odwłokiem. Ale na końcu wszystko wyleciało mu z głowy, poza sukcesem w ukochanej dziedzinie i dziesięcioletnią, obsesyjną koniecznością podzielenia się nim z Majką. Umysł działał, reszta chwilowo zamilkła.

Kładąc się spać wyjątkowo wcześnie, o północy, Majka nie zwróciła uwagi na brak łóżka turystycznego, nie był to w końcu stały element jej domu. Rychło usłyszała znane dźwięki w przedpokoju i zdziwiła się, że Dominik już wraca. Zazwyczaj pojawiał się później. Po krótkiej chwili zdziwiła się jeszcze bardziej.

Dumny z osiągnięcia, uszczęśliwiony pomyślnym zakończeniem pierwszego etapu pracy, Dominik nie dostrzegł w znajomej sypialni niczego niezwykłego. Przez tyle lat wszystko wyglądało identycznie do tego stopnia, że rozpoczynając radosną relację, bez żadnego zastanowienia zdierał z siebie sztuki garderoby tak jak czynił to przez cały czas trwania związku małżeńskiego. Głodny nie był, za to zmęczony i chciwy pochwał Majki, która znała go przecież i rozumiała tak doskonale... No i ukoronowania tak potężnego, nowego sukcesu...

Śmiertelnie zaskoczona Majka uznania nie pożałowała, ukoronowania również, i wywiązała się z roli kochającej żony wprost świetnie. Do tego stopnia, że Dominik zgłupiał ostatecznie i równie świetnie wywiązał się z roli kochającego męża. Można powiedzieć: wyjątkowo ogniście.

I dopiero nazajutrz dotarło do niego, co zrobił.

Zdradził Kręcidupcię!!!

Zaskoczenie Majki komunikatem o zmianie lokalu trwało krótko, z góry bowiem wiedziała, co Dominik robi. O ekscesie małżeńskim zapomni. Wmówi w siebie, iż był to naganny sen, a tak naprawdę nawet i snu nie było, o rzeczach obrzydliwych nie będzie z wdzięczną nimfą rozmawiał i usunie wydarzenie z pamięci. Porządnie i dokładnie. Tyle potrafi.

A ona potrafi mu przypomnieć. We właściwej chwili, nie teraz. Na razie trzeba zostawić mu głupie złudzenia.

– W takim razie – rzekła sucho – może zechcesz uprzejmie wyjaśnić kwestie lokalowe dzieciom. Jak dotąd, nie wpadły jeszcze w nerwicę i nie straciły apetytu, ale mnie już zaczyna brakować zarówno pomysłów, jak i cierpliwości. Chyba nadeszła twoja kolej.

Dominik przerwał pakowanie dobytku, co nie było zbyt trudne, bo najwyraźniej zabierał wyłącznie swoje prywatne rzeczy, nie tykając wspólnych. Zawahał się nawet przy ręczniku.

– To domowy, czy mój...?

Majce znów się coś zrobiło i znów musiała to przełamać. Ręcznik był duży i piękny, jaśniutki, niebieskawy, w ulubionym przez Dominika odcieniu, i stanowił prezent gwiazdkowy od dzieci. Majka ich wybór poparła z roztargnieniem, powierzchownie, i nie sprawdziła całości. Nie zwróciła uwagi na ozdobne wykończenie na brzegach, złożone z biało-niebieskiej kratki, przy czym intensywniejszy błękit kratek gryzł się ze szlachetną barwą całości. Ani dzieci, ani Dominik nie odgadli przyczyny, dla której ręcznik jest mniej piękny w użyciu niż w stanie złożonym, ale uczulona na kolory Majka przeżyła ciężkie chwile.

Nie szkodzi, Dominik radośnie używał. I teraz nawet pamiętał, że ma z frotową płachtą coś wspólnego. Bez sekundy wahania Majka potwierdziłaby, że owszem, ręcznik jest jego własnością prywatną, gdyby nie jedna, maciupeńka drobnostka.

Razem, jako mazidło ogólne, ręcznik był niebieski. Całkiem jak ukochane oczka Kręcidupci...

A może mu te oczka też nosem wyjdą, jak Anusi Zabłocki na mydle...

Osobliwy rodzaj mściwego optymizmu wspomógł Majkę wydatnie. Potwierdziła ochoczo.

– Twój, oczywiście. I dostałeś go w prezencie od dzieci.

Znów dzieci...! A tak okropnie Dominik chciał ominąć nieprzyjemny temat! Tak bezgranicznie pragnął być już nieskazitelnie szczęśliwy...!

Nie ma nic gorszego, niż gdzieś w samej głębi duszy, na dnie jestestwa, osobowości i charakteru, być przyzwoitym człowiekiem! Koszmar po prostu. Zwykła klątwa.

W samej głębi, we wszystkich możliwych komórkach Dominik był przyzwoitym człowiekiem. Nie dość, że był. Chciał być. Wychowany na stosownych lekturach, na rycerskości, prawdomówności, odpowiedzialności, odwadze, w dodatku tej trudniejszej, cywilnej, nie potrafił w gruncie rzeczy pogodzić się z sobą samym w chwili obecnej. Ale chciał tak strasznie, że chcenie, podparte Kręcidupcią, przebijało wszystko.

No i dzieci bruździły. Co do Majki, był pewien, że da sobie radę, ale za dzieci, nie dało się ukryć, był odpowiedzialny.

– Mam im wyjaśnić dzisiaj? – spytał, a bunt i protest tryskały z niego tak, że prawie wypalały drobne dziurki w ścianach i suficie. Jak rozrzut z pepeszy, pod warunkiem, że strzelałaby śrutem.

– Jesteś pewien, że uda ci się zrobić z tego przyjemną opowiastkę na dobranoc...?

Potworne. To było po prostu potworne! Wściekłość w Dominiku czyhała za progiem, wyjątkowo wstrętny przymus wyważał dla niej drzwi potężnym kopem, niełatwym nawet dla rasowego ogiera. Ryknął głosem dzikiego bawołu.

– Dostyc tego!!! Specjalnie stwarzasz sytuacje nie do zniesienia!!! Ja też mam prawo...!!!

Sytuacje nie do zniesienia to ja ci dopiero stworzę, pomyślała Majka mściwie, ale nie powiedziała tego. Dominik zresztą i tak by nie słuchał, odryczał jeszcze jedno zdanie, bardzo długie i dziwne do tego stopnia, że

jego sens umykał całkowicie. Trochę wynikało z niego, że Majka maltretuje Kręcidupcię, a trochę, że pokrzywdzony jest Dominik przez sam fakt posiadania dzieci. Między wierszami plątała się pretensja, jakoby dzieci były mu odbierane przemocą i wpychane siłą. Żaden umysł nie był w stanie na poczekaniu ogarnąć całości.

Znając małżonka, Majka wiedziała, iż po tak skomplikowanej i gromkiej wypowiedzi skłębnie i dozna odrobiny ukojenia. Pożądane, owszem. Ale też ją szlag trafił.

– Ty kretynie!!! – wrzasnęła nie gorzej niż Dominik, aczkolwiek w grę mogła wchodzić raczej bawolica niż bawół. Resztę krwiożerczych okrzyków zdołała zdusić, zabełkotała coś niewyraźnie i udało jej się kontynuować nieco bardziej ludzko. – Ja ci co podetknęłam, Kręcidupcię, czy dzieci?! Czym myślisz, do ciężkiej cholery, jakie gówno ci padło na mózg?! Szczęśliwy kosztem dzieci, tak?! Może wziąć siekierę i te parszywe łebki im poucinać, a na zwłokach wiertarkę chędożyć?! Krótkiego szczęścia zażyjesz, bo kodeks karny takich upojeń też zabrania!!!

Dominik miał to do siebie, że na jego wrzask odpowiedź wrzaskiem działała kojąco.

– Chyba rozumiesz, że dla mnie to jest naprawdę trudne – rzekł z godnością i odrobinę przepraszająco. – Miałem nadzieję, że mi jednak pomożesz. Nie mam nikogo innego.

Załatwił Majkę radykalnie. Poczwała w sobie równocześnie nieprzepartą chęć walenia głową w ścianę, rzucenia się Dominikowi na szyję we łzach godnych wszystkich wodospadów świata razem wziętych, przytulenia i pocieszenia nieszczęśliwego chłopca, walenia go po pysku tak że mu się ten głupi łeb oderwie, skakania z okna...

Jedno, czego była pewna, to tego, że poślubiła idiotę. I w dodatku tego idiotę, niech to piorun strzeli, uporczywie kochała.

Uczucia do Kręcidupci również skryształizowały się w niej nieodwracalnie.

– Ze względu na dzieci... – wysyczała chrapliwie i w tym momencie dzieci wróciły do domu. W szampańskich humorach.

* * *

Nie tylko dzieci, ale nawet pies nie zdołałby wywęszyć dramatu, jaki rozgrywał się między państwem domu. Praca. Ważna praca. Taka ekstra. To było coś zrozumiałe samo przez się. Matka wydawała się zmęczona, to też nie budziło wątpliwości, obydwójce byli świadkami jej roboty nawet po nocach, ojciec promieniał, pełen zapału i entuzjazmu, mieli odwalać to zlecenie we trzech. Dzieci znały jego kumpli, pana Jurka i pana Stefana, obydwójce bywali czasem świadkami ich służbowych spotkań, wszystko się zgadzało. Jasne, że całe to towarzystwo razem ze sprzętem nie pomieści się w ich domu, a zlecenie ma być wykonane w ogóle poza pracownią, bo jest prywatne. Stosowny lokal został wynajęty i ojciec będzie się pojawiać w domu rozmaicie, nie wiadomo kiedy, możliwe, że rzadko. Trudno, przetrzymamy.

Chęć tłuczenia głową w ścianę i walenia Dominika po pysku wysforowały się w Majce na pierwsze miejsce. Opuściła sypialnię zostawiając go z jego kretyńskim pakowaniem i zwabiła dzieci do kuchni za pomocą niezdrowej kolacji, naleśniki z konfiturami i bitą śmietaną, umiała przyrządzić potrawę w dziesięć minut, a składniki znajdowały się w domu. Początek tajemniczej pracy ojca dzieci oceniły jako superwystrzałowy.

Majka nie przepłakała całej nocy ani nawet jej części, uparła się ocalić przynajmniej twarz. Nie zażyła też żadnej chemicznej trucizny na uspokojenie. Chlupnęła sobie zdrowo koncentrat kojących ziół na bazie

waleriany, wonią, jaką zionęła, mogłaby zwabić wszystkie koty z cali j dzielnicy, ale pomogło.

Kulisy wyprowadzki Dominika stały się jej znane zaraz nazajutrz.

* * *

– Szczęście, że istnieją w tym kraju takie rzeczy jak oranżerie i szklarnie – powiedziała ponuro Bożenka, uważnie obejrzawszy się, na czym siada, bo Majka z zaciętością tkwiła przed swoim komputerem. – Za cholere bym w nikogo nie wmówiła, że na śnieżnej połaci oceniam teren do przeróbki, a roślinność robi mi grzeczność i w szklarniach rośnie. Z serca ci radzę, wyciągnij te płynne rzeczy od razu, co tam masz pod ręką i do diabła z moim samochodem. Niech go zapada jak chce.

Majka bez słowa podniosła się i po chwili wróciła z dużą tacą.

– Czy zakąska z samych serków wystarczy? – spytała sucho. – Bo do wymyślnych potraw akurat nie mam głowy.

– Do diabła z zakąską. I tak się trzymasz nie do pojęcia – pochwaliła Bożenka. – Jak ty to robisz?

– I kto mnie pyta, botanik! Czy ja już nie śmierdzę?

Bożenka знаła mieszanię, przypomniała ją sobie od razu, powęszyła w skupieniu i ponownie pochwaliła Majkę. Usadowiła się wygodniej i wyciągnęła z torby papierosy.

– Lej co popadnie! – rozkazała. – Wszystko ci powiem, albo pękne. Jak Anusia.

Majka wstrzymała na chwilę wyciąganie korka z butelki koniaku.

– Anusia pękła...?

– Prawie. Lej, lej! Nie zdążyła, bo od razu wydała z siebie głos. Okazało się, że to wcześniejsze, to było w ogóle nic, kretowisko przy czynnym wulkanie. Gęba jej się nie zamykała, wyrzuciła z pracowni drogowca,

chciał coś ustalać, ale nawet nie wiem co. Za to wiem, że Dominik się wczoraj wyprowadził. Bo wyprowadził się...?

– Owszem.

– Kręcidupcia.

Majka znów zastygła z butelką w dłoni. Bożence już nalała, sobie jeszcze nie. Udział Kręcidupci w imprezie nie ulegał wątpliwości, żadne dziwo, skąd zatem w głosie Bożenki taka ponura, jadowita zgroza? Patrzyła pytająco.

Bożenka wzmocniła się odrobiną koniaku.

– Paskudztwo. Otóż ci powiem, że te przenosiny perfidnie załatwiła Kręcidupcia. A w dodatku ten facet co wyjechał to jakiś znajomy rodziny Anusi i czystym przypadkiem głupia gnida kręcona dowiedziała się o jego wyjeździe. I skorzystała.

Majka pomyliła ręce, uniosła do ust tę z butelką, pozostawiając odłogiem kieliszek i pociągnęła rzetelnie z gwinta. Było to o tyle racjonalne, że kieliszek wciąż jeszcze pozostawał pusty. Bożenka uzupełniła pierwszą odrobinę następną, nieco poważniejszą.

– Lepiej nalej i sobie – poradziła.

Majka otrząsnęła się ze wstrętem i zastosowała do rady. Odstawiła butelkę na biurko.

– Obrzydliwe. Mów dalej, bo na pewno tkwi w tym więcej gorszących szczegółów. Chociaż i tak można już Anusię zrozumieć.

– A pewnie. W ogóle było gadanie i sensacja, bo ten gość to jest drewniarz, rozumiesz, specjalista od drewna...

– Takie proste rzeczy rozumiem – zapewniła Majka, nie skąpiąc sarkazmu, i wreszcie usiadła.

– Nie szkodzi. Jedzie na pół roku gdzieś tam na północ w ich lasy i coś tam będzie robił, bo podobno mają taką maszynę, co wjeżdża w dzikie

puszcze, przodem ścina drzewa, a tyłem wychodzą jej gotowe meble. Nie wiem, czy pokostowane, ale chyba raczej w stanie surowym. Możliwe, że to w ogóle plotka, tyle że on jest strasznie przejęty i stąd gadanie, a Kręcidupcia znała go przelotnie. Co by o niej nie powiedzieć, głucha nie jest. W tajemnicy przed Anusią jakoś go dopadła i okazało się, że on zna Dominika. Jak to, już nic nie mam...?

Majka podniosła się i dołała Bożence.

– Ciekawe, skąd – mruknęła.

– Przez jakiś portfel. Coś wiesz o tym? Bo Anusia niewiele.

Majka nie musiała długo szukać w pamięci.

– A...! Wiem. Facet zgubił portfel na ulicy, Dominik to widział, ale nic nie mógł zrobić, bo stał pod czerwonym światłem. Jednak zdążył zanim ktoś inny podniósł i gonił go na motorze z tym portfelem, co było o tyle skomplikowane, że ten głupek poszedł pod włos w jeden kierunek ruchu. W końcu leciał za nim piechotą. Dogonił go i potem razem lecieli z powrotem, bo facet koniecznie chciał mu dziękować, a Dominik zostawił motor bez zabezpieczenia, tyle że kluczyk wyjął. To jak otwarty samochód, w dodatku na zakazie parkowania. Stąd im znajomość została, ale taka luźna.

– No to Kręcidupcia zacieśniła. I tu właśnie Anusię zaczęło całkiem dławić. Bo, rozumiesz, ta kurwa jej się pochwaliła, jaka to ona mądra i dyplomatyczna. Facetowi zakręciła tyłkiem przed nosem, on rozwiedziony i podobno jeszcze się nie zakontraktował poważnie, więc co mu szkodziło wypróbować dziwowisko. Wypróbował, a ona już się postarała. Powiedziała Anusi, a z tej dumy aż spuchła, że dawno się tak nie wysiliła, prawie więcej niż na początku z Dominikiem, bardzo cię przepraszam...

Majka nic nie zrobiła, wystarczył jej wyraz twarzy. Bożenka przez chwilę czuła się przestraszona, ale natychmiast pękatym kieliszkiem dodała sobie odwagi. Uniosła pusty.

– No popatrz, pijemy ten witriol i pijemy, i ciągle jeszcze jest. W butelce mam na myśli, on rzeczywiście powoli wychodzi. Bardzo oszczędnościowy alkohol...

Majka dołała jej i sobie, dzięki czemu oszczędności wyraźnie się zmniejszyły.

– A trzeźwe jesteśmy jak świnie – dodała Bożenka ze smutkiem.

– Wielkie emocje niwelują skutki alkoholu – rzekła Majka beznamyślnie.

– Najwidoczniej przeżywamy wielkie emocje.

Przypomnienie, że zna metody działania Kręcidupci teraz już dwustronnie, od Zdzisia i od Anusi, i wszystko się zgadza, bardzo podniosło ją na duchu. Była pewna, że zgodzi się i dalszy ciąg, i nie doznała zawodu.

– Zdaje się, że większe emocje przeżył ten od portfela – podjęła zgryźliwie Bożenka. – Też dostał małego rozumu...

– Ach...! – wyrwało się Majce z triumfem.

– ...prawie chciał zrezygnować z wyjazdu do Kanady, ale w aż takie zaćmienie ja nie uwierzę, w końcu nawet mężczyzna ma podobno cechy ludzkie...

– Ssaka. Cechy ssaka wyższego rzędu.

Bożenka przez chwilę milczała.

– Naprawdę myślałam, że jesteśmy trzeźwe – rzekła po chwili ostrożnie i z lekkim wyrzutem.

– Nie, jesteśmy, wszystko w porządku – uspokoiła ją Majka. – Ja teraz oceniam sprawę naukowo. Głuszcak głuchnie, nie? Wiesz o tym lepiej ode mnie.

– Wiem także, że głuszcak chyba jednak nie jest ssakiem. Szczególnie wyższego rzędu...

– Ale my obie jesteśmy kobietami, zgadza się? Ja w każdym razie się poczuwam, urodziłam dzieci...

– Cholera. Chyba też się zdecyduję...

– ...a Kręcidupcia zdołała nas ogłupić. Może inaczej, ale jednak. Więc co głuszcę przy nas, nic, ptaszek. Nie wymagaj za wiele od mężczyzny.

Z lekkim trudem Bożenka przyswajała sobie świeżo zdobytą wiedzę.

– Tu masz rację, owszem, szczególnie że Kręcidupci poszło z poślizgiem. Powiedziała, że nie da, dopóki sprawa nie zostanie załatwiona tak jak ona sobie życzy. Spróbował ją zgwałcić, bo to energiczny chłopiec, ale potem powiedział, bardzo rozczarowany, że równie dobrze mógł gwałcić gumową lalkę ze sklepu, a ona aż piała z zachwytu nad sobą. A Anusi nóż się w kieszeni otwierał, z tym, że akurat nie miała przy sobie noża. Może szkoda...

– Nie. Nieodpowiednia chwila.

– Myślisz...? No nic, później się możemy zastanowić. W każdym razie zgodził się na wszystko i w rezultacie to on zaproponował Dominikowi, żeby mu popilnował mieszkania, a o Kręcidupci ani jedno słowo nie padło, bo taki mu postawiła warunek. Dominik złapał okazję, czemu, znów cię bardzo przepraszam, ale ja się nie dziwię...

– Nie martw się, ja też nie.

Na jakąś osobliwą satysfakcję brzmiącą w głosie Majki Bożenka nie zwróciła uwagi.

– I pojęcia nie ma, ile w tym było Kręcidupci.

– A temu od Kanady ona w końcu dała?

Bożenka prychnęła tak, że resztki zawartości kieliszka omal nie wpadły jej do nosa.

– Gównu mu dała. Odczekała tyle, że już miał samolot, i powiedziała, że jak wróci. Odleciał chyba wpieniony.

– Drobiazg, przejdzie mu. Czekał, bo nie wiem jak mam się do tego ustosunkować. Być zadowolona, czy nie?

– Ja bym nie była – mruknęła Bożenka po krótkim namyśle.

– Może masz rację...

Bożenka poruszyła się żywo.

– Ale czekał, bo to jeszcze nie wszystko, dopiero teraz będzie najgorsze. Wykończmy truciznę, wyduszę z siebie donos i potem może spróbujemy czegoś łagodniejszego.

Z wielkim zainteresowaniem oczekując grzmiącego finału, Majka przejrzała napoje. Finlandia, orzechówka, białe i czerwone wino, whisky i wytrawna cytrynówka, wykonana w domu. Bożenka patrzyła jej na ręce.

– Po co kupiłaś orzechówkę? – zdziwiła się.

– Wcale nie kupiłam, dostałam w prezencie i nawet nie pamiętam od kogo i kiedy. Ona podobno zdrowa.

– No owszem, zdrowa, ale gorzka.

– Wino z tego wszystkiego najłagodniejsze...

– Zbyt szlachetny napój na Kręcidupcię, szkoda go. A to... to cytrynówka Dominika? Ta, którą zrobił trzy czy cztery lata temu?

– Zgadza się.

– To też mi szkoda. Nie, jednak proponuję, żeby przejść na finlandię. Czyste, uczciwe i łatwo dostępne. I zimne.

Majka nie protestowała. Wstawiła butelkę do szklanego termosu i obsypała pokruszonym lodem. Po czym usiadła na swoim ulubionym miejscu, uniosła kieliszek z resztką koniaku i popatrzyła na Bożenkę.

– No! – powiedziała z naciskiem.

– No więc ta niedorobiona mała zrobiła to specjalnie.

– Co zrobiła specjalnie?

– Jak to co, wyprowadziła Dominika z domu!

Przez chwilę Majka usiłowała uporządkować sobie ogólny sens informacji. Niby wszystko było jasne, ale coś tu nie grało, zgrzytały dodatkowe elementy, nie wiadomo skąd pochodzące.

– Jakoś to może powiedz porządnie i trochę dokładniej?

Pełna najlepszych chęci Bożenka natychmiast zaczęła nabierać rozpędu. W pierwszej kolejności wykończyła swój koniak.

– Sama się do tego przyznała, bo ją roznosiło od sukcesu. Wytknęła Anusi, że ona głupia, dała sobie odebrać Dominika... Słuchaj, ty przecież nie jesteś ograniczona i ja ci tu żadnych nowości nie kabluję, musiałaś już się połapać, że Dominik tego, no...

– Musieć, nie musiałam, mogłam nie, ale owszem – uspokoiła ją Majka i również pozbyła się napoju z kieliszka. – Nawet więcej, rozumiem, że Anusia miała wielkie nadzieje, aż jej kwiczały, a tu klopsik. Nie żałuj sobie, w tej dziedzinie i tak już nic gorszego nie będzie. Anusia dla mnie mięta z bubrem.

Przypomnienie małżeńskiej pomyłki Dominika napełniło ją satysfakcją tak błogą, a zarazem mściwą, że istotnie nic w tej chwili nie mogło być straszne.

– No i dobrze – kontynuowała Bożenka – więc rozumiesz, że wredna pluskwa rozkręcona okazała się mądrzejsza od Anusi i prawie od początku tak się miotła jak wesz na grzebieniu, żeby Dominika wygryźć z domu. Bo póki z tobą mieszka, to nigdy nie wiadomo, w każdej chwili możesz go skołować, zachachmęcić, ogłupić i jej, biednej sierotce, odebrać. Próbowала go namówić, żeby cię wykopał i zabrał ci mieszkanie, ale nie chciał. Mówił, że to twoje, po przodkach...

– I miał rację. Dobrze mówił.

– Tyle to ja wiem sama z siebie. Ale w gardle mi zasycha, dawaj to łagodniejsze.

– Urzniemy się – ostrzegła Majka, wyciągając z lodu finlandię.
– Nawet jeśli, to co? Mówiłaś, że emocje niweczą alkohol, a ja ciągle czuję emocje. Nie wiem jak ty...

– Ja też. No dobrze, ciągnij temat.

Bożenka odsapnęła z ulgą i zjadła kawałek serka. Podjęła relację.

– No to skoro nie chciał, sama zaczęła się starać. Na wszystkie strony wypuszczała takie próbne sondy i wreszcie jej się przyfariło jak ślepej kurze ziarno, złapała tego z portfelem. A że on przez ileś tam lat uważał Dominika za jednostkę godną zaufania, nawet go nie musiała bardzo przekonywać. Zdaje się, że więcej wysiłku zużyła na Dominika, który jakoś się wahał albo co, bo Anusia mówi, że w tym miejscu ta pluskwa się skrzywiła i pokręciła nosem. W końcu Dominik chciał się wyprowadzić, czy nie?

Dopiero w tej chwili, pierwszy raz, Majka zastanowiła się obiektywnie. Dotychczas umysł mąciły jej uczucia i racjonalizm wolał nie podchodzić zbyt blisko. Teraz nagle spojrziała na sytuację jakby z boku.

Nie, Dominik wcale się tak strasznie z domu nie wyrywał. Dziwne. W końcu, gdyby go pchały naprawdę potężne chęci, mógł bodaj wynająć pokój w hotelu, nie same Ritze stoją w Warszawie, dużo jest tańszych. W ogóle mógł coś znaleźć, ale nie było widać, żeby szukał. W gruncie rzeczy czuł się prawie całkiem wygodnie, z czego chyba nie zdawał sobie sprawy.

Wyjawiała te poglądy Bożence, która, jako serwis informacyjny, bezwzględnie zasługiwała na wdzięczność i zaufanie. Twardo stała po stronie Majki i waliła komunikaty bez wahań i oporów.

– No to widzisz, wszystko się zgadza, Kręcidupcia jest tu źródłem zarazy. Popatrz, taka owca, zdawałoby się, a uparta jak baran. Gdyby ten kretyn z portfelem nie błagał go i nie zebrał o pomoc, on by się wcale nie

wyniósł, ja ci to mówię! Warto byłoby Dominikowi uświadomić, kto mu lokal nakręcił i jakim sposobem, co ty na to?

– Na mnie nie licz – mruknęła Majka z gniewnym rozgoryczeniem. – Ręka by mi uschła... to znaczy nie, raczej język... gdyby jedno słowo ze mnie wyszło. Nie wezmę udziału w matactwach perfidnego ścierwa, chce się Dominik w gównie tarzać, jego sprawa. Ciekawe, czy kiedykolwiek w życiu zdoła się domyć... Głupstwa mówię. Nawet nie będzie próbował, sam z siebie postanowi, że nie musi, bo w życiu o gównie nie słyszał.

Bożenka znów skorygowała pozycję. Fotel był obszerny, owszem, właściwy dla osoby z nadwagą, ale nie tonęło się w nim miękko. Stanowił raczej zabytek z rzeźbionego drewna, wyściełany obficie, z miękkim oparciem, z podłokietnikami, jednakże sadzić się na nim należało z własnej inicjatywy, nie podkładał się usłudze pod użytkownika. Za to miał tę zaletę, że łatwo było z niego wstać.

Bożenka wstawać na razie nie zamierzała.

– No i proszę, jak to gładko wchodzi po tamtej żrącej truciznie – pochwaliła z uznaniem finlandię. – Gdybym się miała urznąć, wolę tym.

– Zaraz jutro kupię sardynki, szprotki i co mi tam jeszcze w rękę wpadnie – oznajmiła Majka z zaciętością. – Nie życzę sobie żadnych ograniczeń! Słoninę kupię i własną ręką zrobię szmalec.

– Zrób – zgodziła się Bożenka. – Tylko dokup jeszcze razowy chlebek i już mamy z głowy. Zaraz... a co masz dla dzieci? To samo co dla nas?

– Zamrożone pierogi z mięskiem domowej roboty – ucięła krótko Majka. – Dla dzieci wszystko mam zawsze gotowe, to już mi w nałóg weszło, możesz się nie martwić.

W osobliwej trzeźwości obu przyjaciółek nie było nic dziwnego, pomimo uporczywego nadużywania wysokoprocentowego alkoholu. Po pierwsze, obie, zrzędzeniem losu, były na alkohol odporne, po drugie, nie

trzaskały kielicha za kielichem, tylko piły po odrobinie, chwilami najwyżej odrobinę wzmagając, szczególnie, że naprawdę nie cierpiały koniaku, po trzeciej, obficie zakąsały tłustym żółtym serkiem i wodą mineralną. Bożenka zastanawiała się przez chwilę.

– Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, ja ci to mogę załatwić. Przez Anusię na przykład. Nie ma tak, żeby ona z Dominikiem nie rozmawiała, wręcz przeciwnie, grzeczny dla niej i miły, ona też sympatyczna, a w środku, powiada, aż ją ściska. Jej się w ogóle wydaje...

– No...? – zainteresowała się Majka, bo Bożenka uczyniła przerwę i zawahała się.

– Nie wiem, czy to możliwe – rzekła niepewnie. – Ale on chyba zapomniał, że się z nią zdrzemnął. Mogło mu wylecieć ze łba...?

Majkę pytanie prawie rozśmieszyło. Energicznie kiwnęła głową.

– Mam wrażenie, że mówiłam ci to już ze dwadzieścia razy, ale chyba nie możesz uwierzyć. Powtórzę porządnie i spróbuj sobie przyswoić. Dominik ma to do siebie, że nie lubi swoich błędów i wypaczeń. Jeśli dochodzi do wniosku, że coś mu źle wyszło, zapomina o tym czym prędzej, gruntownie i radykalnie. Wyrzuca z pamięci. W ogóle z organizmu. Nie może wyrzucić Anusi, bo zna ją służbowo, trudno żeby jej się przedstawiał za każdym razem, jak ona tam z czymś przychodzi. No więc wyrzucił wydarzenie.

– Żartujesz...!

– Nie, wcale. Jak ci się zdaje, dlaczego ja się go tak trzymam i nie chcę przestać kochać? Chociaż powinnam... Bo taki dziwoląg istnieje jeden na świecie, drugiego podobnego na pewno nie znajdę. A ja akurat lubię dziwolągi.

Bożenka z pewnym trudem przyjmowała informację do wiadomości. Pokręciła głową, upiła nieco z kieliszka i zakąsiła serkiem.

– A ty wiesz, że ona mówi to samo? Anusia. Tę pierwszą część mam na myśli, że on naprawdę zapomniał i gdyby mu przypomniała, mógłby nie uwierzyć. Byłam przekonana, że ona tak w nerwach, ale teraz widzę, że nie, całkiem dobrze jej się wydaje. Ale wiesz co? Przyznam się, że ci rzeczywiście nie wierzyłam jak mówiłaś, że to nie miało znaczenia, i dziwiłam ci się trochę, ale okazuje się, że jednak naprawdę miałaś rację!

W obliczu świeżo uzyskanej wiedzy Majce zaczęły się znienacka lęgnąć różne osobliwe pomysły. Przyświadczała Bożence z lekkim roztargnieniem.

Bożenka ciągnęła swoje.

– I rozumiesz, Anusia mogłaby z Dominikiem parę słów zamienić, jak to Kręcidupcia podstępnie zawładnęła mieszkaniem tego palanta z portfelem... A propos, jak on się nazywa, wiesz może przypadkiem?

– Nie mam pojęcia. Nie zapamiętałam.

– No to trudno. Dominik chyba wie... I jak go ogłupiła swoją zadnią usługą. O ile wiem, Dominik kręctwa, zdaje się, nie lubi?

– Nie toleruje.

– Toteż właśnie. A skoro nie pamięta, że się z Anusią skrzyżował, może ją uznać za obiektywnego i bezstronnego świadka. Co ty na to?

Majka milczała, popijając wódkę z kieliszka i zakąszając wodą mineralną. Nie była pewna, czy jest sens zdejmować Dominikowi bielmo z oczu akurat w tej chwili, ponadto mocno wątpiła, czy komukolwiek, choćby miał białe skrzydła i zstąpił prosto z niebios, ta sztuka mogłaby się udać. W zamykaniu oczu na rzeczywistość ten jej ukochany bałwan był wyjątkowo utalentowany.

Przejęta Bożenka, wpatrzona w nią z niedopitym kieliszkiem w dłoni, oczekiwała odpowiedzi.

– Zaraz. Nie poganiaj mnie tak.

– Bo nad czym myślisz?!

– Dopiero teraz dotarło do mnie dokładnie, że gdyby nie to uparte ścierwo owcze, Dominik w życiu by się tak nie wygłupił. Bo widzisz... Jak by ci tu elegancko i subtelnie...

– Możesz ordynarnie i w prostych żołnierskich słowach.

– Takich słów żadne przyzwoite wojsko nie używa i nawet nie zna. Otóż... Dominik nigdy się nie rwał do jakichś wynaturzonych wygibasów erotycznych, różnych zboczeń, zwyrodnień i tak dalej. Nawet jako gówniarz, o wiedzę się postarał, bo dlaczego nie, i wcale mu się nie spodobała. I jakimś cudem spadło na niego zniecka coś, co go zaskoczyło...

– Zwracam ci uwagę, że Kręcidupcia istnieje w jednym egzemplarzu – przerwała sucho Bożenka. – Od nikogo nie słyszałam, żeby podobne wynaturzenie kiedykolwiek spotkał, niektórzy bąkali o fachowym tańcu brzucha, ale od razu przyznawali, że to nie to samo.

– Toteż właśnie, trafiło go. Wyjątkowo. I trzyma...

– Trzyma, trzyma, bo wrażenia pamięta i chce powtórki!

– Otóż to, mówię przecież. Jak już zyskał lokal, wredna pluskwa łaskawość okaże...

– A jak nie okaże?

Majka w zadumie pokręciła głową.

– Dominik ma zalety, nie przeczę, ale do świętego Franciszka mu daleko. Do Szymona Słupnika też. Słyszałaś kiedy o cierpliwym ogierze albo buhaju wśród rozparzonych dam ich własnego gatunku? Grzejących się klaczy i gżących się krów?

Bożenka pokręciła głową energiczniej i dłużej niż Majka.

– Przeciwnie, słyszałam o buhaju, który rozwalił sąsiek w stodole. Z ogierem też coś było, mam wrażenie, że się urwał i wszyscy uciekli.

– Nie wymagajmy za wiele. Liczę na zwyczajne kontrowersje i niesnaski, Kręcidupcia głupia i może przesadzić z grymasami.

– A jak nie?

– A jak nieeee... – Majce słowo trochę się przeciągnęło. – Właśnie myślę... A jak nie... To są dwie możliwości. Albo mu się znudzi, bo dla Dominika nawet kobieta to też człowiek, a człowiek powinien składać się z kompletnej anatomii, a nie tylko z jednego kawałka... Ale...! A propos, jakim cudem Anusia odbyła z Kręcidupcią te wszystkie rozmowy? Kręcidupcia jej się zwierzała, używając normalnego ludzkiego języka?

Bożenka zachnęła się tak, że resztę zawartości kieliszka wylała sobie za gors.

– O, cholera! No coś ty...! Szczęście, że to nie słodkie, samo wyschnie, tylko szkoda, dolej mi może, Kręcidupcia by orędzie wygłaszała, kota masz. Ale Anusia ją zna i umie z nią rozmawiać, Kręcidupcia mówi tak albo nie, czasem coś tam w środku dodaje, a Anusia potrafi wynajdywać pytania. Inwektywy w rodzaju głupia czy niedojda, Kręcidupcia stosuje samodzielnie. Anusia w ogóle mówi, że po tych pogawędkach z Kręcidupcią żadna inkwizycja jej do pięt nie sięgnie, zatwardziałych przestępców może przesłuchiwać, wyszkolonych szpiegów i kogo tam jeszcze chcesz. W końcu ma już wprawę, zna ją od dzieciństwa.

– Dominik lubi relacje szczegółowe – mruknęła Majka i pogoda wokół niej jakby zaczęła się zmieniać. Chmury zjaśniały, rozrzedziły się, z niechęcią przyznały, że gdzieś tam za nimi jest słońce. Nawet powietrze stało się przyjemniejsze do oddychania.

Bożenka przez chwilę przyglądała się zjawisku z wielkim zainteresowaniem, nie rozumiejąc go wprawdzie, ale odbierając jako pozytywne. Przypomniała sobie, że nie usłyszała od Majki dalszego ciągu.

– No dobrze, albo co?

– Co albo co?

– Powiedziałaś, że albo mu się znudzi, albo...?

Majka milczała jakoś dziwnie tajemniczo.

– Albo... – rzekła wreszcie. – No właśnie. Albo...

Więcej Bożence nie udało się dowiedzieć.

I znów tę finlandię ledwie napoczęły i gdzie im było do prawdziwego, rzetelnego nadużycia!

* * *

Majka podjęła decyzję.

Kręcidupcia rozpoczęła wojnę o Dominika bez jego wiedzy, a tym bardziej zgody. Umęczyła się jak trzy woły robocze, wpędziła tego beztroskiego debila w jakieś maniactwo paranoiczne, ale osiągnęła swoje.

No, prawie. Jeszcze nie do końca.

I bez względu na to, jak ten koniec miałby wyglądać, zemścić się na niej trzeba. Koniecznie. Po prostu dla osiągnięcia zwykłej, elementarnej sprawiedliwości.

Podjąwszy niewzruszoną decyzję, Majka oddała się rozmyślaniom.

Kręcidupcia operowała tylko jednym rodzajem broni. I tę broń należało jej z ręki wytrącić.

O ile, oczywiście, ręka jako taka mogła tu wchodzić w rachubę...

Zatem należało się zemścić na agresywnym tyłku.

Najlepiej się Majce myślało przy pracy. Zajęte miała ręce i oczy, które kooperowały ze sobą w pełnej symbiozie i bez udziału mózgu. Urządzenie pod ciemieniem mogło spokojnie zająć się swoimi sprawami.

Oczywistą było rzeczą, że obrzydliwe tylne fragmenty Kręcidupcia wprawiała w ruch za pomocą mięśni. Siłę woli Majka wykluczyła od razu. Wpatrzona na zmianę, to w dal, to w arkusz brystolu przed sobą, w

skupieniu przypominała sobie wszystko, czego nauczyła się jeszcze w szkole o anatomii człowieka. Niewiele tego było, bo biologia w jej szkole została jakoś dziwnie zaniedbana, ponadto przez całe lata ta anatomia do niczego Majce nie była potrzebna i w rezultacie jedyne, co pozostało jej w pamięci, to pewność, że dorosły człowiek posiada trzydzieści dwa zęby. A przynajmniej powinien posiadać.

Gdzieś tam istnieje podobno jakiś mięsień dwugłowy. W rękach, w nogach...? W ogóle są mięśnie gładkie i te jakieś drugie, jak im tam... wszystko jedno, kostropate. A może prążkowane...?

Nie, zaraz. Mięsień dwugłowy, to chyba jest, jak sama nazwa wskazuje, biceps, a biceps to ręka. Zatem w odniesieniu do Kręcidupci w rachubę nie wchodzi.

Co rusza pośladkami?

Cóż za przerażający, skandaliczny brak wiedzy...! Nie wytrzymała, porzuciła swoje miejsce pracy i wyciągnęła encyklopedię. Dowiedziała się z niej co to jest anatomia i kiedy w tej dziedzinie dokonywano pierwszych odkryć, co nie stanowiło, niestety, żadnej nowości. Spróbowała zatem znaleźć pośladek, ale naukowe dzieło zawierało tylko poślad, który stanowił coś zupełnie innego.

A w ogóle istnieją podobno zginacze i prostowniki... Ciekawa rzecz, które z nich siedzą w pośladkach?

Rozmyślenia przerwał jej jakiś rumor na schodach, krótki okrzyk i jęk. I cisza.

W ciągu pięciu sekund Majka znalazła się przy drzwiach. Dwie sekundy zmarnowała na nasłuchiwanie, czy nie rozlegnie się coś więcej, a potem nie straciła już ani chwili. Rumor musiał być potężny, skoro usłyszała go oddzielona od klatki schodowej całym mieszkaniem z przedpokojem

włącznie, ale najbardziej niepokojąca była cisza. Rany boskie, ktoś zleciał ze schodów i zabił się, skoro tak strasznie milczy!

Otworzyła drzwi i okazało się, że prawie zgadła. Na podeście, z głową na przedostatnim stopniu, leżała młoda facetka z zamkniętymi oczami, ale żywa. Widać było, że żywa, oddychała z cichutkim pojękiwaniem.

Nie wdając się z nią w żadne dyskusje, Majka skoczyła po komórkę. Pogotowie! Chce ta ofiara pomocy medycznej, czy nie, dostanie ją, bo takiego zjazdu ze schodów żaden kręgosłup nie toleruje... o, właśnie, kolejny szczegół anatomiczny, człowiek ma w sobie kręgosłup! Jeszcze parę wypadków, dojdzie może i do mięśni tyłka...

Pogotowie bez oporu przyjęło zgłoszenie, spytało o nazwisko, Majka z rozpędu podała swoje, wiek...

– Nie wiem ile ma lat, w ogóle jej nie znam, wydaje mi się młoda, żyje, żyje. Oddycha, tylko nie mówi... Co...? A, mówi, że mówi, ale bardzo słabo. No pewnie, że nie będę jej ruszać, czy ja robię przez telefon wrażenie debilki? Ale może jej podetknę chociaż ręcznik pod głowę, bo na stopniu leży...

– Ręcznik mogę spróbować bardzo ostrożnie – powiadomiła ofiarę. – Już wracam.

Chwyciła z łazienki frotowy ręcznik, zwinęła, delikatnie wetknęła pomiędzy krawędź stopnia a poszkodowaną potylicę, prawie jej nie poruszając. Ofiara z uporem usiłowała rozmawiać szmerem nawet dość wyraźnym, chociaż cichym.

– Ja przyszedłam do pani. Mój szef kazał mi panią znaleźć osobiście...

– I schody obejrzeć? – zdenerwowała się Majka. – Po cholere pani łąziła po schodach tam i z powrotem? Zleciała pani z góry!

– Pomyliłam piętra. On ze Szwecji...

– Kto?

– Szef.

Przez chwilę Majka usiłowała odgadnąć, jaki związek może istnieć pomiędzy Szwecją a warszawskimi schodami, ale szybko zrezygnowała z dociekań. Facetka najwyraźniej w świecie korzystała z okazji i załatwiała z nią interesy.

– Supermarket. Ekspozycja wiosenna, zmieniana co dwa tygodnie. Na doskok. Czy pani się zgodzi...

– I gdzie to ma być? Szwecja duża.

– Sztokholm... On płaci za przeloty...

– Taki rozrzutny? Czy na czymś mu zależy?

– Chce przebić Paryż... – wyszemrała konfidencjonalnie ofiara i jęknęła boleśnie.

Biznesowa pogawędka na podeście klatki schodowej okazała się nader interesująca i zdumiewająco owocna. Zanim nadjechało pogotowie, Majka już zdążyła wyrazić zgodę na kuszącą acz bez wątpienia uciążliwą pracę, poznać personalia rozmówczyni, Danuta Martenson z domu Ziętek, dowiedzieć się, że komórka jej siadła i dlatego tak latała po schodach zamiast zadzwonić, i prawie się z nią zaprzyjaźnić. Co miało dalekosiężne skutki, negocjacje zawodowe prowadziła bowiem bizneswoman, pani Danuta Martenson, bolesne kwilenia zaś wydawała z siebie Danusia Jurandówna. Ze Spychowa.

– Rozładowana? Co pani ma? Nokia? Mam taką samą, moja ładowarka powinna pasować. Zaraz ją włączę i przywiozę pani do szpitala naładowaną, jeszcze dzisiaj.

Kładąc na nosze pojękującą pacjentkę, pogotowie wyraziło zdziwienie, że tu tak pusto. Jedna osoba, a gdzież inni ludzie, gdzie sąsiedzi?

– Ludzie w pracy, dzieci w szkole i w przedszkolu – wyjaśniła Majka. – Tak się składa, że cztery piętra są prawie w tym samym wieku, a dwie

babcie o tej porze zawsze na zakupach.

– A pani?

– Ja też jestem w pracy, ale ja w połowie odwalam robotę w domu. Część koncepcyjną. Dopiero potem przechodzę na wykonawstwo i jestem czarnoroboczym naród. Nienormowany czas pracy, a teraz w ogóle pojedę z tą panią, bo ona, zdaje się, nie ma rodziny pod ręką, tylko gdzieś tam...

– W Gdańsku – jęknęła Danusia. – I w Sztokholmie.

– Zadzwoń pani nie może?

– Nie umiem numerów na pamięć...

Pogotowie przestało spoglądać nieufnie i zaniechało wyraźnie widocznych podejrzeń, że to Majka zepchnęła ze schodów rywalkę. Ponętą myśl od początku powiewała w powietrzu, jednakże teraz z niej zrezygnowano.

* * *

Z racji późnych powrotów Dominika, organizację życia domowego Majka miała opracowaną perfekcyjnie. Zdążyła ze wszystkim, zostawiła ofiarę schodów w szpitalu na badaniach, wpuściła do domu dzieci, uzgodniła co trzeba i z kim trzeba, zabrała naładowaną komórkę i z kolei zostawiła dzieci we właściwym towarzystwie, uszczęśliwiwszy je informacją, że z całą stanowczością i bezwzględnie w tym roku kupujemy samochód. Dla samochodu w rodzinie dzieci gotowe były na szczytową grzeczność.

W szpitalu grzeczność stanowiła raczej ciało obce.

– Żadnego złamania nie ma – powiadomiła Majkę pielęgniarka wyższej rangi tonem pełnym tak ciężkiej urazy, jakby to Majka miała obowiązek dostarczyć odpowiednio potężnej kontuzji i tego obowiązku nie spełniła. – Silne stłuczenie kości ogonowej i lekkie wstrząśnienie mózgu. Bez wylewu. Ogólne potłuczenie.

Majka zdążyła jeszcze chwycić ją za kitel.

– Jak długo będzie musiała tu leżeć?

– Trzy, cztery dni. Jutro doktor powie. Wyrwała kitel z drapieżnych pazurów i uciekła.

Na szpitalnym łóżku leżała osobowość podwójna, znękana katuszami Danusia Jurandówna i dziko rozwścieczona Danuta Martenson. Wymieszały się ze sobą dokładnie.

– One mi zrobiły coś okropnego! – jęczała Danusia łzawo. – Ruszyć się nie mogę, to rżnie, piecze, boli potwornie! Odleżyny! – warczała wściekle Danuta. – To jakiś idiota, ten lekarz, odleżyny sobie wymyślił, niech się udławi odleżynami, od wczoraj mi się zrobiły, co? – I znów Danusia: – Koński plaster mi przylepiły, te kretynki, i oderwały razem ze skórą, to jest nie do zniesienia, nie mogę się odwrócić, niech ktoś coś zrobi...! Nie mogę leżeć na tyłku! – wrzasnęła z furią Danuta. – Niech mi dadzą takie kółko do nerek, na pewno mają, muszą mieć...!!!

Majka wkroczyła energicznie. Dwie śmiertelnie wystraszone pielęgniareczki, młode dziewczątka, bąkały coś o zaleceniach, braku zaleceń, sprzecznych zaleceniach, braku wszystkiego, w końcu rozbiegły się w dwie różne strony i znikły z oczu. Ruszyła na poszukiwanie osoby kompetentnej, wyraźnie czując rosnącą beznadzieję, a razem z nią wściekłość.

Wspomógł ją szczęśliwy przypadek. Niespodziewanie natknęła się na znajomą pielęgniarkę Beatkę, z którą zawarła ścisły sojusz przed dziesięcioma laty, kiedy babcia wymagająca opieki medycznej, uparła się umrzeć w domu, we własnym łóżku, co udało jej się osiągnąć. Była to babcia ze strony tatusia, niechętna synowej, tatuś zaś, jedyny syn, do opieki okazał się niezdatny. Na widok osoby chorej wszystko leciało mu z rąk.

Pozostała wnuczka i po tej to właśnie babci Majka odziedziczyła mieszkanie.

Teraz Beatka w szybkim tempie wyjaśniła sprawę. Kółko do nerek dostarczyła od razu, obejrzała przy okazji dolegliwości Danusi, rozejrzała się dookoła, zorientowała w sytuacji i rzekła: – Przypadkiem tu jestem, bo ja z chirurgii miękkiej. Kto tę dziewczynę tak urządził i właściwie dlaczego?

Majka już też coś wiedziała i rozumiała.

– Te dwie dziurdzie tam, w kącie, teraz się chyba kłóć. Jakiś konował jej wymyślił podobno odleżyny i one dokonały zabiegu, coś mi się widzi, że to nie było dobrze. Siostra oddziałowa nie chce rozmawiać, uciekła i gdzieś się schowała.

– Zaraz. A ona, ta pacjentka, jak długo leży?

– Dziś ją przywieźli koło południa.

– A przedtem?

– Co przedtem?

– Gdzie leżała i jak długo?

– Przedtem leżała u mnie na schodach nie dłużej niż pół godziny. Dość szybko przyjechali.

– Aaaa...! I od tych twoich schodów takich odleżyn dostała. Rozumiem. Pogawędzę sobie z nimi...

Dwie przestraszone dziewczeczki nie zdążyły uciec przed Beatką. Ze łzami w oczach wyznały, że tak bardzo się starały wykonywać polecenia władz...

– Skąd wam się wzięły odleżyny? – spytała Beatka surowo.

– Nawiewajło powiedział...

– Tylko spojrzał i powiedział...

– I zaraz poszedł...

– Co to jest Nawiewajło? – zainteresowała się Majka podejrzliwie.

– Lekarz – mruknęła Beatka z goryczą.

– Doktor Nawiewajło – odparła równocześnie jedna z pielęgniarek. – On się tak nazywa.

– Mówią, że przez nazwisko tak prędko nawiewa – wyrwało się drugiej.

– Zalecił plaster?

– Nie, to nie on. To siostra oddziałowa. Że na co jeszcze czekamy, nieruchawe flądry, plastry na odleżyny są w apteczce...

– A kto oderwał?

Dzieweczki popatrzyły na siebie i łzy wezbrały im w oczach.

– No my... Bo przyleciała za dwie godziny z awanturą, że zabrać to, zdjąć natychmiast, głupie jesteśmy i w ogóle...

– I prędeż, prędeż, a oglądała się, jakby się bała, że doktor zobaczy...

– Bo akurat już obchód zaczynał...

W ostatnich zdaniach zadźwięczały dość wyraźnie jad i mściwość. Najwidoczniej dziewczeczki nie przepadały za siostrą oddziałową, co jakoś wcale nie zdziwiło Majki.

– I tym sposobem zdarłyście jej całą skórę z jednego pośladka i połowę z drugiego – wyrąbała Beatka bezlitośnie. – Gratulacje. Jeśli ona nie wytoczy nam sprawy sądowej... Zrób coś! – zwróciła się gwałtownie do Majki. – Ona ma prawo, ale, na litość boską, my nie mamy pieniędzy! Kto by zapłacił? Te dwie idiotki? Ta megiera, siostra oddziałowa? Ten matoł, Nawiewajło? Ministerstwo może, co? Albo NFZ? Akurat, nic z tego, zapłaciliby pacjenci!

Gdzieś za ich plecami Danusia wydała z siebie rozpaczliwy jęk, chociaż przed chwilą, jako Danuta, z energią toczyła przez komórkę konwersację po szwedzku. Zapewne spróbowała się poruszyć. Nie słuchała wcale cichej rozmowy obok, zajęta załatwianiem spraw służbowych i prywatnych i zapomniiała o ostrożności.

A w Majce nagle słońce rozbłysło. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie co widzi i słyszy. Pośladki...! Tyłek...! Kręcidupcia z plastrem odleżynowym na tyłku...! A cóż za cudowne odkrycie!

– Nie – rzekła z mocą. – Nie wytoczy. Ja im zrobię taką ekspozycję, że całej Skandynawii oko zbieleje, wszystko to będzie jej zasługa, szef ją ozłoci! Tylko, rany boskie, wyciągnijcie ją z tego gnoju!

– Zrobi się – obiecała Beatka. – Kiedy siostra Marta ma dyżur?

Przestraszone dziewczątka udzielały odpowiedzi gorliwie, jedna przez drugą.

– Dziś skończyła o drugiej. Tylko dzięki niej tę panią od razu na badania wzięli i wszystko załatwili.

– Ale po nocy była i musiała iść...

– Ale jutro rano będzie i na pewno się zajmie. Siostra Marta to czyste złoto. Anioł!

– Nie to, co ta harpia teraz...

– W porządku, pogadam z nią – zdecydowała Beatka. – Majka, ty ją dobrze znasz? Tę pacjentkę?

– Poznałam ją dzisiaj na moich schodach – odparła Majka z dziwną dla wszystkich radosną beztroską. – Ale nie martw się, biorę zlecenie od jej szefa, uzgodniłyśmy wszystko, to bystra dziewczyna. Przywiozę jej jutro co trzeba...

– Jutro tu już będzie moja siostra – przerwała Danuta. – A wieczorem także mój mąż i on mnie stąd pewnie od razu zabierze. Czy ja będę mogła chodzić?

Beatka zastanowiła się. Obejrzała doktorski certyfikat przyczepiony do łóżka.

– Z tego co widzę, to tak, owszem. Ale z wysiłkiem, na razie, potem już normalnie. Tak naprawdę najdłużej pani będzie chora na ten stłuczony, za

przeproszeniem, tyłek. I kręgosłup musi odpocząć. Jutro pewnie położą panią na brzuchu, przyjdę i dopilnuję, ale zabrać od razu nie. Trzy dni trzeba poczekać spokojnie, co by się o naszej służbie zdrowia nie mówiło, chorego z krwiakiem wewnętrznym nie wyganiamy na ulicę.

– A w każdym razie rzadko – dodała Majka pocieszająco.

Dyskusji na temat właściwości i zachowań krwiaków wewnętrznych nie przerwał nawet wieczorny obchód, który mignął w oczach i znikł w oddali. Przerwała ją Danuta.

– I niech ten doktor Wykidajło więcej się do mnie nie zbliża! – zawarczała okropnie. – Bo przysięgam Bogu, sam będzie miał odleżyny, albo przynajmniej plaster, już ja się postaram. Ja usłyszałam nazwisko. I zapamiętałam!

– Nawiewajło, nie wykidajło... – spróbowała sprostować nieśmiało jedna z dziewczeczek, które, zlekceważywszy obchód, wciąż tkwiły przy łóżku kłopotliwej pacjentki, nieco już mniej wystraszone, a za to bardzo zatroskane. Siostra megiera–harpia udała, że ich nie widzi.

Do rozmowy wtrąciła się druga.

– Jutro rano będzie doktor Zajzajer...

– Co...?

Druga się zmieszała.

– No dobrze, ja wiem, że nie Zajzajer, ale nie mogę zapamiętać. Jakoś tak się nazywa... Zajarał? Zajezar? Mnie wyszło Zajzajer i przepadło, nie umiem inaczej.

– Zajzer – rzekła sucho Beatka. – I uważaj, żeby tego Zajzajera nie usłyszał, bo jest obraźliwy. Poza tym nawet niezły, tylko wszystkich pacjentów traktuje jak drewniane pnie, albo wyjątkowo tępe krowy. Człowieczeństwa nie widzi, same przypadki chorobowe, niczym się od siebie nie różniące.

– Z dużej butelki raz – wyrwało się Majce, w której rósł szampański humor.

Wzbudziła ogólne zainteresowanie i musiała rzecz wyjaśnić. Nie miała nic przeciwko opowieści, znajomy technik bowiem, zatrudniony jeszcze przed Kręcidupcią, nader barwnie opisywał zabiegi medyczne stosowane w wojsku. Żołnierze, młody narybek, stoją w szeregu z jedną dolegliwością, mianowicie obstrukcją. Pan doktor idzie wzdłuż szeregu z sanitariuszem i ordynuje: – Z dużej butelki raz!

Towarzyszający mu sanitariusz zaś natychmiast wydziela medykament.

Jeden się wyłamuje, oznajmia, że żadnej obstrukcji nie ma, jest natomiast chory na serce. Pan doktor po długim namyśle ordynuje: – Z dużej butelki... dwa razy!

Mimo wszystko żołnierz wyżył.

Dodatkową zdobyczą Majki stał się plaster odleżynowy, który Danuta uparła się zobaczyć na własne oczy. Osiągnęła swoje. W ramach ekspiacji jedno z dziewczątek wypożyczyło z apteczki nawet dwa plastry, jeden większy, drugi mniejszy, i dokonało prezentacji. Jakimś sposobem ten większy znalazł się w rękach Majki i co jej szkodziło zabrać go ze sobą do domu? Tak na wszelki wypadek...

Stanowczo znajomość z Danusią–Danutą okazywała się bezcenna!

* * *

– Otóż z tego, co ona mówi i robi... albo nie robi, można wysnuć wnioski – mówiła żywo do Bożenki. – To zdiera z człowieka skórę i wyklucza wszystko. Kręci, jakie tam kręci, ona tym tyłkiem drgnąć nie może i nie wiadomo czy ta skóra da się całkiem wyleczyć. Może odrosnąć stwardniała i mało podatna na ćwiczenia gimnastyczne.

Siedziały w pracowni zieleniarzy, bo Majka, pełna nowej energii, w nocy podgoniła robotę i z częścią rysunków przyjechała do biura. Powiadomiona o schodowej katastrofie Bożenka słuchała relacji w skupieniu.

– To jest myśl – pochwaliła. – Bo oczywiście bez tego tyłka Kręcidupcia się nie liczy. Ale czekaj, zaraz, czy to z każdego, kto ma prawdziwe odleżyny, tak zdzierają skórę? Jakiś dziwny sposób leczenia...

– No coś ty, skąd. Dowiadywałam się, odlepiają delikatnie i powoli. Ale te dwie głupie dziumdzie wystraszyły się i oderwały w pośpiechu.

– Ma dziewczyna fart – mruknęła Bożenka ze współczuciem i podniosła się z kręconego stołka. – Anusia pewnie zaraz wróci, ale zrobię kawę. Więc, rozumiesz, wracając do tematu, co innego przyszło mi na myśl. Mam skojarzenie, druty kolczaste i skóra, najlepszy byłby taki ten, bizon.

W ułamku sekundy Majce przeleciało przez głowę stado dzikich bizonów, depczących w pędzie delikwenta ułożonego na brzuchu i od razu wiedziała, że to jednak nie to. Bożence chodzi o coś innego.

– Bizon...? Może bizun...?

– Co...? O rany, czyja się nie mogę pomylić? Ten taki rzemień co ma na sobie powiązane węzélki albo kolce, nie zetknęłam się osobiście, ale słyszałam i czytałam, że przecina skórę, czekaj, z czego robią zelówki? Z wołowej skóry, nie? No to skórę starego wołu, a osobie delikatniejszej może zrobić sieczkę z mięsa. Głosowałabym za. Lubię kawę w filiżankach i dlatego one tu są.

– Mnie się wydaje, że różne przyrządy miały na sobie węzélki – zauważyła Majka ostrożnie. – Też lubię kawę w filiżankach. Z wykluczeniem kipu, które służyło do celów raczej intelektualnych, ale jakieś nahaje, batogi, zapomniałam co tam jeszcze. Możliwe, że bizun pasuje najbardziej.

Bożenka przyrządziła rozpuszczalną kawę, podała ją Majce, starannie ustawiając na kwiatowym słupku, chwilowo pozbawionym kwiatka. Przez chwilę obie zastanawiały się nad cukrem i żadna nie zwróciła uwagi na powrót Anusi.

Anusia wkroczyła z plikiem zdjęć w rękach, a za nią weszła Luiza z wielkim, płaskim, tekturowym pudłem. Od razu znikły za parawanem ze służbowymi odbitkami i przystąpiły do rozpakowania bagażu.

– Ale ty masz rację – powiedziała Majka, mieszając kawę w zadumie. – Ten rozkręcony tyłek powinno się unieszkodliwić, bo to jest groźba dla społeczeństwa. Skąd można wiedzieć, na kogo trafi?

– Znikąd – stwierdziła Bożenka i przeniosła się ze swoją kawą bliżej Majki, podjeżdżając stołkiem na kółkach. – Tyle wiem, że nie na mojego Janusza.

– Skąd wiesz? – zaciekała się Majka.

– Już ją widział i nic. Nie zaskoczył.

– Jesteś pewna? Bo może udawał?

– Żadne takie, on do udawania zdalny jak krowa do tańca, od średniej szkoły się znamy i nigdy nie lubił wiotkich blondynek. Dlatego wybrał mnie.

– I dla niego utylaś? Bo nie chcę cię martwić, ale ostatnio bardziej.

– Nie szkodzi. On by się i za grubszą nie obraził, lubi mieć dużo substancji w rękach. Utyłam z łakomstwa, ale zamierzam się trochę odchudzić, dla siebie i dla twojego fotela, tego antycznego. Widzisz przecież, że nie ma tu żadnych ciasteczek, batoników, ani innego świństwa, a te sadzonki niejadalne i w ogóle własność służbowa.

– Poza tym niedużo ich, na porządny posiłek nie wystarczą – zauważyła Majka, przyjrząwszy się krytycznie kilku skrzynkom wypełnionym roślinną

zawartością. – Ja w każdym razie postanowiłam i jestem zdecydowana. Ten jej parszywy tyłek zostanie uszkodzony!

Bożenka entuzjastycznie poparła decyzję.

– Zemścisz się?

– Owszem. Jest to zemsta.

– I jak w końcu, skoro plaster i bizun niepewne?

– Tyłkiem kręcą mięśnie, tyle się dowiedziałam w szpitalu od jednej pielęgniarki, przy okazji tej poszkodowanej Danuty. I tak naprawdę najlepiej byłoby przeciąć mięśnie na pośladkach. W poprzek.

Bożenka z aprobatą kiwała głową, popijając kawę po odrobinie. Za jej plecami Anusia w najgłębszym milczeniu robiła kawę dla siebie i dla Luizy, która za fotograficznym parawanem nawet oddychała bezgłośnie. Cichy pomruk komputerów zagłuszał subtelniejsze dźwięki.

– Taka na przykład brzytwa byłaby niezła – ciągnęła rzeczowo Majka, wpatrzona w szablaste listeczki młodych roślinek. – Mój pradziadek golił się brzytwą. Kiedy miałam pięć lat, żył jeszcze, świetnie się trzymał i ostrzył te brzytwę na pasku od spodni.

– Na sobie? – zdumiała się Bożenka.

– Nie, no coś ty. Przywiązywał do klamki. A ja oczu nie mogłam oderwać. Jak to cięło, to ludzkie pojęcie przechodzi! Nie wiem, co się z tą brzytwą stało po śmierci pradziadka, ale i tak bym jej osobiście nie użyła.

– Dlaczego?

– Bo się brzydzę zbliżenia z Kręcidupcią.

– A jakby tak umocować ją na długim drągu...?

– A, to może... Ale chyba nie, niepewne, taki długi drąg albo ciężki, albo chwiejny i trudno wycelować.

– Szkoda – zmartwiła się Bożenka całkowicie altruistycznie, bo skoro Janusz w grę nie wchodził... – Ale to może szablą? Podobno szablami

ucinali knoty u świec, one też musiały być ostre. I bywały długie – dodała zachęcająco.

Majka zmarszczyła brwi, zastanowiła się i wypła resztkę kawy.

– Czy ja wiem... Szabla jest krzywa i co? Tu przetnie, tam zostawi... I nie spełni zadania, bo trafi niewłaściwie, nie na te mięśnie co trzeba.

– A szpada?

– Szpada służy do kłucia, a nie do siekania.

– To niemożliwe, żeby nie było żadnego porządnego narzędzia do tyłka!

– zdenerwowała się Bożenka.

Przez chwilę obie rozmyślały głęboko, biorąc pod uwagę wszystkie znane im przyrządy kuchenne i rzeźnicze. Rzeczywiście nic nie pasowało, istna rozpacz!

Majka nagle dokonała odkrycia.

– Jedno widzę. Miecz!

Wstrząśnięta nieco Bożenka patrzyła na nią niepewnie.

– Szczerbiec...? – wyrwało jej się z lekką zgrozą.

– Zwariowałaś? – zgorszyła się Majka. – Świętość narodową miałabym zgnoić na parszywej Kręcidupci? Jakiś inny, zwyczajny.

– Skąd weźmiesz zwyczajny? Te zwyczajne, archeologiczne, są zawsze zardzewiałe, powygryzane i tępe...

– Z muzeum Wojska Polskiego. Tam wisi tego parę sztuk w bardzo dobrym stanie, z najmłodszych pochodzą mniej zabytkowe, oczyścili je porządnie. Możliwe, że nawet naostrzyli.

– Masz zamiar ukraść?

– Jeśli będzie trzeba...

Do Bożenki miecz jakoś nie przemawiał, kręciła głową z powątpiewaniem.

– Ale taki miecz jest cholernie ciężki. Walić z góry na dół, to jeszcze, ale Kręcidupcię musisz w poprzek! Gdzie ta Anusia, do cholery, dawno powinna wrócić, małe te filiżanki, a ja bym chciała...

– Jestem już, jestem – przerwała pośpiesznie Anusia, wyłaniając się zza parawanu. – Przyniosłam te powiększenia i segreguję, ale zaraz zrobię więcej kawy, a w ogóle to chciałam powiedzieć, że co do miecza, to chyba można z góry na dół, bo ona ma ten tyłek okropnie wystający.

Szybko przystąpiła do zajęć kuchennych, nalała wody do czajnika, zabrała i wypłukała opróżnione filiżanki, dwie damy planujące ciężkie uszkodzenie ciała żywej ludzkiej istoty przyglądały jej się z żywym zainteresowaniem.

– No? – powiedziała niecierpliwie Bożenka.

– Przecież robię...!

– Nie. Skąd wiesz o tym tyłku?

– A... Widziałam. Włożyła dziś takie ciasne porteczki odznaczało się wyraźnie. Szczególnie z profilu. Tak się akurat oparła o stół, łokciami, jak ta... Scarlett w *Przeminęło z wiatrem*, o, tak... – porzucając na chwilę kawę, Anusia dokonała krótkiej demonstracji, oparła się łokciami o stół kreślarski i wypięła silnie część zadnią. – Jak tę polkę grali, ona też tak, z przodu niby tylko patrzyła, a cały tył jej chodził razem z nogami...

Wyprostowała się i wróciła do czynności gospodarskich.

– Ja tak nie umiem jak ona, mnie tyłek nie wystaje. Ale słowo daję, szklankę z herbatą można było postawić i nawet by się nie zachwiała!

Bożenka i Majka bez najmniejszego trudu rozróżniały obie omawiane osoby.

– A jak stanęła prosto?

– To właśnie dlatego zwróciłam uwagę, że przedtem była wypięta i rzucała się w oczy. Potem to już się zrobiło widoczne i gdyby, kiedy tak

stała prosto, opuścić na nią pionowo na przykład arkusz blachy, odciąłoby jej kawałek tyłka!

– Myślisz...?

– Gwarantowane! Wszyscy jej się przyglądali.

W głosie Anusi brzmiał niezrozumiały triumf, pomieszany z gorliwą zachętą. Wizja miecza zamigotała gdzieś pod sufitem i przemówiła nawet do Bożenki. Ostrze lśniło złowrogo.

– Dwusieczny – mruknęła Majka.

– Dlaczego dwusieczny?

– Bo w ogóle ciężki. A jak ci się zwinie w rękę i rąbniesz drugą stroną?

Bożenka zaprotestowała z ogniem.

– Niczym nie rąbnę, bo to nie ja mam ją walić i odcinać, tylko ty! Ja się nie mszczę! Gdzie ta kawa?!
– Już, już, zaraz. Już się woda gotuje.

Kawa stanęła za stole, Anusia znikła częściowo za parawanem, wychylając się stamtąd od czasu do czasu, żeby nie stracić udziału w zachwycającej rozmowie. Majce rozważanie sposobów uszkodzenia Kręcidupci sprawiało najszczerzą przyjemność.

– Arkusz blachy... Twardej i z ostrą krawędzią, owszem, może być. Nawet aluminiowa da radę.

– Jeśli trafi na coś twardego w kieszeni, to się wygnie – ostrzegła Bożenka.

– A, właśnie! Anusia, ona miała kieszenie w tych porteczkach z tyłu?

– Miała. Przyległe.

– A pewnie. Gdyby odstawały, zniszczyłyby wrażenie. Ale za to bez miecza i bez blachy... Bo niekoniecznie jej te pośladki odcinać, wystarczyłoby zdrowo przyłożyć, coś jak u tej Danuty w szpitalu, stłuczone mięśnie...

– No i zdarta skóra – przypomniała Bożenka. – Ten plaster mi się podoba, będę o nim myśleć.

– To mu na pewno dobrze zrobi...

– Głupia jesteś, twórczo! Będę myśleć twórczo.

– To mu zrobi jeszcze lepiej. Cofamy się w rozwoju, z plastrem już widziałyśmy kłopoty nie do przebicia. Nie, mnie jednak najbardziej pasuje miecz!

– Czekaj, a może ona po prostu ma robaki? Leczenie robaków stworzyłoby nowe możliwości...

W drzwiach od dłuższego czasu stał Paweł od konstruktorów i słuchał z wielką ciekawością. Żadna go nie zauważyła, ale teraz wszedł do środka.

– Cześć panienki, co wy tak krwiożerczo? Czy Majka dostała zlecenie na izbę tortur? Czy też tajemnicze wrażenie wewnętrzne dobrze mi mówi, że w grę wchodzi Kręcidupcia?

– Podśluchiwałeś – powiedziała Bożenka surowo.

– Nic podobnego. Stałem tu jak byk i nawet oddychałem normalnie, a nie jakimś tam szepem – w tym momencie uświadomił sobie, kogo widzi i z kim rozmawia. Majka, żona Dominika, wyglądająca zza parawanu Anusia, jego wielbicielka, a do kompletu, jako temat, Kręcidupcia, podstępna podrywaczka, która go sobie zagarnęła. W zaprzyjaźnionych pracowniach biurowego molocha tajemnice nie trzymały się długo i Pawłowi zrobiło się trochę drętwo w środku. – Cholera. Czy ja może popełniłem maleńkie fopa?

– Nie myl pojęć – poradziła mu natychmiast Majka. – Maleńkie fopa karmiła mi żona. Trzeba czytać literaturę, nawet zamierzchłą.

– Ja czytam! – oburzył się Paweł. – Ona karmiła maleńkie karo!

– Tak ściśle biorąc, karmiła dziecko i nie mąćcie mi w głowie – zażądała gniewnie Bożenka. – Widać brydźystę. Ale skoro wewnętrzne wrażenia tak

ci się trafnie kojarzą, możesz dołączyć do klubu krwiożerczych katów. KKK.

– To raczej znany skrót, ale zdaje się, że nigdy nie występował przeciwko blondynkom. Z tym, że ja chętnie.

– Wystąpisz przeciwko blondynkom?

– Jednej. Nie lubię jej.

Zważywszy szalone powodzenie Kręcidupci, niebotycznie zaciekał wszystkie rozmówczynie. Zgodnie zażądały dokładnych wyjaśnień.

Paweł się skrzywił, postąpił dalej, znalazł sobie stołek i powęszył w kierunku kawy. Anusia zrozumiała bez słów.

– Bo wiecie, na początku, jak przyszła, ile to...? Dwa, trzy lata...? To nawet było ciekawe. No, interesujące. Szczególnie, że dawała występy rzadko, czasami tylko, Zdzisia złapała na te akrobacje, a on żonaty, więc głupio. Ale potem poszła na całość, nie wiem, może w taki nałóg wpadła i zrobiło się nudne. Gorzej, obrzydliwe. A jak ruszyła na Dominika, cała zrobiła się obrzydliwa, może nie dla wszystkich, ale dla mnie na pewno. Głupia przy tym jak próchno. Mogę jej nie lubić?

– Możesz – przyzwoliła Majka łaskawie. – Nie ma zakazu w wolnym kraju.

– To co mam robić jako KKK? Anusia podsunęła mu filiżankę z kawą.

– Nic – mruknęła. – Co chcesz. Najlepiej tego kręcioła jej uszkodzić i wtedy przestanie rozsiewać obrzydliwość. Tak uważają panie projektantki.

Paweł ucieszył się z pomysłu. Kształt wystających walorów anatomicznych Kręcidupci, potwierdził, dziwiąc się Anusi, że dopiero teraz to podkreśliła, wysłuchał informacji wstępnych, miecz zaaprobował, ale nie upierał się przy nim. Z racji owej rażącej wypukłości dostrzegł większy wybór narzędzi.

– Dzida byłaby niezła. Z tym, że należałoby celować z boku, pod kątem prostym. W biurze projektów jestem, więc głęboko wierzę, że rozumiecie takie skomplikowane, geometryczne terminy.

– Nawet jeśli powiesz, że ze skosu pod kątem piętnaście stopni, też zrozumiemy – zapewniła go Bożenka.

– No proszę, jaka różnica z wiatraczkiem! Raz powiedziałem, że to tworzy kąt rozwarty, więc się nie utrzyma. A ona nic. Patrzyła na mnie jak... jak...

– Jak owca – podsunęła żywo Majka.

– Jedna? Jak stado owiec! Zrezygnowałem z konwersacji i sam poprawiłem, ona zaś odeszła królewskim krokiem, wyjątkowo silnie kręcąc. Wiecie... – Paweł zamyślił się na króciutką chwilę. – To chyba wtedy właśnie tak mi się gust gwałtownie ukształtował. Kobieta, jako ludzka istota, nie może się składać wyłącznie z jednego fragmentu.

– Taki młody, a taki geniusz! – zdziwiła się Majka.

– No wiesz...! Gdybym nie był bardzo silnie zakochany w jednej takiej, natychmiast rzuciłbym się na ciebie!

– Dobra, rzucisz się za chwilę – wtrąciła się niecierpliwie Bożenka. – Bo przerwałeś nie wtedy kiedy trzeba. Co z tą dzidą pod kątem prostym? I co jeszcze, bo już ci się zaczynało? Mam wrażenie, że odezwał się poziom?

– Ja nie anatom – zastrzegł się Paweł. – Świetna kawa, jak wy to robicie...?

– Jak kobiety – mruknęła cichutko Anusia z leciutkim akcentem goryczy.

– ...ale coś mi się wydaje, że jej się unosi...

Majka jęknęła równie cicho jak Anusia. Paweł nie zwracał uwagi na drobny podkład dźwiękowy.

– ...siedzisz, o, tak jak ja, jak wy i możesz się nie opierać, nie? Zakładając, że siedzisko i oparcie mają między sobą dziurę, znaczy przestrzeń otwartą, nawet gdyby ci w tym miejscu zęby spuchły...

– Jakie zęby?! Na tyłku?! Czyś zwariował?!

– No to nie, wszystko jedno, osy cię pogryzły, wrzód ci się zrobił, tatuś ci przyłożył pasem od portek...

– Wzbronione! Wychowuje się dzieci bez stresów.

– Kretynstwo. Ja byłem wychowany z licznymi stresami i na dobre mi wyszło. Nie zwracajcie głowy, bo rozważam naukowo. Mam na myśli miejsce do uszkodzenia, żeby utrudniało kręćactwo, może być wyżej, trzepnięte zdrowo prętem zbrojeniowym... Moment, czekajcie, muszę sobie przypomnieć, bo już dawno się nie przyglądałem, która część tego odwłoku najbardziej jej lata?

– Góra...? – podsunęła niepewnie Majka.

– Dół – skorygowała stanowczo Bożenka.

– A nie środek...?

Anusia wciąż uczestniczyła w rozważaniach połowicznie, to znikwała za parawanem, to wracała do towarzystwa. Teraz wychyliła się bardziej.

– Całość – oznajmiła zdecydowanie. – Z tym, że różnie. Wiem najlepiej, bo od czasów tego cyrku chwaliła mi się i pokazywała kolejne sztuki, co to ona już umie. Może kręcić każdym kawałkiem oddzielnie albo całością, zależnie od potrzeb. A sam dół, to już ho ho.

– Czyli, gdyby usiadła na rozpalonym ruszcie... – zastanowiła się Bożenka.

– Przy okazji grillowania steków, co? – zgrzytnęła Majka.

Paweł przypomniał sobie nagle, po co tu w ogóle przyszedł. Wypił już kawę, zerwał się ze stołka.

– Hej, panienki, wszak ja służbowo! Pogoda nam się wygłupiła i zleceńodawca rozszalał. Gdzieś tu macie cały teren naszego lunaparku i szkic zagospodarowania, dawajcie to, ziemia rozmarzła i zaczynamy wykopy. Zaraz wam pokażę gdzie i które...

Atrakcyjna dyskusja skończyła się jak nożem uciał, inwestycja dotyczyła wszystkich. Wczesne wykopy szczególnie zdenerwowały Bożenkę, niwelacja terenu napełniała ją niepokojem zbliżonym do zgrozy, musiała przy tym być i awanturować się osobiście. Od początku!

Wielkie płachty odbitek pokryły podłogę, Kręcidupcia poszła w zapomnienie. Bożenka pomstowała dość łagodnie i tylko pod nosem, bo na razie nie widziała dla siebie wielkiej krzywdy, a poza tym w razie czego nie z Pawłem musiałaby się kłócić, nie on podejmował decyzje.

– To jeszcze zima – zauważyła ostrzegawczo Majka. – Mróz złapie i wszystko stanie.

– Ale połowa roboty już będzie odwalona, nie? Jemu pilno do szmalu, a wykonawca się cieszy, bo o tej porze roku nie ma dużo odważnych.

Wychodząc już, Paweł przypomniał sobie jednak poprzedni temat, atrakcyjniejszy niż wykopki.

– A tak naprawdę – rzekł już w drzwiach, – to kropnąć raz grubym śrutem i z głowy. Byle celnie. Dłubanina gwarantowana do sądnego dnia.

I żadna z krwiożerczych dam nie miała najmniejszych wątpliwości, iż nie mówi o przyszłym wesołym miasteczku...

* * *

Na terenie przyszłego lunaparku stanęła drobna część sprzętu budowlanego w postaci potężnej koparki, spychacza, małego dźwigu i kilku innych użytecznych wynalazków. Zwieziona zostały także materiały na barak dla klasy robotniczej i personelu technicznego, barak zaś miał być

elegancki, cywilizowany, w pełni godny dwudziestego pierwszego wieku i przynależności do Europy. W związku z czym pojawiły się przedmioty tak cenne jak armatury do instalacji wodno–kanalizacyjnej, elektrycznej i ogrzewającej. I oczywiście teren należało natychmiast ogrodzić i porządnie pilnować. Zleceniodawca, acz rozszalały w swoim rozpędzie, zdrowy rozsądek jednakże zachował.

I zachował go do tego stopnia, że w charakterze strażników nie zatrudnił emerytów na rencie inwalidzkiej, tylko młodzieńców w wiośnie życia, po dziurki w nosie wypchanych adrenaliną i testosteronem, namiętnie spragnionych okazji do straszliwego, a przy tym legalnego mordobicia. Poziom umysłowy młodzieńców poddano naukowemu badaniu, które wykazało wiarygodnie zarówno znajomość sztuki czytania i pisanie, jak i niewielką, ale wyraźną wyższość intelektu w stosunku do najinteligentniejszej mały. W trybie przyśpieszonym wpojono im także wytworne maniery, polegające na kolejności działań. Najpierw należy subtelnie pytać: „Pan tu czego?”, a dopiero potem łąć, nie zaś odwrotnie.

Ponadto pieczołowicie zadbano o wygląd zewnętrzny wyżej wymienionych, oraz ich sprawność fizyczną. Jedno i drugie mogło budzić szczery podziw.

Dwóch młodzieńców postury całkowicie odmiennej, świeżutko przyjętych w grono ludzi dorosłych, oglądało teren ogrodzonej budowy przez pręty żelaznej, zamkniętej bramy. Ponurym wzrokiem śledzili beztroską przechadzkę jednego z nowych strażników. Młodzieńcy nosili królewskie imiona, Kazimierz i Zygmunt, ale innych cech królewskości nie było w nich widać.

– Ty wywal te gały – rzekł Kazio do Zygmuś tonem posępnym. – Jak ci taki przyłoży, to ci łeb odleci.

– A tobie nie odleci? – odciął się Zygmuś buntowniczo.

– Mnie nie. Ja jestem dobry w nogach. Ukucnę i piącha mu poleci gdzieś tam. W plenery.

– A on poleci za piąchą. I jak cię całym sobą przywali do gleby, to ja na taką zmazę nie chcę patrzeć. Obrzydliwy jestem.

– To nie patrz. Każe ci kto?

Konwersacja, wprawdzie rzeczowa, okazała się jednak mało twórcza i nie dostarczyła pociechy. Beznadziejnie przyglądali się nadal, chociaż nie było czemu.

– To co robić? – spytał smętnie Zygmus.

– A bo ja wiem? – odparł Kazio, wzruszając ramionami i po chwili dodał: – Tam mają drugą bramę. Od miasta.

– No to co?

– A bo ja wiem...?

Przez ową drugą bramę wjechała nagle furgonetka. Ochroniarz ruszył ku niej sprężystym krokiem, zatrzymała się, wysiadło z niej dwóch ludzi i wyskoczył pies. Pies niewątpliwie był bliskim znajomym ochroniarza, ponieważ rzucił się ku niemu z objawami szczęścia i dokonał licznych, bardzo udanych prób oblizania go dokładnie po całej twarzy. Aż popiskiwał z radości. Był potężny, ale jego najwyraźniej ukochany pan też nie ułomek, więc nie zdołał go przewrócić. Pan wynagrodził objawy uczuć, poklepał psa, pogłaskał, podrapał za uszami, przyjął obie podawane łapy i wydał rozkaz. Głośny, doskonale słyszalny na całym terenie, niczym ryk kapitana okrętu w czasie wścieklej burzy na środku oceanu.

– Spokój, Kizia! Szukaj! Szukaj obcych! Już!

Pies okazał się suką. Kizia ruszyła natychmiast, a Kazio i Zygmusia zmiotło spod bramy w tempie niemal przekraczającym psie. Niezawodnym instynktem wiedzona Kizia zaczęła od tej strony, gdzie wcześniej tkwili,

ale ich gwałtowny odskok zrobił swoje. Powęszyła, zastanowiła się, odległość wroga od bramy uznała za dostateczną i popędziła dalej.

– Syf i malaria – ogłosił posepnie Kazio.

Znów pomilczeli trochę, pełni urazy do ludzi, psów, sytuacji i w ogóle do świata. Wyleźli z krzaków, gdzie nie mieli nic do roboty, a widok interesującego terenu zasłaniało ogrodzenie z płyt betonowych. Zygmus splunął.

– Głupi, czy jaki? – zganiał z niechęcią. – Pies jak byk, a on mu Kizia. Też se Kizie znalazł!

– Pogięło go – zaopiniował z przekonaniem Kazio. – A w ogóle to suka.

– No to co?

– Nic. Suki gorsze od psów, zawzięte, ale to jak mają szczeniaki. Ta chyba nie ma.

Zygmus łypnął złym okiem.

– Nawet jakby, to nie przy sobie – rzekł kąśliwie. – Przez tamtą bramę wjeżdżają. Cholera.

Kazio ocenił widoki dokładnie już obejrzone i utrwalone w pamięci.

– Stamtąd bliżej. I lepiej widać.

– Gównu ci widać, nas widać, bo ludzie się płaczą, a ta rudera w ogóle środek zasłania. Nie mogę się połapać, robią tam coś, czy nie?

– Chyba robią. Cały nabój dowieźli.

Wolnym krokiem ruszyli z powrotem w kierunku ażurowej bramy, przez którą widać było obiekt ich troski, trzymając się jednak nieco dalej od ogrodzenia, żeby ich nie zwęszyła ta potworna psica o wdzięcznym, kocim imieniu. Obiekt zasłaniały maszyny budowlane, ruch tam panował niewielki i właściwie nie byli pewni, martwić się już bardzo, czy tylko trochę.

Interesujący młodzieńców fragment pleneru miał postać wystającej z ziemi betonowej podmurówki pod ogromną szklarnię. Szklarnia już nie istniała, tuż obok niej widniały szczątki drewnianego domu, który się całkowicie rozleciał i z pewnością nie nadawał do żadnego użytku, poza ewentualnym podsycaniem ogniska. Ogniska chwilowo nikt nie palił. Ostatnie płonęło wesoło w październiku, kiedy grono projektantów z przyległościami oglądało swój przyszły teren działania.

Kazio i Zygmus spodziewali się wprawdzie, że kiedyś ta część miasta ulegnie zabudowie, nie przewidzieli jednak tempa. Do głowy im nie przyszło, że przed wybuchem wiosny cokolwiek tu się ruszy i przetrwali zimę w błogiej beztrosce, spokojni o bezpieczeństwo skarbu, ukrytego w pozostałościach zlikwidowanej szklarni. Wyłącznie na wszelki wypadek postanowili właśnie teraz odwiedzić kryjówkę i zastanowić się nad wydobyciem drogocенności.

No i trafił ich grom z jasnego nieba.

Samo ogrodzenie terenu nie stanowiło jeszcze żadnego nieszczęścia. Trzeba być paralitykiem do łóżka przykutym, żeby nie przeleźć przez głupie płyty betonowe, zaopatrzone w poprzeczne wypukłości, jakby specjalnie dla oparcia nóg. Ogrodzenie to mięta, ale ten strażnik...? I ten straszliwy pies...?! A jest ich z pewnością więcej, tych goryli, i możliwe, że każdy ma swojego psa, niech to szlag jasny trafi...

Myśli ciężko skrzywdzonych chłopców biegły jednym torem.

– One są specjalnie tresowane – mruknął Zygmus grobowo. – Taki pies z obcej ręki nawet schabowego nie weźmie.

– I żeby go na śmierć suszyło, sety nie trzaśnie – dołożył smutnie Kazio.
– Chociaż...

– Co chociaż?

– Słyszałem o jednym, co strasznie na browar leciał.

– Ściemniasz?

– E tam. Niech mnie świnia trąci. Ledwo poczuł, tak się pchał, że człowiek nie mógł się przy nim spokojnie napić, musiało być w misce dla niego. Ale to był kundel. Taki mały.

– Jeden?

– Jeden. O więcej nie słyszałem.

– Cholera wie, ile ich tu mają i czy który na browar leci...

Kizia, odwaliwszy obowiązki, trzymała się przy nodze pana jak przylepiona i całą sobą czekała na dalsze rozkazy. Pan wpatrywał się w jednego z przyjezdnych gości i też czekał na rozkazy. Ktoś jeszcze tam się pojawił, może kierowca, wszyscy machali rękami i coś sobie pokazywali, głosów nie było słyhać, a z gestów nie dało się niczego wywnioskować.

– Jak się złapią za te zielska, mogiła – odezwał się Zygmus po długim milczeniu. – Grzesiek nas poprzetrąca.

– Zgadnie, że to my? – spytał Kazio z niedowierzaniem.

– A jak? Byliśmy tam, nie? Nawet jak nie zgadnie, od nas zacnie, spoko, mamy jak w banku.

– Było mu nie włożyć pod rękę. A teraz trza wygrzebać.

– A trza. Tylko jak?

Trwali w bezpiecznej odległości od bramy i ponuro wpatrywali się w pozostałości po szklarni. Trzej goście odjechali. Strażnik i pies zostali samotni, ale widać w nich było tyle wigoru i tak potężne pragnienie wysiłku, działania, jakiejś akcji, że tylko skończony debil mógłby się im narazić. Kazio i Zygmus debilizmem owszem, dysponowali, ale nie w takim stopniu.

Po długich rozważaniach wpadli na pomysł. Jeśli zaczną tu robić cokolwiek, trzeba się zgłosić do pomocy na takich przynieś–podaj–pozamiataj. Gorliwych i bez przesadnych wymagań finansowych każda

budowa chętnie weźmie, a od przywłaszczania sobie różnych drobiazgów jakoś zdołają się powstrzymać. Zresztą co tu przywłaszczać, sedes...?

Poczuł się pocieszeni. I żadnego nie tknął najmniejszy cień przeczucia, iż jeden z nich padnie pierwszą ofiarą krwawej zemsty...

* * *

– Kańczug – powiedziała odkrywco Bożenka, sadowiąc się w fotelu u Majki. – No i popatrz, schudłam, mieszcę się w tym twoim zabytku. Przez tydzień żarłam samą kapustę i proszę, trzy kilo jak w pysk dał.

Majka przyjrzała się jej z uwagą, kazała wstać, popatrzyła jeszcze uważniej, po czym pozwoliła usiąść.

– Zgadza się, nawet widać. A co Janusz na to?

– Nic. To nie przez rozum, tylko właśnie przez niego. Stłukł sobie kość w stopie albo może mu pękła i masażysta kazał okładać kapustą, żeby się coś tam nie zastało. Ale w ogóle chodzi. Janusz, nie masażysta. Znaczy masażysta też. A z kapusty wierzchnie liście, to co miałam zrobić z resztą? Ugotować i zjeść, nie? Ja zresztą lubię kapustę.

Majka wróciła do swojego rysunku.

– A nie mogłabyś jej jadać i bez nogi Janusza?

– Mogłabym i zamierzam, nie przyszło mi to wcześniej do głowy. On nie leci na kapustę, więc sama rozumiesz.

– Rozumiem. No dobrze, a kańczug co?

– Co...? A, kańczug! Otóż właśnie ostatnio dowiedziałam się, że takie z supłami co przecina skórę i prawie całą resztę człowieka... no, bawołu, nosorożca...

– Żadnego znęcania się nad zwierzątkami!

– Przykładowo mówię. To jest właśnie kańczug. Nie wiem jak wygląda, ale chyba najlepszy.

– Jest na obrazku i nie ma supłów, tylko jest pleciony w taki warkoczyk
– odezwał się znieścacka niewinny głosik Krysi.

Majka i Bożenka zastygły. Napoczęty temat w najmniejszym stopniu nie nadawał się dla dzieci, a Majce zupełnie wyleciało z głowy, że Tomek znów ma do odrobienia lekcje natury przyrodniczej. Pani nauczycielka i telewizja działały w pełnej symbiozie, na ekranie telewizora tym razem szalały mrówki.

Tomek syknął gniewnie, ale opanował się od razu. Nie należało zwracać uwagi dorosłych, że się słyszy ich rozmowę, z drugiej strony jednak głuchotę powinno się symulować dyplomatycznie. Skoro Krysi już się wygłupiała...

– Takie z supłami to są różne – wyjaśnił łaskawie. – Dyscypliny. Bicze...
O rany, co ona niesie?!

– To wygląda jak rybia ość.

– Skąd w lesie rybia ość...?

Mrówki przebiły dorosłych, ale Majka z Bożenka przeniosły się do kuchni. Bożenka nie upierała się przy kańczugu, słyszała i tyle, informator mógł się mylić, nie uprawiał profesji kata. Inne sprawy były bardziej interesujące.

– Coś ty właściwie robiła, przez tydzień nie mogłam cię złapać. Gdzieś byłaś, ale trzeszczało i nie wiem gdzie?

– Nie przez tydzień, tylko przez pięć dni – sprostowała Majka i przytknęła czajnikiem. – W Szwecji. Co pijemy? Kawę, czy herbatę?

– Herbatę. Dobrą kawę na upartego można dostać wszędzie, a dobrą herbatę masz tylko ty. I co w tej Szwecji?

Majka rozpromieniła się tak, że blaskiem niemal zaraziła czajnik.

– Cudo! Przywiozłam sobie całą inwentaryzację. Robota na dwa miesiące, ale jaka! Bez ograniczeń finansowych. Na wiosnę już jest za późno, więc letnie kolekcje mają polecieć, a jeśli chwyci, na jesień mam przygotować następne.

– Kupisz samochód?

– Dwa, gdybym chciała. Ale wystarczy mi jeden.

– Najwyższy czas. Ty masz fart, że tu ci jeszcze nie rusza, chociaż tylko patrzeć, jak mi będziesz potrzebna. No, na trochę.

Majka wiedziała, że zleceniodawca aż się trzęsie do startu, nie bacząc na brak gotowych projektów architektonicznych, z ciekawością obejrzała się znad szklanek na Bożenkę.

– Bo co? Już coś robią?

– Teren. Skoczybruzda szaleje, włosy ze łba wrywa, pół głowy już ma łyse, zagospodarowanie terenu mamy tylko wstępne. Jedno co pewne, to konstruktorzy, uparli się przy swoim, więc od nich zaczynają wykopy.

– Ziemia rozmarzła?

– Ona nawet zamarznąć porządnie nie zdążyła, podobno dopiero teraz ma złapać mróz. Ale co robią, to ich. Na razie barak dla ludzi stawiają, akurat te fundamenty po szklarni wystarczą, rozbiorą je na końcu, a mnie szlag trafi, bo mi wodę zmieniają. W parzyste dni tędy, w nieparzyste tamtędy, dlatego muszę się z tobą naradzić, alternatywnie chyba zrobię.

– Ale tylne bebechy musimy zasłonić – przypomniała Majka ostrzegawczo i postawiła herbatę na stole.

Bożenka sapnęła gniewnie i z lubością powąchała napój.

– Toteż właśnie, trzeba ich pilnować. No proszę, mówiłam, że ona dobra, jak ty to robisz...? Ale czekaj, bo robota robotą, nie samą robotą człowiek żyje. Jest coś dziwnego.

– Co mianowicie? – spytała Majka z zaciekawieniem bardzo średnim, siadając przy stole nad swoją szklanką.

Bożenka odchyliła się do tyłu i spróbowała spojrzeć w głąb przedpokoju.

– Dzieci nie słyszą?

– Raczej nie. Ciągle im lecą mrówki. To ma być lekcja, a moje dzieci są obowiązkowe.

– Wolałabym, żeby im zadali tygrysy. Albo gęsi.

– Nie strasz mnie, tygrysy jeszcze bym zniosła, ale co do gęsi mam wątpliwości. Co to jest, to dziwne?

Bożenka wzięła oddech jak przed skokiem do wody.

– Dominik.

– Jaki Dominik? Mój?

– Twój.

Majka przyjrzała się jej sceptycznie i wzruszyła ramionami.

– To dopiero w tej chwili odkryłaś dziwność w Dominiku? Dla mnie to nic nowego.

– Ale to jest nowa dziwność. Jakaś taka nie do pojęcia i Anusia też tego zrozumieć nie może.

– A co tu ma do rzeczy Anusia?

Bożenka omal nie wylała na siebie herbaty, zdumiała się śmiertelnie i prawie oburzyła.

– No wiesz...! Utrudniasz mi do obrzydliwości. Nie mów, że zapomniałaś!

Majka zreflektowała się czym prędzej.

– Ach nie! Ale myślałam, że Anusię już mamy z głowy, to pieśń przeszłości i nie wierzę, żeby się nagle rzucił na Anusię. Raczej przeciwnie, i nie mam na myśli, że Anusia rzuca się na niego.

Bożenka wydała z siebie głęboki jęk, odstawiła szklanekę, wsparła łokcie na stole i wszystkie palce zatopiła we włosach. Należy przyznać, że miała w czym.

– Jeszcze nigdy mi się z tobą tak uciążliwie nie rozmawiało! Przespał się z nią w końcu, czy nie?!

– Mnie pytasz...? No dobrze, wiemy przecież, że tak.

– A on myśli, że nie!!! – wrzasnęła Bożenka i wyrwała palce ze zmierzwionej szopy.

Długą chwilę Majka milczała. Znała przecież Dominika naprawdę dobrze. Bez najmniejszego trudu odgadła sedno osobliwej tajemniczości.

Dominik uczciwie i z całej duszy chciał być porządnym człowiekiem. Ale w głębi jego jestestwa tkwił ognisty ogier skrzyżowany z dorodnym buhajem, Anusia zaś była wdzięczna, okrągłutka i kusząca, plątała się po pracowni w godzinach nadliczbowych, kawkę robiła, herbatkę podawała,

pachniała jakoś tak seksownie, no i oba męskie osobniki we wnętrzu Dominika wystartowały, zanim zdążył nad nimi zapanować. Oporu nie napotkały najmniejszego.

No tak, ale przyjemny czyn, jako taki, nie zaliczał się do rzędu szlachetnych. Porządny człowiek ukochanej żony nie zdradza i nie podrywa panienek, nawet bardzo chętnych, Dominik zatem poczuł się nieswojo.

Nie życzył sobie czuć się nieswojo. Absolutnie i ze straszliwą stanowczością chciał się czuć nieposzlakowanie porządnym człowiekiem, nie popełniać droźnego czynu, cofnąć czas i usunąć z własnej biografii naganną panienkę. Czas stawiał opór nie do przebiccia, pozostała panienka, należało wyrzucić ją z pamięci, a najlepiej całkowicie zanegować jej istnienie. Nie żeby w ogóle, w końcu pracownie musiały utrzymywać jakiś kontakt między sobą, ale jako coś, co było. Nie było tego. Wcale. I nie ma. Jest coś nowego, innego, co go kompletnie nie dotyczy i to nowe może sobie być, bo niby dlaczego nie.

Tę cechę Dominika Majka odgadła już dawno i doskonale poznała. Nie on jeden taką skłonność posiadał, od początku świata mnóstwo ludzi starało się wyrzucać z pamięci wstrętne wspomnienia, niektórym udawało się to koncertowo, ale Dominik z całą pewnością w tej konkurencji miał pierwsze miejsce, niczym nie zagrożone. Leciał samotnie w czołówce, za nim pusto i dopiero cały peleton. I była absolutnie pewna, że mimo najszczerzych starań, Bożenka tej cechy nie pojmie.

Westchnęła teraz ciężko.

– Nawet jak ci to wytłumaczę, to też nie uwierzysz – powiedziała do Bożenki, wpatrzonyj w nią z niecierpliwym oczekiwaniem. – On nic nie myśli. On uczciwie zapomniał.

– Co zapomniał?!

– Że się z nią skrzyżował.

Bożenka gwałtownie chwyciła szklanę, wypła resztę herbaty, jęknęła, obejrzała się i znów jęknęła.

– Cholera. Nie zostawię pod twoim domem samochodu i nawet wspomóc się niczym nie mogę, po jaki filodendron ja nim tu przyjechałam! To jest niemożliwe, co mówisz. Ma ją na oczach! I nie dziwkarz! Gdyby tych kretynek plątały się setki, mógłby zapomnieć, którą już zużył, a której jeszcze nie, ale jedna Anusia...?!

– A dużo się z nią nasypiał?

– No przecież ona już się przyznała, że raz. Jeden.

Majka promieniowała beztroską zaprawioną współczuciem. Przystąpiła do nalewania Bożence drugiej herbaty.

– No to może to jedno chędożonko nie było takie wystrzałowe, żeby zostawić od razu bruzdy w mózgowiu. Miał wyrzuty sumienia i wypchnął je z pamięci bez żadnego wysiłku. W Anglii mówią, że gorąca herbatka pomaga na wszystko.

Bożenka bez przekonania przyjęła napój.

– Ona mówi – podjęła ponuro po chwili milczenia – że on się ciągle zachowuje tak strasznie miło i sympatycznie, że aż dreszcze latają po plecach. Samo mu wychodzi, nic na siłę. Jakby ją świeżo poznał i zwyczajnie był grzeczny z dobrego wychowania. I taki wesolutki i życzliwy z natury.

Majka odrobinę zmierzchła. Westchnęła.

– Zgadza się. Zawsze tak się zachowuje, osoba obca, chociaż znajoma. Lubi ją, bo sympatyczna, ale nic więcej, żadnych uczuć, więc życzliwie milutki, żeby jej to wynagrodzić. Ten brak uczuć. Rozumiesz, on tak nie myśli, on na takie tematy wcale nie myśli, ale ma to w sobie zakodowane gdzieś na dnie tego dobrego wychowania. Dobrze zgadłaś...

– To nie ja, to Anusia!

- Anusia dobrze zgadła. On ma to odruchowe.
- Co ma odruchowe?
- Zachowanie. Miłe i życzliwe. Szczególnie jak sam jest w dobrym humorze, więc możliwe, że parszywa jaszczurka okazała mu łaskawość. Ja w to wnikać nie będę.

Bożenka wyraźnie poczuła, że cała sytuacja przerasta jej możliwości zrozumienia czegokolwiek. Milczała, popijając herbatę, aż do chwili, kiedy odblokowały ją dzieci, którym skończyły się mrówki. W przerwie między jednym a drugim rodzajem zwierzątek pojawili się ludzie, gładząc o kontrowersjach między jakimiś plemionami, które nie szanują ekologii. Kontrowersje opisywane były słownie, wzajemnej bitwy plemion nie pokazano, skończyły się zatem atrakcje do oglądania.

Tomek pojawił się w progu kuchni.

- To ja odwalę robotę, a ona ma język – zawiadomił krótko.

Majka kiwnęła głową i dzieci znikły z horyzontu.

- Ja bym tego nie wytrzymała – powiedziała Bożenka ponuro. – Nie, nie dzieci. Tego szajsu z Kręcidupcią. Wyrzuciłabym chłopca z domu na zbity pysk.

Majka zaczęła zbierać na tacę rozmaite naczynia w celu przeniesienia miłej pogawędki do pracowni.

- Nie musiałam się fatygować – zauważyła spokojnie. – Sam poszedł.
- Czasowo. Podejrzewam, że wróci, jak ten od portfela wróci. Podobno, to też od Anusi, bo ona się w nerwach interesuje, on niczego nie szuka. Dominik, znaczy. Mieszkania. Co ty zrobisz, jak on wróci?

– Nic.

– Jak to, nic?

– A tak zwyczajnie, nic.

Bożenka znów pomilczała sobie trochę. Majka usiadła na swoim miejscu pracy.

– Kręcidupcia niech się martwi – rzekła beztrosko. – Bo może znów mu się pomylą łóżka i osoby. A dzieci będą bardzo zadowolone.

– Ciągłe nie wiedzą...?

– Węszą. To instynkt. Ale robię co mogę, a jeśli Dominik wróci... Sama rozumiesz.

– Ja się nie czepiam – rzekła Bożenka po kolejnej chwili milczenia coraz bardziej ponurego. – Ja tylko usiłuję jakoś przyjąć w siebie to wszystko. A co będzie, jak on sprowadzi tutaj to rozkręcone ścierwo?

– Wyleci na zbity pysk razem ze ścierwem i tego możesz być pewna. A jeśli mnie akurat nie będzie... bo już widzę, że gębę otwierasz, żeby o to zapytać, będzie jego rodzona siostra. Reginę szlag na niego trafia przeraźliwy i zacięty, i mam z nią umowę. Jest u mnie jak mnie nie ma, bo i tak pracuje przez internet, więc jej wszystko jedno gdzie, a drugi komputer i drukarka w sypialni stoją.

Bożenka słuchała chciwie, z każdym słowem odrobinę pogodniejąc. Reginę znała, jej udział aprobowała bez najmniejszych zastrzeżeń.

– Już się tu zetknęli?

– Owszem. W ostatnich tygodniach dwa razy.

– I co?

– Nic. Ogólna miłość rodzinna oknami na ulicę wyciekała.

– Zaraz. Ale przecież mówiłaś, że rodzina nie wie...?

– Zgadza się. Z wyjątkiem Reginy. Raz się na nich przypadkiem nadziała na spacerze, powęszyła i zgadła. Przycisnęła Dominika, a on, nie dość, że prawdomówny, to jeszcze nie mógł się przecież wyprzeć anioła. Nic nie powiedziała, postanowiła najpierw dogadać się ze mną.

Bożenka doznała pełnej ulgi.

– Rozumiem, że się dogadała. I całe szczęście, bo już byłam gotowa zabrać Janusza razem z nogą i z kapustą, i pomieszkiwać u ciebie. Nawet wymyśliłam, co powiedzieć twoim dzieciom.

– No...? Ciekawa jestem.

– Że też chcemy mieć dzieci i zamierzamy sprawdzić, jak to jest mieć dzieci. Pomieszkać z nimi i w ogóle, a ty nam pozwoliłaś. Kłopot w tym, że obydwójce pracujemy, ale teraz, kiedy on ma zwolnienie na nogę...

– Krótkie – ostrzegła rozweselona Majka. – Zaraz mu się skończy, bo tak naprawdę nic mu nie jest.

– Toteż właśnie – potwierdziła Bożenka i wy dobyła się z fotela. – W każdym razie Regina rozwiązuje sprawę, uspokołam się, a ty mi jesteś potrzebna w lunaparku pojutrze...

* * *

Pogoda uparcie sprzyjała, do rozpaczki doprowadzając ogrodników, którym rozmaite roślinki przedwcześnie wyłaziły z ziemi. Nikt nie miał wątpliwości, że zima jeszcze pokaże swoje i to wszystko nadgorliwe szlag trafi.

– Łaska boska, że Bożenka nie ma własnej plantacji – powiedziała pobożnie Majka do Stefana. – W histerię by wpadła i straciła zdolność do życia. Czy ty możesz mi powiedzieć...

– Jeszcze większa łaska boska, że nie ma Dominika – przerwał jej Stefan. – Ty byś nie tego...?

Majka wzruszyła ramionami.

– Mnie Dominik nie przeszkadza, widujemy się w końcu niekiedy i nic się nie dzieje. Raz nawet przez roztargnienie napił się herbaty, przeze mnie parzonej. O ile wiem, nie dostał zatrucia pokarmowego.

– Wiesz, że ja cię podziwiam – wyznał Stefan. – Wyobrazić sobie nie umiem, co wyniknie z tej idiotycznej sytuacji i jestem śmiertelnie przerażony. Ale podziwiam cię jeszcze bardziej.

– Bo mężczyźni w niektórych dziedzinach są tchórzliwsi niż kobiety – pouczyła go Majka. – Kobieta spóźni się z obiecanym telefonem o rok albo i dwa lata, po czym beztrąsko zadzwoni, facet się w życiu nie ośmieli. Ścierpnie mu wszystko, będzie wołał rzucić się z widelcem na głodnego rekina.

– To już mu pozwól z dwoma widelcami.

– Pozwalam. Ale ja mam pytanie służbowe.

Stali na skraju swojego terenu przy samym ogrodzeniu i rozważali zakres prac. Majka teoretycznie wchodziła w ten cały interes ostatnia, w praktyce należało wcześniej przewidzieć dla niej płaszczyzny dekoracyjne i reklamowe, no i podstawową sprawę, oświetlenie. Technologia była prawie gotowa, ale bez projektu konstruktorów nikt nie miał nic do gadania. Nie wszędzie, rzecz jasna, wyłącznie od tej strony, gdzie miały stanąć najcięższe maszyny. Reszta należała do architektów.

– Służbowe? – zainteresował się Stefan. – A co?

– A ta strona tutaj, gdzie stoimy. Czy wy możecie mi dać, tak pi razy oko, bodaj w szkicu, tyły tych budowli? Bebechy mnie nie obchodzą, tylko strona zewnętrzna, jestem pewna, że koncepcję już macie.

– Jasne. I nawet funkcje, rozumiesz, w zeszłym tygodniu przestaliśmy się kłócić i wszyscy doszli do zgody, co pierwsze, co drugie, co bliżej, co dalej. Będziesz miała cały ciąg, który trzeba zasłonić.

– Z przyjemnością.

– Ale i tak na pierwszy ogień leci barak dla ludzi. Zdawało się w pierwszej chwili, że te fundamenty po szklarni to kłoda pod nogami, a

tymczasem jak znalazł. Płyty już przywieźli, jutro zaczną. O, a ta co tu robi?

Z daleka widać było ciężarówkę z płytami betonowymi, do których przymierzał się już mały dźwig, i kilka osób, a wśród nich Kręcidupcię. Zdziwiony przez moment Stefan nagle sobie przypomniał.

– A, wiem! Sanitarni ją złapali. Zdaje się, że to robota Zdzisia, skorzystał z okazji. Pomoc techniczna to pomoc techniczna, bez względu na branżę, ale chyba się obraziła.

– Po czym poznajesz?

– Nie kręci tyłkiem.

– A obraziła się dlaczego?

– No jak to, oderwali ją od Dominika, a on nic na to, siedzi i liczy. I Zdzisiowi musi odbitki trzymać, bo trochę wieje. Nie kręci tyłkiem przeciwko nim obu.

Majkę zjawisko zainteresowało. Przyjrzała się widocznej z daleka Kręcidupci i przypomniała sobie ostatni komunikat Bożenki o tych wystających pośladkach. Rzeczywiście, wydawało się, że coś w tym jest.

– Zdjęcie chcę – powiedziała. – Tak wzdłuż, perspektywicznie. Dwa zdjęcia, z obu stron, oba od zewnątrz. I możemy stąd iść.

– Nie ma sprawy – zapewnił Stefan, ruszając w kierunku szklarni. – Fotograf gdzieś tu się pęta, zaraz załatwimy. Zdaje się, że ogrodniczka do ciebie macha.

Istotnie, Bożenka machała na Majkę mniej więcej ze środka terenu. Rozeszli się w dwie różne strony, bo Stefan od razu chciał złapać fotografa.

Za nimi pozostało ciężkie zmartwienie.

Ogrodzenie z cienkich płyt betonowych nie posiadało żadnej izolacji akustycznej, bo potrzebna mu była jak dziura w moście. W związku z czym Kazio i Zygmus, przyklejeni do przeszkody od strony ulicy, bez przeszkód

wysłuchali całej rozmowy Majki ze Stefanem i zatroskani wprost strasznie oderwali się od wstrętnych płyt. Szybkim krokiem udali się dookoła w kierunku starej chałupy i zagrożonej szklarni.

– Mówiłem, żeby od tamtej strony kikować – wytknął Kazio gniewnie. – Bliżej i jakby co, to tego. W ogóle.

– Ludziom pod nogi wleziesz? – warknął Zygmus.

– A co? Roboty szukam.

– Żeby nie te cholerne psy...

– Bo co? – zaciekawiał się Kazio tak, że aż się zatrzymał. W głosie Zygmutusa brzmiał przydźwięk jakby spiżowy.

Zygmus też się zatrzymał. Ogrodzenie tu skręcało i oddalało się od ulicy, osłaniały ich krzaki, wciąż bezlistne, ale dostatecznie gęste, żeby nie widzieć przez nie niczego zbyt wyraźnie. Można było pozwalać sobie na demonstracje, Zygmus sięgnął jakoś tak za siebie, pogrzebał w tylnych kieszeniach niebieskich džinsów i z pozorną obojętnością jął wyciągać narzędzia. Skarby. Użyteczne szczytowo. Zdolne rozplomienić chciwość każdego włamywacza.

Nie kryjąc podziwu, Kazio oglądał wytrychy, śrubokręty, piłki do metalu, jakieś tajemnicze sprężyny, cążki i dłutka, wszystko niezbyt wielkie, ale wysoce precyzyjne. Z szacunkiem dotknął miniaturowego francuza.

– No...?

Pozorna obojętność Zygmutusa pękła.

– Leć do tej parszywej Kizi z golonką i browarem, leć, poskamłaj do niej, może cię pokocha. To ja się tu staram, Grześkowi spod ręki zwijam, każdy zamek tym otworzę, każda kłódka dla mnie pikuś, a te purchawce psiarnię sobie sprowadzają! Byśmy weszli jak chcąc, a tu co? Leć, najmuj się do roboty, jak już się sami złapali, góra jutro się dokopią ze świstem. Pies cię nawet powąchać nie zdąży!

– A zdąży – uparł się Kazio, zdopingowany widokiem cudownie pięknych narzędzi i wspomnieniem Grzeška. – A właśnie się najmę! O, nowe wiozą. Ja lecę!

O nie, Zygmus z tym całym pomocniczym nabojem sam jeden zostać tu nie zamierzał, jakąś praworządność należało symulować. W nerwowym pośpiechu jął wpychać wszystko z powrotem do tylnych kieszeni ciasnych dzinsów, nie mieściło się, wystawało, tworzyło jakieś gruzły, a, czort bierz, nikt go tu przecież po tyłku nie będzie macał.

Zrobiło się lekkie zamieszanie, Kazio znikł mu z oczu, ale jakaś awantura zahurgotała. Niepewny sytuacji Zygmus, ciasno wypchawszy się swoim sprzętem, ruszył w głąb dostępnej przestrzeni. Zanim zdążył pomyśleć, znalazł się na terenie budowy, Kazia uparcie nie widział, awantura grzmiała, spróbował zajrzeć za przeszkody, po większej części ruchome...

* * *

Stefan zwolnił kroku, bo zaczął być zły na siebie. Uprzytomnił sobie nagle, że fotograf pracuje głównie dla zieleniarzy, a dysponuje nim właśnie Bożenka. Do której przed chwilą poszła Majka. Zatem on sam ma z głowy, co innego go gryzie...

Rozejrzał się dookoła i w oko wpadła mu Kręcidupcia, co rozzłościło go jeszcze bardziej. Przypomniało mu się, jaki naprawdę ma kłopot, architekci ruszyli już projekt wstępny, konstruktorzy deptali im po piętach i właśnie zauważył niedopatrzenie. Siedzący w obliczeniach Dominik nie wie, nie może jeszcze wiedzieć, że cały ciąg ciężkich urządzeń wchodzi na kawałek mniej wytrzymałego gruntu. I tę sprawę musi załatwić szeroki fundament. A Dominik liczy na mniejszej przestrzeni, bo skoczybruzdy zaniedbali... no dobrze, też nie wiedzieli... i całe obliczenia będzie można sobie o kant

odwłoka potłuc. Podlec oczywiście wyłączył komórkę, nie lubi przeszkód w trakcie pracy, a śrubokrętą pomoc techniczna, która powinna zostać użyta awaryjnie, fochy tu stroi przed otumanionym Zdzisiem...

Zwiększył tempo i skierował się wprost ku Kręcidupci.

– Telepatycznego kontaktu z wielbicielem przypadkiem nie masz? – spytał tak jadownicę, jak tylko potrafił i nawet mignęło mu w głowie, że powinien mówić jakoś ku górze, bo jeśli w dół, przepali trawę i grunt pod nią. – Alarmową informację mu donieść, to jak? Gołąbką pocztową? Tuliszą ptactwo do serca na wszelki wypadek?

Kręcidupcia wypowiedzi nie rozumiała kompletnie, wobec czego obraziła się do reszty. Na Dominika była ciężko rozżalona. On tu powinien być, a nie Stefan, na Stefanie już dawno położyła krzyżyk, z jego Zosią wygrać nie miała szans, być może przy pierwszym i jedynym osobistym kontakcie nie postarała się dostatecznie, zlekceważyła trochę... Nadęła się, nadąsała i poszła precz. Wprost w galimatias transportowy.

– No popatrz sama, przyjrzyj się – mówiła Bożenka do Majki. – W tych opiętych dzinsach, nie dość, że niebieściutkich, to jeszcze cieniowanych, w oczy strzela. Wystaje na kilometr.

– Herbaty bym jednak nie stawiała.

– Teraz, jak idzie. Ale jak się schyli i wypnie, to owszem. Zaraz, czego chciałaś? Zdjęcia? No to jaki problem, gdzieś tu powinna być Luiza, od razu ci zrobi. A jak nie teraz, to jutro. Skąd ma być? Pokaż.

– Tam, pod samym ogrodzeniem.

Wyrzuciwszy z siebie część stresu, Stefan darował sobie Kręcidupcię i ruszył ku miejscu zamieszania transportowego, rozpoczętego zjechaniem z wywrotki części płyt z lekkiego betonu.

Tamże zniknęła także obrażona Kręcidupcia.

Bożence przy okazji znikła z oczu Luiza, bo zamieszanie trwało i zainteresowali się nim wszyscy. Płyty z wywrotki zsunęły się na wyładowane już urządzenia hydrauliczne, dokumentację wstępnego projektu sanitarnego piastowała w objęciach Kręcidupcia, Zdziś nie mógł jej znaleźć. Wplątany w akcję ratunkową Kazio nie zdążył się zaangażować do pracy, a już został zatrudniony przez rozwścieczonego kierownika budowy, który przybył z nienacka i miał tylko rzucić okiem...

– Tam chyba... – powiedziała niepewnie Bożenka do Zdzisia, wskazując kierunek, bo za wywrotkami mignął jej niebieski, wyprzęczonego odwłok.

Przez ogólny hałas przebił się nagle krótki, ale okropny krzyk, wrzask bolesny i przenikliwy. Tak odmienny od rumorów budowlanych, że usłyszeli go wszyscy.

Na czele nielicznego grona, które nerwowo rzuciło się ku miejscu niewątpliwego wypadku, znaleźli się obcy sobie Bożenka i Kazio. Bożenka dostrzegła niebieskie pośladki, Kazio rozpoznał krzyk. Za nimi podążało około dziesięciu osób, ostatni dobił dźwigowy, który z góry trochę źle widział, więc po krótkim namyśle zlął na dół.

Widok był bardziej dziwny niż straszny. Śmiertelnie zaskoczony Zygmus, wydawszy z siebie krzyk, zacisnął zęby, zamilkł i tylko trzymał się za tylne części, spod rąk zaś sypało mu się coś żelaznego i kapała krew. Krwi było skąpo, więc nie przerażała przesadnie, za to pobrzękujące ciała obce wyglądały tak, jakby Zygmus zbudowany był w dolnej połowie z części sztucznych, pół robota na przykład, albo coś w tym rodzaju. Największe oszołomienie budziła solidna strzała, zwisająca ze strzępów odzieży, żelastwa i krwi, morderczym grotem ku ziemi, lotkami zaczepiona o ruinę portek.

Zważywszy, iż żywy obraz wydawał się raczej niezwykły, zmacona pracą silników cisza panowała całe cztery sekundy. Potem ruszyli się

wszyscy naraz.

Wśród zamieszania, różnorodnych okrzyków, pytań, pretensji i propozycji, pod jednym względem panowała zdumiewająca zgoda. Nikt mianowicie nie chciał wzywać ani pogotowia, ani policji, jakieś bąknięcia na ten temat ucinane były w zarodku i nikły bez śladu. Reszta mieściła się już w normie, o strzałę omal się nie pobili Bożenka, Zdziś i sam poszkodowany, który od razu znalazł się na straconej pozycji, bo zarazem przytrzymał Kazia. Kazio w pierwszym odruchu chciał uciec, ale wahanie go zgubiło i już musiał zostać. Kierownik budowy usiłował oskarżać o ten drobny incydent dźwigowego i kierowcę wywrotki, kierowca zwał winę na ochroniarza i psa, okazało się, że na terenie budowy są dwa psy, z których jeden wściekle szczeka, a drugi tylko warczy cicho, ale strasznie groźnie. Zygmusz szczękał zębami.

Do akcji nagle wkroczył Stefan. Z miejsca wyłowił spłoszonego Kazia.

– To twój kumpel? Zabierzesz go do mojej siostry, ona jest pielęgniarką, tu masz adres. Opatrzy go i powie co tam dalej, już do niej dzwoniłem. Panie Burczak – zwrócił się do kierownika budowy, rozwścieczonego coraz bardziej, ponieważ zdecydowanie trzymał stronę psów. – Na tym samym wózku jedziemy, pan zawiezie tę ofiarę do mojej siostry...

– I nawet, kurytyba pieprzona kokainą, zezwolenia na wyjście z ziemi jeszcze nie mam! – zawarczał dziko kierownik, ale słowa Stefana zrozumiał. – Hej, wy obaj! Jazda, wsiadać! Adres mają?

– Mają, a z ziemi przecież jeszcze nie wychodzimy. Te fundamenty mamy na wierzchu.

Słowa, które ukoili duszę kierownika, do szaleństwa zdenerwowały Zygmutia i Kazia, ale obaj posłusznie wsiedli do pikapa kierownika. W zmierzwionej trawie pod ogrodzeniem starej chałupy zostały drobne, metalowe szczątki.

Bitwę o strzałę wygrał Zdziś. Bożenka zdziwiłaby się może nagłą brutalnością osobnika, dotychczas ugodowego i dżentelmeńskiego, ale zbyt była skołowana, żeby zajmować się teraz kindersztubą rozmaitych przygłupków.

Cały czas tkwił jej w głowie ten miecz, preferowany przez Majkę. Miecz w tyłku Kręcidupci... No tak, ale to nie miecz, tylko strzała, to jedno, a po drugie nie Kręcidupci, tylko jakiegoś obcego chłopaka. Taka pomyłka...? Czyja...?! I skąd cholerna strzała, niemożliwe przecież, żeby ktoś, zdzierając eksponat ze ściany muzealnej, nie odróżnił miecza od strzały...!!!

Ale chłopak został ustrzelony jak się należy, pod kątem prostym do czegoś tam anatomicznego, na durch przez właściwy fragment. Prawie jak z tym mieczem... Z drugiej strony... Trudno wymagać od strzały, żeby waliła z góry...

Majka czekała na nią blisko budzącej kontrowersje wody naturalnej, w pewnym oddaleniu od spektaklu. Zorientowana już wcześniej w zamierzeniach hydraulicznych, była zdania, że obie propozycje są niezłe, wszystko jedno którą w końcu wybiorą i chciała uspokoić Bożenkę. Dwie wizje dekoracji leżały się jej równocześnie nawet bez znajomości projektu architektonicznego, który na razie jeszcze nie istniał, i tymi wizjami była zajęta.

Dobiła do niej Bożenka, zajęta całkiem czym innym.

– Ty, słuchaj, jak ty to... Ty tu jesteś? Czy mnie się wydaje...? Gdzie ty jesteś, tu...?

– Tu jestem, widzisz mnie chyba? – Majka zaniepokoiła się nagle. – Coś ci się stało? Zmieniłam się jakoś, czy gorzej widzisz?

– To jak ty to... – Bożenka obejrzała się i z wyraźnym wysiłkiem zaczęła odzyskiwać równowagę. – Jak, do cholery, mogłaś strzelić w Kręcidupcię

tam, skoro jesteś tu, dlaczego w tego jakiegoś gówniarza i skąd wzięłaś strzałę?!

Do zwiększonego niepokoju Majki przyłączyły się podejrzliwość i niedowierzanie. Przyjrzała się Bożence z uwagą.

– Bożenka, co ci się stało? O czym ty mówisz?

– O czymś takim, czego w ogóle nie mogę zrozumieć. To nie ty dziabnęłaś w zad Kręcidupcię, która okazała się obcym gnojkiem, to już do mnie dociera. Znaczy, dociera wydarzenie. Fakt. Ale cała reszta...

Majkę wydarzenie zainteresowało niebotycznie. Zażądała rzeczowego sprawozdania, które o tyle było trudne do przyjęcia, że wciąż jeszcze przeszkadzały mu rozkwitające twórcze wizje. Kiedy wreszcie dotarło i do niej, osłupiała nie mniej niż Bożenka. Wysiłała umysł.

– Widzę jeden element wiążący, o ile ci się wzrok nie zmącił. Mianowicie te niebieskie dzinsy. Myślisz, że to jest możliwe, że ktoś pomylił tyłki i strzelił do chłopaka w przekonaniu, że strzela do Kręcidupci? I to nie byłam ja, tylko całkiem kto inny?

– To powinnaś sama wiedzieć najlepiej – zauważyła nieco zgryźliwie Bożenka, której w trakcie opowieści stopniowo wracał rozsądek. – Ale ja cię widziałam z daleka i w życiu nie uwierzę, że tu stałaś, a tam dziabiałaś w chłopaka. Nie ma na świecie takiej strzały, która by leciała dookoła okrężną drogą!

– Bumerang...

– To była strzała, nie bumerang! I w ogóle dlaczego strzała, miał być miecz!

Majka przez chwilę próbowała to sobie wyobrazić.

– Prawdziwa strzała? Taka z łuku?

– Jak w pysk dał. Żelazna, żaden pic fotomontaż. Krew z gówniarza leciała.

Przez kolejną chwilę obie milczały, a między nimi kamieniało oszołomione zdumienie.

– Ale niedużo – dodała Bożenka uczciwie. – Więcej leciało jakichś żelaznych kawałków.

– Czekał. Z chłopaka, czy ze strzały?

– Stanowczo z chłopaka. Strzała była w całości i w ogóle w doskonałym stanie.

– Znaczący, nie z archeologii – zaopiniowała Majka po głębszym zastanowieniu. – Żaden zabytek nie uległ zniszczeniu, bardzo dobrze. Zaraz. A gdzie się w tym wszystkim podziała Kręcidupcia?

Ruszyły wolnym krokiem w kierunku aktualnie głównej bramy, będącej terenem krwawo–rozrywkowej imprezy, bo stamtąd machali do nich rękami z jednej strony Stefan, a z drugiej Zdziś. Zamieszanie już się uspokajało, elementy budowlane przechodziły na swoje miejsca, gdzieś wśród części hydraulicznych mignęła Kręcidupcia z dokumentacją w objęciach.

– Ano właśnie, o – wskazała ją palcem Bożenka. – Tu się płączy, bo im rury dowieźli i rozwalili. Ktoś ją naprawdę musiał pomylić z tym gówniarzem, ale nie zgadnę kto, skoro wiem, że nie ty. Zwracam ci uwagę, że jestem dla ciebie bezcennym świadkiem i powinnaś mnie szanować. Ciekawe, co on zrobił z tą strzałą.

– Kto?

– Zdziś. Zabrał ją. Przemocą.

Zdziś nie miał już strzały, za to miał odbitkę części terenu, wyrwaną niewątpliwie z rąk Kręcidupci, i od razu podsunął ją pod nos Bożence. Majka przypomniała sobie swoje wizje, wkroczyła czym prędzej, kojąc przewidywane animozje, zanim zdążyły wykiełkować. Z szacunku dla świadka, chociaż na razie nie wyłapała, do czego ma jej być potrzebny ten świadek, przechyliła lekko szalę na korzyść Bożenki, eksponując nieco

wyraziściej reklamowe walory przyszłej dekoracji. Stefan ją poparł nie wiedząc co czyni, a wtrącił się tylko dlatego, że chciał zyskać pewność co do fotografa. Zyskał. Zdziś okazał ugodowość, podjął decyzję w kwestii wody, nie będą już zmieniać poglądów co drugi dzień. I nagle okazało się, że wszyscy są zadowoleni. Dziwne. Ale prawdziwe.

Niedługo trwał ten niebiański nastrój, rzadki na ułomnej i spaskudzonej ludzkością Ziemi.

– A co pan zrobił ze strzałą? – spytała ciekawie Bożenka Zdzisia, zbliżając się już do wyjścia.

– Z jaką strzałą? – zachnął się Zdziś, odsuwając się od niej gwałtownie.

– No, z tą, z tego chłopaka...

– Nic nie wiem o żadnej strzale!

Bożenka aż się potknęła i przytrzymała za łokieć Stefana.

– Jak to pan nic nie wie, sam mi ją pan wydarł z rąk, z portek mu zwisała i też ją chciał złapać!

– Nie znam żadnego chłopaka i żadnej strzały nie widziałem, tam kształtki przysypali...

– Kształtki przysypali dalej, a na głupim gówniarzu telepała się...

– Może Burczak zabrał razem z tymi gówniarzami, żeby nie zostawiać dowodów rzeczowych – podsunął Stefan i spróbował wydobyć łokieć z uścisku palców Bożenki, bo czuł, że mu krążenie w ramieniu zamiera.

– Może i zabrał, ale przedtem pan ją szarpał – uparła się Bożenka. – Na plaster ona panu była?

Zdziś zdenerwował się porządnie.

– Nic nie szarpałem, nie obchodzą mnie żadne strzały, z tego chłopaka sypały się takie rzeczy jak kawałki armatury, to były kawałki armatury, od razu pomyślałem, że on to nam ukradł! A pani mnie odpychała! Tam było dwóch chłopaków, ten drugi też chciał zbierać, to są dowody rzeczowe!

– Dwóch było, fakt – rzekł Stefan. Zgiął rękę w łokciu, naprężył biceps i palce Bożenki opsnęły się z niego wreszcie. – Jednego Burczak od razu zagonił do roboty. A dowodom rzeczowym dajmy na razie spokój, bo nic dobrego z nich nie wyniknie.

Na to Zdziś zgodził się z łatwością, a Bożenka nareszcie zamilkła. Odczepiła się od strzały. Uświadomiła sobie nagle, że przed chwilą uzyskała pożądaną koncepcję ukształtowania terenu, a ta koncepcja zależy w dużej mierze od Zdzisia, więc chyba zgłupiała, żeby mu się akurat w tej chwili narażać. Wypiera się strzały, niech mu będzie.

Majka milczała cały czas. Milczała mściwie. Proszę bardzo, wszyscy w końcu dostrzegą, że w grę tu wchodzi ta zgaga, jej wyprztęczone portki musiały stanowić cel, ktoś potraktował je wrogo, dla Zdzisia jest postacią pierwszoplanową, przez nią wybuchło zamieszanie, gdzie Kręcidupcia, tam pożar burdelu. Szkoda, że Dominika tu nie ma, byłoby może jeszcze śmieszniej.

A swoją drogą, skąd ta strzała...?

* * *

Obrażenia Zygmunia nie okazały się zbyt potężne. Bolesne wprawdzie i może nieco kompromitujące, ale nie zagrażające życiu. Ani nawet zdrowiu. Owszem, utrudniały pozycję siedzącą, także leżącą, także rozmaite ruchy, ale przy pewnym wysiłku udawało się powstrzymać jęki i stękania.

Siostra Stefana nie widziała żadnego powodu, dla którego normalny facet nie mógłby kurować się w domu i obaj z Kaziem po dwóch godzinach zabiegów i odpoczynku wyszli.

Niezwykle małomównego dotychczas Kazia wreszcie odblokowało.

– Ty, jak rany, niech skonam, co to było?!

– Kurwa – odparł zwięźle Zygmus, zawierając w jednym słowie pełne streszczenie wydarzenia wraz z okolicznościami towarzyszącymi, oraz własnymi doznaniem.

Kaziowi nie wystarczyło.

– Nadleciałem, ale ta gościowa razem ze mną. To strzała była? Taka z łuku? Niech mnie dzięgiel przydepnie, skąd? Co widziałeś?

– Gównu.

– Ale kikowałeś przecież za parkanem, mignęło mi, łeb wetknąłeś...

Mało ruchliwy w tym momencie Zygmus zatrzymał się.

– Co to jest dzięgiel?

Kazio też się zatrzymał.

– Nie wiem. Ptak taki chyba, nie?

– Głupiś. Ptak, to dzięcioł. To chyba jakieś zielsko?

– Albo nie, takie to coś do zaprawiania miodu, że tam łyżka na beczkę i spaskudzi...?

– A może. Chyba że... Bo do miodu to mi się wydaje, że... jak mu tam... o, dzięgieć. Ale możliwe, że właśnie dzięgiel. W każdym razie o dzięciole mowy nie ma!

– On miał nie być do miodu, tylko do deptania!

Dzięgiel i dzięgieć, wsparte dzięciołem zdecydowanie ulżyły atmosferze. Zygmus uruchomił szczęki, które dziwnie mu zdrętwiały od zaciskania zębów. Zgodził się nawet skorzystać z pomocnego ramienia Kazia.

Wolnym krokiem zmierzając ku domowi, bo Zygmus przejawiał jakąś wyjątkową niechęć do taksówek, a znieczulenie jeszcze działało, ustalili między sobą, że jest źle. Nie wiadomo co będzie jutro, bo ofiara do wysiłków fizycznych może być niezdatna, do umysłowych, o ile trzeba przy nich zajmować pozycję siedzącą, tym bardziej, a nieszczęście w

szklarni tylko czyha, zbyt płytko zakopane. Kazio do roboty pójdzie, oczywiście, skoro go dziś przyjęli, i potem już można liczyć wyłącznie na cud. Zygmus będzie podglądał...

Ale skąd się wzięła cholerna strzała, nie zdołali odgadnąć. Ktoś ją musiał wystrzelić, to pewne, samotne strzały własnym rozpędem nie podróżują po świecie, potrzebny im człowiek. I to nie byle jaki.

– Żaden gnój z podstawówki i w ogóle małolat – zaopiniował Zygmus, rozdrażniony coraz bardziej, bo droga trwała, a znieczulenie powolutku zdychało. – Siłę w rękach skurczysyn miał, sam wiem najlepiej, niech ja go dorwę, szczwoła plamistego, jak tylko mi przejdzie, mordy już miał nie będzie.

– Co to jest szczwól plamisty? – zainteresował się Kazio, chcąc jakoś zająć uwagę przyjaciela i odwrócić jego myśl od doznawanych boleści.

– Grzyb taki. Trujący.

– Grzyb? Mnie się zdawało, że ten grzyb nazywa się tak jakoś więcej sraczkowato. Muchomor jakiś tam.

– Muchomor może być. Ale ten szczwól też trujący, wiem na pewno. Babkę mam.

– Jaką babkę?

– Zwyczajną. Rodzoną. Stara jak próchno, ale jeszcze żyje. Ona się na tych rzeczach zna, możesz ją zapytać. Specjalnie mnie uczyła co trujące, żebym do pyska nie brał. Szczwól plamisty trujący wściekle i koniec.

Wzbogaciwszy w ten sposób, dzięki babce Zygmusia, swoją wiedzę przyrodniczą, z dokładnym, acz niezamierzonym ominięciem muchomora sromotnikowego, dotarli wreszcie do domu ofiary, gdzie poszkodowany legł na brzuchu, odmawiając stanowczo dalszej dyskusji naukowej i już tylko jęcząc, kiedy nikt nie słyszał.

* * *

Wydobywanie niepotrzebnej ziemi ze szklarni napotkało przeszkody i nie zdążyło ujawnić niepożądanych efektów. W piątek zdenerwowany Kazio uczestniczył w pracach transportowych i przygotowawczych, wściekły i obolały Zygmunt pojękiwał w łóżku, a sobota załatwiła sprawę do reszty.

Mróz złapał tak gwałtownie, że wszelkie roboty ziemne musiały stanąć. Kazio odetchnął, a Majka zyskała czas na Szwecję natychmiast po awanturze, w której poparła Bożenkę. Niezrozumiale zdenerwowany Zdzisław znów usiłował zmienić zdanie w kwestii naturalnego potoczku, będącego rzeczką, kanałem, jeziorkiem i w ogóle każdym rodzajem akwenu, jaki komukolwiek przyszedł do głowy. Z wyjątkiem morza. Przeciwności projektanta urządzeń hydraulicznych zaprotestowało dwadzieścia szponów na czterech damskich rękach tak gwałtownie, że tej nawały nie przetrzymał. Ugiął się. Pozostał przy ustaleniu ostatecznym, przypieczętowanym niejako tajemniczą strzałą.

– Tobie to dobrze, odwalasz robotę w domu, a ja znów zmarłam jak dzika świnia na tej cholernej Saskiej Kępie – rzekła ze smętnym rozgoryczeniem Bożenka, sadowiac się w antycznym fotelu. – Patrz, mieszczę się, nie utylam! Masz coś rozgrzewającego?

Wiedziona informacją TVN Meteo i osobistym przeczuciem, Majka była przygotowana.

– Grzane piwo z miodem i gorąca herbata z rumem, co wybierasz?

Bożenka bez namysłu wybrała oba napoje. Niekoniecznie razem, mogły się pojawić kolejno, ale Majka miała dużo rozsądku. Piwo przyszło razem z garnkiem, a herbata w termosie. Pełnia swobody!

– A gdzie twoje dzieci? Śniegu mało, bałwana nie lepią.

– Z tatusem u babci i tatuś je przywiezie.

Przez jakieś trzy do czterech sekund Bożenka usiłowała wyobrazić sobie Kręcidupcię u teściowej Majki, ale wizja okazała się nieosiągalna.

– A ta pinda wiatraczna czeka pod bramą...?

– No coś ty? Dulcynea została zatrudniona do rozkładania plansz w godzinach nadliczbowych przez szamana wielkiego, podpuszczonego przez Zdzisia, podpuszczonego przeze mnie. Nie pozwolę półgłówkowi zaniedbywać dzieci, a poza tym wolałam utrwalić ostateczną wersję twojego potoczku. A że dla Zdzisia Kręcidupcia to cymes niebiański, bardzo się trudzić nie musiałam.

– A szaman wielki poszedł na to? – zdziwiła się Bożenka. – Tak przedwcześnie?

– Tu się troszeczkę postarałam – wyznała Majka z lekkim zakłopotaniem. – Jak świnia. Bardzo dobre to piwo, strasznie dawno czegoś takiego nie piłam.

Bożenka zlekceważyła opinię o piwie, zainteresował ją szaman. Z ciekawości nacisnęła.

– No... wiesz... Jego pracownik... pólętatowy, ale to bez znaczenia... robi ekspozycję–hit w obcym kraju, a jakby tak się dało coś więcej...? I nie pożałowałam mu nadziei, jeśli się sprawdzę... Jest tam takie miejsce, na obrzeżach Sztokholmu, widok cudowny, dojazd wręcz przeciwnie, ale jakby tak osiedle mieszkaniowe...? Albo hotel–*monstre*...? Albo co...?

– I złapał?

– Wielkie nadzieje są po to, żeby je łapać. Tylko przedtem, sama rozumiesz, ja się muszę sprawdzić...

Bożenka milczała przez chwilę, po czym odsapnęła potężnie i użyła obu napojów, jednego za drugim.

– Już mi cieplej – oznajmiła i znów zamilkła. Majka przyjrzała się jej, popatrzyła na arkusz brystolu przed sobą, na monitor, ponownie na brystol i wreszcie znów na Bożenkę.

– Wiesz coś więcej? Dołożę im cynobru... Bo tak wyglądasz, jakbyś wiedziała.

– Gównu wiem. Ale myślę tak, że w końcu mi zaszkodzi. Strzała była, to pewne, ja akurat halucynacji bitewnych nie doznaję...

– A jakich doznajesz?

– Spożywcze mi się zdarzają. Gdyby ją Burczak zabrał i gdzieś upłynął, można zrozumieć, uszkodzenie pracownika na budowie, która w dodatku rusza nielegalnie, to żadna przyjemność, mogą nam zrobić koło pióra. Przytomny gość. Ale na co ona Zdzisiowi?

Majka wzruszyła ramionami i dołożyła na brystolu cynobru.

– W celach niszczycielskich. Jeśli błysnęło mu skojarzenie z Kręcidupcia zapragnął zemsty na przedmiocie, który poszargał świętość.

– Błysnęło z pewnością. Mnie samej błysnęło. Ten niebieski, wystający odwłok... A łba nie było widać. Możliwe, że masz rację.

– Skąd ona wyleciała? Ktoś widział?

– O ile wiem, to nikt. Tam krzaki rosną, cholernie wielki berberys, co z tego, że bez liści, taki gęsty, że nic przez niego nie widać. Reszta to samo, całkiem zdziczała i splątana, a jeszcze ostrokrzew, on liści nie traci. Rycerz na nerwowym koniu mógł tam stać i strzelać do wroga, ile mu się podobało.

– Odjeżdżając z tętentem, dałby się zauważyć.

– Toteż raczej nie stał...

– Ale może jakieś dzieciaki – zauważyła Majka z lekkim roztargnieniem.

– Niebieskie, niebieskie... Wystający odwłok... Wiosna i zieleń już przepadły, oni muszą mieć jaskrawe błękity...

– Może po prostu posadzisz im tam Kręcidupcię tyłem do przodu – zirytowała się Bożenka i wykończyła resztę piwa.

– I będzie kręciła? – ucieszyła się Majka. – A wiesz, że to jest myśl! Ruchoma ekspozycja, chodziło mi po głowie, ale teraz mnie utwierdziłaś, już wiem co zrobię! Genialne! Słuchaj, zrobię tak! Będą mi zdjęcia potrzebne, film, nie takie byle co z komórki, tylko fachowiec z kamerą!

Ze zdumieniem Bożenka ujrzała nagle osobliwy blask, jakim Majka rozbłysła. Na krótko, ale wyraźnie. Natchnienie. Z całą pewnością musiało to być natchnienie.

– Coś ci przyszło do głowy?

– Przyszło. I sama mi podsunęłaś. Nic nie powiem, żeby nie zauroczyć, ale zobaczymy co z tego wyniknie.

Bożenka poprawiła się w fotelu, zajrzała do garnka, okazał się pusty, wylała zatem resztę herbaty z termosu.

– No i znów nie dokończyłam tematu. Bo chciałam cię zapytać, wiem, że nietaktownie, ale już mi wszystko jedno, co w końcu z tym twoim rozwodem? Tylko się przypadkiem nie obraż!

Blask Majki przygasł bardzo nieznacznie. Skrzywiła się, wzruszyła ramionami i prychnęła trochę wzgardliwie, a trochę z satysfakcją.

– Tak kretyńskiego utworu, jak pozew przeciwko sobie, nie czytałam chyba nigdy w życiu. Dominik, mam wrażenie, też był podobnego zdania, ale nie umiał arcydzieła poprawić, bo okazuje się, że nie mam żadnych wad. Nie wiem co z tym robi. Jedno, czego możesz być pewna, to to, że mu w tej twórczości nie pomogę, więc nie wiem co dalej. Chyba rozumiesz, że mnie nie zależy?

– A kto go pisał? Ten pozew?

– Nie mam pojęcia. Zgaduję, że jakiś adwokat. Moim zdaniem odmóżdżony.

– No to oddycham z ulgą – sapnęła Bożenka. – Bo już miałam obawy... No dobrze już, dobrze, głupie obawy, ale jak cię znam... I to twoje dobre serce...

– Moje dobre serce? Dla Kręcidupci...?

W głosie Majki brzmiało coś takiego, że Bożenka doznała całkowitego ukojenia. Nie, w tym miejscu istotnie na pomoc żony Dominik nie miał co liczyć. Nareszcie w całej tej kretyńskiej sytuacji pojawił się jakiś element normalności!

I oczywiście nie miała pojęcia, skąd ten element się wziął. Nie wykluczone, że Majka złamałaby się i pomogła Dominikowi dostać rozwód wbrew wszystkiemu, gnana współczuciem, z dobrego serca, gdyby nie miała przewagi uczuciowej. Z jednej strony chciała to ukochane tępadło zatrzymać przy sobie, a w chceniu potrafiła być równie uparta jak on, z drugiej zaś, dodatkowo, za żadną cenę nie wyświadczyłaby przysługi Kręcidupci. Mowy nie ma. Niech się wstrętna gnida powiesi i niech czeka na swój upragniony awans społeczny do sądnego dnia!

Bożenka mogła być spokojna.

* * *

Danusia Martenson okazała się pod każdym względem błogosławieństwem. Postacią wprost bezcenną.

– To wypadnie drogo – ostrzegła Majka, siadając w jej sztokholmskim salonie w precudownie wygodnym fotelu przed kominkiem. – Ale całą sobą gwarantuję, że chwyci.

Danusia znacznie wolniej i ostrożniej ulokowała się na miękkich poduchach. Pieczołowicie odstawiła szwedkę.

– Niech sobie wypadnie – rzekła z zaciętością – Po tym co przeżyłam, i ciągle jeszcze przeżywam, a mimo to załatwiłam sprawę, Bergson zgodzi

się na wszystko. Wierzę ci. Te smarowidła od ciebie, uczciwie mówiąc, działają rewelacyjnie, skóra się goi, to mięso pod nią też, za dwa tygodnie zacznę tańczyć... no dobrze, normalnie chodzić. Napij się czegoś. Musisz sobie wziąć sama, przepraszam.

– Za co, kota masz? Ale to nie ja, to Beatka w symbiozie z rehabilitantem, od nich ci przywiozłam specyfiki...

– Kocham ich.

– Ja też.

– A mnie kocha Bergson, bo od, żeby nie skłamać i prawdy nie powiedzieć, co najmniej pięciu lat mam szczęśliwą rękę. Idzie w górę i dlatego teraz się szarpnie, jestem pewna. Nie podasz mi szczegółów pomysłu?

Majka zaopatrzyła się w whisky z potworną ilością lodu i pokręciła głową. Promieniowało z niej coś takiego, że Danusia zapomniała o swoich ciężko skrzywdzonych poślądkach. Przepęłniła ją ciekawość. Ogólnie biorąc, ekspozycja tania być nie mogła, ale i tak w wykonaniu Majki, w pewnym stopniu skażonej wieloletnią pauperyzacją własnego kraju, kosztami nie przerażała. Trochę drożej, a niechby, ale co to mogło być? Nie potrafiła odgadnąć, zżerana niecierpliwością wpatrywała się w Majkę błagalnie roziskrzonym wzrokiem. Majkę, jak zwykle, tknęło dobre serce.

– Ale nikomu nie powiesz? Ani słowa?

– Na swój tyłek przysięgam! Niech mnie szarpnie na nowo!

Przysięga brzmiała poważnie. Majka złamała się, powiedziała troszeczkę. Danusia była, bądź co bądź, fachowcem, płomień w niej wybuchł.

– Masz kamerzystę? Doświadczzonego? Zna się na holografii?

– Głowy na pniu nie położę, kogoś znajdę...

– Dam ci! Dam ci! To ekspert! Talent! I na tych bebechach też się zna! Przyślę ci! Kiedy go chcesz? Niech tam nawet posiedzi, bywał już w Polsce, kocha bigos i flaki, i pół litra do tego, tylko po polsku nie mówi...

– Nie szkodzi. Bigosu gotować nie będę, ale flaki mogę mu sama doprawić. Za jakość odpowiadam.

– No to on zrobi dla ciebie wszystko. Czeka, umówmy się...

– Danusia, jesteś perłą bez skazy!

– Ty też. Obie jesteśmy perły. Kiedy?

– A skąd ja to mam wiedzieć? Absolutnie zależy od pogody i może to się okazać nagle...

– Harald będzie w pogotowiu!

– Sinozęby...? – wyrwało się Majce mimo woli. Danusia na swoich poduchach osłupiała.

– Co...? Dlaczego... sinozęby...?

Majka nawet nie usiłowała ukryć zakłopotania.

– Och, bardzo cię przepraszam, ja mam takie historyczne skojarzenia. Wplątał się w trzech wielbicieli i w pewnym stopniu mężów Świętosławy Piastówny, siostry Bolesława Chrobrego. Była królową Trzech Koron, kolejno podrywana przez energicznych władców, to w końcu wikingowie, niezbyt łagodni, Eryk Zwycięski, Olaf Tryggvason, Swen Widłobrody. Harald Sinozęby coś tam namieszał. Zdaje się, że w Olafie była śmiertelnie zakochana, chyba i ten Swen jej pasował, natomiast na Haralda nie leciała, o ile pamiętam. Zadziałał królewski przymus, a mnie zostały przydomki, skoro Harald, to Sinozęby, ale będę się powstrzymywać.

Danusia ochłonęła.

– O, nie musisz, on nie zna polskiego języka, a zęby ma w porządku. Jak to, znasz go przecież, to on robił ci zdjęcia do inwentaryzacji, możesz na

niego liczyć. Nawiasem mówiąc, nazywa się zwyczajnie, Nordin. Bez żadnych zębów. Przypilnuję ci go śpiewająco!

– Naprawdę załatwisz wszystko? Nie muszę kołować Bergsona? Już z nim rozmawiałam i właściwie nie stawiał oporu, ale trochę się waha.

– Zapewniam cię, że przestanie się wahać jeszcze dziś – powiedziała Danusia z tak potężną zaciętością, że Majka niemal rozkwitła. No, ona im wszystkim pokaże...

* * *

Pogoda zadziałała różnorako. Majce okazała przychylność, Kazia i Zygmutusia zgnębiła doszczętnie.

Zima wycofała się dość chętnie, zaznaczając swoją obecność wyłącznie nocą, dzięki czemu ziemia nie utraciła jeszcze swojej zlodowaciałej twardości. Lada chwila jednakże twardość mogła ustąpić i obaj kumple dławili się wręcz zdenerwowaniem. Kazio wykazywał przy tym zapał do pracy rzadko spotykany wśród młodzieńców jego pokroju, Zygmutek zaś nie wytrzymał w betach, zwlókł się z łoża boleści i objął stanowisko niemrawego poganiacza niewolników. Pilnował kumpla z całej siły, oka prawie nie odrywając od fundamentów szklarni.

Dla Majki słońeczko świeciło jakby specjalnie. Jeszcze trochę, jeszcze trochę, potrzebowała więcej ciepła i więcej robót ziemnych. Zaplanowane zadanie nie było łatwe.

Rzadko się zdarza, żeby projektanci w pierwszej fazie tworzenia projektu wizytowali namiętnie przyszyły plac budowy. Nie do nich należy przygotowanie frontu robót, później mogło się zdarzyć, że przyjeżdżali sprawdzać co im tam wykonawca paskudził, ale przecież nie wcześniej, zanim w ogóle zaczął! Tu jednak, zważywszy urozmaicenie terenu, istniały

pewne szanse, a Majka za wszelką cenę musiała spowodować możliwie liczne wizyty.

Podpuściła Bożenkę. Zdziś, ogłupiony uczuciowymi niefartami, mógł przecież zmieniać zdanie w kwestii tej spornej wody, ponadto woda przy rozmarzaniu i w razie deszczu też mogła zmieniać swoje oblicze, należało przynajmniej rzucić okiem, upewnić się, czy malowniczy pagórek nie przeistoczy się przypadkiem w wał przeciwpowodziowy, albo inną obrzydliwość. Na deszcz się wprawdzie nie zanosilo, ale któż mógł przewidzieć wybryki atmosfery? Udało jej się zasiać ziarenka niepokoju nie tylko w projektantce zieleni i hydrauliku, ale nawet w konstruktorach, wciąż niepewnych wytrzymałości gruntu. Dzięki czemu zgryzota spadła także na hydrogeologów, zmuszonych do badań, sprawdzeń i pomiarów z precyzją wręcz zegarmistrzowską. Majce potrzebny był tłum.

No i zdobyła tłum.

Najłatwiej poszło ze Zdzisiem, którego wcale nie trzeba było przekonywać, iż przy czuwaniu nad kapryсами rzeczki niezbędna jest mu pomoc techniczna w osobie Kręcidupci, strażniczki dokumentacji. Rysunki, wydruki, obliczenia, mnogość papierów, na coś wszak należało nanosić poprawki, a rzeczka współdziałała chętnie, tworząc odnogi, jeziora, stawki i nowe koryta. Całość trosk zdecydowanie przekraczała możliwości umysłowe pomocy technicznej, ale to już nie miało najmniejszego znaczenia. Rozpoznawać rysunki umiała.

Szwedzka Danuta dotrzymała słowa. Harald Nordin o uzębieniu bez zarzutu pojawił się w kilka godzin po pierwszym telefonie. Jako osobnik cywilizowany, samochód wypożyczył od razu na lotnisku, jako jednostka pełna optymizmu, z hotelu zadzwonił do Majki, że już jest, Majka zaś, jako kobieta, flaki miała w garnku gotowe i niebiańsko przyprawione. Lodówka zawierała w sobie pełny zestaw napojów bezbarwnych, wytrawnych,

dostępnych w Polsce na każdym kroku. Jako osoba rozsądna i przewidująca, kategorycznie nakazała mu przyjechać natychmiast taksówką.

Musiałyby nie mieć serca i nerwy ze stali kuloodpornej, żeby od razu przystąpić do pracy, szczególnie, że Harald gromko i z wielkim naciskiem już od progu krytykował podłe żarcie w samolocie i żalił się rzewnie na pośpiech, oraz charakter tej wilczycy, Danuty, które to elementy razem wzięte nie pozwoliły mu zjeść frokostu. Ominął go święty posiłek skandynawski w samo południe, Boże drogi, biedny chłopiec, jeśli nie jest chory, musi być strasznie głodny! Ależ oczywiście, zaczynamy od wzmocnienia organizmu!

W Haraldzie słońce zaświeciło, usiadł przy stole i na ten moment trafiła Nowakowa, której małżonek znów dokonał nieoczekiwanego zakupu.

– I oczywiście, ten idiota... – zaczęła w rozgoryczeniu i w drzwiach jadalnej części apartamentu urwała.

Za stołem Majki siadał chłopak jak lalka, kolorystycznie nawet nieco zbliżony do Dominika, ale jednak jaśniejszy, poderwał się grzecznie na jej widok, prezentując posturę wręcz modelową, w barach szeroki, w biodrach wąski, drapieżność jakaś w nim była, pirat jakby albo co... Nowakowej serce zamarło.

Nikt oczywiście nie mógłby wymagać od niej, żeby odgadła sedno rzeczy. W Haraldzie istotnie załęgła się drapieżność dzika i chciwa, ale ściśle dotycząca flaków, których woń omal nie przyprawiła go o zawrót głowy. Już niemal siedział, już prawie sięgał i nagle dostęp do ambrozji został wstrzymany. Pustka w żołądku aż kwiknęła, cechy odległych przodków ocknęły się nagle i uniosły głowę. Możliwe, że przed wiekami z mieczem runąłby na Nowakową, nie bacząc na jej płęć i bezbronność.

Majka od czasu cynamonu Nowaków miała w domu pełen zestaw prostych i wyszukanych przypraw, bo co jej szkodziło, sama ich czasem używała. Zaciekawilo ją nawet, co też teraz Nowak nabył, ale rzuciła okiem na Haralda i czym prędzej zastosowała właściwą kolejność.

– To sąsiadka, zaraz z nią załatwię – powiedziała po szwedzku. – Nałóż sobie tymczasem i zacznij jeść, bo wystygnie i mnie będzie przykro. I nalej nam czego chcesz wedle własnego wyboru. Przepraszam panią bardzo – powiedziała po polsku, – ale to cudzoziemiec i po naszemu nie rozumie. Do roboty przyjechał, pracujemy razem, ale od rana prawie nic nie żarł i muszę go nakarmić. Głodny chłop do żadnej pracy się nie nadaje.

Ta wielka prawda wyrwała Nowakową z lekkiego stuporu. Wróciło jej rozgoryczenie.

– No i proszę, zgadza się, to samo mówię, ten kretyn z połędwicą wołową przyjechał i nogami tupie, uparł się po pakistańsku. Przepis przywiózł! Dwadzieścia minut góra, możliwe całkiem, do cholery, ja umiem gotować, mam wszystko, on się wypluska, fakt, w błocie się taplał, brudny jak świnia, a przez ten czas dojdzie, ryż błyskawiczny już do garnka wrzuciłam, a czego mi zabrakło? Curry! Curry! To pakistańskie! On smaki rozróżnia podlec, jedna torebeczka, jak zrobić pakistańskie bez curry!!! Ja przed ołtarzem przysięgałam, że będę karmić żywe zwierzę, co ja mam zrobić, w pani moja nadzieja...!!!

Histeria Nowakowej rosła gwałtownie, Majka czym prędzej wywlokła ją do kuchni.

– Cicho, spokojnie, mam – wysunęła szufladę, cztery torebki curry zajaśniały niczym diamenty. – Łagodne i ostre, wystarczy, ale przy okazji pani powiem, jak moja babka zrobiła takie pakistańskie bez curry. Nie dostała wtedy. Już niech się pani uspokoi. Pieprzu i papryki użyła i chyba chrzanu, i żywy ogień wszystkim z pyska buchał, ma pani czerwone wino?

Nowakową na moment zatchnęło, po czym złapała dech.

– Mam, tyle rozumu jeszcze mu zostało, że kupił, chociaż w domu było. Ta pani babka to chyba cudotwórczym, Boże drogi, pani jest bóstwem! Lecę, za pięć minut on wyjdzie z łazienki!

Harald posłuchał rozkazu, siedział nad flakami i z chwili na chwilę promieniał bardziej. Napój w kieliszkach czekał na Majkę.

– Będę zrozpaczony – oznajmił przy kolejnej porcji – jeśli skończymy tę jedną ekspozycję i nie zaczniemy drugiej. Co ja będę jadł...?

– Jeśli ta letnia się spodoba, przed nami jesień – pocieszyła go Majka natychmiast. – A ja projekty robię tylko w domu i będziesz musiał przyjeżdżać, jeśli bierzesz udział w wykonaniu w naturze. A teraz ci powiem prawdę, mam obawy, że wymyśliłam trudne. I kosztowne, ale koszty wzięła na siebie Danuta, ty natomiast masz holografię w małym palcu...

Harald kochał swoją pracę i lubił wyzwania. Flaki swoje zadanie wypełniły rzetelnie. Kiedy wieczorem wróciły dzieci, przyprowadzone przez tatusia, mamusia i jakiś obcy facet siedzieli w pracowni przed dwoma monitorami, przytłoczeni stosem papierów, wydruków, szkiców, rysunków i kolorowych mazideł. Prawie nie było ich widać za tymi zwałami makulatury i Dominik miał pełne prawo nie ujrzeć żony, z którą wszak nie chciał mieć do czynienia. Mimo prawa, doznał jednak wrażenia, że żywych osób było tam więcej niż jedna.

Wytresowane dzieci potrafiły być niezauważalne, co nie przeszkodziło im przyjrzeć się z wielkim zaciekawieniem osobliwej pracy. Matka i obcy facet nie ograniczali się do ekranów i papierów, wyczyniali dziwne sztuki, odgrywali jakby przedstawienie, ustawiając się po kątach, czyniąc po kilka kroków tam i z powrotem, przy czym każde z nich przyglądało się drugiemu z szaloną uwagą. Zamieniali się rolami. Słowa jednego z ich

gadania nie można było zrozumieć, przejęci byli wyraźnie, aż wreszcie promienna jasność rozświetliła ich twarze, obcy facet chwycił matkę w objęcia i zgodnie odtańczyli w miejscu żywy taniec z podskokami.

– *Fajn, fajn, fajn!* – wykrzykiwał przy tym rozradowany facet.

– Znaczy, fajnie im wyszło – mruknął Tomek do Krysi. – Ciekawe co.

– To co robią – zaopiniowała rozsądnie Krysia.

Osoby dorosłe uspokoiły się, zaniechały frywolnych podskoków i już normalnie, jak ludzie, usiadły do roboty przed komputerami. Przenosiły co chwila zainteresowanie z ekranów na kolorowe stosy, obcy facet wyciągnął spod nóg coś w rodzaju kamery i kręcił wszystko, ale na tym kończyły się ich wybryki. Przestało być ciekawie, można było iść spać.

Poszli zatem spać wyjątkowo grzecznie. Wręcz wzorowo. Efekty objawiły się później.

* * *

Pogoda nie zmieniła poglądów, uparcie sprzyjała Majce. Na nietypowo zaludnionym placu budowy Bożenka pilnowała Zdzisia, Zdziś pilnował Kręcidupci, Kręcidupcia udawała, że nie rozgląda się za Dominikiem, Dominik w drugim końcu malowniczych plenerów koił zdenerwowanie geologów. Majka trzymała rękę na pulsie Haralda, który na wszelki wypadek nieznacznie uwieczniał wszystko i wszystkich.

I nawet w najśmielszych marzeniach sennych nie mogła przewidzieć, że sytuacja ułoży się aż tak przecudownie.

Bożenka podeszła i puknęła ją łokciem.

– Ty, popatrz. Niepotrzebnie mnie wystraszyłaś. Ona, ta struga, czy co to tam jest, sama z siebie zrobiła ten łuk i on się go trzyma jak rzep. Pasuje mu, a mnie jeszcze bardziej. Za to mam inne zmartwienie.

Majka, nie tracąc z oczu Haralda, zupełnie jawnie rozglądała się za Kręcidupcią i nie mogła jej dostrzec. Dziwiło ją to i nawet irytowało.

– Gdzie, do cholery... Jakie zmartwienie?

– Mażeńskie. O tej posągowości sama mi mówiłaś i nie pamiętam dokładnie. Że jak ma być?

Przez chwilę Majka patrzyła na Bożenkę wzrokiem bez wyrazu.

– A...! Przypominam sobie. Nieznacznie. Greckie boginie były grube, baby jak piec, ale jednolite. Jak to sobie wyobrażasz, ciało piękne w obfitości, a na nim białe placki. Co on, szachista?

– Nie. Woli brydza.

– No to musisz jakoś sama, bez niego. Gdzie ta gangrena?

– Nie wiem, znikła mi z oczu...

Gangrena znajdowała się tuż za ich plecami. Piastowana w objęciach dokumentacja nie stanowiła sedna jej życia, jedna teczka i jeden rulon wysunęły się ze słabych rączek, niechętnie wróciła po nie, jałowce tu akurat rosły, młode jeszcze i niskie, ale bardzo kłujące, do tego wszędzie ten okropny ostrokrzew i cały gąszcz tarniny, teczka wpadła pod gałęzie, musiała tam sięgnąć. Zła i nadąsana nie podsłuchiwała specjalnie, podsłuchiwanie nie przyszło jej do głowy, greckie grube piękności miała dokładnie w nosie, ale po chwili znów dotarły do niej kolejne słowa.

– ...dziewięć stopni, akurat – mówiła gniewnie Bożenka. – W słońcu najmarniej dwadzieścia, mam się tu uwalić i leżeć goła?

– Tam na końcu teren ładnie osłonięty – podsunęła rozśmieszona nieco Majka. – Ale mówiłam ci, nie bądź głupia, najlepiej w ruchu. Mało masz ogrodów? Teraz w nich pusto...

– A tak. I jeśli grzebię w ziemi, akurat tyłek do słońca wystawiam.

– No proszę. Po parę minut dziennie i pięknie ci się wyrówna...

Tyłek do Kręcidupci dotarł. Sztuka myślenia nie stanowiła jej mocnej strony, ale to jedno wiedziała na pewno. Tylna strona była jej walorem podstawowym i one obie mądrze mówiły, całość należało opalić, a nie tylko kawałki. I to już, od razu, wykorzystać każdą okazję, tę obecną też, bo o tej porze roku słońce trwale i codziennie uprzejme nie będzie. A Dominik wciąż jakiś oporny i nieposłuszny...

I właściwie co szkodzi spróbować?

Rozdarta chwilowo pomiędzy troską o przyszłą zieleń a kuszeniem męża, Bożenka odruchowo obeszła kępy jałowców i ostrokrzewów i rzuciła okiem w stronę zachwalanego przez Majkę kawałka. I zatrzymała się tak, że Majka wpadła jej na plecy.

– Rany boskie...

Majka też spojrzała. Nie wydawała okrzyków, tylko chwyciła komórkę, przytknęła, gdzieś tam coś w środku zdążyło pobłogosławić jej trudne językowo dzieciństwo. Harald odezwał się prawie od razu.

– Gdzie jesteś... a, widzę cię, idź ostrożnie przed siebie i trochę w prawo, za to wzniesienie i krzaki. Skradaj się, obiekt przed tobą, jak na zamówienie! Natychmiast! Już!!! Ona zaczyna się rozbierać!!!

Bożenka przenikliwego szeptu po szwedzku nie zrozumiała, rzuciła zniesmaczonym okiem na Majkę i wróciła do widoku przed sobą.

Harald obarczony był sprzętem mocno urozmaiconym i cholernie ciężkim, rąk posiadał tylko dwie, nie zdołał zatem przedrzeć się przez zarośla bezszmerowo. Kręcidupcia, zajęta chęcią upiększenia najcenniejszego fragmentu swojej anatomii, usłyszała szelesty za plecami, ale nie przejęła się nimi, wiedziała, że gdzieś w tamtej stronie terenu przebywa Dominik. Wahała się jeszcze. Wierzchnie części garderoby zaczęły z niej już powoli spływać, zatrzymywała je, może i zrezygnowałaby chwilowo z próby, gdyby nie to, że nagle gdzieś w oddali,

w stronie aktualnej bramy wjazdowej, szklarni i starej chałupy, wybuchło okropnie hałaśliwe zamieszanie. Ktoś wrzeszczał, coś huknęło, zagrzmiała awantura na dwadzieścia cztery fajerki i nieoczekiwanie ucichła, jakby szlag trafił prąd elektryczny w dyskotecę. Pozostał gwar bardzo nerwowy i niespokojny, ale już cichszy, można powiedzieć ludzki, a nie młodzieżowy. Co nie przeszkadzało, że od razu zewsząd ruszyły w tamtym kierunku liczne jednostki, rozproszone dotychczas po całym terenie.

Kręcidupcia ledwo spojrzała w stronę hałasów i nagle podjęła decyzję. Dookoła zrobiło się pusto, uznała to za okazję. Otrząsnęła z siebie ostatnie, zbędne fragmenty odzieży, na szczęście nieliczne, i przystąpiła do kontaktu z ciepłym słońcem. One, te dwie, coś mówiły, że najlepiej opalać się w ruchu. Na szelesty już się nawet drugi raz nie obejrzała, zadziałał w niej odruch.

W Haraldzie, fachowcu, też zadziałał odruch. Wykorzystać każdy ułamek sekundy!

Bożenka i Majka przez chwilę trwały w rozterce, coś niepokojącego nastąpiło przy bramie, usiłowały to dojrzeć, ale prawie kilometr rozmaitych przeszkód uniemożliwiał rozpoznanie. Wahały się krótko, cokolwiek tam się stało, nie uciekną, zdążą to zobaczyć, a Kręcidupcia dawała przedstawienie jedyne w swoim rodzaju. Ponadto Majka nie była w stanie zostawić Haralda własnemu losowi, Szwed nie Szwed, w każdym razie mężczyzna, kto go tam wie, jak zareaguje, może zaskoczyć...

– Ona ćwicz? – bąknęła lekko oszołomiona, wpatrzona w roznegliżowaną nimfę Bożenka. – Tak dla wprawy, czy ma tam jakąś widownię? Bo chyba nie Dominik, bardzo cię przepraszam?

– Proszę. Nie Dominik, ale też facet. Nie widać go stąd, a odległość nie gra roli dla niego.

– Zdjęcia...?

– Coś w tym rodzaju. Cicho! Spotkał mnie cud. Gdyby się jeszcze obejrzała i pokazała mu tę swoją owczą gębę...!

W tym momencie cud zarepetował, Haraldowi wypsnęła się z kieszeni komórka i upadła w przemarzną, skłębioną trawę. Podnosząc ją pośpiesznie, potknął się, wlaźł na suche patyki, zatrzeszczały krzaki i Kręcidupcia jednak odwróciła głowę z nadzieją na upragnioną widownię w osobie Dominika. Haralda nie dostrzegła, wzruszyła ramionami i urozmaiciła gimnastykę, wciąż pamiętna podsłuchanych słów o tym opalaniu się w ruchu.

Nie trwało to długo. Pierwsze dni marca upałami nie grzeszą, a jednorodność wysiłków słabo rozgrzewała, o ile można tu było w ogóle doszukać się wysiłków.

– Hej! – zawołał z odległości Harald, nie krępując się obecnością modelki. – Ona już się ubiera! Mnie to wystarczy, nie wiem jak tobie?

– Jestem absolutnie zachwycona! – odkrzyknęła Majka nieco ciszej. – To nawet więcej niż się mogłam spodziewać! Zbieraj klamoty i wracaj!

– Ty, tam się coś stało – zwróciła jej uwagę Bożenka, oprzytomniała po spektaklu i nieco zaniepokojona. Oderwała od gruntu nogi, przez długą chwilę przyrośnięte. – Otumań mi ta wredna lafirynda. Lepiej chodźmy zobaczyć.

– Czekać, muszę uporządkować Haralda. Ma co trzeba, może wracać do domu i brać się do roboty. Bym pojechała razem z nim, ale jeszcze za wcześnie, po co ja tu w ogóle idę, wracam do niego, potem będę w domu ze względu na flaki...

Bożenka przestała słuchać gadania, któremu euforia Majki odbierała pełną zrozumiałość. Machnęła ręką i przyśpieszyła kroku. Majka zawróciła ku Haraldowi, nie mając pojęcia, ile przez to traci i jak wiele zyskuje.

Przed bramą działy się jakieś dziwne i straszne rzeczy, którym bezwzględnie powinien towarzyszyć wrzask. Wściekłe ryki, obelgi, wymyślania, zgiełk wręcz bitewny, tymczasem owszem, bili się chyba nawet i szarpali, ale półgłosem. Najczęściej powtarzane słowa, jakie dawały się słyszeć z daleka, to – Cicho! Cicho!!! Ciszka, do jasnej cholery! Cicho! Stul dziób!!!

Dziwne, doprawdy.

Przyjazna dla Majki aura Kaziowi i Zygmuśowi wyrządziła ciężką krzywdę. Teraz już fundament pod barak dla personelu technicznego czyszczony był ręcznie, łopatom, wywrotki z gruzem czekały swojej kolejki, legary podłogowe spoczywały obok, reszta elementów budowlanych aż się trzęsła z niecierpliwości, a na skraju wyłazącego z ziemi budynku trząsał się ze zdenerwowania Zygmuś. I syczał. Tym sykiem usiłował powstrzymać przesadny zapach Kazia do pracy. Ich skarb znajdował się tuż pod samą powierzchnią, każde odgarnięcie garstki ziemi mogło ukazać go niepowołanym oczom. Do diabła, gdyby chociaż było tu pusto, gdyby zostali sami, a niechby nawet ze strażnikiem i psem, człowiek i zwierzę już się im przyjrzeni, zaakceptowali ich nawet...

No tak, jak niefart, to niefart. Pracowity dotychczas Kazio robił co mógł i paskudził ile zdołał, ale z nadgorliwości przedobrzył. Omijając trefne miejsce, oddalił się zbyt od niego i padło na kopacza postronnego. Pomocnik murarski to był, odwalał robotę rzetelnie, też się niecierpliwił, bo ich grupa miała zaizolować fundament i parter podciągnąć, front robót przyjemny, a na akord robili, więc im szybciej i więcej, tym lepiej. Szczególnie, iż pieczołowitość niepotrzebna, bo obiekt obliczony na dwa lata, a nie na całe wieki. Szurnał łopata aż miło i wydał okrzyk: – O rany! Coś tu jest!

Schylił się i sięgnął ręką.

Tego było za wiele Zygmusiowi. Kaziowi nie, Kazio tylko zdrętwiał i zamarł, ale jestestwem Zygmuta szarpały nieprzyjemności dodatkowe, pamiątki po strzale goiły się, swędząc przy tym wściekle i piekąc, nie zdążył opanować reakcji. Dziki szalenciec wystartował zniemacka na pomocnika murarskiego, który prostował się właśnie, w jednej dłoni dzierżąc łopatę, w drugiej zaś olbrzymią, rekordowych rozmiarów cebulę cesarskiej korony.

Obecność cebuli ozdobnego kwiecia, zapomnianej w urodzajnej ziemi ogrodniczej nie stanowiła żadnej wielkiej niespodzianki, zdumienie wzbudziła tylko jej wielkość. Jeszcze większe zdumienie wzbudził niespodziewany atak na znalazcę. W bitwie, wybuchłej w mgnieniu oka, wzięło udział sześć osób, z których cztery nie miały pojęcia, o co walczą, z kim i dlaczego, szranki mieściły się na terenie byłej szklarni, sześć par obuwia wspomaganego narzędziami ogrodniczymi wierzgało i rozkopywało miękką ziemię znacznie sprawniej niż stado głodnych dzików, no i błyskawicznie ujawnił się łup, w najmniejszym stopniu niepodobny do okazów przyrody.

Kto pierwszy chwycił do ręki potężną spluwę, wypadłą z poszarpanego foliowego opakowania, kto ją odbezpieczył i rąbnął, nie zdołano dojść nigdy. Na szczęście w żadną żywą istotę nie trafił, bitwa zaś nabrała charakteru zdecydowanego. Walczono mianowicie o broń palną, której ujawniło się akurat sześć sztuk, z czego dwie ewidentnie śmiertelne, cztery zaś nieco mniej mordercze. Wiatrówki. Oraz mnóstwo naboju, niepasujących prawie do niczego.

Główny kierownik budowy całego obiektu przypadkowo znajdował się na miejscu i o mało go szlag nie trafił. Wreszcie udało mu się osiągnąć sukces, po wnikliwym badaniu znalazł drobny błąd w urzędowych dokumentach i mógł go wykorzystać. Wreszcie ruszyć z robotą, omijając

biurokratyczną kołomyję, inwentaryzację terenu i jego zabudowań sporządzał jakiś niedouczony kretyn, rąbnął się, pomylił miejsce i wedle dokumentacji ta cała szklarnia w ogóle stała. W dodatku nosiła nazwę budynku gospodarczego, wprost idealnie, stawiał wszak budynek gospodarczy i musiał tylko uczynić to błyskawicznie, żeby nikt go na robocie nie złapał.

Z gotowych elementów! W trzy dni to mogło stanąć pod dachem! A do drobnego remontu w środku nikt się nie ma prawa przyczepić, inwestor może sobie nawet chlewnię wyklądać złotą mozaiką!

I oczywiście te matoly tutaj musiały z taką zadymą wyskoczyć, słyhać ich było chyba w Portugalii, broń znaleźli, jakieś stare kopyta, no to co z tego, który debil z tego wystrzelił i jakim cudem, a choćby i czołg znaleźli i bombę jądrową, niech zamkną przynajmniej te swoje baranie pyski, niech się tłuką w milczeniu! Jeśli tu ktoś nadleci, on sam osobiście pozabija wszystkich!!!

Z osób postronnych nie nadleciał szczęśliwie nikt, energicznym krokiem nadeszła tylko Bożenka, za nią pojawiła się nadąsana Kręcidupcia, powitana przez Zdzisia niczym zjawa niebiańska, upragniona, ale nieco denerwująca. Krótka wymiana zdań wyjaśniła sprawę, Kręcidupcia, zajęta kwestią opalania, zapomniała, po co się tu znajduje i cały swój służbowy ciężar zostawiła wśród jałowców, tarnin i ostrokrzewów. Zdzisiowi niestety był potrzebny, miał tu obok siebie specjalistę od wód kapryśnych i ozdobnych, który bardzo się śpieszył...

Kręcidupcia z urazą wzruszyła ramionami i zawróciła. Specjalista popatrzył za nią i nagle przestał się śpieszyć. Przez bardzo długą chwilę nie upierał się przy szybszym omówieniu sprawy.

Zamieszanie trwało nadal. Walki w szrankach co prawda uległy zakończeniu, bo kuszące łupy znikły z chciwych oczu, zgarnięte przez

rozwścieczonego kierownika budowy do skrzynki po armaturach sanitarnych, a trudno bić się o coś, czego nie ma, ale w ziemi grzebano nadal, poszukując naboju. W pudełkach były i w foliowych torebkach, dość niedbale zapakowane, trochę tego poniewierało się luzem, wygrzebano przy okazji krótkie, półmetrowe kawałki drutu kolczastego, które czyjaś ręka zgarnęła i ładnie ułożyła na kilku blokach pianobetonu, służących chwilowo jako siedzisko. Naboje kierownik też zabrał.

Nawet nie próbował dociekać, skąd w szklarniowej ziemi wziął się ów idiotyczny arsenał. Interwencja stosownych władz wstrzymałaby mu roboty gwarantowanie i na bank, nie zamierzał się na to narażać. Szantażu też sobie nie życzył.

– Władziu, weź te śmieci do wozu – rzekł bardzo głośno do swojego kierowcy. – Cztery wiatróvky i dwie spluwy, w tym jeden obrzyn, a jedno cholera wie co, chyba produkcja chałupnicza jeszcze z wojny. Wszyscy widzą. Pigułki też oddawać, liczyć nie będziemy, na wagę... Dawać tu pełną cegłę!

Dzięki znajomości ciężaru cegły pełnej, bez trudu stwierdzono, iż wszystkie ujawnione naboje ważą razem trzy i pół kilograma.

– I wszystko pójdzie na glinowo natychmiast, jak tu się dach położy. Mnie wychodzi przyszły poniedziałek – zakończył swoją przemowę kierownik bardzo zimnym i złym głosem. – A w ogóle połowa to ślepaki.

I wcale nie musiał dodawać, że kto kłapnie pyskiem przedwcześnie, marne jego widoki. To się rozumiało samo przez się.

Cebulą cesarskiej korony zawładnęła Bożenka. Nikt nie zgłaszał sprzeciwu, aczkolwiek Zygmus...

* * *

Nie był aż takim kretynem, żeby nie zdawać sobie sprawy, że sam rozpoczął całe widowisko. Nie strzymał, no, poniosło go strasznie. Pies z kulawą nogą nie odgadłby, że mają z tym wykopaliskiem cokolwiek wspólnego, gdyby nie skoczył. I jeszcze próbował wyrwać mu tę bułę z ręki...

– No coś ty, to jak czyste złoto! – zaprotestował Kazio ze zdumiewającą bystrością. – Wszyscy uwierzyli na mur, że ty taki kwiaciarz, znaczy ten, no, roślinożerca, znaczy tę bulwę chcesz i takiego szału dostałeś. Słowa o żelastwie nie było!

– Cud, że Grzeška nie było – mruknął Zygmus.

– Grzesiek nic nie wie i w życiu się nie dowie, coś ty, a ktoś tu kogoś wykantował. Naboje nie pasują? Tak mówili, nie?

– W dupie mam naboje. I tak nam wszystko szlag trafił.

Kazio doznał silnej ulgi, do czego za skarby świata by się nie przyznał. Tak naprawdę wcale nie chciał nikogo napadać, grozić bronią, a nawet, nie daj Boże strzelać. Ukraść to owszem, chętnie, ale nie w takiej scenerii! To Zygmus grawitował ku brutalnemu bandziorstwu... no nie, brutalnemu nie, miało być elegancko. Przeprowadzić rozpoznanie, wedrzeć się, pogrozić, może kropnąć w powietrze, zgarnąć kasę i spadać, już nas nie ma. I nie byle komu, żadni tam zwyczajni ludzie, wystraszone ekspedientki, kasjerki, kioskarze, nic z tych rzeczy. Wyłącznie łapówkarze! Te chciwce są najbogatsze, a nikt nie płaci łapówki przelewem, z rączki do rączki to idzie, gotóweczką!

Owszem, ten pomysł Kaziowi się spodobał i dlatego bardzo pochwalił Zygmuta, kiedy podwędził własnemu bratu połowę łupu, nabytego od ruskich już długo po likwidacji bazaru. Grzesiek się połapał, że mu ktoś zwinął towar, ale na Zygmuta nie padło, a Grzeška proszę, ruskie wyrolowały, chociaż taki mądry podobno. Za prawdziwe spluwy płacił,

dziwnie tanio wprawdzie, okazja jak rzadko, ale był przekonany, że oni tak z pośpiechu, bo już im gliny na karku siedziały. A do tego jeszcze naboje ni przypiął, ni wypiął!

Teraz to już właściwie wszystko jedno, skoro zdobycz diabli wzięli. A taka ta szklarnia wydawała się bezpieczna...!

– A w ogóle, to gdzie on jest? Grzesiek, znaczy.

Zygmuś wzruszył ramionami.

– Coś gadał, że go telewizja wzięła za takiego, no, statystę. Bandziory im potrzebne, ale nie tępe, tylko bystrzaki.

– To już swoich aktorów nie mają? – zdziwił się Kazio.

Zygmuś ponownie wzruszył ramionami, starannie kryjąc zawiść.

– Aktorom to trzeba płacić, nie? A taki z ulicy za byle gównem polecą, żeby tylko mordę pokazać. Gdzieś tam podobnie kręcą kawałki za Białymstokiem, Grześka wzięli i jeszcze ze dwóch, a reszta tamtejsze, miejscowe. Tyle naszego farty, bo jakby tu był, to ja tam nie wiem. On ma psi węch.

– Grunt, że na nas całkiem nie padło – rzekł Kazio pocieszająco. – Twoja zasługa.

– Drugi raz trzeba będzie się starać – mruknął Zygmus z goryczą.

Dotarli już do jego domu, zastali pustkę, co im akurat bardzo odpowiadało, a także zdumiewającą ilość zamrożonego pożywienia w lodówce, co im odpowiadało jeszcze bardziej. Zygmus umościł się wygodnie na miękkim podłożu i pogonił Kazia do roboty, bo to zamrożone należało podgrzać. Kazio umiał, zakrzętnął się gorliwie.

– Wpieniło mnie na ciebie w pierwszej chwili – powiadomił go Zygmus ponuro. – Jak tam polazłeś dalej, a tu zaczął grzebać ten, jak mu tam, Tadzio...

– Teoś.

– Teoś? Może być. Machał jak wiatrak, już było widać, że się dokopie. Wolałem, żebyś ty, ale teraz widzę, że gówno by nam z tego przyszło. A w dodatku i tak cholera wie, z czym ten ich główny by wyskoczył, bo mordę miał jak wściekły wampir albo i gorzej, gdyby ta dziumdzia nie zaczęła wrzeszczeć. Bo do odjazdu wcale się nie zabierał.

Kazio pomieszał coś w garnku i zmniejszył gaz.

– A poniosło cię gdzieś i już cię nie widziałem...?

– Zmyłem się, żeby nie było, że siedzę i nic nie robię. Zasłonili mi, nie wiem co tam było. O co jej poszło?

– No właśnie, bzdet jakiś. Ty tam byłeś bliżej, faktycznie wygrzebali drut kolczasty?

Zygmuś się zastanowił.

– A był, dlaczego nie. Jak już trochę zelżało, takie kawałki pod nogami się pętały, o, to dlatego podarło nasze torby i wszystko się rozpirzyło. Ale nie wiem co dalej.

– Tego to i ja nie wiem. Ktoś chyba druty na blokach położył, na tym suporeksie. I zaraz potem facetka na tym usiadła.

– Nie widziała, na czym siada? – zgorszył się Zygmus. – Czarne na białym! Ty, tam ci się przypała.

Kazio czym prędzej rzucił się do garnka.

– Nie, to tak od dna, zaraz dojdzie. Mnie się zdaje, że było czymś przykryte. Też mi zasłaniali, motali się jak takie kłęby. Ale słabo usiadła, bo jeden ją złapał. Trochę się tylko dziubnęła.

– No, wrzasnęła super – pochwalił Zygmus. – Już im wywietrzało ze łba szukanie tego, co tam pukawki zakopał. A swoją drogą to jakaś niefartowna budowa, co i raz to komuś tyłek rujnuje...

* * *

– No i żałuj, że wcześniej odjechałaś, bo ja odżalować nie mogę – rzekła z ciężkim wyrzutem Bożenka, siadając za stołem Majki. – Jak ta sirota zostałam przy takich sensacjach i nic z nich nie rozumiem. Wspólnymi siłami byłoby łatwiej. A gdzie twój Szwed?

Majka zdążyła już zgarnąć ze stołu niepotrzebne naczynia, postawiła tacę z całą zawartością na kredensie i wyjęła nowe szklanki.

– Nie chce mi się teraz sprzątać. Zeżarł flaki i pojechał, dopiero co wyszedł, ma samolot, dziś wieczorem będzie w domu. Słuchaj, on jest genialny! Nie dałam mu flaków!

– Chcę herbaty – powiedziała Bożenka, nie czekając na głupie pytania. – Zaraz, czekaj. Skoro mu nie dałaś, to jak zeżarł? Sam ci grzebał w lodówce?

– Do domu mu nie dałam. Ani na drogę. Na moje flaki musi przyjeżdżać tu, i nima letko! Ja z tym całym nabojem do nich nie pojedę, pół samolotu by zajęło, dopiero jak skończę. Nagram całość, tam odtworzę i złapiemy się za robotę. On jest podwójnie genialny!

Majka promieniała tak, że Bożenką niemal wstrząsnęło. Przyjrzała się jej podejrzliwie. Nie, nie zakochała się w tym Haraldzie bez względu na jego zęby, promieniała zawodowo, najwidoczniej złapał jej myśl i zachwycił się koncepcją, praca ich połączyła węzłem gordyjskim, nie zaś płęć. No i te flaki. Płci mogli nie mieć wcale.

Znała flaki Majki i uważała je za arcydzieło. Pochwaliła racjonalną powściągliwość.

– Ale jak będziesz jechała z tą całością, weźmiesz chyba ze sobą?

– No pewnie. Zamrozę przyprawione, żeby już mieć z głowy. Czekaj, tu mamy takie coś z marcepanem, Harald przywiózł z grzeczności, bo było wiadomo, że do ust nawet nie zdążymy wziąć. To w ogóle duńskie. Całkiem niezłe.

Usiadły wreszcie nad herbatą i marcepanowymi ciasteczkami. Bożence smakowały, zatroskała się, czy dzieci Majki nie będą pokrzywdzone.

– No coś ty. On ma rozmach, jak już coś robi, to nie skąpi, trzy pudła przywiózł. Dlatego tak niebiańsko jest z nim pracować, złapał teraz przynętę i nie popuści. Jestem zachwycona!

– To widać. Ja nie.

Majka się zaniepokoiła.

– Bo co? Zdziś się w końcu wygłupił?

– E tam, Zdziś! No dobrze, mogę być zachwycona w połowie, wodę mam zafiksowaną, za to z całego dalszego ciągu nic nie rozumiem. To zamieszanie, co tam tego... Niczego nie zauważyłaś?

– Kto tak powiedział? Popatrzyliśmy obydwójce z Haraldem, on się zainteresował bardziej niż ja, ale nie mieliśmy czasu. Cały materiał trzeba było przejrzeć... – Majka znów zaczęła rozkwitać i wydzielać z siebie blask wewnętrzny. – A było pewne, że on flakom nie popuści, więc go pogoniłam, do diabła z awanturą, zresztą liczyłam, że od ciebie się dowiem...

– O, rzeczywiście! – prychnęła gniewnie Bożenka.

– Cały czas tu siedzieliśmy przy obu komputerach, nie było kiedy się w tyłek podrapać, a żarło poszło dopiero na deser...

– Dziw, że się nie udławił.

– Niewiele mu brakowało. Ale setę kropnął...

– Gliny go nie złapały?

– Nie, gdyby złapały, już bym miała telefon. Czekać, zadzwonię na wszelki wypadek. Jak chcesz, to dorób nam jeszcze herbaty, esencja w kuchni stoi, w małym czajniczku...

Bożenka była trochę zła, trochę zdezorientowana, mocno zaciekawiona, zniecierpliwiona, ale nie leniwa. Herbatę załatwiła bardzo chętnie, przy

okazji wynosząc do kuchni tacę z kredensu.

– Ma zasięg, chociaż już leci – poinformowała ją Majka. – Wystartowali przed kwadransem. Nic go nie złapało, nie zdążył oddać samochodu, tragarz mu to załatwił i jest szczęśliwy. Harald, nie tragarz. Chociaż tragarz chyba też.

– Jak znam życie, z pewnością – zaopiniowała filozoficznie Bożenka. – Słuchaj, czy one są bardzo tuczące? Bo jakoś łatwo wchodzą w człowieka.

– Codziennie takie pudełko owszem. Dwa razy do roku nie. Nawet gdybyś zeżarła wszystkie, ale sama widzisz, że ci pomagam. Powiesz wreszcie, co ci tam nie pasowało, czy będziemy czekać do jutra?

– Nic mi nie pasowało – sarknęła gniewnie Bożenka i wybrała sobie następne ciasteczko. – O rany, jeszcze jest druga warstwa? No to już się nie martwię o twoje dzieci. Słyszałaś, jak ta dziewczucha gębę rozdarła?

Majka znieruchomiała z marcepanem prawie w zębach.

– Ach...! Więc jednak? Tak mi się wydawało, ale w tym rejwachu i z daleka nie byłam pewna, myślałam, że się mylę?

Błysk w jej oku sprawił, że Bożenka natychmiast popadła w zgryźliwość.

– Jeśli masz nadzieję, że to purchla skrętna, mylisz się owszem, całkowicie. To była... zaraz... powiem ci po kolei, bo może przy okazji sama sobie uporządkuję. Przyszłam, paru się tłukło w szklarni, tam już niewiele ziemi zostało, nie będę rozgraniczać, co widziałam po drodze, a co już na miejscu, bo po drodze, a już byłam dość blisko i dobrze widziałam, jeden się schylił, coś krzyknął i coś podniósł. Na to drugi, on siedział, nie kopał, poderwał się jak wystrzelony i rzucił się na niego, chyba sobie to wrywali i lali się po mordzie, z tym, że w lanie po mordzie włączyło się jeszcze dwóch albo trzech, trudno ich było policzyć, bo strasznie wierzgali...

– Liczyłaś nogi? – zdziwiła się Majka poprzez marcepan.

– Nie, ale ziemia przeskadzała. To czarnoziem ogrodniczy, miękki, łatwo leci. Nie przemarzył. Wykonawca główny się wtrącił, akurat był, nawet nie wiedziałam, i jak obłąkany zaczął wszystkich uciszać, cisza i cisza, nic więcej, pozabijajcie się, byle tylko bez hałasu. Pod nogami im rzęgotało, tak z boku byłam, ale widziałam, spluwy z tej ziemi wygrzebywali, wyobrażasz sobie? Kopyta takie wielkie, pistolety, nie rewolwery, ja rozróżniam na oko. Jeszcze jakieś śmieci, ale ja się pchałam do tego czegoś pierwszego, bo mnie tknęło, dopchałam się i masz pojęcie, co to było? I jest, mam to! Słuchaj, takiej cebuli cesarskiej korony w życiu jeszcze nie widziałam, mutant chyba i rozmnożona! Cztery nowe sztuki robi, pięć będzie, zabrałam im i ja to wyhoduję własną ręką!!!

Teraz Bożenka nagle rozkwitła i omal się nie udławiła kolejnym marcepankiem. Majka nie omieszkała skorzystać z okazji.

– To już jesteś zadowolona więcej niż pół – wytknęła. – Pół załatwia woda, cebula najmarniej ćwierć. Razem trzy czwarte.

Bożenka zastanowiła się uczciwie, nie gasząc blasku na obliczu.

– Masz rację, trzy czwarte, niech będzie. Ale ta ostatnia jedna czwarta mnie ogłupia. Jak tak wierzgali i grzebali, jestem pewna, że widziałam kawałki drutu. Kolczastego. Nawet mało przerdzewiały. Takie półmetrowe, też powyciągali, nagle okazało się, że ktoś ułożył na blokach siporeksu obok, nie wiem kto, bo tam się wszystko kotłowało, a ludzi było najmarniej ze dwa tuziny, w oczach migało, to były takie migawkowe spostrzeżenia. Nagle okazało się, że przylazła Kręcidupcia, dokumentację Zdzisiowi w ręce pchała, ja tej cebuli pilnowałam, na siporeksie, też mi tak jakoś mignęło, leżały odbitki terenu luzem, możliwe, że Zdziś z tym swoim hydrogeo oglądał, ale za to głowy nie dam, sekretarka, no ta, pisarz budowy, jak jej...

– Pani Ada?

– O, właśnie, Ada! Ale ona już wcześniej mignęła i znikła z oczu. Trwało to wszystko dłużej niż ci mówię, burdel aż kwiczał z radości, tyle że cicho. I nagle facetka wrzasnęła strasznie, tyłem stałam i cebulę już miałam w rękach, ale zdążyłam rzucić okiem. Ona prawie z impetem usiadła na tych odbitkach, na siporeksie, czekaj, nie żeby dla odpoczynku, tylko teczki miała w rękach, wylatywały jej spod pachy, chciała chyba jakoś uporządkować na kolanach. A pod odbitkami był drut kolczasty. I złapał ją ten hydrogeo Zdzisia, on chyba pamiętał ten drut...

– W oczach miał!

– W oczach. Dopiero co oglądali i w oczach mu zostało.

– Pomyśleć chyba nie zdążył...?

– Głowę daję, że nie. To instynkt. Takie zwierzęce.

Przez bardzo krótką chwilę rozważały osobowość specjalisty od wód dzikich i ozdobnych, zwierzęcego instynktu nie było powodu mu żałować, mógł mieć ile chciał. Ważniejsze rzeczy zaczynały tu wchodzić w grę.

– No dobrze, już rozumiem – powiedziała Majka niecierpliwie. – Widzę te obrazy. Mów dalej. Dziabnęło ją?

Bożenka pokiwała i pokręciła głową.

– Lekko. Nie tak, jak by mogło. Ukłuło, mnie się wydaje. Krew z niej strumieniami nie sikała, ale jestem pewna, że w domu parę plasterków na tyłku musiała sobie przykleić. No i właśnie od tej chwili ja przestaję rozumieć cokolwiek. Chociaż i samego początku tak samo nie rozumiem.

– Rozumiem, że nie rozumiesz i też przestaję rozumieć – wyznała Majka i podniosła się od stołu. – To trzeba naprawdę poważnie rozważyć. Czekaj, coś tam zrobię, żeby już nie przeszkadzało...

W tym momencie wróciły dzieci, jedno po drugim, ale prawie równocześnie.

– Mnie nazarli – oznajmił od progu Tomek. – Nie chcę kolacji. Znaczy, dziękuję. Tylko deser był jakiś taki nie bardzo. Mnie się zdaje, że kasza niby na słodko, ale z trocinami.

Majka zgadła od razu.

– A co, przyjechała Marlenka?

– No. I robiła eksperyment.

Marlenka, najstarsza siostra kumpla Tomka, szalała w technikum gastronomicznym w Białymstoku. W planach miała zawojowanie Europy historycznymi smakami bliskiego wschodu i swoje pomysły testowała na rodzinie, dość często przyjeżdżając. Bez wątpienia na tapecie była kutia i Majka nie czuła się zdziwiona.

Wkroczyła Krysia, ale nie zdążyła się odezwać.

– Więc jakby było coś wyraźnego – kontynuował Tomek – to ja bym się załapał. A ten jakiś co tu był, to gdzie on jest?

– Już pojechał do siebie. To Szwed.

– Och! – jęknęła Krysia z tak głębokim żalem, że nie można było tego nie zauważyć.

Tomek ją poparł.

– O, jak to? Tak na chwilę był? I już nie przyjedzie?

– A on wam na co? – zdziwiła się Majka.

Dzieci nie widziały powodu, żeby ukrywać poglądy.

– Bo tak śmiesznie to jeszcze z nikim nie pracowałaś. Nam się podobało.

– No... I on sam krzyczał, że fajnie, fajnie. Kto powiedział, że on nie mówi po polsku?

– Też mu się podobało, nie?

– A jak on się nazywa?

Pytania padały równocześnie. Bożenka, zainteresowana dziećmi z racji planów własnych, stała w przejściu między kuchnią a jadalnią.

– Harald Sinozęby – oznajmiła grobowo.

No i tu nastąpił koniec normalności. Nie ulega wątpliwości, że wykład historyczny w wykonaniu Majki trwałby do rana, a Bożenka rwałaby włosy z głowy, gdyby nie rozrzutność Haralda. Marcepanowym deserem dzieci dały się przekupić i na wyjaśniające szczegóły zgodziły poczekać do jutra, ale ani sekundy dłużej. Harald o dowolnych zębach zagościł w ich jestestwie na mur.

I też, rzecz jasna, efekty Majce nie zaświtały w głowie, a dzieci, wiedzione instynktem i marcepanem, zajęły się sobą. Do matki miały zaufanie. Trupem padnie, a o tych zębach jutro opowie.

– Jednak, mimo wszystko, jestem zdecydowana na dziecko – oznajmiła Bożenka, siadając już wraz z Majką w salonowej części mieszkania. – Na twoim przykładzie widzę, że z nimi można się dogadać. Tylko... czy ta historia jest niezbędna?

– A co, nie lubisz historii?

– Jakoś ona do mnie nie przemówiła...

– Bo szkoły tylko wojnami operują. Ale geologia też nieźła – pocieszyła zmartwioną Bożenkę Majka. – Jeśli człowiek raz w życiu zobaczy porządną grootę ametystową...

– Nie strasz mnie. Można wiedzieć, gdzie mam znaleźć porządną grootę ametystową?

– W Brazylii. I w Paryżu, na ulicy Mazariniego. Jedna taka mi mówiła, a ja jej wierzę. Może wrócimy do tematu.

Bożenka westchnęła i spróbowała trochę zimnego chablis. Z Januszem już się umówiła, nie pójdzie spać, tylko poczeka na jej telefon i przyjedzie po nią. Noga mu przechodzi i sprzęgło może już deptać. W końcu żona do czegoś zobowiązuje.

– Zapomniałam, na czym stałam. A, już wiem. Obie nic nie rozumiemy.

Majka kiwnęła głową.

– Zauważyłaś, kto położył odbitki na drutach?

– Trudno uwierzyć, ale ten, kto trzymał je w rękach. Albo Zdziś, albo Kręcidupcia.

– Dwie sztuki absolutnie wykluczone. Nad każdą inną osobą można by się zastanowić. Bo o ile wiem, do tej Ady nikt nie ma cienia pretensji.

– Pretensji, puknij się! Ona jest wszystkim, sekretarką, pisarzem budowy, opieką socjalną robotników, personalną, nie wiem kim jeszcze, zmienia budowy i wszystko ma w małym palcu! Własnej szczotki do zębów tak nie znajdę, jak ona znajdzie każdy papier, po który ktoś przyjdzie! To perła!

– No więc zamach na nią odpada. Zamach powinien być na Kręcidupcię. Bożenka obejrzała najpierw kieliszek z napojem, a potem Majkę.

– I tego zamachu powinnaś dokonać ty. A ciebie tam kompletnie nie było. To jak ja mogę cokolwiek rozumieć?

Majka zrobiła to samo co Bożenka, z tym, że dłużej oglądała kieliszek.

– A kto w ogóle był? Potrafisz sobie przypomnieć tych ludzi?

Bożenka odstawiła kieliszek i zaczęła liczyć na palcach.

– Zdziś. Ten z hydrogeo. Czterech albo pięciu facetów od murarzy, cieśli i niewykwalifikowanych, jeden jakiś kulawy. Ochroniarz z psem...

– A pies co?

– Nic. Najspokojniejsza żywa istota to był pies. Siedział, patrzył i słowa nie mówił. Ochroniarz się wahał, w mordobiciu udziału nie brał, w grzebaniu w ziemi owszem, później. Czekał, bo nadlecieli przede mną i po mnie. Pomocnik Zdzisia, ten asystent. O, Stefan był, Paweł, Elżbieta i Dominik, ale oni obydwój na końcu. Anusia z Luizą, Luiza wcześniej

robiła zdjęcia, to wiem. Tłum ludzi, wszystkich nie znam... Ale rysunki na tych drutach to coraz bardziej jestem pewna, że ona sama położyła!

Majka kręciła głową.

– Zamach na samą siebie musimy wykluczyć – westchnęła. – Zatem był to jakiś zupełnie idiotyczny przypadek.

Bożence wino przysporzyło natchnienia.

– Pół przypadku – zaopiniowała stanowczo. – Teraz mi jakoś rozum wraca, ten magazyn broni to jedno. Ktoś kiedyś tam sobie zakopał ulubione zabawki. Ale co ma wspólnego zwykła spluwa z drutem kolczastym? Ktoś drugi przyniósł i zagrzebał drut. I coś mi mówi, że nie bez powodu. Ja też mam instynkt zwierzęcy i tak mi się widzi, że chciał mieć pod ręką na wszelki wypadek...

Popatrzyły na siebie.

– Nie ty? – upewniła się Bożenka.

– Nie. Nie przyszło mi do głowy. I nie miałam ostatnio kontaktu z drutem kolczastym.

– Nie podoba mi się to wcale. Wredna pijawka ma ślepy fart, może byś ruszyła czymś, głową albo czymkolwiek!

Majka ruszyła głową. Znów pokręciła nią bardzo stanowczo i trochę tajemniczo.

– Ja już mam inną myśl i kicham na drut. Poza tym nie mam ani sekundy czasu, za trzy tygodnie w Sztokholmie otwierają wystawy. Mam osiem dni na całkowite skończenie projektu, a potem tydzień na robotę u nich. Harald będzie... zaraz... – rozejrzała się, sięgnęła za komputer, wyciągnęła kalendarz biurowy – w czwartek. Musimy mieć wszystko dopasowane, mam nadzieję, że on zdąży, ma trudniejsze niż ja. Bardzo liczę na flaki... A Kręcidupcia niech się na razie powiesi. Ale...! A Dominik co? Nie miał żadnego skojarzenia przy tym drucie kolczastym i pechowej Adzie?

– Chyba nie miał – zastanowiła się Bożenka i odrobinę wypogodniała. – Mówiłam ci, obydwójce z Elżbietą przyszli ostatni i zajmowały ich wyłącznie fundamenty pod coś tam na samym końcu. Uzgadniali wyliczenia. I potem odjechali razem ze Stefanem i Pawłem, mam wrażenie, że Dominik ogólnie był zły, a Kręcidupci Zdziś ani na chwilę z ręki nie wypuścił. Służbowo. Nadęta była.

– No popatrz i nawet tym nie mam czasu się zająć. Chyba że ty... Jak się czegoś dowiesz od Anusi, to mnie zawiadom...

* * *

Dominik rzeczywiście był zły, wrażenie Bożenka odniosła trafne. Zły, to za mało powiedziane, prywatnie był wściekły i tylko sukcesy zawodowe utrzymywały go w pionie.

Sukcesy prezentowały się potężnie i musiał wprawdzie chwilowo naruszyć ten wstrętny, zamrożony, nietykalny zaliczkowy fundusz, bo Majka, mimo mrozów, nie zadbała ani o zimową kurtkę, ani o nowy sweter, aczkolwiek stary już się rozleciał, ani o przyzwoite rękawiczki, ani w ogóle o nic, ale zaświtała mu nadzieja, że jednak nie będzie musiał sprzedawać ukochanego pojazdu. Od Majki, swoją drogą, w obecnej sytuacji niczego by nie przyjął, ale powinien to mieć i właściwie nie było wiadomo, dlaczego nie miał. Kręcidupcia też uważała, że powinien mieć, a skoro nie miał, za karę nie dostawał i Kręcidupci. Pozew rozwodowy rzeczywiście był jakiś debilny, pan mecenas pisał go na nowo i wciąż przerabiał, bardzo się męcząc, a ewentualny termin pierwszej rozprawy jeszcze nie wychylał głowy zza horyzontu. Na domiar złego ten kretyn, właściciel mieszkania, odezwał się z Kanady, radośnie informując, że wraca wcześniej, najdalej za trzy tygodnie i ma nadzieję, że Dominikowi zmiana lokalu nie przeszkodzi w pracy. Idiota kompletny.

Z całej siły Dominik trzymał się najgłupszych cech swojego charakteru. Czegoś chciał. Chciał straszliwie i nie dostawał. I to było po prostu nie do zniesienia. Istnienie przeszkód na drodze do celu zwyczajnie ignorował, nie miały prawa bytu, były tak obrzydliwe pod każdym względem, że nie życzył sobie o nich myśleć. Nie życzył sobie w ogóle o nich wiedzieć. I znów to samo, nie chciał czegoś, a to się pchało natrętnie nie do wytrzymania!

Chciał Kręcidupci. Legalnie, prawnie, jawnie, z hukiem. Chwalić się nią. Być dumny z posiadania tego skarbu, większego niż nagroda Nobla, niż wszystkie złote medale olimpijskie świata, niż konstelacja z firmamentu niebieskiego, z tym, że nie był pewien która, ale najlepiej cały komplet. Jak się będzie przedstawiał zubożony firmament po przegraniu konkurencji z Kręcidupcią nie obchodziło go za grosz, niech się firmament sam o siebie martwi.

W dodatku spadło na niego jeszcze jedno świństwo. Dzieciom mianowicie przy ostatniej bytności u babci po mieczu został wypożyczony dla eksperymentu i na krótko noktowizor dziadka i babcia stanowczo zażądała od syna odniesienia przedmiotu czym prędzej. Dziadek chodził na polowania, zdarzało się, że późno wracał, ciemności zapadały, a w drodze powrotnej po ugorach i wertepach lubił coś widzieć. Sezon łowiecki się kończył. Zważywszy, iż Dominik w dużym stopniu odziedziczył charakter po tatusiu, sprawa nie podlegała negocjacom. Strasznie myślał, jak sprawić, żeby ten cholerny noktowizor sam wyszedł, pokonał niezbędny kawałek przestrzeni i położył się grzecznie pod progiem mieszkania półgłówka z Kanady. Bo tatusiowi mógł już zanieść osobiście... Nic nie wymyślił, i spadła na niego konieczność nadprogramowego zwizytowania domu, którego się wyrzekł i żony, której nie chciał. Fakt, iż w tym

wypożyczeniu przyrządu sam chętnie uczestniczył, udało mu się wypchnąć z pamięci.

Wczesnym wieczorem zdecydował się załatwić to jednym rzutem. Po drodze z pracy wstąpić do byłego domu, zabrać noktowizor, zawieźć go tatusiowi i natychmiast udać się do chwilowego azylu, gdzie, być może, czeka już uwielbiane bóstwo. Z jajecznicą. Jediną potrawą, jaką umiało dobrze przyrządzić.

Drzwi byłego domu odruchowo i bez zastanowienia otworzył własnym kluczem, wciąż posiadanym ze względu na kontakty z dziećmi. Wszedł bez hałasu, odruchowo zdjął buty, rozglądając się za domowymi pantoflami, w połowie rozglądania opamiętał się, czym prędzej włożył buty z powrotem i ruszył w głąb mieszkania. Nic nie grało, nic nie było włączone, tylko z salonu dobiegały głosy.

Dominik zatrzymał się i posłuchał. Nie miał najmniejszej ochoty spotykać się z jakimiś gośćmi.

Nie, to nie byli goście. Głosy należały do Majki i do dzieci.

Majka dotrzymywała obietnicy racjonalnie. Siedzenie nad dziećmi w łóżeczkach i opowiadanie im bajek wykluczała absolutnie, na takie dyrdymały brakowało jej czasu, dzieci w łóżeczkach powinny spać, a nie zawracać głowę. Wieczorami praca szła jej świetnie, a teraz właśnie szwedzka ekspozycja wyjątkowo przysparzała natchnienia, jak zwykle zajęte miała oczy i ręce, reszta anatomii pozostawała wolna.

No i Harald Sinozęby znakomicie do tej roboty pasował.

– ...Harald Sinozęby był w ogóle okropny – mówiła Majka. – Tyran, despota, musiał się zetknąć ze Świętosławą, kiedy jeszcze była żoną Eryka Zwycięskiego i królową Szwecji. Była bardzo piękna...

– Podrywał ją! – podchwycił żywo Tomek.

– No pewnie. Nie bez powodu syn go wygnał, Swen Widłobrody, król Danii, i sam się z nią ożenił, kiedy Eryk zginął w bitwie, ale to znacznie później. Haralda za nic w świecie by nie chciała, jak dla niej, stary przyk i obrzydliwy...

– Ale ten nasz wcale nie jest obrzydliwy – zaprotestowała z urazą Kryśka. – Nam się podoba, jest fajny!

– I nie ma sinych zębów – przypomniał z naciskiem Tomek.

– Nie ma – zgodziła się Majka. – Ale tamten miał... Przesuńcie się, muszę wydrukować dwie witryny. To duże.

Szmer drukarki nie zagłuszył pytania Kryśki.

– A czy nasz Harald jeszcze przyjedzie?

– O, na pewno. Musimy tu sprawdzić, czy wszystko pasuje do siebie. Dopiero potem ja pojadę tam.

– I on już więcej nie przyjedzie?

– Kto tak powiedział? Przyjedzie na ucztę bez obowiązków służbowych. O ile, oczywiście nam się uda... No dobrze, możecie teraz zjeść kolację, a jeśli chcecie więcej szczegółów, musicie sobie poczytać, bo ja wszystkiego na pamięć nie umiem.

– Pokażesz nam, które książki?

– Pokażę, oczywiście.

Dominik ruszył się dopiero teraz. Stojąc w progu salonu z rosnącym zainteresowaniem wysłuchiwał historii stosunków polsko–skandynawskich w średniowieczu, prezentujących się w wykonaniu Majki dość oryginalnie. Właściwie zawsze lubił jej interpretacje historyczne, znacznie ciekawsze, niż to, czego uczono w szkole, i zgadzał się z głoszonym przez nią poglądem, że historię tworzą jednostki ludzkie, a nie instytucje, ani też przedmioty. Nawet milion armat, zgromadzonych na jednym błoni, nie wystrzeli bez człowieka...

No tak, ale teraz miał co innego na głowie.

Dzieci na widok tatusia ucieszyły się ogromnie. Przejęte były Haraldem Sinozębym z przyległościami tak, że nawet nie zwróciły uwagi na brak matki przy kolacji, to w końcu nie było niczym szczególnym, siedziała wszak przy pracy, zwykła rzecz. W kolacji wziął udział ojciec, też dobrze, nie kłócili się przecież, nikt się nikogo nie czepiał.

– Ciekawe, dlaczego on te zęby miał sine – rozważał Tomek. – Od czego zęby sinieją?

– Ze złości może? – wysunęła supozycję Krysia. – Jak był taki okropny, na pewno się złościł.

Obydwoje spojrzeli pytająco na ojca. Dominik miał kłopot. Doznawał wrażenia, że coś powinien, ale nie wiedział co. Nie myślał nie tylko racjonalnie, ale w ogóle, ponieważ tak naprawdę nie chciał myśleć. Opętanie Kręcidupcią wyjałowiło mu umysł, owinęło go jakimś kokonem, unieruchomiło szare komórki. Gdzieś na samym dnie istniała udeptana i ugnieciona wiedza, że myślenie mu zaszkodzi nieodwracalnie, popadnie w konflikt z chceniem i chcenie dozna szwanku. W żaden żywy sposób nie umiał się z tym pogodzić, protest zgrzytał w nim tysiącem zębów, zapewne bardziej sinych niż tego jakiegoś Haralda. Gdzieś na marginesie zwojów mózgowych drobniutki fragment pozostawał wolny, ale włączał się jedynie w odniesieniu do pracy zawodowej, reszta była tajemniczym mazidłem, w którym utonął doszczętnie.

Z mazidła wyłaził uporczywie Harald Sinozęby. Dzieci, można powiedzieć, podsunęły temat, którego chwycił się jak tonący brzytwy. Mętnie zrozumiał, że któryś Harald tu był, nie ten historyczny przecież, współczesny i chyba żywy, a dzieci wydawały się nim zachwycone. Dlaczego właściwie?

– On tu był? – wyrwało mu się.

– Kto?

– Ten Harald.

– Który?

– No właśnie, który? Ten z zębami?

Przez chwilę ogólna dezorientacja brała górę, ale szybko przywiedła.

– No co ty, tato – prawie obraził się Tomek. – On miał zęby całkiem takie jak na reklamach pokazują. Tak latali tam i z powrotem, raz matka, raz on...

– I razem z matką tańczyli – dołożyła z zachwytem Krysia. – Ale krótko. I na małym kawałku.

– I nic nie stłukli – uzupełnił nieco smętnie Tomek. – Ale on tu jeszcze przyjedzie, może nawet parę razy, a ja się nauczę po szwedzku, bo on mi się spodobał. I ciekaw jestem, co jeszcze razem robią.

O nie, tego Dominik nie zamierzał być ciekaw. Coś pisnęło w nim gdzieś, ale nawet nie wiedział co i gdzie, bo stłamsił to natychmiast. Nie obchodziło go. Zaciekawiał go natomiast, jako bądź co bądź człowieka pracy, zawód owego Harald, polegający na osobliwych poczynaniach ruchowych.

– A co on w ogóle robi, ten Harald bez zębów? Czym on jest?

Dzieci z oglądanych scen wyciągnęły własne wnioski.

– Chyba to samo co matka, te wystawy i reklamy i w ogóle. Tylko matka zaczyna, ten, no, jak mu tam, projekt... robi.

– I kolory i ozdoby, i to takie...

– Ona mówi, że to się nazywa aranżacja – pochwalił się swoją wiedzą Tomek.

– I potem wszystko ustawia w naturze...

– Ale ty to przecież wiesz! A on, ten Harald, robi zdjęcia i kręci kamerą, różnymi kamerami, i dodaje różne takie... O, efekty!

– Fotografik? – spróbował zgadnąć Dominik. Tomek pokręcił głową.

– Mało – rzekł z namaszczeniem. – Więcej. On ma coś z hologramią. Ja wiem co to jest i mnie się to bardzo podoba. To te takie trójwymiarowe.

Dominikowi zrobiło się na chwilę przyjemnie, ale nawet nie przyszło mu do głowy, że poczuł się dumny z inteligencji własnych dzieci. Nie spodobała mu się natomiast przydatność Harald'a i też nie wiedział dlaczego.

– I on tak przyjeżdża ze Szwecji? – wyrwało mu się, chociaż był pewien, że żadne podróże żadnych Haraldów, historycznych czy współczesnych, z zębami czy bez, nic go kompletnie nie obchodzą.

– Oni te wystawy czy coś takiego robią w Szwecji – wyjaśnił z wyższością Tomek. – To skąd ma przyjeżdżać? Już tu była taka jedna, ale tylko na schodach, słyszeliśmy jak matka rozmawiała z panią Bożenką, podobno wszystko strasznie drogie, a Szwecja jest bogatsza niż my i może sobie pozwalać. Matka dostała zlecenie i wzięła.

– Bo się zlitowała nad tą, co została na schodach – uzupełniła Krysia.

W Dominiku zakotłowała się osobliwość, jakby wybuch rewolucji w mrowisku. Strasznie dużo mrówek, wręcz miliony, i wszystkie rzuciły się nagle do walki ze sobą wzajemnie. Rozszalałe kłębowisko złożone z bardzo małych elementów, nie było sposobu ich nawet rozróżnić, bo niby jak? Z twarzy? Zlecenie, wstrętne słowo, znów wzięła dodatkowe. Tańczy z Haraldem Sinozębym. A niech tańczy ile chce, ukochana nimfa na tańce nie leci...

Myśl o Kręcidupci spłynęła mu na serce błogością i czymś jeszcze, co błogości przeszkadzało, ale odtrącił to niecierpliwie. Usiłował sobie przypomnieć po co tu w ogóle przyszedł, a, po noktowizor ojca. W porządku, załatw sprawę i żegnaj. Dzieci wciąż snuły dywagacje historyczno-zębowe, przerwał im, bo już mu ten Harald nosem wychodził.

– Dziadkowi noktowizor trzeba oddać, ostatnie polowanie ma jeszcze przed końcem sezonu...

– O, szkoda – zmartwił się Tomek. – On taki fajny.

– Ale jak trzeba, to trzeba – powiedziała obca kobieta, pojawiając się nagle w jadalnej części. Promienna była i wydawała się życzliwa, aż trudno było uwierzyć, że jest najśmiertelniejszym wrogiem. – Popatrz jak łatwo przyjmują się międzynarodowe słowa, fajne dawno wyszło z mody. Nie chcesz więcej herbaty?

Dominik nagle zorientował się, że nie tylko pije herbatę w domu wroga, ale nawet zjadł coś słodkiego z marcepanu. Z marcepanu...! Duński przysmak! Skandynawia...! Harald Sinozęby...! No nie, to było absolutnie nie do zniesienia, zjedzonego nie mógł już zwrócić...

Znał trochę Danię i duńskie słodycze, ścisnęło go w środku, zerwał się.

– Nie, dziękuję. Zawiozę ojcu noktowizor i mam strasznie dużo roboty.

– To cześć – powiedziała obca kobieta i znikła w kuchni.

Za nic w świecie Dominik nie chciał być jej wdzięczny za takt, wypchnął zatem z siebie niestosowne uczucie. Wziął od Tomka noktowizor i opuścił dom wroga, nie doceniając nawet dziwnego braku protestów ze strony dzieci.

Majka wróciła do salonu i usiadła do pracy.

* * *

Szaman wielki ostro pogonił właściwych pracowników i Bożenka otrzymała wstępny projekt zagospodarowania terenu. Założenia i ogólne wymagania techniczne wesołego miasteczka od początku, rzecz jasna, były wszystkim znane, teraz zaś opanowano wreszcie wiedzę o właściwościach grymaśnego gruntu, dzięki czemu projektanci obiektów stałych mogli

przystąpić do ich ścisłej lokalizacji. Nawet konstruktorzy i mechanicy doznali ukojenia.

Wielkie płachty odbitek zalegały całą pracownię. Bożenka lubiła pracować na papierze, ekran komputera nie przemawiał do niej. Oprócz odbitek znajdowało się tam mnóstwo ludzi, ponieważ szaman wielki zarządził spęd wszystkich branż. Zapewne dla zwiększenia tłoku przyprowadził ze sobą inwestora, szalejącego z niecierpliwości. Nie mógłby spać, gdyby nie ujrzał na własne oczy pierwszej fazy, pierwszego progu wreszcie przekroczonego. Ilość makulatury go zachwyciła, nie umiał wprawdzie czytać tych akurat rysunków i nie rozumiał wypowiedzi natury budowlanej, ale dyskusje wrzały, uzgodnienia nie łamały sobie nóg na byle trudnościach i w ogóle było twórczo.

Nikt nie zwrócił uwagi na głuchy łomot, który rozległ się tuż za drzwiami. Przez chwilę drzwi pozostawały zamknięte, po czym otwały się gwałtownie i wkroczyła przez nie Anusia z wielką i ciężką paką w rękach.

Bożenka spodziewała się jej i czekała niecierpliwie z niepokojem w głębi duszy, dostrzegła ją zatem natychmiast. Pomachała ku niej, odsunęła kogoś, zrobiła wolną drogę, Anusia dotarła do niej i ze stęknieniem łupnęła paką w kręczone krzesło.

– Mam! – zawiadomiła triumfalnie. – Wszystkie trzy. Rany boskie, co się tu dzieje?

– Nic, zagospodarowanie terenu, podobno to się nazywa koordynacje międzybranżowe. Zdobyłam wodę i dwa pagórki i nie dam sobie odebrać. Te podwójne też? Ósemkowe?

– No! Wszystkie! Mówią, że to wyjątkowo, ktoś przywiózł z Japonii, bo tak normalnie to takich kenzanów nie ma, są tylko te zwyczajne. W razie czego można zamówić, ale to trochę trwa.

– Chcę zobaczyć, pokaż...

Nożyczki były pod ręką, Bożenka chwyciła je niecierpliwie, zaczęła przecinać taśmy.

– Co tam się stało za drzwiami jak wchodziłaś? Tak walnęło...

Anusia pozwoliła sobie na błysniecie głęboką urazą.

– Bo to jest tylko jeden, dwa zostały pod drzwiami! Wszystkie trzy razem ważą tysiąc kilo! Czy ja jestem Horpyna?

– To jak doniosłaś pod drzwi?

– Nijak. Władzio mi pomógł, ten ochroniarz, co się nie kłania krętej pluskwie. Uchyliłam tylko, zobaczył ten jarmark tutaj i wyleciało mu z rąk ze strachu, bo opuścił na chwilę stanowisko służbowe. Zaraz pójdę po następne. Po jednym dam radę.

– Żeby nam ktoś przypadkiem nie rąbnął – zatroskała się Bożenka.

– Co szefowa...? Taki ciężar? I będzie z tym leciał biegiem?

Bożenka przerwała na chwilę przecinanie, spróbowała unieść paczkę, stęknęła i czym prędzej opuściła ją z powrotem na krzesło. Rzeczywiście, przeciętny złodziej nie miał wielkich szans. Ale gdyby się przytrafił ciężarowiec...?

Na wszelki wypadek załatwiły transport od razu wspólnymi siłami.

– O rany, Zdziś przywłókł Kręcidupcię...? – zgorszyła się Anusia, rozglądając się wreszcie uważniej dookoła. – Ej, szefowo, czy ona nie podrywa przypadkiem inwestora?

Bożenka podniosła wzrok znad rozszarpywanej paczki. Szaman wielki zmierzał w jej kierunku, powoli i z pewnym wysiłkiem, ponieważ kroki jego krępował zleceniodawca, wpatrzony w pomoc techniczną. Posuwał się jakoś bokiem, zaś pomoc techniczna robiła co mogła. Zbliżali się jednak, chociaż z przeszkodami, dzięki czemu Bożenka zdążyła jeszcze zobaczyć, co rozpakowuje.

– Achchch...! Cudo! Schowajmy natychmiast, niech on nie widzi, już...!

Kenzan istotnie był wspaniały. Dwa wielkie klabzdrony, figury geometryczne, owal i koło solidnie połączone ze sobą, gęsto najeżone żelaznymi kolcami, wymarzone dla ogromnej ikebany, jaką Bożenka sobie obmyśliła. No dobrze, jaką podpowiedziała jej Majka, Majka była genialna i nikt temu nie przeczył. Wściekle ciężkich podstaw do ikeban w żadnym wypadku nie należało pokazywać zwierzchnikowi, sprzężonemu chwilowo z tym akurat inwestorem. Ikebany dotyczyły innego zlecenia, a teraz na tapecie szalało wesołe miasteczko. Wprawdzie pracownia zieleniarska na swój projekt miała mnóstwo czasu, ale nie wytłumaczy się tego przecież rozparzonemu szaleńcowi. A szef się trzęsie nad swoją żyłą złota i piekło na ziemi rozpęta, że jak to, tu zagospodarowanie terenu ostatecznie ustalane, a ktoś się ośmiela zajmować czymś innym...?!?! Zgroza! Skandal! Bezczelność! Sabotaż!!!

No owszem, szaleniec miota się obok, szef tak musi, ale, nie daj Boże, sam sobie uwierzy i nieprzyjemności już za progiem czekają. O, żadne takie!

Anusia zrozumiała to doskonale. Dwóch ostatnich pakunków nie zdołała wprawdzie wkopać pod stół, były zbyt ciężkie, wystawały bardzo, ale i tak nikt nie wiedział, co zawierają. Rozpakowaną ósemkę zostawiła na obrotowym krześle i czym prędzej przykryła wiekiem zdewastowanego pudła ze sztywnej sklejki.

Szaman wielki wraz z dojną krową dotarł do jądra pracy projektanta zieleni. Wierzchnią warstwę stołów, biurek i monitorów stanowiły wyłącznie zdobycze Bożenki, woda, pagórki, drzewa i krzewy ozdobne, obaj mogli zatem patrzeć na to do upojenia bez żadnych podejrzeń. Szaman wielki patrzył z pełnym zrozumieniem tego co widzi i w głębi duszy chwalił samego siebie za doskonale opanowanie organizacji tak wielkiego przedsiębiorstwa wielobranżowego i zdyscyplinowanie wszystkich

pracowników, nie wątpiąc zarazem w równie imponujące posłuszeństwo wykonawcy, którego jeden przedstawiciel znajdował się w tłumie również. Nie miał wprawdzie chwilowo nic do roboty i nic do gadania, ale na wszelki wypadek mógł być. Zwiększał ciasnotę rozmiarami własnymi, liczył sobie bowiem wzrostu dwa metry i sześć centymetrów, oraz dysponował nadwagą około czterdziestu kilogramów. Także pogodą ducha oraz uczynnością i bardzo chciał być do czegośkolwiek przydatny.

Zleceniodawca–inwestor–dojna krowa–żyła złota patrzył również. Jednym okiem na dokumentację w zarodku, której nie rozumiał wcale, drugim zaś na Kręcidupcię, którą, tak mu się wydawało, rozumiał znacznie lepiej. Kręcidupcia chwilami niknęła mu z oczu, zasłaniana jakimiś ludzkimi postaciami, zwrócił w końcu baczniejszą uwagę na wielką płachtę wydruku, o, tu woda, tu mostek, tu takie coś rozrywkowe, sam chciał...

W tym momencie opadł mu na kark długi pęd zieleni, jędrny i silnie ulistniony, ciężki i wilgotny. Od sufitu oderwał się bluszcz, prowadzony ozdobnie przez całą pracownię, niedoceniony i niedostatecznie silnie przymocowany, eksperymentalnie pędzony odżywką.

Szaman wielki zamarł. Bożenki omal szlag nie trafił. Inwestor jakoś się dziwnie zachłysnął i też zamarł, zielony wąż owinał mu szyję i zwisał na gorsie, ciężki, przyklepny. Jakieś pęta przyrodnicze, mignęło mu przypomnienie rozmaitych horrorów, oplata człowieka takie coś i dusi na śmierć... Kręcidupcia wyleciała mu z głowy.

Bożenka opanowała się pierwsza. Wykrzesła z siebie żal, skrucę, a zarazem zachwyty i wściekle optymistyczną zachęty.

– No proszę. Bardzo pana przepraszam. Widzi pan? To za szybko rośnie, nikt z nas się nie spodziewał, że aż tak, przewidziane jest właśnie do dekoracji. W tych miejscach, gdzie, sam pan chciał, trzeba zaskakiwać klientów, no i proszę! Niech pan doceni, jak ona się rozrasta. Wczoraj była

przybita i już dziś odwaliała robotę, ona chyba sama chciała się zareklamować...

Na zielone pęta inwestora wszyscy już zwrócili uwagę, jeden z trzech obecnych mechaników wdarł się w przemówienie Bożenki i zaproponował, żeby może oderwać od pana prezesa roślinkę i przymocować ją tam, gdzie jest jej miejsce, na suficie. Drabinka może jakaś...

Pokochali go natychmiast wszyscy zainteresowani bezpośrednio, aczkolwiek dotychczas traktowano go z lekką ogólną rezerwą z racji drobnych zbakierowań uczuciowych. Stanowił wyjątek, dla którego Kręcidupcia była czymś najobrzydliwszym na świecie, preferował tę drugą płęć i udawało mu się zachować zdrowy rozsądek tam, gdzie niektórzy go tracili.

Zaproponowana akcja ruszyła natychmiast. Zdjęcie zielonych pęt z inwestora nie przedstawiało trudności, długi wąż jednak żądał miejsca dla siebie. Sufit znajdował się wysoko...

Ochoczą pomoc zgłosił ten od wykonawcy. Jeden rzut oka wystarczył, żeby pomoc przyjęto, wyższej osoby w dorodnym gronie nie było, haczyki dla rośliny znajdowały się pod ręką, oszołomiona własnym przemówieniem Bożenka nie zdążyła zareagować. Tak, owszem, pokazała, tu trzeba i tu...

Anusia też nie zdążyła z drabinką. Przedstawiciel wykonawcy zbyt długo trwał w bezruchu i siły w nim rosły.

Obrotowe krzesło podwyższone solidnie wyglądającym pakunkiem stało dokładnie pod miejscem, gdzie na suficie należało wkręcić haczyki dla kwiatka. Nim ktokolwiek zdołał się zastanowić, dziarski przedstawiciel wykonawcy dostrzegł wystające spod stołu pudło, użył go jako schodka i energicznie wlaź na krzesło. Wysokość była akurat, no, może w jednym momencie musiał unieść się na palcach, ale robota wręcz zaiskrzyła. Jeden, drugi, trzeci haczyk, Bożenka uniosła pęd, piękna, zdrowa, dekoracyjna

roślinność została zaczepiona, pełen ulgi inwestor chustką do nosa wytarł sobie wilgoć z szyi i rozmazał jasną zieleń po gorsie...

Oklaski rozbrzmiały. Przedstawiciel wykonawcy z radosnym uśmiechem uklonił się z krzesła. Resztę czasu zajęło wszystkim sprowadzanie go na poziom podłogi.

* * *

– Nie pojedziesz – powiedziała Bożenka ze straszliwą, rozpaczliwą zaciętością. – Położę się osobiście pod kołami tego parszywego samolotu. Nie pojedziesz, dopóki ci nie powiem co było, bo to co mnie trafi, to szlag jest przy tym samą przyjemnością i w dodatku nie zniosę, żebyś nie wiedziała, bo ja nie wiem, chyba klątwa nad nami lata!

Majka, rozplómięta, zachwycona i szczęśliwa, gotowa była zgodzić się na wszystko, pod warunkiem, że nikt jej nie oderwie od komputera.

– Musisz sama wziąć pomoce naukowe, bo ja już mam wszystko i muszę to nagrać i nic więcej. Harald był przedwczoraj. Cudo nam wyszło!

– Tu też cudo wyszło – rzekła z ponurym naciskiem Bożenka i udała się do kuchni.

Wyciągnąwszy z lodówki wszystko, co jej pod rękę wpadło, wróciła do Majki.

– W każdym razie masz słuchać, co mówię...

– Ja oczami pracuję, nie uchem.

– No i bardzo dobrze. No to słuchaj, co było...

Majka miała wyobraźnię przestrzenną. Opowieść Bożenki pojawiła się przed nią niczym film na ekranie. Z ogromnym zainteresowaniem obejrzała trzeci akt.

Przedstawiciel wykonawcy, po przymocowaniu rośliny do sufitu, zamierzał zejść z krzesła. Był duży, potężny, z nadwagą, ale zręczny i

wydawało się, że powrót na ziemię nie powinien dla niego przedstawiać trudności. Zeskoczyć i już.

Zeskok jednakże nie wyszedł. Krzesło kręciło się łatwo, facet go nie opuścił, chociaż się lekko zachwiał, rozsądnie przykucnął, chwycił oparcie, razem z nim wykonał ćwierć obrotu. Tkwiąc w lekkim przysiadzie, a zarazem schylony począł czynić dziwne ruchy stopami. Obuwciem. Robiło to takie wrażenie jakby jego buty postanowiły zostać na zawsze na tym akurat obrotowym krześle, wiążąc obok stołu Bożenki swojego właściciela. Właściciel nieco szcerwieniał, dał się w nim zauważyć wysiłek, jedna noga, druga noga i nic.

– Słuchaj, wszyscy zgłupieli – mówiła Bożenka z przejęciem i zgrozą. – Cisza, mówię ci, zrobiła się jak w kościele, przecież to chłop jak byk, siedzi w kucki na tym moim krześle i jak Boga kocham, na zawsze zostanie, potworna scena, czegoś podobnego nikt w życiu nie widział. Przymurowało go. Koniec.

Wpatrzona w swój monitor Majka nie straciła ani odrobiny opisywanej sceny. Zainteresowała ją i nawet zatroskała.

– Ale przecież nie siedzi tam do tej pory?

– No coś ty? Pogotowie by go oderwało! Ale okazało się, że to przytomny chłopiec, wiesz co zrobił? Najzwyczajniej w świecie zdjął buty!

Majka na moment wstrzymała kolejne przytknięcie w klawiaturę, rzuciła okiem na Bożenkę, uniosła do ust dostarczone przez nią naczynie.

– O rany, znów na ten witról trafiłaś. No trudno, niech będzie. I co? Bez butów zlaźł?

Bożenka też spróbowała napoju.

– Coś takiego, w nerwach nie patrzyłam co biorę – usprawiedliwiła się z irytacją. – Zlaźł, buty zostały, ale chciał je odzyskać i okazało się, że są przybite. Zelówki głównie, wiesz, stawał na palcach, bo ten sufit wysoko,

obcasy też, ale w końcu dały się oderwać. Obcęgami odrywali. A zelówki częściowo oderwały się od butów, popatrz, a taka gruba była ta dykta! No, trochę się rozpieprzyła...

– Jakość produktu powinna stanowić dla ciebie pociechę.

– A myślisz, że co? Pewnie, że stanowi. Super świetny, każdego pagaja utrzyma. Ale ty się zastanów, przecież ja o mało trupem nie padłam, chciałam to ukryć przed szamanem, a ten podlec stał i patrzył, gapił się aż w nim trzeszczało!

– Połapał się?

– Jakimś cudem nie.

– To nad czym mam się zastanawiać?

– Jak to nad czym? Przecież tam była Kręcidupcia!

– No była, no to co?

– To dlaczego na żelastwo trafił niewinny zastępca kierownika budowy, a nie ta mała skrętna? Z jakiej racji? Okazja dla niej sama się pchała! Czekał, najgorszego ci jeszcze nie powiedziałam, bo aż mnie dławi. Okropność!

Upiła trochę koniaku i jakby dla potwierdzenia doznań zakrztusiła się nim. Ulżyła sobie wodą mineralną, odchrząknęła.

– Bo rozumiesz, on tak jakoś dziwnie nogami przebierał, już na podłodze, deptał, dreptał, jakby się przylepiał albo co i nie uwierzysz, krwawe ślady zostawiał!

– Uwierzę – mruknęła Majka, która doskonale znała rozmaite kenzany. Do towarzystwa spróbowała też się zakrztusić, ale jej się nie udało.

Bożenka otrząsnęła się z lekka, chociaż z wyraźną zgrozą.

– Podziabiał sobie podeszwy! Przez wszystko przeszło, a zelowy miał grube na metr, masz pojęcie? Takie czerwone kropki zostawiał! I ja

uwazam, że to straszne świństwo, co i raz to komuś coś się przydarza, a jej nic! Nie mogła ona na ten kenzan trafić?!

Majka była zdania, że mogła. Nie dość na tym, nawet powinna. Bez wątpienia kenzan doskonale zastąpiłby odleżynowy plaster szwedzkiej Danuty, który już okazywał się niedostatecznie trwały. Harald przy ostatniej wizycie doniósł, iż menadżerka w pełni odzyskuje zdrowie i żadnych ograniczeń ruchowych nie przejawia, Kręcidupci też wrodzone talenty rychło by po plastrze wróciły. Po żelaznych dziobach chyba nie, więc Bożenka ma rację. Szkoda.

– Trzeba go było gdzie indziej położyć, trudno się spodziewać, że wirnikowa pluskwa zacznie grzebać pod sufitem...

– Oszalałaś, pod jakim sufitem? – zdenerwowała się Bożenka i z obrzydzeniem odepchnęła od siebie pusty kieliszek. – Więcej tej trucizny do ust nie wezmę! Na krześle leżało, bardzo dobrze leżało, to już niefart śmiertelny, żeby w takim tłoku nawet nie spróbowała usiąść! I w ogóle z jakiej racji nogi, miał być tyłek!

Świadoma własnych zakusów na wstrętą owcę i zachwycona osiągnięciami Haralda, Majka wyjątkowo spokojnie znosiła ślepy fart Kręcidupci. Ponadto wiedziała, że w owym służbowym tłoku Dominika nie było, zastępował go Jurek, na wdzięki Kręcidupci idealnie odporny. A kręcić musiała wszak przed kimś, ciekawe, przed kim?

– Czekaj – przerwała Bożence wściekłe mamrotanie pod nosem. – Komu ona tam właściwie kręciła? Mówiłaś, że kręciła. Miała upatrzoną ofiarę, czy tylko dla wprawy?

Bożenka prychnęła gniewnie i wylazła z fotela.

– Zaraz. Usunę zajzajer i przyniosę coś ludzkiego, widziałam, że masz jakieś zapasy. Jej chyba w nałóg weszło, ale wedle mojego rozeznania upatrzyła sobie główną postać, zlecniodawcę... – przez chwilę źle ją było

słysząc, bo dokonywała prostego wyboru, wyjmowała z lodówki piwo. Już po chwili, przy szklankach, dotarł do Majki ciąg dalszy. – ...tak naprawdę dopiero, jak go szaman przyprowadził. Zaszalała, można powiedzieć, i ten głupek już oka od niej nie oderwał. No, prawie, bo ten na kenzanie w jednym akcie ją zaćmił.

Puszka psyknęła, potem druga, Bożenka odetchnęła z ulgą i naląła sobie i Majce. Majka sięgnęła po napój nie patrząc, przyszło jej na myśl, że może Kręcidupcia zmienia zwierzyne łowną, może zaległa się w niej chęć podniesienia poprzeczki, zamiast panią kierowniczką pracowni zapragnęła zostać panią prezesową spółki, tonącej w milionach. Odczepi się ta pijawka od Dominika. I natychmiast przypomniała sobie wygląd zewnętrzny pana prezesa, łysy łeb, chudą szyjkę, patykowate nóżki trochę w iksa i kozią bródkę, oraz powszechnie znany fakt, iż małżonka tego cudu urody kilka lat temu święciła triumfy jako wicemiss Polonia, i zwątpiła w swoją myśl. Przez wicemiss Kręcidupcia się nie przebiję, cokolwiek by sobie wymarzyła, to jedno, a drugie, Dominika na tego wypłoszą nie zamieni. Dominik miał w sobie coś i baby na niego leciały. Chciały go kochać. I chciały być kochane przez niego...

Westchnęła. Niezbyt ciężko, bo oko jej padło na monitor z ciągiem okien wystawowych i dreszcz zawodowej emocji przeleciał po plecach.

Bożenka kontynuowała swoje.

– Zdziś się połapał, że ona tej naszej dojrzałej krowie przed nosem wiruje i nie ma obawy, dopilnuje separacji. Nie zawsze pomoc techniczna taka strasznie potrzebna. Więc Dominikowi nie popuści, więc Zdziś liczy na to, że ty mu rozwodu nie dasz...

– Nie dam.

– I bardzo dobrze. Więc nie traci osobistej nadziei, ale mnie się wydaje, że już więcej w tym jest uporów, niż tych tam różnych sercowych. I mam

take przyjemne podejrzenia.

W Majce zwykła, ludzka ciekawość wepchnęła się wreszcie na właściwe miejsce.

– No? Jakie?

– Że on chce się na nią załapać chociaż jeden raz, a potem się wypiąć. Rozumiesz, przez zemstę. Wała z niego zrobiła, niechby została na lodzie, Zdziś pod ręką w zapasie, a tu chała drętwa. I tak jej pilnuje jak pies ogrodnika, sam nie zeżre, drugiemu nie da, no, chyba że Dominik. Od Dominika wszystko zależy. I od ciebie.

Majka milczała przez chwilę, wpatrzona w ekran.

– Pięć dni – powiedziała twardo. – Od przyszłego piątku przez pięć dni mnie nie będzie. Nie wiem, dla Dominika to ulga, czy kłopot. Dzieci wywęszyły, że chyba traci ciepłe gniazdko.

Bożenka omal nie zakrztusiła się ponownie, teraz dla odmiany piwem.

– I co?

– Nie przepadają za tą kręciołą, śmieszna im się wydaje i trochę nudna. I tak im wyszło, że ten facet od portfela wraca z Kanady, a tatuś innego lokum nie posiada i wcale się nie stara. Nie szuka. Liczą na to, że wróci do domu, bardzo im się to podoba i już postanowili, że będą wściekle grzeczni, żeby mógł tę swoją ciężką pracę odwalać. Wierzą w ciężką pracę.

– Co za wyjątkowo zachwycające dzieci! Ale że im powiedziały...?

– Z kimś w końcu musi rozmawiać...

Z jednego tylko powodu Dominik rzeczywiście w pewnym stopniu zwierzył się dzieciom i nie była to potrzeba konwersacji. Najzwyczajniej w świecie absolutnie już nie wytrzymał Haralda Sinozębego. Ten palant był jeszcze raz i znów odtańczyli z matką polką galopkę na jednym metrze kwadratowym. Miał dosyć Haralda bez względu na rodzaj zębów. Za wszelką cenę chciał zmienić temat, ale żaden inny nie przyszedł mu do

głowy, bo jedyne, co przepelniało go bez reszty, to ta cholerna, tracona właśnie, przestrzeń życiowa. Wybąkał coś tam skąpo, a bystre dzieci dośpiewały sobie resztę.

– No to powiem ci prawdę – rzekła Bożenka po namyśle. – Coś z tego wyniknie. Jeśli pluskwa obrotowa wdrze ci się do domu...

Majka przerwała jej od razu.

– Otóż nie. Nie wdrze się. A w razie gdyby, jakiś trup będzie leżał w najbliższej okolicy...

Bożenka natychmiast postanowiła obmyśleć alibi dla Majki. Na wszelki wypadek.

* * *

Ciężka praca Dominika nie była złudą i mirażem. Szczęście jeszcze, że ją lubił, stanowiła rodzaj hobby, wyzwanie, przełamywanie trudności sprawiało mu przyjemność, matematyka włąziła pod rękę niczym posłuszny pies i wielki sukces świtał na horyzoncie. Z drugiej jednakże strony był to przymus, miłego luzu okropnie brakowało, żadnych brydzyków, żadnych pogawędek z przyjaciółmi, żadnych lubych igraszek z ukochaną Emilką, żadnego dłubania przy najdroższym harleyu, żadnych eksperymentalnych wyskoków po złej nawierzchni przy sprzyjającej pogodzie. Innymi słowy, praca była piękna, ale życie prywatne do bani.

Wciąż nie miał tego, czego był najbardziej spragniony. Gorzej, wciąż wisiało nad nim paskudztwo w postaci starań. Załatwiania czegoś. Szukania i zdobywania. Chciał i nie dostawał, nie przychodziło samo. Wprost przeciwne naturze!

Nie tak miał wyglądać raj z cudowną istotą w ramionach!

I w dodatku jeszcze ten kretyn wracał. O miesiąc wcześniej niż było umówione, potworne, nie do przyjęcia!

Pomysł, żeby zabić kretyna od razu na lotnisku, ewentualnie w drodze do domu, na szczęście nie zaświtał Dominikowi w głowie. Odpadała również, po prostu nie istniała, możliwość pozostania w jego mieszkaniu razem z nim. Świat niestety składał się w pewnym stopniu z elementów–pewników nie do przebicia i nie do ugryzienia, tak jak nie można skonsumować kawałka granitu, gryząc go zębami i żeby to jeszcze było pożywne. I smaczne.

Na samym dnie podświadomości Dominika, zepchniętym tak nisko, że chyba sięgało pięt, tkwiła ugnieciona, udeptana, brutalnie zdemolowana wiedza, że przecież ma swoje miejsce, które do niego należy i o które wcale nie musi się starać. Nie chciał go. Nie chciał! Nie chciał o nim nawet pamiętać. Nie ma go i nigdy nie było! Podświadomość okazała się wściekle uparta. Co najmniej tak samo jak jej posiadacz, a może nawet bardziej. Upragniona sylfida pomocą nie służyła. Nie mając o tym pojęcia, Dominik przywykł do Majki, która była operatywna, energiczna, pomysłowa i pracowita. Ponadto kochała go, a jego charakter w dużym stopniu ją bawił. W razie gdy już koniecznie Dominik miał coś zrobić, otrzymywał polecenie proste, wyraźne i w pełni wykonalne, a jeśli czasem dość obrzydliwe, to przynajmniej porządnie uzasadnione. Bezwiednie tego samego Dominik oczekiwał od Kręcidupci.

Równie dobrze mógł oczekiwać od krowy artystycznego tańca na rurze.

Kręcidupcia prezentowała głupotę rzetelną i solidnie ugruntowaną. Gdyby zręcznie udawała smutek, zmartwienie, słabość i bezradność, wdzięczną lianę, która bez dębu zemrze, ufność przy tym i słodką nadzieję, w Dominika wstąpiłyby cechy rycerskie. Męskie siły zagrzmiałyby potężnie, runąły do walki ze światem jak każdy normalny mężczyzna, pokonał wrogie smoki. Tymczasem nic z tych rzeczy, Kręcidupcia była urażona, obrażona i nadąsana, odwracała słodką twarzą i nie kryła

pretensji. Nie dość zatem, że należało rozwinąć jakąś idiotyczną działalność, to jeszcze upragnioną Emilkę przeproszać nie wiadomo za co i jak. Nadąsana twarzyczka pętała Dominikowi umysł i ręce, pomijając już fakt, że nie twarzyczka stanowiła podstawową atrakcję Dulcynie. Podstawowej atrakcji również skąpiła, ganiąc nieudolność rozwodową. Efekt był łatwy do przewidzenia. Dominik wrócił do domu.

Dzieci przypadkowo wykazały się dyplomacją wysokiej klasy. O tatusiu puściły farbę do mamusi, o mamusi natomiast nie powiedziały tatusiowi ani jednego słowa. Haraldem zachwycaly się oddzielnie.

Dlatego też Dominik, wszedłszy wieczorem do niechcianego i nieistniejącego domu, gdzie zamierzał być ślepy, niemy i głuchy, zdziwił się tak, że dwa pierwsze mankamenty z miejsca mu przeszły. Majka w sypialni z niezwykłą starannością pakowała dużą walizkę i zastanawiała się właśnie nad wieczorową kiecką.

Wieczorowa kiecka? Na jakiś wyjazd, niewątpliwie służbowy? Z reguły brała stroje robocze, no owszem, coś eleganckiego na wszelki wypadek musiała mieć, jakiś kostium albo co, ale wieczorowe...? To co to znaczy? Może ona się wyprowadza?

Dominikowi wyrwało się samo, bez jego udziału.

– Czy ty może... Wyjeżdżasz gdzieś?

Majka obejrzała się na niego i przed lustrem przyłożyła kieckę do siebie, nie okazując żadnych emocji, poza pogodnym nastrojem.

– Dobrze, że trochę schudłam, obstanie na mnie. Owszem, będziesz miał parę dni świętego spokoju z grzecznymi dziećmi, doskonale dasz sobie radę. Bo rozumiem, że chwilowo tu pomieszkasz?

– Skąd... – zawarczał Dominik i urwał, uświadomiwszy sobie głupotę pytania. Dużą torbę turystyczną zdążył już upuścić na podłogę, niby co w niej przyniósł? Kartofle?

Majka troskliwie zaczęła składać wieczorową szatę.

– Bardzo jestem zadowolona, że tu będziesz, opiekę dla nich właściwie już załatwiłam, ale wszyscy wolimy, żeby miały ojca. Poza tym róbcie co chcecie i będę ci bardzo wdzięczna, jeśli zniesiesz ten ciężar cierpliwie. Szczególnie że pracować można przy nich bez przeszkód. A propos, z pewnością już to wiesz, bo Jurek mówił, że sam liczyłeś, czy ten ostatni budynek, patrząc od ulicy, naziemny, wystaje fundamentem za tę wielką lipę, czy udało ci się zatrzymać przed nią? Dla mnie to ważne, będę robiła osłony kompleksowo.

Absolutnie skołowany Dominik ujrzał jakby koło ratunkowe w rozszalałym żywiole. Praca, jasne, proste, uczciwe, świetnie znane. Dekorator potrzebuje podkładów i żadnego świństwa w tym nie ma, a osoba dekoratora jest bez znaczenia i on może nawet nie wiedzieć, z kim rozmawia. Na temat klinicznie służbowy.

– Ostatnie lico fundamentu wychodzi jedenaście centymetrów za pień – oznajmił zupełnie normalnie, ze znacznie większą przyjemnością niż wszystkie poprzednie słowa. – Nie da rady mniej, jeśli koncepcja architektów ma się utrzymać.

– Bardzo dobrze – pochwaliła Majka, uzupełniając zawartość walizki. – Jestem za i dam sobie radę. Nie stój tak nad tą torbą, wszystkie twoje rzeczy są tam gdzie były. Dzieci zaraz przylecą, mam zamiar dać im kolację, a ty rób jak uważasz.

Klepnęła wiekiem walizki i wyszła z sypialni.

W kuchni zatrzymała się, wzięła najgłębszy oddech, na jaki mogła się zdobyć i bardzo powoli wypuściła powietrze.

Dominik doznał nieziemskiej ulgi i wróciła mu część człowieczeństwa.

Majka znikła wczesnym rankiem i Dominik ze zdumiewająco nikłym wysiłkiem przestawił poglądy. Dom, którego nie było, jakoś nagle z

powrotem zaistniał. O, nie zaczął go chcieć, coś w nim przeszkadzało chceniu, ale jednak był. Pojawiła się nawet mglista pokusa sprowadzenia i zainstalowania w nim Kręcidupci, ale niejasna była, mętna, słabiutka, owo coś przeszkadzające zgłosiło protest i nie przybrała postaci wyraźniejszej. Dodatkowo w Dominiku tkwiło jakieś drugie coś, które Kręcidupci w tym akurat domu nie widziało. Ostatnie, czego Dominik byłby spragniony, to wnikliwa analiza uczuć i doznań własnych, wciąż upiornie skomplikowanych, zdecydował zatem, że ten dom dla cudownej istoty się nie nadaje. Ona czułaby się w nim źle i dlatego nie można... no, nie można... no, wykluczone... Haniebne i obraźliwe, i sama propozycja... byłaby... O, byłaby strasznym chamstwem!

Najdoskonalej nieświadom prawdziwych pragnień Kręcidupci Dominik wykluczył to, o czym nadąsana hiena marzyła drapieźnie, namiętnie, całą siłą jestestwa. Szczęśliwie dla siebie, nie powiedział jej o tym, bo to była jego sprawa i jego decyzja i nawet nie umiałby tego porządnie wyjaśnić. Za to sam doznał kolejnej ulgi, której nie silił się zrozumieć.

Wracając z jednej pracy, żeby usiąść do drugiej, natykał się na rozmaite osoby i rozmaite posiłki, nie zawsze natomiast natykał się na dzieci. Tomek i Krysia przeważnie wracali pod wieczór, niekiedy razem, niekiedy oddzielnie i nie omieszkali przypomnieć ojcu, że nie on jeden jest zajęty. Oni też. Różne takie dodatkowe, bo niemożliwe jest niczego nie wiedzieć i niczego nie spróbować i on, Tomek, już wie na pewno, że nigdy w życiu nie chce być narkomanem. Widział takich trzech razem, miał okazję się przyjrzeć, długo się przyglądał i wyprasza sobie takie rzeczy. Obrzydliwość, chore łajno, a nie ludzie. Namawiali go, żeby też spróbował, ale nie powie, co im powiedział, bo woli się nie wyrażać. Za to Krysia dała się narwać i całe popołudnie ją maltretowali, więc też już nie chce, chociaż wszystkie dziewczyny tak strasznie tego chcą.

Jedli razem kolację. Krysia z ponurą satysfakcją kiwała głową, potwierdzając słowa brata, ale nie tracąc apetytu. Przez monomanię Dominika przebiła się ciekawość, co też to jest takiego, czego chcą strasznie wszystkie dziewczyny, bo, na litość boską, nie narkomanii chyba...?!

Okazało się, że chcą być modelkami.

– Ale wcale nikt nie mówił, co one muszą przedtem i pomiędzy – włączyła się Krysia z urazą. – One muszą stać i stać, i stać przed lustrem na stołku, i nie wolno im się ruszyć, ani kichnąć, ani nic, a na nich przypinają te różne szmaty i łachmany, i one kłują, te szpilki. A jeszcze trzymać ręce w górze. A te baby dookoła gadają i szarpią, ale trzeba dalej stać jak słup. A potem próbować w tym chodzić, okropnie niewygodnie, a jak zgubisz kawałek takiej przypiętej szmaty, to jest cała awantura. I znów trzeba stać. Nie dają nic do jedzenia, nic do picia, i zabraniają jeść kolację, a te starsze, już wytresowane, mogą jeść tylko sałatę bez niczego, albo plasterek ugotowanego mięsa całkiem bez smaku...

– Ona spróbowała – wtrącił Tomek. – Ja też, przyniosła mi takie pół kawałka.

– Ukradłam, ale mogłam zjeść, więc ukradłam sobie – przyświadczyła Krysia energicznie. – Albo pół pomidora, ale małego. I też muszą stać i stać do dnia sądu ostatecznego, słyszałam jak te starsze tak mówiły. I tak przez całe życie. Więc ja nie chcę i koniec.

Dominik już w połowie relacji był całkowicie pewien, że też nie chciałby być modelką za żadne skarby świata. Co do narkomanii, w pełni popierał zdanie syna. Zarazem doznał wrażenia, że ostatnio trochę stracił bliski kontakt z własnymi dziećmi i powrót do tego kontaktu sprawia mu wyraźną przyjemność.

Co do osób dorosłych, dwukrotnie ujrzał własną siostrę, która nie zawracała głowy, palcem wskazała przygotowane do podgrzania produkty jadalne i raz spytała, czy pójdzie z dziećmi do teatru na spektakl specjalny o szlachetnych rozbójnikach, a drugi raz, czy weźmie z nimi udział w konkursie rzucania czymś tam do celu na świeżym powietrzu. Od teatru Dominik stanowczo się odzegał, konkurs natomiast przyjął chętnie, bo na świeżym powietrzu miał szansę na towarzystwo Kręcidupci. Wrócił z konkurencji z bardzo mieszanymi uczuciami, bo z jednej strony poczuł się szalenie dumny z osiągnięć własnej progenitury, nie tylko Tomek trafiał, ale nawet Krysia, z drugiej zaś upragnione bóstwo rozczarowało go i zdenerwowało. Kręcidupcia jakby specjalnie stwarzała trudności, obrażała się, oddalała w niewłaściwych chwilach w niewłaściwą stronę, ziała znudzeniem i pretensją, twierdziła... Nie, nie twierdziła. Dawała do zrozumienia, że jej zimno. A do tego wszystkiego z premedytacją kręciła tyłkiem przed trenerem starszych chłopców.

Chociaż, z trzeciej strony... Może dzięki temu Krysia, w przeciwieństwie do starszych chłopców młodsza dziewczynka, tak doskonale wypadła...

Ponadto raz spotkał w domu własną mamusię, a raz własną teściową. Obie damy zachowały się bez zarzutu, jedna dopilnowała powrotu dzieci ze szkoły i wyekspediowała je na zajęcia dodatkowe, druga zaś z tych zajęć je przyprowadziła. Żadna nie okazała się przesadnie rozmowna, żadna nie czepiała się o nic, za to pożywienie zostawiły po sobie wprost rewelacyjne.

I nawet cień podejrzenia nie zaświtał Dominikowi nigdzie, że doskonała tresura starszego pokolenia jest dziełem Majki. Nie musiała truduć się długo, wystarczyło osiągnąć szczyty dyplomacji przy równoczesnej znajomości charakteru każdej z mamusí. Udało się jej trafić. Zważywszy iż przedstawienie było jednorazowe i trwało krótko, obie panie uznały je za rodzaj nietypowej rozrywki i zażądały tylko późniejszej relacji, co z tego

wynikło. Słowa Majki: – A sama jestem ciekawa... – zdopingowały je ostatecznie.

Nie przyszło jej tylko do głowy, żeby wytresować szersze grono, ponadto nie miała czasu i dzięki temu przy jeszcze jednym spotkaniu Dominik przeżył wysoce upojne chwile.

Spóźniony nieco, no trudno, musiał sprawdzić obliczenia wykreślnie na dużym ekranie w pracowni, zastał w domu bardzo zadowolone dzieci i bardzo zdenerwowaną sąsiadkę. Nowakowa.

Mąż Nowakowej tym razem wymyślił wyjątkowo późny obiad, względnie wyjątkowo wczesną kolację. Wpadł do domu w środku dnia z mięsem, kochał mięso, z lekką skruchą sprecyzował czas i wyjawiał, że będą mieli gościa. Przerażliwie ważnego. A możliwe, że nawet dwóch.

Umówiona od początku na ten akurat dzień z Majką, Nowakowa zdążyła odebrać własne dzieci z przedszkola i cudze ze szkoły, dokupić pieczywa i octu, i więcej nic. Naprawdę była pewna, że pozostałe niezbędne produkty posiada w domu!

Dzieci to w ogóle mięta i małe piwo, dzieci się pozbyła, rozprowadziła po sąsiadach, każde jest gdzie indziej, ale to bez znaczenia. Musi, ale to musi...!!! Zrobić sos z tartej bułki, mąka na nic, tarta bułka wyłącznie i nie żaden tam tarty chleb, ale uczciwa, biała tarta bułeczka! Nie kupi, mieszaninę sprzedają, nie ususzy, nie zdąży, pani Majka zawsze, ale to zawsze ma tartą bułkę!!! A ten podlec ma smak jak nietoperz, nie, jak pies myśliwski, nie, jak takie coś, o rany, jak rozgrymaszony kot, kot nieświeżego do ust nie weźmie, jakie zwierzę jeszcze można do jej męża przyrównać...?!

Dominik zbaraniał z tego doszczętnie. Nowakowej trzęsły się ręce i łzy ciekły z oczu. Dzieci, świeżo przybyłe z dodatkowych języków obcych, nie zabierały się do zajęć własnych, tylko w progu kuchni bezszmerowo i z

szalonym zainteresowaniem oglądały zdumiewający i niezrozumiały występ. Wiedziały przecież, że Nowakowa doskonale się orientuje, gdzie ich matka trzyma przyprawy i nie do pojęcia było czepianie się ojca, który wszak, zajęty pracą, mógł zapomnieć. Wyjaśnienie z Nowakowej samo wybiegło.

– W szufladach nie ma! – wyłkała. – Przejrzałam, ja przepraszam, sama przejrzałam i nie ma! Nie ma! I macałam po wierzchu, suchych też nie ma!!!

Zabrzmiało to tak rozdzierająco, że Krysia się zlitowała. Trąciła łokciem Tomka, Tomek też nie wytrzymał, z westchnieniem wkroczył do kuchni.

– A bo ona tam stoi, ta bułka, o, w tych żelaznych pudłach po herbacie. Na samej górze, a jak matka tylko trochę chce wziąć, to trzyma w maselnicy, tej z przykrywką, koło soli.

Z góry rezygnując z elegancji, wskazał palcem. Nowakowej łyżki obeschły, odżył w niej nagle instynkt gospodarski.

– Tarta bułka...? W maselnicy...?

– Bo ona jest bardzo trudna do mycia – włączyła się grzecznie Krysia od progu. – Ta maselnica. To zabytek historyczny. I ma mnóstwo takich różnych w środku, jakieś falbanki i kulki, i rowki, i mamusia mówi, że ją trzeba moczyć w ukropie pół dnia i nie wiem co jeszcze, bo inaczej śmierdzi. A tarta bułka sama się wypłukuje i już.

– Oooh... – powiedziała Nowakowa.

Nie zdołała się opanować, nerwowo sięgnęła po maselniczkę z przykrywką, zajrzała. Na dnie była ledwo łyżka tartej bułki, ślicznej, bielutkiej, drobniutko zmielonej.

– Oooh – powiedziała Nowakowa ponownie z gigantycznym rozczarowaniem i spojrzała w kierunku sufitu. Zachłanna nadzieja pobiegła wraz ze spojrzeniem.

Dominika odblokowało. Był w końcu facetem dobrze wychowanym, uczynnym, życzliwym, opętanie Kręcidupcią i negacja reszty świata na moment przygasły. Zerwał się z krzesła.

– Zaraz temu zaradzimy, z pewnością tam jest zapas. Dzieci wiedzą najlepiej.

Wspiął się na palce, dosięgnął wierzchu kuchennej szafki, zdjął od razu dwie puszki po herbacie. Zajrzeli pod wieczka wszyscy razem, omal się nie stukając głowami. Jedna puszka była pełna cudownej substancji, w drugiej pozostało trzy czwarte.

– Ochchch! – powiedziała Nowakowa po raz trzeci zupełnie innym tonem i osłabła ze szczęścia.

Została posadzona na krzesło, Dominik zaproponował herbatę, Nowakowa chętnie przyjęła, ale za sekundę, momencik, najpierw obowiązek...

– Tylko ją namoczę, musi całkiem rozmięknąć, i zaraz przyniosę resztę. To ledwo chwila, a trochę potrwa...

Tuląc puszki do piersi, wybiegła i rzeczywiście wróciła po czterech minutach z jedną z nich opróżnioną całkowicie, a drugą w połowie. Zdążyła uświadomić sobie, że Dominik jest mężczyzną, trzeba z nim zatem o kuchennych sprawach rozmawiać jak sołtys z krową na miedzy i już od progu rozszerzyła informację, w pierwotnej wersji nieco sprzeczną.

– To musi potrwać, żeby bułka namiękła, ale wszystko miałam gorące, rosół, wodę i mleko, więc odmierzyć i zalać, to jest nic. Akurat za godzinę wszystko mi dojdzie. Tak mówię, żeby pan nie myślał, że już całkiem zwariowałam. To herbata dla mnie? O, jaki pan jest cudowny!

Dominik poczuł się nie tyle cudowny, ile zakłopotany. Wypowiedź o krótkiej chwili, która musi potrwać, zrozumiał doskonale, przyzwyczajony przy Majce do wszelkich skrótów myślowych. Sobą się pod tym względem

zbytnio nie przejmował, ale z uwagi na dzieci wolał nie być uważany przez sąsiadów za totalnego matola. Powinien chyba wyjaśnić...?

– Nie, proszę się nie przejmować, ja te rzeczy rozumiem. Wiem wszystko o namaczaniu bułki, grochu, grzybów, kaszy, znam te produkty. Niepotrzebnie się pani zdenerwowała.

– O mój Boże – westchnęła Nowakowa prawie nabożnie. – Gdyby mój mąż miał o tym chociaż jakie ślady pojęcia, ja bym miała rajskie życie! To nie, zawsze mi z głupotą wyskoczy, a ja przewidzieć nie potrafię, co mu jeszcze i kiedy do łba wpadnie. Pani Majka mnie ratuje, a teraz pan... – zawahała się, w skupieniu obejrzała Dominika, podjęła decyzję. – A, co tam! Pani Majka z tych, co to na nie każdy polecą, ja bym na pana miejscu więcej na żonę uwagi zwracała. Jeszcze ją panu kto sprzątnie.

Beznadziejnie zaskoczony Dominik nie zrozumiał wypowiedzi.

– Proszę...?

– No nie powiem, ten co tu był, chłopak jak świeca. A w pańską żonę wpatrzony jak w obraz święty! No i co pan na to?

– Ja... Nie orientuję się...

Nowakowa już zaczynała brać rozpęd.

– No pewnie, że pan się nie orientuje, bo pana akurat nie było, mało, że w nią wpatrzony, to jeszcze jakiś zmieszany, oczy spuszczał, w talerz wbijał, niecierpliwość to aż w nim grzechotała. Żeby tylko sobie poszła! A takie w nim coś było, jakby wojownik jaki, to cudzoziemiec, flakami go karmiła. A pachniały...! Aż sama apetytu nabrałam. Ale nie dam głowy, więcej na flaki, czy na niego, bo mówię panu, rzadkość!

Zachichotała, z lubością popijając herbatę, której nic nie można było zarzucić. Dominik z całej siły starał się nie słyszeć i nie rozumieć co ta cholerna baba mówi. Z kątów wyłaził Harald Sinozęby. Nie chciał Haralda!

Nowakowa, wbrew pozorom, wiedziała co robi. Nie plotkowała przeciwko Majce, tylko wręcz odwrotnie. Węszyła w Dominiku coś podejrzanego i stanowczo chciała to uporządkować.

– A pani Majka nic, grzeczna i życzliwa, ale jak drewno. Pracować mieli razem i też niecierpliwa, tylko całkiem inaczej, widać było, takie rzeczy się czuje, żryj prędzej i do roboty! Żeby mogła, to by mu te flaki garściami do gęby wpychała. No mówię panu, aż mną tak trochę szarpnęło, taki wódz piratów, morską wodą zalatuje, a dla niej narzędzie pracy...

Dominikowi, nie wiadomo dlaczego, mignęła nadzieja, że może Harald śmierdział.

– ...i nic więcej, bo ona woli pana. No, dziwić się, nie dziwię, taki mąż jak pan, to czyste złoto, ale czy ja wiem... Na pana miejscu ja bym wolą być, jak on jest... Jaka dobra ta herbata, zaraz mi bułka namięknie, ale czy mogę jeszcze trochę poprosić...?

Do krzyku „żadnej herbaty, precz stąd, głupia wiedźmo!” Dominik jeszcze nie doszedł, elegancko podał napój. W nagrodę wysłuchał opisu wszystkich uroków zewnętrznych jasnowłosego supermena, bo Nowakowa przypomniała mu, że Majka ma wysoko rozwinięte poczucie estetyki, dekoratorka przecież, i niemożliwe, żeby to co piękne, mogło jej się nie podobać. No, oczywiście, czarowne cechy Dominika, skryte pod opakowaniem, z pewnością przewyższają wszystkie wdzięki piratów morskich, tego Nowakowa jest pewna...

Na szczęście tarta bułka doszła. Dominik do otumanienia również.

– Matka powiedziała, że albo wróci w chwale, albo na tarczy – dowiedział się jeszcze od dzieci. – To nie wiemy, przyniosą ją...?

Ścisłej odpowiedzi nie udzielił, wyszło bowiem na jaw, że o Sparcie i Termopilach dzieci wiedzą więcej od niego.

* * *

Kazio i Zygmus, wbrew pierwotnym zamiarom, a jeszcze bardziej wbrew chęciom, przystąpili do uczciwej pracy. Cała ta zadyma z utratą ich osobistego, poronionego skarbu, podparta facetką siadającą na drucie kolczastym, popędziła im kota tak, że na jakiś czas postanowili przyschnąć. Poprawczak im wisiał za plecami, teraz już byli pełnoletni, teraz za byle co groziły przyjemności dla dorosłych, a dobrze wiedzieli, jakie to miody.

Niechby ich chociaż czas od tego poprawczaka odgrodził, no trudno, posymulują resocjalizację.

Uczciwa praca taka znowu straszna nie była, pogoda sprzyjała, wielkich ciężarów nikt na plecach nie nosił, mały dźwig załatwiał sprawę i nawet przesadnej dokładności od nikogo nie wymagano.

– Dwa lata ma postać – oznajmił majster uczciwie. – Strzelał z tego nikt nie będzie. Potem się wszystko rozpirzy i ustawi pawilon administracji, kasy, kamerki, komputerki, ciepłe gniazdka dla personelu, luksusy, Europa, ale to już na przyzwoitym projekcie. A teraz ludziom deszcz ma na łeb nie padać i sracze muszą mieć, i tyle. Prowizorka, ale bez przesadnej fuchy, żeby się nie rozleciało za wcześnie...

– Prowizorka jest najtrwalsza – bąknął ktoś pocieszająco.

Majster kiwnął głową.

– Nie szkodzi. Damy jej radę. Kto wolny, idzie do rzeczki.

I wszystko byłoby nieźle, gdyby nie to, że z telewizyjnych plenerów wrócił Grzesiek z kumplem.

Zygmusiowi przestrzeń życiowa się skurczyła, bo kumpel zamieszkał razem z nimi. Telewizja go ściągnęła, okazał się potrzebny z uwagi na aparycję, gębę miał ponurego bandziora, do roli wręcz wymarzoną, podobnie zresztą jak Grzesiek. Role zresztą nie były skomplikowane, żaden

z nich nie mówił ani jednego słowa, mieli się wyłącznie w odpowiednich chwilach pokazywać, wzmagając horror. Nie ukręcono wszystkich odcinków w plenerach, coś tam zostało, Grzesiek z Warszawy był miejscowy, ale o wsiowego Szymka należało zadbać. Nawet telewizja, posługując się straszakiem wizualnym, nie może zniecka zamienić jednej gęby na drugą, odmienną, bo co tępszym widzom pomiesza w głowach do reszty, Szymka zatem należało mieć pod ręką. Szczególnie taniość statysty była zachęcająca, bo tańsze bywają tylko dzieci, pchane przed kamery przez rozszalałe matki. Dzieci jednakże, nawet niegrzeczne, twarzyczki mają nieodpowiednie.

O co chodziło w tym całym serialu, nie wiedział ani Grzesiek, ani Szymek, nawet tytułu prawdziwego nie znali, bo operowano roboczym, ale nie robiło im to żadnej różnicy. Kazali wtykać mordę w okno, albo wystawiać zza drzewa, proszę bardzo, dlaczego nie. Mogli nawet robić głupie miny, też łatwo, każda się nadawała. Grześkowi płacili więcej w owych plenerach, Szymkowi w Warszawie, różnica była niewielka, ale zawsze przyjemność.

Nie mając pojęcia, gdzie się Grzesiek zagnieździł, telewizja skromny koszt lokalu zaakceptowała, a kumple podzielili go uczciwie między sobą, pół na pół, i jedynym, który nie odniósł z tego żadnej korzyści, był Zygmunt. Którego rychło zaczęła cholera trzaskać.

– Ja tu zapieprzam jak ten bawół kopalniany, a te byki tam się w puchach barłożą – warczał do Kazia, mocując łańcuch na segmencie ścianki działowej. – Nawet nie wiem, kiedy przyleźli, a jeszcze flachę obciągli, puste szkło na stole zostało!

– I takie nawalone do roboty pójdą? – zgorszył się Kazio.

– A kto mówi, że pójdą? Chrapią, aż echo w miasto leci. Grzesiek mnie z łóżka wygonił, na polówce muszę spać, a to ścierwo krzywe, wądoły ma

jakieś takie ze starości. No! Góra!

Segment ścianki podjechał na swoje miejsce.

– W środku?

– Co w środku?

– Ta połówka. Wądoły.

– Ślepy fart, że nie. Znaczy nie pod tyłkiem, ale w ogóle różnie. Łap z tamtej strony, na co czekasz.

Ze złości Zygmus robił się nie do zniesienia pracowity. Łańcuchy opadły, obaj przystąpili do zaczepiania. Kazia ciekawiła praca w telewizji.

– To jak oni właściwie tam chodzą? Nie rano?

– Różnie. Czasem wcale, ale to rzadko, a zdarza się, że od rana do wieczora. Albo od południa do późnej nocy. Albo w ogóle na noc, bo w naszych filmach, Grzesiek mówi, głównie wszystko w ciemnościach leci. Gównu widać.

– I dlaczego to tak?

– Żeby usterki nie wylazły. Jak gówno widzisz, to i tego co spieprzone nie zobaczysz, nie? Mniej roboty.

– Belki stropowe! – wrzasnął ktoś ze środka rosnącej budowli.

Dźwig z brzękiem przemieścił łańcuchy. Kazio i Zygmus zręcznie uchronili głowy przed niepożądanym kontaktem i przenieśli się z zaczepianiem kawałek dalej.

– A jeszcze bywa – ciągnął Zygmus ponuro – że idą na cały dzień i nic wcale nie robią, tylko siedzą na zadzie i czekają. Oglądają sobie tych innych co się męczą, bo niektórzy, fakt, tyrają jak dzikie osły. Ale nie oni. I to ma być ciężka praca, naoglądają się różnych fidrygałów do wypęku i jeszcze za to im płacą.

– Każdy by tak chciał – westchnął Kazio. – Tylko oni? Nie potrzeba tam takich więcej?

Zygmus usunął się z drogi odpływającej belki. Drugie łańcuchy opadły obok. Okrzyk z wnętrza wydał komendę.

– Kibel ruszaj! Te z wentylacją!

Zygmusiowi było wszystko jedno, co mają zaczepiać, nie przerywał konwersacji.

– Każdy by chciał, ale nie każdy ma taką mordę jak oni. Grześka znasz, charakter ma na pysku wymalowany, a ten Szymek to nawet dosyć zwyczajny, żaden bandzior z niego, ale cyferblat posiada rzadki. Jak by ci tu... wściekły pies tak patrzy spode łba, albo o! Ten... buhaj! Na łące, co już go tak wszystko zezłościło, że ci nie daruje.

– I czego taki zły?

– Kto? Buhaj?

– Nie, Szymek.

– Wcale nie zły. W dobrym humorze i browarek zamiaruje postawić, ale tak wygląda, że ci ten browarek nosem wyleci. Jak go już poznasz, można się przyzwyczaić, człowiek się przestaje wzdrygać. Na tym filmie samą gębą za straszyciło robi.

– To i pacykować go pewno nie muszą, na tych maściach od makijażu oszczędzają, nie?

– A jak? I na robocie przy takim pysku też czasu nie tracą.

– Ścianki na lewo! Jedne z drzwiami! – rozległ się okrzyk ze środka.

Na byłej szklarni w szybkim tempie rósł obiekt jednopiętrowy, częściowo drewniany, częściowo z siporeksu, częściowo z czego popadło. Ściany zewnętrzne parteru już stały, ścianki działowe i wszelkie inne elementy wyposażenia dźwig podawał górą i zostawiał w ściśle wyznaczonych miejscach, nikt nie latał i nie przepychał się przez drzwi i okna z wielkimi klabzdronami. Dwa zespoły montowały całość wewnątrz, jeden dwuosobowy zespół zaczepiał łańcuchy, jeden dźwigowy obsługiwał

wszystko, dodatkowo wspomagając także i hydraulików. Aż dziw brał, że nadążał.

Zdopingowany dziwnymi wydarzeniami na w ogóle jeszcze nie rozpoczętej budowie, to tajemniczą strzałą w pośladkach obcego chłopaka, to magazynem osobliwej broni w niewinnej szklarniowej ziemi, to strasznym przeżyciem sekretarki na drucie kolczastym, którego nie miało prawa tam być, kierownik budowy sprężył się i wykrzesał z siebie koncertowy talent organizacyjny. Piątego dnia budowy miał szansę ucześcić wiechę na dachu skończonego budynku.

Rzecz jasna, żadnej wiechy ucześcić nie zamierzał, bo teoretycznie obiekt stał tam cały czas i był zaniedbanym budynkiem gospodarczym. Remont przeprowadzać każdemu wolno. Tyle że jakiegokolwiek przestoje były bezwzględnie wykluczone.

Mimo to zespół od łańcuchów nie czuł się zbyt pokrzywdzony.

– Ja to bym go chciał zobaczyć, tego Szymka – zdecydował się Kazio. – Znaczy, poznać, Bo jak mówisz, że lepiej poznać, to poznać.

– Jazda! – krzyknął Zygmunt i szybko odsunął się z drogi elegancko opakowanego sedesu. – Nie ma sprawy, on się pokazuje za darmo. Tyle, że nie wiem kiedy, bo my tu, a oni cholera wie gdzie.

– A w niedzielę?

– Oni kręcą i w niedzielę.

– W każdą?

– Różnie.

– To może Grześka zapytać...?

– Ja z nim nie gadam, padalec taki... Czepiaj te belki, już! Szlag człowieka może trafić, gdzie ja się mam podziać, żeby to miało dach, to bym tu zamieszkał, woda jest, światło jest, a już nic gorszego od tej

polówki na świecie nie ma. Z ochroniarzem i z tą jego porąbaną Kizią już mam sitwę.

– Przenieś się do mnie – zaproponował Kazio. – Całe życie przecież tego filmu nie będą kręcić. Do mnie blisko, autobus chodzi, stary na odwyku, Luśka do chłopaka się przeniosła, dzieciaka matce podrzuciła, i przez to matka gotuje. Życ nie umierać! Kozetkę się przeniesie...

Propozycja brzmiała zachęcająco, Zygmus ją przyjął. Niewiele brakowało, a rzuciliby łańcuchową robotę i popędzili natychmiast przeprowadzać Zygmuta, na szczęście zdołali się opamiętać. Majster był ostry, miał autorytet, dwa karcące okrzyki bardzo im w tym pomogły.

– Parę łachów bym wziął – zaczął rozważać Zygmus. – Buty i co tam jeszcze...

Kazio był chętny do wszystkiego.

– To zaraz dzisiaj, skoczmy do ciebie pod wieczór, ja ci pomogę. A może przy okazji i tego Szymka chociaż obejrzę?

– Jak już wrócą, to dlaczego nie...?

* * *

Reżyser serialowego horroru o niewiadomym tytule cenił sobie wysoko dwóch znakomicie dobranych artystów o świetnie dopasowanych gębach. Ambicji wielkich nie mieli, role amantów nie ciągnęły ich wcale, na planie chętnie tkwili i czekali nawet bez potrzeby, a gażę bez protestu brali najniższą z możliwych. O tak tanich i niekłopotliwych statystach nie ośmieliłby się marzyć.

Cierpliwie zatem zniósł wybąkiwane niekiedy pytania Szymka o swego kolegę po fachu, tego, co to dwa lata temu tam właśnie, gdzie dopiero co kręcili, plenerów szukał. Jakoś tak się nazywał, Wykopek, czy coś podobnego...

Żadnego Wykopka nie znał, ale o plenerach sobie przypomniał, bo najzwyczajniej w świecie zostały wykorzystane. Materiał leżał do dyspozycji, producent, zważywszy poniesione już koszty, zażądał zastosowania oszczędności i umiejscowienia akcji w wybranym miejscu bez dalszych poszukiwań. Pora roku i pogoda w pełni mu się zgadzała. Wykopek naprawdę nazywał się Wądołek, i nie miał nic do gadania, ponieważ zaangażowany został do owych plenerów jako fotografik, operator, asystent scenarzysty, czy coś w tym rodzaju, a prawa do swojej twórczości sprzedał telewizji na zawsze. Zatem był z głowy.

Rekwizytorka znalazła Szymkowi jego adres i numer komórki, wyznając współpracownikom, że gotowa jest znaleźć mu komnatę bursztynową i świętego Graala, byle tylko przestał jej wtykać gębę zniecka tam, gdzie ona jest. Niby się już przyzwyczaiała, nie mdleje i nie krzyczy, ale wewnętrzne wzdryganie za każdym razem trudno jej znieść. Więc niech ma i nie zawraca głowy.

Mimo usłużności otoczenia, Szymek nie wydawał się szczęśliwy.

Spragniony jego widoku Kazio miał fart. Pakowali razem skąpy dobytek Zygmunta, kiedy dwaj gwiazdorzycy wrócili do domu z planu zdjęciowego. Za progiem jeszcze byli, kiedy poglądy Szymka dały się słyszeć. Większość jego wypowiedzi nawet w najbrutalniejszych utworach publikowanych musiałaby zostać wykropkowana, względnie całkowicie pominięta.

– Świński ryj. Nie spodobało mu się ...głupiemu, popapraniec... (powiedzmy: nieprzyjemnie traktowany przez męską część społeczeństwa. Żeńska miałaby z tym kłopoty)...

Z wielkim zainteresowaniem Kazio i Zygmunt zwrócili się ku wchodzącym.

– Co jest? – zainteresował się Zygmunt.

Kazio nic nie powiedział, tylko patrzył zachłannie. Prawie nie poczuł się rozczarowany.

- A wy tu co? – odparł z niechęcią Grzesiek.
- A co? – nastroszył się Zygmunt. – Mieszkam tu, nie?
- Coś dużo ciebie...

Kazio z natury był optymistą, ponadto akurat tego dnia zaległy się w nim talenty dyplomatyczne, nie wiadomo, skąd pochodzące. Przyszedł tu z dużą torbą, jeszcze nietkniętą i zachował się elegancko.

– Ja go do siebie zgarniam na chatę, bo u mnie pusto. Na trochę – oznajmił grzecznie i czym prędzej sięgnął po torbę. – Tak pomyślałem, żeby tego...

Niezbyt szybko i raczej uroczyście ją wyciągać z torby produkty pomocnicze. Zdecydowanie wytworne. Piwo, pasztet w kawałku, szynkę na wagę, ser żółty i tylko jedno pół litra. Do tego łosoś wędzony w siateczce. Łosoś ogłuszył wszystkich, wprost Wersal.

- Znaczą jak? Co to ma być?
- Nic. Tak na znajomość albo co.
- Na znajomość to się wprowadza, a nie wyprowadza – zauważył podejrzliwie Szymek, oderwany na chwilę od swoich doznań.

Po sekundzie wahania Kazio wyciągnął jeszcze jedno pół litra.

- No to tak właśnie dwa w jednym...

Gwiazdorzy byli już wprowadzeni po dwóch w jednym, późnym obiedzie połączonym z wczesną kolacją, ale produkty na stole kusily. Grzesiek przestał się czepiać, na towarzystwie brata nie zależało mu zbytnio, właściwie był zadowolony z jego chwilowej wyprowadzki. Kazio podlizywał się słusznie, nie z byle kim miał do czynienia, można było zaakceptować jego poczęstunek.

Co też zostało uczynione i wówczas wyszły na jaw przyczyny złego humoru Szymka.

– Ścierwo takie porąbane – mamrotał gniewnie. – Do Krakowa mu się zachciało, komórę mu diabli wzięli, to nawet baran komórki upilnuje, a to świńskie łajno nie potrafi, do wiatru go wystawiła, a co z takim gównem miała zrobić, gliny na niego pluja, bo niewinny, niewinny, akurat, świerzopa drętwa, a ja nie popuszczę i dojdę swojego...

Przerywana ucztowaniem wypowiedź wydawała się niezbyt jasna, Szymek został zatem dociśnięty i przy drugim półlitrze wyszło na jaw, iż porąbanym ścierwem jest ów operator–fotografik Wądołek, który dla telewizji plenerów szukał i karierę postanowił robić owszem, w telewizji, ale krakowskiej, gdzie dostępu do niego jakoś nie było. Niewątpliwie zgubiwszy komórkę, postarał się o drugą, telewizja warszawska jednakże zarówno jego osobę, jak i numer komórki miała w nosie. Policja również, zainteresowanie policji budzą winni, nie zaś niewinni, których, wbrew pozorom, istnieje zdecydowana większość. A Szymek przez te głupoty stracił taką jedną na świecie, ale dopadnie jej, albo zdemoluje świat.

Sposób demolowania świata nie został sprecyzowany, bo taka jedna wydała się bardziej interesująca.

Adrenaliną szarpnięty i pchany gwiazdor opisał postać damy, wcale nie łagodniejąc. Przeciwnie, był coraz bardziej wściekły, głównie na Wądołka, a w drugiej kolejności na opieszłą policję. W trzeciej na siebie, bo nie wymógł na upragnionej piękności nazwiska i adresu, ale tu go trochę usprawiedliwiał fakt, że zapadł na grypę i złożyło go bardzo złośliwie, ponadto był święcie przekonany, że taki cud urody w telewizji musi być znany. Okazało się, że nie jest i to już w ogóle świństwo nie do pojęcia.

Barwność wypowiedzi i obfitość słów, do dziś starannie omijanych we wszystkich słownikach, spowodowały, że Kazio, czerniakowski warszawiak

z dziada pradziada, nie wspominając już nawet o poprawczaku, otrzaskany ze swobodnym leksykonem, słuchał zafascynowany i doznał skojarzenia. Nicco mętnego, ale jednak. Na tle wdzięków osoby.

– Ale! – wyrwało mu się. – Było coś takiego! Jakoś mi się widzi, że tak mignęło tam, w tej naszej... No, tam gdzie robimy. No, jak ci tego – zwrócił się do Zygmunia – z tą strzałą... Majtnęła mi się jakoś...

Zygmunia o mało szlag nie trafił, ale też miał gwałtowny przypływ bystrości umysłu.

– To nie tobie się majtnęła, tylko mnie – rzekł z naciskiem. – I w ogóle z jaką strzałą, frajerze, z armaturą! Jak im się wysypała!

– Aaa...! – opamiętał się Kazio. – Faktycznie, z papierami nadleciała taka z figury podobna. I włosy miała w dziób. Tak ci zależy na tamtej? Bo może ta by się nadała? – uświadomił sobie co mówi i jak niebezpiecznie zbliża się do szklarni, ziemi i łupu zdobytego na Grzesku, gorące dreszcze poczuł na krzyżu i zgorzony błędem wigor umysłowy opuścił go doszczętnie. – Ale ona nie z telewizji, tylko z tej firmy, znaczy, no, z biura projektów.

Zygmunowi coś w głowie jeszcze się trzymało.

– Fakt. Jak tam za Kazkiem patrzyłem, to mi przed nosem latała i makulaturę w rękach nosiła. Ale i pies latał, znaczy suka, więcej na tego psa kikowałem, bo jeszcze byłem obcy...

– Co to za firma? – zgrzytnął jakoś dziwnie Szymek.

– Duża – odparł grzecznie Kazio. – Cholernie wielka.

– Pogięło cię? – zdenerwował się Grzesiek. – Konkretnie, jaka?

W ustalaniu rodzaju firmy Szymek uczestniczył biernie, słuchając informacji ze straszliwym natężeniem. Pytania zadawał Grzesiek, uparcie czepiając się szczegółów, nie wiadomo dlaczego. Nie wyjaśniał przyczyn natrętnej ciekawości, nie przyznałby się za skarby świata, ale wiodła go

mglista myśl o przyszłości. Brat, skazony poprawczakiem, podjął pracę, ale w byle czym nie miał prawa robić, Grzesiek wszak, już cenny, kto wie do czego mógł dojść pod okiem kamer, telewizja to potęga...

Zapoznawczo–pożegnalne spotkanie zakończyło się przyjacielsko. Właściwie każdy dostał to, czego był spragniony.

* * *

Majka przyjechała wieczorem, spóźniona o dwa dni. Telefonicznie zawiadomiła rodzinę, że spóźni się o trzy, bo tak pierwotnie wychodziło, zatem nikt jej nie oczekiwał. Ucieszyło ją to niewymownie, zyskała chwilę świętego spokoju, mogła odetchnąć, rozpakować się przynajmniej częściowo, sprawdzić sytuację w domu.

Sytuacja wyglądała zadowolająco. Siady pobytu Dominika rzucały się w oczy, jego komputer, jego obuwie domowe, jego rzeczy w łazience, wszystko w nieskazitelnym porządku. Sprawdzały się informacje Anusi, najwidoczniej ten od portfela rzeczywiście wrócił z Kanady i Dominik stracił swój azyl.

I, co bardziej interesujące, nowego nie znalazł...

Przytłaczające zmęczenie podróży nagle zmiękło. Zelzało. Jechała przez Niemcy, ze Sztokholmu do Berlina samolotem, a później już drogą lądową. W Berlinie kupiła samochód, volkswagena, i może nawet dojechałaby do Warszawy jednym ciągiem, gdyby nie uroki ukochanego kraju. Znała czar polskich robót drogowych i paranoiczne poglądy przepisów ruchu na szybkość, dość się najeździła z Dominikiem po całym kraju. Zrobiła postój na granicy i w rezultacie znalazła się w domu bardzo wczesnym wieczorem. Ewentualnie bardzo późnym popołudniem.

Ostatecznych efektów swojej pracy na razie jeszcze nie знаła. Samo odsłonięcie wystawy supermarketu jednakże stworzyło tak wielkie

nadzieje, że mogła się szarpnąć od razu i na zakup samochodu sobie pozwolić. No więc pozwoliła. Nowego. Żadnych używanych strupli. Z gwarancją i wszelkimi szykanami.

Stał teraz przed domem nie do końca rozpakowany, a Majka odzyskiwała siły, utracone w ciągu pięciu dni nieprzerwanej ciężkiej pracy nie tylko umysłowej, ale także fizycznej, w której skład wchodziło między innymi trzymanie na krótkiej smyczy Haralda. Harald może by i odpoczął od czasu do czasu, ale przy boku straszliwej poganiaczki niewolników nie miał żadnych szans. Pyskował, owszem, na końcu jednak uczciwie wyraził podziw zarówno dla poganiaczki, jak i dla siebie samego.

Zleceniodawca swój pogląd wyraził w ekwiwalencie wymiennym.

No i teraz Majka odpoczywała, przygotowując siebie i dom na przyjęcie ukochanych najbliższych. Dzieci wrócą same, albo ktoś je przyprowadzi, zależy gdzie są. Ciekawe, kiedy wróci Dominik...

* * *

Dominik był wściekły.

Absolutnie nie to wyszło, czego się spodziewał. Zamknął umysł i prawie całą resztę organizmu przed obrzydliwym światem dla zdobycia upragnionego celu, posiadania dla siebie, na własność, bez przeszkód, w ilościach dowolnych ukochanej Kręci... cholera. Dulcy... Szlag jasny żeby to trafił! Emilki! Ukochanej Emilki, która potrafiła dostarczać wrażeń upojnych, wstrząsających, przejmujących na wylot, nie do zapomnienia! Ależ kochał ją, oczywiście, bez granic i nad wszystko i dlatego chciał mieć!

I co dostał? Grymasy, kaprysy i wymagania. Możliwe, że najdroższa Emilka też czegoś chciała, ale to przecież była sprawa drugorzędna, postarałby się o to, chwilowo jednak najważniejszy był ten skarb, który czekał w apartamencie krety, wracającego zbyt wcześnie...

No tak. Czekał. Skarb czekał. Na co, do ciężkiej dżumy i żółtej febry ten wymarzony skarb czekał?!

I znów swoją ulubioną metodą Dominik za nic w świecie nie chciał pogodzić się z faktem, że skarb czekał na jego rozwód. Nie chciał nawet tego faktu przyjąć do wiadomości, ale skarb na to nie pozwalał, odwracał nadąsaną twarzyczkę, krzywił się, coś bąkał i sztywniał. Czy może miękł. No, jakoś tam się odczłowieczał i robił jakby sztuczny.

I jakaś tajemnicza przeszkoda nie pozwalała mu włączyć w ten cały interes Majki. Niczym tabliczka mnożenia pewne było, że wymarzony przez Kręci... pardon... Emilkę... rozwód zależy od Majki. Majka umiała załatwić wszystko, gdyby chciała, w mgnieniu oka, załatwiłaby i rozwód.

No tak, ale Majka przecież nie istniała... Zaraz, nie tak całkiem, nie istniała jako żona, ale może... jako coś innego...

W tak przerażającym stanie umysłu Dominik wracał do domu.

Przez sześć dni zakodowało się już w nim, że coś wstrętnego wisi nad nim nieodwołalnie, jakiś obowiązek zupełnie wyjątkowy, o którym zapomnieć się nie da. A, prawda, dzieci. Jego własne dzieci. Za które odpowiedzialność spoczywa na nim prawnie, sądownie i kodeksowo i nie ma na tę zarazę siły.

Sto razy już zostało powiedziane, że w samej głębi duszy Dominik był porządnym człowiekiem.

O tyle było to ulgowe, że ogólnie lubił dzieci. Lubił wszystkie dzieci i miał z nimi świetny kontakt, na przykład na wakacjach, nad morzem, kiedy trzydzieścioro dzieci, dwadzieścia osiem sztuk obcych i dwie sztuki własnych, bawiło się znakomicie pod jego kierownictwem i ku jego uciesze, oraz bezgranicznemu szczęściu matek. Tym bardziej własne dzieci...

Ogromnie dużo wysiłku kosztowało go udeptanie w sobie świadomości, że kontakt własnych dzieci z nim, nieskalany i niczym niezmacony, jest zasługą Majki. Nie mógł przecież o tym pamiętać i brać tego pod uwagę, skoro nad wszystkim górowało dziko i namiętnie upragnione bóstwo!

Należy zauważyć, iż doskonała głupota Kręcidupci do Dominika nie docierała. Wśród rozmaitych cech oryginalnych, osobistych, miał jedną typową, męską, normalną. Jeśli osoba, do której mówi, ze wszystkim się zgadza, kiwając głową, niczemu nie przecząc i patrząc na niego z podziwem i zachwytem, znaczy, jest to osoba niezwykle inteligentna.

Jednakże dzieci tkwiły w nim i nie mógł się ich pozbyć. Majaczyło mu w umyśle, że Kysię powinien odebrać od własnej siostry, a Tomek będzie czekał pod pływalnią, bo inaczej musiałby go odwozić dziadek, który miał co robić i bez Tomka, i byłby wściekły. Przez jakieś trzy sekundy żałował, że jednak zamiast ukochanego harleya nie ma samochodu, po czym sprężył się i ruszył do dzieła.

Nie ułagodzony w najmniejszym stopniu.

W domu, w jadalnej części, czekał stół zastawiony malutkimi przekąskami, przystaweczkami, serkami, pasztetami, marcepankami, oraz promienna, kochająca mamusia.

Niepewna, kogo ujrzy, Majka na wszelki wypadek nastawiła się na wszystko.

Trzeba sobie uczciwie powiedzieć, że kochała swoją pracę. Niejednokrotnie rozważała sytuację kobiet, które rzucały wszystko, zawód, wykształcenie, całą własną egzystencję, dla faceta. Męża, który na przykład był zoologiem i sedno jego życia stanowiły krokodyle gdzieś tam, wszystko jedno, Amazonka, Nil, Australia. A ona przedtem specjalizowała się w modzie damskiej, genialna krojczyni...

Albo odwrotnie, ona botanik leczniczy, a on bankowiec wysokiej klasy w Londynie, Nowym Yorku, Genewie...

Rozważała te problemy od siedemnastego roku życia, ponieważ, mimo głupoty życiowej, nie była idiotką i oczywiście poglądy miewała zmienne, zależnie od interesującego aktualnie osobnika, ale ostateczny efekt był zawsze ten sam.

NIE.

Nie pójdzie na kraj świata za jakimś, który widzi tylko siebie, a na niej mu nie zależy, mowy nie ma. Mogą się widywać. Spotykać. Mogą mieć dzieci. Ale każde będzie robiło to, do czego jest przeznaczone.

A dekoracje wnętrz, układy kolorystyczne, barwny świat dla ludzkiej psychiki i ludzkich oczu, to było coś, do czego Majka się urodziła. I miała to w sobie.

Cała robota w Szwecji, jej zdaniem, była udana. Nie ośmieliła się przypisać całej zasługi sobie, aczkolwiek ogólnie była jej pomysłem, ale efekt ogólny upajał ją i uszczęśliwiał. Nie miała pojęcia, jak odbierze to reszta ludzkości, nie mogła czekać i sprawdzać, musiała wracać. Pocieszała się myślą, że z pewnością szybko się dowie, ktoś ją zawiadomi, zleceniodawca albo Harald, albo Danuta, a poza tym byle kiedy, w wolnej chwili, skoczy do Sztokholmu na jakie dwa dni i sama zobaczy. Zarobiła dość, żeby sobie na to pozwolić.

No i jeszcze ta dodatkowa satysfakcja. Zemsta...

Dzieci wróciły prawie równocześnie, Kysię pierwszą podrzuciła Regina, siostra Dominika, uszczęśliwiona obecnością Majki, ponieważ śpieszyła się okropnie do swoich zajęć służbowych. Zostawiła bratanicę i uciekła. Zaraz potem pojawił się Tomek z tatusem i jeszcze trochę mokrymi włosami.

Na samochód nikt z nich nie zwrócił uwagi, bo nikomu nie przyszło do głowy, że mógłby należeć do rodziny. Nie stał przed samym domem, tylko kawałek dalej, na skraju teoretycznie strzeżonego parkingu. Widokiem stołu natomiast dzieci od razu okazały się zachwycone. Dominik wytrącony z równowagi.

Kłębiło się w nim coś gorszego niż wewnątrz wulkanu, któremu nadprzyrodzona siła zatkała krater i przeszkodziła w wybuchu. Uciekłby natychmiast, ale nie miał dokąd. Coś kazało mu kontynuować symulację normalności i zgłupiał z tego tak, że zapomniał jak wyglądała normalność. Normalnie, sprowadziwszy dzieci, zająłby się mnóstwem spraw, czytałby prasę albo książki, oglądał wiadomości w telewizji, porządkowałby jakieś rzeczy, robił przepierkę, tkwił przy komputerze, może nawet pracował. Tymczasem nic z tego, siedział przy stole z zaciśniętymi zębami, pamiętny rozdziału od stołu i łóżka nie brał do ust niczego... no, poza herbatą, herbata była równie naturalna jak oddychanie... i słuchał nieziemsko wstrętnych pytań i uwag własnych, paskudnie najdroższych dzieci. Oraz wypowiedzi promiennej osoby, która nigdy w życiu nie była jego żoną.

Trzymała go jedna, rozpaczliwa myśl. Bo właściwie z obcą osobą przy stole mógł siedzieć. Z obcą osobą nie ma co rozdzielać.

Obca osoba wystrzałowo kontrastowała z małomównym skarbem. Dzieci interesowało wszystko, osoba bez oporu odpowiadała na wszelkie pytania, rozmawiała tylko z nimi, Dominik mógł milczeć, ile mu się podobało. Tak bardzo jednak w tych opowieściach szalał nad stołem Harald o historycznym uzębieniu, że ojciec męczących dzieci nie wytrzymał.

– Czy tę całą robotę, o której tu słyszę, odwalało tylko dwoje ludzi? – wyrwało mu się z cierpkim niedowierzaniem.

– No co ty, tato? – zgorszył się Tomek. – Dwie sztuki na cały budynek dookoła?

– Dwie trzecie budynku – skorygowała Majka. – Tyły tam są dostawcze, nikt ich specjalnie nie reklamuje. Ale nie dwie sztuki, tylko cała ekipa rozmaitych fachowców i tym podobnych. Na dwie zmiany.

– To dlaczego słyszymy wyłącznie o zębatym Haraldzie?

Majka westchnęła.

– Bo wyłącznie Haralda udało mi się zmusić do katorżniczych wysiłków prawie bez przerwy. Skłonić podstępem.

– Jakim podstępem? – zaciekawiała się Krysia.

Dominik był jej wdzięczny za to pytanie, bo też go zainteresował rodzaj podstępu. Zapomniał się jakoś i zjadł kawałek pasztetu. Okazał się doskonały. Dominik uwielbiał pasztety, zjadł zatem kawałek drugiego, a szansę miał jeszcze na rodzaj trzeci i czwarty. Majka wyjaśniała Krysi, jakie to sposoby należy stosować w razie potrzeby, zależnie od ludzkich charakterów.

– Harald kocha swoją pracę. Więcej, on ją uwielbia i jest z niej dumny. Wystarczyło go przestraszyć, że jeśli coś zaniedba albo zlekceważy, wszystko pójdzie na marne i już był gotów nie spać, nie jeść, nie odpoczywać...

– Bo przestraszyłaś go?

– Jeszcze jak! Łatwo mi przyszło, bo sama się bałam, żeby nie poszło na marne.

– Czy on jeszcze tu przyjedzie?

– Jeśli nam zlecą następną wystawę, możliwe, że tak. To znaczy, jeśli ja dostanę zlecenie, a on się okaże potrzebny...

Dominik poczuł nagle, że wcale sobie nie życzy, żeby ten cały Harald okazywał się potrzebny. Jemu był potrzebny jak dziura w moście. Uczucie było dziwne i niezrozumiałe, jakieś obce, nie pojmował go. Nie był pewien, czy należy z nim walczyć.

Zjawisko nie prezentowało żadnej niezwykłości. Najzwyczajniej w świecie nigdy dotychczas Dominik nie był zazdrosny o żadną żeńską istotę. Nie było tych żeńskich istot tak znowu wiele, wszystkiego raptem trzy sztuki, jedno zauroczenie w szkole, jedno na studiach, a potem już Majka, ale w żadnym z tych wypadków nawet nie zaświtało mu w głowie, że któraś z nich mogłaby woleć kogoś innego, nie jego. Że jakiś obcy palant mógłby zwrócić na siebie jej uwagę, mógłby uczynić zamach na osobistą własność Dominika, a ona... A ona co...? Mogłaby uszczknąć coś Dominikowi i obdarzyć tym palanta...?!

Taka możliwość po prostu nie istniała. I dlatego Dominik nie miał zielonego pojęcia, że najzwyczajniej w świecie jest zazdrosny. O Haralda, który powinien nie mieć w ogóle żadnych zębów. A jeśli już, to wszystkie z próchnicą i zapaleniem okostnej. Ewentualnie krzywe.

Instynktem, najprawdopodobniej zwierzęcym, węchem psa tropiącego, Majka wyczuła osobliwe doznania, błakające się po dnie jestestwa Dominika, i wpadła w szampański humor. Haraldowi gotowa była rzucać kwiaty pod nogi i gotować flaki codziennie... zaraz, spokojnie. Nie gotować, tylko przyprawiać. Kupować, przechowywać i przyprawiać w natchnieniu. Zawozić do Sztokholmu legalnie, lub nie, bez znaczenia. Nawet prawie iść z nim do łóżka, chociaż to, na szczęście, raczej nie wchodziło w rachubę, wikingowski temperament lokował się raczej w ramionach machających mieczem, z lekkim zaniedbaniem innych części kadłuba. Przy takim, na przykład, Włochu byłoby gorzej.

Okiem nie mrugnęła, przesadnej euforii nie okazała, wciąż traktowała Dominika jak coś żywego, co siedzi i nie zawraca głowy. Element wyposażenia jadalni. Do satysfakcji miała prawo, więc po prostu była coraz bardziej zadowolona. Dzieci ogromnie ciekawiło podwójne oblicze

ekspozycji, tu kolorowe szmaty, tam urządzenia techniczne, podobało się to i Krysi, i Tomkowi.

Ktoś zadzwonił do drzwi, element wyposażenia odruchowo poszedł otworzyć, co mieściło się w obyczajach i normach. Z przedpokoju dobiegł głos Nowakowej.

– O, jak dobrze, że pan jest, ja tę bułkę przyniosłam, bo taka ilość to już przesada, żeby tak ciągle nie oddawać. Pani Majce w każdej chwili może być potrzebna. Pani Maj... o, słyszę, że też jest, no to wszystko w porządku, bo tego pirata chyba już nie ma? No, jakby mój mąż takiego wojownika morskiego w naszym domu zobaczył, to rany boskie, zadyma na sto fajerek. Panu tylko pogratulować, święty człowiek, ale pani Majka zasługuje... Proszę, w pańskie ręce, nie przeszkadzam i dziękuję stokrotnie!

– Drobnostka, nie ma za co – powiedział Dominik głucho jakoś, pod nosem i niepotrzebnie, bo za Nowakową zamknęły się już drzwi.

Został w przedpokoju z dużym słoikiem bułki tartej w rękach i przez moment nie wiedział, co ma z tym fantem zrobić. Po krótkiej chwili zadziałał kolejny odruch.

Nie zastanawiając się, wszedł do kuchni i postawił słoik tam, gdzie wielokrotnie stawiał rozmaite rzeczy, na szafce, na samej górze.

I znów nie wiedział, co ma zrobić.

Gorzej, nie wiedział, co CHCE zrobić.

– Jak będę starszy, to też dosięgnę – dobiegł z jadalni zacięty głos Tomka.

– Ja też – postanowiła Krysia troszeczkę niepewnie i z lekkim znakiem zapytania na końcu.

– Ty nie – zaprzeczyła stanowczo Majka. – Metr osiemdziesiąt trzy to dla dziewczyny stanowczo za dużo.

– A modelki...?

– Przecież nie chcesz być modelką? – wytknął Tomek.

– Ale one są wysokie.

– To tylko kłopot – wtrąciła się Majka. – Wysoka dziewczyna i niski chłopak to strasznie głupio wygląda. Z całą stanowczością ostrzegam cię, żebyś w razie wychodzenia za mąż, broń Boże, nie brała sobie za męża niewyrośniętego kurdupla... nie słuchajcie dzieci, chciałam powiedzieć karzełka.

Dzieci nie poświęciły uwagi słownictwu.

– Harald jest porządnie wyrośnięty – zauważyła Krysia z podejrzaną satysfakcją.

– Chcesz wyjść za mąż za Haralda? – zgorszył się Tomek.

Dominik w przedpokoju zgorszył się bardziej i uczynił krok w kierunku jadalni. Nie zdążył ust otworzyć, bo znów wtrąciła się Majka.

– Chcieć oczywiście możesz, ale nic z tego nie będzie. I od razu ci powiem dlaczego. Ponieważ, kiedy ty będziesz się nadawała do wychodzenia za mąż jak człowiek, a nie jak idiotka, Harald już dawno będzie żonaty i będzie miał dzieci w wieku szkolnym, może starsze niż ty w tej chwili. I będzie ci się wydawał starym przykiem. Spróbuj to przemyśleć. Liczyć umiesz. Niemożliwe, żeby dzieci waszego ojca nie umiały liczyć.

Przez ułamek sekundy Dominik zastanawiał się, kto też jest ojcem tych dzieci. A, prawda, on sam. Co do tego nie istniały żadne wątpliwości, zbyt były do niego podobne. Krysia podjęła proces myślenia. Kawałkami. – Może się rozwieść – oznajmiła. – Tatuś mówi, że rozwód to nic takiego i teraz się można rozwodzić. A kiedyś nie było można i to było coś okropnego.

Majce zrobiło się czarno przed oczami. Wystrzelić zza stołu ze strasznym krzykiem „ty świński ryju!!!”, kropnąć w ten odmóżdżony łeb

kryształową paterą ze srebrnym okuciem, przejechać pazurami z góry na dół po głupiej mordzie...

Z całej siły uchwyciła dłońmi blat stołu i po chwili świat wrócił na swoje miejsce. Wydobycie z siebie głosu kosztowało ją jeszcze więcej. Dzieci... Gdyby nie dzieci... Nagle zrozumiała Medeę.

W powietrzu na ułamek sekundy pojawiło się coś takiego, że dzieci znieruchomiały. Dominik w przedpokoju również to odczuł, może nawet bardziej, bo mimo odległości, kierunek był na niego. Stanowił cel. Nie uświadomił sobie tego oczywiście, niczego sobie nie uświadomił, obsesje mają swoją moc, ale energicznie wszedł do jadalni. Odchrząknął. Dostatecznie gromko, żeby odblokować dzieci.

– Wszyscy chcą herbaty? – spytał miło, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

– To ja zrobię razem z tobą – zaofiarował się natychmiast Tomek, pełen ulgi, że jakieś coś, co chyba go śmiertelnie przeraziło, nagle przeszło. Nie wiedział co to było i nawet nie usiłował zastanawiać się nad tym. Zgarnął na tacę szklanki.

Majka przemogła komplikacje akustyki wewnętrznej.

– W lodówce mam szampana – rzekła, przy czym dźwięk jej głosu kojarzył się silnie ze skrzypiącym drewnem. – W tym domu znajduje się dorosła osoba. Mnie dzisiaj spotkał ogromny sukces. Synku, dopilnuj, żeby ta dorosła osoba, doskonale ci znana, wyciągnęła tego szampana z lodówki i zrobiła co trzeba, żeby mnie uczcić.

Z każdym słowem jej głos się zmieniał, pod koniec wypowiedzi dźwięczał już spiżem, z wyraźną domieszką srebra. Tomek zachichotał. Dominik miał absolutny słuch, sam dźwięk dotarł do niego niczym trąby na sąd ostateczny, względnie te od murów Jerycha, coś go ścisnęło wszędzie, poczuł protest wrzeszczący, ale bezradny. W rozpaczy przypomniała mu się

nagle obca osoba, ależ owszem, oczywiście, obcej osobie można zrobić taką przysługę, każdą przysługę, jak dżentelmen damie...

Poczuł ulgę tak wielką, że prawie odzyskał połowę człowieczeństwa.

I wreszcie dzieci poszły spać.

* * *

– Kupiłam samochód – powiedziała Majka, kiedy Dominik wszedł do kuchni z myślą o nowej herbacie. Siedziała przy kuchennym stole, na którym stał talerzyk z resztą serków i dwie szklanki, jedna pełna przed nią, a druga pusta i czysta. Postanowiła zachowywać się normalnie i zwyczajnie, ciekawa, co Dominik robi. – Jak myślisz, co lepiej? Zostawiać go przed domem czy w garażach firmy?

Dominik zatrzymał się w drodze ku czajnikowi. Samochód był elementem neutralnym i pod każdym względem interesującym. Wstrząsnęło nim z lekka, wszak nie dalej jak dziś nawiedziła go myśl o użyteczności pojazdu, w którym mieściłyby się dzieci razem.

– Dzieci jeszcze nie wiedzą?

– Nie. Nie poszłyby spać, a jestem zmęczona. Nawet nie wyjęłam reszty rzeczy z bagażnika. Myślisz, że ukradną?

Temat był tak życiowy, a zarazem tak obcy wszelkim uczuciowym turbulencjom, że we wnętrzu Dominika dokonał się gwałtowny przewrót. Woda w czajniku jeszcze szumiała, gotowała się przed chwilą. Odruchowo sięgnął po pustą szklankę i nalał sobie napoju.

– Jeśli postawiłaś na parkingu, nie powinni. Ten cieć jednak pilnuje.

– Na parkingu i nawet załatwiłam z cieciem. Dlatego nie przyniosłam reszty bagażu, miałam dosyć latania tam i z powrotem.

Dominik usiadł przy stole.

– Garaże są zapchane.

– Wiem. I daleko. Znów latać tam i z powrotem? To nie, zostawię tutaj. Ubezpieczyłam go na wszystkie możliwe strony.

– To świetnie – pochwalił uprzejmie Dominik, ale typowe męskie ciągoty nie popuściły. – A co właściwie kupiłeś?

Nie jest wykluczone, że nawet z głową na pniu katowskim spytałby kata, jaki też pojazd nabył ostatnio, gdyby dobiegło go mamrotanie oprawcy do pomocnika na motoryzacyjny temat. Majka topora w dłoni nie dzierżyła i w ogóle była przecież obcą osobą...

Obca osoba chętnie opowiedziała wszystko, co dotyczyło nabytku, trzymając się ściśle tematu i udzielając przy okazji wiadomości praktycznych o stanie dróg w ojczystym kraju. Ze szczególnym uwzględnieniem braku dojazdu do czynnych stacji benzynowych. Perypetie obcej osoby Dominika właściwie nie obchodziły, nie miały prawa obchodzić, ale wydarzenia i zjawiska ogólne, które mogły wszak dotknąć każdego...?

Dziwny przewrót się utrwał. Innych osób, takiego Jurka, Pawła, Stefana, Elżbiety, Dominik słuchałby chętnie, może nawet z przyjemnością. Lubił ich wszystkich. Obcą osobę... zaraz. Właściwie... obcą osobę... też powinien lubić. Nie było powodu, żeby nie. Zachowywała się bez zarzutu. Nie, inaczej... No dobrze, wcale się nie zachowywała. A ze względu na dzieci... Gdyby to była opiekunka do dzieci, należałoby ją aprobować i lubić, w przeciwnym wypadku powinno się ją zwolnić, szukać drugiej... Coś okropnego!

Z tajemniczych przyczyn nie przyszło mu do głowy, że opiekunką jego dzieci mogłaby być Kręcidupcia. Jakoś nie pasowała. Ogólnie biorąc, Kręcidupcia chwilowo zeszła ze sceny i oczekiwała swojego powrotu na tron gdzieś za horyzontem, co zdecydowanie ułatwiało sytuację.

– Czy mógłbyś mi wyświadczyć przysługę i przynieść te rzeczy z bagażnika? – spytała z żalnym westchnieniem opiekunka do dzieci. – Tam są książki, to cholernie ciężkie. Z brzegu stoję, volkswagena przecież rozpoznasz, a tu masz numer rejestracyjny. I kluczyki.

Przewrót w Dominiku zaparł się i trwał na stanowisku. Wulkan w głębi zdecydował się zaczekać i poniechał wypychania korka, zatykającego krater. Oczywiście, że mógł przynieść ciężkie rzeczy, skoro znajdowały się pod nosem, to było normalne, nie przestał przecież być mężczyzną. Podniósł się dość ochoczo.

– Dwie paczki i mała walizka – dodała jeszcze Majka.

A potem okazało się, że łóżko turystyczne gdzieś się podziało. Zdenerwowany wszystkimi kataklizmami z powrotem łajdaka kanadyjskiego na czele Dominik zapomniał je znaleźć wcześniej i spał zwyczajnie na tapczanie. Teraz też bez zastanowienia, przepelniony tematyką motoryzacyjną, położył się na tapczanie, obok obcej osoby i opiekunki do dzieci...

Która właściwie nie stwarzała żadnych problemów...

* * *

– Pęknię – oznajmiła Bożenka, wchodząc... nie, nie wchodząc, wdzierając się do przedpokoju Majki. – Będę wypuszczała z siebie wiadomości nie tylko gębą, także nosem i uszami, a czym ci będę zadawać pytania, sama już nie wiem. Może na migi. NO I CO?!!!

Majka miała gotowe rozmaite napoje, także przystawki, bo spodziewała się jej wizyty.

– Rozumiem, że jest to pytanie, a nie wiadomość. Odpowiedź brzmi: no i w ogóle WSZYSTKO!

Bożenka też zrozumiała. Ogólnie. Tym bardziej spragniona była szczegółów i jeszcze bardziej tego wypchnięcia z siebie sensacji, narosłych w czasie nieobecności Majki. Pora dnia sprzyjała swobodnej pogawędce, dzieci po odwaleniu wszystkich obowiązków zakotwiczone u przyjaciół w najbliższym sąsiedztwie, Dominik niewątpliwie w pracy, w domu święty spokój. Można było nawet usiąść przy jadalnym stole.

– Znaczy, ja jestem bardzo mądra – wyraziła swój prywatny triumf Bożenka, wyciągając z torby dwa kontrastowe szkła, czerwone wino i szampana. – Do ust nic nie wzięłam jak cię nie było, nie miałam kiedy, a teraz zgadłam, że na zimnego szampana za długo trzeba czekać, a na czerwone wino wcale. I zamówiłam Janusza, ma co robić, grzebie w warsztacie kumpla, tego Rysia, znasz go, więc nawet jest blisko. Mów! Ty pierwsza, bo moje końca nie ma!

Majka zaczęła właśnie od końca, przystępując zarazem do nalewania napojów.

– Martwię się trochę. Nie jestem pewna, ale chyba Dominikowi charakter się zmienił.

– O...?

– No właśnie. Przez całe życie był nienormalnie wiernym mężem, jedna kobieta na całym świecie, a teraz zaczyna zdradzać swoje bóstwo...

Bożenka zakrztusiła się pierwszym łykiem kawy.

– Jakie bó... Co ty... Kręcidup...?! Z kim...?! Skąd wiesz...?!

Mimo chrypięć i pokasływań, tekst był zrozumiała. Majka napełniła kieliszki winem. Chwilę milczała.

– A jak ci się zdaje...?

– No nie. To jest zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe! Niech ja pierzem porosnę, ta Anusia jest jednak sto razy rozumniejsza niż się

wydaje! Przewidziała coś takiego! Nie, czekaj, znaczy mów dalej, mojego będzie dużo i widzę, że coraz więcej!

W Majce zagrała ciekawość jak w koniu śledziona. Należało zaspokoić Bożenkę, inaczej nieszczęsna ciekawość mogłaby czekać do uśmiechniętej śmierci. Dokonała dzieła, koncentratem sukcesów usatysfakcjonowała Bożenkę. Bożenka słuchała chciwie i pęczniała coraz bardziej.

Przeszły wreszcie do tego co tu, korek z krateru wyskoczył samodzielnie, lawa ruszyła.

– No i popatrz, Anusia to przepowiedziała, Kręcidupcia jest głupia jak próchno, gęś odmóżdżona, mieszkanko po tym półgłówku od portfela, ciepłe gniazdko, obiecała mu wygibasy jak wróci, chora krowa, w pierwszej chwili już ma Dominika, już mu stwarza raj na ziemi, ale gdzie rozwód, Dominik ani drgnie, no to zastosowała swoją genialną metodę, gównu mu da, a nie swoje wirniki, za drętwą glistę zaczęła robić, tę taką od gwałtu, albo całkiem nic, nadęta i obrażona, ale tyłkiem kręciła, o mało jej się nie oderwał, Dominika zaczął szlag trafiać coraz większy, a to już dawno było widać, od samego początku, coś go w tym rajku uwierało aż świst się rozlegał, każdy jełop to zauważał, tymczasem proszę bardzo, drewniany Kanadyjczyk po genialną obietnicę wcześniej wrócił, no i klęska, bo nie ma gdzie się pogzić, Dominik znów w domu i pierwsze co Anusia zgadła, to właśnie to, rozparzonego chłopca z jego własną babą zetknąć, to już mądrość wszechświatowa, większej jeszcze nie było...

Zemocjonowana Bożenka działała na wszystkich frontach równocześnie. Degustowała przystaweczki, popijała kawę, herbatę i wino, i ciągnęła relację z całkowitym lekceważeniem kropek, dla złapania oddechu posługując się przecinkami. Wreszcie ją na moment zatchnęło. – Z czego wynika, że sama sobie napaskudziła – ucieszyła się Majka. – Gdyby nie

wystawiła faceta rufą do wiatru i nie składała głupich obietnic, może by dłużej posiedział za oceanem?

Bożenka odzipnęła, przełknęła kawałek pasztetu, popiła winem i energicznie pokiwała głową.

– A jak? Głupota zawsze się mści. Z nadgorliwości za porządnie swoje uroki roztoczyła i głupek złapał wirusa. W tej Kanadzie najwidoczniej na same drętwe dziewczuchy trafiał...

– Jakie dziewczuchy, puknij się. Do wyrębu lasu baby niezdatne, a jak się jaka przytrafi, to Horpyna przy niej nimfa i sylfida!

Bożenka ze skruchą i bez namysłu zreflektowała się, poparła pogląd Majki. Rzeczywiście, coś jej się pomyliło, zapomniała o rodzaju pracy zarażonego wirusem półgłówka. Czy może ofiary. Tak, stanowczo, zarażonej i wyrolowanej ofiary, która, spęczniała niecierpliwością, skróciła pobyt i przyjechała odbierać dług!

– Ciekawe, jak w tym się zmieści Dominik – mruknęła Majka zjadliwie.

Bożenka prawie podskoczyła, w ostatniej chwili chwyciła zepchniętą łokciem filiżankę po kawie, ruszyła w niej nowa fala.

– Oj, czekaj, bo ona w nim zazdrość budzi! Nie zdążyłam ci powiedzieć! Majka sięgnęła po termosowy dzbanek.

– Kto w kim? Dobrze, że była pusta, doleję ci kawy...

– Lej co popadnie! Nie uwierzysz! A ja na własne oczy widziałam! Kręcidupcia w Dominiku!

Za wyjątkowo pomyślną okoliczność Majka uznała fakt, że zdążyła nalać kawy i odstawić dzbanek. Jeszcze trzymała ucho w ręku. Rozwarła dłoń bardzo ostrożnie, bo tego dzbanka naprawdę byłoby jej szkoda.

– Powiedz to jeszcze raz, porządnie i od początku – zażądała. – Ta wizja mnie ogłusza, zwracam ci uwagę, że jedną z *dramatis personae* znam od ładnych paru lat. Chcę to ujrzeć oczami duszy!

– A warto, warto – zapewniła skwapliwie Bożenka i na nowo rozpoczęła relację bez kropek. – Bo może jeszcze nie wiesz, ale ciągle jest pogoda...

– Pogodę zauważyłam – wtrąciła sucho Majka.

Bożenka na wtret nie zwróciła uwagi.

– ...więc nie dość, że barak gospodarczy już stoi i prawie wszystko w nim działa, sanitariaty jeszcze kończą, ale architekci dają techniczny kawałkami, wstępny mają zatwierdzony, wykonawca tajemniczym cudem ma obiecane zezwolenie bez względu na wszystko, inwestor chyba dał łapówkę awansem, więc ruszyły wykopy, lada chwila będą mogli jawnie wychodzić z ziemi, ale nie w tym rzecz, w pierwszej kolejności wodę robią i ja muszę pilnować tej hydrauliki pazurami i zębami, więc łatwo zgadniesz, że ciągle tam jestem...

– I Zdziś – zgadła nagle Majka, co przerwało upusty Bożenki.

Odsapnęła, zwolniła tempo i poddała się znakom przestankowym.

– No i popatrz, jaka ty czasem rozumna jesteś. Zdziś, główna postać, Posejdon do tej wody, można powiedzieć. Neptun z trójzębem. A w charakterze pomocy technicznej, rzecz jasna, któż by inny, jak nie Kręcidupcia.

– Ciekawe, swoją drogą, jak mu się udaje tak ją sobie załatwiać. Zdawało mi się, że jest do ogólnego użytku?

– Jak to? – zdziwiła się Bożenka. – To nie wiesz? A, nie wiesz, nie było cię przy tym. Bo jak przyszła, przeszło dwa lata temu, to właśnie została przydzielona sanitarnym, bo w ogóle to Zdziś ją zaprotegował.

– Na własną zgubę...

– I urzędowo on ma do niej pierwszeństwo, chociaż faktycznie rozlazła się po całej firmie. Mnie te rzeczy wpadają czasem w oko i w ucho, bo ja mam pracownię w firmie, a nie w domu, tak jak ty. Nie zgłupiałam do tego stopnia.

Przeciwko wyraźnej naganie Majka stanowczo zaprotestowała.

– Za to błąkasz się po plenerach wiosna–lato–jesień–zima...

– A ty może nie, co?

– Ja pod dachem! Że już nie wspomnę o takim drobiazgu jak dzieci.

Bożenkę nagle zastopowało. Odchrząknęła. Napiała się wina, poprawiła herbatą.

– A... No tak. Między nami mówiąc, zdecydowałam się i zobaczymy co z tego wyniknie. Myślisz, że też będę musiała... Cholera, zabraknie mi co najmniej jednego pokoju. To co ja zrobię?

Przez chwilę Majka czuła się lekko otumaniona rozmnożonymi znieścacka problemami. Skupiła się, zmartwioną Bożenkę należało czym prędzej ustawić do pionu, bo najwyraźniej w świecie umykał jej temat, z którym tu wtargnęła.

– Po pierwsze, to nie tak zaraz – rzekła surowo. – Po drugie, na lunaparku całkiem nieźle zarobimy i będziesz mogła rozszerzyć siedzibę. A po trzecie, to co dalej z tym budzeniem zazdrości, bo mi urwałś w połowie sensacyjny utwór i spać nie będę mogła. Wina mamy więcej, nie musimy sobie żałować. Serek też jest. Wracaj do równowagi, bo jak o czymś zapomnisz i nie powiesz, też spać nie będziesz mogła.

Bożenka rozpogodziła się z łatwością.

– Przypomnę sobie i zadzwonię do ciebie na przykład o trzeciej w nocy, to też przyjemność. Ale masz rację, ogólnie to jest duża rzecz, bo przez dziesięć lat pracy jeszcze nie widziałam, żeby do tego stopnia projektanci plątali się pod nogami wykonawcy w tej fazie projektowania. Wszyscy pilnują wszystkiego, to przez nośność gruntu, konstruktorzy głównie się trzęsą, żeby im te ruchome bałwany nie wlażyły w miękki teren. Andrzejek tam wziął duży rozmach, a Dominik z Jurkiem trzymają go za gardło. No i rozumiesz, co i raz to Kręcidupcia i Dominik w tym samym punkcie kuli

ziemskiej się spotykają i patrz sama, coś straszego. Żaden z nich na Kręcidupcię nie zwraca uwagi...

– A ją za gardło trzyma Zdziś, mam nadzieję...?

– Usiłuje. Bardzo starannie usiłuje, ale gdzie ty znajdziesz gardło u glisty? Kręć porządnie, bo odetchnąć nie zdąży, a we mnie takie rozrywkowe chęci się lęgną. Kto wie, może to już ostatnie chwile?

Bez najmniejszego trudu Majka odgadła, że Bożenka nie ma na myśli swojego śmiertelnego zejścia, tylko ewentualne i przewidywane potomstwo. W ciąży alkoholu używać nie należy. Przyśpieszyła otwieranie drugiej butelki wina.

– Ona mu się wypsmyka i co?

– I Dominikowi pcha się na oczy. Ale wyraźnie jest na niego obrażona, więc do niego nie kręci. Za to jak wściekła kręci do każdego, kto się napatoczy, a tam już ludzie robią. I tylko patrzy, czy Dominik widzi, a Dominik ogólnie zły jak cholera i słowo ci daję, widziałam to przedstawienie na własne oczy!

Popatrzyła na otwartą już butelkę, zawahała się nad swoim kieliszkiem, po czym z determinacją opróżniła go do końca. Majka niecierpliwie oczekiwała dalszego ciągu.

– No! Gdzie szczegóły tego przedstawienia?

– Oddychać może i w mniejszym naczyniu – zdecydowała Bożenka i podsunęła jej opróżniony kieliszek. – Mam nadzieję, że to jest to samo?

– A co ty sobie wyobrażasz, że ja tu robię degustację? Nie przewidziałam aż takich atrakcji, kupiłam jednakowe. Wal ciąg dalszy!

Bożenka sapnęła z satysfakcją, usadowiła się wygodniej, oddychający kieliszek przysunęła bliżej siebie.

– Znów nie uwierzysz, ale Dominik ma konkurencję. Ludzie, mówię, robią różni, jak leci, niewykwalifikowani i fachowcy, głównie przy

wykopach, przy wodzie, koparka tu na nic, koparką odwalają normalne wykopy...

– Bożenka, opamiętaj się – zdenerwowała się Majka i oddychającego wina dołała także i sobie. – Ja znam ten teren i wiem co mogą robić koparki. Odczep się od szczegółów technicznych, ja chcę szczegóły ludzkie!

– Kiedy szczegóły techniczne też ważne – usprawiedliwiła się żałośnie Bożenka. – Jak ja ci to mam opisać, należało kamerą kręcić, a mnie przywieźli dwa czerwone klony, żeby już zaczęły rosnać, a nie żadną kamerę. Może zdjęcia Luizy coś dadzą, bo szarpali ją na wszystkie strony, każdy chciał mieć dowód naoczny. Przecież... no właśnie, sama wiesz!

Owszem, Majka wiedziała doskonale.

– W razie jakby co, żeby nie było na niego – zaopiniowała z pełnym zrozumieniem. – No trudno, musisz słowami. Stanęłaś na konkurencji dla Dominika.

– Ach, jaka mordą! – rozpromieniła się Bożenka, co Majkę nieco zaskoczyło. – Akurat stałam nad takimi dwoma, mały przekopek robili do rzeczki, to tam na samym końcu, nikt już tego nie spaskudzi, umacniali, co mi szkodziło przypilnować, i taki jakiś do nich przyszedł. Kumpel, z wizytą. Taki był piękny, że może się przyśnić i z łóżka uciekniesz, gwarantuję, że z krzykiem. Ale żaden potwór, całkiem sympatyczny, podsłuchałam jak gadali, zrozumiałam, że telewizja go zatrudnia do jakiegoś serialu, gdzie wszystko straszy, w tym on, samą gębą. Horror znaczy. Więcej nie słyszałam, bo nadleciał Zdziś i było tak... Czekał, chyba w punktach ci powiem. Zdziś chce przepływ dołem. Ja chcę mostek, przepływ niech ma, mnie nie przeszkadza. Do mostka potrzebny Dominik... – ja streszczam – zastrzegła się. – Nie Dominik osobiście, konstruktorzy.

Majka słuchała pilnie.

– Zwodzony?

– Nie, stały. Do zwodzonego ciągnęłabym Dominika. Ale i tak się napatoczył, Zdziś go przywłókł, konstruktorzy mają grunt rozpracowany do ostatniego centymetra, nie chcą, żeby im coś usiadło, fanaberie mają takie. Czekał, teraz było piękne. Ten z mordą odchodzi. Kręcidupcia też odchodzi, nadęta. Dominik sprawdza na tym swoim komputerku, mówi, że może być, też odchodzi. Ten z mordą stoi sobie kawałek dalej, Kręcidupcia obraca się głową do Dominika, a tyłkiem do pięknisia i wprawia wiatrak w ruch, ale jak! Zielska się ugięły! Zdzisiowi szczęka opadła, a Dominik okiem przeleciał i nie zauważył. I poszedł sobie...!

– A ty...?

– ...Szybkim krokiem – uzupełniła z rozpędu Bożenka. – Ja nic, stałam i próbowałam nie mrugać.

– A ten prześliczny?

– To było najdziwniejsze. Stał, patrzył i też nic. Nawet mu na tym pysku nie drgnęło, jak na drewno, jak na... ja wiem? Kosz na śmieci. Przystanek autobusowy, który tam się znajduje, gdzie powinien i nic dziwnego w nim nie ma. Ja nie wiem, na co można patrzeć aż tak strasznie bez wrażenia.

– Może już widział...?

– Wiesz co? – rozgniewała się Bożenka. – Nie on jeden już widział, więcej było takich co widzieli i ciągle im oko bieleje...!

Majka usiłowała znaleźć wyjaśnienie.

– Czekał. Może to tak, jak na tej Rzeszowszczyźnie. Z jakichś okolic pochodzi, gdzie takich tyłków jest od groma i trochę, więc patrzył na nie od urodzenia? Żadne dziwo dla niego.

– Nie ma takich okolic na świecie – zaopiniowała gniewnie Bożenka po krótkim namyśle. – Ale cicho bądź, bo to nie koniec. Łatwo zgadniesz, że zaczęłam za nimi latać, za tą owcą, za mordą i za Dominikiem. Cały czas

było to samo. Głowę prawie na pniu położę, że ona sztuki wyczyniała takie, żeby Dominik ją od frontu widział, a ten rywal od tyłu i majtała tak, że latało na boki!

– A rywal?

– A rywal nic. Patrzył. Jak drętwy pień.

– A Dominik?

– A Dominik jeszcze gorzej. Jak wściekły piorun, w zębach mu zgrzytało, to już nawet Jurek zauważył, że Kręcidupcia sztuki pokazuje i coś powiedział, ale nie wiem co, bo byłam za daleko. A Dominik wyglądał, jakby go miała zaraz apopleksja trafić, ale na nią nawet nie spojrzał. A tego z mordą w ogóle nie dostrzegał, jakby go wcale nie było. Czekał, bo to nie koniec, mówiłam, że mam dużo, Luiza tam przecież była.

Luiza Majkę bardzo zainteresowała.

– I co? Patrzyła?

– Jeszcze jak! Oka od nich wszystkich nie oderwała i zdjęcia robiła aż klekotało. Na cztery strony, bo dla niej jeszcze i Zdziś do kompanii wchodził. Prawdę mówiąc, z nich wszystkich tylko Zdziś miał ludzką twarz i latały mu po niej zmiany atmosferyczne, a Kręcidupcia posunęła się tak daleko, że nawet i do niego pomajtała rekordowo jak Dominik patrzył w jej stronę. Ale nie na nią!

Triumf i satysfakcja wręcz zagrzmiały w głosie Bożenki, co najmniej tak, jakby się z kimś o coś dużego założyła i wygrała zakład. Majka oczyma duszy wyraźnie widziała opisywane sceny, pomyślała, że warto byłoby nawiązać prywatny kontakt z Luizą i obejrzeć jej zdjęcia. Bożenka może... O, Anusia! Anusia ma nawiązany...

– I głowę daję, Dominik jej się nieposłuszny zrobił, więc obraziła się i postanowiła w nim tę zazdrość wzbudzić – dokończyła Bożenka z jeszcze większym triumfem.

– No to się wybrała z motyką na słońce – mruknęła Majka.

Zaczęły wracać dzieci w krótkim odstępie jedno po drugim, cudowne opisy dramatycznych scen uległy zatem lekkiemu przystopowaniu. Dzieci jednakże nie były kłopotliwe, kolację znalazły przygotowaną w kuchni, do Majki pilnych interesów nie miały, a spać potrafiły iść same razem z myciem i porządkami osobistymi. Majka nie wytrzymała.

– Za każdym razem, jak oni sprzątają po sobie – powiedziała tkliwym głosem do Bożenki – i robią wszystko co trzeba, panu Bogu dziękuję za Dominika, bo mają to po nim. Odruchowe i chyba już w nałóg im weszło. I ty sobie wyobrażasz, że miałabym wypuścić go z ręki i oddać jakiejś głupiej pluskwie!

– Nic podobnie idiotycznego sobie nie wyobrażam! – zaprotestowała Bożenka z szalonym oburzeniem. – Za kogo mnie masz? Czy ja zaczynam kręcić tyłkiem?!

– No nie! Ale myślałam, że może się dziwisz.

– Nie. Ja cię podziwiam. I dlatego będę pilnować tej parszywej owcy do ostatniego tchu!

Przerwa na dzieci, mimo dzieci, wystarczyła jednak Majce do kilku szybkich przemyśleń. Podzieliła się nimi z Bożenką.

– Czekaj. Piękna morda mówisz, że z telewizji? A może tej debilce wpadło do łba też się wepchnąć na ekran? Protekcji szuka?

Bożenka pokręciła głową.

– Na protektora on się raczej nie bardzo nadaje.

– Ale ona o tym nie wie. I może kręciła nie przeciwko Dominikowi, a za telewizją? Bo Dominik na zazdrośnika nadaje się jeszcze mniej.

– Ale o tym ona już nie wie na pewno.

– Rozwód. Węszę w tym rozwód. On nie umie załatwić rozvodu ze mną i coś mi się widzi, że denna kretynka przestawiła mu coś w umyśle. Do tej

pory to ja stwarzałam trudności, a ona była świetlane bóstwo...

– A teraz trudności stwarza ona? – podchwyciła Bożenka z uciechą. – No to pomysł miała ekstra, wprost doskonały. Ciekawe, kiedy mu przejdzie...

– Zdzisiowi nie przeszło – zauważyła Majka ostrzegawczo.

Bożenka prychnęła wzgardliwie.

– Nie przeszło, nie przeszło. Kto tak powiedział? Na moje oko, on jest już więcej zdenerwowany i rozzłoszczony, niż zakochany. Głupi upór go trzyma.

– Dominika chyba też...

Żadnej z nich nie przyszło do głowy, że głupi upór owszem, trzymał, ale całkiem kogo innego i miał nieco odmienne oblicze.

– Jutro tam pojedę – zdecydowała Majka. – Spektakl chętnie obejrzę, ale poza tym jestem pewna, że Andrzejek już ma w zespole tylną ścianę tych budowli rozrywkowych, a ja je muszę zasłonić. No, upiększyć. Chcę porównać ze zdjęciami...

* * *

Architekci istotnie mieli już wstępny projekt tylnej ściany, nie zasługującej na miano elewacji, a Luiza nie miała nic przeciwko nawiązywaniu kontaktów prywatnych. Między obydwoma damami nie padło ani jedno słowo na temat osobistych dramatów uczuciowych, ale osobliwym przypadkiem Luiza miała przy sobie wydrukowane już zdjęcia z poprzedniego dnia. Rozsypały jej się jakoś niezręcznie na długiej ławie pod barakiem gospodarczym, gdzie wybierała podobizny owej tylnej ściany, i Majka uprzejmie pomogła je zbierać, jeszcze bardziej niezręcznie i okropnie długo. Ukrycie zachwytu kosztowało ją dość dużo wysiłku. Ta Luiza była genialna!

Śliczna morda niestety nie przyszła. Bożenka odnalazła tych dwóch, którym młodzieniec składał wizytę i bez trudu dowiedziała się, że dziś twarz z horroru pracuje, zatrudniony jest od rana nie wiadomo do kiedy. Dominika i Jurka zastępował Stefan. Był za to Zdziś wraz z wyjątkowo nadętą Kręcidupcią i Majce wystarczył jeden rzut oka, żeby stwierdzić, iż Kręcidupcia jest wściekła. Co znakomicie poprawiło jej humor.

Wczoraj Dominik wrócił do niechcianego domu nawet niezbyt późno, przed dziesiątą, i od razu usiadł do roboty. Turystyczne łóżko wciąż tkwiło gdzieś w zakamarkach apartamentu, nie zostało odnalezione, Dominik nawet spytał o nie półgębkiem, ale Majka wyjaśniła mu grzecznie, że jej osobiście niepotrzebne i nawet nie miała kiedy go znaleźć, więc jeśli chce, niech szuka. Dominik odparł na to, że nie ma czasu i zajął się pracą. Rzecz jasna, Majka również zdążyła usiąść do pracy i w rezultacie Dominik krótko po północy kropnął się do snu na tapczanie i natychmiast zasnął martwym bykiem. W pół godziny później Majka spokojnie ułożyła się przy jego boku i też zasnęła błyskawicznie, ukołyszana czarowną myślą, że Kręcidupcia byłaby chyba okropnie niezadowolona.

Rozdział od łoża, acz wciąż istniał, to jednak zaczął kuleć.

Rozdział od samochodu nie został uzgodniony, Dominik jednak charakteru nie zmienił. O poranku odwiózł dzieci do szkoły pojazdem mechanicznym, kluczyki i karta rejestracyjna zachęcająco leżały na stole, co wykluczyło głupie grymasy, bo oba te elementy dzieciom były doskonale znane. Wrodzona prawdomówność nie pozwoliła mu wmawiać w nie, że nie umie prowadzić samochodu. Kiedy jednak Majka wyszła z domu, volkswagen stał grzecznie na skraju parkingu, a karta rejestracyjna znajdowała się w schowku. Dominik nie posunął się do odnoszenia kluczyków do domu, ani do ukrywania ich pod którymś kołem, zabrał je po prostu ze sobą, ponieważ żadna ludzka siła nie wmówiłaby w niego, że

Majka nie ma zapasowych. Pewnie, że miała. Ten skromny dowód, iż nie zwariował zupełnie, a zachował odrobinę zdrowych zmysłów również stanowił dla niej pociechę.

Nadašana Kręcidupcia z całej siły, chociaż zapewne bezwiednie, dezorganizowała pracę personelu fizycznego. Kręciła odwłokiem przed każdym, kto jej się napatoczył i grupa przy wodzie ustawicznie popadała w osobliwe roztargnienie, jakby chwile bezwładu. W Zdzisiu gęstniały nerwowe drgawki, hydraulik od wykonawcy, nadzorujący roboty, okrzyki ponaglące pracowników wydawał z siebie potężne, ale kierowane w niewłaściwą stronę. Kręcidupcia, głucha na dźwięki, kręciła...

Pojawiła się Anusia, przyjechała do Bożenki z katalogiem krzewów i pilnym pytaniem. Bożenka porzuciła przedstawienie przy rzeczce i znalazła Majkę, w zadumie wpatrzoną w malowniczy teren od strony ulicy. Wizerunek przyszłej tylnej ściany w postaci bardzo długiej odbitki trzymała w rozpostartych rękach i usiłowała wyobrazić go sobie w naturze. Z wyobraźnią nie miała trudności.

Bożenka popukała ją w ramię.

– Ty, słuchaj. Przesłali mi katalog i muszę już teraz podjąć decyzję. Co byś powiedziała na tuje? Cała taka długa ściana tui, gęsta, nic za nią nie widać. I wysoka na sześć metrów, zasłania wszystko. Ciemnozielona. Co ty na to?

Majka popatrzyła na wszystko po kolei. Na Bożenkę, na otwarty katalog, na swoją odbitkę, na plener przed sobą i znów na katalog.

– A jak uschną i zbrązowieją? Widziałam takie, wyglądały obrzydliwie.

– Gwarantować nie mogę – zatroskała się Bożenka. – Chociaż tu właśnie proponują taki gatunek, który nie usycha i trzyma się wszędzie. Ale to pilne.

– Dlaczego pilne?

– Bo musiałabym posadzić na jesieni, a zamawiać trzeba już teraz, mało mają i hodują specjalnie dla klienta. Jak nie teraz, to za rok, zamówienie dziś, ostatni dzień.

Pełna wątpliwości Majka zawahała się.

– Skoro gwarantować nie możesz... Zaraz. A może nie tuje, tylko jałowce?

– Rozkrzewiają się.

– Nic podobnego. Te tutaj owszem, ale pod Puszcą Kampinoską na żywym piasku rosną jak słupy. I też wysokie. I też nie tylko osobiście widziałam, ale zbierałam z nich jagódki. Pokłamałam się bardzo porządnie.

– Nie wiem czy to akurat zaleta, ale... czy ja wiem? Mogą się zachować fanaberyjnie.

– Możliwe, że dla mnie to nawet lepiej – zastanowiła się Majka. – Osłona reklamowa nie musi być sztywna, asymetria miewa wdzięk. Pomyślmy jeszcze przez chwilę...

* * *

Po drugiej stronie terenu Kręcidupci znudziło się wszystko, nawet ulubiona gimnastyka, nie wspominając o głupich okrzykach i bezsensownych pretensjach. Bez słowa odłożyła na duży kamień najcięższe teczki z rysunkami i ruszyła w kierunku głównego wjazdu.

– Gdzie ty idziesz?! – wrzasnął rozpaczliwie Zdziś. – Potrzebna mi tu jesteś!

Kręcidupcia nawet się nie obejrzała. Wzruszyła ramionami i szła spokojnie dalej, bez zapału kontynuując kuszące tylne gesty. Pomijając wrodzoną małomówność, nie widziała żadnego powodu, dla którego miałaby informować świat, że wybiera się do toalety.

Anusia oczekiwała decyzji swojej szefowej przed barakiem gospodarczym, skąd miała niezły widok na dalszy ciąg terenu. Zauważyła odmarsz Kręcidupci.

Przyglądała się przez chwilę niegdysiejszej przyjaciółce z wyrazem twarzy mocno kontrastującym z przyjaźnią, po czym przeszła do pakamery hydraulików. Grupowy hydraulików w towarzystwie pomocnicy magazyniera nerwowo sprawdzał rysunki i porównywał je z wykazami materiałów zamówionych i otrzymanych.

– No nie ma, cholera, nie ma – mówił z wściekłością. – Albo ja ślepy jestem. Albo ty je gdzieś zapodziałaś, kurrr...nik pieprzony, zapotrzebowanie z wyliczeniem według rysunków, podpisane było, akurat rzeczy na teraz! I gdzie się, do nagłej krwi, podziało...

Pomocnica magazyniera była młoda, zaczerwieniona i zbuntowana.

– Ja przyniosłam wszystko! I krzyczałam do pana, żeby pan przyszedł, bo mi z rąk leciało, to mie...

– Nie rozedrę się na sztuki!

Obie skłócone osoby były Anusi doskonale znane. Wtrąciła się.

– Tu coś leży, panie Tadzio, w kącie. Nie wygląda na śmieć. Może to wasze? W tym bajzlu wszystko może zginąć.

Pan Tadzio i pomocnica magazyniera obejrżeli się. W pomieszczeniu istotnie panowało pobojuwisko, głównie kartonowo–papierowo–drewniane, z domieszką foliowych strzępów, różnych narzędzi i roboczej odzieży. Śmietnik tworzyło imponujący, czyściutki dokument pod ławką przy wejściu rzucał się w oczy. Pan Tadzio runął nań, chwycił.

– Rrrrany, jest! Zgubiłaś...

– Co zgubiłam, jakie zgubiłam, wyleciał mi! Jak wchodziłam! Ja nie mam trzeciej ręki!

– Wiatru jest trochę i mógł być przeciąg – zauważyła Anusia łagodząco.
– Drzwi trzaskają. Panie Tadzio, jak z wychodkami? Zrobiliście już wszystkie?

– A gdzie tam wszystkie – skrzywił się pan Tadzio, wracając do drewnianego stołu na kobyłkach i przeglądania papierów. – Po jednym na górze i na dole, a dwa jeszcze nie całkiem.

– To cztery będą? Po dwa na kondygnacji?

– No cztery, bo tu gęsto się robi. Na dole dla ludzi, a na górze dla personelu. Możliwe, że w środku roboty jeszcze trzeba będzie ze dwa kible dołożyć. Takiego wariactwa jak tu, to ja jeszcze w życiu nie miałem.

Anusia potwierdziła pogląd w kwestii wariactwa, wyraziła współczucie i wyszła. Nie słyszała już, jak pan Tadzio ostro nakłaniał pomocnicę magazyniera do poszukiwań pod ławką przy wejściu, na zewnątrz, bo może tam leży zbiorczy projekt elektryków i sanitarnych, sporządzony specjalnie po to, żeby sobie wzajemnie nie wchodzili w paradę. Tu go jakoś nie ma...

Kręcidupcia dotarła do budynku gospodarczego i od razu weszła na górę. Zamierzała skorzystać z toalety właściwie z nudów i dla urozmaicenia, ale na ostatnim stopniu schodów zastopowało ją. Z zewnątrz dobiegł narastający szybko dźwięk znany jej i upragniony bardziej niż cokolwiek innego. Ryk harleya. Natężenie wskazywało, że zbliżył się, już jest, przejechał przez bramę i znalazł się w środku. Dominik ruszył motor i przyjechał na teren budowy!

Kręcidupcia wahała się tylko przez króciutką chwilę. Zapominając o toalecie, zawróciła i rzuciła się na dół...

* * *

Bożenka z Majką zdecydowały się na jałowce. Nawet gdyby nie zachowały swojego dekoracyjnego oblicza, nie chciały rosnąć, albo w ogóle

zdechły, były łatwo dostępne, w przeciwieństwie do specjalnego gatunku tuj. A specjalne tuje...

– Kotłować się z nimi w razie czego, choćby i w ramach gwarancji, to ja nie mam cierpliwości i nad porą roku nie panuję – powiedziała gniewnie Bożenka i w tym momencie straszliwy krzyk poniósł się od budynku gospodarczego przez całe dwieście dziesięć hektarów terenu. Damski krzyk, wyjątkowo przenikliwy.

Na moment zamarło wszystko z silnikiem harleya włącznie, a potem prawie wszystko runęło w kierunku źródła krzyku. Prawie. Bożenka i Majka najpierw popatrzyły na siebie, a potem ruszyły wolnym krokiem, w pobliżu bramy zaś Dominik, jeszcze na motorze i podchodzący do niego Stefan znieruchomieli i ograniczyli swój udział w tej jakiejś katastrofie, do spoglądania z daleka.

Z baraku jako pierwszy wystrzelił pan Tadzio i dopadł krzyczącej osoby. Pomocnica magazyniera, już nie czerwona, a przeciwnie, bardzo blada, we łzach i jękach, miotała się pod ławką, usiłując zderzyć z nogi dymiący kozaczek. Wokół niej dymiło wszystko, śmieci, papiery, kawałki drewna, oraz projekt elektryczno-sanitarny. Śmierdziało ostro i przenikliwie.

Pan Tadzio ujrzał równocześnie dym i butelkę, i w mgnieniu oka odgadł, co się stało, aczkolwiek nie miał pojęcia, jakim cudem. Wszystko jedno, czort bierz, odpowiadać za to nie miał zamiaru. Pomocnica magazyniera zaniechała jęków, otworzyła usta i już nabierała powietrza do następnego krzyku. Pan Tadzio zatkał jej gębę ręką, równocześnie zszarpując z nogi szczątki dymiącego buta.

– Cicho bądź! Zamknij się! Nic się nie stało, nic ci nie jest, nie drzyj się, do pioruna! Cicho!

Trudności miał ogromne, bo zatykając źródło hałasu, zarazem z szaleńczym pośpiechem deptał i przysypywał ziemią, piaskiem i gruzem

wszystko co się dymiło, próbując zniweczyć wszelkie ślady występkę zanim ktokolwiek nadleci. Głównie brakowało mu kończyn, albo nie sięgał nogami tam gdzie trzeba, albo ręką do ust pomocnicy magazyniera. Osiągnął cel prawie w pełni wyłącznie dzięki temu, że zrezygnował z zatykania, pomocnicy magazyniera zaś samo bluźnierstwo odebrało głos. Rzeczywiście, nic się nie stało, nic jej nie jest, but jej dymił i parzył, szlag go trafił, przeraziła się śmiertelnie, walnęło ją w plecy, obryzgało czymś piekącym i to ma być nic...!!!

– Co to było? – spytało kilka osób równocześnie. – Co się stało?

– Nic – odparł energicznie pan Tazio.

– Wszystko! – wyszłochała równocześnie pomocnica magazyniera.

Sprzeczne informacje zwiększyły zainteresowanie. Nie było siły, coś należało wyjaśnić. Pan Tazio podniósł i otrzepał silnie zdewastowany projekt zbiorczy dwóch branż, zarazem zręcznym ruchem zagarniając czarną półlitrową butelkę. Nie miał rękawic ochronnych, wiedział na co się naraża, jednakże zaryzykował. Napatoczył mu się kawałek worka po cemencie, wystarczył.

– Wystraszyła się dziewczyna, ja chyba sam zaproszyłem ogień, a tu się benzyna komuś wylała i więcej krzyku niż czego... Już zgasło, nie ma o czym gadać. Chodź Mirka do środka, zobaczymy co nam się uda z tej odbitki wydoić.

Pomocnica magazyniera odzyskała już większość utraconego na chwilę wigoru. Zbuntowała się, stawiała opór.

– Ja butów teraz nie mam, prawie nowe kozaczki, w czym ja pójdę, mnie w plecy rąbnęło, na pewno mam coś złamane...!

– Stare, nie nowe. W gumiakach pójdiesz, nie będziesz tu siedziała całe życie, zaraz zobaczymy, co masz złamane...

– Pan mnie nie ciągnie, tu mnie sparzyło, o...!

– Zamknij gębę i chodź wreszcie, wodą się przemyje, rusz się, do cholery! A wy czego stoicie, do roboty wracać! Zaraz tam przyjdę!

Wlokąc pomocnicę magazyniera z powrotem do pakamery, pan Tadzio rozglądał się dyskretnie za korkiem, ten parszywy korek też trzeba zabrać, gdzieś tu powinien leżeć. W grupie widzów nikt nie zgłaszał zastrzeżeń, aczkolwiek woń skromnego pogorzelniska w najmniejszym stopniu nie kojarzyła się z benzyną, była raczej jakaś kwaśna. I żrąca. Ruszyli się jednak, przedstawienie traciło atrakcyjność.

Korek od czarnej butelki zachował się przyzwoicie, nie wypadł zbyt wcześnie, tkwił na swoim miejscu aż do chwili kropnięcia butelki w puchatą, sprężynującą nieco kurteczkę pomocnicy magazyniera, która, sama w sobie, też nie była twarda i sztywna. Odbiwszy się od tak elastycznych warstw, butelka trafiła dnem w dość miękkie podłoże i dopiero wtedy uprzejmy korek wyskoczył, butelka zaś potoczyła się łukiem, siejąc kropelkami jadowitej substancji, która natychmiast zaczynała dymić i śmierdzieć. Jeszcze jej trochę zostało, a butelka na szczęście wcale nie była pełna.

Kwas. Że to był kwas, pan Tadzio nie miał wątpliwości, niepewność żywił tylko co do pochodzenia kwasu i dlatego jego obecność z całej siły starał się ukryć. Miał obawy, że to może kierownik robót...

Podobno coś tu znaleźli, jakąś broń. Może chciał odebrać owej broni jej przyrodzony charakter, niszcząc ją kwasem solnym, siarkowym, azotowym, jaki mu tam pod rękę wpadł. Żelazo rdzewieje samo z siebie, kwas je wykończy do reszty i już nie ma o czym gadać. A wtrącenie się w sprawę jakichkolwiek władz urzędowych byłoby wręcz kataklizmem, wstrzymałoby roboty, przedłużyłoby wszystko. To nie państwowa autostrada, żadnych przetargów, żadnych idiotycznych oszczędności, tu się pracuje, świętością jest termin! A żywe pieniądze świecą na horyzoncie.

W dodatku diabli wiedzą, czy jeszcze gdzieś czegoś nie znaleziono...

Bo jeśli nie kierownik, to kto do ciężkiej zarazy i po jaką cholere? Nie daj Boże, rozlałoby się szeroko i kto by odpowiadał? Ten, kto był na miejscu, znaczy on osobiście. Akurat, już się rozpędził, leci jak wół do karety...

Teraz należy tylko ukoić pretensje i żale pomocnicy magazyniera i wszystko będzie dobrze.

Pomocnica magazyniera łaskawie przyjęła solenną obietnicę nabycia nowych kozaczków za pieniądze hydraulików i zgodziła się zostać odwieziona do domu w cudzych gumiakach. Wysłuzonym opelkiem grupowego hydraulików odwiózł ją najprzystojniejszy z grupy roboczej. Po drodze oprzytomniała do reszty i bardzo zręcznie pozbyła się ocalałego buta, wyraźnie mającego już nowość daleko za sobą.

* * *

Wolnym krokiem i nieco wcześniej Bożenka z Majką dotarły wreszcie w pobliże baraku gospodarczego i znalazły sobie siedzisko z pustych skrzynek po czymś.

– Nogi mi zdrętwiały – oznajmiła Bożenka. – Co to w ogóle było?

Majka usiadła obok niej, z zainteresowaniem przepatrując cały teren.

– Ty nie zwracaj teraz uwagi na nogi, tylko przyjrzyj się scenie. Zobacz, co się tu dzieje. To nie jest pół świata, tylko mały kawałek terenu, a na tym kawałku siedem greckich tragedii. Patrz, Kręcidupcia wylazła...

– Gdzie ona była?

– A cholera ją wie. Patrz, Anusia, Zdziś, Dominik, sami rywale i rywalki...

Kręcidupcia, mimo chęci natychmiastowego złapania Dominika, zatrzymała się w połowie schodów. Krzyk pomocnicy magazyniera dotarł

do niej wręcz przeraźliwie, przestraszyła się. Wróciła na górę, dopadła otwartego okna, niepewna co się właściwie stało. Dominika widziała z daleka, siedział na motorze, zaniepokoiła się w końcu, że odjedzie, zdecydowała się zejść.

Nie chciała pokazywać się Zdzisiowi. Chciała nieznacznie zbliżyć się do Dominika. Zeszła i skryła się za plecami odchodzących ludzi, za ławką, przy ścianie budynku, akurat tam, gdzie w śmieciach dymiło jeszcze trochę, niedokładnie przysypane przez pana Tadzia. Postąla sobie tylko chwileczkę.

Zdziś wypatrywał jej od początku, w tę stronę przecież poszła, mniej obchodziły go te dymy, buty, pożary, niż irytująco ukochana postać. Gdzie Kręcidupcia? Ociągał się, tak długo, aż wreszcie ją zobaczył. Ruszył ku niej.

Stefan odciągnął Dominika ku ogrodzeniu od strony ulicy, coś mu pokazywał, Dominik zapalił silnik i podjechał za nim. Obaj wydawali się zadowoleni, nawet okiem nie rzucili na miejsce dziwnego wydarzenia, które najwidoczniej nie miało żadnych dalszych skutków, bo straszne krzyki zamilkły, a ludzie wracali do pracy.

Anusia pojawiła się odrobinę wcześniej nie wiadomo skąd, dostrzegła Bożenkę z Majką i ruszyła w ich kierunku. Krótco po niej skądś zjawiała się również Luiza i bardzo spokojnie, ale z doskonałym wyliczeniem trasy przecięła drogę Zdzisiowi, ciągnącemu ku nadętej bogini.

Równocześnie z pakamery hydraulików wyszli razem pan Tadzio i pomocnica magazyniera. Pięć osób nagle zmieszało się razem w ciasną grupę.

– Źle rozmieszczeni – oceniła krytycznie Bożenka. – Powinni się wszyscy pobić, ale nie wiem jak, bo mają do siebie za daleko. I chyba tego bardzo żałują.

– Nie wszyscy. Może Zdziś...

- I Luiza. Ale nie będzie przecież szarpała za kudły tej obcej dziewczuchy.
- Fluidy wysyłają. Gdyby te fluidy miały jakiś kolor, szalałaby tu orgia barw. Lepsza niż w dyskotecie.

Istotnie, coś wisiało w powietrzu i być może wiatr roznosił uczucia. Wyraźny ciąg namiętności pędził od Zdzisia do Kręcidupci, od Luizy do Zdzisia, od Kręcidupci do Dominika, od Anusi dwie smugi sprzeczne ze sobą nawzajem, do Dominika i do Kręcidupci. Tylko od Dominika nic nigdzie nie pędziło, nie musiało. Siedziało razem z nim na uwielbianym motorze i promieniało zadowoleniem.

- Mam wrażenie, że od Dominika nic nie wieje – zauważyła Bożenka po krótkiej chwili obserwacji. – Bo tyłem do tej głupiej owcy siedzi? Jak myślisz?

Majka kiwnęła i pokręciła głową. Odgadywała, co Dominik myśli i pączkowały w niej wielkie nadzieje, z którymi sprzeczały się równie wielkie wątpliwości. Bo kto tu właściwie za kim lata i kto trwa w potężniejszym uporze? Aktualny nastrój, a także zachowanie Dominika rozumiała świetnie.

- On jest zajęty wyliczeniami – poinformowała Bożenkę konspiracyjnie.
- Udało im się zmieścić na twardym gruncie. Ustabilizował fundamenty. Reszta świata chwilowo się nie liczy, wróci do tej reszty jak już się oderwie od osiągnięcia.

Bożenka spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Znaczy co? Głupia zdzira też nieważna?
- O, nie ograniczaj się tak. Także żona, dzieci, mamusia, tatuś i reszta rodziny. Wypełnia go władza i triumf nad matematyką, to też miłość jego życia, ale nie martw się, zaraz mu przejdzie. Nic ci na to nie poradzę, charakter ma taki.

Anusia już zbliżała się do nich. Bożenka nadała swojemu myśleniu wyjątkowo ostre tempo.

– To oświadczam ci, że to ona za nim lata, a nie on za nią, i to ona gniecie i pazury wrzepia, a nie on, wiem teraz na pewno, i gdyby ją wymiotło...

– Jestem takiego samego zdania – pochwaliła z uznaniem Majka, już w uszach Anusi.

– To jak robimy? – spytała Anusia, podchodząc i udając, że nic nie wie o zamieszaniu, jakie zostawiła za sobą. Była jakaś zdenerwowana, zmieszana, zaczerwieniona, z wyraźnym trudem utrzymała się przy myśli o roślinach. – Zamawiamy dzisiaj, czy nie? Bo to ostatnia chwila.

– Mam gdzieś ostatnią chwilę – odparła Bożenka, wymacując w torbie papierosy. – Chromolę tuje. Będziemy kradły jałowce. Co tam się stało? Te krzyki i różne inne takie?

Odpowiedź na jej pytanie nie przeszła Anusi przez gardło. Obejrzała się za siebie i na razie nie musiała nic mówić. Ciągąca ku Dominikowi Kręcidupcia została zastopowana, Zdziś zmierzał ku niej długim i zdecydowanym krokiem, ona symulowała bezcelowy spacer, szła powoli i jakoś niezręcznie, jasne, że Zdziś wygrał. Co do niej powiedział, nie wiadomo, nie było słyhać, jak się odniosła do tego heroína, też nie było słyhać, ale Zdziś uciekł się do przemocy fizycznej, mianowicie wziął ją pod rękę. Gdzieś w powietrzu rozległ się cienki i przenikliwy pisk, brzmiący jak coś zbliżonego do gniewnego wezwania: „Domisiu!”, który dobiegł uszu osób żywo zainteresowanych, ale mniej zainteresowanych już nie. Szczególnie, że został zagłuszony rykiem motoru Dominika.

– To pantomima z podkładem muzycznym – zaopiniowała Majka.
Anusia milczała.

– Popatrz, Luizę interesuje tylko jeden punkt wszechświata – zauważyła Bożenka. – Resztę artystycznie olewa.

Istotnie, wyplątawszy się z grupy przed wejściem do baraku, Luiza, wsparta o narożnik budynku, śledziła wzrokiem inną grupę, zaledwie dwuosobową. Raz ujęta pod ramię Kręcidupcia, nadąsana i niechętna, ale już wyzuta z oporu, krokiem, jak na nią, niezwykle szybkim podążyła wraz ze Zdzisiem w kierunku robót przy rzeczce i porzuconej na kamieniu dokumentacji. O żadnych pokazach wiatracznych nie mogło być mowy, nie przy tak energicznym marszu. Ze Zdzisia biło uczucie wulkaniczne, o lata świetlne odległe od namiętnej i czulej miłości. Bożenka, uczyniła gest brodą w kierunku Luizy.

– Na jej miejscu byłabym chyba zadowolona. No dobra, chrzanimy firmę, nie zamawiamy tuj, sadzimy jałowce. Są u mojego ogrodnika, można będzie do niego podjechać. To co tam się stało pod barakiem? Dlaczego ta dziewczucha krzyczała? Byłaś tam, widziałaś?

Anusia wciąż miała kłopoty z relacją.

– No... ja... Nie wiem. Byłam z drugiej strony, na górze... Tam coś spadło... to taka Mirka, pomocnica magazyniera, do tego obiektu ją przydzielili.

– I dlatego krzyczała? – zdziwiła się Majka.

– Skoro byłaś na górze, to musiałaś zejść na dół – nacisnęła równocześnie Bożenka. – Nie widziałam, żebyś skakała oknem, wychodziłaś chyba drzwiami, nie? A tam się właśnie kotłowało. To co to było?

Za żadne skarby świata Anusia nie powiedziała by prawdy. Owszem, wyszła oknem, ale skakać nie musiała, bo było to okno parterowe z drugiej strony budynku. I pojawiła się stamtąd, od tyłu, miała nadzieję, że nikt jej

nie widział. Doskonale wiedziała, co spadło na pomocnicę magazyniera i tej wiedzy nie ujawniłaby za jeszcze większe skarby świata.

– Ja... Chyba coś im zepsułam... Bo tam... pomyliłam wychodki... Jeden jest jeszcze nie wykończony... No, pomyliłam się. Nie chcę się przyznać, że to ja, będą się ze mnie natrzęsać! Ja uciekłam, tak ukradkiem...

Majce nagle zaświtało. Były tam przecież, w tym budynku, trzy wrogie sobie istoty, Anusia, Kręcidupcia i Luiza. Diabli wiedzą, co mogły wykombinować, padło na niewinna pomocnicę magazyniera, tę jakąś Mirkę. Cokolwiek zleciało, nie zabiło jej, całe szczęście, chwilowo należy dać spokój, niech Anusia odzyska trochę równowagi.

– Skoro zdemolowała wychodek, niech im może nie włązi na oczy. Załatwmy te rośliny.

Bożenka spojrzała jakoś dziwnie na Majkę, otworzyła usta, zamknęła je i znów otworzyła. Dominik ryknął silnikiem i zawrócił do wyjazdu. Bożenka przeczekwała hałas.

– Anusia, zadzwoń do nich, że nie zamawiamy. Z kim przyjechałaś?

– Furgonetka z klinkierem mi się przytrafiła. Ale mogę wrócić z Luizą, zaraz zobaczę, co ona tu jeszcze ma do roboty.

– To wracaj. Majka, zaczekasz na mnie? Skoczyłabym później do tego ogrodnika popatrzeć na jego jałowce. Co ty na to?

– Bardzo dobrze. Też bym popatrzyła. I mogę cię nawet zawieźć do Puszczy Kampinoskiej, obejrzysz sobie tamte okazy, a między nami mówiąc, kradzione lepiej rośnie...

* * *

Stwierdziwszy, że Zdziś ze złości na ukochaną Kręcidupcię z pedantyczną ścisłością stosuje się do potrzeb zieleniarza, Bożenka zrezygnowała z pilnowania każdego skrawka ziemi i obie z Majką

odjechały do ogrodnika znacznie wcześniej niż pierwotnie miały zamiar. Zdążyły nawet, każda oddzielnie, przyjrzeć się śladom katastrofy przed budynkiem gospodarczym.

– Ty się połapałaś w tym burdelu pod ławką? – spytała po drodze Bożenka. – Wiesz, co to było?

– Wiem – odparła Majka z jakąś osobliwą satysfakcją. – Kwas solny.

– Zgadza się, też zgadłam, znam ten smród. Cholera. Gdyby nie to, że cały czas byliśmy razem, słowo daję, myślałabym, że to ty.

– Sama bym tak myślała – zgodziła się Majka.

– Na kolanach przysięgam, że nic nie rozumiem.

– Nie martw się, ja też. Ale ten tyłek głupiej lafiryndy powinno się zniweczyć. Same nieszczęścia przez niego.

Bożenką rzuciło tak, że omal nie walnęła głową w prawe okno.

– No i ty na to nic?!

– Ja swoją osobistą satysfakcję już osiągnęłam.

– Jak...?!!!

– Nie powiem ci teraz. Tylko później. Możliwe, że nawet pokażę, ale czekam jeszcze parę dni, bo już miałam takie optymistyczne sygnały, i tym bardziej teraz nic nie powiem, żeby nie zauroczyć.

Bożenka potężnym sapnięciem zaparowała pół przedniej szyby. Gwałtownie wygrzebała z torby papierosy.

– Mogę zapalić?

– A pal. W moim samochodzie możesz wszystko. Jeść, pić, palić...

– Kruszyć na podłogę?

– Proszę bardzo. Może tylko nie rznąć żyłką tapicerki i nie siedzieć na czarnych jagodach luzem, bo strasznie długo się utleniają. Pół roku.

– Na mojej odzieży też im wychodzi pół roku. Ale i tak, wobec tego, wolę jeździć z tobą niż z Januszem. Jeśli napaskudzę, on mi od razu każe

sprzątać. A najlepiej sama, ale nie mamy dwóch samochodów w rodzinie.

– Musisz powiększyć rodzinę...

– To za chwilę. Czekał. Kwas solny, skąd on się tam wziął?

– Musiał być w butelce, nic innego tego zajzajeru nie trzyma. I ze szklanym korkiem.

– A pewnie. Ale niedużo. I ona się nie stłukła, okruchów szkła nie było, a nie widziałam, żeby kto zamiatał.

Majka zatrzymała się pod czerwonym światłem i sięgnęła do skrytki po papierosa. Zdążyła go zapalić zanim zrobiło się zielone.

– Jakie tam zamiatał, pełno tego przeżartego śmiecia leżało. Czarne strzępki. Musiała zlecieć zatkana i dopiero na ziemi się otworzyło.

– Korek chyba trzymał, nie? Miała dziewczyna ślepy fart...

Kwestia butelki, jej rozmiarów i szczelności korka zajęła całą drogę do ogrodnika. Tamże również ujawnił się ślepy fart, na pierwszą wzmiankę o jałowcach bowiem ogrodnik ucieszył się niewymownie. Ależ miał, oczywiście, rosły mu jak oszalałe, na jesieni mogły już tworzyć dowolne konfiguracje, sam nie wiedział co z nimi zrobić, bo szkoda niszczyć tak dorodne okazy. One najwyraźniej w świecie chciały do czegoś służyć i coś ozdabiać!

I znów zapas czasu się wydłużył. Wszystko razem trwało dwa razy krócej niż można było przewidywać. W drodze powrotnej nie było korków, nie do pojęcia, cud jakiś albo co.

Usatysfakcjonowana zawodowo Bożenka wróciła do tematów prywatnych.

– Ciekawe, skąd ta butelka się tam wzięła. Nad tą ławką jest okno od pokoju koło wychodka...

– Bez względu na pokój, sama nie poszła. Ktoś ją musiał przynieść. Ciekawe kto i po jaką żółtą febrę?

– Ja nawet nie wiem, do czego się tego używa – zmartwiła się Bożenka.
– No, poza rozpuszczaniem trupa w wannie. Do wytrawiania metali. Jest to wiedza nie bardzo szeroka.

– Masz na myśli, że ktoś przyniósł służbowo?

– A może?

– I co? I postawił na otwartym oknie koło wychodka, żeby łatwo zepchnąć?

– A może?

Majka przemknęła przez początek żółtego światła.

– I nie ukrywajmy tego przed sobą wzajemnie, że w tle wciąż mamy Kręcidupcię. Skoro z całą pewnością nie byłam to ja i nikt nie wie tego lepiej ode mnie, to kto? I jaką miał myśl, do pioruna?!

– Może nie miał żadnej – wysunęła smętną supozycję Bożenka. – Sama mówisz, że jeśli ktoś nic nie myśli, żadna siła na świecie nie zgadnie, co on myśli. Przy Kręcidupci ciągle wyskakują jakieś dziwactwa, których i do tej pory nijak nie mogę rozgryźć, nic mi się nie zgadza... Wyrzuć mnie pod firmą, zostało mi za dużo czasu, a roboty od groma i trochę, pchnę do przodu chociaż jedno zleconko. Jakiś fartowny dzień, może nic głupiego się nie przytrafi i Janusz mnie odbierze normalnie.

Majka spełniła jej życzenie.

* * *

Jadąc w plenery, Bożenka ubierała się racjonalnie. Mimo, iż nogi, a głównie łydki, miała stworzone do wysokich obcasów, co ogromnymi emocjami napełniało jej małżonka, Janusza, to jednak wiosenną przyrodę żywą uszczęśliwiała kozaczkami, gumiakami, a także świetnymi pantofelkami w rodzaju półbucików, na grubej, elastycznej podeszwie z piętą podwyższoną zaledwie o trzy centymetry. Na aktualnie panującą

pogodę świetnie się nadawały, a dodatkową ich zaletę stanowiła bezgłośność. Po czymkolwiek Bożenka szła, nie było jej słychać.

Teraz, w biurze, gdzie po pod koniec urzędowego dnia pracy dość dużo jeszcze osób zostało, a windy działały i spełniały swoje zadanie, też nie było jej słychać, kiedy zmierzała do swojej pracowni. Szła cicho i bez pośpiechu, usłyszała zatem głosy z wnętrza zanim zdążyła otworzyć drzwi.

Zatrzymała się. Potem uchyliła je subtelnie i delikatnie. Doskonale wiedziała, że nie skrzypią, ani nie wydają żadnych innych niepożądanych odgłosów. Znow się zatrzymała, teraz już w półotwartych.

– No przecież ci tłumaczę – mówiła żałośnie Anusia. – Poleciała na dół jak oszalała, więc się rzuciłam do okna! Myślałam, że zdążyła do tej ławki! Ale pchnęłam ją z rozpędu... Te pół butelki, powinno wystarczyć... Dlaczego tam, dlaczego tam! Nie miałam dokładnego planu!

– Ja bym to lepiej załatwiła – powiedziała Luiza zimnym, twardym, zaciętym głosem.

– Toteż myślałam o tobie, nie zdążyłam cię złapać, poszłam cię szukać, przecież mówię, a dlaczego tam... Żeby mieć pod ręką! A ona wróciła!

– Źle wyszło – zaopiniowała gniewnie Luiza.

– No źle – zgodziła się Anusia, beznadziejnie przygnębiona. – Jak Dominik przyjechał, słychać go było wszędzie, rzuciła się jak wściekła głupia suka...

– Nie obrażaj suk. To szlachetne zwierzęta.

– No to nie wiem, jak pirania. I zaraz się zaczęło...

– W bambus kopane. Zmarnowana okazja.

– Nie wymawiając, tobie też źle wyszło. Miałam nadzieję, że jeśli ci pomogę, lepiej się uda...

Bożenka doskonale zrozumiała wszystko. Pchnęła drzwi i weszła do pracowni.

* * *

– No i co ty na to? – spytała z przejęciem, usiadłszy w salonowej pracowni Majki, w fotelu, do którego udało jej się schudnąć. – Jedną się o ten kwas wystarała, drugą go zepchnęła na niewinną Mirkę z magazynu...

– No proszę – pochwaliła Majka. – Miłe dziewczyny. Nie czuję się zdziwiona, ani zaskoczona.

– A ja myślałam, że Anusia już na Dominiku położyła krzyżyk.

– Na Dominiku tak, ale nie na Kręcidupci. Tak mi się widzi, że ją będzie kochała do grobowej deski. Powiedziały ci w końcu, co się Luizie nie udało?

– Powiedziały, jasne, w oczy biło, że jestem po ich stronie. Ten drut kolczasty w szklarniowej ziemi, jak zaczynali robotę, przypominasz sobie? Jak te spluwy znaleźli? Nikt nie wiedział, skąd ten drut i nikogo to w gruncie rzeczy nie obchodziło...

– Chyba, że panią Adę – mruknęła Majka. – Zdaje się, że to ona usiadła.

– A owszem, ona. A drut, okazuje się, przyniosła Luiza przeciwko tej nimfie wirnikowej, płytko w tej ziemi go schowała i czekała na okazję...

– Obmyśliła sobie? Miała jakiś plan?

– Miała, ale trochę mętny. I nie przewidziała, że tam znajdą ten strupieszający arsenał. Ogólnie myśl była niezła, podciąć jej nogi i wtedy ona usiadzie...

– To spóźniła się – skrytykowała Majka. – Do takiej sztuki lepsza byłaby gołoledź. Ale trudno kopać ziemię w lute mrozy.

Rzuciła okiem na stolik pod ręką Bożenki, podniosła się ze swojego kręconego krzesła i poszła po nowe piwo. Mimo, iż siedziała przy komputerze, nie pracowała, zrobiła sobie wolne popołudnie i wieczór, szwedzki sukces stał się faktem. Należało to uczcić.

– Mnie się wydaje, że Luiza ze Zdzisia wcale nie zrezygnowała – orzekła Majka, wyciągając za monitorem swoją szklankę. – Ona ma lepsze rozeznanie niż my. Niweczając tyłek, odczepi od niego tę pijawkę, a wtedy on do niej wróci. Rozdarty jest w ogóle między młotem a kowadłem, wcale mu ta Luiza tak całkiem z serca nie znikła i gdyby głupią zmorę diabli wzięli...

Bożenka kiwała głową.

– Możliwe, że masz rację. Sama zemsta... Nie znam się na zemstach, nie wiem, czy doping wystarczający.

– No, chyba że ona jest taka uspołeczniona – ciągnęła Majka z lekkim powątpiewaniem. – Luizę mam na myśli. Nie jej jednej parszywy tyłek zatruł życie, więcej jest takich...

– Ale! – przypomniała sobie gwałtownie Bożenka. – Ten drewniarz z Kanady! Tam już się narzeczona zdenerwowała, bo okazuje się, że wcale nie taki wolny ptaszek, narzeczona jest i była, on teraz wrócił i jakiś taki niemile roztargniony, już im zgrzyta. Wiem od Anusi.

– No proszę! Chociaż zdawało mi się, że mu przeszło, wirnikowa idiotka go zezłościła?

Bożenka z gniewem puknęła szklanką w stół, omal nie wychlapując piwa.

– Otóż wyobraź sobie, ja nie wiem, podobno nawet pluskwy mają swój rozum, on do tej Kanady ma umowę na każdą zimę co roku i znów tam pojedzie, więc przyszło jej do głowy...

– Do jakiej głowy? – spytała Majka zimno.

– A, rzeczywiście. Do tej tylnej. Że jeszcze będzie można skorzystać, więc na nowo go urokami skretnymi omotała. Musiała się cholernie starać, aż się poskarżyła Anusi i stąd wiem. Anusia wydarła z niej szczegóły okoliczności towarzyszących.

– Ciężka praca życie skraca i dobrze jej tak...

– I od razu powiedziała mi, tak z rozpędu, co to było, jak goła Kręcidupcia ćwiczenia robiła na naszym terenie...

– Nie była goła! – zaprotestowała Majka. – Miała stringi. Ale kręciła, fakt. Do Haralda jej wypadło.

– Okazuje się, że Harald ją gównem obchodził, nie zwróciła na niego uwagi. Nie uwierzysz, ona się opalała w ruchu!

Majce znieruchomiła ręka, sięgająca po piwo.

– Co...?

– Opalała się w ruchu. Żeby ten tyłek mieć piękniejszy. Bo tak słyszała, że najlepiej w ruchu i najlepiej po odrobinie, i podobno to ja tak powiedziałam!

W głosie Bożenki brzmiały razem triumf i zgroza. Majka osłupiała. Żadna z nich nie pamiętała o rozmowie na temat kształtów bogiń greckich i jednolitej barwy ich marmurowej powierzchni, musiały się nieźle wysilić, żeby sobie przypomnieć. A Kręcidupcia proszę, załapała!

– Coś podobnego! – powiedziała Majka, zachwycona. – Przy największych staraniach tak by mi nie wyszło!

– Bo co ci wyszło?

– Później ci powiem, już lada chwila.

– Czekał, bo ja tracę cierpliwość. Czy nie prościej byłoby zawiadomić o tych zabiegach na przykład Dominika? On chyba w tej akurat dziedzinie za bardzo uspołeczniony nie jest? Nie kocha tłoku w kolejce do ulubionej panienki? A przy Dominiku, z nieprzyjemnością to mówię, ta owca się wyjątkowo zaparła.

Majka westchnęła ciężko, obejrzała obie szklanki, swoją i Bożenki, i poszła po kolejne dwie puszki. Uchwyciła spojrzenie Bożenki.

– Moje dzieci dziś wracają beze mnie – wyjaśniła. – Nowakowa je pozbiera razem ze swoimi, co przeżyje, to jej, ale sama chciała.

Spojrzenie Bożenki nadal było pytające. Majka znów westchnęła.

– Załapała się na Haralda. Nie wiem, może ją zaproszę razem z nim na flaki, flaków im nie żałuję, ale nie wiem, co jej mąż na to powie. Cholera, same kłopoty. A co do uświadamiania Dominika, już ci mówiłam, że ja nie, i poza tym pozbądź się złudzeń.

Spojrzenie Bożenki, przez chwilę pełne zrozumienia, znów wystrzeżiło szalonym zainteresowaniem.

– Bo co?

– Bo on nie uwierzy.

Przez chwilę Bożenka mobilizowała wszystkie władze umysłowe. Rzuciła okiem na piwo, trzecia puszka, jeszcze nie otwarta. Przedtem zjadła wspaniałe tłuste spaghetti carbonara w wykonaniu Majki, wszystko w nim było, boczek, szynka, resztkę schabiku, trochę wołowinki, mnóstwo sera i nawet jajeczko, gdyby piła czysty spirytus, a nie delikatne piwo, może by podzielał, ale i to nie tak od razu. Naprawdę słowa Majki powinna rozumieć.

– Czekaj. Po kolei. Za dużo się tu na mnie wali dziwnych rzeczy i komplikacji życiowych. Mąż Nowakowej jeszcze najprostszy, do rozwikłania dla każdej normalnej kobiety, ale skąd Harald? Przecież nie przeniósł się do Polski i nie urządzasz dla niego kolacyjek? A nawet gdyby, to jest mały pikuś w porównaniu z Dominikiem. Co to znaczy, że on nie uwierzy? W co nie uwierzy?!

– W nic, co mu się nie będzie podobało.

Bożenka znów pomilczała chwilę. Otworzyła tę trzecią puszkę.

– Otóż to mnie właśnie kładzie na obie łopatki. Przeanalizujmy to. Osoba wiarygodna i obiektywna informuje go, że Kręcidupcia, zionąc

iskrami, oraz fajerwerkiem wirującym, pieprzy się jak dzika małpa z jakimś facetem. Znajomym. Nie chwilowo, ale w ogóle, parę razy, nie wiem ile razy, wszystko mi jedno, ale jest to rozciągnięte w czasie i dalej trwa. I co?

Majkę wyraźne oszołomienie Bożenki prawie rozbawiło.

– I nic.

– Jak to nic?

– Tak zwyczajnie, nic.

– No nie. Wyjaśnij to jakoś porządnie. Z detalami. Nie ma faceta, który by się nie zdenerwował, może udawać co popadnie, ale się zdenerwuje!

– Owszem, jest. Dominik.

Bożenka spróbowała ukoić swoje emocje różnymi gestami. Napiała się piwa. Poszarpała sobie włosy na głowie. Wstała z fotela, obesła go dookoła i znów w nim usiadła. Rozpaczliwie rozejrzała się wokół.

Uznała, że trochę pomogło.

– Nie streszczaj się tak. Jak to wygląda w praktyce? Wyjaśnij mi rzetelnie, jak sołtys bardzo głupiej krowie na miedzy.

– Dobrze. Nawet mniej głupiej. Inteligentnej. Otóż Dominik głuchnie na to, czego nie chce słyszeć. Ktoś do niego coś mówi, jemu się to nie podoba, po dwóch pierwszych niechcianych słowach traci słuch, całkiem grzecznie odczekuje do końca, po czym, bez żadnej reakcji, spokojnie mówi o czymś innym. Podejmuje inny temat. A to, co ten ktoś powiedział, przestaje istnieć jak brzęczenie owada, pobrzęczał, odleciał i cześć, już go nie słychać. Znikł w przestrzeni.

– Nawet, jeśli jest to dla niego interesujące?

– Dla niego idiotyczne bzdety i majaczenia kretyna nie są interesujące.

– Nie jest dla niego interesujące, że głupia kurwa go zdradza?! – wrzasnęła Bożenka z furją.

– Nie. Nie może być. Żadna głupia kurwa go nie zdradza. On w ogóle nie zna żadnej głupiej kurwy. Zna tylko świetlistego anioła.

– A jeśli... A jeśli... Dostanie zdjęcia, nagranie...

– Nie będzie patrzył. Nie ma tych zdjęć. Nie istnieją.

– Do cholery ciężkiej! A jeśli ich zobaczy razem w łóżku?!!!

Majka zastanowiła się. Rzeczywiście. Czegoś takiego już by chyba nie zdołał przeoczyć. Jakoś by zareagował...

– Wiesz, że nie jestem pewna. Chyba jedno z dwojga. Albo wpada w szal od razu, jedną ręką łapie niewierną, drugą rywala, niewierną pirzga w kąt, rywala leje po mordzie, z tym, że to choleryk, wybucha błyskawicznie, rozładowuje się i zaraz mu przechodzi, więc potem, bardzo zmartwiony, przeprosza i wzywa pogotowie. Rywal w złym stanie, to pewne, Dominik jest silniejszy niż się wydaje, a jak wiadomo, szaleńcy mają siły poczwórne. Na niewierną już by mu tego szalu nie starczyło, przyjąłby zatem rozszlochane wyjaśnienie, że ona nie, nic z tych rzeczy, została zgwałcona, jeszcze by ją może pocieszał. Albo druga opcja, dostrzega igraszki w łóżku, rozpoznaje sprawców czynu, sztywnieje, zamienia się w kamień i wychodzi na zawsze. To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił. A w dwa dni potem unicestwiłby całe wydarzenie. Niczego podobnego nie było, niczego nie widział, a tych państwa w życiu nie spotkał i w ogóle ich nie zna. Trzeciej możliwości nie widzę.

Bożenka słuchała bez ruchu, ze zgrozą i szklanką piwa przy ustach. Napiała się bezwiednie, zakrztusiła, odkasłała swoje i wciąż jej nie pasowało.

– Ale przecież... No dobrze. Ale zna te osoby, spotyka je w pracy, może nawet musi z nimi rozmawiać... Służbowo!

– Za każdym razem przedstawia się im, patrząc w inną stronę. Wychodzi z pokoju natychmiast, kiedy jednostka się pojawia. Nie ma jednostki, jest

powietrze.

– Rany boskie... Było już tak kiedyś?

– Owszem, w rodzinie. Jego na szczęście, nie mojej. Wygryzł jedną wścibską kuzynkę, bo ma silną osobowość i wszyscy przez niego zgłupieli, a kuzynka nie wytrzymała presji psychicznej i znikła z horyzontu.

Bożenka opróżniła szklankę do końca. Przez chwilę jeszcze siedziała bez ruchu i w milczeniu, wreszcie wzięła głęboki oddech.

– Rezygnuję z Dominika – oznajmiła stanowczo. – Zamiary mściwej spółki Anusia–Luiza wydają mi się jednak praktyczniejsze. One już prawie stanęły na dużym kenzanie i teraz myślą, jak jej go podetknąć, więc nie zdziw się, jeśli w mojej pracowni zobaczysz owczą kręcicę, podejmowaną przez Anusię z honorami. I aż się boję cię zapytać, dlaczego jesteś taka zadowolona i dlaczego twierdzisz, że olewasz wstrętny tyłek. Coś ty zrobiła? Co ci wyszło?!

Zadowolona Majka okręciła się razem z krzesłem.

– Przecież mówiłam, że ci jeszcze nie powiem. Za to pokażę. Lada chwila przyjadą Danuta z Haraldem. Danuta na wstępne pertraktacje z szamanem wielkim, a Harald na flaki. No dobrze, nie tylko na flaki.

– Znów słyszę za dużo. Szamana rozumiem, pamiętam co mi mówiłaś, znaczy, że ci się udało...?

– Ho, ho!

Bożenkę aż skręciło.

– To dlaczego nie mówisz?!

– Bo właściwie to trzeba zobaczyć. Słowami opisać się nie da, to żaden efekt.

Bożenka przetrawiła informacje i wylała resztę piwa z puszki.

– No dobrze, w nerwach może jakoś doczekam...

* * *

Danuta z Haraldem przyjechali i przywieźli bezcenną dyskietkę.

– Tego nie może zobaczyć nikt – powiedziała Majka do Bożenki, otwierając jej drzwi mieszkania. – Ani Dominik, ani w żadnym wypadku dzieci, ani Zdziś, ani broń Boże Anusia, bo nie utrzyma gęby zamkniętej, ani w ogóle nikt u nas. I tym bardziej nikt, kto zna tę wiatraczną kusicielkę. Dlatego musimy to załatwić we wczesnych godzinach pracy. Szwecja i reszta świata może ją sobie oglądać do upojenia o dowolnej porze doby.

– Znaczy, tylko my obie? – upewniła się przejęta Bożenka.

– Sama się przekonasz. Harald zrobił z tego cały film dokumentalny... Siadaj i patrz!

Bożenka usiadła i wytężyła wzrok.

* * *

Zasadnicza ekspozycja obejmowała co najmniej trzy okna wystawowe, przeszło dwadzieścia metrów bieżących, i prezentowała sceny raczej niezwykle. W każdym razie ruchome.

Harald zaczął od zewnątrz, od ulicy, w pierwszej chwili zatem na ekraniku pojawił się tłum ludzi, widocznych od tyłu. Przedarł się przez ten tłum i pokazał ogromne witryny z całą ich zawartością.

Z jednej strony, od ulicy patrząc w prawo, na małym kawałku udeptanej trawki walczyło ze sobą dwóch wczesnośredniowiecznych wikingów. Na łbach mieli rogate hełmy, mordy brodate i groźne, zionące dziką wściekłością oraz najdoskonalszą tępotą, i zaciekle operowali toporami. W lewej dłoni każdy dzierżył tarczę. Posoka czerwieniła się już na potężnych cielskach, ale na boki nie tryskała nadmiernie.

I nie bez powodu. Dalej w lewo bowiem, tuż za udeptaną trawką, kunsztownie prezentowała się odzież letnia damska i męska, bardzo zręcznie przemieszana ze sobą. Jeszcze dalej następowało rosnące różnicowanie płci, ze zdecydowaną przewagą damskiej, aż wreszcie pojawiał się wybieg. A na wybiegu co jakiś czas modelki. Żywe. Żywe...? Czy aby na pewno żywe?

W każdym razie piękne. Odziane raczej skąpo, bo moda wszak letnia, ale tak, że oko biegało. Wychodziły skądś z zaplecza, czyniły kilka kroków, obracały się, uśmiechały kusząco i bez pośpiechu znikwały w czeluściach kulis. Zjawisko trwało dostatecznie długo, żeby wikingom topory drętwiały w rękach, brodate szczęki opadały, tępe mordy błyskały żarem mniej bitewnej natury i każdy z nich zapominał jakby o przeciwniku. Po czym modelki znikwały, troglodyci otrząsali z siebie urok i z nowym zapałem przystępowali do walenia toporami.

We właściwej chwili defilada piękności zaczynała się na nowo i nie było siły, wikingowie tracili zainteresowanie walką, topory bez przekonania przecinały powietrze, lub też całkiem zastygały w bezruchu. Co do piękności, mogły się w końcu znudzić, chociaż pojawiał się pełny wachlarz urody, od subtelnej nimfy do wspaniałej Walkirii, która sama jedna mogłaby dać radę obu wojownikom nawet bez żadnego oręża. Ale odzież na żywych damach ulegała zmianom nie do zlekceważenia. Nie dla wikingów, rzecz jasna, tylko dla płci odmiennej.

I nie było to wszystko. Clou pojawiało się mniej więcej co dziesiąty przemarsz letnich ciuchów. Króciutka przerwa wystarczała, żeby wojownicy nabierali krwiożerczości i już niepokój mógł się budzić w widzach, kiedy tajemniczo, za opadającymi zasłonami, dawało się zauważyć zjawisko. Intrygujące szalenie, bo z modną odzieżą nie miało

nic wspólnego, Wikingom też wystarczały normalne dziewczyny i nie było potrzeby wysilać się dla nich na coś aż tak ekstra. Zatem co...?

Zza zasłon wyłaniała się damska postać przeciętnej postury w stroju tak skąpym, że chyba nawet Harpagon we własnej osobie uznałby to za oszczędność przesadną. Widoczna była tyłem i ten tył ruszał w polkę galopkę. Różnorodnego oblicza wir... lewa strona, prawa strona, całość... nie trwał długo, ale wystarczał, żeby wszystkich widzów z rozżartymi przeciwnikami włącznie, wprowadzić w stan kontrastowy, mianowicie osłupienia doskonale nieruchomego. Czegoś podobnego nikt nigdy nie widział i nikt nie wierzył własnym oczom, ale osoba była z całą pewnością żywa, prawdziwa, żaden automat, żadna produkcja animowana, nic z tych rzeczy. Ludzka osoba prawdziwa, stworzona naturalnie... No, naturalnie z pewnością, ale czy rzeczywiście prawdziwa...? Namacalna...?

Co przytomniejsze jednostki zdawały sobie sprawę, że oglądają holografie wysokiego lotu, ale ta holografia skądś musiała się wziąć. Takie żywe coś gdzieś istniało i oto zostało zaprezentowane.

Po zniknięciu zjawiska całe przedstawienie zaczynało się na nowo, ustawicznie wzbogacane różnorodnością letnich strojów. Kolorystycznie grało tak, że prawie dźwięczało w uszach.

Harald znów cofnął kamerę i zaprezentował efekt zewnętrzny z perspektywy. Przed wystawą gromadziły się tłumy, tamujące ruch uliczny, na co kierowcy płci męskiej nie narzekali zbyt, szczególnie kierowcy autobusów, wozów transportowych i tym podobnych, gdzie ich kabina znajdowała się wysoko. Władze porządkowe z przyjemnością grzęzły w gęstwie ludzkiej. Tajemnicza siła powodowała, że większość widowni pchała się później do wnętrza magazynów, i to nie tylko kobiety, ale także mężczyźni, rzadko roznamiętniani widokiem gaci plażowych.

Widać było wyraźnie, że postać od tyłu, rozkręcona wirnikowo, dech zapiera wszystkim. Wikingowie wracali do walki z dużym opóźnieniem i bardzo niemrawo. Na krótki moment postać odwracała głowę i można było ujrzyć kawałtka twarzyczki. Z uchem. Jak do paszportu.

* * *

Bożenka, bez tchu, obejrzała widowisko dwa razy i poprosiła o trzeci. Potem przyznała, że istotnie, żadne słowa nie oddadzą wrażeń wizualnych. Następnie spytała błagalnie, czy nie mógłby jednak zobaczyć tego Janusz, jej mąż. On jest mało gadatliwy i nikomu nie powie. Wreszcie rzekła: – I oni tam tak codziennie się pchają...?

– Dlatego właśnie czekaliśmy, a Harald kręcił przez cztery dni powszednie i jeden weekendowy. Cały czas i coraz bardziej. Tatuś Haralda powiedział, że to jest lepsze niż Porno 69, które było w Kopenhadze za jego młodości, teść Danuty potwierdził. Już się zaczyna pchać cała Europa, Niemcy, Anglia, nawet Francja i Włosi, nie wspominając o innych kontynentach. Amerykanie. Japończycy. Trzaskają aparatami aż terkot w całym Sztokholmie się rozlega. Wszystkie kolory tęczy w tym tłumie, nie zauważyłaś?

– Od tyłu nie widać jak wyglądają na twarzy – usprawiedliwiła się Bożenka. – A jak idzie sprzedaż?

– Jak nigdy w życiu, chociaż jako pokaz letniej mody ekspozycja jest nieco spóźniona. Ta wystawa ich chyba ogłupia, bo kupują jak szaleńcy wszystko co im pod rękę wpadnie. On nas naprawdę pokochał, ten cały Bergson.

I trudno się było dziwić, że pan Bergson oszalał. Jego małżeństwo nie doznało szwanku tylko dzięki niepewności, którą z nich uwielbia bardziej, Majkę czy Danusię, i dla której z nich ma porzucić własną żonę. W

rezultacie ostatecznym obie mogły się poczuć bardzo, ale to bardzo zadowolone. Finansowo.

Bożenka zrozumiała bez trudu.

– No tak, teraz już ci się nie dziwię. Kto nie zna tej wirnikowej pijawki, z jednego ucha i kawałka gęby jej nie rozpozna. No, chyba że ten słomiany łeb...

– Łeb w górnej części rozmazany i źle go widać. Harald wyeksponował co trzeba, on jest naprawdę genialny...

– A że się nie załapał? Słuchaj, on nie jest przypadkiem z tych obraźliwych, co kochają przeciwstawnie...?

– A skąd, coś ty! Kleopatę porzuci dla flaków i w drugiej kolejności bigosu, a co do Apolla Belwederskiego, będzie patrzył, czy mu przypadkiem łobuz nie zeżre. W trzeciej kolejności rozejrzy się za jakąś miłą panienką, ale największe szansę ma tłustawa brunetka. Jak dla Araba tłustawa blondynka.

Bożenka odsapnęła i rozejrzała się za jakimś napojem, ale nie była to pora na przyjemne rozrywki.

– Cholera, aż mi żal stąd wyjść. Ale mówisz, że już masz następne zlecenie, jak ty sobie dasz radę bez tej atrakcji... jakby tu... optycznej?

– Coś się wymyśli – odparła Majka bez troski. – To będzie moda zimowa, bo na jesień oczywiście za późno, wszyscy są uzależnieni od projektantów mody. Ale zima jest u nich ponura, więc zagra kolor, a co do drobnostki rozrywkowej, to już mamy obydwój z Haraldem załęgły pomysł...

* * *

Załęgły pomysł snuł się właśnie nad rozległym placem budowy i dlatego Harald nie uczestniczył w pokazie własnego dzieła u Majki. Uzyskał

zezwoleń na pobyt na terenie zamkniętym dla osób postronnych dzięki wysokiej protekcji i kontaktom kumoterskim. I mógł robić co chciał.

Harald szukał Kręcidupci.

Kręcidupcia zaś szukała ustronnego miejsca. Pamiętna owych słów tych dwóch wstrętnych bab na temat jednolitości posągowej urody, twardo realizowała swoje zamierzenie opalania się po odrobinie i w ruchu. Bez żadnego oporu pozwoliła się przywlec na teren budowy, gdzie wykopy ruszyły już pełną parą i Zdziś, chcąc nie chcąc, musiał pilnować swojej wody. Nie mógł ograniczać się do wręczenia wykonawcy gotowego projektu z racji zmienności kapryśnego żywiołu, który zależnie od pogody wyczyniał dziwne sztuki. Malutkie, ale wściekle uciążliwe i nieszczęsny projektant ustawicznie musiał nanosić drobne zmiany na płachtach odbitek.

Kręcidupcia umknęła mu spod ręki, ledwie się zdążył odwrócić. Słoneczko grzało jak w pełni lata, upatrzone wcześniej miejsce za jałowcami i tarniną wciąż świeciło pustką, wszystko jej wyraźnie sprzyjało.

Wszystko. Z wyjątkiem Dominika.

Dominik jakby przestał być absolutnie radosny, zakochany i chciwy jej wdzięków. Pracował jak szaleniec i twarz mu się rozjaśniała wyłącznie przy tych kretyńskich obliczeniach, w szampański humor wpadał, owszem, ale głównie przy gadaniu z tą całą resztą inżynierów, z ich gadania nic nie można było zrozumieć, a w dodatku trwał w coraz ściślejszej symbiozie z mechanikami. Przez cholernych mechaników Kręcidupcia miała do niego trudniejszy doskok.

I nie było odosobnienia na słodkie pitigrili. O takie odosobnienie Dominik wcale się nie starał. Co prawda, każde miejsce pracy na upartego nadaje się do wszelkich igraszek, ale przecież nie miejsce, gdzie ta banda pracoholików siedzi do późnej nocy, aż w końcu padają z nóg i lecą do domu. Sytuacja zupełnie do niczego. Może trochę zbyt długo trzymała go

na głodzie, a teraz nie ma jak nadrobić błędu, więc tym bardziej musi być piękna, równiutko opalona, bez obrzydliwych białych placków!

Pamiętny poprzedniej okazji, Harald znalazł Kręcidupcię bez wielkiego trudu. O zachowanie ciszy nie musiał się starać, plac budowy produkował bowiem dostateczny hałas, żeby nawet piły tarczowe i siekiery nie zwróciły uwagi. Trzeszczące krzaczki i patyki pod nogami nie liczyły się wcale.

Kręcidupcia nie zawiodła. Skoro w ruchu, to w ruchu. Zmieniała miejsce i pozycję, wciąż odwrócona tyłem zarówno do słońca jak i do Harald, chwilami wspierała się o pień jarzębiny, silniej wypinając roztańczony odwłok. Jako modelka, warta była wszystkich pieniędzy świata i zachwycony Harald zastanawiał się nawet, czy nie postawić jej później piwa. Bez podawania przyczyn.

W ogólny rzęgot maszyn budowlanych wdarł się nagle dźwięk silnika motoru, na który nikt nie zwrócił uwagi. Nikt też nie zauważył różnicy pomiędzy harleyem Dominika a skromną hondą, która wjechała przez bramę. Motocyklista miał hełm, Dominik jeździł w takim samym, z czarnymi skórąmi nigdy się nie wygłupiał, miał skórzaną kurtkę, owszem, tyle że brązową, co jednakże szkodziło mu kupić sobie i czarną? Też nikt nie zwrócił uwagi.

Jako pierwsza dźwięk silnika usłyszała Kręcidupcia. Znawca odróżniłby gang harleya od hondy, Kręcidupcia znawczynią nie była. W przekonaniu, że przyjechał Dominik i wreszcie go złapie bez przeszkód, zawahała się. Udać, że go nie widzi i nie słyszy? Rzucić się ku niemu od razu? Dookoła pusto, bez względu na strój, a ściśle na brak stroju, mogłaby sobie na to pozwolić, ale może jednak lepiej na wstępie wyeksponować kusicielskie zabiegi?

Motor podjechał tak szybko, że nie zdążyła podjąć decyzji. Zastygła na chwilę, wsparta o pień jarzębiny, hipotetyczny Dominik, nie tykając bani na

głowie, zeskoczył z pojazdu, wyszarpnął coś spod baku i ruszył wielkimi krokami ku elegancko wypiętej nimfie. Harald przyglądał się scenie z zachłannym zainteresowaniem, ani na chwilę nie przerywając pracy zawodowej.

Wszystko nastąpiło równocześnie. Kręcidupcia jednak rzuciła okiem, coś jej się nie zgadzało. Boże drogi, to nie był Dominik! Ów nie-Dominik uniósł ramię, ową wyszarpniętą rzeczą, zwiniętą w kółko, uczynił potężny zamach nad głową, kółko się rozwinęło i wydało z siebie świst tak przeraźliwy, że przebił się nawet przez charkoty budowlane. Osobnik uniósł ramię ponownie, Kręcidupcia wrzasnęła strasznie, Harald rozpoznał rzemień najeżony morderczymi, lśniącymi w słońcu kolcami, i wydał z siebie ryk tak potężny, że zagłuszył wszystko. Treść ryku nie była skomplikowana.

– Hej, hej, hej!!! Kurrrhwa, kurrrhwa, hej, hej!!!

Tyle po polsku Harald umiał.

Napastnikowi drgnęła ręka, świsnęło złowieszczo, cel najwyraźniej w świecie stanowiła Kręcidupcia, ale Kręcidupcia nie darmo edukację odbierała w cyrku. Nie było jej już w poprzednim miejscu i w rezultacie ucierpiała kora na pniu jarzębiny. Złowroga, acz nieudolna podróbka Dominika błyskawicznie ściągnęła broń ku sobie, skoczyła na motor, wyrwała tylnym kołem nieco zeschniętej trawy i odjechała.

Wstrząśnięta i mniej przestraszona, a znacznie bardziej obrażona Kręcidupcia zrezygnowała z dalszego ciągu kąpieli słonecznej, uzupełniła odzież i postanowiła niezłomnie, że dosyć tego. Nie był to Dominik, ale czy na pewno? On, czy nie on, teraz już znajdzie go, dopadnie i nie popuści!

Harald na krok nie ruszył w jej kierunku. Zbyt piękne sceny uwieczniał, żeby stracić z nich bodaj odrobinę. Na ratunek śpieszyć nie musiał, nic się jej nie stało, doskonale dawała sobie radę, każdym gestem prezentowała

bulwersacje wewnętrzne, większość gestów zaś gromadziła się tam, gdzie była najlepsza. O nie, czegoś takiego nie było, nie ma i nie będzie, i on okazji nie zmarnuje.

* * *

Dokładnie w tym samym czasie Dominik tkwił u mechaników, ściągnięty tam przez technologa, specjalistę od wesołych miasteczek. Zobligowany przez inwestora technolog upierał się przy pałacu strachów, bez którego żadne wesołe miasteczko nie miało prawa rozsiewać właściwego uroku. Rzecz jasna, nie budowano tu drugiego Euro Disneylandu, upiorne podróże w kosmos nie wchodziły w rachubę, skał, na które wpływała łódź z dołu do góry, trzeszcząc okropnie, objając się o kamienie i wykazując szaloną chęć gwałtownego powrotu na dół, brakowało, ale czymś ludzi należało wystraszyć koniecznie. W zasadzie miejsca i możliwości wystarczało tylko na izbę tortur, obiekt bardzo użyteczny, izba tortur zatem musiała być. To ustalono już wcześniej i właśnie technolog oceniał i zatwierdzał propozycje mechaników i konstruktorów.

Pochwalił właściwie wszystko. Przy jednym dziwnym się zatrzymał.

– A to, to właściwie co? O rany boskie...!!!

Autor dzieła, niejaki Sławcio, zdążył chwycić go za rękę.

– Zaraz, to jeszcze nie skończone. Pan tak nie łapie bez opamiętania!

– Ja chciałem tylko pomacać!

– Żadnego macania! Owszem, będzie gryzło, ale nie aż tak!

Ożywiona dyskusja wybuchła nad tym czymś dziwnym, co przypominało staroświeckie karło. Uproszczone, przedłużone, stanowiące jakby rynienkę. Siedzisko huśtawki dla grubej osoby. Miękkie, zapraszające do siadania i pokołysania się odrobinę. Technolog chciał to pomacać, i

gdyby nie błyskawiczna reakcja Sławcia, odciąłoby mu rękę. Może całkowicie, a może tylko w połowie, nie zostało to sprawdzone doświadczalnie.

Rzecz w tym, że ma straszyć, że łapie, ale miękko, a nie tak!

Technolog przyjrzał się całości i pokiwał głową.

– Miękko – mruknął. – Faktycznie miękko...

Strasliwe, żelazne, ostre dzioby wyskoczyły z siedziska górą i dołem z okropnym szczękiem. Nie zamknęły się, pomiędzy nimi pozostał luz, w którym mógł ocaleć na przykład produkt jadalny, kabanos może. Albo gruby kotlet schabowy. Nietknięty żelastwem kotlet spokojnie leżałby sobie jakby w kołysce i kto chciał, mógł go wyciągnąć bokiem i zjeść. Dwa grube kotlety razem już zostałyby schwytane.

– Tłusty tyłek odciąłoby tak w połowie – zauważył ktoś.

– Raczej podziabało – skorygował technolog.

– Gdzieś ty widział takie narzędzie tortur? – zainteresował się obecny przy pokazie Stefan.

– Nigdzie – wyznał Sławcio. – Ja w ogóle nie widziałem żadnych narzędzi tortur w naturze. Jak raz miałem okazję obejrzeć, to ogon do nich stał tak na dwie i pół doby, nie miałem tyle czasu. Tak sobie wyobraziłem, coś mnie zainspirowało, tylko nie pamiętam co. Ale to można poluzować, o, popatrzcie.

Zaterkotał pokrętem z boku, szczęki cofnęły się i skryły w tapicerce, poterkotał jeszcze trochę, poprawił pokrętem z drugiej strony i ręką nacisnął siedzisko. Szczęki wyskoczyły ponownie, ale zatrzymały się wcześniej, pozostawiając między sobą luz co najmniej na cały potężny klops, nadziewany jajkami na twardo. Może odrobinę nakłułyby przyrumienioną skórę.

– No to poluzuj już trwale – nakazał rozśmieszony Dominik. – I to w ogóle nie może być żelazne, puknij się! Nie robimy kazamatów inkwizycji, tylko wesołe miasteczko.

Ostrzegawcze uwagi padły zewsząd.

- Podrze komuś portki albo kieckę i już mamy ubaw.
- Usiądzie taki nierówno i tu go nie tknie, a tam podziabie...
- A gruba baba? Poluzuj jeszcze trochę!
- Ostrzegawcze napisy mamy na razie, czytać każdy umie...
- I w ogóle to powinno być miękkie, guma albo co...
- Tego w ogóle nie ma prawa być – zawyrokował stanowczo technolog.
- Zabezpieczcie to jakoś tymczasem... gdzie te napisy...? I chodźcie, pokażę wam ładny komplet na moim laptopie i parę modeli, mam w samochodzie, szkoda, że od razu nie wziąłem. Reszta w porządku, szczególnie ten podest, co się spod nóg usuwa, ale co wam szkodzi zobaczyć...

Polecili prawie wszyscy, mechanicy i konstruktorzy. Ostatni był Sławcio, który z wielkim żalem dokonał krótkiej manipulacji terkoczącymi pokrętłami. Pokaz nastąpił w rozległym garażu. W pracowni konstruktorów został tylko Jurek.

* * *

Honda z imitacją Dominika wyskoczyła przez bramę i odjechała, wciąż bez zwracania na siebie uwagi.

* * *

Zdzisiowi koparka zrobiła krzywdę, poszerzyła rzeczkę w niewłaściwym miejscu i znów musiał korygować projekt. Wypatrzył Kręcidupcię wraz z piastowaną przez nią dokumentacją i twardo uwięził przy sobie. Koparka

jednakże przesadziła i część ziemi należało przemieścić z powrotem, sprawa była kontrowersyjna, bo kto za to zapłaci, porozumienie w końcu osiągnięto, ale Kręcidupcia się zmyła. Skorzystała z zamieszania i w trzy kwadransy później już jej nie było. Zdziś doznał kilku wstrząsów wewnętrznych i jedyną ulgę sprawił mu fakt, że idiotka nie zabrała dokumentacji ze sobą.

Harald, straciwszy modelkę, odjechał swoim wynajętym samochodem wprost do Majki, z którą chciał się czym prędzej podzielić osiągnięciami i od razu uzgodnić, co wykorzysta się w następnych ekspozycjach.

Kręcidupcia nie zamierzała jechać autobusem. Co prawda, budowę obsługiwały głównie wywrotki, ale pod tym względem nie była grymaśna. Tyle, że komunikacja budowlana przedłużyła jej podróż do pełnej godziny, zwiększając ciężką urazę i upór.

W pracowni konstruktorów zastała samotnego Jurka, pogrążonego w obliczeniach.

– Gdzie Dominik? – spytała półgębkiem i pozornie niedbale.

– U mechaników – mruknął Jurek, którego uwadze umknął zbiorowy exodus obu zespołów. Narzędzia tortur go nie interesowały, oglądał je już dwukrotnie, a liczył teraz drgania fundamentów, na których miały się wspierać rozmaite ruchliwe maszyny. Cała sejsmologia przy jego robocie to był mały pikuś.

Kręcidupcia przeszła do mechaników, gdzie w ogóle nikogo nie było. Nie zastanawiając się nad niczym, postanowiła czekać, no bo przecież kiedyś wreszcie musieli wrócić. A skoro Dominik tak intensywnie im towarzyszył, niewątpliwie wróci razem z nimi.

U mechaników panował wyjątkowy bałagan i nie było na czym usiąść. Spróbowała zdjąć z jednego krzesła jakieś rupiecie, które na nim leżały, ale rupiecie nagle podskoczyły, warknęły i zachichotały szatańsko. Niezbyt

głośno, za to złośliwie, Kręcidupcia przestraszyła się i wypuściła je z ręki. Kilka sztuk potoczyło się po podłodze, wyglądały i hałasowały jak żelazne.

Najmniejszej uwagi nie zwróciła ani na tabliczkę na drzwiach: OBCYM WSTĘP WZBRONIONY, ani na trzy ostrzeżenia, rozwieszane w trzech częściach pomieszczenia: NIE DOTYKAĆ NICZEGO! NIE RUSZAĆ!!! MACANIE GROZI ŚMIERCIĄ, LUB KALECTWEM! Do tabliczki na drzwiach była przyzwyczajona, wisiała tu zawsze, a nowych napisów nawet nie przeczytała porządnie, uważając je za głupi dowcip.

Kręcidupci nudziło się śmiertelnie. Gdyby obok siedział kto inny, a nie Jurek, poszłaby czekać do pokoju konstruktorów, ale Jurek roztaczał nieprzychylną atmosferę. W dodatku nic nie mówił, wydusić z niego słowo, to była ciężka praca, a Kręcidupcia nie pracy akurat była spragniona. Błąkała się po dużym i zagraconym pomieszczeniu, wciąż poszukując czegoś, na czym dałoby się usiąść wygodnie. Najlepsze wrażenie robiła jakby mała kolebka, wyścielona chyba miękko, wyglądało jak tapicerka i stało w kącie, więc nie od razu to dostrzegła. Nad tym na ścianie wisiał napis o macaniu grożącym śmiercią lub kalectwem, ale zlekceważyła go, nie obchodziła jej głupia lektura.

Obeszła to dookoła, ustabilizowała front, podjęła decyzję. Uczyniła krok do tyłu i trafiła stopą na jeden z tych żelaznych przedmiotów, głupkowato chichoczących. Stopa pojechała do przodu, reszta Kręcidupci poleciała do tyłu. Całym ciężarem, z impetem, runęła na siedzisko Sławcia, w pozycji dla siadania właściwej. Tyle że przechylona trochę na bok, chwyciła oba pokręta i przytrzymała się, żeby nie polecieć za daleko. Zabezpieczenie puściło, Kręcidupcia zachłysnęła się, szarpnęła i zastygła w straszliwym uchwycie.

Wyrzucone z pałacu strachów urządzenie spełniło swoje zadanie uczciwie...

* * *

Wracające z pokazów zespoły mechaników i konstruktorów pomniejszone były o dwie osoby, technologa i Dominika. Technolog wrócił do siebie, Dominik zaś, najzwyczajniej w świecie był straszliwie głodny, bo jakiś kuchenny niefart wyjątkowy uniemożliwił mu normalne zjedzenie śniadania. Dzieci zjadły, a on nie. Zły jak piorun prywatnie, chociaż służbowo zadowolony, skrzył do firmowego bufetu.

Grono przybyłe do miejsca pracy zamarło w drzwiach. Widok, jaki przedstawił się ich oczom, był absolutnie niewiarygodny i zakrawał na dziwaczny majak, makabryczny dowcip, albo zgoła fatamorganę. Strasznie blada Kręcidupcia siedziała na meblu Sławcia w najdoskonalszym bezruchu, rękami wspierała się na pokrętłach, z otwartych ust nie wydawała najłżejszego dźwięku, skupionym wzrokiem wpatrywała się gdzieś w dal, a w tapicerkę siedziska powoli wsiąkała krew.

Nikt nie zemdlął i tym bardziej nie padł trupem, chociaż niewiele brakowało. Za to potem rozpętało się piekło na ziemi, tym osobliwsze, że nadnaturalnie ciche.

* * *

Relacje o Kręcidupci Majka otrzymała trójstronnie. Od Haralda, od Stefana i od Bożenki, te ostatnie pochodzące od Anusi, zatem najbardziej szczegółowe.

Harald, przybyły najwcześniej, był tak uszczęśliwiony, zdumiony i zaskoczony sytuacją, że nawet nie pchał się do flaków. Pół godziny nie minęło, a już cały stół jadalny usłany był zdjęciami niezwyklej treści, na wszystkich ekranach zaś pojawiły się sceny jeszcze piękniejsze.

– Nic z tego nie rozumiem – powtarzał w kółko. – Ale zobacz sama, to może wystarczyć na cztery pory roku i dużo zostanie w zapasie.

– Oszczędnie trzeba, bo się opatrzy – ostrzegła Majka, usiłując patrzeć równocześnie w trzy różne strony. – Czego nie rozumiesz? Ona się opalała w ruchu.

– To zgadłem. Potem się ubierała, o zaraz będzie...

– Jak tyś to zrobił, żeby razem kręcić i pstrykać?

– Żaden problem. Dobry sprzęt sam wszystko robi, a miejsce stałe. Ale nie rozumiem tego, co dalej, no już, zaczyna się!

W kadr wpadł motor, widoczne było tylko przednie koło, jako całość pojawił się facet w hełmie i czarnej skórce i rozpoczął swoje sztuki z połyskującym w słońcu biczem. Wstrząśnięta Majka w milczeniu obejrzała scenę do końca, facet znikł, Kręcidupcia po krótkim namyśle przystąpiła do wkładania na siebie odzieży. Bez pośpiechu.

– To też się przyda – zaopiniował radośnie Harald. – Ale nie rozumiem tej reszty. Napad to był? Czy sadystyczny seks? No, nie udał się chyba, bo ja krzyknąłem. Nie chciałem przeszkadzać, ale mi się wyrwało.

– Jaki to był motor? – spytała Majka drewnianym głosem.

Harald nie miał wątpliwości.

– Honda. Średniej klasy. Ty wiesz, o co tu chodzi?

Majka odetchnęła głęboko i drewno z niej znikło.

– Honda... Nie, nie wiem... To znaczy domyślam się, ale nie mam pojęcia, co to za facet. Obcy chyba, chociaż i znajomy byłby nie do rozpoznania. Ciekawe, gdzie był Zdziś...

– Nie znam Zdzys. Wybierz zdjęcia, dopasuje się taśmy... To co to było, możesz mi wytłumaczyć?

Cała skandynawska powściągliwość go odbiegła, czemu trudno było się dziwić. Zamaskowana motocyklowym strojem postać leje po tyłku kuszącą

piękność, za którą w Sztokholmie już tłumy szaleją, a piękność nawet nie okazuje zdziwienia. Tak natrętnie dopominał się o wyjaśnienie osobliwego zjawiska, że Majka uległa, w końcu sama mu podetknęła tę Kręcidupcię.

– Ona się naraziła rozmaitym osobom...

Relację rozpoczęła powściągliwie i tak dyplomatycznie, jak tylko to było możliwe. Na wszelki wypadek wyjęła z zamrażalnika flaki i nie pchała ich do mikrofalówki, tylko postawiła na malutkim ogniu, bo pamiętała, że wymagają jeszcze odrobiny imbiru, który musi zrobić swoje. Harald słuchał, wciąż zdumiony, nie mogąc pojąć niezwykłości, dama kusząca każdego i nie wiadomo po co, ponieważ łaskami obdarza rzadko i fanaberyjnie, stwarza nadzieje, zwodzi... Co komu z tego przyjdzie? A tego rodzaju jednokierunkowy talent gimnastyczny może budzić uczucia, dlaczego nie, ale przecież nie takie na wieczność i do grobu!

Majka wyraźnie poczuła, że w eleganckich słowach Haraldowi tego nie wyjaśni, bo też istotnie Kręcidupcia była postacią wyjątkową. W żaden sposób nie mógł zrozumieć przyczyny, dla której zawiedziony adorator usiłuje łać kusicielkę po najbardziej pożądanych urokach i w dodatku nie jest to jeden konkretny adorator, tylko któryś z wielu, i w efekcie osoba sprawcy stanowi tajemnicę. Woń flaków delikatnie zaczynała unosić się w powietrzu, uznał zatem, że jest po prostu świadkiem wybuchu polskiego temperamentu i ma prawo dziwić się ile zechce. Szczególnie, że dla niego Kręcidupcia stanowiła doskonały element reklamowy i kompletnie nic więcej. Flaki doszły i równocześnie zadzwonił telefon.

– Wnioskując po telefonie, w domu jesteś – powiedział Stefan jakimś dziwnym głosem. – Proponuję, żebyś usiadła, a potem powiem dalszy ciąg.

W ciągu dziesięciu sekund Majka postawiła przed Haraldem parujący talerz i zimne piwo i na wszelki wypadek usiadła. Przy stole naprzeciwko gościa.

– No dobrze, siedzę. Co się stało?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Brakuje mi słów. Ale chyba Kręcidupcia dokonała autodestrukcji.

Majka sięgnęła do podręcznej lodówki i wyjęła piwo także i dla siebie.

– Mnie brakuje szarych komórek, żeby zrozumieć co mówisz – oznajmiła po chwili milczenia. – Możesz to powtórzyć jakoś mniej naukowo?

Spróbuję. Podziabala sobie tyłek. Wbrew ostrzeżeniom!!!

Do Majki nie dotarło. Zastanowiła się szybko, czy Stefan nie jest przypadkiem kompletnie pijany, ale godziny pracy skończyły się zaledwie przed kwadranssem, a przez piętnaście minut nie zdążyłby się urznąć tak artystycznie. W pracy nikt nie pił, zresztą nie lecieli od razu do domu jak normalni ludzie, tylko odwalali robotę prawie do wieczora. Coś tu się nie zgadzało.

– Cokolwiek to było, musiało trochę potrwać i składało się z poszczególnych fragmentów – rzekła bardzo łagodnie. – Powiedz może po kolei. Od początku najlepiej.

Stefan był zgodny i pełen dobrych chęci. – Uważam, że ty pierwsza powinnaś o tym wiedzieć. Początek polegał na tym, że mechanicy już zaczęli meblować pałac strachów i Sławcio wymyślił pułapkę, która o mało nas nie pozbawiła technologa...

Cierpliwie i z narastającym zrozumieniem Majka wysłuchiwała opowieści o siedzisku Sławcia. Harald na szczęście jadł powoli, delektując się cudowną potrawą. Stefan dołożył pomysły, jakie im przysły do głowy po garażowej demonstracji ulubionych zabawek technologa, po czym przeszedł do sedna rzeczy.

– No i wszyscy, jak Boga kocham, zadusili się w drzwiach. Siedem osób! Zamurowało pierwszych, więc każdy chciał obejrzeć i taka zduszona

kupa narodu tłamsiła się w progu. Trzy sztuki zdążyły wedrzeć się do środka, a reszta powyciągała szyje na metr i słuchaj, to było coś takiego, że nikt nie był pewien, czy nie zwariował. Na tym tronie Sławcia siedziała Kręcidupcia! Dokładnie pod napisem, że nie wolno tego nawet macać!!!

– I co...? – spytała Majka bez tchu.

– I nic! Rozumiesz? Nic! Siedziała! Ani drgnęła! Bez słowa!

– Tak... tak wygodnie... jej było...?

– Wygodnie?! Pogięło cię? Złapało ją!

Majce zabrakło głosu. W głosie Stefana pobrzmiwała tłumiona przyzwoitością euforia.

– Słowo ci daję, myślałem, że to nie ona, tylko manekin, takie coś sztuczne, gębę miała otwartą, nawet oczami nie mrugała i nic! Błada okropnie. Do tej pory byśmy tam stali, gdyby ktoś nie zauważył, że spod tyłka krew jej wycieka, tak bokami i w ten mebel wsiąka...

– Ruchoma?

– Co?

– Krew. Ruchoma była?

– Jedyna rzecz ruchoma, to właśnie ta krew, Elżbieta chyba jęknęła i wtedy wszystkich odblokowało. Sławcio prawie zawału dostał, a w dodatku okazało się, że ona z całej siły trzyma te pokręta i nie można jej było oderwać, na szczęście Józio, ten ich specjalista od wiatraczków, trafił nogą na coś kulcowate i pojechał na tym tak, że kopnął tron i Kręcidupcią trochę szarpnęło. Sławcio zwolnił szczęki...

– I co jej one, te szczęki, zrobiły?

– No właściwie nic takiego strasznego, dziabnęły ją górą i dołem, środek nietknięty, ale i tak, gdyby ich nie złapała, nawet by nie ruszyły, bo Sławcio zabezpieczył. Przestała wreszcie udawać sztuczny produkt i zaczęła jęczeć Domisiu, Domisiu... o, bardzo cię przepraszam!

– Nie szkodzi. A co Dominik na to?

– Nic. W ogóle go nie było, został z technologiem, teraz wiem, że poszedł coś wrzucić na ruszta, bo wcześniej nie miał kiedy i zgłodniał...

Majce od początku robiło się gorąco, teraz pozbyła się śmiertelnego zaskoczenia i zaczęła odczuwać błogość wewnętrzną.

– Wezwaliście pogotowie, czy ktoś ją gdzieś odwiózł?

– Za kretynów nas uważasz? Sławcio na rękach był gotów odnieść ją, gdzie trzeba, byle nieoficjalnie. Z chodzeniem miała kłopoty, no, z siadaniem także, posoką kapiała, ale wiesz, ja mam siostrę...

O siostrze Stefana, renomowanej pielęgniarki, Majka wiedziała tak samo jak wszyscy. Okręcona grubo papierem toaletowym i służbowymi ręcznikami Kręcidupcia do owej siostry odjechała. Nikt nie zważał na jej protesty, całe grono zajęte było poszukiwaniem chirurga, który by jej te podziabania zeszył, o ile szycie okaże się niezbędne. Wśród członków rodzin dwóch zespołów znajdował się jeden weterynarz, jeden ginekolog i jeden dentysta. Cała pracownia gotowa była wydać wszystkie własne pieniądze, żeby tylko wieść o katastrofie Kręcidupci nie rozeszła się szerszym echem.

Harald, rzecz jasna, z wypowiedzi Majki nie rozumiał ani słowa, ale widząc jej wyraz twarzy, nie upominał się na razie o repetę. Wąchał upojne wonie i czekał cierpliwie. Stefan, smętnie wzdychając, kończył relację.

– Ona uparta, moja siostra mam na myśli, opatrunek jej zrobiła elegancko, ale powiedziała, że odpowiedzialności na siebie nie bierze. Zagoić, to jej się zagoi, nie ma obawy, tylko nie wiadomo jak, pół tyłka może jej zostać dziurawe...

– Ach...! – wyrwało się Majce z zachwytem.

– No właśnie. Też jestem takiego zdania. Ale ta zołza uparła się, że trzeba zeszyć i jazda z nią do izby przyjęć, na chirurgię części miękkich.

Najlepszy, co prawda, byłby weterynarz, bo weterynarze bardzo troskliwie obchodzą się ze swoimi pacjentami w przeciwieństwie do konowałów ludzkich...

– To szkoda dla Kręcidupci weterynarza!

– Nawet nie to, ale żaden weterynarz nie uwierzy, że ma na stole prawdziwą owcę, oni rozpoznają, a ludzi podobno im nie wolno. No to zawieźli ją, Sławcio tak się cackał, chociaż wszyscy uzgodnili, że ona upadła na grabie, nawet Jurek gotów przysięgać, że na grabie, chociaż przy niczym go nie było. Na grabie ta bajadera się zgodziła, pojęcia nie mam dlaczego, ale woli grabie niż tronową pułapkę. Na tę, jak jej tam, pojechali, na Mokotowie, no, tam gdzie się podobno awanturowała ta Szwedka, co teraz z szamanem szwedzkie zlecenie załatwia...

– Achchch...! – krzyknęła Majka z jeszcze większym zachwytem.

– Bo co? – zaciekał się Stefan.

– Bo może trafi na tych cudownych lekarzy i siostrę oddziałową, co i Danuta, a oni jej ten tyłek do reszty wykończą... – oj, nie – zmartwiła się nagle. – Oni są z ortopedii, a tu części miękkie... I ta znakomita Beatka... Muszę złapać Beatkę!

– Nie znam Beatki, ale łap, skoro musisz... Więcej nie wiem, bo tylko Sławcio z nią został na to całe szycie. Ale co mnie zdziwiło, to Dominik, owszem, powiem, to nie żadna płotka, tylko spostrzeżenie własne, a ja nie zamierzam ukrywać, że jestem po twojej stronie...

– Dominik o tym wie?

– Jeśli nie jest idiotą, to musi wiedzieć, ale jemu nie powiem, bo mi da po mordzie i będzie miał rację. Ty to co innego...

– Najuroczyściej zapewniam cię, że ci nie dam po mordzie!

– Taką mam nadzieję. Otóż Dominik najpierw tak jakoś skamieniał, prawie jak ta hurysa na łożu tortur, a potem zrobił się nieziemsko wściekły.

Po swojemu, bez słowa, a jeśli, to na inny temat. I wyobraź sobie, nie pojechał do szpitala! Siedzi i odwala robotę, aż dookoła niego furczy. Nie wiem, co będzie, jak wróci Sławcio.

Majka zastanowiła się.

– Przyrząd ma być skorygowany?

– Przeciwnie. Usunięty z projektu.

– Zatem nigdy nie istniał. Uprzedź Sławcia, niech gdzieś to ustrojstwo skryje i nie rusza tematu. Żadnych przeprosin! Żadnych szczegółów technicznych!

– Technicznie to on już wszystko wie...

– No to tym bardziej. Nigdy w życiu tego ślicznego gówna nie było, Kręcidupcia się przewróciła na grabie, doskonały pomysł, skąd weźmiecie grabie, nie mam na razie pojęcia, spytajcie Bożenkę, może wam podpowie. Ostrzegam uczciwie. Jesteś najcudowniejszym facetem pod słońcem!

– Bóg ci zapłać. Wezmę to wszystko pod uwagę. Jeśli chcesz, doniosę ci ciąg dalszy, nawet jeśli emocje opuszczą mnie doszczętnie i dyskrecja zacznie pętać...

Majka chciała. Odłożyła słuchawkę. Spojrzała na Haralda oczami jak gwiazdy. Harald doznał malutkiego rozdarcia, niepewny co piękniejsze, roziskrzone oczy, czy flaki, ale oczy żadną wonią nie zalatywały, za to garnek na małym ogniu owszem. Natychmiast został obdarzony potrawą, nie dość na tym, Majka jakimś triumfalnym gestem wyciągnęła flachę ledwo napoczętej finlandii, koreczki z anchois otworzyły się same, kieliszki z własnej inicjatywy stanęły na stole.

– W tym mieście są taksówki – dowiedział się. – Pijemy za sukces prywatny i za nieszczęście zawodowe! *Skol!*

– *Fajn!* – zgodził się Harald i poświęcił uwagę flakom, przedtem rzuciwszy pytające spojrzenie.

– To wszystko – rzekła przejęta Majka, machnąwszy widelczykiem z zakąską wokół siebie – to są skarby bezcenne. Moja dusza mówi, że więcej nie będzie, główny element reklamowy szlag nam trafił. Wszystko musimy racjonalnie wykorzystać i rozciągnąć na lata, pierwsze zestawienia już mamy, zacznę od razu, jak tylko dostanę odzieżowe szkice projektantów. Całej reszty i tak dzisiaj przemyśleć nie zdążymy, ale trzeba jej strzec jak oka w głowie!

– Rozumiem. Nieszczęście zawodowe. Dlaczego?

– Modelka zdemolowała sobie tyłek. To była ostatnia chwila, ostatnia okazja. Cud, że ją tak pięknie wykorzystałeś!

– No to nieszczęście złagodzone – pocieszył się Harald. – A sukces prywatny?

Przez chwilę Majka zastanawiała się, jak mu to powiedzieć.

– Mój osobisty. Ja jej bardzo nie lubię.

– Tej wygimnastykowanej... damy?

– Tak jest. Tej wygimnastykowanej... pluskwy.

W tym momencie Harald doszedł do błyskawicznego wniosku, że prywatny sukces osobisty to on odniósł. Właśnie skończył jeść drugą porcję flaków, znacznie większą niż pierwsza, i kropnąć sobie kielicha, kiedy panią domu poderwało od stołu. Rozpętał się tajfun.

– Rany boskie, moje dzieci wracają! Zapomniałam, że mam dzieci! Natychmiast to chowaj, już, już, wszystko! Dyskietki won! Chowaj! One nie mają prawa tego zobaczyć, ani jednej sztuki!

Haraldowi ledwie udało się oddzielić uzgodnione od rozproszonych, kilka zdjęć zleciało pod stół, wlaźł po nie, Majka zgarniała resztę jego twórczości, jakby wokół szalał pożar.

– Wszystko tam! Do pracowni!

Zdążyli ukryć wizerunki Kręcidupci tylko dzięki temu, że dobrze wychowane dzieci siłą przyzwyczajenia najpierw zdjęły wierzchnią odzież i zmieniły buty, a dopiero potem wkroczyły dalej. Trudno było nie zauważyć, że matka z Haraldem zgarniają jakieś materiały niewątpliwie służbowe ze stołu, krzeseł i kredensu, stół z flachą i kieliszkami mógł się wydawać nieco kompromitujący, ale to ich właściwie nie obchodziło. Znacznie bardziej interesujący był Harald.

– Ja mówię po szwedzku! – powiedział dumnie Tomek po duńsku z całkiem niezłym akcentem.

– Fajn! – ucieszył się Harald po zaledwie dwóch sekundach znieruchomienia. – Ale mówisz po duńsku.

Tomek spojrzał na Majkę.

– Ja mówię po szwedzku – powiedziała Majka po szwedzku i przeszła na polski. – Tamto było po duńsku, zobacz, jakie to podobne języki w niektórych miejscach. Ale powiedziałaś to z bardzo dobrym akcentem, a duński akcent jest trudniejszy niż szwedzki.

Gdyby nie to, że dzieci miały do odpracowania tym razem aligatory, lekcja języków obcych trwałaby zapewne do późnego wieczora. Harald miał obowiązki, chcąc nie chcąc musiał się oddalić, jutro razem z Danutą wracał do Szwecji.

Zaledwie aligatory zeszły z ekranu, zadzwoniła Bożenka.

– Nie uwierzysz – powiedziała po długiej chwili wstępnego milczenia.

– Owszem uwierzę – odparła Majka stanowczo. – Uwierzę we wszystko, więc przyjeżdżaj natychmiast!

* * *

Siedziały w pracowni Majki z napoczętą finlandią pod ręką i patrzyły na siebie niepewnie.

– Myślisz, że można by już wyjąć szampana? – spytała Majka z powątpiewaniem.

– No właśnie nie wiem – zakłopotana się Bożenka. – Boję się zauroczyć. Bo może takiej zarazie wcale to wszystko nie zaszkodziło?

– Też mam takie obawy. Chociaż z drugiej strony... Zobacz sama, jestem pewna, że te wszystkie ataki, ta strzała, druty, kwas, były wycelowane w nią, trafiło w niewinne osoby, a jej nic się nie stało. Ja sama palcem o palec nie stuknęłam, widziałas jak ją zużyłam i bardzo z tego jestem zadowolona. Ale może i ten Sławcio też jej nie zaszkodzi.

Bożenka ponuro spojrzała na finlandię.

– Nie. Wolę piwo. Jak ostrożność, to ostrożność.

Majka poszła po piwo. Bożenka wykonała kilka głębokich wdechów.

– Czekał, bo ja słyszałam od Anusi takie rzeczy, że mi się nigdzie nie mieści. Anusia u niej była.

– A gdzie ona jest?

– W domu.

– Jak to, w domu? Nie w szpitalu?

– Nie. Poczeszywali ją i wygonili. Ten co z nią był... zaraz, jak mu... a, Sławcio! Mechanik, znam go. Osobiście ją odwiózł jak śmierdzące jajko. Podobno całą drogę jęczała.

– Kiedyś w końcu musiała swoje odjęciec – orzekła Majka i zastanowiła się. – Ale wiesz, to mnie napawa pewną otuchą. Skoro odwalili ją w takim tempie, nie mogło to być zbyt precyzyjne szycie, jest szansa, że coś spaskudzili.

Bożenka kiwnęła głową i ponure osłupienie trochę w niej zmiękło.

– Też na to liczę. Za to pojąć nie mogę tego, co przedtem. Otóż, czekaj, ona mówi... to znaczy ona nie mówi, ale Anusia z niej wydoiła, że podobno opalała się za jałowcami... popatrz, jaka uparta...

– I głupia.

– To już wiemy, a jeszcze głupsza niż myślisz. I podobno tam był jakiś facet, który ją podglądał. Dominik się o tym jakoś dowiedział i przyjechał motorem z jakąś szablą albo czymś podobnym i na tego faceta się rzucił, a on krzyknął strasznie dziwnie i uciekł. A Dominik odjechał. I co ty na to? Bo ja nie jestem w stanie uwierzyć.

– I słusznie, nie wysilaj się. Ona uważa, że to był Dominik?

– Jest pewna granitowo. A nie?

– Co za idiotka! Dominik jeździ harleyem, a to była honda. Harald owszem, krzyknął, ale wcale nie uciekł, tylko dołożył piękny materiał do następnych wystaw. Uciekł ten na hondzie.

– Jesteś pewna?

– Widziałam to nagrane. I dopiero teraz rozumiem, dlaczego ona wcale się nie przestraszyła. Dalej odwaliała swoje i czekała aż rycerz wróci. I nie była to żadna szabla, Harald mówi, że jakiś bicz, owszem, wyglądało na bicz najeżony kolcami.

Bożenka odsapnęła potężnie i z wyraźną przyjemnością napiła się piwa.

– I kto to był?

– Nie mam pojęcia. Może ten z Kanady? Ale ja wątpię, czy on jeździ hondą...

Przez chwilę rozważały rozmaite kandydatury, Majka poszła po następne piwo, Bożenka z ulgą odzyskiwała równowagę.

– Nie mam cierpliwości zgadywać. Może teraz skoryguj to dziabanie w tyłek u mechaników, to co wiesz od Stefana.

– Nie, najpierw powiedz, jakie brednie Anusia wydusiła z kretynki!

Z opowieści Bożenki wynikało, że Anusia odwaliała pracę górnika na przodku. Wywlokła z Kręcidupci informację, że Dominik zazdrość szaloną

okazał wyraźnie, ale nie wrócił, zatem sama postanowiła go poszukać i pojechała do firmy. No i tam...

Jakieś okropieństwa u siebie mają, nikogo nie było, ile można czekać, usiadła na chwilę i coś się w nią wbiło. Coś tak straszego, trzymało ją, chciała zerwać się, krzyknąć, ale nie mogła, bo tchu jej zabrakło. I nie bardzo się rwała do krzyku, bo u konstruktorów tylko Jurek siedział, a na niego nic nie działa, żadnego wpływu mieć nie można. Bała się ruszyć. Tylko w pierwszej chwili spróbowała, ale trzymało i bolało nieludzko. Ale potem...

No, nie chciała się przyznawać, że czekała na Dominika, chciała tak niby przypadkiem, a w dodatku tam rzeczywiście napisy wisiały, że niczego nie wolno dotykać. Przedtem myślała, że to jakieś wygłupy. Możliwe, że coś zepsuła, no i cóż takiego, naprawią sobie, ale wymyślili, że w ogóle nic nie było, tylko ona się przewróciła na grabie. Przewrócić się każdy ma prawo. W ucho jej wpadło jak ktoś coś mówił, że te grabie ma skombinować Bożenka...

– Anusi w ucho wpadło i to ją najbardziej wystraszyło – kontynuowała Bożenka opowieść nader dziwną i chaotyczną. – Dlatego od razu mnie dopadła, bo niby co my mamy z tymi grabiami zrobić?

– Bić się na grabie – zaproponowała Majka żywiutko. – Z tego co wiem od Stefana, to ją złapało tak, jak wielka mordą zębami, więc dwie pary grabi potrzebne...

– Porąbało cię?

– Nie musicie wy same, chłopaków podpuścić, bitwa na grabie symulowana, potem one upadły i leżą, a ona na nie wlaźła...

– To by ją drągiem walnęły w łeb, a nie zębami łapały za tyłek!

– Przestań stwarzać trudności! Niech przeliczą, jak powinny leżeć, żeby ona na nich usiadła, takie działania stereometryczne Dominik bardzo lubi.

Bożenka przyjrzała się Majce krytycznie.

– Już widzę, jak Dominik wylicza katastrofę ukochanej pijawki...

– Nie taka ona ukochana, jakby sobie życzyła – odparła Majka beztrąsko. – Coś mi się widzi, że przesadziła z gniotem na Dominika, a on tego bardzo, ale to bardzo nie lubi...

* * *

Dominik pogrążył się w pracy do tego stopnia, że zapomniał o jakiegokolwiek wściekłości, a nawet zapomniał o Kręcidupci. Nie dość na tym, zapomniał, że czegoś chce i nie może tego dostać, a w dodatku przez długą chwilę nie mógł sobie przypomnieć, co to w ogóle jest. A prawda, Kręcidupcia. To znaczy nie, Emilka. Upragniona Emilka...

Był zmęczony i na nowo głodny. Chciał wrócić do domu, gdzie czekałaby na niego cudowna istota, chętna i przymilna, z gotowym posiłkiem i wszystkimi swoimi urokami, gotowa obdarzyć go nimi na deser bez żadnych fochów i dąsów, gotowa wysłuchać z pełnym zrozumieniem, jak udało mu się idealnie zaprojektować całą konstrukcję tego podestu, który na centymetr usuwa się ludziom spod nóg. Wszystkie obliczenia gotowe, Paweł może robić rysunki robocze...

Zaraz. Do domu może wrócić, ma przecież jakiś dom. Ale gdzie jest cudowna istota?

Nie przeanalizował dokładnie i szczegółowo swoich pragnień, bo tego nie czynił nigdy. Po prostu chciał i już. Mętnie wydało mu się, że z cudowną istotą jest coś nie w porządku, nie podobało mu się to, nie chciał o tym myśleć. Gdzieś na horyzoncie majaczyły mu jakieś bezsensowne wysiłki, na które nie miał najmniejszej ochoty, bo nie wysiłków cudowna istota miała mu przyczyniać, tylko niebiańskich rozkoszy. Gdzie ona, do cholery, w ogóle jest?

Przyszło mu do głowy, żeby zadzwonić, ale okazało się, że komórkę ma rozładowaną. Siedział już na motorze, nie wiedział co zrobić i na nowo zaczęła ogarniać go wściekłość. Nie zaświtało mu nawet, że jeszcze przed trzema miesiącami wiedziałby, gdzie ona jest, a jeśli nie, przejechałby całe miasto wzdłuż i w poprzek i znalazłby swoje szczęście choćby pod ziemią. Teraz w jakiś tajemniczy sposób głód przygłuszał szczęście i wyłaził na pierwsze miejsce.

Bez zastanowienia, nie myśląc co robi, pojechał do domu.

Już w progu, natychmiast po otwarciu drzwi, uderzyła go woń pierogów, okraszonych tartą bułeczką z masełkiem. Jakaś przyprawa w tym była, niezmiernie apetyczna. W mgnieniu oka uciął w sobie proces myślenia, zmienił obuwie i wszedł do kuchni.

Promienna i uśmiechnięta Majka polewała okrasą pierogi w wielkiej, parującej salaterce. Obejrzała się na niego.

– O, dobrze, że zdążyłeś – powiedziała radośnie. – To już nie będę ich zamrażać, od razu możesz zacząć jeść. W lodówce wytrzymają nawet do pojutrze. Dzieci zrobiły zakupy i wyobraź sobie, dostały te najlepsze, trójmięsne!

Prawda, on ma także dzieci!

Wściekłość skrzypnęła i zaczęła pękać. Przy kuchni stała promienna istota, której nie chciał i której nie powinno być ani tu, ani nigdzie. No tak. Ale właściwie dlaczego?

Cała niewidoczna na zewnątrz anatomia Dominika dokonała nagle kilkunastu dziwnych skoków. Poza istnieniem niechcianej promiennej istoty nie widział tu żadnych problemów. Nikt od niego niczego nie żądał. Nikt go do niczego nie zmuszał. Nawet te pierogi mógł jeść albo nie, jak mu się podobało, ale jedzenie pierogów podobało mu się z pewnością, co do tego nie miał wątpliwości. Nie słyszał żadnych pytań...

– Może w takim razie dzieci powinny częściej robić zakupy? – wyrwało mu się prawie jak normalnemu człowiekowi.

Majka wywęszyła jakąś zmianę w Dominiku i w niej dla odmiany wszystko zatrzepotało. Opanowała się z wysiłkiem.

– Nie wiadomo, czy zawsze tak dobrze trafią, ale będziemy próbować – odparła i wyszła z kuchni.

Wnętrze Dominika podzieliło się jakby na trzy części. Usiadł przy stole, sięgnął po pierogi, jedna część doznała błogiego ukojenia. Święty spokój...

Drugiej nagle zrobiło się przykro, będziemy próbować? My? To znaczy kto? On też chciałby w tych próbach uczestniczyć...

Trzecią część ogarnęła lekka irytacja. Wciąż jeszcze miał w sobie cichnący zapach zawodowy, satysfakcję, którą chciał się podzielić ze swoją chcianą cudowną istotą. Coś w nim stawiało delikatny opór. Ale podzielić się chciał...

Majka wróciła, przytknęła czajnikiem i jednak zadała pytanie.

– Chcesz może piwa do tych pierogów? Pasuje.

Pytanie było niezwykle, bo Dominik pijał piwo mniej więcej pięć razy w roku. Nie lubił alkoholu, a piwo było napojem alkoholowym, teraz jednak nagle myśl mu się spodobała. Do tych wspaniałych pierogów rzeczywiście pasowało, a przy tym nadawało się do uczczenia dzisiejszego sukcesu.

– A jest?

– No pewnie. Carlsberg. Najlepsze.

Sięgnęła do lodówki, w mgnieniu oka na stole stanęły dwie puszki i dwie szklanki. Usiadła, też wzięła sobie jednego pieroga. Dominik odruchowo obsłużył piwem i ją, i siebie. Uniosła szklankę.

– No to za sukces!

– Czyj sukces? – nastroszył się podejrzliwie Dominik.

– Jak to, czyj? podwójny. Naszych dzieci i twój.

– Skąd wiesz o moim?

– No przecież widać po tobie, w oczy bije. Coś wyszło, udała ci się robota. Ciekawa jestem jaka, ale jak nie chcesz, to nie mów.

– Ten ruchomy podeścik w pałacu strachów – nie wytrzymał Dominik, bo przecież właśnie o tym chciał mówić.

– Żartujesz? – ucieszyła się Majka. – Obliczyłeś do końca? I pod spodem jest przepaść z płonąca smołą?

– Jeszcze jaka! Poza tym trzyma poziom i wraca automatycznie...

Zaczął na niego spływać jakieś tajemnicze ukojenie, Majka rozumiała wszystko co do niej mówił, interesowało ją, zadawała pytania, rozważała z nim razem wysokość poręczy i podstępne ukrycie lin i wsporników. Nareszcie Dominik mógł się pochwalić komuś, kto nie był współpracownikiem, a mimo to siedział w temacie.

Niestety, myśl, że do świetlanej Emilki mógłby mówić to samo równie dobrze, jak do kranu nad zlewem, nie zaświtała mu nigdzie. Nawet cień myśli. Nawet cień cienia...!

Z całej siły Majka pilnowała się, żeby ani jednym słowem nie napomknąć o mechanikach. Mechanicy nie istnieli. Dominik zapominał się tak dalece, że zahaczał o nich niekiedy, ale nie podtrzymywała kwestii, nie słyszała, na moment głuchła. Kręcidupcię wywiewało z jej domu z siłą trąby powietrznej.

I wszystko byłoby świetnie, może nie wystrzałowo, raczej drętwo, ale miło, sympatycznie, łagodnie, gdyby nie piwo.

Carlsberg. Od początku Dominik miał przed oczami tę nazwę, w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi, ale w jakimś momencie zaczęła go lekko podgryzać. Carlsberg. Znał przecież firmę, wysoko ją cenił. Jakieś skojarzenie pojawiło się, umknęło, wróciło... Nie pozwalało się odpędzić,

sprawiało nieprzyjemność. Dominik miał już po dziurki w nosie nieprzyjemności, nie chciał więcej.

– To ze Szwecji? – spytało nagle coś w nim.

– Nie, ze sklepu – odparła Majka, zdziwiona nieco. – Poza tym Carlsberg jest w zasadzie duński.

– Tam się te firmy łączą. Pomyślałem, że może ktoś ci przywiózł. Ta historyczna postać z zębami...

Wcale nie chciał tego powiedzieć. Nic go to przecież nie obchodziło, nie interesowało go, nie liczyło się. Jednakże pchało się natrętnie.

Majce zrobiło się równocześnie zimno i gorąco. Zaprawiona już nieźle w bojach o Dominika, zachowała spokój, wspomogła ją myśl, że jego dziwactwa doprawdy przerastają Himalaje. Przecież powinien w tej chwili szaleć z niepokoju o Kręcidupcię, może snuć się pod jej oknami, albo z martwą twarzą i jakąś prasą zamknąć się w łazience, a on co? Nagle przypomina mu się Harald...?

– Historyczna postać, jeśli już coś przywozi, to raczej marcepanowe ciasteczka – skorygowała uprzejmie. – Teoretycznie dla dzieci, a w praktyce żrą je wszyscy. Już prędzej ja bym im zawiozła cały bagażnik polskiej wódki, bo ich aquavit nadaje się do smarowania po komarach. Poza tym, zdaje się, że jeszcze nie wiesz, ale właśnie w tej chwili... no, wcześniej trochę... niejaka Danuta Martenson, ichnia menadżerka, załatwia z szamanem wielkim zlecenie na obiekt handlowo-mieszkaniowy na obrzeżach Sztokholmu, osiedle mieszkaniowe, supermarket, hotele i tak dalej. Ciebie to też dotyczy, grunt piękny, same skały i kamienie, miły kontrast z naszym wesołym miasteczkiem.

– Mnie na tym... – zaczął Dominik sztywno i dalej miał powiedzieć „nie zależy”, ale urwał. Nieprawda, zależało mu, zainteresowało go bardzo, szczególnie to skaliste podłoże. – Skąd wiesz?

– Jestem zaprzyjaźniona z Danusią. Pomysł się załagł już parę tygodni temu. O ile wiem, dziś zawarli wstępne porozumienie, dla całej firmy duża robota.

Dominikowi Harald przybladł łatwo, bo wcale nie chciał o nim mówić. Rzeczowa rozmowa z Majką była bez porównania przyjemniejsza, a perspektywa wsparcia się konstrukcją o solidne podstawy wręcz go ucieszyła. Gdzieś mu ulżyło, zapewne na duszy.

Majce ulżyło jeszcze bardziej. Dobrze zgadła, absolutnie nie była to chwila właściwa dla roztrząsania komplikacji uczuciowych i międlenia Kręcidupci. Przez chwilę miała wprawdzie wściekłą ochotę powiadomienia Dominika o jego własnych, nieznanym mu poczynaniach, wybuchach dzikiej zazdrości i rzucaniu się z szablą na rywala, kalającego wzrokiem nietykalną świętość, aż ją korciło, ale zdołała się powstrzymać. Najwyraźniej w świecie Kręcidupcia chwilowo nie istniała.

Czy to przypadkiem nie był malutki powiewek zwycięstwa...?

Z tego wszystkiego Dominik znów zapomniał o turystycznym łóżku.

* * *

Smutny wieczór przeżywał Szymek w domu Grzeška, w życzliwym towarzystwie Zygmunia i Kazia.

Ten jakiś ryczący bawół w plenerach, gdzie już miał ofiarę pod batem, wytrącił mu broń z ręki. A już tak pięknie wycelował! I ręka mu drgnęła, ktoś tu jest, ktoś go widzi, o nie, nie wygłupi się tak, żeby na niego padło. Nienawidzi tej kurwy ponad wszystko w świecie, ale nie pójdzie za nią siedzieć, jeszcze by tylko tego brakowało. Raz mu się udało, ślepy fart, pies z kulawą nogą nie połączył go z trupem w lesie, nic do tej Zeni nie miał, ani ona do niego, ale nie kusić losu, drugi raz może się nie udać. Uciekł. No uciekł. Trudno.

Odstawił w telewizji pożyczoną hondę, zanim się właściciel zorientował, nawet nie wiedział, że taki uczynny. Banię na łeb, czarna kurtka i kto się połapie, że to nie Zambrzak? Na cały dzień przygwożdżony, bo akurat z nim kręcą, ale tam taki bałagan, że mógł się gdzieś na trochę zawieruszyć...

I znów ścierwo uszło z życiem bez szkody dla zdrowia. Ale nie popuści, dopadnie jej, znajdzie okazję, a jakby telewizja z nim skończyła, zatrudni się na budowie razem z Zygmuntem i Kazikiem, tam gdzie kurwa co i raz się pęta. Będzie miał na nią oko!

Siedzieli przy piwie, półlitrze drugim kolejnym, kaszance i doskonałych ogórkach konserwowych, bo akurat te łakocie najbardziej lubili. Grzesiek udawał, że nic się nie stało i piją tylko tak sobie, ale był przejęty. Scenarzysta podobno zamierzał dać mu rolę, koniec milczenia, dostanie tekst. Tekst co prawda odznaczał się wyjątkową skromnością, składał się jednego słowa „uciekaj!” powtórnego trzykrotnie, ale zawsze to awans. W sferach artystycznych! Szymek ambicji artystycznych nie żywił żadnych, nie zazdrościł mu, tyle że gratulacjami nie tryskał. Zajęty był własnym niefartem.

Tak sobie, bez nacisku, z grzeczności spytał gówniarzy o tę ich budowę. Jak im się tam robi? No i symulowana grzeczność opłaciła się, dowiedział się niezwykłych rzeczy.

Robota to pikuś, same wykopki na razie, ale za to jakie rozrywki! I coś w tym musi być, że co i raz to kogoś za tyłek łapie, do jednego ktoś prawdziwą strzałę wystrzelił... na wszelki wypadek nie powiedzieli do kogo... półdupek mu poszarpała i portki, jedna facetka na drucie kolczastym usiadła, na magazynierkę kwas solny zleciał, ale tej się pofarciło, but jej zeżarło, a tyłek jakoś ocalał. A najwięcej zamieszania przez tę taką jedną, co jej Szymek szuka, rajcowna jak cholera, personel na nią Kręcidupcia mówi, sami słyszeli...

Szymek przewrócił angiolkę, na szczęście pustą, bo elegancko pili na cześć Grzeška, żadne tam szklanki albo słoiki, prawdziwe kieliszki mieli. Szymek do tej pory pił skąpo, teraz podgonił, temat go zainteresował. Jak ona z personelu, to co tam robi? Przecież łopata nie macha?

– Hydraulik ją włączy za sobą, bo głównie się z rzeczką barłozą – wyjaśnił Kazio. – A ona taka sekretarka albo co i papierów pilnuje. Znaczących, rysunków. A co się ruszy, faktycznie, tyłkiem kręci jak wiatrak i nie ma siły, każdy za nią łeb obróci.

– Codziennie tak?

– Nie całkiem, ale prawie.

– To dlatego tak im ta robota przypasowała! – wyłóślił się Grzesiek.

– A jak jej tam nie ma, to gdzie za nią łby obracają?

– A w tej ich firmie podobno. Biuro projektów to jest, kobyła okropnie wielka, wszystkie branże, a takie te, jak im tam, o, pomoce techniczne tak latają z jednego końca w drugi, kilometr mają najmarniej.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zdziwił się Zygmunt.

Kazio wyjaśnił bez oporów. Ciekawość ma w sobie, lubi pogadać z ludźmi, podobają mu się takie dodatkowe rozrywki, a o tej wirnikowej gadają najczęściej. Plotki aż furczą.

O tej wirnikowej Szymek wiedział na pewno więcej niż jego rozmówcy, ale trochę od innej strony. Nie mógł dojść, gdzie ta suka na stałe pracuje i gdzie mieszka. Bywa na terenie budowy, no bywa, to już wiedział. Ale co poza tym? Kazio stał się nagle dla niego najbardziej interesującym młodzieńcem świata.

Ponury smutek ruszył z jego serca i jął się stopniowo oddalać. Wróciła energia, wrócił wigor i najszybciej wróciła nienawiść. Kazio, zachwycony swoją ważnością solennie przyobiegał dowiedzieć się jak najwięcej...

* * *

Zdziś o katastrofie Kręcidupci nie miał najmniejszego pojęcia aż do następnego dnia. Wściekły był na nią do nieprzytomności, rysunki zostawiła, ale gdzieś zgubiła jeden, najważniejszy, na odbitce wcześniejsze zmiany były naniesione. Nie zdawał sobie sprawy na jakim tle szarpie go wszystko w środku i dziwiło nawet, tak migawkowo, że owe rozszalałe doznania nie mają wpływu na perystaltykę jelit. Bo właściwie powinny mieć wpływ...

Co było jeszcze dziwniejsze, nie stracił apetytu. Wdzięczna przyroda z rzeczką zdrowo dawała mu w kość, był śmiertelnie zmęczony i śmiertelnie głodny. Zdobył się jeszcze na to, żeby nanieść na projekt ostatnie poprawki, nie drukował ich, bo to należało do tej choleralnej lafiryndy, i udał się do domu.

Na myśl, że w tym domu mógłby spotkać swoją miłość tysiąclecia, zrobiło mu się niedobrze. Że mogłyby go otoczyć upragnione dotychczas uroki i wdzięki, jedyne na świecie, zrobiło mu się jeszcze gorzej. W rozpacz, w stanie jakiegoś otumanienia, najpierw wyłączył stacjonarny telefon, nie zdając sobie sprawy, że komórkę zostawił w pracy, a potem stworzył lodówkę i zajrzał do zamrażalnika.

W lodówce znajdowało się piwo, w zamrażalniku zaś coś, czego nie rozpoznał, ale wyjął, bo z pewnością było to jadalne. Powąchał. Zaleciała go odrobina zapachu niebiańsko cudownego, potrawka z polędwicy wołowej w gęstym sosie grzybowym. Na wierzchu naczynia znajdował się napis: Żaroodporne. W mikropiecu 10–12 minut.

Nic absolutnie nie myśląc, Zdziś wetknął potrawę do mikrofalówki, nalał sobie piwa i jął się wpatrywać w urządzenie. Po pięciu minutach przyszło mu do głowy, że mógłby chociaż umyć ręce. Uczynił to. Mydło

wypsnęło mu się z ręki i pojechało po podłodze łazienki aż gdzieś za pralkę. Wciąż nic nie myśląc, dogonił je i złapał, opłukał ręce, wytarł gorączkowo, wrócił do kuchni. Urządzenie brzęknęło.

Wyjął potrawę i usiadł przy stole.

Boże, cóż to było za przecudowne pożywienie! Z każdą łyżką, bo pożerał to łyżką, pomagając sobie kawałkiem bardzo suchego chleba, całe wnętrze zaczynało mu się zmieniać. Wściekłość na Kręcidupcię bladła, cała Kręcidupcia bladła i gdzieś znikwała. Co mu w ogóle do łba strzeliło, żeby za nią tak latać, co za amok jakiś go opętał, musiał naprawdę doszczętnie zgłupieć.

Człowiek, a podobno kobieta to też człowiek, składa się z różnych elementów anatomicznych. Zaczynając od góry, człowiek posiada głowę, a w tej głowie mózg...

Tu na chwilę jakoś go ścisnęło, a łyżka znieruchomiała. Krótko to trwało, napił się piwa i podjął proces żywienia.

I on tym mózgiem myśli. Poniżej ma klatkę piersiową, a w niej rozmaite uczucia. Jeszcze niżej przewód pokarmowy i rozmaite wątpia, którym on właśnie dostarcza upojnych rozkoszy. Dalej część biodrową, a na samym dole nogi.

Kręcidupcia posiadała nogi... no nie, bez przesady, ona jeszcze żyje, zatem posiada nogi w czasie teraźniejszym... Czy aby na pewno? Dla niego Kręcidupcia to czas przeszły, coś mu się stało, coś w nim pękło, przeszły i koniec. Posiadała. Nic nadzwyczajnego, nogi jak nogi, żadne cudo, tyle że nie krzywe. Dalej mieścił się w niej, uczciwie mówiąc, wentylator, a jeszcze wyżej już nic. Pusta skorupa. O żadnych uczuciach nie mogło być mowy, a w głowie jeszcze gorzej, mózg ona może i miała, ale myślenie było dla niej zjawiskiem obcym. Jak dla owcy, z której coś było w

nadałanej twarzyczce. I dokładnie tak samo można z nią było rozmawiać jak z owcą.

Co on, do cholery, w niej widział? Wiatrak? Obrzydł mu ten rozszalały wiatrak już doszczętnie, dopiero teraz poczuł z jakim wstrętem patrzył ostatnio na rozkręcone pośladki. I on naprawdę takiego obłędu dostał na tle pośladków...?!

Zeżarł wszystko, całą wołowinę z sosem grzybowym, i prawie wylizał talerz. Wściekłość na Kręcidupcię przeistoczyła się w złość na siebie samego. Co za wał, matoł jakiś, popapraniec debilny! Złość na siebie złagodzona była wprawdzie przyjemnym uczuciem w żołądku, ale zawierała dodatkowy nieprzyjemny element, jakby ziarnko gorczy w beczcze ambrozji. Teraz był już zdolny do myślenia, uświadomił sobie, że od początku, od pierwszego powąchania potrawy doznał tajemniczego skojarzenia, które z każdą łyżką rosło i krystalizowało się. Charakter miał łagodny, ale odwagi mu nie brakowało, sprężył się w sobie i mężnie ubrał skojarzenie w słowa.

Luiza. Jego była żona. Luiza robiła taką anielską polędwicę wołową w sosie grzybowym i nic lepszego nie istniało na świecie.

No tak, Luiza. Kretyn. Idiota. Bydlę. W ogóle gnój. Jak on ją teraz ma błagać o przebaczenie...? Z jękiem łupnął czołem w stół.

I zupełnie nie przyszło mu do głowy, że przecież potrawka wołowa sama się nie zrobiła i do tego zamrażalnika nie wlaźła...

* * *

– Nic nie wiem jeszcze – powiedziała z lekką niechęcią Beatka po drugiej stronie telefonu. – Nie było mnie przy tym, dopiero teraz zaczynam dyżur. Ale jeśli to twoja przyjaciółka, nie rób sobie wielkich nadziei...

– Nie! – wyrwało się Majce dość gwałtownie. – Przyjaciółkę usuń z rozważań. Zdenerwować mnie mogą tylko dobre wieści.

– A... rozumiem. Musisz poczekać do jutra, specjalnie zostanę, bo powinna przyjść na opatrunek. Ale jeśli to zostało dobrze zeszyte, to ja jestem szach perski. Przysięgnę, że ten kretyn napaskudził!

– Był tam może doktor Zajzajer?

– Nie, ale podejrzewam, że ma brata–bliźniaka na chirurgii miękkiej. Trudno, musisz poczekać, zadzwonię jak już ją obejrzę.

Majce na pośpiechu tak bardzo nie zależało. Świat przybrał jakby przyjemniejsze oblicze, po pierwsze, Dominik zjadł razem z dziećmi śniadanie jak normalny tatuś w znakomitym humorze, po drugie, zadzwoniła ze Sztokholmu Danuta z informacją, że osiedle mają już jak w banku, a projekty odzieżowe na jesień przyślą jej kurierem w przyszłym tygodniu, sama tego dopilnuje, bo też wie, że komputer zmienia kolor, po trzecie zaś, poczuła wokół siebie dawno niezaznawany luz. Nic strasznie pilnego, zaledwie dwie drobnostki do wykończenia, a kolejne zlecenie może spokojnie poczekać. I w dodatku ma pieniądze. Więcej niż miała kiedykolwiek! Zadzwoniła do Bożenki.

– Przyjedź tu – powiedziała z jękiem Bożenka. – Ja się ruszyć nie mogę, bo u mnie elektryk kłóci się z księdzem. To ja robię zieleń pod kościołem i muszę być przy tym, ale to i tak małe piwo, bo tylko patrzeć jak zwariuję od wszystkiego innego! Więc przyjedź, o rany, może zwariuję w połowie.

* * *

Elektryka i księdza Majka już w zieleniarskiej pracowni nie zastała. Bożenka zaś służbowo zachowała pełną przytomność.

– Drobiazg, poszedł z przewodem pod korzeniami dwóch drzew, ksiądz uparł się przy drzewach, więc obiecałam, że przesadzę, nic wielkiego.

Znaczy, nasz ogrodnik przesadzi. Ale słuchaj, ja już kompletnie do reszty nic nie rozumiem! A jeszcze przyjdzie na konsultacje hotel sportowy!

– Hotel sportowy chyba ci nie mąci?

– Nie, ale nie wiadomo kiedy przyfalują, oni się ciągle spóźniają. Pies ich trącał. Chcesz kawy? Anusia...

Anusia pomieszania zmysłów nie przejawiała, ale była bardzo przejęta i blada. W milczeniu przystąpiła do parzenia kawy. Bożenka wskazała ją gestem brody, a potem nawet palcem.

– Ty wiesz, co ona mówi? Ty wiesz, co ona widziała?

– Skąd, na litość boską, mam wiedzieć?

Anusia wciąż milczała, zostawiając relację swojej szefowej.

– Była u Luizy, wybierały zdjęcia do folderów. I masz pojęcie, co jej wpadło w oko? Piękne zdjęcie, powiększone, Luizy ze srebrnym medalem i napisem jak byk, że jest to medal za drugie miejsce w ogólnopolskim konkursie łuczniczym! Łuczniczym! Rozumiesz? Sprzed paru lat!

– Coś takiego! – ucieszyła się Majka. – I ty chcesz zwariować od takiej przyjemności? Przecież nareszcie wiemy, skąd się wzięła strzała w tym chłopaku!

– E tam, dla wariactwa to za mało...

– I już rozumiem, dlaczego Zdziś tak się pchał do tej strzały...

– Otóż to! – przyświadczyła Bożenka z ponurym triumfem. – Tu zaczynam nie rozumieć! I co chciał zrobić z tym narzędziem zbrodni? Machać nią Luizie przed nosem i pyskować? Na glinowo zapruwać i donosić, że to jego żona strzelała? Latał za Kręcidupcią? Latał! Do tej pory lata! Wiedział, że miał żonę wicemistrzynię? Musiał wiedzieć! I potem nic! To na cholerę z rąk mi wydarł, mało, Burczakowi też wydarł, to co to miało znaczyć, do piegowatej pelargonii?!

Anusia w trakcie przemówienia Bożenki odzyskiwała trochę życia, zaczynała nalewać i podawać kawę, chwilami kiwając głową. Majka między wierszami nie tyle może myślała, ile doznawała przeblysków jasnowidzenia. Też zaczynała kiwać głową, znacznie energiczniej niż Anusia.

– Po pierwsze, nie trafiło w rozkręconą świętość, tylko w jakiegoś obcego chłopaka, który nie wiadomo skąd się tam wziął. To Burczak wolał zduścić sprawę na wszelki wypadek. Po drugie, on do dziś dręczy się Luizą...

Bożenka zatrzymała filiżankę przy ustach, omal nie prychając kawą.

– Rozumiem, że nie Burczak, tylko Zdziś. Skąd wiesz: – Tak mi jakoś z powietrza wychodzi. Zaraz. Anusia, czy wyście coś powiedziały do siebie? Luiza widziała, że zobaczyłaś zdjęcie? Zrobiłaś jakąś uwagę albo co?

– Powiedziała „ach!” – mruknęła Bożenka.

– Nie uwierzę, że nic więcej!

Anusie nagle odblokowało.

– Najpierw się tylko zdziwiłam, a potem tak jakoś mną wstrząsnęło, bo nic nie wiedziałam o tym jej łucznictwie i trochę mi opowiedziała o sporcie i w ogóle... A potem mi się skojarzyło i tak mnie jakoś zatchnęło, bo Luiza powiedziała, że kogoś zabije, ale nie traci nadziei. Dziwnie to wypadło, a potem zaczęła udawać, że to takie żarty, achacha, ale dziesięć razy kazała mi powtarzać, jak to było z tym wyrywaniem strzały, bo ona tego nie widziała. Wystraszyła mnie niemożliwie, coś się w niej kotłowało, w końcu jednak tak skłęśło i zdjęcia do folderów wybrałyśmy. Na końcu już było normalnie, ale ja się zdenerwowałam i całą noc spać nie mogłam. A w dodatku zadzwoniła do mnie ta pijawka i powiedziała, że do nikogo się nie może dodzwonić i że nie zniesie tego leczenia się w domu. Ale nie zaproponowałam, żeby się przeniosła do mnie, co to, to nie. Zadużyłyby mnie takie głupie słowa. A do nikogo dodzwonić, to ja wiem, że oznaczało

do Zdzisia, bo Dominik jej pałacu nie urodzi, a ten z Kanady ma narzeczoną. Tylko Zdziś ma wolny lokal.

– Otóż to! – ogłosiła Bożenka, znów z triumfem.

– Bardzo dobry znak – stwierdziła sucho Majka.

– A gównu. Okazuje się, że Zdzisia komórka dzwoniła u nich w pracowni jak wściekła aż się kompletnie wyładowała. Dopiero dzisiaj ją znalazł i taki zadowolony, jakby była ze złota.

– Zadowolony z tego, że ją znalazł?

– Przeciwnie. Że jej nie miał. Nawet jej od razu nie włączył do ładowarki. I coraz więcej nie rozumiem. O tym jej podziabaniu grabiami już się wszystkiego dowiedział, gównu go to obeszło i ani do niej nie poleciał, ani nie zadzwonił, ani nic. To co to ma znaczyć?

Teraz Majka musiała się zastanowić. Napiła się kawy, zapaliła papierosa, jej przebłyski jasnowidzenia ruszyły w kontredans. To byłoby zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

– Dziwne. Znamy jeszcze jakichś jej wielbicieli?

– Kanadyjczyk, ale ja go nie znam – mruknęła Bożenka.

– Jeden kierowca wywrotki zaczął za nią latać – powiadomiła jadownicie Anusia. – Ale też go osobiście nie znam.

– Żonaty?

– Nie wiem. Ale chyba nie.

– Możemy mu ją zostawić. Ciekawa rzecz, tyle wysiłków i nic, a zemściła się krwawo sama na sobie i od razu tyłek przestał działać? Stracił moc?

– Żeby tylko Sławcio nie poczuł się zobowiązany – zatroskała się nagle Bożenka.

– Nic z tego, Stefan mówił, że napis wisiał jak byk, Sławcio zabezpieczył porządnie i po cholere łapała obie wajchy razem? I jaki interes

tam miała?

– Jaki interes miała, wszyscy wiedzą... A, właśnie! A co Dominik?

Majka usiłowała sobie przypomnieć, czy komórka Dominika dzwoniła. Nie. Nie dzwoniła. Też ją wyłączył? Ale telefon był...

– Czekaaj, domowy dzwonił. Odebrałam, bo Dominik akurat zmywał. Nikt się nie odezwał, więc możliwe, że to ona, późno już było. Musiał wiedzieć o destrukcji uroków, bo przecież do pracowni wrócił, a tam wszyscy jeszcze byli, ale słowa jednego na ten temat z siebie nie wydusił. Ja zresztą też nie. A potem wpadł w szampański humor, bo mu powiedziałam o szwedzkim zleceniu i ucieszyło go skaliste podłoże. Kręcidupcia nie zamajaczyła nawet na horyzoncie.

Bożenka przyjrzała się Majce z wielką uwagą.

– Słuchaj, co oni tak...? I jak ja to mam zrozumieć?

– Przedobrzyła! – prychnęła z satysfakcją Anusia.

– Tylko nie wpadajmy w przesadną euforię – ostrzegła Majka natychmiast. – Ona wstanie i zakręci im we łbach na nowo...

W tym momencie zabrzęczała jej komórka. Beatka.

– No i miałam rację – powiedziała gniewnie. – Ona tam się jeszcze zbiera po opatrunku, ta twoja ulubiona osoba. Spieprzyli jej, ile mogli, dziwacznie ma poprzecinane wszystkie mięśnie pośladkowe, kawałkami to się trzyma kupy i coś mi się widzi, że któryś nerw poszedł. Trudno ją rozszarpywać, żeby dokładnie zobaczyć, więc tylko wnioskuje.

– Zagoi się jej?

– O, na pewno. Ale sprawności ruchowej w pełni nie odzyska, to mowy nie ma, skoki przez płotki może sobie wybić z głowy, nawet biegi płaskie odpadają. Ale chodzić może.

– Zamiłowania do sportu nigdy nie miała.

– To i lepiej dla niej. Jest na środkach przeciwbólowych. Jakiś cham ją tu przywiózł i zostawił, podobno brat. Zlitowali się i odwiozą ją karetką, jak w jej stronę będzie wezwanie, chociaż antypatyczna. Na cały świat obrażona i nic nie mówi, chociaż, z drugiej strony, trudno jej się dziwić...

– Wszystkie swoje chrześcijańskie uczucia możesz śmiało zaoszczędzić dla kogoś innego – zapewniła Majka stanowczo. – Dziękuję ci potrójnie i z całej siły!

Beatka nie wiedziała dlaczego potrójnie, ale nie miała czasu wnikać. Majka wyłączyła komórkę i z blaskiem w oczach popatrzyła na pozostałe dwie osoby, znieruchomiłe z kawą przy ustach. Blask okazał się zaraźliwy...

* * *

Rozwiózłszy dzieci po zajęciach dodatkowych, Majka usiadła ze Zdzisławem w barku supermarketu, gdzie przy okazji zrobiła zakupy. Złapał ją jeszcze w godzinach pracy, błagając o natychmiastowe spotkanie.

– Muszę z panią... Przepraszam! Jest pani jedyną osobą... Ja naprawdę przepraszam, ale z kimś muszę, a tylko pani... No, pani rozumie...

Prezentowali sobą dwa kontrastowe stany ducha, zdenerwowany, rozgorączkowany, dziko przejęty Zdzisław i spokojna, przychylna światu Majka.

– Dobrze, dobrze. Nie traćmy czasu, bo będę musiała pozbierać dzieci. Chce pan wiedzieć, jak się czuje Kręcidupcia? Miała opatrunek w szpitalu...

Zdzisław przerwał jej gwałtownie.

– Nie powiem gdzie mam Kręcidupcię, bo się nie będę wyrażał. Gównu mnie obchodzi jak się czuje. Trudno, powiem wprost. Kiedy ostatnio z panią rozmawiałem, byłem w stanie obłądu, wariactwa. Opętania. Sam już nie wiem, jak to nazwać. I też nie wiem dlaczego i jakim cudem to, że pani

się nie chciała rozwodzić, jakoś mi pomogło. Czy ja wiem... Najpierw człowiek wisiał nad przepaścią, uczepiony jedną ręką, a potem poczuł kawałek gruntu pod nogami...

Majka lubiła obrazowe porównania.

– Mógł odetchnąć, odpocząć i trochę się zastanowić?

– No właśnie! – przyświadczył skwapliwie Zdziś. – Zastanowić! Po jaką cholere pcha się tam gdzieś, gdzie mu się wszystko pod rękami i pod nogami sypie? A tam przecież nic nie ma. Niczego nie osiągnie. Nawet nie umiem tego nazwać, ale chyba upór, otepienie jakieś, paranoja, nie zrezygnować, nie popuścić! Przecież ja normalnie taki nie jestem i nigdy nie byłem, co mnie napadło...?

– Nie chcę być nietaktowna – wtrąciła się delikatnie Majka – ale sam pan wspominał takie określenie: amok seksualny. Nie wypominam, może się jednak przyda?

Przez chwilę Zdziś patrzył na nią w skupieniu, ze zmarszczonymi brwiami, wciąż rozplómienny i rozgorączkowany. Dzielnie ruszył w bój.

– Tak. To jak narkotyk. Ale ja sam pogorszyłem sprawę, pani mi dobrze robi, jakoś szybciej myślę. Ale narkotyk powtarza się, zdobywa, zażywa, podtrzymuje się nałóg, a tu... a ja... Nie dostaję swojej dawki. Pokazuje mi się ją, macha przed oczami, lecę za nią jak szalenciec i gówno. Dostaje kto inny... – zastanowił się przez chwilę. – Może to jest niezła metoda leczenia narkomanów?

– Zależy jak na panu...?

– Na mnie wyszło. Teraz to widzę dokładnie. I teraz wreszcie udaje mi się myśleć, owszem, jestem zdenerwowany, ale to co innego i dlatego właśnie pani... Ale skończmy temat. Już od kilku tygodni, naprawdę przed samym sobą mogę się wreszcie przyznać, miałem tego dosyć. Nie wiem, złe mnie wiodło, bo wcale jej nie chciałem. Jakaś złość, na przekór,

brzydziło mnie i znów nie umiem tego nazwać, ale nie potrafiłem się odczepić. On za nią lata, wszyscy mówili, w powietrzu było słycać, nic podobnego, chciałem się pozbyć...

– Tak naprawdę chciał pan ją tak sprać po tyłku, żeby miazga została – zgadła Majka bezlitośnie. – Ale ma pan nieodpowiedni charakter.

Przez chwilę Zdziś patrzył na nią, a na twarz wychodził mu podziw.

– Skąd pani wie? To prawda. Sam przed sobą ukrywałem, chciałem chyba, ale ręka by mi odpadła. Nigdy nie umiałem uderzyć żywego organizmu. I może byłem zmęczony, może ta odbitka, którą ta kretyńska gdzieś zgubiła, to była ostatnia kropla, ale coś we mnie pękło. Koniec. Uświadomiłem sobie własne zidiocenie i niech mi pani powie, co ja mam teraz zrobić?

– Z czym? – spytała Majka znów bezlitośnie, doskonale znając odpowiedź.

– Z Luizą – rzekł mężnie i rozpaczliwie Zdziś. – Z moją żoną. Zna ją pani przecież, wiem, że się znacie. Jak ja mam teraz... Co ja mam teraz... Takie bydlę i gnój... Pani jest kobietą, pani powinna coś wiedzieć!

Majce w pierwszej kolejności przypomniało się, że Luiza zadeklarowała stanowczy zamiar zabicia kogoś, ale tego postanowiła nie mówić. Rozumiała ją doskonale, ona też postanowiła przeczekać Kręcidupcię. Ewentualnie uszkodzić... Pomysł niezły, wykonanie nie wyszło.

Sprawdziła, ile jeszcze ma czasu, zanim ruszy po dzieci. Udało jej się wygrzebać ze Zdzisia komunikat o cudownej potrawie, która samodzielnie zagnieździła mu się w zamrażalniku, nie powstrzymała popukania się w czoło.

– Tylko prawdziwy mężczyzna może być takim idiotą – rzekła zgryźliwie. – Może by pan tak zaczął na przykład od kwiatów? Bez słowa, same kwiaty? A potem, raz kozie śmierć, spotkać się i uczciwie

powiedzieć, co pan o sobie myśli. Nie publicznie się spotykać! Publicznie, padanie na kolana i różne inne podobne gesty mogą być trochę krępujące...

W ostatniej chwili ruszyła spełniać obowiązki macierzyńskie, ale za to Zdziś, wciąż co prawda niebotycznie zdenerwowany, prezentował już zupełnie inny rodzaj emocji. Głównie szalała w nim nadzieja...

* * *

Rzecz jasna, kolejne wieści przybiegły wraz z Bożenką, od Anusi, działającej poniekąd na kilku frontach. Przed Bożenką zdążyła jeszcze zadzwonić Zosia Stefana, również cenna informatorka, bo widywała Stefana codziennie, a on z pewnością mówił jej więcej niż Majka. Majka zaś skrzętnie zbierała wiedzę.

Jak zwykle siedziały w salonowej pracowni Majki, ciągle jeszcze niepewne, czy świtający na horyzoncie sukces nie jest ułudą, która łatwo podda się zauroczeniu. Optymistycznie w lodówce chłodził się szampan i czysta wódka, pesymistycznie zdecydowały się na skromne piwo.

– Moje dzieci zbiera dziś Nowakowa – powiadomiła Bożenkę Majka, otwierając puszki. – Sama się zaofiarowała za obietnicę, że będzie zawiadomiona o wizycie Haralda. Chce tu przyjść i chociaż na niego popatrzeć.

– A Nowak? – zaciekała się Bożenka.

– Nowak żadnych takich widoków nie jest spragniony, ale ona mówi, że za każdym razem, jak ona popatrzy, Nowak się robi jakimś takim bardziej ognistym mężem. Nie wie dlaczego, ale może od tego Haralda coś w nią przechodzi.

– W ciebie nie przechodzi?

– Ależ tak! – rozpromieniła się Majka. – Mnóstwo pomysłów dekoracyjnych i reklamowych. On ma taki stosunek do pracy, że to się robi

zaraźliwe.

– No to może ma w sobie coś, co przez Nowakową zaraźliwe wchodzi w Nowaka. Ona jest taki nosiciel wirusa i niech sobie będzie, daj jej Boże zdrowie. Czekażcie, bo mnie rozpiera, najnowsza sensacja z dzisiejszego poranka. Luiza nie wytrzymała, doniosła Anusi.

Majka natychmiast zapłonęła żywym zainteresowaniem. Po wczorajszej rozmowie ze Zdzisiem...

– Znam szczegóły, jakbym była przy tym – ciągnęła Bożenka. – Ona rano otworzyła drzwi, żeby wyjść z domu...

– Zaraz. Która?

– Luiza oczywiście. I o mało się nie potknęła. Za drzwiami na podeście stało coś... Jakby kosz, ale nie całkiem, wazon, micha, wielkie i wodoodporne, a w tym, w życiu nie zgadniesz...

– Zgadnę. Kwiaty?

– Nie będę wnikać, skąd wiesz, bo nie mam do ciebie cierpliwości. Siedemdziesiąt siedem wstrząsających, purpurowych róż na kilometrowych łądych! Wyobrażasz to sobie?

– Z wyobraźnią nie mam kłopotów...

Bożenka nie zwracała uwagi na wtręty Majki, przejęta coraz bardziej, pytanie było retoryczne.

– I nic więcej! Tylko te róże, szła po prostu, widziałam zdjęcie, bo oczywiście od razu zrobiła im zdjęcie, żadnego świstka, papierka, nic! Znaczą zdjęcie zrobiła w drugiej kolejności, bo najpierw zadbała o przyrodę żywą, wniosła to do domu, ciężkie jak cholera, prawie się oglądała, czy jakiego silnego chłopca w pobliżu nie ma, ale nie było, rozmieściła jak należy i zaczęła się napawać. I podobno te siedemdziesiąt siedem, nie mówiła tego wyraźnie, ale to coś znaczyło, jakiś tam taki

tajemniczy symbol między nimi, znaczy między nią a Zdzisiem, jak jeszcze byli kochającym się małżeństwem...

– Sprzed Kręcidupci...

– Jasne, że sprzed! Luiza bardzo wylewna nie jest, dużo nie gada, więcej daje do zrozumienia, ale Anusia, nawet jeśli głupia, to akurat nie w tej dziedzinie. Prawie się popłakała. Mnie nie było, bo musiałam zacząć dzień pracy od plenerów, a jak przyjechałam, to już obie siedziały, Anusia w wypiekach, a Luiza jakaś taka... jakby wcale nie mówiła: „No i proszę, wychodzi na moje”.

– Znaczy, miała w sobie.

– Zgadza się. Miała w sobie. Zresztą zaraz poszła, ale zdjęcie Anusi zostawiła. Mówię ci, szal!

Majka westchnęła, co Bożenki nie wytrąciło z rozpędu. Obie napiły się piwa. Bożenka kontynuowała.

– No i wtedy Anusi tamy puściły. Te siedem–siedem to znaczy: albo–albo, Zdziś plackiem leży przed Luizą i pluje sobie w brodę, na buty, na klamkę i gdzie popadnie, a ona ma po nim deptać...

– Co mu ulgę przyniesie... – mruknęła Majka.

– Co...? No może... Albo zrywają na wieki. Ale Anusia uważa, że ona mu przebaczy...

– Ja też tak uważam.

– ...tak jak wariatowi, miał wstrząs mózgu, głupotę zrobił bezwiednie, zamroczyło go, chory człowiek i kto się będzie czepiał chorego człowieka...

– To pogląd Anusi?

– Ona mówi, że to wychodzi z Luizy. Możliwe, że nawet ma rację. Przecież to nie jest normalne, za samym tyłkiem latać!

– Kręcidupcia do niego nie dzwoni?

– Dzwoni jak wściekła, ale on od niej nie odbiera. Raz odebrał przez pomyłkę, powiedział, że nie ma czasu i w ogóle nie rozmawiał. Anusia mówi, że ona koniecznie chce się teraz przenieść do niego, bo w domu warunków nie ma, ale nic z tego nie będzie. Ciekawe, do czego spróbuje namawiać Dominika, to znaczy... nie chciałam być nietaktowna...

– A bądź sobie, mnie nie przeszkadza. Sama jestem ciekawa. Dominik ma inny charakter, ale już dzwoniła Zosia Stefana.

Bożenka zatrzymała szklankę z piwem przy ustach.

– I co?

– I aż ją skręcało, bo właśnie chciała się dowiedzieć, co Dominik. Stefan z nią przecież rozmawia więcej niż ze mną i ona nic nie rozumie. W pracy na temat Kręcidupci jednego słowa nikt z niego nie wydusi, jakby w ogóle w życiu o niej nie słyszał, a w dodatku wraca mu dobry humor. Zosia bardzo się dziwi, że bóstwo skancerowane, a on nic, zamiast na rękach ją nosić, ze śpiewem na ustach robotę odwala...

Pogawędkę z Zosią Majka mocno streściła. Nie musiała Bożenki informować, że w głosie informatorki popiskiwało rozczarowanie i odrobina zgorszenia. Zosia miała takie wielkie nadzieje, że ten wzorcowy związek Dominika i Majki jednak się wreszcie rozleci, a tu co...? Już brak rozwodu nieco ją zniesmaczył, teraz zaś zanosilo się na powrót do zgody. Oburzające! Jak ona może przebaczyć mu taką kompromitację?!

A nawet już wcześniej, o tym, że nie Dominik za Kręcidupcią latał, tylko odwrotnie, ona za nim, Zosia doskonale wiedziała, pod tym względem nikt by jej nie oszukał. No i co z tego? Rozwiedliby się, ten półgłówkę ożeniłby się z wiatropędną owcą i proszę, jakie cudowne dno!

A tu zanosilo się na nic...

Bożenka z przestrzeni między wierszami wyciągnęła wnioski prawidłowe, bo Zosię nieźle znała. Kiwała głową z zadowoleniem.

– A ten z Kanady w ogóle zmienił komórkę – powiedziała zniechęta. – O ile Anusia zdołała wywęszyć, narzeczona mu zmieniła. W bardzo prosty sposób, jego zabrała sobie, a dała mu swoją i podobno skamlącej Kręcidupci robi głupie dowcipy. To ostra dziewczyna i zdaje się, że wezmą ślub przed jego następnym wyjazdem do Kanady, bo w ogóle w małżeńskim celu to mieszkanie kupił. I ona w nim zostanie, a nie Dominik z Kręcidupcią.

– Nie chcę zauroczyć, ale coś mi się widzi, że Dominik z Kręcidupcią nigdzie by nie został – rzekła Majka w zadumie. – Anusia dobrze zgadła.

– W czym?

– Kręcidupcia przedobrzyła. Nie z Dominikiem takie numery...

Bożenka przez chwilę rozważała sprawę w milczeniu.

– To niech on się pośpieszy – zażądała stanowczo. – Mam cholerną chęć na szampana, a ta ciąża już po mnie chodzi i długo czekać nie mogę...

* * *

Anusia zgadła, Majka wiedziała. Dominik nie dostał tego, czego był spragniony. Kręcidupcia w dodatku wybrała niewłaściwy moment, najgorszy ze wszystkich. Gdyby Dominik nie podjął dodatkowej pracy, gdyby nie wziął tego potężnego zlecenia, miałby mnóstwo czasu, byłby wolny jak ptak. Cały ten czas mógłby poświęcić sobie, własnym chęciom i fanaberiom. Zauroczony Kręcidupcią może nawet poczyniłby jakieś starania lokalowe, znalazłby innego adwokata, zdobyłby się na wysiłki dla zdobycia nagrody. Chociaż i tak to nie byłoby TO. Chciał i miał dostać, a nie szarpać się, męczyć, walczyć i zdobywać.

Nie dostawał. Przywykł do starań i pomocy Majki tak bardzo, że nie potrafił pogodzić się z ich brakiem. Gdybyż przynajmniej Kręcidupcia nie skąpiła nagrody, ale właśnie skąpiła, Dominik czuł się jak głodny pies,

któremu pokazano wspaniałą kość, pozwolono spróbować, a potem zabrano i trzymano w miejscu niedostępnym. Co jakiś czas podtykając pod nos, kusząc i znów zabierając.

Od dąsów, żądań i wymagań odrzucało go tak, że coraz bardziej na nie głuchł. A już wiercenia dziury w brzuchu nienawidził serdecznie. Ta upragniona kość zaczynała podśmiardywać i tracić swój urok, przestawało mu na niej zależeć. I sam przed sobą nie chciał przyznać się do tego, bo rezygnując z Kręcidupci musiałby coś zrobić. Nie wiedział co, ale tak czuł, w jego jestestwie coś mamrotało na ten temat, nie chciał słuchać, namolny przydźwięk denerwował go okropnie. Tym bardziej pazurami i zębami trzymał się pracy, matematyka przynajmniej była rzetelna, solidna i o żadnych głupich wybrykach nie mogło tu być mowy.

O matematyce myśleć mógł. Działała kojąco. Nie przyjmował jeszcze do wiadomości, że kojąco działa także późny powrót do domu, który nagle przestał być niechciany, bo nie stwarzał żadnych kłopotliwych sytuacji, a przeciwnie, dostarczał tego co trzeba. Doskonałego żarcia, świętego spokoju, dwojga zachwycających i na pewno jego własnych dzieci, uszczęśliwionych bez żadnych zastrzeżeń nawet krótką obecnością tatusia, zajęć prostych, efektywnych, w rodzaju pozmywania naczyń albo wyjęcia bielizny z pralki, można przy tym spokojnie myśleć, jak rozwiązać drobnostkę konstrukcyjną... Na fakt, iż wyjmuje z pralki i wiesza na suszarce damskie staniki, koronkowe majtki, eleganckie haleczki, których jako żywo nigdy nie nosił, można nie zwracać najmniejszej uwagi. Relaks po prostu.

Coś przeszkadzało. Gdzieś tkwiła zadra. Wlokła się za nim jakaś nieprzyjemność zaniedbana. Nierozwikłana. Nie czuł się całkiem w porządku, ale nie życzył sobie wnikać w przyczyny tego niemiłego czucia. Wisiało nad nim coś, czego nie chciał, Kręcidupcia, która wcześniej

tworzyła świat w kratkę, tu nieznośne, a tu pożądane, nagle zmieniała charakter, stała się kamieniem u szyi i kulą u nogi. Stała się jakimś potwornym obciążeniem i gniotem, a czegoś takiego on na pewno NIE CHCIAŁ! Nie miał z tym nic wspólnego. I NIE CHCIAŁ mieć!

Na tego rodzaju udręki Dominik znał tylko jeden sposób: usunąć całą sprawę ze świata.

I nie wiadomo jak długo zmora wisiałaby w powietrzu, bo Majce tak radykalne wykreślenie bez słowa świeżutko minionej przeszłości wcale się nie podobało, gdyby nie dwa elementy. Poniekąd kontrastowe.

Wróciwszy do domu dostatecznie wcześnie, żeby jeszcze pokazać się dzieciom, Dominik zostawił je w łóżkach i wszedł do salono–jadalni. Majka siedziała w salono–pracowni i przyglądała mu się z zainteresowaniem, na co nie zwrócił uwagi, zaprzątnięty od razu innym widokiem.

Na stole w wielkim wazonie walił po oczach potężny bukiet storczyków we wszystkich kolorach tęczy. Wyglądał przepięknie i wręcz wydawało się, że produkuje ciche i radosne dźwięki. Dominik nie widział żadnego powodu, dla którego miałby go nie zauważyć.

– Jakie ładne! Skąd to masz?

– Od Zdzisia – odparła Majka bez najmniejszego wahania.

– Od jakiego Zdzisia?

– Hydraulika... o, najmocniej przepraszam, inżyniera magistra, projektanta urządzeń sanitarnych, którego doskonale znasz.

Przez moment znany mu rzeczywiście Zdziś kojarzył się Dominikowi z instalacjami sanitarnymi i z niczym więcej. Tak długo, że zdążył się zdziwić.

– A co mu się stało? Z jakiej okazji takie kwiaty?

– Wyraz wdzięczności. Jak widać, miał kłopot kolorystyczny.

W głosie Majki pobrzmiwała odrobina śmiechu i niemiłe piknięcie w Dominiku, które po owym momencie zdążyło drgnąć do skoku, cofnęło się na z góry upatrzone pozycje. Zwykła ciekawość była neutralna i nieszkodliwa.

– To co to znaczy? Jaki kłopot kolorystyczny?

Majka wciąż siedziała za swoim stołem i zaczynało z niej wychodzić rozbawienie.

– Każdy kolor kwiatów oznacza jakieś uczucie. Czerwone to dzika miłość, żółte wściekła zazdrość, różowe radość, sympatia, życzliwość, wdzięczność, zielone nadzieja, ale zielonych ciętych jest mało. Niebieskie przyjaźń i wiara, zaufanie. Fioletowe skrucha i żałoba. Zdzisia najwidoczniej przepelnia całe kłębowisko, więc wolał nie przebierać i nie pożałował sobie.

W Dominiku też pojawiła się odrobina rozbawienia, uczucia, o którym prawie zapomniał, że istnieje.

– Czerwonych i żółtych jest mało – zauważył bystrze.

– Co dobrze świadczy o paniencie w kwiaciarni. Mężczyźni to daltoniści, musiała mu pomagać.

Zadzwoił domowy telefon. Dominik miał go prawie pod ręką. Nawet nie drgnął, jak głuchy.

– Ty odbierzesz, czy ja? – spytała Majka.

– Mnie telefony nie interesują – odparł Dominik i przeszedł do kuchni.

Majka doznała nieziemskiej ulgi. A już zaczynał w niej rosnać niepokój, Dominik przejawiał za dużo normalności, czy ta pluskwa wróciła do zdrowia...? Niemożliwe! Na szczęście nie, podniosła się, odebrała.

– Tak, słucham?

Z drugiej strony był oddech, w tle jakieś hałasy, oddech przeszedł w prychnięcie i połączenie zostało przerwane. W Majce jął rozkwitać bukiet

Zdzisia. Też przeszła do kuchni.

– Jeśli już robisz herbatę, to zrób i dla mnie – powiedziała najzwyczajniej w świecie.

Dominik trochę bezradnie gmerał wśród garnków. Zrobić herbatę, proszę bardzo, najprostsza czynność na świecie, ale dopiero teraz poczuł, że jest głodny. Tak normalnie, jak człowiek po pracy, a przed kolacją. Pożywienie tu jest, różne, nawet coś gorącego, ale z tym pożywieniem, zdaje się, miał jakieś problemy. Nie chce problemów, chce jeść!

W swoim świetnie opanowanym procesie wyrzucania z pamięci wszystkich nieprzyjemnych wydarzeń poszedł odrobinę za daleko i wyrzucił także rozdział od stołu i łóża. Co do łóża, już chyba jakiś czas temu myśl poniechała jakiegokolwiek wtrącania się w konflikt, pozostawiając reszcie anatomii wolne pole i Dominik nie sprzeczał się z nią, ale w pożywieniu coś mu jeszcze przeszkadzało. Nie wiedział co, nie chciał wiedzieć. NIE CHCIAŁ!!!

Majka usiadła przy stole, na wszelki wypadek usunęła z zasięgu ręki ciężką, kamienną podstawę pod gorące garnki i z całej siły uchwyciła się blatu. Co działo się w Dominiku, widziała jak na dłoni. W niej szalała bitwa. Jedna strona, ta przemyślana, racjonalna, zmierzająca do wyprowadzenia kretyna z pośladkowego amoku, zakorzeniona w niej już rzetelnie, jasno podpowiadała, co należy zrobić. Dostosować się. Pomóc idiotcie odzyskać równowagę, pomóc mu zapomnieć o własnym wygłupie, bo bez zapomnienia on z paranoi nie wyjdzie. Ona sama będzie dla niego wieczną udręką. Symulować amnezję wsteczną, pierwsze słyszy o jakichś Kręcidupciach, pokłócili się o odpowiedzialność za pieniądze, ale już się wszystko ułożyło...

I druga strona pola walki, o ileż piękniejsza! Poderwać się, wrzasnąć co myśli, żadne ryki Dominika jej nie dorównają, pirzgnąć w ten głupi łeb

wszystkim po kolei co jej pod rękę wpadnie, na łbie usadzić garnek, w którym potrawka z kurczaka i ryżu jeszcze nie ostygła, rąbnąć w głupi pysk, złapać za uszy, tłuc czerepem o ścianę, do diabła ze ścianą, niech sobie pęknie! Walić tłuczkiem do kartofli, tarką do jarzyn, durszlakiem, rozpieprzyć na nim maszynkę do mięsa...

Dominik postawił przed nią szklankę z herbatą. Nalał trochę za pełno i odrobina wychlapnęła mu się na spodek.

– O, przepraszam cię bardzo – powiedział ze skruchą.

– Za co?!!! – ryknęła Majka tak straszliwym głosem że Dominik się przestraszył.

Spojrzał na nią.

To co siedziało przy stole, to nie była jego żona, to nie była w ogóle ludzka istota, to był wulkan, zionący dzikim ogniem, płomień zamknięty w ludzkim ciele, tygryska, hydra stugłowa, przed którą w popłochu uciekłby Herkules...

Sytuację uratował garnek z potrawką. Swojego poczucia humoru Majka nie była w stanie opanować. Garnek zaledwie mignął, ale szybkość myśli ludzkiej jest nieograniczona, Majce w pamięci pojawiła się scena w pociągu, zapłakana matka, wioząca dziecko w żelaznym saganie na głowie, osłona z gazet opadła, z sagana dobywało się buczenie. „I ja nie wiem gdzie go wieźć”, szlochała matka, „do doktora, czy do blacharza, bo kowal nie chciał...”.

I taki garnek na łbie Dominika...

Już przy durszlaku wojownicza strona zaczęła przegrywać, maszynka do mięsa odmówiła udziału, szkoda jej było, to „przepraszam” Dominika wywołało ostatni podryg. Majka zakryła twarz rękami. Śmiała się tak strasznie, że w żadnym, ale to absolutnie żadnym wypadku nie mogła tego okazać.

Święcie przekonany, że ona tak okropnie płacze, co było zjawiskiem niezwykłym i przeraźliwym, Dominik zgłupiał do reszty. Całe jego niechcenie, całe zapominanie, całe uciekanie od nieprzyjemności załamało się nagle jakby było z papieru. Spadł na niego ciężar ponad ludzkie siły i coś jeszcze gorszego, pełne przekonanie, że nie wyłga się, ten ciężar musi udźwignąć. Koszmar.

Bardzo niewyraźnie, spoza dłoni, przerywanym głosem i całkowicie bezwiednie Majka go wspomogła.

– Chcę koniaku – wychrypiała. – Dużo. Gdzieś jest.

Ułga, jakiej Dominik doznał, niemal zrównoważyła ciężar. Już po krótkiej chwili oprzytomniał na tyle, że poniechał szukania koniaku w dwóch lodówkach i znalazł go w antycznym kredensie. Wybrał największy kieliszek, nalał, postawił przed nią.

Odsłoniwszy twarz zaledwie częściowo, Majka sięgnęła po naczynie i kropnęła sobie rzetelnie, jak nigdy.

– Fu! – powiedziała z całego serca, otrząsnęła się i popiła koniak herbatą.

Dobrze zgadła, obrzydliwy napój jej pomógł, wreszcie przestała się tak histerycznie śmiać. Unormowała wyraz twarzy, spojrzała na Dominika, zarepetowała koniak i skrzywiła się okropnie.

– Nie znoszę tego – oznajmiła. – Ale działa. To gorące w garnku możesz jeszcze trochę podgrzać i zjeść. Jest dla ciebie. I może omówmy sprawę jak ludzie, bo mnie nosem wychodzą kretyńskie fanaberie. Za co usiłowałeś mnie przeproszać?

– Za tę herbatę na spodeczku – odparł uczciwie Dominik, bo aczkolwiek rozum go odbiegł, to jednak prawdopodobność pozostała. – Ale chyba nie tylko. Mam wrażenie... że chyba... nie byłem zupełnie w porządku.

Koniak rzeczywiście pomógł, Majka spędziła z pola walki awanturnicze wojska, z lekkim żalem, ale też z myślą, że w każdej chwili mogą przecież wrócić.

– Czy... jak by tu elegancko powiedzieć... Podjąłeś jakieś nowe decyzje? Pomieszaj to, bo się przypali!

Dominik był tak skołowany, że pomieszenie w garnku wydało mu się czynnością wręcz błogą. To umiał. Reszta była wstrętna.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

– Nie wątpię. Chcesz najpierw odzyskać równowagę. Ale czy jeszcze, mimo wszystko, nie zauważyłeś, że nie istniejesz na świecie sam jeden? Oprócz ciebie pętają się wokół inne jednostki ludzkie? Starczy tego, zgaś ten gaz i możesz to zjeść.

Dominik tak okropnie chciał powiedzieć, że gównem go obchodzą inne jednostki ludzkie i coś go zastopowało. Milczał. Nie byłaby to prawda. Niektóre jednostki ludzkie obchodziły go, owszem. Ale nie wszystkie. Jego połamane i pogniecione niechcenie było żywotne, wciąż jeszcze buntowniczo podnosiło łeb. W dodatku ciągle był głodny, co właściwie nie powinno mieć miejsca, bo ze zdenerwowania zawsze tracił apetyt. A teraz nie stracił i niech to diabli wezmą, właśnie na złość zje kolację.

Majka odczekała aż zjadł.

– Czy mogę mieć nadzieję, że cudowny pomysł rozdziału od stołu już ci wywietrzył z głowy? – spytała uprzejmie.

– Jaki pomysł rozdziału...?

– A, rozumiem. Nigdy takiego pomysłu nie było. On w ogóle nie twój. Możemy go skreślić z egzystencji rodzinnej, to duża ulga. Popierasz?

Rozdział od stołu i łoża, którego domagała się tak stanowczo Kręcidupcia, dla Dominika był w tej chwili elementem najdoskonalej

obcym. Nic o tym nie życzył sobie wiedzieć tak bardzo, że wyrwała mu się prawda.

– Żadnych kretyńskich rozdziałów nigdy nie wymyślałem i nic nie wiem na ten temat. Nie zależy mi. Nie interesują mnie takie głupoty. No dobrze, wiem, przyznaję, pomyliłem się, zrobiłem coś głupiego, rozumiem, że chciałabyś o tym pogadać, ale bardzo cię proszę, nie teraz. Może trochę później...

Podniósł się, odruchowo podszedł z talerzem do zlewozmywaka, odruchowo rozejrzał się, czy nie ma innych naczyń do zmywania, bo jeden garnek, jeden talerz...? Majka przyglądała mu się z wielkim zainteresowaniem. Obejrzał się na nią.

– Ktoś pozmywał...?

Zaraz, gdyby ktoś pozmywał, naczynia stałyby na suszarce...

– Przyjrzyj się. Techniczny wystrój domu jest ci chyba znany? Nie widzisz niczego nowego?

Dominik przyjrzał się. Owszem było coś nowego, wyraźna zmiana. Otworzył urządzenie.

– Zmywarka? Mamy zmywarke?

– Powiedziałaś kiedyś, że zmywarka nie ma do mnie stosunku uczuciowego. Więc kiedy i ty przestałaś mieć do mnie stosunek uczuciowy...

No i tu w Dominiku pękło ostatecznie... O nie, nie jawnie. Pękło w środku. Nie chciało jeszcze wychodzić na zewnątrz. Żądało przemyslenia!

* * *

Wywrotka wysypała żwir i podjechała w inne miejsce po ziemię z głębokich wykopów. Musiała czekać w kolejce, kierowca wysiadł i wrócił ku rzeczce.

– Coś tu nie widzę tej takiej, co tak fikuśnie tyłkiem kręciła – rzekł do pierwszego z łopata, jaki mu się napatoczył. – Blondyna taka. Już się nie pałęta?

Pierwszym napatoczonym był akurat Kazio. Ucieszył się niewymownie, zaświtał mu pożytek z rozmówcy. Miał Szymkowi donieść wieści o Kręcidupci i szło mu jak po grudzie, tyle z plotek wydoił, że podobno jakiś wypadek miała i na zwolnieniu jest. Zdzisia, rzecz jasna, nie ośmielił się zapytać, obecnie za Zdzisiem latał z rysunkami młody gorliwiec świeżo po technikum i panowała między nimi najdoskonalsze zgoda.

– Mówią, że podobnież na chorobie – odparł żywo. – Inżynier ją tu trzymał, ale warczał na nią, zły był, bo mu grymasy stroiła.

– O, a taka przylepna! – zachichotał kierowca. – Ale faktycznie grymaśna.

– A co? Znasz ją?

– Jakby trochę. Parę razy na łebka się zabrała.

– I gdzie jechała?

– A różnie. Przeważnie do tego ich biura. A raz chyba do domu, bo tu w coś wlaźła i buty jej się rozpieprzyły, zła była.

– I gdzie mieszka?

– A coś ty taki ciekawy? Też ci się spodobała?

Kazio zupełnie uczciwie wzruszył ramionami.

– Mnie to niespecjalnie, ale kumpel brata coś ma do niej i chce ją złapać. On w telewizji robi i możliwe, że mu kazali taką cyrkówkę dorwać. Chce się zasłużyć, niech ma.

Kierowca wywrotki nie był zawistnym sobkiem, też wzruszył ramionami.

– A niech ma. Emilka jej na imię, tyle wiem. A ten dom...? Na Ludowej wysiadła i jakoś tak poszła, jakby w podwórze, do oficyny. Nie widziałem

dokładnie.

– Dobrze i tyle, browarek masz u mnie.

– Człowieciu, nie za kółkiem przecież! Łapią aż trzeszczy...

Wezwania z oddali zakończyły owocną konferencję nad kupą żwiru. Kazio wieczorem u Grześka mógł się pochwalić zdobyczą.

Skorzystawszy dwukrotnie z cudzego motoru i za drugim razem o włos i cudem uniknąwszy potwornej awantury, Szymek zdecydował się sprowadzić ze wsi swój. Strupel nie strupel, grunt, że jeździ. Wolne chwile w telewizji się miewa, skoczył do domu i wrócił własnym pojazdem.

I teraz cały wolny czas jął spędzać w okolicy Ludowej, penetrując wszystkie obiekty, jakie się tam znajdowały, od eleganckich, nowych apartamentowców, zaopatrzonych w pełny zestaw elektroniki, do starych ruder, większych i mniejszych, rozmaicie zaludnionych. Jeśli gdzieś tu ta dziwka bywała czy mieszkała, kiedyś musi się pokazać. Chora. Może w łóżku leży i nie wychodzi z domu?

Docisnąłby mocniej Kazia, ale miał swoje plany i wolał nie. Gdyby dysponował nieco łagodniejszą gębą, łapałby wszystkie osoby płaczące się w najbliższej okolicy i pytał, czy znają pannę Emilię, niemożliwe, żeby nikt z sąsiadów nigdy jej na oczy nie widział. Ale niestety, jakąś maskę chyba musiałby włożyć...

Wiedział, co robi. Wiedział, co bezwzględnie musi zrobić. Musi, bo inaczej sam siebie nie zniesie i życie będzie miał zmarnowane!

* * *

– Ona jeszcze gotowa wrócić do prawie pełnej sprawności – powiedziała zimnym głosem Beatka w tydzień później. – No, nie do cyrkowych sztuk, ale do sprawności przeciętnego człowieka. Goi się na niej jak na psie. Jeśli

nie zrobi żadnej głupoty, nie przewróci się albo co, wzmocnią jej się te strzępy podwójnie.

– Nie będę jej nogi podstawiać – zdecydowała Majka stanowczo. – Zaraz powtórzę tę okropną informację osobom zainteresowanym. Dziękuję ci bardzo, chociaż smętnie.

Wyłączyła komórkę, westchnęła i powtórzyła.

Cztery megiery siedziały w pracowni Bożenki. Już w pierwszej chwili Majka zauważyła, że za dużo ich, bo o jedną mniej i byłyby świetne trzy więdźmy z Makbeta. Bożenka zaofiarowała się robić za osobę towarzyszącą, ponieważ Janusz jednak na Kręcidupcię nie poleciał. Więc wręcz nie czuje się uprawniona, chociaż w głębi duszy popiera.

– Mnie wyrwała trzech narzeczonych – oznajmiła gniewnie Anusia. – Dopiero teraz zaczynam mieć czwartego, odważyłam się, bo do tej pory się bałam. Ale jeżeli ona znów zacznie...

Specjalnie po informacji z ostatniej chwili Majka zadzwoniła do Beatki i żadnej pociechy niestety nie doznały. Nad więdźmami wisiała zmora.

Luiza ułożyła ostatnie zdjęcia reklamowe i przeniosła się od parawanu do części bardziej przestronnej, o ile można było w ogóle mówić o przestronności w pracowni zieleniarskiej. Większość podłogi zajmowała makieta przyszłego wesołego miasteczka ze szczególnie wyeksponowaną roślinnością trwałą. Wokół cennych drzew i krzewów żółciły się wstążeczki, mające symbolizować policyjne taśmy, Bożenka zaś pilnowała ich jak oka w głowie.

– Nikt mi jednego patyka nie zetnie bez mordobicia – zapowiedziała energicznie już od pierwszej chwili.

Luiza znalazła sobie miejsce na postawienie nóg i krzesło. Pomacała je zanim usiadła.

– Kenzany macie schowane?

– I po co ja się szarpałam z tymi ciężarami! – westchnęła z rozgoryczeniem Anusia. – Żeby niewinny człowiek przybił się do krzesła...

– I mnie tu krwawe piegi na całej podłodze zostawił...

– Tyle wysiłków i nic. Musiała się sama postarać. Zrobię kawę, bo za dużo macie samochodów i prawdę mówiąc, nie ma co czcić.

– Ja nie narzekam – oznajmiła spokojnie Luiza. – Mogą jej odrosnąć i cztery tyłki, mnie już nie zaszkodzi. Za tydzień bierzemy ze Zdzisiem ślub, tak nam ładnie wskoczył termin. A zaraz potem urodzę troje dzieci, jedno po drugim i niech ona spróbuje pokręcić!

Wszystkie przyjrzały się jej z zainteresowaniem. Luiza była jakaś delikatnie odmieniona i jej przytłamszona uroda zaczynała rozkwitać. Twarda zaciętość siedziała w tle i nie wychylała głowy, ale widać było, że jest.

– Za drugi ślub nie płaci się podwójnie? – zainteresowała się Anusia.

– Nie, no coś ty. To rozwody kosztują coraz drożej. Szczególnie takie nieuzasadnione.

– I po co ci był ten rozwód?

Luiza westchnęła, nie kryjąc skruchy.

– Niepotrzebnie ujęłam się honorem. Z początku owszem, robiłam trudności, ale potem dotarło do mnie, że ten kretyń zamenia mnie na jakąś gęś czy owcę i poczułam się obrażona. Z fauną nie będę konkurować. Błąd. Powinnam była spokojnie przeczekać ten atak paranoi, ale naprawdę nie przypuszczałam, że ona jest aż tak beznadziejnie głupia!

– A jest – przyświadczyła Anusia i zaczęła nalewać kawę.

– Ponadto odniosłam korzyść – kontynuowała Luiza. – Odnieśliśmy wspólnie, mój mąż i ja. Mamy teraz dwa mieszkania i stąd moja swoboda w dzieciach.

Bożenka porównywała swoją wiedzę o Zdzisiu z wiedzą o Dominiku. Nie wytrzymała.

– Rozmawiacie na jej temat i tak dalej?

– Oczywiście! Już ja mu nie pozwolę tak szybko zapomnieć, tylu udręk mu przyczyniła, że teraz z ulgą wypluwa z siebie toksyny i widać, jak mu z każdym dniem lżej. Na szczęście nie wyjąłowała go umysłowo.

– Jakie znowu umysłowo, co tam miał umysł do roboty...

Pierwszy raz Majka usłyszała, że Luiza roześmiała się. Miała śliczny, dźwięczny śmiech. Zaciekawilo ją, czy ktokolwiek słyszał śmiech Kręcidupci, nie zdążyła zapytać, bo Anusia porozdawała kawę wyjątkowo znakomitej jakości, a Bożenka ciągnęła swoje.

– Ale telefonów od niej nie odbiera?

– Nie – tu Luiza zakłopotala się lekko. – Z pewnością przesadza, ale mówi, że tak się czuje... no, zdradzam wam z rozpędu, więc nie czepiajmy się... jakby wpadł do gnojówki, umył się porządnie, wyprał trzy razy, a teraz ktoś mu podtyka jeszcze szklaneczkę tej gnojówki i chce wylać na buty, albo nawet na głowę. Odmawia. Mowy nie ma!

– Ale ona dzwoni...

– Oj, dzwoni, dzwoni – powiedział od drzwi Paweł. – I nie tylko. No, panienki, to już drugi raz trafiam na te wasze KKK, które widzę, że się rozrasta i tym razem przyznaję, że stoję i uczciwie podsłuchuję. Ale kawa mnie przerasta, nigdzie takiej nie robią. Jak mi dacie, to wam powiem, do czego poszkodowana zołza jest zdolna. Gdzie mogę nogę postawić?

Omial nie został przeniesiony na rękach na wolną przestrzeń. Bożenka osobiście sprawdziła, na czym sprzymierzeniec siada, kawą został uczęstowany natychmiast.

– Sławcio mało co trupem nie padł, jak stanęła dziś w progu ich pracowni. Ma zwolnienie, ale przyszła do pracy, obowiązkowa, nie?

– Ty trzeźwy jesteś? – zatroskała się Majka.

– Jak świnia. Chodzi, laseczkami się podpiera, ostrożniutko i bez pośpiechu. Także bez pożądaných rezultatów. Rany, co za kawa! Wszystkie szpiegowskie tajemnice bym wyjawiał.

– Nie chcemy szpiegowskich, chcemy wiatraczne!

– Służę paniom. Dominika szukała, ale go nie było. U sanitarnych też była, ale Zdzisia też nie było. Elżbieta zgadła w czym dzieło, poszkodowana dzwoni jak wściekła, z nikim się nie może dogadać, niefart jakiś albo co, więc postanowiła poszukać adoratorów osobiście z nadzieją, że z bliska urok swoje zrobi. To nie ja wymyśliłem, to Elżbieta, koniec cytatu.

– A Zdziś gdzie? – zainteresowała się Bożenka i podejrzliwie rzuciła okiem na swoją makietę.

– Zdziś przytomnie w plenerach, może miał jakieś złe przecucia. O, tam! Mniej więcej w tym miejscu.

Chwyciwszy długi, cienki patyk, przeznaczony do podpierania delikatnych pnączy wijącej się młodej roślinki, Paweł z uciechą wskazał najdalszy kąt terenu, gdzie regulacja rzeczki została już ukończona. Bożenka nastroszyła się natychmiast.

– A co on tam robi?

– Nic, ukrywa się. Hurysa chodzi, ale z trudem i daleko nie zajdzie. W plenerach jest bezpieczny, a z rysunkami, wydrukami, odbitkami lata nowa pomoc techniczna, płci męskiej. Bardzo użyteczna i niczym nie kręci.

– No dobrze, ale przecież całe życie nie będzie tam siedział!

– Chyba nie będzie musiał – powiedziała Luiza jakoś zagadkowo i podniosła się z miejsca, zręcznie omijając teren przyszłej kawiarni, który miała pod nogami. – Wybrakowany zły czar moim zdaniem nie wróci...

I wyszła.

Paweł popatrzył za nią, a potem na Majkę.

– Ona chyba coś zrobiła Zdzisiowi – rzekł niepewnie, acz z lekkim niepokojem. – A ty Dominikowi. Zdziś chociaż uczuć nie kryje, wstręt do Kręcidupci tryska z niego jawnie i z hukiem, za to Dominik nic nie mówi, ale zachowuje się tak, jakby ta owca nigdy nie istniała. W normalnym humorze tak jak przedtem, zanim to zjawisko pojawiło się na horyzoncie. Czy to możliwe, że ją z niego wypchnęłaś?

– Sam z siebie wypchnął – mruknęła Majka.

– Ja nie chcę być nietaktowny...

– To nie bądź. I nikomu nie radzę na jej temat z nim rozmawiać.

– Strzeli w ryja...?

– A skąd! Ogłuchnie. I to tak, że rozmówcy przez dwa lata będzie nieprzyjemnie. No dobrze, powiem ci. Jemu głupio, że tak się dał narwać i nie życzy sobie wytykania minionych błędów i wypaczeń, a taką niechęć potrafisz chyba zrozumieć...?

Owszem, tyle Paweł zrozumiał. Wypił kawę do końca, podziękował za ostrzeżenie i poszedł lekko otumaniony.

Zostały już tylko trzy megieri.

* * *

Kręcidupcia miała wyrobione poglądy.

Przez całe życie operowała swoim osobistym, starannie wypracowanym wdziękiem i wyraźnie widziała, że więcej zalet nie jest jej potrzebne. Nie było faceta, który by się na jej uroki nie złapał, a jeśli nawet jakiś taki jeden wśród tysiąca normalnych się znalazł, był to zwyczajny zboczeniec, względnie wyjątek, który oczywiście potwierdzał regułę. Mogła przebierać. Rozczarowali ją dotychczas różni, wyłaziły z nich głupie wady,

zdecydowała się już prawie na Zdzisia, ale teraz wybrała Dominika. I wybrała go ostatecznie.

Dominik miał w sobie COŚ i Kręcidupcia nawet nie zauważyła, że zakochała się w nim śmiertelnie. No więc jasne, że chciała go mieć dla siebie na wyłączną własność, prawnie, legalnie, przygwożdżonego na mur. On też chciał, tego była pewna, i nie do pojęcia było, że tak mało się starał. Żona, no to co, że żona, zawracanie głowy z żonami, powinien się jej pozbyć i koniec. Zrobiła co mogła, żeby mu to dać do zrozumienia, ale za wcześnie wrócił z Kanady ten drewniany półgłówek i niepotrzebnie wróciła skądś tam jego idiotyczna narzeczona, która nie ma co robić i trzyma go na krótkiej smyczy. Mieszkanie chyba przypadło, nawet jeśli on znów wyjedzie, ona zostanie, a jeśli wynajmie... nie, nie wynajmie, będzie urządzać. Tak on sam Kręcidupci powiedział.

Ten wypadek potrzebny jej był jak dziura w moście, w najgorszej chwili się przytrafił. Wyraźnie już widziała, że postępowanie z Dominikiem trzeba troszeczkę skorygować, miała taki zamiar i co? Coś było nie w porządku, jakby jej unikał, no mieli dużo roboty i co z tego? Robota nie zając, mógł się postarać! Nie starał się. Siedział w pracy do uśmiechniętej śmierci, niby wszyscy siedzieli, ale inni w kratkę, a on ciągle. Albo u tych parszywych mechaników. Albo u idiotycznych technologów, gdzie już w ogóle słowa jednego nie można było zrozumieć z tego co mówią. A on się tam świetnie bawił i promieniał!

Kręcidupcia była zła. Chciała go ukarać, niech zobaczy jak to jest bez niej, ale wychodziło odwrotnie, to ona oglądała jak to jest bez niego. A bywało jeszcze gorzej, wychodził wcześniej razem z innymi, bo podobno dzieci, miał dzieci położyć spać, tak jakby nie mogły iść spać bez niego. Rzeczywiście, dzieci, też zawracanie głowy!

Leżało jej się potwornie, dom rodzinny był koszmarem. Bolało nie do zniesienia, pigułki przeciwbólowe pomagały świetnie, ale działały usypiająco. Nie miała czasu spać, musiała złapać Dominika, a chociaż Zdzisia. Zdzisia miała w nosie, nie zależało jej na nim, ostatnio w ogóle zachowywał się wstrętne, ale mógł być przydatny i należało trzymać go w rezerwie. Nic z tego, obaj przez telefon okazywali się niedostępni.

Chodzić mogła, pozwolili jej, tylko bardzo ostrożnie. W ani jedno słowo lekarzy i pielęgniarek Kręcidupcia nie wierzyła, przepowiadali jej, jak debile, że uszkodzenia, że sprawność przepadła, że mowy nie ma o żadnej gimnastyce, że byle co może jej zaszkodzić nieodwracalnie, bździny głupie i nic więcej. Niech tylko się zagoi do końca, już ona im pokaże, spokojnie rozgimnastykuje na nowo wszystko co trzeba i da sobie radę.

Ale przerwa w kontaktach z Dominikiem była nie do przyjęcia. Pojedzie do firmy, chodzić może, jedną szwedkę dali jej w szpitalu, drugą pożyczył sąsiad, który na uciechy cielesne już nie reflektował, ale wygibasy Kręcidupci bardzo go śmieszyły, śmiech to zdrowie, miał dla niej wdzięczność. Przydałby się duży samochód...

Złośliwość losu sprawiła, że wychodząc z izby przyjęć po kolejnym opatunku, Kręcidupcia trafiła na kierowcę karetki, który już ją woził. Miał wezwanie w doskonałym kierunku, przejeżdżał akurat obok wejścia do ich firmy. Luksus, z którego bezwzględnie należało skorzystać. No to Kręcidupcia skorzystała.

Nie udała jej się ta wizyta. Ani Zdzisia, ani Dominika nie zdołała dopaść. Nikt na nią właściwie nie zwracał uwagi, a jeśli już, dziwił się najwyżej po co przyszła, skoro ma zwolnienie. Nikt też, znając rozmowność Kręcidupci, nie oczekiwał odpowiedzi i jedyna korzyść, jaką odniosła, to natknięcie na Sławcia w chwili, kiedy opuszczał miejsce pracy. Na Sławciu uczyniła wrażenie upiora, w którego wcieliły się jego wyrzuty

sumienia i ze zdenerwowania odwiózł ją do domu swoim starym mercedesem. Stary, bo stary, ale doskonale resorowany, przebyła zatem tę drogę ulgowo, na tylnej kanapie, w pozycji niezupełnie siedzącej.

Pod domem wysiadła i ostatnie pięćdziesiąt metrów, z ulicy na podwórze oficyny, przebyła piechotą powoli i z wysiłkiem, bo środek przeciwbólowy właśnie przestał działać. Wspomogła ją wściekłość. To było po prostu niemożliwe, jeśli nie odzyska zdrowia i swoich podstawowych walorów, nie ma szans na nic, nie ma życia przed sobą. I tu nie ma na co czekać, te konowały się nie znają, trzeba spróbować, trzeba zacząć jak najprędzej!

I najlepiej spróbować wczesnym wieczorem, kiedy nikogo z rodziny nie ma i nawet dzieci siostry gdzieś się bradziają.

* * *

Złośliwość losu, który najwidoczniej miewał swoje antypatie, była konsekwentna. Dała Szymkowi wolne godziny w środku dnia i podkusiła go spojrzeć na miejsce pracy poszkodowanej heroiny. Wiedział już gdzie to jest, wypatrzył, śledząc Zdzisia, podjechał bezmyślnie, nie zastanawiając się po co i ujrzał widok przecudowny. Kręcidupcia wsiadała do mercedesa jakiegoś przerażonego faceta. Dziwnie wsiadała i długo.

I już nie oderwał od niej oka. Przeszedł za nią piechotą te pięćdziesiąt metrów, widział gdzie wchodzi, w które drzwi, własnym kluczem je otworzyła.

I fart niewiarygodny! Mieszkała na parterze...

* * *

– Miałaś rację – powiedział z determinacją Dominik. – To ja się myliłem.

Majce udało się ulokować na stole kuchennym wszystko, co właśnie przyniosła z pracowni. Szklanekę z resztką herbaty, dwie pełne popielniczki, komórkę, papierosy i lichterz na dwie świece, których resztki zamierzała wydłubać i zamienić na nowe. Nie upuściła niczego i na chwilę zamarła.

Dominik wyjął ze zmywarki ostatni talerz, wyprostował się i obejrzał na nią. Takie słowa w jego ustach mogły oznaczać wyłącznie jakieś wydarzenie wstrząsające, rzędu trzęsienia ziemi w całej Europie. Coś się stało...?

Na wszelki wypadek usiadła, odsuwając nieco dalej od krawędzi stołu przyniesione przedmioty.

– Gdzie miałam rację? – spytała słabo.

– Nie gdzie, a kiedy – poprawił Dominik. – Chociaż miejsce też można by sprecyzować. Głównie tu, w kuchni. Chociaż nie, może raczej przy jadalnym stole. O ile pamiętam, zaczęłaś od jadalnego stołu.

Majka poczuła, że frontowa część jej wnętrza, ta miękka, od gardła aż do dwunastnicy zaczyna wpadać w jakąś płasawicę. Trochę ją zadławiło. Zdusiła przecucie, które było zbyt piękne, żeby mogło mieć sens. Czyżby Dominik znormalniał...? Czy to w ogóle możliwe...? Czy też przeciwnie, ta cholerna Kręcidupcia gdzieś go dopadła...?

Zamierzała coś zjeść, ale w mgnieniu oka straciła apetyt. Zamierzała pomilczeć, czekając na ciąg dalszy, ale przypomniała sobie gadatliwość Kręcidupci. Wirująca pluskwa milczałaby z pewnością, o nie, *Powrót taty* zacznie, ale milczeńie nie będzie! Nie, *Powrót taty* aluzyjny, cokolwiek innego, *Paweł i Gawęł, Małpa w kąpieli...*

– Skoro w jadalni objawiłam mądrość, może tam przejdźmy – zaproponowała, wciąż słabo. – Z herbatką, albo co...

W Dominiku szalał jakiś rozpęd pracowitości. Zgarnął ze stołu popielniczki, opróżnił, oczyścił, wyjął dla Majki nową szklanekę, swoją miał

przed sobą, zaczął nalewać napój.

– Właśnie myślę nad albo co – oznajmił w zadumie. – Normalni ludzie, o ile wiem, czczą swoje osiągnięcia. Zazwyczaj albo czym.

Wziął obie szklanki, ruszył ku drzwiom. Majka podniosła się od stołu i znów na moment znieruchomiała, osłabła z wrażenia. Jezus Mario, on rzeczywiście...?! Ruszyła za nim.

– Myślisz, że jesteśmy normalnymi ludźmi?

– Pewności nie mam, ale chciałbym.

Majce udało się dotrzeć do jadalnego stołu, po drodze zgarniając papierosy. Znów usiadła czym prędzej.

– Albo co w razie czego się znajdzie. Ale chciałabym wiedzieć, jak się we mnie ten intelekt objawił.

Dominik postawił szklanki, usiadł naprzeciwko niej. Wyraz twarzy miał trudny do określenia. Zakłopotanie w nim było, determinacja, niepewność, skrucha i jakieś osobliwe zadowolenie.

– Pieniądze – wyznał z westchnieniem. – Zmusiłaś mnie, żebym zaczął rządzić pieniędzmi. Nie chciałem, ale teraz widzę, że to miało sens. Wielokierunkowy.

To było wprawdzie co innego, ale więcej niż Majka mogła się spodziewać. Mimo zaskoczenia zachowała czujność, nie zamierzała poganiać go, wypominać, wytykać, nie zamierzała też skrywać zwyczajnej uciechy.

– A pewnie nie wiesz nawet jeszcze, że ogólnie było fartowne. Mnie dołożyło korzyści osobistych.

– To akurat wiem...

– Skąd? – zdziwiła się Majka najszczerzej w świecie. Dominik zdziwił się jeszcze bardziej.

– Wydawało mi się... Wydawało mi się... że... moje zaćmienie umysłowe... trochę cię dotknęło...?

Tylko *Małpa w kąpieli*, błysnęło Majce. Nie milczeć! Nie milczeć! „Już w gruzach leżą Maurów posady...”.

Dominik patrzył na nią z wyraźnym niepokojem. Mimo nowego zadławienia wydobyła z siebie głos. Jednak prozą.

– Mam wrażenie, że rozmawiamy na kilka tematów równocześnie...?

Zasadnicza część Dominika nie uległa żadnej zmianie.

– Zamierzałem zachować jakąś kolejność, może w punktach. To jest ten sam temat. Słusznie zrzuciłaś na mnie odpowiedzialność, musiałem wziąć dodatkowe zlecenie...

– To wielkie?

– Tak, to wielkie. I stopniowo okazało się, że właściwie honoraria nie przeszkadzają, nie miało to w sobie nic z żebraniny...

– O Jezu... – wyrwało się Majce z jękiem.

– ...natomiast wciągnęło mnie. Zaczęło mi zależeć na rezultacie. Zabrało czas. I nie miałem kiedy poddać się temu... tej...

– Demencji – podsunęła Majka życzliwie.

– Paranoi. To chyba właściwsze określenie. Dodatkowe przeszkody mnie denerwowały. Przyznaję, że wcale nie chciałem pokonywać dodatkowych przeszkód...

Tyle to Majka sama wiedziała. Wiedziała też, że Kręcidupcia przez gardło mu nie przejdzie, ale mogła czekać na ciąg dalszy. Teraz Dominika zaczęło dławić.

– Powiedziałaś... Powiedziałaś, że mnie już nie kochasz. Czy to... trwałe? Rzeczywiście już mnie nie kochasz?

Kotłowanina w Majce przerosła chaos sprzed stworzenia świata. Pomyślała, że powinna zemdleć, ale uparła się jeszcze trochę wytrzymać.

W oczach Dominika jał pojawiać się psi wyraz.

– Czy życzysz sobie drugiego rozwodu? – spytała z zimną uprzejmością.

– Jakiego rozwodu?

Nie kłamał. Nie oszukiwał. Zdumiał się tak, jakby pierwszy raz w życiu słyszał takie słowo. Majce udało się opanować jęki.

– Kiedy ostatni raz zadałeś mi identyczne pytanie, okazało się, że chcesz się ze mną rozwieść. Czy znów masz ten sam pomysł?

Przez długą chwilę Dominik patrzył na nią, walcząc z własną pamięcią, którą, zdawało mu się, zdołał już poskromić. Zakłębiła się w nim teraz z drwiącym chichotem. Przemógł się po swoim.

– Nic nie wiem o żadnym rozwodzie i nie chcę wiedzieć. W skład mojej paranoi, do której się przyznaję, mogły wchodzić różne głupie pomysły. Mam nadzieję... miałem nadzieję, że nie potraktowałaś tego poważnie.

– Owszem, potraktowałam.

– To co ja mam teraz zrobić?

Siedział i patrzył na nią bezradnie, jak zmartwiony chłopiec albo jeszcze gorzej, jak zmartwiony pies. Gniotło go coś, przed czym tak okropnie chciał się wyłgać i nie umiał samodzielnie, bez Majki. Chciał... O, tak, chciał przeraźliwie, żeby wszystko było dobrze, jak przed tym całym kretyństwem, i pierwszy raz w życiu świtało mu, że chce bezprawnie. I co on miał teraz zrobić...?

Majka poczuła, że więcej nie zniesie.

– Może zastanów się i podejmij decyzję. Kogo właściwie kochasz?

Dominik nie musiał się zastanawiać.

– Jak to, kogo? Ciebie oczywiście.

– To dlaczego twierdziłeś, że przestałeś mnie kochać i jestem dla ciebie obcą osobą?

– Mówiłem takie brednie?

– Kilka razy i bardzo stanowczo.

Dominik przez całe cztery sekundy analizował siebie.

– Nie przypominam sobie. Ale jeśli istotnie mówiłem, to znaczy, że miałem większe zaburzenia umysłowe niż mi się wydawało. Ale przecież od początku powiedziałem ci teraz, że miałaś rację, a ja się myliłem. Gdzieś popełniłem jakiś strasznie głupi błąd. Czułem, że coś jest niedobrze, cały czas brakowało mi ciebie i nie mogłem tego zrozumieć. A może nie chciałem...?

– Nie chciałeś, ponieważ miałeś w głupim łbie pośladowczego kręcioła. Powiedzmy to sobie raz wreszcie wprost i otwarcie, bo mnie tu zaraz szlag trafi. Bóstwo nadal świeci własnym światłem?

– Jakie bóstwo?

– Kręcidupcia!!! – wrzasnęła Majka bezlitośnie. – Kochasz tę owcę, do cholery, czy nie?!!!

Bezgraniczny niesmak w wyrazie twarzy Dominika mógł wystarczyć za odpowiedź. Dominik wsparł go słowami.

– Mnie na owcach nie zależy – rzekł z wielką godnością.

Majce opadły ręce. Dominik siedział jeszcze przez chwilę, po czym zsunął się nagle z krzesła i ukląkł przed nią. Znow miał psie, błagalne oczy.

– Majka... Ja... ja byłem kretynem. Czy ty mi przebaczysz? Czy zgodzisz się być moją żoną do końca życia? Żoną kretyna?

– Och, ty kretynie! – jęknęła Majka rozdzierająco i też zsunęła się z krzesła.

Jej poprzedni krzyk wyrwał dzieci z pierwszego snu. Tomek i Krysia stali w progu, przyglądając się rodzicom we wzajemnych objęciach.

– Porąbało ich – zaopiniował ze zgorzeniem Tomek. – Ci dorośli mają chore klepki. Obściskują się pod stołem.

– Dlaczego pod stołem? – zainteresowała się Krysia.

– A kto ich tam wie. Chodźmy stąd, to może być zaraźliwe...

* * *

Kręcidupcia nawet nie zamknęła drzwi na klucz. Wreszcie pozbyła się całej rodziny, poszli to poszli, tak zaraz nie wrócą, aż się trzęsła z niecierpliwości żeby spróbować. Nie obchodziły jej okna, nawet nie zamierzała ich zasłaniać, uchylone były wszystkie, bo siostra przypaliła kapustę tak, że w całym mieszkaniu jeszcze śmierdziało. Ale kraty miały.

Najszerzej otwarte było kuchenne, bo tam śmierdziało najbardziej. Krata w nim była zdezelowana, połowa wisiała na jednym zawiasie, a zamek w środku puścił już dawno, ale to nie obchodziło nikogo, bo co niby jakiś złodziej miałby u nich kraść. Poza tym i tak ruina nie rzucała się w oczy, bo przed tym kuchennym oknem rósł ogromny krzak bzu, który zasłaniał wszystko.

Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na osobnika, który podszedł do oficyny od strony przeciwnej niż parking i zniknął za krzakiem bzu. Przez chwilę nic się nie działo. Potem szczęknęła krata, oberwana połówka wylazła z ocalałego zawiasu, zeszła na ziemię i wsparła się o mur. Potem otwarło się szerzej uchylone okno, ludzka postać posłużyła się zdezelowaną kratą, doskonałą jako stopień i bardzo zręcznie znalazła się w kuchni. Krzak bzu od ludzkich oczu separował całość idealnie.

Kręcidupcia w mieszkaniu nie zwróciła najmniejszej uwagi na dodatkowe dźwięki. Dookoła panował hałas, telewizor w sąsiednim lokalu ryczał pełnym natężeniem, po drugiej stronie podwórza ktoś z zapalem używał wiertarki udarowej, gdzieś obok darło się niemowlę i szczekał pies. Obok siebie Kręcidupcia też miała telewizor, w którym właśnie szedł rozrywkowy program. Taneczny, zachęcający dla niej. Środki

przeciwbólowe znów zaczęły działać, uznała zatem, że może sobie pozwolić na próby gimnastyczne.

Pozbyła się odzieży, bo musiała wszak widzieć efekty. Naukowo. Ustawiła się skosem do lustra, prawie tyłem, tak zupełnie tyłem nie miało sensu, źle widziała, oczy przecież miała z przodu, a drugiego lustra w domu nie było. Wsparła dłonie na oparciu krzesła, wypięła się ile mogła i ruszyła.

To znaczy spróbowała ruszyć. Okropność. Wszystko miała sztywne. Nieruchawe i jakieś stwardniałe. Ciągnęło boleśnie, nie chciało się poddać, jak drewno. Nie panowała nad najważniejszą częścią swojej anatomii! Zdenerwowała się, ogarnęła ją wściekłość.

Oderwała wzrok od lustra, chociaż przez ułamek sekundy wydawało jej się, że coś tam za sobą zobaczyła, ale zlekceważyła głupie widoki. Nabrała oddechu.

Postaci za nią nic już nie mogło wstrzymać. Pętla w dłoni rozwinęła się w krótki bicz, najeżony kolcami. Pozycja Kręcidupci była wprost wymarzona...

Krótki, złowieszczy świst rozległ się cztery razy, lśniąco kolce mignęły z góry i z dołu, na zmianę. Kręcidupcia właśnie nabrała tchu, wrzask, jaki wydała z siebie, przebił się nawet przez wiertarkę udarową.

Sąsiadkę z lokalu obok zainteresował. To coś, co oglądała, było mało ciekawe, zaczęła zmieniać kanały, szukając tego jakiegoś wspaniałego horroru, który oglądają tamci obok. Jeśli baba tak wrzeszczy, musi to być krwawy kryminał, ona też chce zobaczyć! Nie znalazła niczego, nie wytrzymała, zerwała się i popędziła do sąsiedniego mieszkania.

Owszem, zobaczyła krwawy kryminał...

* * *

– Nie, moja droga – powiedziała przez telefon Beata prawie o świeżym poranku. – Znowu mnie wczoraj nie było, właśnie przyszedłam na dyżur. W żaden sposób sama sobie tego zrobić nie mogłam. Nawet gdyby usiadła na drutach kolczastych, to jeszcze za mało. Ktoś jej musi nie lubić jeszcze bardziej niż ty.

– Dużo jest takich, ale mam nadzieję, że niewinni mają alibi – zatroskała się Majka. – Czego teraz nie będzie mogła?

– Niczego. No, poza chodzeniem. Ale powoli i nie bardzo zręcznie, a schody to wróg. Miała szczęście, że podobno ktoś ją znalazł od razu, bo inaczej wykrwawiłaby się na śmierć. Chłopak z pogotowia mówił, że istną rzeźnię zastali.

– Wyrzucam z dekoracji czerwony kolor... Chociaż nie, bo jeszcze padnie na mnie podejrzenie. A mnie już ona nie dotyczy, odfajkowana, przestaję mieć do niej jakikolwiek stosunek. Ciekawe, swoją drogą, kto się tak sprężył...

Jako następna, zadzwoniła Bożenka.

– Ty wiesz, gdzie ja mam godziny pracy, w plenerze jestem, znaczy u ciebie, zdaje się jakieś kwiatki na balkonie rosną. Zaraz przyjeżdżam! Zrób coś z dziećmi!

– A ja ci radzę, zrób coś z samochodem...

– Uff! – odsapnęła Bożenka, zapadłszy w fotel u Majki. – W samochód wrobiłam Janusza, a twoje dzieci co?

– Nic, w szkole. W razie czego mam do dyspozycji Nowaków przez Haralda.

– Genialne. Haralda...? A, już wiem, ona na niego leci. Nie szkodzi, chromolę Haralda. Więc słuchaj, ja się dowiedziałam dopiero co, jak Anusia wróciła ze szpitala, bo poleciała do niej od razu... z ciekawości,

żeby nie było nieporozumień... jak ofiara do niej zadzwoniła. Ty wiesz, że ona nie wie, kto ją tak urządził?

– No właśnie... Zaraz. Czy ty nie jesteś głodna?

– Jestem, wściekle, ale więcej przejęta.

– O, frykasów akurat nie mam, tylko pierogi, za to dużo.

– Bardzo dobrze, lubię pierogi. Łatwo jeść. Więc ją tam sąsiadka znalazła...

Z wielkim zainteresowaniem Majka wysłuchiwała tego, co już wiedziała od Beatki i tego, co było nowością. Anusia doniosła szczegóły.

– Udało się z niej wydusić, że tam ktoś był, Anusia ma coraz większą wprawę. Ona nie wie kto, prawie go nie widziała, nie zwróciła uwagi, bo chciała zacząć ćwiczenia rehabilitacyjne... Ty byś nie zwróciła uwagi, że ktoś jest, jak byś goła robiła ćwiczenia?

– Zwróciłabym – odparła Majka z głębokim przekonaniem. – Nawet nie goła i bez ćwiczeń.

– No właśnie. Ale ona nie. Nie wie jak wyglądał, całkiem czarny...

– Murzyn...?

– Nie dała do zrozumienia, że murzyn, prędzej kominiarz. I podobno miał strasznie dziwny łeb. Jakby rurę blaszaną zamiast łba. I tyle.

– Wielbiciel z kosmosu – mruknęła Majka.

– Teraz satelity latają – zastanowiła się Bożenka. – Mogła do któregoś tyłkiem pokręcić, a jemu się nie spodobało...

– No... wiesz... satelita to nie był, nie zmieściłby się.

– Też tak uważam. Potem strasznie świsnęło i cześć, ciemno w oczach jej się zrobiło i dalej już nic nie widziała. I tyle. Wściekła jest taka, że aż płacze ze złości. I zażądała od Anusi, nie uwierzysz, mózg się lasuje, Anusi osłupienie jeszcze w pracowni nie przeszło, żeby jej sprowadziła Dominika!

– Proszę...?

– Dominika. Ma go namówić, żeby przyszedł do szpitala, bo trochę ją tam potrzywiają po tym nowym szyciu.

– I do czego on jej tam?

– Anusia mówi, że Kręcidupcia dała jej do zrozumienia, że musi z nim porozmawiać.

– Po... co zrobić...?

– Porozmawiać.

Przez chwilę Majka jakoś dziwnie patrzyła na Bożenkę. Bożenka poruszyła się niespokojnie.

– Ty na mnie tak nie patrz, to nie ja wymyśliłam!

– Wiesz, że prawie mam chęć sama go ponamawiać. I posłuchać tej rozmowy.

– To musiałybyś iść z nim razem, a Kręcidupci chyba nie o to chodzi.

– Na pewno nie o to, ale rzecz w tym, że Dominik nie pójdzie za skarby świata. On nie zna Kręcidupci i nie pamięta, że coś takiego w ogóle istnieje. I nie chce pamiętać, a jego niechcenie jest w gatunku super.

– Jesteś już pewna?

Majka westchnęła.

– Mówiłam ci, jakie on ma właściwości organizmu. Dlatego zdecydowałam się przeczekać. Liczyłam na jej głupotę i proszę, na moje wyszło. Uparła się zmusić go do czegoś, wszystko jedno do czego, a on uwielbia być zmuszany, w rezultacie przegięła pałę i teraz by chciała odkręcić. Nic z tego. Oświadczył mi się.

Bożenka wyraźnie poczuła, że słusznie przekazała samochód mężowi, bez jakiejś substancji wspomagającej się nie obejdzie. Majka na pewno coś ma. Zaraz, może jednak zdoła zrozumieć na sucho...

– Powiedz to jeszcze raz. Co ci zrobił?

– Oświadczył mi się.

– Przecież nic jeszcze nie pijemy! Nie można się urznać pierogami! Czy ja mam zaniki pamięci, a ty mu dałaś rozwód? Czy macie brać ślub drugi raz?!

– No a jak to można inaczej określić, skoro mnie spytał, czy zgodzę się być jego żoną do końca życia?

Bardzo długo Bożenka milczała.

– Nie wiem jak ty – powiedziała wreszcie jakoś rozpaczliwie. – Ale ja z całą pewnością nie jestem angielskim lordem...

– Ja też nie. To co?

– To wyjmij to coś, co masz zadołowane. Angielski lord nie pije niczego wzmacniającego przed piątą po południu. Ale my możemy. I do diabła ze złą godziną i niech ją szlag trafi!

– Mieliśmy to wypić z Dominikiem zaraz po tych oświadczeniach – westchnęła Majka, otwierając butelkę szampana – ale jakoś wyleciało nam z głowy...

Przez długą chwilę popijały szlachetny napój w milczeniu. Majka dopiero teraz uświadomiła sobie, jaki potworny ciężar spadł jej z duszy, serca i karku. Równocześnie Bożenka przypominała sobie, jak wszyscy Majce współczuli, trochę się nią gorszyli, a głównie uważali za głupią. I pozbawioną ambicji. Przetrzymywała takie badziewie jak Kręcidupcia, nie wyrzuciła Dominika z domu, nie zbuntowała dzieci przeciwko ojcu, nie robiła publicznych awantur, nie sprząła tej wrednej żmii parasolką... Zachowywała się jak ślepa, głucha, a przede wszystkim głupia i prosię. Rzeczywiście. Na jej wyszło, czyli wiedziała co robi...

I, zadziwiająca rzecz, przestali ją naciągać na pożyczki...

– Jesteś bardzo mądra – pochwaliła gorąco – i wiesz, że ja zaczynam dostrzegać w tym wszystkim mnóstwo korzyści.

Majkę zainteresowało to bardzo.

– Jakich korzyści?

– Najważniejsze będzie na końcu – zaczęła Bożenka uroczyście. – A teraz czekaj, bo mnie się samo myśli, nie żebym się starała, ale popatrz, co wychodzi mi z tej pluskwy krętackiej. Odzyskał rozum Dominik? Sama mówisz! Odzyskał...

– No, prawie, za całość głowy nie dam – mruknęła Majka.

– Nie przeszkadzaj, bo się pogubię. Dostałaś zlecenia, więcej pieniędzy i Nowaka? Dostałaś!

– Co do Nowaka... – zaczęła Majka i dała spokój.

– Dominik odwała robotę? Odwała! A Zdziś? Żeni się z Luizą? Żeni! Luiza, świetny fachowiec, fotografik, też przetrzymała i potwierdza regułę: jakiś rozum trzeba mieć! I mają teraz dwa mieszkania? Mają! Bez głupiej owcy by nie mieli, do głowy by im nie przyszło. Anusia ma chłopaka? Ma!

– Bez głupiej owcy miałyby tym bardziej...

– Cicho bądź, bo zapomniałam co dalej. Ale i tyle korzyści wystarczy, zdrowie... o, nie, niech ci się nie zdaje, żadne takie! Zdrowie złej godziny i złośliwego losu!

Z największą przyjemnością Majka spełniła ten toast.

– Teraz przystępuję do najważniejszego – Bożenka nadeła się, skłęsa i oklapła. Uniosła kieliszek – To moja ostatnia okazja na jakiś czas – westchnęła smętnie. – Przepadło. Jestem w ciąży. Od wczoraj wiem na pewno, papierek powiedział. I oczywiście to też robota Kręcidupci...

Rzecz jasna, najpierw spełniły toast, potem stwierdziły, że szampana zostało już niewiele, na końcu wreszcie wyjaśniły sobie, co ma Kręcidupcia do dzieci Majki i Dominika.

– Bo rozumiesz, nigdy tak często do ciebie nie przylatywałam, ostatnio mi się zagęściło przez tę wredną małpę. I dopiero teraz widzę, że dzieci

można jakoś sensownie wychować i one mi się w ogóle podobają...

Resztką szampana poszła na dzieci.

– No nie wiem – rzekła Majka z wahaniem. – Ale może należałoby wypić zdrowie tego nerwowego adoratora, który ją tak elegancko załatwił. Zdjął pokrzywdzonym zemstę z głowy...

* * *

Pierwszy raz w czasie swojej telewizyjnej kariery Szymek spotkał się z krytyką. Nagle okazało się, że wyłaniająca się z ciemności straszna morda wcale nie jest taka straszna. Przeciwnie, nie dość że mało straszna, to jeszcze prawie sympatyczna. I, no, kwestia gustu, ale może nawet przystojna...?

Asystent reżysera zdenerwował się okropnie.

– Hej, ty, Szymek! Co jest, do cholery? W toto–lotka wygrałeś?

Szymek się zdziwił, bo dotychczas własna twarz nie obchodziła go wcale, nic z nią nie musiał robić, pokazywał i tyle. Teraz też pokazał. O co im mogło chodzić?

Związku pomiędzy swoją powłoką zewnętrzną, a stanem ducha nie widział najmniejszego. Przepęniała go błogość. Ukojenie. Szczęście. Nareszcie osiągnął cel życia, nareszcie wyrzucił z siebie ten kamień, ten gniot, tę furję, która zatruwała mu każdą chwilę egzystencji, nareszcie zemścił się na przekętym tyłku, który zrobił z niego wała, szmatę, palanta i w ogóle coś poniżej świńskiego gnoju. Wiedział swoje. Próbował. Instykt powiedział mu, że został przerobiony na sproszkowane łajno i nigdy w życiu to się nie zmieni. O, nie! Taka rzecz nie miała prawa istnieć na świecie.

No i wreszcie upragnione nastąpiło. Zrobił swoje. Nikt go nie widział. Szarej reklamówki z wyciętymi na oczy dziurami pozbył się w pierwszym

śmietniku, kolczasty pejcz podrzucił nieznacznie do rekwizytorni. Miał fart. Może i dobrze, że w pierwszym szale trafił na niewinną Zenię, wieczne jej odpoczywanie, bo to teraz jest piękniejsze. Reszta życia tej... tej... Nigdy nikomu więcej takiego świństwa nie wywinie! Upojna myśl...

I najbledszego pojęcia nie miał, że cokolwiek odbija się na jego twarzy.

W środku kręconego serialu zmiana jednego z najważniejszych rekwizytów zdenerwowała wszystkich. Szymek straszył sam z siebie, co mu się, do diabła, nagle stało?! To statysta! Niedrogi! Nikt go tu nie będzie uczył sztuki aktorskiej!

Piekło wybuchło potężne i do Szymka dotarło. Może i miały nim wielkie emocje, ale debilem nie był. Zorientował się nagle, o co tu biega, uciecha z niego wyłazi, a niech to szlag jasny trafi, załatwił tę gnidę złośliwą, a ona jeszcze mu życie paskudzi...?

Wszystkie ukojone już uczucia do Kręcidupci, wybuchły w nim potężnym gejzerem. Asystent reżysera prawie sam się przestraszył.

– Jazda, jazda, za ścianę! – krzyknął. – Akcja!

Tak wspaniałego ujęcia nie było od początku serialu.

I nikt nigdy nie dowiedział się niczego więcej.